

Petra Hammesfahr

Grabarz lalek

 **ABENKA**
Biblioteka Literacka Bellony

OSOBY

Jakob Schloesser, urodzony w 1932, rolnik, po zlikwidowaniu swojego gospodarstwa w marcu 1991 pracownik magazynu w markecie budowlanym Wilmrod.

Trude Schloesser, urodzona w 1936, matka Bena.

Anita Schloesser, urodzona w 1963, studia prawnicze, tytuł doktora nauk prawnych, po zdaniu matury przeniosła się na stałe do Kolonii.

Baerbel Schloesser, urodzona w 1967, zamężna z Uwe von Burg, mieszka w gospodarstwie swoich teściów.

Benjamin Schloesser, urodzony w 1973, nazywany przez wszystkich **Benem**.

Tanja Schloesser, urodzona w 1982, wychowuje się w rodzinie Laesslerów.

Paul Laessler, urodzony w 1931, rolnik, najlepszy przyjaciel Jakoba.

Antonia Laessler, z domu Severino, urodzona w 1951, Włoszka, od 1969 zamężna z Paulem.

Andreas Laessler, urodzony w 1969, żonaty z Sabiną Wilmrod.

Achim Laessler, urodzony w 1971, spadkobierca ojcowskiego gospodarstwa.

Anette Laessler, urodzona w 1975, pracuje w aptece swojego wuja Ericha Jensena i jest zaprzyjaźniona z Albertem Kressmannem.

Britta Laessler, urodzona w 1982, dla Tanji Schloesser jest jak rodzona siostra.

Erich Jensen, urodzony w 1947, aptekarz, członek SPD i radny miasta Lohberg.

Maria Jensen, z domu Laessler, urodzona w 1952, siostra Paula Laesslera, w młodości uwielbiana przez mężczyzn.

Marlene Jensen, urodzona w 1978, latem 1995 znika bez śladu.

Heinz Lukka, urodzony w 1928, adwokat, prowadzi kancelarię prawniczą w Lohbergu członek CDU i radny miasta Lohberg. Jego

bungalow znajduje się poza wsią. Maria Laessler była przed laty jego wielką miłością. Jest dobrym przyjacielem Bena, pomógł Jakobowi załatwić pracę w markecie budowlanym Wilmrod.

Toni von Burg, urodzony w 1934, rolnik. Najstarsza siostra Toniego **Heidemarie** wstąpiła do klasztoru, kiedy Paul Laessler zerwał z nią zaręczyny. Najmłodsza upośledzona umysłowo siostra **Christa** zginęła w czasach nazizmu.

Ilia von Burg, urodzona w 1935, przyjaźni się z Trude Schloesser.

Uwe **von Burg**, urodzony w 1965, spadkobierca gospodarstwa, żonaty z Baerbel Schloesser.

Winfried von Burg, urodzony w 1968, młodszy brat Uwe.

Jedyna córka – zginęła śmiercią tragiczną.

Richard Kressmann, urodzony w 1940, rolnik, właściciel 1500 mórg ziemi, pije ponad miarę. Krąży plotka, że przejechał córkę Toniego i Uli Burg na drodze do szkoły.

Thea Kressmann (Ahlsen), urodzona w 1949. Ojciec Thei **Wilhelm Ahlsen** w czasie wojny był kierownikiem miejscowej komórki NSDAP, wysłał na śmierć żydowskie rodziny Sternów i Goldheimów, jak również małą Christę von Burg.

Albert Kressmann rówieśnik Bena, spadkobierca ojcowskiego gospodarstwa, zaprzyjaźniony z Anette Laessler, ale wolałby chodzić z kuzynką Anette, Marlene Jenssen.

Igor, rosyjski robotnik przymusowy, po wojnie został w gospodarstwie Kressmanna.

Bruno Kleu, urodzony w 1951, rolnik. Awanturnik i kobieciarz, ma dwójkę nieślubnych dzieci. Przed laty zakochany szaleńczo w Marii Laessler. Jej brat Paul był jednak zdecydowanie przeciwny związkowi Marii z Brunem. W 1977 Bruno ożenił się na wyraźne polecenie swojego ojca.

Renate Kleu podobnie jak Trude Schloesser i Antonia Laessler pochodzi z Lohbergu.

Dieter Kleu, urodzony w 1977, jest mocno zainteresowany Marlene Jensen.

Heiko Kleu, urodzony w 1980.

Otto i Hilde Petzhold byli sąsiadami Jakoba i Trude, kiedy gospodarstwo Schloesserów leżało jeszcze przy Bachstrasse. Hilde kocha koty.

Siostry Ruettgers prowadzą kawiarnię ojca, obie są niezamężne, ich brat zginął na wojnie.

Sibylle Fassbender, kuzynka sióstr Ruettgers, w młodości opiekowała się upośledzoną umysłowo Christa von Burg, kocha Bena jak własnego syna.

Gerta Franken, urodzona w 1891, aż do śmierci sąsiadka Jakoba i Trude Schloesserów na Bachstrasse, owdowiała w czasie pierwszej wojny światowej, dobrze poinformowana o wszystkim, co dzieje się we wsi.

Werner Ruhpold, właściciel gospody, przed wybuchem wojny był zaręczony z Edith Stern i do 1981 czekał na wiadomość od niej. Po jego śmierci jego kuzyn **Wolfgang** przejmuje lokal.

Althea Belashi, młoda artystka cyrkowa, znikła bez śladu w 1980.

Ursula Mohn, upośledzona umysłowo dziewczyna, mieszkała ze swoimi rodzicami w domu czynszowym przy Lerchenweg należącym do Toniego Burga, w 1987 została napadnięta i ciężko ranna.

Svenja Krahl, siedemnastoletnia dziewczyna z Lohbergu, znika bez śladu w 1995.

Edith Stern (22) przylatuje z USA, żeby wyjaśnić los siostry swojej babki oraz imienniczki i znika bez śladu.

Nicole Rehbach, ważny świadek.

Brigitte Halinger, prowadząca dochodzenie, główny komisarz i kronikarz wypadków.

Prolog

Minęło już trochę czasu od tamtego strasznego lata, które zabrało pięć ludzkich istnień. Ludzie powoli zapominają, czas robi swoje... Dużo się wtedy o tym mówiło, zbyt dużo dyskutowało, roztrząsało i spekulowało, wskazując winnych. Stare nienawiści rozgorzały na nowo jasnym płomieniem, stare przyjaźnie wypaliły się do cna. Każdy we wsi coś wiedział i milczał, nabierając wody w usta. Zmowa milczenia została przerwana dopiero wtedy, kiedy niczego nie można było już zmienić.

Rozmawiałam ze wszystkimi, którzy jeszcze mogli mówić. Wysłuchałam ich wyjaśnień, przepraszin i kiepskich wymówek. Widziałam ich zaniedbania i rozpoznałam ich błędy. Teraz chcę przemówić w imieniu tego, który nikomu nie mógł powiedzieć, co naprawdę czuł. W imieniu Bena.

Wiem, że nie będzie to łatwe. Zbyt mało było świadków, zbyt dużo niepewności, dlatego jestem zmuszona zdać się na znane mi fakty, własne doświadczenie zawodowe... i własną wyobraźnię. Mimo to jestem przekonana, że wszystko rozegrało się mniej więcej tak, jak to opisałam w tej książce. Dlaczego człowiek z ograniczonym intelektem właśnie w decydujących momentach miałby zmieniać swoje zachowanie?

A moja rola w tej historii? Pozwólcie, że się przedstawię: Prowadząca dochodzenie komisarz Brigitte Halinger. W gruncie rzeczy byłam tylko postacią marginalną z podrzędną rólką w końcowym akcie dramatu. Latem dziewięćdziesiątego piątego roku miałam czterdzieści trzy lata, zamężna, matka siedemnastoletniego syna. Prawdopodobnie

jest to mój największy problem w tej sprawie.

Nie potrafię i nie chcę odrzucić empatii, która każe mi współodczuwać z jego matką – Trude Schloesser i dlatego nawet jeśli nie apróbuję jej postępowania, czuję podskórną, że nie wolno mi jej osądzać. Tym bardziej że w końcu udało się jej dokonać rzeczy niezwyklej – nie bacząc na konsekwencje, przeskoczyła własny cień, wyrzekła się swojej natury i oskarżyła samą siebie. Za jej zeznanie – lub raczej wyznanie – jestem zobowiązana Trude do wielkiej wdzięczności. Tylko jej bezwzględna szczerść dała mi możliwość wyjaśnienia tego zadziwiającego przypadku, a jej szokująca spowiedź pozwoliła opisać historię Bena. Być może dzięki temu będę mogła uporać się z dręczącą mnie zgrozą. Być może znikną wreszcie koszmary, które nawet po tylu latach budzą mnie ze snu.

W tych snach towarzyszę mu w jego wędrówkach przez pola. Leżę na brzuchu ukryta bezpiecznie w gęstych zaroślach i razem z nim przyczajam się w pełnym oczekiwania napięciu, podnoszę do oczu lornetkę, lustrując okolicę, a potem podążam za nim krok w krok, spiesząc naprzeciw młodym dziewczynom. Patrzą mi przez ramię, kiedy zaczyna kopać swoją składaną łopatką. Wtedy budzę się zrana zimnym potem i zadaję sobie pytanie, jak bym go oceniła, co czuła, gdyby w tych strasznych letnich tygodniach przyszło mi stanąć z nim oko w oko – nocą, na samotnej polnej drodze.

Miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Ogromne chłopisko z burzą ciemnych loków, masywny i ciężki, o łagodnym spojrzeniu i ilorazie inteligencji dwuletniego dziecka. Zawsze nosił na piersiach lornetkę i przytroczoną do paska składaną łopatkę. Czasem jeszcze nóż ukryty w kieszeni spodni. Czy rzeczywiście bym się go bała? A może raczej – podobnie jak wielu innych – pomyślałabym, że dwuletnie dzieci są nieszkodliwe, co najwyżej rozbierają na czynniki pierwsze swoje zabawki.

O tym, że rozrywał lalki, wiedzieli wszyscy. Wielu wiedziało również, że dniem i nocą przemierzał okolicę ubrany w swój ciemnobłękitny uniform, który podobnie jak lornetka i składana

łopatka był jego znakiem rozpoznawczym. Zawsze nosił wygodne dresy z gumką wszytą w talii i wokół kostek. Dzięki temu był niezależny, kiedy biegał po dworze, mógł w każdej chwili załatwić swoją naturalną potrzebę.

We wsi znalazło się kilku stróżów moralności, którzy kręcili na to nosem, nie kryjąc swojego zgorszenia: „Wstyd i hańba, żeby takiego dryblasza wypuszczać na dwór w czymś takim. To dobre dla małych dzieci”. W gruncie rzeczy jednak tylko nieliczni dostrzegali w nim zagrożenie. Zapewne w wielkim mieście wcale nie rzucałby się w oczy, po ulicach miast błąka się wiele dziwacznych postaci. I nikogo to nie dziwi. Co innego na wsi, gdzie każdy zerka nieufnie na boki...

Wsie rządzą się swoimi prawami. Wiele się tutaj dzieje, ale nic nie wychodzi na zewnątrz. Zmowa milczenia ma tu długą tradycję. Każdy wie, jakie brudy pierze się za płotem, u sąsiada, i często gęsto pomaga mu się w praniu tych brudów. Na koniec sąsiad poklepuje sąsiada po ramieniu, mówiąc porozumiewawczo: „I po sprawie, nie ma o czym gadać”. Jemu nie można było tego powiedzieć. I tak by nie zrozumiał.

Jego też nikt nie rozumiał. To był długi łańcuch nieporozumień i bezsensownych kar, które w końcu uczyniły zeń tego, kim był w lecie dziewięćdziesiątego piątego – grabarzem lalek.

12 sierpnia 1995

Marlene Jensen miała jeszcze przed sobą jakieś siedem godzin życia, kiedy jej ojciec punkt dziewiętnasta wyszedł z mieszkania. Aptekarz Erich Jensen był członkiem SPD, a poza tym piastował urząd radnego w radzie miejskiej w Lohbergu. Ten sobotni wieczór był dla niego niezwykle ważny, Erich Jensen chciał bowiem przekonać swoich partyjnych kolegów, aby podczas następnego posiedzenia rady ponownie debatowali nad pewną kwestią, która od dawna leżała mu na sercu, a później zagłosowali po jego myśli.

Chodziło o zawarcie układu z dwoma przedsiębiorstwami taksówkowymi działającymi w mieście. Erichowi Jensenowi bardzo zależało na zorganizowaniu dodatkowej komunikacji w weekendy i wynegocjowaniu taryf ulgowych, aby niezmotoryzowana młodzież wiejska mogła bezpiecznie wracać do domu z dyskoteki w Lohbergu.

Ostatni autobus do Lohbergu odjeżdżał krótko przed piątą, z powrotem nie jechał już żaden. W odległej o cztery kilometry wsi wiało nudą. Młodzież obojga płci gnuśniała w prowincjonalnej monotonii i z braku lepszego zajęcia zbijała bąki. Położone nieopodal miasteczko stanowiło niejaką atrakcję dla znudzonych nastolatków. Była tam jedna włoska lodziarnia, jedno kino i dyskoteka „da capo”, w której w każdy sobotni wieczór zjawiali się w komplecie młodzi ludzie ze wsi. Marlene Jensen nie musiała martwić się o dodatkową komunikację. Jej kieszonkowe – było na tyle wysokie, że mogła opłacić kurs taksówką po normalnej taryfie. Ale Erich Jensen na cały weekend wyznaczył córce areszt domowy, a ponadto skonfiskował jej kieszonkowe – powodem tych restrykcji była kolejna pała

z matematyki.

Surowa kara mająca zmobilizować córkę do bardziej wydajnej nauki została zarządzona już w środku tygodnia, nie był to zresztą pierwszy raz, kiedy radny Jensen musiał się odwoływać do tego rodzaju ostatecznych środków. Marlene nie zamierzała jednak podporządkować się woli ojca i umówiła się z przyjaciółką, wychodząc z założenia, że matka zawiezie ją do Lohbergu, odzyska skonfiskowane pieniądze, a później zajmie się w sypialni swoim mężem, kiedy ten wróci z posiedzenia rady miejskiej, żeby córka mogła niespostrzeżenie wślizgnąć się do domu. Wcześniej zawsze tak robiły, miały taką umowę. Erich Jensen w weekendy często bywał poza domem z powodu swoich rozlicznych funkcji, a w kwestiach wychowawczych jego żona Maria nader rzadko się z nim zgadzała.

Maria Jensen, z domu Laessler, była oczkiem w głowie całej rodziny. Przyszła na świat dwadzieścia lat po swoim bracie Paulu – jako spóźniona rekompensata po poległym na wojnie najstarszym bracie, podstarzali rodzice byli więc dla Marii bardziej dziadkiem i babcią. I jak to zwykle z dziadkami bywa, niemożliwie ją rozpieszczali. W Paulu znalazła młodego ojca, który tylko w wyjątkowych przypadkach wkraczał do akcji i ustanawiał granice rozbrykanej pannicy. Akurat kiedy weszła w krytyczny wiek, Paul ożenił się z młodziutką Włoszką Antonią, która była tylko o rok starsza od jego siostry. Maria wzrastała bez godnych wzmianki przymusów oraz bezsensownych zakazów i zapewne dlatego przyznawała swojej córce niemal nieograniczoną swobodę.

Marlene siedziała właśnie na swoim łóżku gotowa do wyjścia. Tym razem jednak, zanim Erich Jensen wyruszył na spotkanie z kolegami partyjnymi, zamknął drzwi do jej pokoju na klucz, po czym wsunął go przezornie do kieszeni marynarki. Niedługo po nim również Maria opuściła mieszkanie nad apteką przy rynku, nie mogąc znieść dłużej głośnych protestów swojej uwięzionej córki.

Zdenerwowana i rozgoryczona Maria pojechała do położonego poza wsią gospodarstwa Laesslerów, żeby po raz kolejny poskarżyć się

swojemu bratu i szwagierce na Ericha, który jej zdaniem najzwyczajniej w świecie nie miał zrozumienia dla potrzeb młodych ludzi. Jak można było przewidzieć, Paul i Antonia wysłuchawszy relacji Marii, stanęli jednomyślnie po jej stronie, orzekając, że najpóźniej w niedzielę po południu karę należy kategorycznie zawiesić. Trójka spiskowców obmyśliła chytry plan, który zakładał, że następnego dnia po obiedzie Antonia wpadnie do Jensenów, napomykając mimochodem, że zamierza odwiedzić swojego ojca, właściciela lodziarni w Lohbergu. Przy tej okazji Antonia miała zapytać, czy siostrzenica nie chciałaby jej towarzyszyć. Gdyby Erich protestował, Antonia miała mu pokazać, gdzie raki zimują. Ale do tego nigdy nie doszło.

Kiedy tylko samochód matki znikł za rogiem, Marlene Jensen otworzyła okno swojego pokoju. Poniżej znajdował się płaski dach garażu, do którego ściany była przymocowana metalowa drabinka. Dziesięć minut później Marlene dotarła do szosy wiodącej w kierunku Lohbergu. Miała nadzieję, że nie będzie musiała iść na piechotę aż do samego miasteczka.

I rzeczywiście, nie minął kwadrans, kiedy obok podążającej różnym krokiem dziewczyny zatrzymał się jasny mercedes. W samochodzie siedziała jej kuzynka Anette Laessler wraz ze swoim przyjacielem Albertem Kressmannem. Cel ich wyprawy był oczywisty – zmierzali do „da capo”. Marlene, uśmiechając się z zadowoleniem, rozsiadła się na tylnym siedzeniu. Około wpół do dziewiątej trójka młodych ludzi weszła do dyskoteki. Anette Laessler poratowała kuzynkę, pożyczając jej dwadzieścia marek, za które Marlene zamówiła kilka drinków, nie zastanawiając się, skąd weźmie później pieniądze na taksówkę. Albert Kressmann trzymał jednak rękę na pulsie i jak na dżentelmena przystało, zaproponował jej podwiezienie do domu.

To samo zrobiłby z radością inny młody mężczyzna ze wsi, Dieter Kleu. Tak się jednak złożyło, że był on ostatnim człowiekiem, którego Marlene widziałaby w roli swojego szofera. I zakomunikowała mu to z brutalną szczerością, kiedy zaraz na początku wieczoru wystąpił ze

swoją propozycją.

Dieter Kleu w październiku zeszłego roku skończył osiemnaście lat i jako syn rolnika mógł wprawdzie prowadzić traktor, ale jeszcze nie posiadał prawa jazdy kategorii A. Mimo to często korzystał z samochodu swojej matki, która nie oponowała, kiedy siadał za kierownicą. Nie to było jednak powodem, dla którego Marlene odrzuciła jego ofertę.

Na początku roku Marlene raz umówiła się z Dieterem. Nie, wcale nie uważała, że jest niesympatyczny. Przeciwnie – wyglądał nieźle, był pierwszorzędnym tancerzem, a ponadto – co przedstawiało dla niej szczególną wartość – miał zawsze do dyspozycji samochód. Jednak tak wyrozumiała zazwyczaj matka Marlene w tym przypadku była nieprzejednana, miała same zastrzeżenia i nazwała Dietera chłopkiem roztropkiem, kiedy córka wyjaśniła jej, z kim wybiera się na randkę. Marlene zachodziła w głowę, skąd te nagłe obiekcje, ale wolała nie ryzykować i na randkę nie poszła.

Pomimo ewidentnego kosza Dieter Kleu wciąż nie tracił nadziei, podobnie jak jego ojciec był bowiem bardzo uparty i tak szybko się nie poddawał. Tego wieczoru pocieszał się z przyjaciółką Marlene, próbując pozyskać ją w charakterze sojuszniczki i krótko przed dwunastą odwiózł ją do domu. W tym czasie Marlene bawiła się z dwoma młodymi mężczyznami z Lohbergu, których nikt nie znał.

Kwadrans po Dieterze Kleu i jego towarzysze dyskotekę opuścili również Albert Kressmann i Anette Laessler. Albert, żegnając się z Marlene, zapewnił, że wróci po nią za godzinę. To było jej na rękę. Wprawdzie nauczona doświadczeniem raczej nie brała pod uwagę tego, że ojciec po powrocie z zebrania skontroluje jej pokój. Do tej pory nigdy tego nie robił. Mógłby jednak coś usłyszeć, gdyby wróciła zbyt wcześnie. O wpół do drugiej w nocy będzie już spał jak suseł.

Nie dziwiło jej też, że Albert Kressmann nie zamierzał wziąć jej od razu ze sobą. Jego strategia była aż nadto przejrzysta.

Z pewnością planowali jeszcze z Anette krótki postój w jakimś ustronnym miejscu. No cóż, krew nie woda... Ale przed wyjściem

z dyskoteki Albert powiedział coś, co mocno zaniepokoiło Marlene. Uśmiechając się szelmowsko, oświadczył, że po drodze pokaże jej, jakie miejsca jej kuzynka szczególnie lubi i jakie pozycje.

To nie pierwszy raz Albert Kressmann robił tego rodzaju idiotyczne aluzje. Do tej pory Marlene starała się je ignorować. Tylko że do tej pory nigdy nie była z nim sam na sam. Ojciec Alberta, Richard Kressmann, był najbogatszym człowiekiem we wsi i od najmłodszych lat wbijał synowi do głowy, że za pieniądze można mieć wszystko. Gdyby Marlene chciała teraz wyprowadzić go z błędu, reakcja Alberta mogła być bardzo nieprzyjemna. Tego się właśnie obawiała.

Dlatego kilka minut przed pierwszą w nocy wolała wsiąść do samochodu dwóch młodych mężczyzn, którzy dotrzymywali jej towarzystwa tego wieczoru. Znała tylko ich imiona – Klaus i Eddi. Zanim odjechali, na parkingu doszło jeszcze do bijatyki. Dieter Kleu, wysadziwszy przyjaciółkę Marlene przed drzwiami rodzinnego domu, wrócił czym prędzej do dyskoteki i teraz próbował szczęścia, uciekając się do małego szantażu: „Jeśli ze mną nie pojedziesz, powiem wszystko twojemu ojcu...”.

Słyszając to, Eddi i Klaus postanowili na swój sposób wybić mu z głowy ten niegodny prawdziwego mężczyzny pomysł. Klaus mocno przytrzymał niefortunnego zalotnika, Eddi zaś wymierzył mu kilka energicznych ciosów w twarz. Piekielnie mocny prawy sierpowy w żołądek ostatecznie wyeliminował Dietera z gry. Nierówna walka była zakończona. Eddi poprawił włosy i usiadł za kierownicą, Klaus zajął miejsce z tyłu obok zdenerwowanej Marlene. Na placu boju pozostał słaniający się na nogach Dieter.

Z początku wszystko wskazywało na to, że nowi znajomi rzeczywiście zrobią to, co obiecywali, to znaczy dowiozą ją bezpiecznie do domu. Jechali do szosy, która po czterech kilometrach zaraz za opłotkami nosiła nazwę Bachstrasse, biegnąc przez całą wieś na odcinku około dwóch kilometrów. Przed wjazdem do wsi szosę przecinała wąska asfaltowa droga, którą skręcając w prawo, można było dojechać do gospodarstwa wujka Marlene, Paula Laessera. Kiedy

Eddi skręcił w tę drogę, Klaus stał się nagle natarczywy.

Marlene broniła się ze wszystkich sił, ale wciśnięta w tył samochodu niewiele mogła wskórać. Eddi jechał teraz dość szybko. Po trzystu metrach dojechali do miejsca, gdzie wąska droga krzyżowała się z szeroką, która przebiegała równolegle do Bachstrasse i podobnie jak szosa prowadziła do Lohbergu. Na tym skrzyżowaniu adwokat Heinz Lukka wybudował przed laty swój bungalow. Eddi, nie zmniejszając prędkości, skręcił w szeroką drogę. Na ułamek sekundy Marlene zobaczyła majaczącą w ciemności bryłę bungalowu.

Heinz Lukka był przez długie lata jej sąsiadem, kiedy jeszcze mieszkał przy rynku. Marlene znała go od dziecka i uważała, że mecenas jest przemiłym człowiekiem. A lubiła go tym bardziej, że jej ojciec wprost organicznie nie znosił starego adwokata. W radzie miejskiej reprezentowali opozycyjne partie i nierzadko dochodziło między nimi do ostrej wymiany zdań. Pomijając to, Heinz Lukka przed wielu laty darzył gorącym uczuciem jej matkę. Teraz Marlene nie mogła jednak liczyć na pomoc z jego strony. W weekendy bardzo rzadko bywał w domu, a nawet jeśli był tam dzisiejszej nocy, raczej trudno było przypuszczać, że przejeżdżające obok jego posesji auto wzbudzi szczególne zainteresowanie starszego pana.

Około pięciuset metrów za skrzyżowaniem samochód nagle się zatrzymał. Za ledwie Eddi zgasił reflektory i wyłączył silnik, wyskoczył jak z procy z siedzenia za kierownicą i wepchnął się na tylne siedzenie. Marlene z całych sił walczyła z obydwojma mężczyznami, gryzła, drapała i wierzgała nogami, zapłacała za to kępą wyrwanych włosów i dwoma nitami w kształcie gwiazdy, które jeszcze przed chwilą strzegły rozporka jej dżinsów. W pewnym momencie któryś z nich powiedział ze złością: „No mała, nie bądź taka cnotkaniewydymka. Za kogo ty się, do cholery, uważasz?”. W końcu jednak Klaus i Eddi zrozumieli, że mogą osiągnąć swój cel tylko na drodze przemocy. Tego ich plan nie przewidywał.

Zanim Marlene się obejrzała, znalazła się na polnej drodze. W ślad za nią wyrzucone przez otwarte drzwi poszybowały jasnoniebieska

kurtka i torebka. Samochód przemknął obok jak strzała.

Odetchnęła z ulgą, ale kiedy rozejrzała się wokół siebie, dobry humor ją opuścił. To była mroczna, ponura okolica. Drogi były wprawdzie w niezłym stanie, ale nigdzie jak okiem sięgnąć żadnej latarni. Taka inwestycja, biorąc pod uwagę, że po tej stronie wsi mieszkało tylko trzech właścicieli parceli, była nieopłacalna. Gospodarstwa Richarda Kressmanna i ojca Dietera, Bruna Kleu leżały z drugiej strony wsi.

Okolo pięciuset metrów z tyłu stał bungalow starego adwokata. W ciemnościach w ogóle nie było go widać. Zaczęła liczyć: od skrzyżowania będzie jakieś następne osiemset metrów do gospodarstwa wuja. Biegąca w przeciwnym kierunku droga prowadziła wzdłuż ogrodów, żywopłotów i murów. To były wielkie posesje, na których przed laty zbudowano eleganckie domy przy Bachstrasse, o tej godzinie prawie niewidoczne. Tylko gdzieniegdzie w mroku nocy błyszczał jasny prostokąt okna. Półtora kilometra dalej znajdowało się jeszcze jedno skrzyżowanie, z którego skręcając w lewo, dochodziło się do Bachstrasse, idąc zaś w prawo – do gospodarstwa Jakoba i Trude Schloesserów. Od Bachstrasse do mieszkania jej rodziców przy rynku był jeszcze dobry kilometr. Droga do gospodarstwa wuja była krótsza.

Marlene ogarnęło niemiłe uczucie, dreszcz przebiegł jej po plecach. Byle szybciej stąd... Podniosła z ziemi torebkę i kurtkę, pospiesznie zarzuciła ją na ramiona i ruszyła przed siebie żwawym krokiem. Było coś niesamowitego w otaczającym ją krajobrazie. Po lewej ręce pola, po prawej ogrodzona kolczastym drutem łąka, na której pomiędzy wysokim po biodra zielskiem rosły trzy tuziny karłowatych jabłonek. Łąka ta graniczyła z kompletnie zapuszczonym, zdziczałym kawałkiem ziemi, dawniejszym ogrodem, o który od wielu lat nikt nie dbał.

I tak kilka krzewów jeżyn pozbawionych troskliwej ręki ogrodnika zamieniło się z biegiem czasu w nieprzebytą, kolczastą dżunglę porośniętą pokrzywami i bujnym zielskiem.

Marlene Jensen odetchnęła głęboko, kiedy wreszcie miała za sobą

tę dzicz i dotarła do należącego do jej wuja ogromnego pola kukurydzy, które z dwóch stron przylegało do znajdującej się na skrzyżowaniu dróg posesji Heinza Lukki. I wtedy nagle, jak spod ziemi wyrósł za nią ogromny cień. Zbliżał się szybkimi, ale prawie bezgłośnymi krokami. Marlene zobaczyła go dopiero wtedy, kiedy chwycił ją za długie włosy. „Ślicznie” – powiedział.

Kiedy Marlene ochłoneła z pierwszego przerażenia, uderzyła w tył obiema rękami i w ten sposób skłoniła go do tego, żeby puścił jej włosy. Zaraz potem zaczęła wściekle gestykulować i warknęła na niego ze złością: „Zwariowałeś, żeby tak straszyć ludzi po nocy?!”.

W tym momencie Marlene Jensen najprawdopodobniej się nie bała. To był przecież tylko Ben, syn Jakoba i Trude Schloesser, wzbudzający lęk swoją potężną postacią i dość niezwykłym wyglądem, ale całkowicie nieszkodliwy. Jego matka i jej ciotka Antonia nieustannie to podkreślały. Znów przejechał ręką po jej włosach. „Ślicznie” – powiedział jeszcze raz.

„Zostaw mnie w spokoju, idioto!” – krzyknęła ostro Marlene.

Natychmiast cofnął rękę. „Paluchy precz?” – zapytał.

„Tak, dokładnie – odpowiedziała Marlene nieco bardziej umiarkowanym tonem. – Zabieraj swoje łapy. I nie próbuj robić tego jeszcze raz”. Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie w kierunku skrzyżowania. Poszedł za nią.

„Paluchy precz” – powtórzył. Tym razem nie zabrzmiało to jak pytanie. Złapał ją za ramię. Marlene strząsnęła jego dłoń i zaczęła biec. On trzymał się obok niej, w pewnym momencie złapał ją nagle za rękę i szarpnął tak mocno, że omal nie przewróciła się na ziemię. Teraz krzyknął: „Paluchy precz!”.

Strzep błękitnej kurtki pozostał mu w dłoni, kiedy Marlene energicznym szarpnięciem wyswobodziła rękę z jego uchwytu. Zaczęła biec szybciej. Prześcignął ją, stanął w rozkroku naprzeciw niej i szeroko rozłożył ręce, żeby zagrozić jej drogę. „Paluchy precz!” – krzyknął po raz czwarty.

„Odczep się! – wrzasnęła histerycznie Marlene. – Odczep się

wreszcie, idioto!”.

Kiedy znów wyciągnął rękę w jej stronę, uderzyła go z całej siły pięścią. Natychmiast zaczął podrygiwać, sięgając przy tym ręką do kieszeni spodni. Kiedy ją stamtąd wyjął, ścisnął w dłoni nóż sprężynowy. Marlene rozpoznała go w ciemnościach dopiero wtedy, kiedy wysunął ostrze i zaczął wymachiwać nim tuż przed jej oczami. Jego i tak zresztą mizerna, bełkotliwa mowa przeszła teraz w niezrozumiałe, gardłowe dźwięki, tylko dwa słowa były jeszcze wyraźne: „Ścierwo, amen”.

Pierwsze lata

Kiedy przyszedł na świat pewnego mroźnego dnia w lutym siedemdziesiątego trzeciego, nikt we wsi nie dawał mu szansy. Ludzie postawili na nim krzyżyk. Hiobowa wieść lotem błyskawicy obiegła całą okolicę. Przez wiele tygodni przed ołtarzem Matki Boskiej płonęły świece. Trude była dopiero w szóstym miesiącu ciąży i tak nieszczęśliwie spadła ze stopnia przed kuchnią, że musiano ją zawieźć na sygnale do szpitala do Lohbergu. Wyciągnęli go jeszcze w karetce, a potem najkrótszą drogą odtransportowali do wielkiej kliniki położniczej w Kolonii.

Człowieczek ważył niewiele ponad trzy flinty. Każdy, kto znał jego rodziców, drżał i modlił się razem z nimi. Jakob i Trude Schloesser byli porządnyimi ludźmi, którym teraz z całego serca życzono, aby lekarze uratowali ich syna. Tego syna, którego oboje tak bardzo pragnęli.

Jakob urodził się przed wojną, w trzydziestym drugim roku, Trude była od niego cztery lata młodsza. Pobrali się w pięćdziesiątym siódmym i mieli wielką nadzieję, że wkrótce zostaną rodzicami. Ale Trude jakoś nie mogła zajść w ciążę. Dopiero pięć lat po ich weselu urodziła się Anita, a dwa lata później na świat przyszła druga córka Baerbel. Później znów nic się nie działo.

Jakob był dumny z Anity. Jego pierworodna była nadzwyczaj mądrym dzieckiem i nieustannie zadawała pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. Baerbel darzył wielką czułością. Dziewczynka była nieco flegmatyczna i z pewnością nie tak bystra jak jej starsza siostra. Jakob kochał swoje córki, ale w głębi duszy liczył na to, że doczeka się w końcu potomka męskiego rodzaju, nie zamierzał bowiem zdawać się

na przyszłych zięciów – kiedy się ma trzysta mórg, trzeba też mieć syna.

Pod koniec lat sześćdziesiątych we wsi było jeszcze trzynaście gospodarstw. Osiem małych, takich, które z ledwością mogły wyżywić właściciela, oraz pięć dużych gospodarstw, należących do rodzin Schloesser, Laessler, Kressmann, Kleu i von Burg. Właściciel największego majątku, Richard Kressmann, miał tysiąc pięćset mórg, to była niemal połowa okolicy.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym Richard Kressmann trwał nadal w kawalerskim stanie, chociaż zbliżał się powoli do trzydziestki. Ale nie martwił się o sukcesję. Był przekonany, że ze swoimi pieniędzmi ma jeszcze czas na żeniaczkę. Regularnie pojawiał się w gospodzie Ruhpolda, jedynym lokalu we wsi, w towarzystwie młodych kobiet. Twarze często się zmieniały. I nic dziwnego. Każda w miarę rozsądna kobieta po pierwszej randce z Richardem dawała sobie spokój z tym kandydatem do żeniaczki, który wolał zaglądać do kieliszka niż w oczy swojej wybranki.

Paul Laessler gospodarował na trzystu dwudziestu morgach. Był o rok starszy od Jakoba i od dzieciństwa pozostawał z nim w wielkiej przyjaźni. Pod koniec lat sześćdziesiątych on też nie był jeszcze żonaty, wszelako ufnie spoglądał w przyszłość mając nadzieję, że taki stan rzeczy niebawem ulegnie zmianie. Od dziesięciu lat Paul był zaręczony z Heidemarie von Burg.

Brat Heidemarie, Toni von Burg i jego żona Ilia mieli do obrobienia czterysta mórg. Ich przyszłość była już zabezpieczona. Po podwórzu hasał syn jak się patrzy – Uwe; mały urwis i trzpiot miał tyle energii i tyle pomysłów, że Ilia wieczorami padała z nóg i marzyła tylko o tym, aby przyłożyć głowę do poduszki, nic dziwnego zatem, że na pewien czas wycofała się z życia towarzyskiego. Być może jednak żywotny chłopiec był tylko wymówką, Toni i Ilia von Burg byli z natury samotnikami i zawsze stronili od towarzystwa.

Do rodziny Kleu należało trzysta pięćdziesiąt mórg. Stary Kleu i jego żona nie wstawili się niczym szczególnym. Za to ich syn, Bruno

był postacią tyleż samo barwną co kontrowersyjną. Wprawdzie był jeszcze zbyt młody, aby myśleć o żeniaczce, ale już dokonał wyboru. Potomek rodziny Kleu zupełnie stracił głowę dla pięknej Marii Laessler i nie odstępował jej na krok, co wcale nie podobało się jej bratu Paulowi. I nie bez przyczyny. Bruno Kleu słynął jako bohater karczemnych awantur i już jako młodzik udowodnił, że jest w stanie płodzić tęgich synów. Mając osiemnaście lat, zrobił dzieciaka pewnej dziewczynie z Lohbergu, co na dłuższy czas popsuło humor jego ojcu, który musiał płacić alimenty.

W serca Jakoba i Trude miesiąc po miesiącu wstępowała nadzieja, potem przychodziło rozczarowanie. I tak przez sześć długich lat. We wsi działo się to i owo. Ludzie mieli o czym gadać. Wiosną sześćdziesiątego dziewiątego roku Paul Laessler zerwał zaręczyny z Heidemarie von Burg i jeszcze w tym samym miesiącu ku zaskoczeniu całej wsi poślubił osiemnastoletnią Antonię Severino, a już w trzy miesiące później trzymał w ramionach pierwszego syna, niestety tylko przez chwilę. Pierworodny Paula przyszedł na świat z wadą serca i musiał zostać w klinice. Na szczęście, wszystko dobrze się skończyło, wrodzoną wadę szybko usunięto i zaledwie rok później Antonia znów była w ciąży.

Ilia von Burg dała Toniemu dwóch synów, a potem córkę. Bruno Kleu zapłodnił jeszcze jedną dziewczynę z Lohbergu i po dziewięciu miesiącach został ojcem drugiego nieślubnego syna. W nagrodę ojciec wygarbował mu skórę, co na pewien czas ostudziło jego młodzieńcze chucie i chwilowo nauczyło rozumu.

Richard Kressmann przekonał Theę Ahlsen, która robiła sobie nadzieję na młodego aptekarza Ericha Jensena, że tysiąc pięćset mórg ziemi jest dostateczną rekompensatą za kilka pozaregulaminowych wódek, a co ważniejsze – ma zdecydowanie większą wartość niż wiejska apteka. Sześć tygodni po hucznym weselu Thea oznajmiła wszem i wobec, że jest w ciąży, że zaskoczyła już w noc poślubną, jednak ta rewelacja wkrótce okazała się pomyłką.

Jakob i Trude Schloesser zaczynali tracić nadzieję, że doczekają się

upragnionego dziedzica. Jakob przekroczył już czterdziestkę, a i Trude stawała się stopniowo coraz starsza. Oboje wiedzieli, że mają coraz mniej czasu. A potem w inkubatorze leżał wytęskniony, wymodlony przez nich sukcesor i podpora na stare lata, ich syn. Na chrzcie dali mu imię Benjamin, ponieważ był taki drobniutki. Ale kiedy o nim rozmawiali, mówili po prostu Ben. I tak już zostało.

Trude jeździła codziennie do kliniki. Nie mogła karmić go piersią, przywoziła więc swoje mleko, które podawano mu przez sondę żołądkową. Za każdym razem stała jak zahipnotyzowana obok inkubatora, wpatrując się z czułością i lękiem w tę żalną miniaturkę człowieka i nie mogła powstrzymać łez na widok przeświecających przez cienką skórę kosteczek. Płakała i modliła się, prosząc w pokorze, żeby niebiosa miały wzgląd na jej synka, żeby pozwoliły mu przeżyć i dorosnąć. I kiedyś, gdzieś tam jej modlitwy zostały wysłuchane.

Kiedy po czterech miesiącach mogła go wreszcie zabrać do domu, ważył pięć funtów. Palce i twarz miał przezroczyste jak opłatek i był taki wąty, że kiedy pochylali się nad jego łóżeczkiem, wstrzymywali oddech w obawie, że mogą zdmuchnąć tłący się w nim płomyczek. Ale lekarze powiedzieli, że najgorsze ma już za sobą. Przyjaciele i sąsiedzi dodawali otuchy, mocno ściskając kciuki.

Thea Kressmann, która sama właśnie została matką, składając pierwszą wizytę przyniosła dla porównania swojego Alberta. Syn Thei i Richarda skończył dopiero sześć tygodni, a już ważył dwa razy tyle co okruszek Ben. Thea nadymała się jak paw i oświadczyła na koniec, iż jest więcej niż przekonana, że odrobina alkoholu nie ma żadnego wpływu na prawidłowy rozwój płodu. Takie tam bajeczki dla grzecznych dzieci...

Antonia Laessler jak zwykle serdeczna i życzliwa przypominała Trude o operacji serca swojego najstarszego syna, który później wspaniale się rozwijał. Bruno Kleu w dalszym ciągu trwał w kawalerskim stanie, jego matka przyszła z wizytą, żeby pogratulować szczęśliwym rodzicom. Ilia von Burg trochę zwlekała, wymawiając się swoimi niesfornymi dziećmi, i dlatego nie przyszła od

razu w pierwszych dniach. Mężczyźni też nie przychodzili do domu Schloesserów, woleli spotkać się z Jakobem w gospodzie Ruhpolda i słuchać przy piwie jego opowieści, jak mały Ben rośnie w oczach, jak z każdym dniem się poprawia, nabiera ciała...

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku Jakob był jeszcze członkiem bractwa strzeleckiego, a w niedzielne popołudnia grywał czasami w piłkę nożną w miejscowej drużynie seniorów. Erich Jensen i Heinz Lukka naprzykrzali mu się w równym stopniu, przekonując, że powinien wstąpić do SPD lub CDU, a przynajmniej do rady gminy. Zanosilo się na duże zmiany, na górze planowano nowy podział gminy, nad wsią zawisła groźba przyłączenia do Lohbergu. Zarówno aptekarz, jak i adwokat byli zdecydowanymi przeciwnikami tej koncepcji i tym razem uważali zgodnie, że można i należy temu zapobiec. Ale Jakob nigdy nie miał głowy do polityki i wolał nie mieszać się w sprawy, na których się nie znał.

Przede wszystkim zaś nie miał czasu. Wprawdzie jego rodzice jeszcze żyli, ale byli już mocno podstarzali, ojciec Jakoba skończył osiemdziesiąt trzy lata. Stary Schloesser nie wyglądał na swoje lata – prosty jak świeca i wysoki jak topola – prawie tak wysoki jak później jego wnuk, w młodych latach wyróżniał się atletyczną budową ciała. Na starość zrobił się chudy i żyłasty. Ale jeszcze miał krzepę w rękach. Przyzwyczajony od najmłodszych lat do ciężkiej pracy nadal siadał za kierownicą traktora, krzątał się po obejściu i doglądał inwentarza do chwili, gdy w marcu siedemdziesiątego piątego zmarł nagle rażony apopleksją.

Również matka Jakoba pomimo swojego podeszłego wieku była bardzo żwawa. Ta czerstwa staruszka z dużą energią zarządzała gospodarstwem domowym, doglądała kur i troszczyła się o obie wnuczki, Anitę i Baerbel. Przejęła też opiekę nad niemowlęciem, żeby Trude mogła nadal pomagać mężowi w polu.

Ben rósł pod okiem babki, aż miło było popatrzeć. Na odpuście w maju siedemdziesiątego czwartego siedział już od biedy prosto w wózek, plecki wsparte na kilku poduszkach, ze zdrowym

rumieńcem na policzkach i prężnymi, krągłymi piąstkami. Oczy Trude błyszczały z matczynej dumy, kiedy pchała go przez plac ze straganami i co krok ktoś ją zagadywał, zaglądając do wózczyka, żeby zobaczyć jej skarb.

W jednej z bud kupiła kolorową grzechotkę, która wydawała melodyjne dźwięki, gdy się nią mocno potrząsnęło. Ale Ben nie chciał potrząsać grzechotką, bał się hałasu. Zatrzymał ją jednak w dłoni, nie cisnął z impetem o ziemię, tak jak to robił Albert Kressmann z każdą rzeczą, którą mu włożono do ręki.

We wrześniu na święcie strzelców Jakob nosił go już na rękach po całym placu, a potem, kiedy minęli kłębiącą się przy straganach cizbę, postawił go na ziemi i pozwolił zrobić kilka nieporadnych kroków. Trude kupiła mu wiatraczek, z którym biedak nie wiedział co począć, spoglądając nieufnie na to nowe cudo.

A w maju siedemdziesiątego piątego, gdy ojciec Jakoba dopiero co zasnął snem wiecznym i został pochowany na miejscowym cmentarzu, Ben razem z Baerbel jeździli na karuzeli.

Jakob i Trude uradzili wspólnie, że żałoba żałobą, ale dzieciom nie powinno się odbierać małych radości. W pewnym momencie Jakob musiał wskoczyć na rozpędzoną karuzelę i zdjąć z siodełka przerażonego Bena, który drżał na całym ciele i wrzeszczał, jakby go obdzierali ze skóry.

To, co od miesięcy wisiało nad ich głowami jak Damoklesowy miecz, stopniowo zaczynało przybierać realny kształt. Trude czuła, jak wokół jej serca z każdym dniem zaciska się coraz bardziej żelazna obręcz strachu. Ben nauczył się siedzieć, stać, robić kilka kroków i wydawać kilka niezrozumiałych dźwięków. I na tym koniec. Działo się jeszcze tylko to, o co Trude tak żarliwie się modliła. Żył i rósł.

Matka Jakoba aż do swojej śmierci w listopadzie siedemdziesiątego szóstego często powtarzała, jakie to szczęście, że jej mąż nieboszczyk nie musi na to patrzeć. Razem z innymi starymi kobietami z sąsiedztwa łamała sobie głowę, czyja to może być wina.

Niewiasty rekonstruowały w pocie czoła czas aż do jego urodzenia, ale żadna z nich nie mogła sobie jakoś przypomnieć wielkiego czarnego psa, którego Trude mogła się przestraszyć. Nie było też Cyganów, którzy – gdyby odmówiono im gościny – mogli rzucić urok na małego. W obu rodzinach nigdy nie odnotowano również tego rodzaju przypadków. W każdym razie nikt o nich nie wiedział.

Matka Jakoba nie dopuszczała do siebie myśli, że jedynym powodem całego zła mógł być upadek Trude z oblodzonego stopnia przed kuchnią. Być może w ten sposób uciszała własne sumienie, odsuwała ciężącą na niej odpowiedzialność. Nieszczęsnego dnia zapomniała bowiem w porę posypać schodów popiołem.

Babka Bena aż do samego końca miała nadzieję, że jeszcze coś się zmieni. Miesiąc przed śmiercią poszła na pielgrzymkę do Lourdes z katolicką grupą kobiet wiejskich, przywiozła stamtąd dwie butelki święconej wody i zapalenie płuc. Wodą pokropiła potylicę Bena, a sama zmarła wkrótce na zapalenie płuc.

Śmierć teściowej była dla Trude dotkliwym ciosem. Po dwóch latach wypełnionych dumą i matczynym szczęściem, nocami pełnymi trwogi i dniami pełnymi głupich pytań, nastał dla niej czas ponury, głuchy, przytłumiony. Nie chciała pogodzić się z tym, co widziała, kiedy wracała z pola lub obory, wchodziła do kuchni i patrzyła na siedzącego w kącie Bena. Patrzyła i wciąż nie wierzyła.

Swojej babki słuchał z nabożnym lękiem, zawsze siedział tam, gdzie go posadziła, nierzadko z obolałą od razów pupą i spuchniętą od płaczu twarzą. Nie podnosił oczu, kiedy Trude wchodziła do kuchni, siedział na podłodze apatyczny i nieobecny duchem z ponurą miną upodabniającą go do zgorzkniałego starca.

Dla swoich sióstr był niczym więcej jak miotłą, którą stawia się w kąt. Anita miała wysokie aspiracje, przyjaźniła się z córką lekarza i zachowywała się tak, jakby jej brat w ogóle nie istniał. Baerbel nieraz litowała się nad nim, wsadzała mu do buzi cukierka i głaskała go po włosach, kiedy nikt nie widział. Jakob brał go wieczorami na kolana albo bujał na nodze i mówił: „Bóg da, że jakoś to będzie”. Ale ani razu

nie udało mu się skłonić go do uśmiechu.

Zima z siedemdziesiątego szóstego na siedemdziesiąty siódmy była dla Trude wyjątkowo ciężka. Wszędzie go ze sobą wlokła, starając się na próżno nauczyć go choćby paru słów. A wieczorami siadywali z Jakobem w kuchni i prowadzili długie narady, których zasadniczym tematem była zbliżająca się pora prac polowych. Do wiosny trzeba było znaleźć jakieś rozwiązanie, Jakob nie mógł sam podołać wszystkiemu.

Inni też borykali się z tym samym problemem i w końcu znaleźli rozwiązanie. Paul Laessler, Toni von Burg i stary Kleu na początku lat siedemdziesiątych utworzyli wspólnotę pracy. Richard Kressmann z oczywistych przyczyn nie był zainteresowany uczestnictwem we wspólnocie, zatrudniał przecież pół tuzina ludzi.

Teraz Toni von Burg zamierzał wystąpić ze wspólnoty i wyspecjalizować się w hodowli drobiu. Wpadł też na pomysł, że sprzeda większą część swojej ziemi pod działki budowlane. Thea Kressmann, która regularnie wpadała na Bachstrasse, za każdym razem podkreślała, że Toni ma nosa do interesów. Pieniądze ze sprzedaży ziemi chce zainwestować w wielkie domy czynszowe. Żeby nie zjadły go podatki, informowała na bieżąco Thea. Jakob uznał to za szczęśliwe zrządzenie losu i z radością zajął miejsce Toniego, mogąc teraz z pomocą przyjaciół organizować pracę w swoim gospodarstwie.

Trude też nie zasypiała gruszek w popiele i – aby poprawić sobie humor – założyła ogród warzywny obok znajdującej się na tyłach domu bramy wyjazdowej. Wiosną i latem siedemdziesiątego siódmego dzień w dzień uciekała tam po obiedzie. Sadzała Bena na wąskiej ścieżce między grządkami, gdzie z początku rzeczywiście siedział. Nie trwało to jednak długo. Być może był za głupi, żeby powiedzieć mama, ale bardzo szybko pojął, że jego matka jest ulepiona z zupełnie innej gliny niż jego świętej pamięci babka.

W pierwszych dniach otaczająca go przestrzeń wprawiała go w oszołomienie. Patrzył niepewnie w światło słoneczne, mrugał oczami, dziwił się z otwartymi ustami sunącym po niebie chmurom

i drżał na całym ciele, kiedy podlatywała do niego pszczoła lub motyl. Potem po raz pierwszy podpełzł parę kroków naprzód w stronę polnej drogi, która biegła zaraz za ogrodem. Wtedy patrzył jeszcze lękliwie na Trude, jak gdyby pytając: „No i co ty na to?”. Ale już po tygodniu tak chyżo i zwinnie podążał do swojego celu, że Trude z ledwością mogła go dogonić, a kiedy go wreszcie schwytała, brakowało jej tchu. „Nie, nie – sapała wtedy zadyszana – Nie wolno ci się oddalać, słyszysz – masz się mnie trzymać”.

Ale z mówieniem do niego było tak jak z rzucaaniem grochu o ścianę. I tak nic z tego nie rozumiał. Dla niego to była zabawa – uciekać i być chwytanym. Trude często myślała, że jej syn rzeczywiście pojmuje tylko to, czego mu nie wolno, co jest zakazane, kiedy dostaje lanie, tak jak to robiła babka. Trude nie miała serca go bić. Nie chciała go też przywiązywać, przecież nie był zwierzęciem. Ale za każdym razem, kiedy pędziła za nim, dysząc i sapiąc, miała uczucie, że wszystko wali się jej na głowę.

Skazana na izolację, wyklęta i napiętnowana, choć nie nosiła piętna na czole. Teraz nie mogła już chodzić razem z Illą von Burg na mszę świętą w niedzielę rano. Nie mogła już wybrać się z Antonią Laessler do włoskiej lodziarni w niedzielę po południu, kiedy mężczyźni grali na boisku w piłkę nożną. Nie mogła zaprosić nikogo na popołudniową kawę. Nie mogła też przyjmować zaproszeń innych ludzi, zwłaszcza gdy chodziło o większe wydarzenia.

Bawiła się jeszcze na weselu Ericha Jensena i Marii Laessler. Ale to było w siedemdziesiątym czwartym roku. Wtedy żyła jeszcze jej teściowa, która została w domu z Benem. Kiedy Bruno Kleu zapłodnił trzecią dziewczynę z Lohbergu i musiał się ożenić z Renate na rozkaz swojego ojca we wrześniu siedemdziesiątego siódmego, Trude wykręciła się migreną. Jakob poszedł na wesele z obiema córkami.

Kiedy na początku października Bruno i Renate Kleu chrztili swojego pierwotnego syna, Trude miała tak silne bóle w plecach, że musiała zostać w domu, obawiając się, że nie ustoi w kościele, a potem nie będzie miała siły siedzieć przy stole na przyjęciu

wydawanym z okazji chrzcin. A kiedy w trzy tygodnie później córeczka Toniego i Uli von Burg została przejechana w drodze do szkoły, Trude dostała niespodziewanie rozstroju żołądka i nie mogła iść na pogrzeb.

Najgorsze, że nie mogła pozbyć się nieproszonych gości, a tych niestety, nie brakowało. Antonia Laessler nie odmawiała sobie przyjemności jej widywania. Dzięki bliskiej przyjaźni swojego męża z Jakobem jeszcze przed narodzinami Bena była w zażyłych kontaktach z Trude. Gospodarstwo Laesserów leżało przy Bachstrasse, która w tamtym czasie była zabudowana tylko na długości około trzystu metrów. Dom Paula stał na początku ulicy, natomiast Jakoba praktycznie na samym końcu, tak więc byli prawie sąsiadami. Pomimo dzielącej je różnicy wieku – Trude była piętnaście lat starsza od Antonii – obie kobiety zawsze dobrze się rozumiały. I bardzo lubiły.

Antonia nie mogła zrozumieć, dlaczego wszystko ma się skończyć tylko dlatego, że Trude ma teraz syna, który nieoczekiwanie szarpał za obrus, przewracał filiżankę z kawą albo znikał z kluczem do samochodu w kurniku, kiedy się na niego nie uważało. Antonia była nawet zdania, że od czasu do czasu Trude powinna wziąć go ze sobą do lodziarni. Jej ojciec na pewno by się nie złościł, gdyby Ben trochę się powygłupiał. „Czy widziałaś jakieś dziecko w jego wieku, które potrafi siedzieć spokojnie przy stole? – pytała chytrze Antonia. – No to jak, idziemy na lody?”. Ale na to Trude się nie odważyła. Jeszcze nie teraz.

Ilia von Burg doskonale rozumiała opory Trude i nie dziwiła się, dlaczego nie chce zabierać go ze sobą do kościoła. Ale co drugą niedzielę zaraz po mszy Ilija wpadała na pół godziny do Trude i gawędziła z nią w kuchni, tłumacząc za każdym razem, że ma coś do załatwienia po sąsiedzku. Nawet po śmierci córki nie zrezygnowała z tych odwiedzin, chciała przynajmniej powiedzieć dzień dobry i wcale nie zrażało ją to, że Ben wycierał swoje brudne palce o jej najlepszą czarną spódnicę.

Nawet młoda Renate Kleu pojawiała się co pewien czas na podwórzu Schloesserów, pchając przed sobą wózek z małym

Dieterem. Na swoim weselu dowiedziała się od Jakoba, że Trude też wychowała się w Lohbergu. Renate była tutaj nowa, nie znała panujących na wsi obyczajów. Z natury cicha i nieśmiała na obcym gruncie nie czuła się najlepiej. W Trude odnalazła bratnią duszę, tylko z nią mogła szczerze porozmawiać. A przede wszystkim poskarżyć się na swojego niesubordynowanego męża.

Z siedmiu wieczorów tygodnia Bruno spędzał sześć poza domem. Jego matka uważała, że młodemu człowiekowi nie należy zabraniać jednego małego piwka po pracy. Natomiast ojciec Bruna, który dobrze znał życie, a swojego syna jak zły szeląg, radził jej, aby przynajmniej od czasu do czasu poszła z Brunem do gospody. Na wszelki wypadek, żeby nie skręcił gdzieś w bok, wracając po nocy do domu... Ale Bruno nie chciał zabierać ze sobą żony. Ani do gospody, ani gdzie indziej. Od momentu, kiedy się pobrali, właściwie wcale jej nie chciał. Jeśli w ogóle z nią spał, co zdarzało się najwyżej raz w miesiącu, załatwiał sprawę w pięć minut. A przy tym nie krył swojego uwielbienia dla Marii Jensen, opowiadając o niej z emfazą i złożąc Paulowi Laesslerowi i Erichowi Jensenowi. Ale o rozwodzie Renate nie odważyła się myśleć, mały Dieter powinien mieć pełną rodzinę.

W takiej sytuacji Trude pomimo najszczerzych chęci nie wiedziała, co doradzić nieszczęsnej mężatce. Nie mogła nawet wysłuchać jej w spokoju, ponieważ przez cały czas była zajęta przede wszystkim odciąganiem Bena od dziecięcego wózeczka.

Najgorzej było zawsze wtedy, kiedy zjawiała się Thea Kresmann, żeby udzielać swoich idiotycznych rad i prezentować swojego pupilka Alberta jak dobrze wytresowanego psa. Thea przychodziła co najmniej cztery razy w tygodniu i za każdym razem wskazywała na różnice dzielące ich synów, jakby Trude sama ich nie dostrzegała. „Albert potrafi już zbierać jajka” – przechwalała się Thea, dodając, że gdyby tylko chciała, mógłby pomagać jej w kurniku. Tylko że Thea najprawdopodobniej nie wiedziała nawet, jak wygląda kurnik od wewnątrz.

Za to Ben wiedział to doskonale, ponieważ Trude, chcąc nie chcąc,

musiała zawsze mieć go przy sobie. A kiedy na niego nie patrzyła, łąpał kurczaka, pocierał go sobie o policzki, a potem, mocno ściskając w dłoni, upychał w kieszeniach spodenek.

Kiedy skończył pięć lat, mógł śmiało mierzyć się z ośmiolatkiem. Był wysoki, dobrze zbudowany i bardzo silny. Ludzie zaczęli stopniowo patrzeć na niego nieufnym wzrokiem. Trude przechodziła istne katusze, kiedy go brała – musiała brać ze sobą – do wsi, ponieważ Anita stanowczo odmawiała zajmowania się bratem choćby przez kwadrans, a młodsza Baerbel nie umiała sobie z nim poradzić.

Tak więc biegał lub stał obok Trude z otwartymi ustami i cieknącą po brodzie śliną, ze zmarszczonym czołem, jak gdyby zastanawiał się z mozołem nad jakimś ciężkim problemem.

Być może, rzeczywiście to robił. Kto wie, co mu chodziło po głowie? Niekiedy ni z tego ni z owego wydawał z siebie dziki okrzyk, a wtedy ludzie na ulicy się odwracali. Czasem niespodziewanie podskakiwał do góry, a Trude prawie wykręcała mu rękę, starając się uchronić go przed upadkiem. Jeśli nie trzymała go dość mocno za nadgarstek, wyrwał się jej, rzucał na przechodniów i obejmował ich obiema rękami, szczerząc zęby w głupkowskim uśmiechu. A Trude czuła się wtedy tak, jak gdyby spacerowała z wściekłym psem.

Większość ludzi nie odważyła się skarżyć, kiedy ich zaczepiał. Jakob i Trude cieszyli się powszechnym szacunkiem, zmuszano się więc do nieszczerego uśmiechu i głaszcząc go koniuszkami palców po gęstej czuprynie, uspokajano: „Ależ pani Schloesser, niechże się pani nie denerwuje, przecież nic się nie stało”.

Dla Trude to wszystko było okropne. Zaczęły jej dokuczać liczne przypadłości natury psychosomatycznej. Cierpiała na kołatanie serca, dolegliwości krążeniowe, zaburzenia snu oraz nadmierną potliwość. Dwa razy w tygodniu musiała mierzyć ciśnienie – i nawet wtedy trzymała go za rękę, mocno ją ściskając, albo sadzała sobie na kolanach. Gdyby tego nie robiła, zakradłby się ani chybi do błyszczących instrumentów lekarskich, które leżały w metalowej misce na stole, przy którym siedziała w gabinecie lekarskim. Wszystko, co

błyszczało, świeciło, migotało, miało dla niego nieodparty urok, fascynowało go. Żaden widelec, nóż lub łyżka na kuchennym stole nie były przy nim bezpieczne, czekał tylko na okazję, żeby capnąć upatrzoną przez siebie błyskotkę, a potem zmykać co sił w nogach. Zupełnie jak sroka złodziejka, myślała Trude, kiedy po raz setny w ciągu dnia wołała do niego: „Paluchy precz, nie dotykaj!”.

Jeszcze gorsza była jego mania naśladowania. Kiedy Albert Kressmann błaznował i stroił głupie miny, Ben był jego lustrzanym odbiciem. Kiedy mały Dieter Kleu kopał swoją matkę w kostkę, a potem z wściekłością rzucał się na podłogę, ponieważ nie dostał tego, co chciał, w sekundę później Ben leżał obok niego.

Kiedy Baerbel brała z łóżka lalkę, wówczas on też chciał mieć lalkę. A gdy Trude wyjmowała mu ją z rąk, ponieważ był przecież chłopcem, rzucał się na ziemię, tak jak to podpatrzył u Dietera Kleu, piszcząc, wył i tupał nogami, rzucając na wszystkie strony głową. Albo biegł na swoich zwinnych nogach do kurnika, dusił dwa lub trzy kurczaki i dąsał się przez resztę dnia.

Albert Kressmann pomimo swoich błazeństw i głupich min na początku siedemdziesiątego dziewiątego roku został uznany za dostatecznie dojrzałego, aby na jesieni iść do szkoły podstawowej. Na widok Bena potrząsano tylko głową. Nie starczyło nawet na szkołę specjalną. Profesor, z którym w marcu siedemdziesiątego dziewiątego Trude skonsultowała się po wielokrotnych radach Thei Kressmann, powiedział głośno to, o czym Trude aż do tej chwili nie ośmieliła się nawet myśleć: „Wysoki stopień niedorozwoju umysłowego!”.

Ben siedział jeszcze nagi na stole w gabinecie lekarskim, zaciskając w pięści błyszczącą pałeczkę, z kawałkiem czekolady w ustach, ponieważ tylko za pomocą słodyczy można było skłonić go do tego, żeby przez parę minut siedział spokojnie, kiedy profesor wyjaśnił beznamiętnym głosem: „Jego skłonność do naśladowania stwarza, rzecz jasna, kilka możliwości. Ale, droga pani, proszę nie liczyć na trwałe efekty. Chłopiec jest bardzo aktywny i z łatwością można odwrócić jego uwagę. A ponadto jak na swój wiek jest bardzo duży

i silny. Zameczy się pani, proszę mi wierzyć... Z doświadczenia wiem, że w tego rodzaju przypadkach najlepszym rozwiązaniem jest dobry ośrodek. I radzę poszukać go jak najszybciej”.

Trude spojrzała na niego, tego syna, którego pragnęła bardziej niż czegokolwiek na świecie. A on patrzył na nią, memląc w ustach czekoladę. Brązowa ślina ciekła mu po brodzie. Trude wytarła go pospiesznie. Uśmiechnął się krzywo, podniósł do góry pięść z zaciśniętą w niej pałeczką, jak gdyby tym gestem chciał jej podziękować za czystą brodę.

To był moment, w którym Trude zaczęła go kochać, mocno, żarliwie, z głębi serca. Tak jak to tylko matka potrafi. I to był moment, w którym poprzysięgła sobie, że będzie go chronić przed każdym przejawem wrogości i samowoli, że będzie o niego walczyć na przekór wszystkim obrażonym twarzom i skrzywionym nosom.

16 sierpnia 1995

Ściśle mówiąc, Trude była jedyną osobą, która koszmar tego lata przeżyła w całym wymiarze. Dla niej wszystko zaczęło się już w lipcu. Wtedy to właśnie pewnego poniedziałkowego poranka Ben położył na kuchennym stole powalaną krwią damską torebkę.

Widok krwi nie wzbudził jej podejrzeń. Ben miał kilka głębokich zadrapań na grzbiecie lewej dłoni, a oprócz tego dwa połamane paznokcie. Otworzyła torebkę. W środku znajdowały się portmonetka z kilkoma monetami, dwie pigułki zawinięte w papierową chusteczkę, grzebień, lusterko, szminka do ust i dowód osobisty wystawiony na Svenje Krahl zamieszkałą w Lohbergu. Wszystko było czyste. Trude uznała, że znalazł torebkę gdzieś na dworze i postanowił przynieść ją do domu.

Często przynosił różne rzeczy ze swoich wypraw. Stary, pogięty aluminiowy garnek, kubeczek od termosu, wyszczerbiony widelec. Pewnego dnia przytaszczył dziurawą oponę, chcąc najwidoczniej zrobić w ten sposób przyjemność Jakobowi. Najczęściej jednak były to drobiazgi, które kładł przed Trude na kuchennym stole, ładnie uformowane kolorowe kamyki, kawałki potłuczonego szkła lub zdechłe polne myszy.

Przed dwoma laty napędził Trude okropnego strachu, przynosząc ze sobą starą kość, która z całą pewnością nie należała do myszy. Chyba że była to mysz gigant. W pierwszej chwili pomyślała, że to świńska kość. Tylko że nikt nie zakopuje na polu świń. Od tego były rzeźnie. Kość mogła równie dobrze należeć do jakiegoś człowieka, którego przed laty zakopano w lesie lub na polu. Tak dokładnie Trude

nie przyjrzała się tej kości, żeby mogła z całą pewnością ją sklasyfikować. Poza tym aż do tego momentu, kiedy Ben położył przed nią na kuchennym stole tę zwietrzałą rzecz, nigdy nie widziała z bliska ludzkiej kości udowej.

W minionych latach zdarzyło mu się kiedyś przynieść brudną szmatkę, która przy bliższych oględzinach okazała się damskimi majtkami. W środkowej partii poza brudem Trude dostrzegła też ślady krwi. Szczerze mówiąc, owo odkrycie nie wywarło na niej większego wrażenia, tego rodzaju „trofea” nietrudno było znaleźć w okolicy, gdzie w ciepłe noce baraszkowały tuziny zakochanych par. Być może więc powalane krwią desusy były własnością jakiejś eksdziewicy, która po stracie wianka wołała zostawić na miejscu „dowód rzeczowy”, obawiając się surowej matki.

I dlaczego młoda dziewczyna, która ma w głowie wszystko inne niż pilnowanie swoich rzeczy, nie miałaby zgubić torebki? A Ben po prostu ją znalazł. To oczywiste. Trude tak właśnie widziała z początku całą sprawę. Pochwaliła go, wytarła krew, po czym rozejrzała się za książką telefoniczną. Ale pod nazwiskiem Krahl nie było żadnego wpisu. Torebka powędrowała więc do kąta, a Trude postanowiła, że podczas następnej wizyty w mieście odniesie ją pod podany w dowodzie adres.

Ale we wtorek wieczorem Heinz Lukka opowiedział jej, że w nocy z niedzieli na poniedziałek obudziły go głośne krzyki jakiejś dziewczyny. Wstał z łóżka, wyrzwał przez okno, ale w ciemnościach nie mógł niczego zobaczyć.

Zaraz po tej rozmowie Trude wyciągnęła z kąta torebkę i spaliła ją pod kuchnią razem z całą zawartością, dziękując Bogu, że zapomniała opowiedzieć o niej Jakobowi. I nadal wierzyła święcie, że Ben znalazł ją gdzieś na polu lub w lesie, a rękę skaleczył o drut kolczasty opasujący łąkę, która należała dawniej do ich parceli przy Bachstrasse. Zawsze go tam ciągnęło.

Ale kto uwierzy jej na słowo, że w nocy z niedzieli na poniedziałek Ben tak po prostu biegał po łące? Każdy pomyśli przecież, że wyrwał

torebkę Svenji Krahl. A później będzie zadawał sobie pytanie, dlaczego dziewczyna nie zgłosiła się na policję i nie zameldowała o kradzieży. A jeśli Heinz Lukka wyjaśniłby komu trzeba, że słyszał w nocy, jak jakaś dziewczyna krzyczy pod jego domem...

Po tym zdarzeniu Trude każdego dnia kontrolowała gazety, ale nie znalazła żadnej wzmianki o Svenji Krahl i stopniowo zaczęła się uspokajać.

Przeglądając w środę poranną prasę, znalazła krótki artykuł o Marlene Jensen, która od soboty nie pokazała się w domu swoich rodziców. Trude słyszała już o tym poprzedniego dnia, robiąc zakupy we wsi. Renate Kleu opowiedziała jej, że w sobotę wieczorem Marlene bawiła się na dyskotecie w Lohbergu z dwoma nieznanymi mężczyznami, że okropnie pomstowała na swojego ojca i zdecydowanie odrzuciła propozycję odwiezienia jej do domu przez Dietera. Renate przemilczała jednak incydent na parkingu i nie zająknęła się ani słowem o podbitym oku i rozkwaszonym nosie swojego syna.

Od Thei Kressmann Trude dowiedziała się jeszcze, że również Albert zaproponował dziewczynie podwiezienie do domu i specjalnie po nią wrócił na dyskotekę o pierwszej w nocy. Poza tym Thea Kressmann wiedziała też o całotygodniowym areszcie i była przekonana, że Marlene uciekła z domu, żeby pokazać swojemu ojcu, że nie ma zamiaru znosić dłużej jego metod wychowawczych.

Również w gazecie była mowa o panujących w rodzinie aptekarza różnicach zdań. Obok widniało zamieszczane zwyczajowo w tego rodzaju komunikatach małe zdjęcie Marlene oraz opis jej ubioru: „Dziewczyna miała na sobie tego wieczoru dżinsy z nitami w kształcie gwiazdy i jasnoniebieską wiatrówkę”. Artykuł kończył się gorącą prośbą Marii Jensen, która zwracała się w serdecznych słowach do swojej córki, prosząc ją o rychły powrót do domu i zapewniając, że rodzice wcale się na nią nie gniewają. Był tam jeszcze tylko apel do dwóch młodych mężczyzn, z którymi odjechała Marlene, wzywający ich do jak najszybszego stawienia się na policję i udzielenia informacji

o miejscu pobytu Marlene.

Chodziło o miejscowy posterunek policji w Lohbergu. Erich Jensen znał osobiście komendanta, obaj byli członkami tej samej partii. Aptekarz chciał za wszelką cenę uniknąć sensacji i zapewne dlatego był przeciwny pomysłowi żony, która zamierzała poinformować lokalną prasę o całej sprawie. Maria Jensen dopięła jednak swego przy wydatnym wsparciu brata i szwagierki. Z uwagi na sytuację wyjściową miejscowa policja uznała kazuś za dość banalny. Nie widziano powodów do niepokoju. O tym, że cztery tygodnie wcześniej zaginęła inna dziewczyna w tym samym wieku, nikt jeszcze nie wiedział.

Nie wiedziała tego również z całą pewnością Trude, ponieważ z obawy przed głupimi pytaniami lub innymi konsekwencjami nie podjęła żadnych kroków mogących rozwiać jej wątpliwości i tylko zachodziła w głowę, czy Svenja Krahl była tą dziewczyną, której krzyki słyszał w nocy Heinz Lukka. A jeśli tak, to dlaczego krzyczała – z przerażenia czy ze strachu, a może z jeszcze innych powodów.

Sprawa Marlene Jensen nie zainteresowała jej w jakiś szczególny sposób i dlatego nie zastanawiała się nad nią zbyt długo. Kiedy zmyła naczynia po śniadaniu, usiadła przy stole i przeczytała pobieżnie artykuł, potem złożyła gazetę i zaniósła ją do pokoju, żeby Jakob mógł na nią rzucić okiem, kiedy wróci wieczorem do domu. Rano najczęściej nie miał takiej sposobności, ponieważ listonosz przynosił gazetę po śniadaniu, a wtedy Jakoba nie było już w domu. Kiedy w kwietniu osiemdziesiątego siódmego roku przenieśli się z Bachstrasse do nowego domu w szczerym polu, gratulowali sobie trafności wyboru i szybko się tutaj zaaklimatyzowali. Gazeta była niewielkim minusem nowej lokalizacji.

Krótko przed dziewiątą Trude usłyszała skrzypnięcie drzwi do piwnicy. Ben najczęściej wchodził do domu przez piwnicę. Przed laty zabroniła mu kategorycznie chodzić po mieszkaniu w uwalanych błotem buciorach. A proste zakazy dobrze zapamiętywał. Swoją składaną łopatkę też zostawiał zawsze na dole.

Przez całą noc był w drodze, krążył po okolicy, robiąc obchód

swojego rewiru. Od weekendu w lipcu nie spędził w swoim łóżku ani jednej nocy. Jeśli w ogóle przychodził wieczorem na kolację – czego zresztą zwykle nie robił w obawie, że rodzice zatrzymają go w domu – znowu gdzieś przepadał, zaledwie wyczyścił swój talerz. Trude widziała go znów następnego ranka, kiedy pusty żołądek przyganiał go do domu.

Nie słyszała, jak wchodził po schodach – w skarpetkach skradał się bezszelestnie jak kot. W chwilę później pojawił się w drzwiach kuchni, niemal całkowicie je wypełniając. Plecy zapaśnika, pięści jak kowalskie miechy i siła w ramionach, która pozwoliłaby mu jednym ciosem złamać kark wołu, gdyby tylko wpadł na taki pomysł. Ale on ponad wszystko miłował pokój, był zgodny, uступliwy i łagodny jak baranek. Trude miała niezbitą pewność, że taki właśnie jest jej syn pomimo niezliczonych przykrych incydentów, które w oczywisty sposób temu przeczyły.

Wszedł do kuchni, brudny i spocony, jakby przez całą noc tarzał się w błocie. Lornetka dyndała mu na piersi. Zawsze miał ją przy sobie, kiedy wyruszał w teren, nawet nocą, chociaż wtedy była mu właściwie niepotrzebna.

„Nie, nie – powiedziała stanowczo Trude, widząc jak zakrada się do stołu. – Najpierw trzeba umyć ręce. Przecież dobrze o tym wiesz”.

Oczywiście, że wiedział, ale zawsze próbował jakoś się od tego wykręcić. Nie, wcale nie bał się wody, uciekał tylko przed bólem towarzyszącym opatrywaniu go przez Trude, przed tym nieznośnym kluciem, pieczeniem i szczypaniem. Jego ręce i ramiona były usiane starymi bliznami, świeżymi zadrapaniami i wielkimi pęcherzami, które regularnie przynosił ze swoich wypraw, kalecząc się o kolce ostów i pokrzywy, drut kolczasty oraz sto innych rzeczy, które spotykał na swojej drodze.

Nie stawiał oporu, kiedy matka trzymała go pod kranem i szorowała namydloną gąbką, kontrolując przy okazji, czy do starych skaleczeń nie doszły nowe, które należało czym prędzej opatrzyć. Znalazła drzazgę. Siedziała głęboko pod paznokciem środkowego

palca i nie dawała się uchwycić nawet pęsetką. Trude musiała iść po igłę. Teraz naprawdę zabołało. Sycząc wciągnął powietrze.

„Gdzieżeś ty się znowu szwendał?” – zapytała z przyzwyczajenia, nie oczekując odpowiedzi. Jego słownictwo było żałośnie ubogie i w gruncie rzeczy obejmowało zaledwie kilka wyraźnie wymawianych słów. Ale ktoś, kto był z nim tak blisko jak Trude i znał go tak dobrze jak ona, mógł przy odrobinie dobrej woli pokusić się o interpretację tego, co chciał powiedzieć. Trude była pewna, że zawsze go rozumie. Trzeba było tylko dobrze wsłuchać się w intonację, żeby odgadnąć, czy pyta, udziela informacji lub zgadza się ze swoim rozmówcą.

Kiedy wreszcie udało się jej wyciągnąć drzazgę, z widoczną ulgą polizał krwawiący palec, usiadł przy stole i patrzył wyczekująco na kredens. Trude wyjęła zeń chleb, ukroiła kilka grubych pajd, posmarowała je masłem i metką potem napełniła mlekiem wielki aluminiowy kubek i wszystko to postawiła przed nim na stole. Kiedy zabierał się do śniadania, wytarła nóż i schowała go z powrotem do szuflady, zamknęła drzwiczki kredensu, po czym wrzuciła klucz do kieszeni fartucha.

Ben, głośno mlaskając, w wielkim pośpiechu opróżnił swój talerz, wypił duszkiem mleko i zaraz potem opuścił kuchnię. Kiedy kwadrans później Trude zajrzała do jego pokoju, leżał w swoim brudnym ubraniu na łóżku i spał. Kilka minut po pierwszej zszedł na dół, dał sobie założyć świeżą koszulę i czyste spodnie, a potem czekał potulnie na obiad. Kiedy postawiła przed nim miskę z gorącym kapuśniakiem, w mgnieniu oka ją opróżnił i znikł przez piwnicę.

Od lipca drzwi piwnicy w dzień i noc były dla niego otwarte. Pewnego razu zdarzyło się, że Jakob je zamknął. Wtedy on próbował precyzyjnie się przez małe piwniczne okienko, utkwiał w nim niczym młody wilk w potrzasku, szamotał się, wył rozpaczliwie i skamlał właśnie jak schwyty w potrzask wilczek, aż Trude i Jakob obudzeni ze snu przez dobiegający z dołu hałas zeszli do piwnicy i z wielkim mozołem go oswobodzili. Do tej pory miał na ciele ślady, które pozostawiły żelazne ramy okna.

Kiedy o siódmej wieczorem przyszedł z pracy Jakob, Ben jeszcze był w drodze. Trude krzątała się po domu, wyjęła z bielizniarki świeżą pościel i zaniósła ją do jego pokoju, potem umyła okno, trochę się przy tym rozglądając i w głębi duszy miała nadzieję, że dzisiaj wróci do domu na noc.

Później usiadła z Jakobem w dużym pokoju. Rozmawiali o Marlene Jensen. Trude była wyjątkowo tego samego zdania co Thea Kressmann. Jakob nie mógł jednak uwierzyć, że córka Ericha ot tak po prostu uciekła z domu. „Na jedną noc, zgoda – upierał się przy swoim – ale przecież nie ma jej już kilka dni, nie podoba mi się to, gdzie ona u diabła może być?”.

„Może u tych fircyków, których poznała na dyskotecie – odparła szybko Trude. – Erich jest naprawdę zbyt surowy. Antonia ciągle to powtarza. Wcale się nie dziwię, że dziewczyna chce mu zagrać na nosie”.

17 sierpnia 1995

We czwartek Jakob wyszedł z domu jak zwykle o siódmej rano. Wyprowadził samochód ze stodoły i skierował się na drogę, która była tak wąska, że przejeżdżające obok siebie dwa samochody tylko z wielkim trudem mogły się wyminąć. Po przejechaniu około sześciuset metrów minął pierwsze skrzyżowanie, wąska droga biegła jeszcze około dwustu metrów między szachownicą ogrodów i pól uprawnych, później krzyżowała się z Bachstrasse.

Jakob skręcił w lewo w szeroką drogę do Lohbergu biegnącą równoległe do Bachstrasse i szosy. Potem jechał dwa kilometry do następnego skrzyżowania, gdzie stał bungalow Lukki. Nagle zrobiło mu się ciężko na sercu. Ten odcinek wciąż był dla niego najtrudniejszy. Prowadził obok jego dawnej posiadłości, jego ziemi, obok niezliczonych wspomnień.

Nikt nie porzuca chętnie miejsca, w którym się urodził, spędził dzieciństwo i młodość, a potem jeszcze wiele długich lat, w którym marzył, kochał, modlił się, harował jak wół i cierpiał. To miejsce za dwumetrowym ogrodzeniem z drutu kolczastego było teraz dla niego nieosiągalne. Jakob za każdym razem odczuwał ulgę, kiedy pozostawił daleko za sobą przekłety drut kolczasty i docierał do bungalowu Heinza Lukki.

Tego poranka tuż przy parceli Lukki spotkał swojego przyjaciela Paula Laessera i zatrzymał się na chwilę, żeby się z nim przywitać i zamienić parę słów. Paul, który był bratem Marii i wujkiem Marlene Jensen, bardzo przeżywał jej zniknięcie, martwił się, równocześnie zaś był wściekły na swojego szwagra.

„Zupełnie nie mogę pojąć, co Erich sobie myśli – złościł się Paul. – Na jego miejscu poruszyłbym niebo i ziemię, postawiłbym na nogi kogo się da, a on jak gdyby nigdy nic trzyma policję z daleka. To jasne, boi się skandalu. Jedynym skandalem w całej tej sprawie są jego metody wychowawcze. Zdaje się, że stary dureń pomylił partie, o socjaldemokracji nie ma zielonego pojęcia. Maria wyplakuje sobie oczy”.

„Wierzę ci, stary” – odparł Jakob ze współczuciem.

Paul nadal wymyślał szwagrowi, w pewnym momencie nieoczekiwanie zmienił front i zaczął zżymać się na swoją siostrzenicę: „Głupie stworzenie, smarkula jedna. Co ona sobie właściwie wyobraża. Że wszystko jej wolno?! Dlaczego nie poczekała na Alberta? Chłopak specjalnie po nią wrócił na dyskotekę, kiedy już odwiózł Anette”.

„Słyszałem o tym od Trude – powiedział Jakob. – Ale dlaczego Albert nie zabrał jej od razu?”.

Paul spojrział na ziemię i wzruszył ramionami. „Powiedziała, że dla niej jest jeszcze za wcześnie. A jechać z Dieterem nie chciała, wołała nie ryzykować”.

Jakob zrozumiał w pierwszej chwili, że Paulowi chodzi o to, iż Kleu junior nie ma jeszcze prawa jazdy. „Ja też się dziwię, że Bruno już teraz pozwala chłopakowi siadać za kierownicą – zgodził się ze swoim przyjacielem. – W końcu to tylko parę miesięcy, w październiku Dieter kończy osiemnaście lat. Wtedy nie będą musieli się bać, że go złapią”.

„Jak dotąd go nie złapali – wyjaśnił Paul. – A swoją drogą, trzeba przyznać, że ten mały jeździ całkiem nieźle”. Po chwili znów wybuchnął: „Ale nie potrafi trzymać przy sobie łap. Pewnie dlatego dziewczyna pomyślała sobie, że jeśli pojedzie z tymi dwoma, będzie bezpieczna. No i to chyba był błąd... Założę się, Jakobie, że ona wcale z nimi nie uciekła. To nie ten typ. Tam musiało się coś stać”.

Również w ten czwartek jego syn był jeszcze w drodze, kiedy Jakob wrócił wieczorem do domu. Trude wycierała suchą ścierką okno w pokoju Bena, a przy okazji lustrowała okolicę, rozglądając się za nim. Podczas kolacji siedzieli sami przy stole. Jakob opowiedział

o porannej rozmowie ze swoim przyjacielem i zakończył słowami: „Paul uważa, że córce Ericha coś się przydarzyło”.

Trude zebrała brudne naczynia, przełożyła do garnka resztki kolacji i wstawiła go do lodówki.

„Miejmy nadzieję – dodał ponuro Jakob – że Paul się myli. Oby tak było”.

W tym momencie Trude szybko się odwróciła: „Dlaczego my? – niemal krzyknęła. – Oczywiście, ja też mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Dla dziewczyny, dla Marii i Ericha. O nas nie musisz się martwić. Nie mamy z tym nic wspólnego!”.

Jakob podniósł rękę w pojednawczym geście. „Dobrze, już dobrze, nie to miałem na myśli. Czemu się zaraz pieklisz?”. Zamilkł, ale po kilku sekundach ciągnął dalej z wahaniem:

„Pomyślałem tylko... no cóż, pomyślałem sobie, że Ben powinien na kilka nocy pozostać w domu...”.

„Dlaczego? – zapytała Trude ze złością. – Czy mamy go uwięzić, zamknąć jak psa tylko dlatego, że jakieś głupie dziewuszysko nie może znaleźć drogi do domu? Zaginęła w Lohbergu, a nie tutaj. A on ma przecież tylko to – tam na dworze. Czy poza tym ma jeszcze coś ze swojego życia?”.

Matczyna miłość Trude nie obudziła się tak całkiem przypadkowo w marcu siedemdziesiątego dziewiątego. W pierwszym momencie nie była to zresztą wyłącznie miłość, był to raczej wstyd i instynkt. Ten sam instynkt, który każe samicy ochraniać swoje bezbronne młode. Być może przyczyniła się do tego nieświadomie Thea Kressmann, która wyszła z propozycją odwiedzenia profesora. A jeśli rzeczywiście tak było, wówczas korzenie macierzyńskich uczuć Trude sięgały w daleką przeszłość.

Już jadąc tam, czuła lekkie pieczenie w dołku. W przedziale pociągu było spokojnie, dwóch, trzech pasażerów. Ben siedział przy oknie, onieśmielony szybkością i natłokiem nowych wrażeń przyglądał się nieufnie przemykającemu za oknem krajobrazowi. Wsie, tu i tam

dworzec małego miasteczka, dużo otwartej przestrzeni, zielone łąki, pola, skubiące trawę krowy na pastwiskach, konie w zaprzęgu i pasące się przy nasypie kolejowym owce.

„Owieczki na lewo, radość oczekuje – mówiła dawniej często matka Trude. – Owieczki na prawo, radość się popsuje”. W drodze powrotnej owce były po prawej stronie.

Trude nie mogła pozbierać myśli, miała w głowie bolesną pustkę. Palenie we wnętrzościach, tępe uderzenia serca, to był obrzydliwy nagi strach. Owce przy nasypie kolejowym – zły omen.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim małej Chriście, najmłodszej siostrze Toniego von Burg, owce przyniosły zgubę. Christa von Burg i Thea Kressmann. Dwa imiona, dwa nazwiska i jeden szurzy ogon, niekończąca się seria wzajemnych powiązań.

Thea Kressmann w panieństwie nosiła nazwisko Ahlsen. A ojciec Thei, Wilhelm zawsze był patriotą. Dla swojej ojczyzny zrobił niemało – i jeszcze więcej stracił. W czasie pierwszej wojny światowej trafił na front zachodni wprost ze szkolnej ławy. Kiedy dokonywał jakiegoś bohaterskiego czynu, urwało mu do połowy lewą nogę i całą lewą rękę. W nagrodę za swą bezprzykładną odwagę dostał medal oraz lichą rentę. I pewność, że teraz może już tylko liczyć na swoją ocalałą prawą rękę. O żonie mógł tylko pomarzyć...

Stara Gerta Franken, która miała więcej lat niż wiek i była sąsiadką Trude i Jakoba, nawet po tylu latach przypominała sobie żywo o wszystkich tych sprawach. Gerta Franken w pierwszym tygodniu marca siedemdziesiątego dziewiątego poświęciła Trude całe popołudnie, aby wprowadzić ją w pokrętny labirynt miejscowych układów, stosunków i powiązań. Ponieważ Trude, która urodziła się i wychowała w Lohbergu, nie miała o tym wszystkim najmniejszego pojęcia, co dla jej wiekowej sąsiadki było sprawą niedopuszczalną.

Dlaczego na przykład Toni i Ilia von Burg zawsze z takim samym – rzucającym się wszystkim w oczy – dystansem traktowali Richarda i Theę Kressmann na długo przedtem, zanim pojawiło się podejrzenie, że to właśnie Richard Kressmann mógł być tym nieszczęsnym

kierowcą, który przejechał ich najmłodszą córkę i na koniec zbiegł z miejsca wypadku. Dlaczego Toni i Ilia nawet w razie pilnej potrzeby jechali z receptą do Lohbergu, zamiast zrealizować ją w aptece Ericha Jensena, chociaż Erich tylko dwa lub trzy razy umówił się z Theą i naprawdę nie był niczemu winien. Rany były głębokie, zasiedziałe i przechodziły z jednego pokolenia na drugie niczym skaza genetyczna.

W latach dwudziestych i jeszcze na początku trzydziestych Wilhelm Ahlsen był tylko budzącym litość nieborakiem. Z konieczności został kawalerem. Nie tylko z powodu brakujących fragmentów swego bohaterskiego ciała – lewej ręki i połowy lewej nogi. Jak mógł myśleć o żeniaczce, kiedy był biedny jak mysz kościelna i sam ledwie wiązał koniec z końcem?

Ale w roku trzydziestym trzecim nastąpił w jego życiu nieoczekiwany zwrot. Znowu zapanowała dobra koniunktura dla patriotów i bohaterów wojennych. Jeśli tylko byli Aryjczykami. Wilhelm Ahlsen był, mógł to udowodnić. I wtedy zrobił karierę. Dowódca miejscowej komórki NSDAP! Zasłużony weteran pierwszej wojny kuśtykał od domu do domu orędując za drugą, która tym razem miała być wygrana, głosił chwałę i potęgę Rzeszy, patrzył ludziom na ręce i węszył jak gończy pies. O tak, do tego jeszcze się nadawał ten diabeł wcielony.

Pewnego razu, ciągnęła swoją opowieść Gerta Franken, Wilhelm Ahlsen siedział u niej w kuchni i groził. Okropnie groził, wałąc pięścią w stół i rycząc, że ma siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, a nie latać po wsi z ozorem i pleść, co ślina na język przyniesie. Myślisz, głupia babo, że nie wiem, co wygadujesz. Dlaczego żadna dobra dusza nie ulitowała się i nie położyła trupem starszego szeregowca Adolfa, kiedy był jeszcze na to czas. Ażeby ci mowę odjęło! Poczekaj, już ty się doigrasz, moja w tym głowa. Jak nie zamkniesz raz na zawsze swojej głupiej gęby, skończysz jak twoi przyjaciele Stern i Goldheim.

Sternowie i Goldheimowie zostali odprowadzeni przez Wilhelma Ahlsena i dwóch mężczyzn z SA. Nigdy więcej nikt o nich nie słyszał.

Przepadli bez wieści. Po okolicy krążyła wprawdzie pogłoska, że córce Sternów Edith jakimś cudem udało się uratować. Ale i o niej słuch zaginął.

A do okazałego domu rodziny Sternów wprowadził się Wilhelm Ahlsen. Potrzebował teraz odpowiedniej rezydencji, rentę też mu podwyższyli. Był tego wart. Polował na ludzi! Takich, za którymi nie upomniał się nawet pies z kulawą nogą. W końcu – chociaż miał już dobrze po czterdziestce – trafiła się nawet jakaś głupia geś, która podreptała z nim do urzędu stanu cywilnego. Ale to było już prawie pod sam koniec wojny, a cztery lata później urodziła się Thea.

No, a jeśli chodzi o von Burgów... Gerta Franken nie wiedziała, na ile Trude była wtajemniczona w tę sprawę i postanowiła ją oświecić, opowiadając wszystko po kolei, od początku do końca. Tak więc na początku to była trójka ślicznych jak malowanie dzieci. Toni wciąż jeszcze wyglądał jak księżę z bajki. Również jego starszej siostrze Heidemarie niczego nie brakowało. Gerta Franken uważała, że to wstyd i hańba, że biedaczka Heidemarie musiała iść do klasztoru, po tym jak Paul Laessler dał jej kopniaka. A wszystko przez tę Włoszkę wiercipiętę.

Heidemarie miała w sobie coś, co prawda to prawda, ale daleko jej było do młodszej siostry. Za małą Christą odwracały się na ulicy wszystkie kobiety. Wyglądała jak prawdziwy aniołek, kiedy szła z matką przez wieś, podskakiwała wtedy wesoło, tupiała nóżkami i szczebiotała jak skowronek. Taka w niej była radość życia.

Von Burgowie mieli wtedy owce. A Christa, to czarujące stworzenie, grzeczna, silna i prosta jak świeca, z jasnymi włosami i rumianą twarzą miała, niestety, nie całkiem dobrze w głowie. No, nie tak całkiem źle jak Ben, bynajmniej. Zbierała tylko owcze bobki na podwórzu i wtykała je sobie do buzi, kiedy nikt nie widział.

Ale Wilhelm Ahlsen to widział. W tamtym czasie był przecież wszechobecny, zwłaszcza wtedy, kiedy nikt się go nie spodziewał. Mógł zaglądać do wszystkich kątów, miał do dyspozycji oczy całej okolicznej Hitlerjugend, swoje uszy w każdej kuchni, w każdej sypialni.

Von Burgowie musieli oddać swoją małą Christę do sanatorium. Zarządzenie odgórne, doręczone osobiście przez Wilhelma Ahlsena jak wszystkie złe wiadomości w tamtym czasie. W sanatorium niebożątkiem Christą miał się opiekować jakiś znany profesor.

Von Burgowie, którzy nie należeli do najbiedniejszych, zawieźli tam z ciężkim sercem swój najmłodszy skarb razem z kilkoma półciami słoniny, tuzinem kotletów jagnięcych, dwiema kurami, koszem jaj i wiejskim masłem oraz innymi rzeczami, na które bardzo liczyli. No cóż, mieli pewnie nadzieję, że zostawią słoninę u profesora, a małą Christę zawiozą z powrotem do domu. Ale przeliczyli się, niestety... Kilka dni, zapewnił ich profesor, tylko kilka dni, żeby wykonać gruntowne badania. A po kilku dniach Christa zmarła na zapalenie płuc. Tak im później powiedziano. Kiedy von Burgów powiadomiono o śmierci córki, biedactwo była już pod ziemią. W tamtych czasach wszystko szło raz, dwa, trzy – jak na komendę. I nikt się nie patyczkował.

A Wilhelm Ahlsen wespół ze starym Lukką, adwokatem jak jego syn Heinz, i do tego brunatnym jak cholera – od czubka głowy po same podeszwy butów – debatowali w gospodzie Ruhpolda o pilnej potrzebie eksterminacji wrogów narodu i radykalnej rozprawie z każdym nic niewartym życiem, podczas gdy młody Werner Ruhpold z białą jak śnieg twarzą szorował do połysku szynkwias.

Werner Ruhpold na początku czterdziestego trzeciego został ciężko ranny. Gerta Franken jeszcze dziś dokładnie to pamięta. Werner stracił wtedy dużo krwi i po kilku miesiącach spędzonych w szpitalu polowym powoli odzyskiwał siły w domu rodzinnym. Ale dziwna bladość jego twarzy w czasie debaty Wilhelma Ahlsena ze starym Lukką miała niechybnie inne przyczyny. Niektórzy we wsi pamiętają do dziś, że Werner Ruhpold jeszcze przed wybuchem wojny zaręczył się z młodą Żydówką Edith Stern. Nad zerwaniem tych zaręczyn Gerta Franken nie rozwodziła się zbyt. Patrząc kątem oka na Bena, który podczas tej rozmowy kucał obok Trude na kupce wypielonego zielska, wyliczała z wolna argumenty, które Wilhelm Ahlsen przytaczał wówczas

w gospodzie Ruhpolda.

Nacja, która swoje priorytetowe miejsce w świecie wywalczyła krwią i potem, nie może pozwalać sobie na słabość i jeszcze do niej dokładać, żywiąc wrogów narodu, idiotów i kaleki. Siebie samego Wilhelm Ahlsen nie zaliczał, rzecz jasna, ani do wrogów narodu, ani do idiotów i kalek, był przecież bohaterem wojennym i nawet ze swoim niekompletnym ciałem mógł jeszcze na coś się przydać, mógł przysłużyć się jeszcze swojemu Führerowi.

Wciąż nie spuszczać oczu z Bena, Gerta Franken powiedziała, zniżając głos: „Przy Wilhelmie nie dożyłbyś do tych lat, możesz być tego pewna. Ty dawno zapomniałaś, że pewnego razu spadłaś nieszczęśliwie ze schodka. Wtedy mogłabyś postarać się o następnego dzidziusia i kto wie, może wyszłoby z tego coś bardziej rozgarniętego. Powiedz uczciwie, czy nigdy nie myślałaś o tym w ten sposób?”.

Nie, Trude z całą pewnością tak nie myślała. Aż do tej pory nie miała pojęcia, jaką rolę odgrywał we wsi ojciec Thei Kressmann. Od czasu do czasu myślała wprawdzie o inkubatorze i o tym, że być może byłoby lepiej dla Bena, gdyby nie ratowali go za wszelką cenę. Ale kiedy profesor zaproponował jej ośrodek, Trude stanął nagle przed oczami Wilhelm Ahlsen.

Na cztery lata skazali alianci Wilhelma Ahlsena. Cztery marne, śmiechu warte lata za Sternów, Goldheimow, za małą Christę von Burg i jeszcze kilka tuzinów innych, o których nie upomniał się nawet pies z kulawą nogą.

„Jakoś to będzie – odparła Trude, kiedy profesor skończył mówić i udało się jej nawet odeprzeć jego poważne spojrzenie. – Do tej pory sobie radziłam. Jest trochę dziki, ale nikomu nie robi krzywdy”.

A rozgniecione kurczaki nikogo przecież nie obchodziły.

W drodze do domu znalazło się wprawdzie miejsce przy oknie, ale przedział był pełen ludzi. Trude musiała wziąć go na kolana, żeby zrobić miejsce dla innych pasażerów. Przez cały czas wyglądała przez okno, szukając wzrokiem owiec. Owieczki po prawej...

Ale stado przeszło przez nasyp na drugą stronę. Owieczki po

lewej... Trude mocno przytuliła go do piersi i powiedziała: „Niech kraczą, ty i ja, my oboje, na pewno damy sobie radę. Przecież to nie twoja wina, że taki jesteś”.

20 sierpnia 1995

W pierwszych dniach po zniknięciu Marlene Jensen policja nie podjęła żadnych kroków, które mogłyby doprowadzić do wyjaśnienia jej losu. Nie widziano podstaw do wszczęcia dochodzenia. Przyjaciółka Marlene złożyła zeznanie, które ugruntowało podejrzenie, że córka aptekarza uciekła z domu. Prasa była włączona w sprawę, więcej i tak zresztą nie można było zrobić przy aktualnym stanie rzeczy.

Ale potem kamień zaczął się nagle toczyć, wypadki nabrały rozpędu. Było to dokładnie w tydzień po zniknięciu Marlene, z nocy z soboty na niedzielę. O ósmej rano rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę akcja poszukiwawcza w okolicy wsi. Dwa tuziny ludzi przeczesywały graniczący od wschodu z polami uprawnymi lasy, zwany przez miejscową ludność Bendchen. Policja z Lohbergu była wspierana przez członków ochotniczej straży pożarnej i kilka specjalnie wytresowanych psów.

Kilka minut po dziesiątej Trude poszła na górę, żeby pościelić łóżka i zamknąć okna, z nieba lał się żar. Kiedy podeszła do okna, zobaczyła że coś się tam dzieje. Na drodze biegnącej w stronę skraju lasu stały trzy zielono-białe wozy policyjne. Nadstawiła uszu, ale z powodu znacznego oddalenia nie mogła niczego usłyszeć. Widok też nie był szczególnie frapujący, po prostu mężczyźni, psy i trzy samochody. Trude przyglądała się przez kilka minut grupce za oknem, czując potężniejsze z sekundy na sekundę uderzenia serca. Kiedy doszło do głowy i zaczęło huczeć w uszach, zawołała Jakoba.

Po śniadaniu Jakob poszedł do dużego pokoju, rozsiadł się w fotelu z sobotnią gazetą w ręku i pogрузzył się w lekturze. W sobotę nie

starczyło mu na to czasu. I tym razem znalazł wielki artykuł poświęcony niedostatecznym połączeniom autobusowym, a także chwytającą za serce prośbę do Marlene i apel do dwóch młodych mężczyzn, których wzywano do jak najszybszego zgłoszenia się na policję.

Zdjęcie Marlene było znacznie większe niż to ze środy. Śliczna dziewczyna, skonstatował Jakob, który wcześniej nigdy nie zastanawiał się nad urodą siostrzenicy Paula Laesslera, czasem uderzało go tylko niezwykle podobieństwo do matki. Teraz, gdy przyglądał się zdjęciu córki Marii, przyszło mu do głowy, że jej twarz, a zwłaszcza długie, jasne włosy przypominają kosztowną porcelanową lalkę.

Westchnął ciężko, odłożył gazetę na stół i podniósł się z fotela. Głos Trude wydał mu się nieco histeryczny. Kiedy wszedł do sypialni, wskazała wymownym gestem za okno. „Popatrz tylko. Co oni tam robią?”.

Trude pomimo swoich pięćdziesięciu dziewięciu lat i niełatwego życia zachowała dawną urodę. Postawna i wysoka, niewiele mniejsza od Jakoba, o takich kobietach mówi się – przystojna. Nie była gruba, ale jej masywna sylwetka zdradzała, że przez długie lata wykonywała ciężką, męską robotę. Teraz sprawiała wrażenie młodej zalęknionej dziewczyny, która przestraszyła się na widok kropelki krwi.

„A co mają robić? – powiedział spokojnie Jakob, kładąc jej rękę na ramieniu. – Szukają. Przecież sama widzisz”.

Trude skinęła głową, jej głos stał się naraz przenikliwy. Wyczuwało się w nim desperacką obronę. „Ale dlaczego właśnie tutaj?”.

To był rewir Bena. Dniem i nocą krążył na tym samym odcinku. Sześćset metrów od drzwi rodzinnego domu do szerokiej drogi. Potem skręcał w lewo, biegł dwa kilometry pomiędzy ciągnącymi się wzdłuż drogi ogrodami i polami do bungalowu Lukki. Tam znów robił skręt w lewo i biegł dalej jakieś osiemset metrów do gospodarstwa Laesslerów, skąd kierował się w lewą stronę, biegnąc na ukos trochę więcej niż kilometr i docierał do rozpadliska, starego krateru po

bombie. Stamtąd znów na przełaj, znów w lewo jeszcze raz dobry kilometr aż do lasu Bendchen, skąd wracał później do domu rodziców, gdzie kończyła się jego codzienna marszruta.

Na swoim szlaku zatrzymywał się od czasu do czasu, robiąc krótsze lub dłuższe postoje. Czasem kucał godzinami na polu kukurydzy należącym do Paula Laesslera, które otaczało z dwóch stron posiadłość Heinza Lukki na skrzyżowaniu dróg. Czasem wymachując różnie składaną łopatką, przekopywał całe metry ziemi w poszukiwaniu ukrytych skarbów, które miał nadzieję znaleźć w rozpadlisku. Niekiedy przyczajał się w lasu Bendchen. Nocą było tam szczególnie ciekawie. Ben dobrze o tym wiedział.

Jakob to wiedział, Trude to wiedziała. Przypuszczalnie wiedzieli wszyscy we wsi, zwłaszcza po tym, jak którejś czerwcowej nocy Ben właśnie tam wystraszył Anette Laessler i Alberta Kressmanna, którzy spłoszyli się jak dwie kuropatwy. Albert chełpił się potem, że załatwił na cacy stukniętego Bena. O tym, jak wysiadł z samochodu i chwytając się za rozporek, ryczał szyderczo: „Uważaj, co robisz idioto, jak cię przypiliło, złap się za swój interes!”, podczas gdy najstarsza córka Paula w największym pośpiechu zakładała bluzkę i spódnicę, Albert rzecz jasna nie opowiedział, ale ludzie i tak wiedzieli swoje. I śmiali się na boku z przygody przyłapanej na gorącym uczynku parki.

W kilka dni później Paul Laessler, przypuszczalnie na prośbę Antonii, która ze swoim wielkim włoskim sercem niejedną skruszyła kopię, stając w obronie Bena, postanowił odwiedzić starego przyjaciela. „Daj mu spokój, Jakob. Chłopak na pewno dawno zapomniał o całej sprawie. Nie ma sensu przypominać mu o tym. Szkoda twoich i jego nerwów. Zresztą, o czym tu gadać? Przecież tylko sięgnął ręką do środka samochodu. Nie musieli otwierać okien. A w ogóle, to co oni tam robili, do cholery, grzybów szukali po nocy, czy co?”.

To samo pytanie zadawała sobie Trude. I okropnie się irytowała, że jej ukochany lasek Bendchen zamienił się w dom rozpusty.

Jakob wzruszył ramionami, dając jej tym gestem do zrozumienia, że jest całkowicie spokojny, ale i on czuł, że lada moment wpadnie w histerię. Ben był poza domem tej nocy, kiedy znikła Marlene. Myśl, że mógłby mieć coś wspólnego z jej zniknięciem, nawet przez ułamek sekundy nie pojawiła się w głowie Jakoba. Wtedy jeszcze nie. Ojciec Bena obawiał się czegoś w gruncie rzeczy nieszkodliwego.

Tylko zakładając, że ktoś go tam widział. W takim przypadku będą musieli go zatrzymać. Ale on nie da się niestety zatrzymać. A to oznacza znów, że jeśli sobie z nim nie poradzą, będą musieli oddać go do zakładu. I kółko się zamyka.

To był koszmar Trude. Jakob o tym wiedział. I wiedział też, że dla Bena byłby to koniec. Mury, kraty i zastrzyki, jeśli zacznie wariować. Czy w takim zakładzie ktoś będzie się przejmował tym, że on ponad wszystko potrzebuje swobody, ruchu, przestrzeni? Że nie pragnie niczego więcej tylko biegać, skakać i pokopać trochę tu i tam?

„Gdzieś muszą przecież zacząć – powiedział Jakob i dodał po kilku sekundach: – Najwyższy czas. Minął już cały tydzień! Czytałaś? Tych dwóch typów, z którymi była na dyskotecę, do tej pory się nie zgłosiło”.

Trude skinęła głową. Przez chwilę stali w milczeniu obok siebie. Kilka oddalonych postaci wyszło z lasu i teraz kręciło się na drodze. „Chyba nie chcą stratować pszenicy Richarda? – powiedział powoli Jakob, podnosząc głos. „Przyniosę lornetkę, nic nie widzę”.

Odwrócił się i poszedł do drzwi. Kątem oka zlustrował łóżko. To było jak odruch bezwarunkowy. Barwna kapa leżała gładko na kołdrze i poduszkach. Nagle poczuł lekkie ukłucie pod sercem. Dawniej u wezglowia ich małżeńskiego łóża zawsze leżały dwie paradne poduchy całe w koronkach, haftach i falbankach. A pomiędzy nimi siedziała lalka, o której przypominał sobie, oglądając twarz Marlene Jensen w gazecie.

We wrześniu sześćdziesiątego dziewiątego Jakob wygrał tę lalkę na święcie strzelców, to był niezwyklej urody egzemplarz. Trude po prostu straciła głowę na jej widok i dałaby się pokroić na kawałki,

żeby ją mieć. Lalka była prawie tak duża jak trzy – lub czteroletnie dziecko. Śliczna porcelanowa twarzyczka okolona długimi do ramion jasnymi lokami, ułożonymi kunsztownie na czubku głowy we wspaniały kok. Biała koronkowa suknia, obszyta błękitnymi wstążkami z atłasu, pod spódnicą obręcz, dzięki której suknię można było rozpiąć na łóżku niczym koło samochodu.

Kupił losy za dziesięć marek, pudło – jedno po drugim. A potem główna wygrana. Trude niemal oszalała z radości, złapała go za rękę i ściskając ją z całych sił, krzyczała: „Nie wierzę! Jak Boga Kocham, nie wierzę!”.

To było tak dawno temu, że teraz wydawało mu się prawie nierealne. Jakob uśmiechnął się melancholijnie. Dziewczynki były jeszcze małe, Anita miała sześć lat, Baerbel dwa, o Benie nikt jeszcze wtedy nie myślał. Tylko Trude wciąż powtarzała, że bardzo chciałyby mieć syna, że koniecznie muszą mieć syna. Któż inny, jeśli nie ich syn, miałby przejąć gospodarkę?

W niedzielę po porannej kawie wybrali się z obiema córkami na festyn. Trude od razu zobaczyła lalkę. Nic nie powiedziała. Ale Jakob zobaczył jej spojrzenie. Dzieci jeździły na karuzeli, śmiejąc się i piszcząc z radości, potem poszli razem do straganów. Jakob kupił dziewczynkom lemoniadę i serca z piernika. Anita dostała jeszcze lalkę Murzynkę, a Baerbel pluszową małpkę.

Wieczorem, kiedy dzieci już spały, poszli na zabawę. Jakob zgalowany w paradny uniform bractwa strzeleckiego, Trude ze świeżą trwałą ondulacją, w nowej jasnoniebieskiej sukience z organdy.

Siedzieli przy stole w wielkim namiocie razem z Richardem Kressmannem i Theą, która wtedy jeszcze nazywała się Ahlsen. Był tam również Paul Laessler ze swoją młodziutką żoną Antonią, która lada dzień miała się rozsypać. Tańczyli, pili piwo, żartowali i podśmiewali się z Heinza Lukki, który – choć stuknęła mu czterdziątka – wciąż nie mógł znaleźć sobie żony.

Heinz Lukka też nieźle sobie popił i teraz z czerwoną jak upiór twarzą usiłował porwać do tańca jakąś dziewczynę. A ponieważ

rozglądał się tylko za młódkami, dostawał jednego kosza po drugim. Widząc, że nic tu po nim, machnął ze złością ręką, dał za wygraną i jeszcze przed dziesiątą poszedł do domu.

Kiedy niepokieszony adwokat opuścił namiot, znów wzięli go na języki. Wtedy mogli to jeszcze robić i spekulować, zastanawiając się, dlaczego Heinz Lukka do tej pory się nie ożenił. Zachodzili więc w głowę, czy to starokawalerstwo ma jakiś związek z jego wysoką i chudą postacią upodabniającą go do grochowej tyczki, czy może raczej z ludzką pamięcią – ojciec Heinza był przecież zatwardziałym nazistą, a wiadomo niedaleko pada jabłko od jabłoni, jaki ojciec taki syn.

Tymczasem Heinz Lukka w widoczny sposób dystansował się od starych, złych czasów, wstępując przed laty w szeregi unii chrześcijańsko-demokratycznej. W każdą niedzielę z samego rana spieszył do kościoła, a przedtem zanosił jeszcze świeże kwiaty na grób matki. A te bukiety – trzeba je było widzieć – musiały kosztować majątek. Ale nawet i to niczego nie zmieniło. Pewnych rzeczy się nie zapomina...

Za plecami Heinza Lukki do tej pory często padało słowo „nazista”. Cóż z tego, że od wielu lat był podporą towarzystwa, członkiem rady gminy i niezastąpionym doradcą prawnym dla takich jak Richard Kressmann, który często drżał jak osika, obawiając się, że zabiorą mu prawo jazdy. Lub starego Kleu, dręczonego regularnie przez żądania alimentacyjne przeciwko jego jurnemu synowi i żądania wynagrodzenia szkody po bijatykach Bruna. Komendant młodzików spod znaku Hitlerjugend. Tego nigdy nie wybaczone Heinzowi Lucce. Ludzie nie darowali mu wszystkich tych małych i dużych szykan, które napawały lękiem i grozą takich jak Paul Laessler i Jakob Schloesser. Mając czternaście lat, był ulubieńcem niemieckich dziewcząt. W wieku czterdziestu odchodził z kwitkiem.

Thea – jak zawsze dobrze poinformowana – nie omieszkała uraczyć towarzystwa ostatnią nowiną, opowiadając, że Heinz Lukka spoziera tęsknym okiem na Marię Laessler. Maria miała dopiero

siedemnaście lat. Kiedy Paul to usłyszał, chciał natychmiast wybiec z namiotu i obić pysk staremu capowi. Antonia razem z Jakobem powstrzymali go wspólnymi siłami. Thea tylko wzruszyła ramionami, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Paul tak się niezdrowo podnieca. W końcu, było nie było, też jest dwadzieścia lat starszy od swojej żony. A Heinz Lukka ma z pewnością poważne zamiary wobec Marii, w przeciwieństwie do tego żółtodzioba Bruna Kleu, któremu jak każdemu młodzieniaszkowi chodzi tylko o jedno. A jeśli Paul będzie w dalszym ciągu pozwalał swojej siostrze, żeby prowadziła się z tym nicponiem, to nie powinien się dziwić, jeśli już niedługo urośnie jej brzuch. Końcowej kwestii towarzyszył wymowny gest.

„Nic ci do tego, to moja sprawa, mój problem – warknął Paul. – A z Brunem zrobiłem już porządek. Od kilku tygodni nie pokazuje się na horyzoncie. W zeszłą sobotę Maria umówiła się z Erichem Jensenem”.

Również i tę kandydaturę Thea na miejscu Paula przemyślałaby co najmniej trzy razy. Tak czy inaczej, majątny adwokat z dobrze prosperującą kancelarią w Lohbergu jest o niebo lepszą partią niż młody aptekarz. Thea mocno powątpiewała w to, czy apteka Jensena utrzyma się we wsi, zwłaszcza po tym, jak Erich Jensen dał jej kosza. Przecież większość ludzi już teraz jeździ do Lohbergu realizować recepty, choćby Toni i Ilia von Burg.

Tak, Heinz Lukka z całą pewnością jest lepszym kandydatem niż Erich Jensen, przekonywała Thea. A przy tym to człowiek anielskiej dobroci, który swoją młodą żonę będzie nosił na rękach i obsypywał prezentami. Thea już jako dziecko często bywała w domu rodzinnym Lukki z powodu przyjaźni jej ojca ze starym Lukką. W każdym razie doskonale znała panujące tam stosunki i samego Heinza Lukkę, którego naprawdę szczerze żałowała.

W młodych latach jego matka wszystko popsowała, zmarnowała mu życie. Chłopak marzył o medycynie, ale rodzice się nie zgodzili. Posłuszny Heinz, chcąc nie chcąc, musiał kontynuować rodzinną tradycję i po skończeniu studiów przejął część obowiązków

w kancelarii prawniczej swojego ojca. Jakby tego jeszcze było mało, jego okropna matka skutecznie wystraszała każdą dziewczynę, z którą Heinz się umawiał. Nigdy nie odważył się walnąć pięścią w stół i powiedzieć starej, co o tym wszystkim myśli.

Teraz w okolicy nie było żadnej kandydatki, która pasowałaby do niego pod względem wieku. Mógłby od biedy starać się o jakąś wdowę albo rozwódkę z dziećmi. Ale takiej nie chciał. Trzeba to zrozumieć, ten mężczyzna ma swoją dumę i nie chce zadowalać się nadgryzioną kromką chleba. A Maria Laessler, to rozpieszczone stworzenie, miałaby u Heinza raj na ziemi, uważała Thea. Już on by się o to postarał, żeby Maria nie musiała brudzić sobie rączek ciężką pracą. Stać go na to.

Thea tak się zapaliła do swojej wizji, że nie zauważyła nawet, iż siedzący obok niej Richard po dziesiątej wódce zsunął się z ławki i zasnął na podłodze. Jakob i Trude pomogli jej załadować go do samochodu. Na koniec powąłesali się trochę po jasno oświetlonym placu, wdychając w przesycone oparami piwa i papierosów płuca chłodne wieczorne powietrze. Karuzela i diabelski młyn stały już w bezruchu. Jeszcze tylko niektóre budy były otwarte.

Losy za dziesięć marek.

„Zwariowałaś?” – powiedziała Trude głosem, w którym słychać było wyraźnie radosne oczekiwanie. Pudło – jedno, drugie, trzecie... Nic. Białe strzępki papieru jak płatki śniegu opadające na stopy. A potem główna wygrana. Trude odtańczyła radosny taniec zwycięstwa. „Nie wierzę! Jak Boga kocham, nie wierzę!”.

Lalka trafiła na honorowe miejsce – ich małżeńskie łoże, posadzona pomiędzy paradnymi poduchami. Czasami trzeba jej było uprać sukienkę, ponieważ trochę się zakurzyła. Trude zawsze prała ją w rękach, potem starannie płukała, prasowała z największą ostrożnością i znów zakładała na lalkę.

Była bardzo rozczarowana, kiedy po raz pierwszy zdjęła jej sukienkę. „Popatrz tylko!”. Wskazujący palec wycelowała w geście oskarżenia. Na łóżku siedziała goła lalka – głowa, ręce i nogi były z porcelany, ale tułów okazał się pospolitym kretonowym workiem

wypełnionym trocinami. Kiedy miała na sobie koronkową suknię, nie było tego widać. Tak, naga prawda o jej pięknej lalce wcale nie podobała się Trude.

Przez długie lata siedziała pomiędzy poduszkami. I nagle z dnia na dzień po prostu znikła. Ben miał wtedy siedem lat. Przez wiele dni Trude wypytywała go z anielską cierpliwością, przemawiała głosem słodkim jak miód. „Gdzie ją schowałeś, no powiedzże. Jeśli ją zepsułeś, nic nie szkodzi, spróbuję ją zreperować”. Na koniec wytaczała zawsze najcięższe działa: „Jak mi powiesz, gdzie jest lala, dostaniesz wielkiego loda albo nawet dwa”.

Wtedy można go było jeszcze przekabacić za pomocą lodów waniliowych. Ale tym razem nawet ten wypróbowany chwyt zawiódł. Wszystkie wysiłki Trude zmierzające do odzyskania lalki okazały się daremne. Nigdy więcej nie pojawił się choćby strzęp koronkowej sukni albo okruch porcelany. A teraz ci ludzie tam, za oknem, szukali jedynej córki aptekarza.

Jakob przemógł się w końcu, to nie był najlepszy moment, żeby wspominać stare dzieje. I starą lalkę. Zżymając się na samego siebie, że właśnie teraz musiał sobie o niej przypomnieć, poczłapał z sypialni do drzwi po przeciwnej stronie korytarza, za którymi znajdował się pokój Bena.

Jego syn wrócił do domu o szóstej rano. Pograżony w półśnie Jakob nie słyszał, kiedy wchodził do domu, zbudził go dopiero dobiegający z jego pokoju hałas, który zawsze towarzyszył odprawianym przez Bena niezrozumiałym rytuałom i skrzętnemu chowaniu skarbów przynoszonych regularnie z wypraw po całej okolicy. Już od dawna nie oddawał rodzicom wszystkiego, co znalazł na łące, w polu, co wykopał w lesie...

Jakob zajrzał do jego pokoju, sądząc, że znajdzie go pograżonego we śnie, ale Ben siedział na podłodze. Między jego nogami leżało kilka ziemniaków, ich łupiny zdobił wryty nożem wzór. Zaledwie drzwi się otworzyły, Ben schował pospiesznie prawą rękę za plecy. Potem, jak gdyby nigdy nic podniósł głowę, spojrzał Jakobowi prosto w twarz

i nagle zaczął mrugać jak kot, który zebrze o przyjaźń.

Jakob zauważył pospieszny gest i domyślił się, że schowana za plecami ręka kryje coś ciekawego. Niewiele myśląc, wyciągnął swoją w jego kierunku i zażądał krótko: „Co tam masz? Natychmiast pokaż!”.

Ben wyjął rękę z za pleców szerokich jak wrota stodoły, zwiesił głowę i skulił się w obronnym geście, kiedy Jakob wyjmował mu z dłoni nóż. To był jeden z małych ostrych nożyków kuchennych, których Trude używała do obierania ziemniaków. Od tygodnia na próżno go szukała, ale o tym Jakob nie wiedział. Tak jak nie wiedział o wielu innych rzeczach, i co gorsza – dobrze o tym wiedział.

Teraz będzie musiał go skarcić. Sęk w tym, że stanowczo zbyt często go karcił, łajał i bił, a często gęsto niesprawiedliwie. Z bezsilności i gniewu, ponieważ nie widział innego sposobu, aby przemówić mu do rozumu. Ponieważ zbyt późno przejrzał na oczy, zbyt późno zrozumiał, że dobrym słowem można znacznie więcej wskórać.

Kiedy to wreszcie pojawił, jego dobre słowa miały dla Bena już tylko połowę wartości. Słuchał ojca prawie zawsze. Ale posłuszeństwo niewiele ma wspólnego z miłością – a już całkiem nijak ma się do zaufania. Zaufanie i miłość Bena należały do kogoś zupełnie innego.

Jakob wetknął nóż za pasek spodni, rozejrzał się po pokoju, ale nigdzie nie dostrzegł lornetki. „Szkło” – powiedział krótko.

Ben z zadziwiającą szybkością podniósł się z podłogi, Jakob za każdym razem nie mógł się nadziwić, jak to się dzieje, że ten kolos jest tak żwawy i zwinny. Stał teraz na środku pokoju, marszcząc czoło i najwyraźniej nad czymś się zastanawiając.

„Szkło – powtórzył Jakob. – Gdzie je położyłeś?”.

Ben, ociągając się, podszedł do szafy, otworzył drzwi mocnym szarpnięciem i zaczął obiema rękami grzebać w stosie bielizny. W końcu z najdalszego kąta wyciągnął jakiś szklany przedmiot i podał go Jakobowi wyraźnie niezadowolony.

To był jeden z weków Trude, napełniony po brzegi czarniawymi, spleśniałymi kawałkami ziemniaków o dziwacznych kształtach

i rulonikami zasuszonych liści babki lancetowej. Był tam jeszcze strzęp materiału, który niegdyś mógł mieć niebieski kolor, ale teraz z powodu grubej powłoki okropnego brudu nie można było tego stwierdzić z całą pewnością.

Pleśń niemal wyrastała z pokrywki słoja. Ze środka bił przyprawiający o mdłości ohydny, słodkawy fetor. Jakob skrzywił się z obrzydzeniem, kiedy w jednym ze zrolowanych liści odkrył rozkładające się truchło polnej myszy.

„Nie – powiedział – nie o to mi chodzi. Daj mi inne szkło, wiesz które”. Aby lepiej wyjaśnić, co ma na myśli, wziął pod pachę słoik, wygiął oba kciuki i palce wskazujące i przyłożył je sobie do oczu.

Ben zrozumiał w lot, podbiegł do łóżka, podniósł wielką szmacianą lalkę, pogmerał pod poduszką i wyjął lornetkę. Jakob szybko ją pochwycił i podszedł do okna. Najpierw skierował lornetkę na południowy wschód, ogarnął wzrokiem rozległe pola buraków cukrowych, kartofli i żyta. Za nimi leżało rozpadlisko. W tym miejscu teren dziwacznie opadał.

W marcu czterdziestego piątego, praktycznie w ostatnich tygodniach wojny zrzucono tam jeszcze kilka bomb. Przedtem w tym miejscu stało gospodarstwo Kessmanna. Okazałe obejście, w owym czasie jedyne, które było usytuowane poza obrębem wsi, w szczerym polu. Ojciec Richarda zatrudniał dwudziestu ludzi. Jednak tego wieczoru, kiedy na jego folwark spadły bomby, wszyscy byli w gospodzie Ruhnolda na jakimś zebraniu. Wzięli ze sobą nawet Igora, rosyjskiego robotnika przymusowego, który wtedy prawie nie rozumiał po niemiecku. I na całe szczęście również pięcioletniego Richarda.

W obejściu została tylko jedna stara, głucha jak pień służąca, której polecono doglądać mającej lada chwila ocielić się krowy. I kiedy wszyscy przysłuchiwali się z uwagą dynamicznemu odczytowi Wilhelma Ahlsena, który wzywał ludność do mobilizacji ostatnich sił, stara służąca pomimo alarmu przeciwlotniczego nie zgasiła lampy oświetlającej podwórze. Sabotaż, grzmiał później Wilhelm Ahlsen.

Głuchota, mówili inni, wzruszając ramionami. Jakby nie było, kwitnące gospodarstwo Kressmanna zamieniło się w kupę gruzu i nigdy nie zostało odbudowane na tym samym miejscu.

A miejsce było niesamowite. Gerta Franken opowiadała dawniej, że noc w noc przychodzi tam stara służąca, żeby zgasić lampę oświetlającą podwórze. Ale Gerta Franken opowiadała za swego życia wiele bredni. Ci, którzy teraz pojawili się przy ruinach starego folwarku, z całą pewnością nie byli duchami.

Tuż przy krawędzi rozpadliska stało kilka samochodów osobowych, obok kręcili się jacyś mężczyźni w cywilnych ubraniach, jeden z nich trzymał w ręce megafon. Jakob domyślił się, że są to pracownicy policji kryminalnej, mylił się jednak. Byli to członkowie ochotniczej straży pożarnej.

Wciąż trzymając słój pod pachą, Jakob podniósł do oczu lornetkę i wtedy zobaczył wyraźnie kilku mężczyzn schodzących w dół leja, nie było z nimi psów. Przez kilka minut przyglądał się z uwagą, jak znikają pomiędzy wysokimi kępami pokrzyw i ostów. Kiedy znów obrócił się w stronę Bena, poczuł się naraz dziwnie zmęczony i stary.

Dwa cetnary odpowiedzialności, a może jeszcze więcej. Nigdy nie dał postawić się na wagę, dlatego nikt dokładnie nie wiedział, ile naprawdę waży ten olbrzym. Bena z pewnością nie można było nazwać grubym, przeciwnie – barczysty, muskularny i piekielnie silny dzięki codziennym forsownym biegom i harówce na dworze, miał ciało jak gladiator. Łagodny jak baranek, Trude często to powtarzała. A Jakob też nigdy nie widział na własne oczy, żeby Ben zrobił cokolwiek jakiemuś żywemu stworzeniu w złych zamiarach. Ale przy jego sile nie musiał to być wcale zły zamiar, czego dowodziły liczne kurczaki, które dokonały żywota w jego mocarnych łapskach.

Jakob wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi i na wszelki wypadek przekreślił tkwiący w zamku klucz. Potem wrócił do sypialni i czym prędzej postawił wek z ohydną zawartością na komodzie. Trude stała jeszcze przy oknie, zastygła w bezruchu, wpatrując się ze skamieniałą twarzą w rażące światło słoneczne. Wyglądała przy tym

tak, jak gdyby właśnie zobaczyła diabła swawolącego w skrzących się promieniach.

„W rozpadlisku też szukają – powiedział Jakob ochrypłym głosem. – Zamknąłem go. Lepiej żeby dzisiaj nigdzie nie wychodził. Nie musi im biegać przed oczami”. Był przygotowany na głośny i zdecydowany protest. Ale Trude tylko skinęła głową z rezygnacją.

„Znów miał przy sobie nóż” powiedział Jakob z lekkim wyrzutem, wyciągnął nóż zza paska i rzucił go na łóżko.

Trude odwróciła się tylko na moment i spojrzała od niechcienia na nóż. „Musiał go znaleźć na dworze – wyjaśniła spokojnie. – Ten nie jest nasz. Wszystkie noże zamknęłam w kredensie”.

Czas nauki

Jakob dowiedział się wreszcie o kurczakach. I za każdy rozgnieciony kłębuszek pierza Ben wziął tęgie baty, ojciec nie miał litości. To było jeszcze przed wizytą u profesora. Trude stała obok, przypatrując się z boleścią niedoli syna i czuła się winna. Ponieważ zabierała ze sobą Bena do kurnika, ponieważ nie uważała, schodząc z oblodzonego stopnia przed kuchennymi drzwiami, ponieważ go urodziła. Zamknęła oczy, w piersi serce jak kawał ołowiu. W mózgu wiedza, że w taki czy inny sposób musi się nauczyć respektu dla innych żywych istot.

Jednak wszystko, czego się nauczył Ben, to był strach przed ojcem. Nie rozumiał związku między rozgniecionym rano kurczakiem a razami, które spadały na niego jak grom z jasnego nieba, kiedy wieczorem siedział przy stole nad pełnym talerzem, rażno majtając nogami, wpatrzony w karmiącą go Trude. Czasami leżał już w łóżku, gdy naraz wpadał rozwścieczony Jakob i wyciągał go spod kołdry. Sprawy zaszły tak daleko, że zaczynał żałośnie skamlać i chował się pod stołem albo w jakimś ustronnym kącie, kiedy tylko Jakob pojawiał się w drzwiach.

Wizyta u profesora wiele zmieniła, poglądy Trude, jej nastawienie do różnych spraw, niemal całe jej zachowanie. W sukurs przyszła jej rozpoczynająca się właśnie wiosna. Jakob całe dni spędzał na polu i nie mógł wiedzieć, co tak naprawdę działo się w ciągu dnia w domu, na podwórzu i w ogrodzie. Kiedy wieczorem dopytywał się o to, patrząc przenikliwie na Trude, odpowiadała spokojnie: „Dzisiaj był bardzo kochany. Niczego nie zbroił mój synek, tylko grzecznie sobie

siedział. Przez chwilę nawet się zastanawiałam, czy nie jest chory”.

Był prawdziwym dzikusiem, w żaden sposób nie można go było okiełznać. Choroby się go nie imały. Nigdy nie miał nawet spróchniałego zęba, pomimo zatrważającej ilości słodyczy, które pochłaniał każdego dnia. Od rana do wieczora szalał po domu jak huragan, harcował na podwórzu, podskakiwał do góry jak sprężyna i wymachując na wszystkie strony rękami i nogami, wydawał z siebie swoje dziwne gardłowe okrzyki. Czasami Trude przychodziły na myśl słowa Gerty Franken wspominającej małą Christę von Burg. Podskakiwała i szczebiotała, taka w niej była radość życia. Być może to było tylko to. I może była to tylko potrzeba czułości, kiedy pocierał sobie kurczaka o policzek.

Kiedy następne piskłę skonało w jego rękach, Trude nie rzuciła padliny do kubła w obawie przed Jakobem, który zawsze mógł ją tam znaleźć, ale spaliła niefortunna ofiarę czułości w kuchennym piecu. Potem poszła do stodoły, gdzie mieszkało kilka kotów. Wyszukała ślicznego małego kociaka, wzięła Bena za rękę, delikatnie przeciągnęła nią po miękkim futerku, i na koniec pokazała mu, jak można go nosić na ręku lub za kark. Jeśli tak bardzo chce mieć jakieś żywe stworzenie... Kotek był krzepki, miał mocne pazurki i w razie potrzeby mógł się obronić.

Dwa dni nosił go wszędzie ze sobą, trzymając za karczek lub kołysząc na rękach jak niemowlę, wtulał twarz w futerko, puszczał go na podwórzu, żeby kotek trochę sobie pobiegał, a potem znów go łapał, zanim ten zdążył czmychnąć do stodoły. Wieczorami przemycił go do swojego łóżka. Trude patrzyła na to niechętnym okiem, ale w końcu powiedziała sobie, niech się dzieje wola boska i jakoś do przeboleła. Kilka razy jego nowy przyjaciel, najwidoczniej zirytowany nadmiarem czułości, trochę go pogryzł i podrapał, ale wydawało się, że bardziej go to dziwi, aniżeli mu przeszkadza. Trzeciego dnia przyłapała go na tym, jak przytapiał zwierzątko w beczce na deszczówkę.

Pewnie chciał go tylko wykąpać, powiedziała sobie, uspokajając

własne sumienie. Przecież sam uwielbiał się kąpać i mógł godzinami pluskać się w ustawionej na podwórzu balii. Uderzyła go lekko po palcach, na dwie sekundy przycisnęła jego twarz do wody. Kiedy się otrząsnął i zaczął chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba, powiedziała: „Widzisz, tak to jest, kiedy ktoś wciska ci głowę pod wodę. Bardzo mi się to nie podoba”.

Potem wyłowiła kotka z deszczówki, a kiedy Ben z wahaniem wyciągnął po niego rękę, powiedziała twardo: „Nie ma już kotka. Zabiłeś biedne stworzenie i musimy je teraz spalić. A nowego nie dostaniesz. Zabawa skończona!”.

Oczywiście, nie wierzyła, że zrozumiał wszystko, co do niego mówiła. Kiedy niedługo potem chciał otworzyć drzwiczki kuchennego pieca, a ona krzyknęła na niego ostro: „Paluchy precz!”, ponieważ bała się, że się poparzy, cofnął posłusznie rękę, wybiegł z kuchni i z ponurą miną krążył po podwórzu.

Następnego dnia próbował wystarać się w stodole o następcę utopionego kotka, ale już za parę minut wpadł do kuchni w dzikich podskokach i wymachując rozpaczliwie rękami, podbiegł do Trude, podczas gdy usadowione na jego karku kocisko, miaucząc przeraźliwie, wgryzało się w delikatne dziecięce ciało. Wtedy po raz pierwszy powiedział sam: „Paluchy precz!”. Czyli to akurat rozumiał.

Powoli, krok po kroku Trude uczyła się go rozumieć i na podstawie tej wiedzy właściwie z nim postępować. Na pewno nie jest złośliwy, zaopiniowała, tylko bardzo impulsywny i nieobliczalny. Dlatego nawet na pięć minut nie mogła go zostawić bez opieki. Zawsze musiała się liczyć z tym, że w następnym momencie zrobi coś, czego nikt się nie spodziewał.

To prawda, był nieprzewidywalny. Kiedyś zamyśliła się na dwie minuty i już zdążył wyciągnąć siekierę z pniaka, zamachnął się nią ponad głowę i prawie uderzył w plecy. Raz na trzy minuty zeszła do piwnicy, a on odkręcił w tym czasie kran wielkiej beczki z ropą, którą Jakob tankował traktor. Raz podeszła na minutę do telefonu i już rozerwał worek ze sztucznym nawozem. Trude zdążyła jeszcze

w ostatnim momencie zapobiec katastrofie, niweczając jednym szarpnięciem jego – aż nadto przejrzysty – zamiar napchania sobie ust mieszanką fosforanową.

Wychowując go na swój sposób, starała się wykorzystać jego pęd do naśladowania i zdecydowała, że nic się nie stanie, jeśli będzie się bawił lalką. Zresztą, i tak nie wiedział, że jest chłopcem. Może przyjdzie kiedyś taki dzień, myślała z melancholią, że będzie wdzięczna panu Bogu za to, iż jej syn tego nie wiedział. Dała mu jedną z lalek, które od dawna siedziały beczynn timer na łóżku Anity. I rzeczywiście, dzięki temu miała teraz po południu godzinę lub dwie spokoju. Czas, który był jej potrzebny, żeby uprasować kosz prania, ugotować obiad, zacerować tuzin skarpet.

Właściwy jego naturze pęd do swobody trzymała w szachu, zamykając na cztery spusty bramę podwórza. Również szerokie wrota stodoły były zawsze przymknięte, jakkolwiek teraz nie było to już konieczne. Po gorzkich doświadczeniach z wielkim kocurem omijał stodołę szerokim łukiem, zezując nieufnie w jej stronę.

Tylko wtedy, gdy brała go ze sobą do ogrodu, pojawiał się zawsze ten sam problem. Nie potrafił usiedzieć na miejscu. Jakaś siła magnetyczna gnała go nieodmiennie w stronę polnej drogi. Żeby go przy sobie przytrzymać, Trude wymyślała mu różne zajęcia. Za każdą wyrwaną główkę sałaty, za każdą zerwaną z krzaka fasolkę dostawał całusa w oba policzki i pochwałę: „Kochany Ben, to miłe, że tak dzielnie mi pomagasz, mamusia bardzo się cieszy. Ślicznie to zrobiłeś, naprawdę ślicznie”.

A kiedy wygrzebał z ziemi jakiegoś robaka lub zdjął gąsienicę z kalafiora albo stonkę z krzaka ziemniaków, mówiła: „Robaczka musisz znowu zakopać. To jest dobre dla ziemi. Ona tego potrzebuje. Inne zwierzątka są brzydkie, możesz je podeptać”. Nie deptał ich jednak, tylko chował do kieszeni spodni. Ale zanim tam trafiły, były już zgniecione.

Wiele razy umykał jej w poszukiwaniu zwierzątek – i pochwał. Kilka razy wpadła w panikę i kompletnie wytrącona z równowagi gnała po

polach z rozwianym włosiem i obłędem w oczach, rzucając się to w jedną stronę, to w drugą. Kiedy po raz piąty znalazła go na gminnej łące – to właśnie tutaj miał stanąć później bungalow Lukki – wiedziała już, gdzie go szukać i odtąd pozwoliła mu oddalać się od domu. Będąca własnością gminy łąka leżała na szczęście niedaleko – jakieś pięćset metrów od jej ogrodu, niczego nie mógł tam nabroić, co najwyżej zbierać chrząszcze i łapać motyle. Kiedy miał pełne kieszenie, sam wracał do matki, przynosząc jej z dumą swoją zdobycz.

Stopniowo życie wracało do normy. Trude odetchnęła z ulgą i stała się trochę lekkomyślna. Byłoby jednak dużą niesprawiedliwością obwiniać ją o to. Robiła przecież, co mogła, troszcząc się przy okazji, aby starsze siostry nie dokuczały mu zanadto.

Anita starannie dobierała sobie towarzystwo, rozważała każdą kandydaturę, zastanawiając się w pocie czoła, z kim powinna zawierać znajomości, a kogo skreślać z listy kandydatów. Ben zdecydowanie nie należał do jej towarzystwa. Natychmiast wpadała w histerię, kiedy tylko się do niej zbliżał, wrzeszczała wtedy na niego, tupiąc nogami i wygrażała pięściami, dając mu do zrozumienia, że nie zawaha się ich użyć, jeśli zrobi jeszcze jeden krok w jej stronę – i w ten sposób miała go z głowy. Z młodszą Baerbel, która nie zadzierała nosa tak jak jej starsza siostra, stosunki układały się nieco lepiej. W wyjątkowych przypadkach była nawet gotowa uważać na niego, żeby Trude mogła zrobić szybkie zakupy. Posyłanie Baerbel do sklepu po kilogram cukru lub puszkę skondensowanego mleka mijało się z celem, Trude przekonała się o tym niejednemu raz. Kiedyś zapomniała przynieść do domu reszty, innym razem znów zgubiła po drodze banknot pięciomarkowy, a pewnego dnia przyniosła ze sklepu cukier puder zamiast cukru żelującego, którego Trude potrzebowała pilnie do swojej galaretki jeżynowej. Zabieranie ze sobą na zakupy Bena było przedsięwzięciem tyleż samo czasochłonnym, co stresującym, więc kiedy Trude bardzo się spieszyła, wołała zaryzykować i zostawić go samego z Baerbel.

Pewnego środowego popołudnia we wrześniu siedemdziesiątego

dziewiątego Trude odkryła w spiżarni brak kilku produktów, które były jej niezbędnie potrzebne do przygotowania zaplanowanego na ten dzień obiadu, postanowiła więc skoczyć na jednej nodze do małego supermarketu przy Kirchstrasse. Baerbel siedziała jeszcze nad lekcjami. Ben bawił się na podwórzu swoją lalką, kąpał ją w beczce z deszczówką i oczywiście sam był mokry od stóp do głów. Trude poleciła córce, żeby nie spuszczała go z oczu i wskoczyła pospiesznie na rower, wołając, że niedługo wróci. Zaraz po niej podwórze opuściła również Anita, ale pogrążona w myślach nie domknęła bramy.

Trude wrzuciła do koszyka, co potrzeba, i teraz stała przy kasie, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Kasjerka wdała się w pogawędkę z nową klientką, która niedawno wprowadziła się do domu czynszowego przy Lerchenweg, najwyraźniej nie spiesząc się z obsłużeniem Trude, kiedy nagle w drzwiach pojawiła się Baerbel. Młodsza córka tłumaczyła się elokwentnie, że naprawdę tylko przez sekundę nie patrzyła na podwórze, a poza tym zdążyła już obszukać całą polną drogę i gminną łąkę. Niestety, bez rezultatu.

Podczas gdy klientka opowiadała kasjerce o mieszkaniu, które dopiero co wynajęła na parterze, podkreślając, że nie zamierza spoufalać się z sąsiadami, Trude rzuciła w kąt koszyk z zakupami i wybiegła ze sklepu. Klientka i kasjerka spojrzały na siebie znacząco. Kasjerka, która poczuła się urażona zachowaniem Trude, nie omieszkała opowiedzieć o Benie. Klientka zrewanżowała się jej, przytaczając podobny przypadek ze swojego sąsiedztwa.

Rodzina Mohn z córką Ursulą, na oko całkiem ładne dziecko, osiem albo dziewięć lat, ale takie dokuczliwe, takie natrętne, że można całkiem stracić nerwy. Obojętnie, kogo to stworzenie spotka na klatce schodowej, do każdego głupekowato szczyrzy zęby, czeka na dobre słowo, a kiedy się nie doczeka, bierze się do bicia. Bezustannie zaczepia ludzi, a co gorsza, ma w zwyczaju wycierać swoje brudne paluchy o czyste koszule lub sukienki sąsiadów i sąsiadek. Zgroza! Ale właściciel domu, Toni von Burg bimba sobie na to i lekceważy sygnały lokatorów, uważając, że robią z igły widły. Jakie to przykre, jakie

denerwujące dla wszystkich sąsiadów, zakończyła swoją opowieść wyraźnie poirytowana, kiedy tacy ludzie nie potrafią trzymać pod kontrolą swoich niespełna rozumu dzieci.

W tym czasie Trude pędziła jak wiatr przez wieś, niemal stojąc na pedałach. Baerbel wysłała do domu w nadziei, że Ben sam znajdzie drogę powrotną. Trude właśnie przejeżdżała obok kawiarni sióstr Ruettgers, kiedy usłyszała nagle, że ktoś woła ją po imieniu. Odwróciła się. Jedna z sióstr stała na krawężniku i żywo gestykulowała, dając jej znak, żeby zawróciła.

Siostry Ruettgers miały niewiele po pięćdziesiątce i obie były starymi pannami. Prowadziły kawiarnię i sąsiadującą z nią cukiernię przy wydatnym wsparciu swojej kuzynki Sibylle Fassbender, która w młodych latach wyuczyła się piekarstwa i cukiernictwa.

Ben siedział w pokoiku za cukiernią i majtał pod stołem nogami, podczas gdy Sibylle karmiła go czekoladowym tortem. Sibylle wyjaśniła, że jej kuzynka zwróciła uwagę na Bena, kiedy ten szedł po chodniku z miną wyrażającą kompletną dezorientację i na chwilę zatrzymał się przed wielką wystawą. W mgnieniu oka, bardzo przytomnie wybiegła z kawiarni, złapała go za rękę i zaprowadziła do cukierni, gdzie zajęła się nim Sibylle. Właśnie do was dzwoniłyśmy, ale nikogo nie ma w domu, powiedziała na zakończenie, wsuwając do szeroko otwartej buzi Bena ostatni kawałek tortu.

Aż do tego czasu Trude tylko jeden jedyny raz odważyła się wstąpić po niedzielnym spacerze do kawiarni sióstr Ruettgers razem z Jakobem i Benem. Namówiła ją do tego Antonia Laessler, która przy tej sposobności dała jej wykład na temat zgubnych następstw fałszywego wstydu. Jakob bardzo się wtedy zdenerwował, ponieważ Ben – jak można się było tego spodziewać – dał niezły popis ku uciesze zgromadzonej publiczności. Najpierw wysmarował Jakobowi odświętną koszulę bitą śmietaną, a potem grzmotnął niespodziewanie talerzem o ziemię. A kiedy był zajęty wyrywaniem widelca z ręki Trude, ponieważ chciał sam jeść swoje ciastko, przewrócił niechcący wazonik z goździkami. Teraz obie kobiety uznały, że najwidoczniej

było to szczęśliwe zrzączenie losu. Przecież gdyby nie tamto sensacyjne wystąpienie i stłuczony wazonik nikt w kawiarni nie wiedziałby, kto przemyka pod oknem.

Wieczorem Trude dowiedziała się od Jakoba, że tę niekłamaną sympatię Ben zawdzięcza przypuszczalnie małej Chriście von Burg. Sibylle Fassbender jako młoda dziewczyna opiekowała się Christą. Poza tym siostry Ruetters straciły na froncie wschodnim jedyne brata. Zdaje się, że ten też nie miał tak do końca po kolei w głowie, powiedział Jakob, ale na mięso armatnie był w sam raz.

Po tych słowach Jakob nagle się uśmiechnął i po raz pierwszy podziwiał pamięć Bena. „Przecież byliśmy z nim tam tylko raz. Że też zapamiętał drogę, no, no... Wiesz, coś mi się zdaje, że on dobrze pamięta miejsca, gdzie ludzie są dla niego mili. A jeśli jeszcze do tego dostanie coś słodkiego...”.

Trude nie mogła jednak uwierzyć, że źródłem owej zadziwiającej pamięci była ludzka uprzejmość lub kawałek tortu. Według niej, Ben biegał po prostu tu i tam, szukając matki, i całkiem przypadkowo trafił do kawiarni. Ale nie zaoponowała, nie chciała sprawiać Jakobowi przykrości. Cieszyła się, że są ludzie, którzy lubią Bena. I wbrew pozorom, nie było ich wcale tak mało.

Adwokat Heinz Lukka wyprowadzał regularnie rano i wieczorem swojego owczarka, spacerując z nim po polnej drodze i za każdym razem przystawał na chwilę, kiedy zobaczył bawiącego się na gminnej łące lub w ogrodzie Bena. Szpakowaty pan, uśmiechając się życzliwie, rozmawiał z nim jak z każdym innym, zawsze przyjaźnie i z widoczną sympatią. Nazywał go „swoim przyjacielem” i wtykał mu w ręce słodycze.

Stara Gerta Franken, która często obserwowała go z okna swojego pokoiku, a czasem przychodziła do warzywnika Trude, żeby z nią pogawędzić, powiedziała pewnego dnia: „Kiedy go tak porównuję z gburowatym chamkiem Richarda i Thei albo z tym małym diabłem, którego Bruno Kleu uwiązał swojej biednej żonie jak kulę u nogi, to sobie myślę, że ten chłopak wart jest złota”.

Również druga sąsiadka Trude, Hilde Petzhold uważała, że Ben mimo wszystko jest ładnym chłopcem, a co ważniejsze – ma miłe usposobienie. Dlatego jeśli Trude będzie musiała jechać do internisty do Lohbergu, zaofiarowała się pewnego dnia Hilde, ona chętnie zaopiekuje się jej miłym synkiem przez godzinkę lub dwie. Hilde Petzhold nie miała swoich dzieci, ona i jej mąż byli właścicielami jednego z mniejszych gospodarstw w okolicy liczącego sobie zaledwie pięćdziesiąt mórg. Otto Petzhold nazywał czasem swoją żonę pustym orzechem. A kiedy za dużo wypił, wrywało mu się nawet: „Tak to jest moi kochani, jak człowiek kupuje kota w worku”. Kiedy Ben przyszedł na świat, Hilde zapalała najwięcej świec przed ołtarzem Maryi nieustającej pomocy.

Sibylle Fassbender i siostry Ruettgers były wyraźnie uszczęśliwione, kiedy Trude odważyła się po raz drugi odwiedzić ich kawiarnię razem z synem. Sibylle zabrała Bena do pokoiku na zapleczu, gdzie z dala od krytycznych spojrzeń mógł jeść tak jak chce swoje ciastko, co zresztą zrobił, o czym Trude przekonała się rychło, kiedy stanął przed nią z zadowoloną miną wysmarowany od stóp do głów bitą śmietaną i kremem czekoladowym.

Antonia Laessler, która od dawna była zdania, że dla każdego dziecka nie ma nic lepszego jak kontakt z innymi dziećmi, przychodziła często w niedzielę po południu, zabierając ze sobą swoich synów i trzyletnią Anette, i za każdym razem polecała swoim chłopcom, aby bawili się z Benem. Ale Ben, chociaż skończył już sześć lat, nie bardzo wiedział, co ma począć z piłką, rowerem lub wrotkami – tak jak kiedyś z odpustowym wiatraczkiem. Miał za to wierną admiratorkę w małej Anette, która była nim po prostu zachwycona. A Antonia nie miała nic przeciwko temu, żeby bawił się z jej córeczką.

Trude od czasu do czasu podchodziła do kuchennego okna i obrzucała czujnym spojrzeniem tę dwójkę. Kiedyś zobaczyła, jak Ben leży na ziemi, na nim siedzi okrakiem Anette, łaskocze go pod żebrami i oboje śmieją się do rozpuku. Innym razem znów, wyglądając przez okno, ujrzała, jak podniósł Anette do góry, przycisnął ją mocno do

piersi, ale zaraz szybko postawił na ziemi, kiedy dziewczynka zaczęła wierzgać i piszczeć.

Niewinne dziecięce igraszki, z każdym dniem Trude była coraz bardziej przekonana, że Ben mimo całej swej nieobliczalności w gruncie rzeczy był całkowicie nieszkodliwy. Kiedy w lutym osiemdziesiątego roku Renate Kleu wtoczyła na podwórze wózek ze swoim najmłodszym skarbem, żeby Trude mogła sobie obejrzeć jej drugiego syna Heiko, który właśnie skończył miesiąc, Trude dałaby sobie uciąć rękę, że Ben jest nie tylko potulny jak baranek, ale bezwzględnie jej posłuszny.

Patrzył ze zdziwioną miną na niemowlę. Trude w lot poznała, że świerzbią go palce, ale wystarczyło krótkie: „Paluchy precz!” i zaraz schował obie ręce za plecy, kiwając poważnie głową.

Widząc to, Renate zapytała: „Jak ty to robisz, że on ciebie tak słucha? Mój Boże, co ja bym dała za to, żeby Dieter był taki posłuszny. Wyobraź sobie, wczoraj zbił małego”.

„Ben nigdy by tego nie zrobił – powiedziała z przekonaniem Trude. – Na pewno bardzo by chciał pogłaskać twojego dzidziusia. Ale ma okropnie brudne ręce, lepiej niech tego nie robi”.

Tylko kiedy pojawiała się Thea Kressmann, prowadząc ze sobą Alberta, Trude ogarniały złe przeczucia. Albert biegał przez cały czas wokół stodoły jak nakręcony bąk. Trude okropnie to irytowało, zwłaszcza że ze swojego punktu obserwacyjnego przy kuchennym oknie nie widziała, co dzieje się za stodołą. Słyszała tylko głos Alberta: „No już, zrób to, Ben”.

I Ben robił – każdą głupotę, którą najpierw zaprezentował mu Albert. Skakał więc na jednej nodze, dopóki nie rymsnął jak długi w błoto przed skręcającym się ze śmiechu Albertem. Bił się kamieniem po palcach, ponieważ nie zauważył, że Albert tylko sprytnie udaje, że uderza kamieniem w swoje palce. Walił z całej siły głową w drzwi stodoły, kiedy Albert wydał komendę: „Teraz bawimy się w taran”.

Thea od czasu do czasu wychodziła na dwór, żeby sprawdzić, czy Albert jeszcze żyje – bądź co bądź był o głowę mniejszy od Bena,

a przy tym znacznie od niego szczuplejszy, gdy tymczasem Trude uważała – i nie bez racji – że należało raczej martwić się o Bena, wydanego na pastwę swojego „mistrza”. Tak, Trude bardzo nie lubiła, kiedy bawili się razem.

Wolała już raczej zabierać go do mieszkającej po sąsiedzku Hilde Petzhold, chociaż ta zawsze w pierwszej kolejności – grzecznie, lecz stanowczo – wyjmowała mu z rąk lalkę. Hilde uważała, że taki duży i silny chłopak powinien mieć inne zainteresowania aniżeli dobre dla małych dziewczynek lalki i za każdym razem sadzała mu na kolanach wielką szaroburą kotkę, która wkrótce miała się okocić.

Trude wielokrotnie zwracała uwagę swojej sąsiadce, podkreślając z naciskiem, że Ben od czasu zdarzenia w stodole panicznie boi się kotów. Hilde machała wtedy lekceważąco ręką i mówiła: „Przecież ta miła kocina nic mu nie robi, a on dobrze o tym wie. Prawda, Ben, zobacz jaki to uroczy i grzeczny kotek”.

Ben siedział jak sparaliżowany na kanapie Hilde, zerkał tęsknie na swoją lalkę, to znów łytał ze złością na kota, który zwijał się w kłębek na jego kolanach i mrugał do niego zielonym okiem. Trude czuła, jak jej syn wstrzymuje oddech. Kiedy Hilde domagała się, żeby pogłaskał kotkę, kładł rękę na jej karku w taki sposób, że Trude zaczynały ogarniać złe przeczucia i bała się, że któregoś dnia naprawdę naciśnie....

W maju osiemdziesiątego roku złe przeczucia Trude stały się rzeczywistością, a ona sama dowiedziała się w drastyczny sposób, że za każdą lekkomyślnością i każdym nieprzemyślanym działaniem stoi kara. Incydent wydarzył się w piątek. Na rynku kończono ustawiać karuzelę i budy. We wszystkich domach panował ożywiony ruch, kobiety szorowały podłogi, myły okna, trzepały dywany i prasowały świeżo uprane chorągwie.

Przed południem Trude poszła do kurnika, żeby wyszukać jakąś starą kurę na świąteczny obiad. Ben swoim zwyczajem dreptał obok niej. A Trude odczuła nagłą potrzebę sprawienia mu radości. Wiedziała, że najbardziej cieszył się, kiedy mógł pobiec za jakimś

małym żywym stworzeniem – i na koniec je schwytać. Jakob wytłumaczył mu na swój sposób, że nie może łapać niczego, co jest większe od gąsienicy lub chrabąszcza. Ale Trude zignorowała jego zakaz, ponieważ tego dnia nie czuła się najlepiej, męczyła ją duszność i kołatanie serca, a on był przecież taki zwawny i zwinny jak łasica, i kiedy zapytała go: „Czy chcesz mi pomóc?“, omal nie fiknął koziółka z radości.

Pokazała mu przeznaczoną na niedzielny rosół kurę, a później obsypała pochwałami, kiedy ją przyniósł. Patrzył zdziwiony, jak ukreca kurze głowę. Zaledwie jednak kura wyzionęła ducha w jej rękach, pobiegł z powrotem do kurnika, złapał młodą kokoszkę, skręcił jej kark i położył Trude na kolanach z pełną wyczekiwania miną.

Gdyby Trude w tym momencie potrafiła podjąć „męską” decyzję i porządnie sprząła mu tyłek, być może to i owo potoczyłoby się w całkiem innym kierunku. Ale jak mogła go zbić, kiedy on chciał przecież tylko zrobić jej przyjemność? Czyli działał w dobrej wierze. Oskubała obie kury, rozplatała im brzuchy i zabrała się do patroszenia. Zaszokowana własną lekkomyślnością i zwawością jego ruchów, usuwała wnętrzności, patrząc ponuro na dymiące trzewia.

Może to był wyraz jej twarzy, który uderzył Bena i wprowadził go w zmieszanie. Przekrzywiając głowę, zapytał: „Ślicznie?”. A kiedy Trude nie odpowiadała, zaczął przypierać ją do muru, dopytując się raz za razem: „Paluchy precz?”. W tamtym czasie były to jedyne zrozumiałe słowa, które wydobywały się z jego ust. To była jego hierarchia wartości, rozróżnienie między dobrem i złem, między tym co dozwolone i zabronione.

„Tak, tak – opowiedziała szorstko Trude. – Paluchy precz. To było bardzo złe. Co powiedziałam?! Złapać, tylko złapać, a nie zabijać. Zabijać mogę tylko ja. Co najwyżej jeszcze ojciec, a poza tym nikt. Zapamiętaj to sobie. Jak zrobisz to jeszcze raz, będzie lanie, ale takie fest – dużym kijem!”.

Po południu bawił się na podwórzu, Trude myślała w tym czasie okna. Anita i Baerbel wyszły z domu zaraz po obiedzie, byli więc sami.

Co trzy minuty Trude porzucała wiadro i ścierkę, zbiegała na dół, stawała w drzwiach kuchni i patrzyła, co robi jej syn. Raz zobaczyła, jak majstruje przy zasuwce do kurnika. „Paluchy precz!” – krzyknęła. Spojrzał na nią jak winowajca przyłapany na gorącym uczynku i ze spuszczoną głową pokłusował na drugą stronę podwórza.

Drugi raz ujrzała go taplającego się w beczce z deszczówką i widząc zadowolenie malujące się na jego twarzy, uznała, że przez chwilę go to zajmie. Ale kiedy po dziesięciu minutach znów wyjrzała na podwórze, Bena już tam nie było.

Ogarnięta złym przeczuciem, z wizją masakry w oczach rzuciła się jak szalona w stronę kurnika. Drzwi były jednak zaryglowane podobnie jak brama na podwórze. Otwarte były za to wrota stodoły. Akurat tego Trude w ogóle nie brała w rachubę, wiedząc, że panicznie boi się kotów.

Tylko że wtedy Trude nie brała w rachubę bardzo wielu rzeczy. Na przykład fenomenalnej pamięci swojego syna i równie godnej uwagi pomysłowości Alberta Kressmanna, który już dawno temu odkrył, że koty uciekają nawet przed kropelką wody. Swoją wiedzą postanowił podzielić się z Benem, jak również niezwykle przydatną w rozmaitych sytuacjach umiejętnością napełniania pistoletu na wodę w beczce z deszczówką. A ponieważ Thea kupiła mu właśnie nowy pistolet, Albert podarował swój stary, wysłużony egzemplarz Benowi, który wprawdzie wykorzystał go najpierw w charakterze poręcznego instrumentu do ugaszenia pragnienia, jednak potem poinstruowany przez swego nauczyciela i guru popsiukał trochę tu i tam.

Podczas gdy Trude pucowała okno w sypialni, trwając w błędnym przekonaniu, że jej syn nadal tapla się w deszczówce, Ben zdążył już napełnić nową zabawkę wodą z beczki. Teraz musiał jeszcze tylko uchylić ciężkie wrota stodoły, wcisnąć się w szczelinę i czekać z bijącym sercem na napastników. Kiedy nic się nie wydarzyło i z kąta nie wyjrzał żaden szarobury łepiek, dał za wygraną i postanowił zrobić mały rekonesans po okolicy.

Trude sądziła, że zna jego cel i pobiegła co tchu w nogach na

gminną łąkę. Tam go nie było. Popędziła więc w innym kierunku i w końcu dotarła na tyły gospodarstwa Laesslerów, gdzie zaczynało się szczerze pole. Przystanęła chwilę na jego skraju, omiotła szybkim spojrzeniem równiutkie zagony, jak okiem sięgnąć nic, kompletna pustka. Bena ani widu, ani słyhu. Nie było go również u Antonii. Szukać go we wsi Trude nie chciała z obawy, że wzbudzi niepotrzebną sensację.

Pobiegła z powrotem do domu, chwyciła za słuchawkę i pospiesznie wykręciła numer kawiarni sióstr Ruetters. Nikt nie widział Bena. Tymczasem minęła czwarta, od ponad godziny był gdzieś w drodze. Tylko gdzie? Również telefony do Uli von Burg i Renate Kleu nie zaowocowały żadną rewelacją. Ilia i Renate bardzo się przejęły i obiecały, że będą miały oczy i uszy otwarte, no i rzecz jasna, nie pisną ani słowa swoim mężom o wycieczce Bena.

Po telefonie do Thei Kressmann Trude właściwie niczego sobie nie obiecywała. Pomijając to, że w niedzielę cała wieś dowie się, że Trude puściła swojego syna bez opieki. Nowe gospodarstwo Kressmannów leżało w odległości ponad kilometra od przeciwległego skraju wsi. Stanowczo za daleko, zaopiniowała Trude.

Nie wiedziała, co robić, biegała więc tam i z powrotem pomiędzy bramą na podwórze i ogrodem, wyglądała na ulicę lub na polną drogę i swoimi głośnymi nawoływaniami zwróciła tylko uwagę starej Gerty Franken. Przez chwilę dotrzymywała jej towarzystwa Hilde Petzhold, ale potem Hilde poszła dalej szukać swojej ciężarnej kotki, która wykorzystwała moment nieuwagi swojej pani i dała drapaka.

„Wiem, jak to jest – powiedziała Hilde i pokiwała głową ze współczuciem. – Ja też często szukam tych swoich dzikusów i szczerze mówiąc, różnie z tym bywa. Jednego ktoś mi przejechał, na drugiego poszczuli wielkie psisko, kilka kotów otruli mi albo zastrzelili. A kiedy idę na policję, śmieją się ze mnie. Draństwo. Ale ty powinnaś może zadzwonić na posterunek i porozmawiać z dyżurnym. Wiesz, chodzi mi o to, że kiedy przyjdzie Jakob, to co mu powiesz, jeśli Bena nie będzie w domu? No, idę szukać swojej kici”. I poszła, rozglądając się uważnie

na wszystkie strony.

A Trude naprawdę nie wiedziała, co ma powiedzieć Jakobowi. Wiedziała tylko, że nie chce dzwonić na policję. Doskonale pamiętała uwagę, którą Thea Kressmann zrobiła po wizycie Bena w kawiarni sióstr Ruetters. „Możesz się cieszyć, że wszystko poszło tak gładko. A przede wszystkim dyskretnie. Gdyby tylko zobaczyli go co poniektórzy, kiedy włóczył się sam po wsi, no wiesz, taki Erich na przykład. Już sobie wyobrażam jego minę, a zwłaszcza jego komentarze i dobre rady”.

Trude wcale nie musiała sobie tego wyobrażać. Dobrze wiedziała, co powiedziała by jej Erich Jensen. Przywołując typowy dlań przyjaźnie protekcyjny ton, za którego pośrednictwem przekazywał ludziom uczucie czystego jak łąza, szczerego współczucia, Erich powiedział by z całą pewnością: „Trude, wiem i rozumiem, że człowiek może być przeciążony już samą tylko opieką nad takim dzieckiem. A przecież masz na głowie jeszcze sto innych rzeczy. Uważam, że najlepszym rozwiązaniem dla was wszystkich jest ośrodek. To naprawdę byłoby dla ciebie wielkie odciążenie. Przemyśl to”.

Tak wyglądała jedna strona medalu. Drugą był instynkt, a może szósty zmysł obudzony po południu przez kurę. Wszystkie niewypowiedziane lęki, uśpione przez pozorny spokój ostatnich miesięcy. Wszystkie te – prawie zapomniane już – obawy, złe przeczucia, że kiedyś zrobi coś, przyniesie jej coś, czego nie będzie mogła potem spalić pod kuchnią.

Wrócił kilka minut po piątej. Wyglądał jak upiór. Gdzie był, co robił, tego Trude nigdy się nie dowiedziała. Był brudny od stóp do głów i cały wysmarowany krwią. W jednej ręce trzymał pistolet na wodę, w drugiej krwawy ochłap, w którym Trude rozpoznała strzęp szaroburego kociego futerka.

Najpierw widziała tylko ten strzęp i krew, czuła gorące dławienie w gardle, wypadła na dwór i zwymiotowała obok kuchennych drzwi. Dręczyły ją potworne wyrzuty sumienia, nie mogła darować sobie własnej bezmyślności, tego że podczas szlachtowania kury trzymała

go obok siebie, że pozwoliła mu patrzeć na jej śmierć i w ten sposób być może podsunęła mu myśl pozbycia się zwierzęcia, które budziło w nim bezgraniczny lęk.

Kiedy tak wsparta o framugę drzwi dławiała się i charczała, łapiąc z trudem powietrze, on położył zlaną krwią ochłap na kuchennym stole, potem opróżnił zawartość swoich kieszeni i rozłożył ją pieczołowicie na blacie stołu. Trude spojrzała w tamtym kierunku, na środku stołu czerwieniły się krwawe wnętrzności, a pomiędzy nimi kilka nienarodzonych kociąt i wysadzany masą perłową, pomazany krwią nóż.

Patrzył na nią z wyczekiwaniem. Kiedy, ociągając się, weszła z powrotem do kuchni, wyjaśnił jej zdecydowanym tonem: „Paluchy precz!”. Na koniec upewnił się jeszcze: „Ślicznie?”.

Trude potrząsnęła głową, a potem potrząsała nią jak w transie, nie mogąc w żaden sposób przestać tego robić. „Nie – powiedziała w końcu ochryplym głosem, który z trudem wydobywał się z jej krtani. – Nie, nie zrobiłeś tego ślicznie. To było bardzo, bardzo złe”.

A potem, Trude sama nie wie, jak to się stało, przecież przysięgała sobie tysiąc razy, że nigdy nie będzie bić swojego syna, chwyciła go nagle za rękę, przełożyła sobie przez kolano i uderzyła z całej siły, raz, drugi, trzeci, a potem biła go z taką pasją, która zdumiałaby niechybnie ganionego aż nadto często za swoje brutalne akcje karne Jakoba. „Jeśli jeszcze raz to zrobisz! – krzyczała przeraźliwym głosem. – Jeśli jeszcze raz to zrobisz!...”. Więcej nie mogła z siebie wydusić. Puściła go dopiero wtedy, gdy jęcząc i skamlając, zsunął się z jej kolan i zwinął w kłębek na podłodze jak zdeptany robak.

Trude wstała, niech leży, pomyślała mściwie i wzięła się za czyszczenie kuchennego stołu, szorując go z taką zaciekłością, aż rozboleły ją palce. Potem podniosła Bena z podłogi i pociągnęła go za sobą schodami do góry, do łazienki. Dopiero kiedy go rozebrała, przekonała się, że nie była to tylko kocia krew.

Na dłoniach i przedramionach miał niezliczone mniejsze i większe zadrapania. Koszula i spodnie były doszczętnie porwane i nadawały się

tylko do wyrzucenia. Gdyby nie krwawy ochłap i wnętrzności na stole, Trude pomyślałaby, że tarzał się w jeżynach Gerty Franken. Na jego plecach odkryła czerwoną pręgę przebiegającą na wysokości łopatek. Wyglądało to na uderzenie batem lub innym przedmiotem tego rodzaju.

Wsadziła go do wanny i starannie opatrzyła wszystkie zadrapania, przemywając je jodyną. Potem spaliła koszulę i spodnie pod kuchnią i próbowała się dowiedzieć, gdzie wpadli na siebie – Ben i kot Hilde Petzhold, jak mógł w ogóle zrobić coś takiego i gdzie, u diabła, znalazł ten przeklęty scyzoryk. To był drogi egzemplarz i z pewnością nie należał do standardowego wyposażenia kuchni. Ale niewiele z niego wyciągnęła. Na każde pytanie odpowiadał tylko drżącym głosem: „Paluchy precz”.

Kiedy wieczorem przyszedł do domu Jakob i widząc podrapane ręce i ramiona Bena zażądał stosownych wyjaśnień, Trude powiedziała bez mrugnięcia okiem: „Biegał po ogrodzie Gerty i zaplątał się w jeżyny”. A po chwili dodała: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Myślę, że to będzie dla niego dobra nauka na przyszłość”.

Jakob uwierzył, a Trude niemal umierała ze strachu na myśl, że jest jakiś świadek. Za tym, że był taki ktoś, przemawiała aż nadto dobitnie purpurowa pręga na plecach Bena. Przecież ona sama biła go tylko po pupie, i tylko ręką...

20 sierpnia 1995

W niedzielę wczesnym popołudniem tłum zgromadzony przy lasku Bendchen i rozpadlisku gęstniał z godziny na godzinę. Akcja poszukiwawcza zerwała na nogi połowę wsi. Całymi rodzinami zmierzano w stronę rozpadliska, niecodzienne wydarzenie było doskonałą okazją do nieco dłuższego niż zazwyczaj niedzielnego spaceru. Nikt nie odważył się jednak podejść zbyt blisko. Ponieważ z odległości stu metrów nie można było zobaczyć niczego godnego uwagi, zarządzono w końcu odwrót i wszyscy spotkali się w kawiarni sióstr Ruettgers, aby przedyskutować wydarzenia minionego tygodnia.

Przy jednym z kawiarnianych stolików siedzieli Bruno i Renate Kleu razem ze swoim najmłodszym synem. Piętnastoletni Heiko przechwalał się głośno wyczynem swojego brata występującego teraz w charakterze świadka. Mówił przy tym tak, jak gdyby Dieter Kleu zmobilizował policję do wszczęcia akcji poszukiwawczej – co w istocie odpowiadało faktom, ale o tym później.

Słyszając to, Bruno nadał się jak paw i odśpiewał hymn pochwalny na cześć swojego syna, na co ten i ów gość przy kawiarnianym stoliku uśmiechnął się tylko ukradkiem, zadając sobie pytanie, czy ów „świadek koronny” Dieter Kleu nie uciekł się aby do pomocy manewru dywersyjnego, podsuwając policji dwóch nieznanym tylko po to, aby odwrócić jej uwagę od własnej osoby, którą być może należało w pierwszej kolejności wziąć pod lupę.

Było publiczną tajemnicą, że Dieter Kleu jest żywo zainteresowany bliższą znajomością z Marlene Jensen. Nie tylko on zresztą. Śliczna jak malowanie dziewczyna przyprawiała o przyspieszone bicie serca wielu

młodzieńców we wsi. Jednak w przeciwieństwie do innych wielbicieli, którzy poprzestawali na tęsknych spojrzeniach lub dwuznacznych uwagach – jak choćby Albert Kressmann, który często powtarzał, że miałby ochotę zabawić się w chowanego z uroczą kuzyneczką Anette – Dieter Kleu udowodnił nie raz i nie dwa, że jest nieodrodnym synem swojego ojca, chadzając często w jego ślady.

Nie minęły jeszcze trzy tygodnie, jak Maria Jensen żaliła się na niego Thei Kressmann. „Jeśli tak dalej pójdzie – zakończyła poirytowana – będę musiała poważnie porozmawiać z Renate. Dość tego, niech przykaże swojemu synalkowi, żeby z łaski swojej trzymał ręce w kieszeniach, zamiast naprzykrzać się młodym dziewczętom, które nie chcą mieć nic wspólnego z tym prostakiem”.

Jeszcze dziś we wsi żywa była pamięć młodzieńczych grzeszków Bruna. Każdy wiedział, w jaki sposób zdobył swoją żonę, która długo zwlekała z podjęciem ostatecznej decyzji. Wzorem starych Germanów wygarbował skórę młodemu mężczyźnie, który zapłonął nagłą miłością do Renate, i każdej niedzieli czekał na nią pod lodziarnią, a kiedy tamtędy przechodziła, wręczał jej jedną różę. Brutalna akcja odwetowa Bruna ostatecznie wyeliminowała rywala z gry i położyła kres romantyzmowi, a jego płomienna miłość do Renate zgasła tak samo nagle, jak rozgorzała. Ale to był tylko jeden z relatywnie nieszkodliwych incydentów.

Były inne, znacznie poważniejsze. Ludzie we wsi nie zapomnieli, że Bruno w swoich młodych latach zupełnie stracił głowę dla pięknej matki Marlene. I nie było takiej siły, która mogłaby go powstrzymać. Nie pomogła nawet energiczna interwencja Paula Laesslera, który „raz na zawsze” zrobił z nim porządek, o czym opowiadał z błyskiem w oku na święcie strzelców we wrześniu sześćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to Jakob Schloesser z kubelka pełnego pustych losów wyciągnął główną wygraną dla Trude.

Na początku października sześćdziesiątego dziewiątego Paul, który zdecydowanie bardziej wolał, żeby jego siostra umawiała się ze statecznym Erichem Jensenem, był zmuszony po raz drugi ostudzić

zapędy Bruna, który strasznie bruździł temu związkowi, wpychając się „między wódkę a zakąskę”. Nie przepuścił żadnej okazji, żeby naprzykrzać się Marii i zapewniać ją o swoim niezmiennym oddaniu. Za pierwszym razem Paul poprzestał na dobitnym, aczkolwiek słownym upomnieniu. Przy drugim nie wytrzymał i dobrał się zalotnikowi do skóry. Bruno przez wiele dni przemykał po wsi z podbitym okiem i opuchniętą wargą, przysięgając niedoszłemu szwagrowi straszliwą zemstę.

Wkrótce potem, pod koniec października sześćdziesiątego dziewiątego Maria została napadnięta i niemal zgwałcona. Według oficjalnej wersji jakaś zamaskowana postać męskiego rodzaju zaczęła się późnym wieczorem przy polnej drodze i zaciągnęła nadchodzącą Marię w pobliskie zarośla. Szczęście w nieszczęściu, że rosły one w ogrodzie starej Gerty Franken, tak iż przypadkowo przechodzący polną drogą Heinz Lukka, który wybrał się na spacer ze swoim owczarkiem, zdążył jeszcze w ostatniej chwili zapobiec najgorszemu. Zamaskowanej postaci udało się wprawdzie umknąć, ale nikt we wsi nie miał wątpliwości, kim był ów tajemniczy „człowiek w masce”.

Kilka ukutych ad hoc teorii zaprzeczających oficjalnej wersji cieszyło się w tamtym czasie sporą popularnością. Mówiono więc, że Heinz Lukka przyszedł zbyt późno, żeby zapobiec najgorszemu. Że Maria wstydziła się przyznać, że rozpoznała napastnika. A stary Kleu przekabacił na swoją stronę Heinza Lukkę, wymachując mu przed nosem okrągłą sumką, i w końcu namówił go do złożenia zeznań po jego myśli.

Teraz we wsi znów wrzało jak w ulu. Chociaż Bruno Kleu zadbał o to, żeby jego syn trzymał się z dala od ludzi tak długo, aż z jego twarzy zniknie spektakularny fiolet, ślady bijatyki z dyskoteki nie uszły czujnym oczom sąsiadów. A ponieważ nikt nie wiedział, komu Dieter zawdzięcza zmieniony koloryt swojej fizys, zastanawiano się nad tym i owym, możliwości było wiele.

Tymczasem nikt już nie wierzył, że zobaczy jeszcze Marlene żywą. Tylko Thea Kressmann, której w dalszym ciągu nie opuszczał

optymizm, upierała się, że dziewczyna uciekła z domu, ponieważ chciała zagrać na nosie swoim rodzicom. A przede wszystkim – zemścić się na swoim ojcu. Tym razem jednak słowa Thei nie znalazły uznania nawet w oczach jej męża. Wysłuchawszy kwiecistej oracji swojej żony, Richard warknął ze złością, że znowu plecie bzdury i że, jego zdaniem, nie należy oczyszczać ze wszystkich zarzutów dwóch nieznanomych typków tylko dlatego, że jedyny świadek sam nie jest kryształowo czysty.

Wypowiedziane przez Richarda Kressmanna w dobrej wierze i bez żadnych podtekstów słowa wywołały całkowicie odmienny od zamierzonego skutek. Użyty przez niego zwrot „kryształowo czysty” był kroplą, która przelała czarę goryczy, budząc w Brunie drzemającą bestię. Ani chybi doszłoby do bijatyki między obu mężczyznami, gdyby Renate, widząc co się święci, nie zapłaciła pospiesznie za kawę i ciastka i nie zmusiła swojego męża do wyjścia, chwytając go energicznie za ramię i ciągnąc w kierunku drzwi.

Bruno gotował się z wściekłości. A kiedy już na ulicy Renate spytała go niespodziewanie: „Słuchaj, właściwie to gdzie byłeś w ostatnią sobotę?”, jego rozgoryczenie sięgnęło zenitu.

Kilku gości, śledzących z uwagą dalszy bieg wypadków ze swoich bezpiecznych pozycji za szybą kawiarni, zobaczyło, jak Bruno nagle się zamachnął i z całej siły uderzył swoją małżonkę w twarz, że Renate wybuchła płaczem, na co piętnastoletni Heiko zacisnął pięść i pogroził ojcu. Potem Heiko złapał matkę za ramię i ruszyli razem w stronę domu. Bruno jeszcze przez chwilę stał na chodniku, a potem wielkimi zamaszystymi krokami powędrował w przeciwnym kierunku.

W tym samym czasie Ben siedział zamknięty w swoim pokoju. Z początku zachowywał się spokojnie. Kiedy Jakob opuścił pokój, niosąc w jednej ręce wek, a w drugiej lornetkę, położył się do łóżka i spał przez kilka godzin. Potem Trude zabrała go na obiad. Ale kiedy chciał wyjść na dwór, przytrzymała go za ramię. „Dzisiaj nie, Ben”.

Gdyby chciał, mógłby z łatwością strząsnąć jej rękę i odejść. Ale skrzywdzić swoją matkę, zadać jej ból, to było jak cięcie na własnym

ciele. Nawet pies wie, że nie kąsa się ręki, która daje jeść. To co jego ojciec uważał za miłość, to był po prostu instynkt, właściwa każdemu stworzeniu wola przeżycia.

Mógł odejść również wtedy, kiedy puściła jego ramię. Przecież mówiła już nieraz: „Dzisiaj nie, Ben”. A mimo to odchodził. Tym razem jednak obok siedział jego ojciec. A respektu przed pięściami Jakoba nigdy nie stracił. Nigdy też nie pojął, że w miarę upływu lat stosunek się przesunął się potężnie na niekorzyść ojca.

Opierając się i mruczając pod nosem, pozwolił zatem zaprowadzić się znów na górę. Jakob siedział w największym pokoju i słyszał, jak biega nad jego głową od okna do drzwi, od drzwi do okna, tam i z powrotem, miotając się jak dzikie zwierzę w klatce. Wiele razy łomotał pięściami w drzwi, potrząsał klamką i wołał: „Paluchy precz!”.

Trude przeczuwała, co to znaczy. Domyślała się, iż przepełnia go niepokój o jego świat, tam na dworze, że boi się o swoje trawy, pokrzywy i osty, o kwiaty i zarośla tratowane teraz przez żądny sensacji tłum. Zniosła mu na pociechę lody waniliowe, a później jeszcze dużą tabliczkę czekolady i próbowała go uspokoić: „Nie martw się, tam jest tylko policja. Oni na pewno niczego ci nie zepsują, nie zniszczą, tylko trochę się rozejrzą. Kiedy już sobie pójdą, będziesz mógł wyjść. Usiądź i pobaw się trochę. Gdzie twoja lalka?”.

Potem Trude biegała tam i z powrotem od okna sypialni do jego pokoju. Ale nigdy nie zapomniała przekręcić za sobą klucza w zamku, kiedy wychodziła z jego pokoju.

Późnym wieczorem, kiedy ostatni ciekawscy znikli z horyzontu, a zaraz po nich wyniosła się również policja i straż pożarna, Jakob w towarzystwie syna wyruszył na długi spacer, który od dawna już był żelaznym punktem programu każdej niedzieli. Jakob przepadał za włóceniem się po polach, a najbardziej lubił to robić, kiedy towarzyszył mu syn.

Nie stracili jeszcze całkiem z oczu gospodarstwa, kiedy Jakob jak zawsze zaczął mówić. Ben był jedyną osobą, której mógł się ze wszystkiego zwierzyć. A robił to tym chętniej, że jego syn nigdy nie

udzielał odpowiedzi, nigdy nie dawał dobrych rad i nie robił żadnych głupich propozycji, tylko przysłuchiwał się z poważną miną, kiedy ojciec opowiadał, co mu leży na sercu. Dzisiaj Jakob mówił o wyrzutach sumienia z powodu przekręconego w zamku klucza i jeszcze o wielu innych rzeczach.

„Chodźmy zobaczyć, co oni tam narobili” – powiedział w pewnym momencie Jakob, chociaż, prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło. To nie były już jego buraki i jego pszenica. To skończyło się przed kilku laty. Spółka z Paulem Laesslerem i Bruno Kleu przez długi czas nieźle funkcjonowała, później jednak jego dwaj wspólnicy postawili na specjalizację i Jakobowi nie pozostało nic innego, jak zrezygnować z gospodarki.

Bóg nie dał mu innych synów. Tylko Bena, olbrzyma, który miał siłę za dziesięciu, oczy sowy, pamięć słonia i rozum komara. Wprawdzie w miarę upływu lat stało się jasne, że znany profesor nieco przesadził, formułując swoją tragiczną w rzeczy samej diagnozę. Kilka rzeczy Ben przyswoił sobie na wskroś, ale niestety nie nauczył się niczego rozsądnego. Być może dałoby się wykrzesać z niego jeszcze to i owo, gdyby tylko Trude potrafiła zdecydować się na umieszczenie go w ośrodku, gdzie otrzymywałby stosowne wsparcie. Ale kiedy tylko pojawiała się ta kwestia, Trude mówiła „po moim trupie”, ucinając w ten sposób wszelką dyskusję na ten temat. I pewnie dlatego nie można było potem niczego już zmienić.

Zatrzymali kury i dwie świnie na własne potrzeby. Mocno uszczuplonym inwentarzem zajmowała się Trude, dbała też o duży ogród warzywny, który założyła na tyłach domu, powiększając swój stary warzywnik. Całą ziemię oddali w dzierżawę Bninowi Kleu. Nową stodołę Bruno dzielił z Paulem Laesslerem. Paul wykorzystywał ją na magazyn do składowania słomy. Bruno wstawił tam kombajn, rad, że nie musi teraz robić objazdu wokół całej wsi, jadąc do swoich buraków cukrowych, którymi obsadził pole nieopodal rozpadliska.

Z samej tylko dzierżawy nie dało się żyć. Jakob zdawał sobie z tego sprawę, wiedział też, że nie jest już najmłodszy i z niepokojem

patrzył w przyszłość. Miał jednak szczęście, Heinz Lukka puścił w ruch swoje znajomości i pomógł mu załatwić pracę. Od kilku lat Jakob był pracownikiem magazynowym w markecie budowlanym Wilmrod. Od świtu do późnych godzin wieczornych jeździł wózkiem widłowym po wielkiej hali baumarketu w Lohbergu. Segregował palety ze śrubami, sworzniami i kołkami, z muszlami klozetowymi, wannami i brodzikami. Zapełniał regały w dziale sprzedaży, kiedy nikogo innego nie było na podorędziu.

I czasem miał uczucie, że dusi się pomiędzy wszystkimi tymi regałami. Wtedy zadzierał do góry głowę i spoglądał na oszklony sufit, szukając wzrokiem kawałka nieba. W takich chwilach ogarniała go dziwna empatia i czuł każdym swoim zmysłem, każdym nerwem, że jego dziki syn nie zniósłby zamknięcia w murach zakładu.

To musiał być zew krwi, dziedziczony z pokolenia na pokolenie zwierzęcy instynkt, uczucie wspólnoty z matką ziemią – żywicielką, które zagłuszyła współczesna technika. W przypadku Bena ów pierwotny instynkt jeszcze raz doszedł do głosu, by z całą siłą powrócić do źródeł. Maszyny napawały go panicznym lękiem, ze swoją składaną łopatką dokonywał prawdziwych cudów. Kiedy kopał, niczego nie niszczył. Brał wzgląd na każde, nawet najmniejsze źdźbło trawy, które musiał usunąć, żeby przeryć ziemię w poszukiwaniu skarbów. Po skończonej operacji wsadzał je z powrotem na swoje miejsce. I robił to z taką pieczołowitością, że wszystko wyglądało tak, jakby nikt nigdy tam nie kopał.

Kiedy zapadała noc, ciągnęło go do natury jak wilka do lasu – od połowy lipca każdą noc spędzał poza domem, co nie zawsze było po myśli Jakoba. Czasami jego wyprawy kończyły się niefortunnie, tak jak w czerwcu, kiedy podkradł się do mercedesa Alberta Kressmanna i pogłaskał Anette Laessler po nagiej piersi. Zeszłego lata Bruno Kleu opowiadał, że przeraził się na śmierć, kiedy Ben pojawił się nagle niczym widmo koło jego samochodu. Oczywiście Jakob zaraz zadał sobie pytanie, czego też Bruno mógł szukać w środku nocy z dala od własnego domu. Chyba nie sprawdzał swoich buraków. I jeszcze to

„śmiertelnie przerażony” – wierzyć się nie chce, znając tego hultaja Bruna.

Przestraszyła się zapewne tylko dama, która dotrzymywała mu towarzystwa. A jeśli nie chciała zapraszać Bruna do swojego łóżka, jeśli była zmuszona zabawiać się z nim w lasku Bendchen lub gdzie indziej, to musiała mieć jakiś ważki powód – przypuszczalnie był nim małżonek. Jakob z pewnością nie należał do stróżów moralności, mimo to jednak pomyślał z satysfakcją, iż taka nauczka przydała się występnej parce. Bo powiedziane jest: Nie cudzołóż!

Ale doskonale rozumiał, że niektórzy mogą się bać Bena. Przecież jego syn nie miał wypisane na czole, że jest łagodny jak baranek. A kiedy dziecko o wzroście dwóch metrów z plecami jak wrota stodoły, pięściami jak kowalskie miechy, z lornetką przed oczami i składaną łopatką za pasem pojawia się nagle w środku nocy obok zaparkowanego samochodu lub kocyka rozłożonego na skraju lasu, to nie dziwota, że każdy bierze nogi za pas, zamiast się upewniać, czy rzeczywiście jest łagodny jak baranek i całkowicie nieszkodliwy. Ci, którzy go znali, jak Albert Kressmann, Bruno Kleu i kilku innych, wiedzieli, co należy robić, jak się zachować. Ale obcy...

„Musimy pogadać... – zaczął Jakob, kiedy zbliżali się wolnym krokiem do Bendchen. – Nie mam nic przeciwko temu, że biegasz całymi dniami po dworze. Ale na noc powinieneś zostawać w domu. Przynajmniej tak długo, aż sprawa się wyjaśni. Rozumiesz?”

Ben skinął głową. Była to jednak tylko reakcja na spokojny i poważny ton głosu ojca, ten sam ton, w którym Jakob zwykł zwierzać mu się ze swoich codziennych trosk i najskrytszych tajemnic.

„Zgadzasz się, to dobrze – powiedział Jakob. – To na pewno nie potrwa już długo. Kiedy znajdą córkę Ericha lub jeśli dziewczyna sama zjawi się w domu...”. Urwał i westchnął ciężko. „Ale tak między nami, nie bardzo w to wierzę. Gdyby naprawdę nic się jej nie stało, ci dwaj sami zgłosiliby się już dawno na policję i powiedzieli, czy w ogóle ją podwieźli i gdzie wysadzili”.

Ben znów skinął głową, wolno, z powagą, po chwili zaś wyrwał

niespokojnie do przodu, zostawiając ojca daleko w tyle. Pozostawiony samemu sobie Jakob zatopił się ponownie w swoich rozmyślaniach. Martwił się o Trude, znał aż nadto dobrze te nieświadome subtelne gesty, uparte milczenie i nieobecny wyraz twarzy, który uderzył go niemile dzisiejszego dnia. Przez wszystkie te lata Trude drżała z obawy, że któregoś dnia przyjdzie oficjalne zawiadomienie o nakazie umieszczenia Bena w zakładzie. Teraz odchodziła od zmysłów, ponieważ był poza domem właśnie tamtej fatalnej nocy, ponieważ ktoś mógł go widzieć, ponieważ policja razem z psami przeszukiwała jego rewir.

Jakob był mocno przekonany, że akurat dla nich nie ma to żadnego znaczenia, policjanci robili tylko to, co do nich należało, zwykłe rutynowe działania. Cóż, czasy się zmieniły. Dawniej dziewczyny przepadały bez wieści i nikt się o to nie troszczył. Ale wtedy znikali też czasem tacy jak Ben... Wpatrzony w szerokie plecy syna Jakob podążał z wolna za swoim olbrzymem – i swoimi myślami.

Ben zatrzymał się nagle, przyłożył lornetkę do oczu, skierował ją na skraj lasu i czekał, aż ojciec podejdzie bliżej.

„Tutaj, mój kochany, możesz długo szukać – powiedział Jakob z melancholią w głosie. – Jeśli coś tutaj znika, to już na amen. Chyba że wiesz, gdzie kopać...”. Wyciągnął rękę, wskazując nią w kierunku, w którym patrzył Ben. „Widzisz, tam, za tą kępą drzew znaleźliśmy dawno temu taką jedną, Paul i ja”.

Potem Jakob opowiedział mu o Edith Stern, która przed wojną była zaręczona z synem właściciela gospody Wernerem Ruhpoldem i o której do tej pory chodzą po wsi słuchy, że zdołała uciec nazistom. No cóż, można było to i tak ująć, Edith rzeczywiście nigdy nie trafiła do obozu zagłady, choć jej ucieczka była ucieczką w śmierć. Jakob najlepiej to wiedział, ale nigdy nie pisał o tym nikomu ani słowa.

Tylko Benowi mógł opowiedzieć o ziemiance, którą on i Paul Laessler urządzili sobie w korzeniach prastarego buku, któremu piorun rozplątał potężny pień.

Zimą czterdziestego trzeciego często się tam bawili, kiedy po domach szeptano już z trwogą, że nikt nie może być pewien swojego życia, jeśli nawet niewinne dzieci, takie jak Christa von Burg, muszą umierać na zapalenie płuc tylko dlatego, że wkładają sobie do ust coś, czego inni się brzydzą.

Jakob i Paul nie mieli pojęcia o czającym się wokół strachu, który kładł się cieniem na całą wieś, a zwłaszcza na żydowskie rodziny Sternów i Goldheimów. Obu chłopców dręczyły zgoła innego rodzaju lęki, kiedy chowali się w swojej doskonale zamaskowanej kryjówce. Siedząc w kucki przy mdłym świetle lampy naftowej, opowiadali sobie straszliwe historie o swoich starszych braciach. Nikt nie wiedział, co się naprawdę z nimi stało. Zagubieni lub polegli ku chwale ojczyzny. Daleko od rodzinnej wioski, w Rosji lub we Francji.

Paul wierzył święcie, że któregoś dnia przyjdzie również ich kolej, i że – chcąc nie chcąc – będą musieli zostać bohaterami. Tylko Toni von Burg prawdopodobnie nie będzie musiał, ponieważ ojciec Toniego powiedział pewnego razu do matki Paula: „Zanim zabiorą mi i tego, osobiście odrąbię mu siekierą rękę i połowę nogi. Wtedy będzie mógł w inny sposób zrobić karierę”.

I przy całej swej młodzińczej odwadze i niezłomnej wierze w Führera, trochę się bali tego bohaterstwa, mieli przecież dopiero jedenaście i dwanaście lat. Najciekawsze, że znacznie mniej bali się wroga, który nie miał twarzy. Ale jeśli tam, na froncie dowodzą tacy sami idioci jak komendant miejscowej Hitlerjugend Heinz Lukka? Od takich lepiej trzymać się z daleka.

Dlatego od pewnego czasu zaczęli rozważać możliwość rozbudowy swojej kryjówki, umocnienia jej deskami i zgromadzenia na wszelki wypadek większych zapasów żywności. Potem chcieli zaatakować z zasadzki, kiedy wróg podejdzie bliżej. Żeby wreszcie przyszedł, o to każdego wieczoru modlił się ojciec Toniego von Burga. A matka Paula zanosila modły do Boga, żeby modlitwy rodziny Burg zostały jak najszybciej wysłuchane. Paul doskonale o tym wiedział. W domu Laesslerów wieczorami rozmawiało się o tym i owym. A Paul nie

zawsze spał jak suseł.

Wiosną i latem czterdziestego czwartego nie mogli oddalać się od domu, musieli pomagać rodzicom na polu i w stodole, wieczorami zaś padali na łóżko śmiertelnie znużeni, nie mogąc już doczekać się jesieni.

Latem czterdziestego czwartego roku ziściły się złe przeczucia Sternów i Goldheimów. Pewnego razu Wilhelm Ahlsen, nadzorujący wywózkę żydowskich rodzin, zauważył, że brakuje takiej jednej – Edith Stern, dwadzieścia pięć lat, śliczna, młoda i zakochana. Gdyby nie wojna, od kilku lat nazywałaby się Edith Ruhpold.

Kiedy pociąg ze Sternami i Goldheimami znikł w oddali, Werner Ruhpold zaczął kurować się intensywnie z odniesionych na wojnie ran, udając się każdego dnia na długie spacery, których celem był lasek Bendchen. We wsi szeptano, że na swoje wędrówki zabierał chleb i suchy prowiant. To były potajemne szeptki, nikt nie chciał mu zaszkodzić. Żaden normalny człowiek nie miał też nic przeciwko Sternom i Goldheimom. Stary von Burg i jeszcze kilku innych śmiało się nawet do rozpuku, zacierając ręce na myśl, że Edith Stern wymknęła się staremu Ahlsenowi.

Pod koniec lata Jakob i Paul chcieli zbadać stan swojej ziemianki i ku swemu zdziwieniu znaleźli ją zasypaną. Niewiele myśląc, pobiegli do domu po łopaty, a potem kopali w pocie czoła aż do samego wieczora i w końcu odsłonili jakąś twarz. To była Edith Stern. Paul zaraz ją rozpoznał, chociaż wyglądała okropnie. Ktoś zmiażdżył jej czaszkę. Co jeszcze z nią robił, tego woleli się nawet nie domyślać. Nie mogła leżeć długo pod ziemią. Ale jak tam trafiła, tego we wsi nigdy się nie dowiedziano. Z prostej przyczyny – Jakob i Paul ogarnięci nagłą paniką w dzikim pośpiechu znów zasypali ziemią jej twarz, a potem, stojąc przy starym buku, poprzysięgli sobie wzajemnie, że będą milczeć jak grób i nigdy nie zdradzą nikomu swojej tajemnicy. Nawet księdzu na spowiedzi.

Kiedy wszystko się skończyło i można było znów mówić otwarcie kto z kim, jak długo i dlaczego, ludzie powrócili do sprawy

spektakularnej ucieczki młodej Żydówki. Niedługo po zakończeniu wojny Werner Ruhpold złożył publiczną deklarację, że tak naprawdę nigdy nie zerwał swoich zaręczyn z Edith i że przez wiele tygodni ukrywał swoją narzeczoną w jamie, którą odkrył przypadkowo w lasku Bendchen. Werner Ruhpold opowiedział jeszcze, że pewnego razu w czasie jednego ze swoich wieczornych spacerów, które służyły mu jako pretekst, aby regularnie dostarczać jej żywność, skradał się za nim jak cień młody Heinz Lukka, który skończył akurat szesnaście lat, ale już wiedział, jak ustawić się w odpowiednim świetle i ostrzył sobie zęby na wszystko, co mogło przyspieszyć jego awans.

Rzecz jasna, Werner Ruhpold, widząc, co się święci, był tego wieczoru bardzo ostrożny i nawet nie zbliżył się do kryjówki swojej ukochanej. Poszedł za to do gospodarstwa Kressmanna i w największej tajemnicy poprosił robotnika przymusowego Igora, żeby ten ostrzegł Edith i ewentualnie zanosił jej żywność do chwili jej ucieczki, ponieważ sam już nie odważył się tam pójść. Wychodząc z założenia, że młody Lukka opowiadał o wszystkim swojemu ojcu, nietrudno dośpiewać sobie zakończenie tej historii. Stary Lukka i Wilhelm Ahlsen byli wtedy przecież w wielkiej zażyłości.

Igor potwierdził słowa Wenera Ruhpolda, opowiadając później, że jeszcze tej samej nocy ostrzegł Edith, która pospiesznie opuściła swoją kryjówkę i udała się w niewiadomym kierunku. Po jej ucieczce sam osobiście przysypał jamę, aby zapobiec podejrzeniu, że Werner ukrywał wrogów Rzeszy. Wszyscy wierzyli Igorowi, czemu nie mieliby tego robić. Dobry był z niego chłop i tylko Jakob i Paul wiedzieli, że Rosjanin kłamie. A potem zaczęli się zastanawiać, dlaczego to robił. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni i detektywistycznej żyłki, żeby się domyślić, kto rozplątał czaszkę Edith Stern. Trzeba było tylko wziąć pod uwagę czas i okoliczności. Samotny Rosjanin, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym nawet nie mógł marzyć o tym, że któregoś dnia ujrzy znów swoją daleką ojczyznę i znajdzie sobie tam żonę. I młoda Żydówka, której brak odczuwał boleśnie tylko jeden mężczyzna.

Werner Ruhnold kochał i czekał – rok, pięć lat. Nawet po dziesięciu latach wciąż trwał w swojej niewzruszonej, naiwnej wierze, że Edith udało się uciec za granicę. Że poznała tam innego mężczyznę, wyszła za mąż, urodziła dzieci i po prostu o nim zapomniała. Miał nadzieję, że ułożyła sobie życie, że jest szczęśliwa, i że któregoś dnia w końcu przypomni sobie o nim i się odezwie. Aż do swojej śmierci wiosną osiemdziesiątego pierwszego Werner Ruhnold wierzył i czekał.

„Zawsze miałem nieczyste sumienie, kiedy go widziałem – ciągnął swoją opowieść Jakob mimowolnie ścisząc głos. – Paul i ja wiele razy zastanawialiśmy się, czy pomimo wszystko nie powinniśmy powiedzieć mu o swoim odkryciu. Ale nie chcieliśmy wpędzać w tarapaty starego Igora. W końcu on też był tylko skrzywdzonym przez los biedakiem, a Paul w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, że on naprawdę to zrobił. Sęk w tym, że nikt inny nie wchodził w rachubę... Ale zawsze byliśmy zgodni co do tego, że Werner nie przeżyłby tej wiadomości. To był złoty człowiek, spokojny i dobry jak anioł. Kiedy stał za barem i uśmiechał się, od razu lżej się robiło na sercu. Pamiętam, że kiedy umarł, pomyślałem sobie: nareszcie są razem...”.

Dotarli do skraju lasu. Jakob zatrzymał się i wycelował wskazującym palcem w podeptane pokrzywy. „To musi być mniej więcej tam”.

Stary buk z rozszczepionym pniem został ścięty na początku lat pięćdziesiątych. Potężne korzenie przetrwały jeszcze parę lat, ale czas i robactwo zrobiły swoje, więc w końcu i one spróchniały. Teraz rosło na tym miejscu kilka młodych świerków.

Jakob westchnął ciężko: „Ona pewnie wciąż leży tam, na dole”.

Ben spojrzał na ojca i powoli skinął głową jak gdyby wyczuwając powagę chwili.

„A może – powiedział Jakob, cedząc słowa – może córka Ericha też leży gdzieś tutaj. Przecież ty i ja dokładnie wiemy, gdzie zajeżdżają samochody z dyskoteki”.

Ben znów kiwnął twierdząco głową, a Jakob zatoczył ręką szeroki

łuk. „Tutaj jest dużo miejsca. A jeśli została dostatecznie głęboko zakopana, nawet psy nic nie poradzą. Ale żeby coś dobrze ukryć, zwłaszcza takie coś – Jakob urwał i spojrzał znacząco na Bena – trzeba też dobrze główkować. Mam rację, mój ty głuptaku?”.

Althea Belashi

W sierpniu osiemdziesiątego roku, piętnaście lat przed zniknięciem Marlene Jensen, do wsi przyjechał cyrk. Barwny cyrkowy ludek rozbił swój namiot na rynku, gdzie w maju i we wrześniu zjeżdżali się na odpust i święto strzelców właściciele jarmarcznych bud. Na każdej latarni, każdej skrzynce rozdzielczej i bez mała na każdym domu rozklejono ręcznie malowane plakaty, na których wielkimi literami były po kolei wyszczególnione wszystkie atrakcje.

Do tej pory cyrk gościł tylko w Lohbergu. Ale tego lata w miasteczku nie było miejsca dla objazdowego przedsiębiorstwa rozrywkowego, które okrutnie biedując, jakoś przetrwało zimę razem ze swoimi zwierzętami, zdane na łaskę dobrych ludzi, którzy dokarmiali wychudzonych czworonożnych artystów. To była licha buda, okrągły namiot straszący wielkimi łatami, który czasy świetności miał dawno za sobą, kilka starych drewnianych wozów cyrkowych dla ludzi, zwierząt i sprzętu, pomiędzy którymi rozwieszono na długich sznurach suszyło się pranie.

Kilku mieszkańców domów położonych przy rynku zaczęło niebawem uskarżać się na to nowe sąsiedztwo. Erich Jensen utrzymywał, że ani w dzień, ani w nocy nie można otwierać okien sypialni i pokoju dziecięcego z powodu zatrważającej ilości much i wdzierającego się do mieszkań okropnego fetoru. To skandal, żeby w ten niehumaniczny sposób znosić jeszcze coś takiego, mówił z irytacją każdemu, kto chciał go słuchać. Heinza Lukkę, który wtedy jeszcze wynajmował mieszkanie obok apteki, najbardziej denerwował dobiegający od strony cyrku hałas.

Obiekcje obu zdegrustowanych lokatorów domu przy rynku wydawały się z lekka przesadzone, ponieważ nocą nikt tutaj nie hałasował, jeśli zaś chodzi o „okropny fetor”, to też nie mogło być aż tak źle. I nie było, ponieważ, wyłączając pory przedstawień, większość cyrkowych zwierząt była ulokowana na gminnej łące obok polnej drogi biegnącej w kierunku Lohbergu. Menażeria była ubożuchna – kilka

kucyków, jedna zebra i jeden wielbłąd. Nocą na placu pozostawał tylko stary słoń, którego przywiązywano do palika. Kiedy rozpoczynało się pierwsze popołudniowe przedstawienie, słonia odwiązywano, przystrajano paradnie i prowadzono do namiotu pośród tłumu gapiów.

A przedtem, podążając w górę Bachstrasse, ciągnęły przez wieś kuczki, zebra i wielbłąd. Towarzyszyli im dwaj artyści, młody mężczyzna z bardzo ładną dziewczyną z długimi jasnobłond włosami. Wystrojone w mocno zakurzone, ale za to wspaniale wyszywane czapaki i pęki piór przy uzdach, niosły na grzbietach szyldy z papy, na których wielkimi literami obwieszczano pory przedstawień, biegnąc truchtem w stronę rynku, a za nimi, piszcząc i swawoląc, podążała czereda rozentuzjasmowanych dzieciaków, wdzięcznych za to niezwykle urozmaicenie ostatnich dni wakacji.

Dwa razy Baerbel wymknęła się z domu i też za nimi pobiegła, a potem opowiadała z błyszczącymi oczami i wypiekami na twarzy o plakatach, łasząc się jak kot i żebrząc o pieniądze na bilet. Anita miała już siedemnaście lat i była zbyt dumna, aby uczestniczyć w tego rodzaju dziecinadzie i schlebiać plebejskim gustom. Za to Ben za każdym razem rozpląszczał nos na szybie największego pokoju, kiedy mała karawana przechodziła obok ich domu. Wiele razy biegł przed południem na gminną łąkę i patrzył z podziwem na kuczki i zebkę, ale największe wrażenie zrobił na nim wielbłąd. Kiedy Trude go stamtąd zabierała, z całej siły wykręcał szyję, żeby jeszcze choć przez chwilę popatrzeć na skubiące trawę zwierzęta.

Cyrk dawał trzy przedstawienia dziennie, a artyści naprawdę bardzo się starali. Baerbel poszła tam w sobotę i po prostu oniemiała z zachwytu na widok zgrabnej filigranowej blondynki o niezwykłym imieniu. Althea Belashi występowała z kucykami i na trapezie, a poza tym kazała zebrze rozwiązywać zadania z matematyki. O koniach Baerbel słyszała już, że potrafią rachować, ale zebra... To była prawdziwa sensacja.

Oczywiście były to dziecinnie proste zadania; dwa minus jeden, cztery minus trzy. Ale Trude, która odwiedziła z Benem drugie

przedstawienie w niedzielę po południu, życzyła sobie, żeby jej prawie ośmioletni syn umiał liczyć tak jak ta zebra lub przynajmniej odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego zabiłeś kota Hilde Petzhold?”.

W głębi duszy od dawna już przestała liczyć na to, że w końcu doczeka się odpowiedzi. Mijały dni i Trude zapominała powoli o krwawych wnętrznościach na kuchennym stole. Nie zgłosił się żaden świadek. Wydawało się, że surowa kara wymierzona ręką matki jest dla niego dobrą nauzką. Kiedy jej uciekał, co niestety nadal zdarzało się od czasu do czasu, biegł tylko do gminnej łąki i swawolił tam jak młody psiak.

Kiedyś przyszedł do domu, niosąc naręczą kwiatów ostu – dla niej. Dzień wcześniej widział, że Jakob podarował jej bukiet kwiatów na urodziny. Kwiaty ostu! Trude była szczęśliwa i wzruszona. Jak mogła uwierzyć w to, że naprawdę jest zły i okrutny? Że świadomie krzywdzi bogu ducha winne stworzenia. W swoim niezgłębionym, zawiłym umyśle mógł mieć przecież tysiąc powodów, żeby pozbyć się kota. A ona sama pokazała mu, jak się to robi.

Trzeba było mieć rzeczywiście sto par oczu i tyleż samo razy zastanawiać się nad każdą drobnostką, kiedy był w pobliżu. Trude wiedziała już, ile może kosztować każde nieprzemyślane posunięcie, każda nawet najmniejsza lekkomyślność. Thea Kressmann była zdania, że Trude powinna jeszcze raz złożyć wniosek o umieszczenie syna w szkole specjalnej, tym razem jednak należałoby go lepiej umotywować. Wtedy miałyby przynajmniej trochę spokoju przedpołudniem i mogłaby znów od czasu do czasu zajrzeć do fryzjera. Biedaczka, strasznie się ostatnio zapuściła. „W takiej szkole mógłby przecież nauczyć się wielu pożytecznych rzeczy – przekonywała Thea – na przykład wyplatania koszyków albo klejenia papierowych torebek”. Mógłby też dostać zapalenia płuc! – pomyślała natychmiast Trude, która nie podzielała jej entuzjazmu, ponieważ w dalszym ciągu żyła w świecie swoich irracjonalnych lęków. Tymczasem Jakob miał zbyt mało czasu, żeby zdjąć z jej ramion przynajmniej część obowiązków.

Pewnego lipcowego poranka Trude w drodze wyjątku pozostawiła Bena pod opieką Jakoba, ponieważ musiała jechać na badania do kliniki internistycznej w Lohbergu, a nie chciała tym razem prosić o przysługę Hilde Petzhold, obawiając się, że może zademonstrować tej miłej skądinąd kobiecie, co z robił z jej ukochaną szaroburą kotką.

„Nie martw się, jakoś sobie poradzimy” – powiedział Jakob i uzgodnił ze swoimi współnikami, że tego dnia będzie pracować na żniwiarce. Z konieczności musiał przywiązać Bena paskiem do sodełka. Szkopuł w tym, że Ben nie potrafił długo usiedzieć na miejscu. Zanim upłynął kwadrans, zaczął tak się wiercić, piszczeć i lamentować, że Jakoba rozboleły uszy. Widząc to, Paul Laessler, stary Kleu i Bruno spojrzeli na siebie porozumiewawczo i krzyknęli do niego: „Odwiąż dzieciaka, niech sobie pobiega. Tutaj niczego nie nabroi”.

Rzeczywiście, kiedy Jakob odwiązał go z widoczną ulgą, Ben natychmiast pocwałował na skraj pola, gdzie bawił się przez chwilę, i nagle znikł, właśnie wtedy, gdy każdy z nich mógł przysiąc, że nie ruszy się z miejsca. Szukali go przez kilka godzin. Kiedy go wreszcie znaleźli, kieszenie spodni miał pełne zgniecionych chrabąszczy, a ręce i usta pełne poziomek.

Wieczorem Jakob powiedział do Trude: „Za kilka lat może wszystko jakoś się ułoży, ale póki co, on po prostu jest jeszcze zbyt nierozsądny”.

Nierozsądny – taki właśnie był. Ale też były z nim godziny pełne spokoju i cichej radości. Kiedy siedział ze swoją lalką na podłodze w kuchni. Kiedy biegał do piwnicy i przynosił jej brykiety – za każdym razem po jednej sztuce. Albo kiedy poszli razem na przedstawienie do cyrku.

Niemal bez ruchu siedział obok niej na niewygodnej drewnianej ławce w pierwszym rzędzie, śledząc z napięciem, co dzieje się na arenie, zadzierając wysoko głowę, kładąc ją prawie na karku, żeby móc lepiej śledzić zwinność Althei Belashi na trapezie. Ze zdziwienia

szeroko otwierał usta. Dwa razy Trude wytarła mu ukradkiem zaślinioną brodę, mocno objęła ręką jego szerokie plecy, uśmiechnęła się do niego i pokiwała głową, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że podziela jego zachwyty. W odpowiedzi wyszczerzył zęby i wyszeptał z zapartym tchem: „Ślicznie, ślicznie!”.

Dla Trude była to niezapomniana godzina. Kiedy przedstawienie się skończyło, Ben klaskał z całej siły, aż w końcu rozboleły go dłonie, potem wskoczył na ławkę i pragnąc zmanifestować swój niekłamany zachwyty, tupał, wymachiwał rękami i krzyczał do jasnowłosej cyrkówki, ile sił w płucach „ślicznie, ślicznie” tak długo, aż w końcu do niego podeszła. Najpierw tylko pogłaskała go po włosach i uśmiechając się czarująco, podziękowała za burzliwy aplauz, a potem – pod wpływem jakiegoś impulsu – chwyciła go niespodziewanie za rękę i poprowadziła na arenę, wokół której galopowały kucyki, robiąc ostatnie pożegnalne okrążenie.

Pomogła mu wsiąść na siodło, potem sama wskoczyła na zad zwierzęcia i wykonała kilka ewolucji. A on jechał dumny jak paw, obie ręce wczepione w grzywę kucyka, na twarzy uśmiech od ucha do ucha. Trude widziała, że dziewczyna coś do niego mówiła, że on przytakiwał jej z zapałem, widziała, jak bardzo rozkoszuje się tą chwilą. Twarz mu promieniała. Potem Althea Belashi przyprowadziła go z powrotem na widownie. A potem – prócz Trude, Antonii Laessler i Sybille Fassbender nikt tego nie robił, a już na pewno żadna młoda i ładna dziewczyna – wzięła go w ramiona i pocałowała w oba policzki.

Zatopił się w nabożnym milczeniu i opuścił namiot z największymi oporami. Spokojny powrót do domu Trude zapewniła sobie tylko dzięki potrójnej porcji lodów waniliowych z małego kiosku obok apteki.

Kiedy wrócili do domu, przeniósł się ze swoją lalką do najdalszego kąta w kuchni, złapał ją za nogi i ręce, kołysał rytmicznie – raz i dwa, i w przód, i w tył – później wykręcał jej ręce i nogi, imitując ewolucje, które Althea Belashi wykonywała na grzbiecie kucyka. Wieczorem wystąpił przed Jakobem, prezentując mu z widocznym przejęciem swój nowy „program artystyczny”, podrzucał lalkę w powietrze,

a potem próbował ją złapać obu rękami, tak jak to robił na trapezie z Altheą Belashi jej partner.

O dziewiątej Trude zaprowadziła go do łóżka, później sama zeszła na dół, usiadła z Jakobem w największym pokoju i zastanawiała się głośno, czy następnego dnia powinna z nim jeszcze raz pójść do cyrku. „W końcu nic się takiego nie stanie, jeśli przełożę pranie na wtorek – powiedziała. – Nie masz pojęcia, jak bardzo mu się podobało. Może ta miła dziewczyna pozwoli mu jeszcze raz pojeździć na kucyku. Gdybyś widział jego minę, był taki szczęśliwy...”.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę i o dziesiątej położyli się spać. Pół godziny później do domu wróciła Anita, zaryglowała bramę, ale zapomniała zamknąć drzwi do kuchni. A o drugiej w nocy Ben stanął nagle obok pogrążonej we śnie matki, potrząsnął ją za ramiona i wyszeptał: „Paluchy precz”.

Nie było w tym nic niezwykłego, że zerwał ją ze snu. Kiedy się budził, przychodził do niej, nierzadko dwa razy w ciągu nocy. Trude nie zwróciła również większej uwagi na to, co powiedział. Przekonana, że miał jakiś zły sen, wstała po omacku, żeby nie budzić Jakoba, wsunęła kapcie na bose stopy i chciała zaprowadzić go z powrotem do jego pokoju.

Ale kiedy zapaliła światło w korytarzu, przeraziła się nie na żarty. Jego pidżama była cała uwalana błotem. „Wychodziłeś na dwór teraz, o tej godzinie?” – zapytała, przyglądając mu się badawczo.

„Paluchy precz” – powiedział.

„Tak – przytaknęła Trude – Paluchy precz. Nie wolno ci wychodzić z domu, kiedy jest ciemno. I jak w ogóle wyszedłeś?”.

Szybko znalazła odpowiedź: otwarte drzwi kuchni. Znowu niefrasobliwość najstarszej córki. Trude zamknęła drzwi, zdjęła mu brudną pidżamę i założyła świeżą, później kazała mu jeszcze raz iść do toalety, po czym zaprowadziła go z powrotem do łóżka, pogłaskała po głowie i powiedziała: „Jak będziesz grzeczny i zostaniesz w łóżku do samego rana, jutro pójdziemy jeszcze raz zobaczyć zwierzęta i tę śliczną panienkę”.

Był greczny. Do samego rana nie ruszał się z miejsca, przed południem kręcił się tylko koło stodoły, wymachiwał energicznie rękami, jak gdyby wyzywał kogoś na ring, paplając „ślicznie” i „paluchy precz”. Przy obiedzie udało mu się nawet opróżnić swój talerz prawie bez pomocy Trude i bez zwyczajowego pajacowania na krześle, a potem został z nią w kuchni i towarzyszył jej, kiedy zmywała naczynia.

O wpół do trzeciej Trude założyła mu odświeżone spodnie i czystą koszulę, wzięła za rękę i z uroczystą miną poprowadziła w stronę bramy. W drodze na rynek opowiadała mu o tym, co go czeka, chcąc w ten sposób odświeżyć jego pamięć i wprowadzić go w radosny nastrój. Ale przedstawienie się nie odbyło.

Kiedy zbliżali się do placu, Trude zobaczyła, że coś się tam dzieje. Obok namiotu zamiast kucyków stał radiowóz. Wokół rozmieściły się grupki, które żywo dyskutując, przypatrywały się z ciekawością jednemu z cyrkowych wozów, przy którym stał dyrektor cyrku i rozmawiał z dwoma policjantami, gwałtownie gestykulując.

W jednej z grupek dostrzegła Theę Kressmann i Renate Kleu z dziećmi. Kiedy Trude wraz z Benem zbliżyli się do nich, na twarzy Alberta zajaśniał szelmowski uśmiezek. Renate bujała wózek z małym Heiko, trzymając jednocześnie w żelaznym uchwycie starszego syna za nadgarstek. Dieter wyrywał się i szarpał wolną ręką za ramię matki. Chciał koniecznie pobiec do namiotu i kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, kopnął w łydkę szczerzącego zęby Alberta, który z miejsca zaczął szlochać. Dieter dostał w twarz, w odwecie zaczął ryczeć nieludzkim głosem i kopać wściekle wózek. Mały Heiko rozwrzeszczał się ze strachu, a Renate nie wiedziała, kogo najpierw ma uspokajać. Innym też nie jest lekko, przemknęło przez głowę Trude.

Wzburzona Renate pożegnała się pospiesznie, ciągnąc za sobą wierzgającego Dietera, a Thea opowiedziała, że w nocy ludziom z cyrku uciekła wołyżerka. Thea dodała jeszcze, że usłyszała przypadkiem, jak dyrektor cyrku wyjaśniał sytuację policji, protestując

przeciwko takiej hipotezie. Nie ma mowy o ucieczce, tłumaczył w najwyższym stopniu zdenerwowany. „Moja córka jest absolutnie pewna, to osoba na wskroś uczciwa i godna zaufania. To prawda, późnym wieczorem poszła jeszcze raz na gminną łąkę, ale tylko po to, żeby obejrzeć kucyka, który okulał na ostatnim przedstawieniu. A ten kto ucieka, bierze ze sobą walizkę”.

Renate Kleu znikła już dawno za węglem apteki, ale Thea wciąż jeszcze patrzyła w tamtym kierunku. „Tak mi szkoda tej kobiety – westchnęła ciężko. – Wyobraź sobie, Bruno przyszedł do domu o trzeciej w nocy, właśnie mi o tym powiedziała. Maria Jensen widziała go wczoraj wieczorem właśnie tutaj na placu. Rozmawiał z tą ślicznotką z cyrku. Renate naprawdę sobie na to nie zasłużyła”.

Thea pokiwała głową ze smutkiem, ale już po chwili wróciła do swojej relacji, opowiadając, że o wpół do jedenastej w nocy Heinz Lukka, który akurat robił ostatnią rundę ze swoim owczarkiem, widział jakiś samochód niedaleko gminnej łąki. Czy to był samochód Bruna, tego Heinz nie może przysiąc. Na pewno to był mercedes, ale tych jest przecież kilka we wsi, on sam też takim jeździ. W ciemnościach nie udało mu się niestety zobaczyć numerów rejestracyjnych wozu. Kierowca dodał gazu, ale nie wyłączył świateł, kiedy Heinz podszedł bliżej ze swoim psem.

„Co o tym sądzisz? – zapytała Thea. – Czy nie uważasz, że powinnam porozmawiać z policjantami i powiedzieć im, co widzieli Maria i Heinz? Moim zdaniem, trzeba im to powiedzieć”.

„Dlaczego nie pozostawisz tego Heinzowi i Marii? – zapytała Trude. – Przecież ty tego nie widziałaś”.

21 sierpnia 1995

Po niedzieli za zamkniętymi drzwiami i spacerze z ojcem Ben spędził kilka godzin w swoim pokoju. Jakob zamknął drzwi na klucz w nadziei, że jego syn pojawił wreszcie, dlaczego tak musi być. O drugiej w nocy, kiedy usłyszał zduszony oddech Trude i ryczenie dobiegające z naprzeciwka, jego nadzieje ostatecznie się rozwiały.

Ben nie tylko ryczał, ale jęczał, kwilił i skowyczał jak pies, szarpał za klamkę, kopał w drzwi i bił w nie pięściami z taką siłą, iż Jakobowi przemknęło przez głowę, że nazajutrz będzie musiał zamówić nowe drzwi u stolarza.

Kilka razy krzyknął do niego ostro: „Jeśli w tej chwili się nie uspokoisz, zaraz tam pójde i zrobię z tobą porządek, już ty wiesz jak!”. Wtedy na kilka minut zapadała cisza, a potem wszystko zaczynało się od nowa.

O trzeciej Trude powiedziała: „Dłużej tego nie wytrzymam. Jak go nie wypuścisz, ja to zrobię. No rusz się wreszcie, otwórz go, kto ma go zobaczyć? O tej godzinie wszyscy śpią”.

Myliła się. Bruno Kleu nie spał. Po swoim niechwalebny występ przed kawiarnią sióstr Ruettgers powlókł się do gospody Ruppolda i został tam aż do zamknięcia. Minęła pierwsza w nocy. Bruno miał jeszcze dwie możliwości – iść do domu, położyć się do łóżka obok Renate i ewentualnie usłyszeć jeszcze raz pytanie o wiadomy sobotni wieczór albo iść do domu, wyprowadzić samochód z garażu i pojechać do Lohbergu. Ale i tam wszystkie knajpy były zamykane o tej samej porze, a on wypił już niemało. Za dużo, żeby siadać za kierownicą.

Bruno Kleu miał swoje zasady i z pewnością nie był Richardem

Kressmannem, który nie dość że prowadził samochód, mając we krwi dwa przecinek osiem promila, ale jeszcze groził wytoczeniem sprawy o zniesławienie każdemu, kto odważył się choćby napomknąć, że w takim stanie mógł przejechać córeczkę Toniego i Ilii von Burg. Teraz Bruno był nie tylko wściekły, lecz również – choć nigdy by się do tego nie przyznał – przestraszony. Kleu senior najzwyczajniej w świecie się bał.

W życiu tego mężczyzny o duszy zawadiaki, który miał w zwyczaju argumentować przy wydatnej pomocy swoich pięści, bywały też sytuacje, kiedy ogarniał go strach. To prawda, własnej żonie można zatkać gębę jednym uderzeniem pięści, ale co zrobić z całą resztą? Spacyfikować wszystkich, którzy lubią zadawać niewygodne pytania, a teraz kierują spojrzenia nie tylko na niego, ale i na jego syna? Bruno dobrze wiedział, że ten numer nie przejdzie.

Przed piętnastu laty przeżył na własnej skórze, jak to jest, kiedy znika jakaś dziewczyna i zaczyna się ludzkie gadanie. Wiedział, że wtedy przed więzieniem uratowało go tylko jedno, a mianowicie fakt, że nie odnaleziono zwłok. Przed ośmiu laty szczęście jeszcze raz się do niego uśmiechnęło. Tylko że w obu przypadkach chodziło o dziewczyny, których los nikogo we wsi specjalnie nie obchodził. Teraz sprawy miały się zgoła inaczej. „Trzy rzeczy są boskie”, mówiła kiedyś często jego matka. Tylko że akurat te rzeczy z Bogiem nie miały nic wspólnego.

Gdyby Jakob wiedział, że Bruno od ponad godziny błąka się po polnej drodze, zdążając niepewnym krokiem w stronę rozpadliska z głową pełną alkoholu i ponurych wspomnień, z całą pewnością nie przychyliłby się do prośby Trude i nie ustąpił. Ponieważ jednak wiedzy tej nie posiadał, po kilku minutach wewnętrznej walki uznał, że w gruncie rzeczy jego żona ma rację, a poza tym chciał przespać się w spokoju do rana.

Wstał z łóżka, najpierw przyniósł sobie szklankę wody z łazienki, a dopiero potem przekręcił klucz w zamku. Na kilka sekund zapadła cisza. Jakob stał na korytarzu i nie ruszał się z miejsca, wpatrując się

w klamkę, która zaczęła z wolna wędrować w dół. Drzwi lekko się uchyliły. Z wciągniętą w ramiona głową, obrzucając ojca nieufnym spojrzeniem, stanął przed nim Ben. Lornetka dyndała mu na piersi.

„Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał Jakob surowo. – Dlaczego nie dasz nam spokoju? Przecież zgodziłeś się ze mną, że dziś powinieneś zostać w domu. Czego tam będziesz szukał? Przecież teraz i tak nic nie widać”.

Ben skulił się smagnięty ostrym głosem ojca i bąknął cicho: „Przyjaciel”.

Jakob machnął ręką, zły i niezadowolony z siebie. Ben jeszcze przez chwilę stał na korytarzu z niezdecydowaną miną, rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku schodów, do których dostępu bronił stojący tuż przed nim ojciec. Kiedy ten skierował się w stronę sypialni, Ben pojaśniał na twarzy i w mgnieniu oka był na schodach.

Pobiegł chyżo do piwnicy, przymocował składaną łopatkę do paska u spodni, wskoczył w gumowce i zanim jego ojciec zdążył przewrócić się na drugi bok, był już za bramą. Tym razem nie obrał drogi do pierwszego rozjazdu, ale pospieszył na przełaj przez pola do szerokiej drogi, biegł dalej między polami i ogrodami, wzdłuż drutu kolczastego, minął dawny ogród Gerty Franken i zanurkował w kukurydzy. Bungalow Lukki tonął w ciemnościach. Stamtąd pobiegł dalej do gospodarstwa Laesslerów, skąd miał już tylko kawałek do rozpadliska.

Bruno Kleu siedział na brzegu urwiska ukryty w wysokim zielsku. Widział, jak nadchodzi i znika – wielki cień, którego nawet w nocy nie sposób było pomylić.

Teren silnie się tutaj obniżał. Stary krater po bombie miał średnicę około dwustu metrów. W dole majaczyły nieregularne wzniesienia, przywodzące na myśl dziwaczne garby. Liczące sobie ponad pięćdziesiąt lat gruzowisko było tym, co pozostało z kwitnącego niegdyś gospodarstwa Kressmannów, domu mieszkalnego, czworaków, stodół, obór, stajni i chlewów. Czas wyszlifował wszystkie kąty i kanty, które teraz porastał mech i dziki bluszcz.

A wszystkie pokrzywy, wszystkie osty i mlecze pieniące się bujnie

wśród ruin, wszystko to, co Ben zbierał i pielęgnował z takim oddaniem, teraz leżało na ziemi niemiłosiernie zdeptane. Policja i ochotnicza straż pożarna nie miały żadnego względu dla zielska. Bruno Kleu obserwujący go ze swojego stanowiska zobaczył, jak pochyła się nisko, przykłęka i manipuluje rękami tuż przy ziemi. Ben pracował w pocie czoła, usiłując wyprostować połamane i pogiete rośliny. Ale one dawno już uschły i pomimo jego troskliwych zabiegów nie chciały się podnieść.

Widząc to, niepokieszony skierował się w końcu do jednego z garbów. Były to pozostałości domu mieszkalnego, pod którym znajdowała się rozległa sklepiona piwnica. Niewielka jej część przysypana gruzami wciąż jeszcze była dostępna. Ben zdjął lornetkę, odłożył ją na bok, po czym zaczął obmacywać mech, wciskając paznokcie w wąską szczelinę między omszałymi cegłami. Wyjął jedną cegłę. Potem jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Z każdą wyjętą cegłą otwór stawał się coraz większy.

Przez cały dzień drżał z niepokoju, zachodząc w głowę, czy znaleźli jego skrytkę, czy wdarli się tam i zabrali to, co w niej skrzętnie ukrywał. Tak jak jego ojciec, który zabrał mu dziś jego szkło razem ze wszystkimi skarbami. Nie był to pierwszy raz, kiedy ojciec wyrzucał jego cenne znaleziska. Pod tym względem Ben był nawet mądrzejszy od wielu ludzi, wyciągając naukę z każdego doświadczenia. Tego, co wydawało mu się zbyt cenne, nie zabierał ze sobą do domu. Znalezione przez siebie skarby poddawał gruntownej selekcji, zastanawiając się, co ma pozostawić w skrytce, a co zanieść do domu i sprawić radość swojej matce.

Zawsze o niej pamiętał, przynosząc jej rozmaite dary – pogieły aluminiowy garnek, wielką kość, z małych jakoś się nie cieszyła, wyszczerbiony widelec z prastarego kompletu sztućców, małą torebkę, kawałki potłuczonej porcelany i ucho filizanki, która dawno temu przestała istnieć. I jeszcze małe kółeczko z błyszczącym kamyczkiem – takie samo jak te, które kobiety wsuwają sobie na palce. Ben pamiętał, że kiedy wręczył jej ten dziwny przedmiot, nie mogła się go

nachwalić.

Jak tylko odsłonił wejście, wcisnął się do środka pod potężną poprzeczną belką i znalazł się na wydeptanych schodach. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. W takich warunkach nie mógł rozpoznać, czy coś się tutaj zmieniło. W ciągu dnia do piwnicy wpadało trochę światła przez wąski właz. Teraz potrzebował lampy, ale do dyspozycji miał tylko swoje ręce, obmacywał więc swoje skarby i pozostał na dole tak długo, dopóki się nie przekonał, że wszystko nadal leży tam, gdzie poprzednio. Odetchnął z ulgą.

O którejś godzinie w nocy wszystkie elementy układanki z porośniętych mchem cegieł i kamieni wróciły na swoje miejsce, wszystko wyglądało tak naturalnie i tak niewinnie jak resztki domu, który przed wielu laty został zburzony przez bombę i potem nigdy już nikt do niego nie wchodził.

Patrzcie tylko, pomyślał Bruno Kleu, kiedy Ben już się oddalił, a on przyglądał się temu miejscu w skąpym świetle zapalniczki. I niech ktoś jeszcze raz mi powie, że ten chłopak jest głupi. Bruno nie wiedział doprawdy, czy ma być zdziwiony, czy ubawiony. Alkohol dawno już wywietrzył mu z głowy. Przypalił sobie papierosa i postanowił, że przyjrzy się jeszcze raz całej sprawie przy świetle dziennym. Potem podążył za Benem, żeby zobaczyć, czy ten rzekomy głupek ma dla niego jeszcze więcej niespodzianek.

Jakaś siła gnała go do Bendchen. Kiedy był tam wieczorem z ojcem, nie mógł dokładnie sprawdzić, jak duże są straty. Były bardzo duże. Podeptana trawa, stratowane kępy pokrzyw i dziewanny, połamane gałęzie krzewów i drzew. Aż do brzasku ratował, co się dało. Z różnym skutkiem.

Kiedy gwiazdy zaczęły blednąć, musiał porzucić swoich „kuracjuszy” i ruszyć w dalszą drogę. Bruno Kleu też sposobił się do długiej drogi do domu, gdy zobaczył nagle, że Ben biegnie w kierunku obejścia swoich rodziców. Jego celem była ciemna stodoła. Zatoczył szeroki łuk, żeby ominąć postawione tam maszyny, okrążył też starego mercedesa, którego Jakob przed dwoma laty przejął od Bruna.

Trzymał się prawej strony. Po ścianą stała drabina prowadząca do sásieka, który teraz był prawie pusty. Dopiero za kilka tygodni znowu zapełni się słomą. Wielkie snopy ustawione ciasno jeden obok drugiego, między nimi nawet centymetra wolnej przestrzeni. Tylko z przodu, tuż przy drzwiach, przez które rzucało się z podwórza słomę, pozostawiano dla niego nieco miejsca, niewiele, ale starczyło, żeby przykucnąć. Jakob zawsze o tym pamiętał, wiedząc, że jest to ulubiony punkt obserwacyjny jego syna. Nie wiedział wszakże, co obserwuje jego syn.

Ben skradał się do drzwi, nacisnął klamkę i lekko je uchylił, potem przystawił lornetkę do oczu i patrzył w kierunku gospodarstwa Laesslerów. Pomimo znacznego oddalenia mógł wyraźnie rozpoznać dom mieszkalny i podłużną bryłę chlewu przebijającą przez szarość poranka. Paul zrezygnował z własnej stodoły, kiedy przed laty przeniósł swoje gospodarstwo w szczerze pole, rekompensując sobie ten brak imponującymi gabarytami domu mieszkalnego.

W bladym świetle budzącego się dnia Ben widział z tego miejsca płonąca czerwień begonii obrzeżających balkon. I obie dziewczyny. W ostatnich tygodniach obserwował je prawie codziennie. Kiedy leżały w słońcu, z dala od wsi i ciekawskich oczu, zdejmowały wszystkie ubrania, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych pieszczących ich nagie ciała.

Kładł się na brzuchu i czekał. O tej porze wszystko było jeszcze spokojne, bez ruchu, powleczone szarą mgiełką. Upłynęła godzina, a potem dwie, szarość poranka dawno już ustąpiła miejsca świetlistej jasności, kiedy wreszcie zarejestrował pierwsze poruszenie. Rozpoznał Paula Laesslera i jednego z jego synów. Obaj szli do chlewu.

Paul i jego syn dawno już wrócili do domu i teraz, siedząc z Antonią przy śniadaniu, rozmawiali o Marlene Jensen i upominali obie dziewczyny, które siedziały z nimi przy stole, żeby nie oddalały się same od domu. Licho nie śpi.

Ben czekał cierpliwie na pewne wydarzenie. Piętnaście po siódmej – wprawdzie nie miał żadnego wyobrażenia o czasie zegarowym, znał

jednak przybliżony moment – dziewczyny wyjdą z domu i jedna za drugą pojedą na rowerach do skrzyżowania dróg. Obok bungalowu Heinza Lukki i pola kukurydzy, gdzie wkrótce straci je z oczu, jeśli nadal pozostanie w sąsiedztwie. Ale nigdy tam nie pozostawał.

Zanim dziewczyny wyszły z domu, zawsze wykradał się na dwór, rozglądając się czujnie na wszystkie strony, a potem pędził jak wiatr do szerokiej drogi, skręcał w lewo i biegł dalej do wielkiego pola kukurydzy. Tam opuszczał się na kolana, kładł na brzuchu i czołgał tak długo pomiędzy roślinami, aż utonął w zielonym gąszczu, niewidoczny dla jadących drogą. Źródłem jego orientacji w czasie był Jakob, który – jeśli nic szczególnego się nie działo – wychodził do pracy punkt siódma.

Ten poranek był jednak dość szczególny, dlatego o siódmej Jakob siedział jeszcze przy śniadaniu, próbując rozmawiać z Trude o minionej nocy. Zżymał się w duchu na swoją wczorajszą uległość i teraz chciał jej wyjaśnić, że tak nie można. Nie, żeby źle życzył własnemu synowi. Tego nikt nie mógł mu zarzucić. Ale dla Bena i dla nich samych będzie lepiej, jeśli przez kilka następnych nocy przytrzymają go w domu, tłumaczył Jakob, patrząc jej prosto w oczy. Tylko do czasu aż córka Ericha się znajdzie i sprawa zostanie wreszcie wyjaśniona. Żeby we wsi nie było potem gadania, jeśli ktoś zobaczy go nocą na dworze. Przecież Trude sama wie najlepiej, jak niewiele potrzeba, żeby rzucić podejrzenie na jakiegoś mężczyznę.

A jak to było, kiedy Wilhelm Ahlsen, pijąc piwo w gospodzie Ruhpolda, nagle ni z tego ni z owego upadł na podłogę i zmarł, zanim zdążyło przyjechać pogotowie? Wtedy mówiło się, że Toni von Burg wsypał mu do piwa cyjanek potasu, żeby zemścić się za śmierć swojej małej siostrzyczki. A mówiło się tylko dlatego, że Toni przez dwie minuty stał obok Wilhelma przy barze.

A kiedy ktoś przejechał na drodze do szkoły córkę Toniego i Illi? Wtedy wszystkie oczy skierowały się na Richarda Kressmanna. Richard znów był tak pijany, że nawet nie widział idącego drogą dziecka. I na dodatek wyobrażał sobie, że ze swoimi pieniędzmi może bezkarnie

przejeżdżać dzieci i pozwalać im wykrwawić się na ulicy, tak właśnie mówiono.

A co mówi się od piętnastu lat o Brunie Kleu, ano mówi się, że jest mordercą. Ludzie widzieli przecież, że chciał umówić się z młodą cyrkówką. A kiedy dała mu kosza, zaczął się na nią na gminnej łące, zgwałciła ją, a potem bestialsko zamordował. A alibi kupił sobie u jednej wywłoki w Lohbergu.

Sprawy wcale nie muszą zajść tak daleko, żeby ludzie zaczęli wytykać Bena palcami. Tylko na kilka nocy. Jeśli nie uda się po dobroci, trzeba będzie postarać się o jakiś środek z apteki. Zanim Trude zdążyła otworzyć usta, Jakob spojrział szybko na zegarek. Było piętnaście po siódmej. Zerwał się od stołu. „Na mnie już czas. Cholera, spóźnię się. Wieczorem porozmawiamy jeszcze raz w spokoju” – zakończył swój monolog i już go nie było.

Ze swojego punktu obserwacyjnego w stodole Ben widział, jak w gospodarstwie Laesslerów otworzyły się drzwi domu i na podwórze wyszły obie dziewczyny, jedna była jasną blondynką – jak Marlene Jensen i młoda cyrkówką, która przed piętnastoma laty pocałowała go w oba policzki – druga miała ciemne włosy i okulary przeciwsłoneczne na nosie. Dziewczyny wyprowadziły z garażu swoje rowery, wskoczyły na siodelka, a potem pomachały na pożegnanie stojącej w drzwiach Antonii i odjechały.

Rozczarowany Ben opuścił lornetkę, a potem – czołgając się po kamiennej posadzce – wycofał się pospiesznie w najdalszy kąt sąsiedka, do którego przytuliła się mizerna kupka słomy. To nie była dobra kryjówka, ale jedyna w pobliżu domu. Przesunął słomę na bok i szybko pochwycił nóż sprężynowy, ten sam, który widziała w jego ręce Marlene Jensen. Nóż był stary i miał plamy rdzy na klindze. Od piętnastu lat, to znaczy mniej więcej od momentu, kiedy znikła Althea Belashi, był w jego posiadaniu. Ben wsadził go do kieszeni spodni na wszelki wypadek, kiedy na dworze było jasno, nóż był mu zwykle niepotrzebny.

Potem zszedł ostrożnie po drabinie, przemknął przez półciemną

stodołę i skierował się w stronę zalanego słońcem czworoboku bramy. Kiedy tam doszedł, zobaczył wychodzącego z domu ojca. Jakob szedł szybkim krokiem w stronę stodoły, a widząc Bena, stanął przed nim w rozkroku i rozłożył ręce, zagradzając mu drogę. Spojrzał karcąco na syna, po czym rozkazał: „Idź do domu, Ben. Matka czeka ze śniadaniem”.

Jakob wciąż się złościł, teraz nawet bardziej niż przedtem, ponieważ uważał się za zwykłego tchórza. Ponieważ uciekł przed konfrontacją z Trude, równocześnie zaś zdawał sobie sprawę z tego, że faszerowanie Bena jakąś trucizną tylko dlatego, żeby nikt nie wycierał sobie o niego gęby, jest rozwiązaniem najgorszym z możliwych. Jako ojciec powinien mieć więcej odwagi, powinien umieć pokazać swojemu synowi, kto tu rządzi. I kto ma rację.

Ben zatrzymał się w pół kroku, zwiesił głowę i czując przez skórę, że opór na nic się nie zda, posłusznie podreptał w stronę drzwi. Jednak zanim tam dotarł, Jakob znikł w stodole. A Ben, niewiele myśląc, zrobił w tył zwrot i popędził przed siebie jak wiatr, tak szybko jak tylko niosły go jego mocarne nogi, jak najdalej od domu. Tym razem jednak zmienił trasę i nie pozostał na wąskiej drodze, gdzie Jakob mógł go złapać i odprowadzić do domu. Tak jak w nocy biegł na przełaj przez kartoflisko do polnej drogi. Zanim Jakob wyprowadził ze stodoły starego mercedesa i wykręcił na podwórzu, Ben dotarł do szerokiej drogi.

Kiedy Jakob przyhamował na chwilę przy skrzyżowaniu dróg, zobaczył go biegnącego w pewnym oddaleniu. Z naprzeciwka nadjeżdżały na rowerach obie dziewczyny. Jakob również skręcił w lewo. Jego złość przerodziła się teraz we wściekłość, Ben znowu go nie posłuchał, znowu z niego zakpił. Tego było mu już za wiele. Dodał gazu, podjechał bliżej i wtedy zobaczył, jak Ben podskakuje i macha do nich rękami. Dziewczyna w okularach przeciwsłonecznych zatrzymała rower tuż przed nim.

„Późno się dzisiaj wybrałeś – pozdrowiła go. – Przyznaj się, pewnie zaspąłeś leśny człowieku?”.

Byli jeszcze zbyt daleko od Jakoba, a poza tym mruczenia dieslowskiego silnika i tak wszystko zagłuszało, dlatego nie mógł zrozumieć, co mówili. Widział tylko, co dzieje się na drodze. Ben przytakiwał z zapałem, potem zrobił krok do przodu i przyciągnął do siebie ciemnowłosą dziewczynę. Obie ręce owinął wokół szczupłej kibici i zakręcił ją dookoła. A potem jeszcze raz, i jeszcze raz. I nawet rower, którego kierownicę trzymała, tańczył razem z nią tuż nad ziemią. Dziewczyna śmiała się, odrzucając do tyłu głowę i klepała go rękami po plecach. „Puść mnie, niedźwiedziu, puść, bo mnie zgnieciesz”.

To Jakob zrozumiał. Dojechał w końcu do rozbawionej trójki i zatrzymał się na drodze. Blondynka dotknęła palcami pleców Bena, przynaglając go łagodnie: „Musimy już iść, bo inaczej się spóźnimy „.

„Ja też tak sądzę” – powiedział Jakob, cedząc słowa.

Wsiadły na rowery, zakręciły i pojechały z powrotem. Obie jeszcze raz pomachały mu na pożegnanie. Ta w okularach przesłała Benowi całusa ręką i zawołała: „Na razie, trzymaj się niedźwiedziu”. Potem pojechały gęsiego jedna za drugą do skrzyżowania i skręciły w prawo, w drogę prowadzącą do szosy.

Jakob odczekał jeszcze chwilę, zastanawiając się, co ma robić. Najchętniej załadowałby go do samochodu i zawiózł do domu. Wiedział jednak, że to oznaczałoby niekończącą się walkę. I to że spóźni się do pracy. Dawniej Ben chętnie z nim jeździł, ale od jakiegoś czasu za nic w świecie nie chciał wsiadać do mercedesa. Jakob nigdy nie zastanawiał się nad powodem jego dziwnej niechęci do tej szacownej bądź co bądź marki. „Wracaj do domu” – warknął rozkazującym tonem.

Tym razem posłuchał. Przynajmniej tak się wydawało. Jakob pojechał dalej do rozjazdu, czując powiew zadowolenia i satysfakcji. Widział go w tylnym lusterku, jak maleje i dochodzi do kolczastego drutu. Kiedy mercedes znikł z pola widzenia, Ben znów przystanął. Tak jak jego ojciec on również wiedział o pewnym grobie. Ten grób leżał za drutem kolczastym i Ben często go odwiedzał.

Pojmowanie Trude

Wkrótce po przedstawieniu, które z wiadomych przyczyn nie odbyło się w sierpniu osiemdziesiątego roku, w sercu Trude zakiełkowało podejrzenie, że plotki o Bruno Kleu i młodej cyrkówce, które krążyły po wsi, nie były tak zupełnie wysrane z palca, jakby tego życzone Bogu ducha winnej Renate i dwójce jej dzieci. Ale Trude nigdy nie odważyła się mówić o tym otwarcie. Właśnie dlatego nie pisała Jakobowi ani słowa ani o brudnej pidżamie Bena, ani o wnioskach, które należało wyciągnąć z jego pierwszej nocy spędzonej poza domem.

Dokąd go ciągnęło, kiedy uciekał? Na gminną łąkę.

Dokąd wybierała się w nocy Althea Belashi? Na gminną łąkę.

A jeśli tam przydarzyło się jej coś strasznego? Jeśli Ben to widział? Biorąc pod uwagę jego pęd do naśladowania, następstwa owej nocy mogły być fatalne.

I były. Zaczęło się już w poniedziałek w drodze do domu. Tylko że w tym momencie Trude tworzyła jeszcze fałszywe związki przyczynowo-skutkowe. Przed oczami miała Dietera Kleu, kiedy Ben szarpał ją za rękę i zachowywał się tak nieznośnie, że z ledwością mogła go okiełznać. Na początku ani rusz nie chciał zejść z rynku, wrywając się do namiotu i wozów cyrkowych. Co dwa kroki zatrzymywał się jak uparty osioł, a kiedy ona również przystawała i, nachylając się, przemawiała do niego anielskim głosem, stawał okoniem, zapierając się ze wszystkich sił, a te były już znaczące, odwracał się do tyłu i wołał: „Ślicznie, ślicznie!”.

Równie dobrze mógł wyjaśniać Trude, że Althea Belashi na

wczorajszym przedstawieniu ogromnie mu się podobała. Że chciałby koniecznie zobaczyć jeszcze raz jej akrobatyczne popisy na trapezie i ewolucje na kucyku. Że marzy o tym, aby jeszcze raz pojechać z nią na kucyku. I że na koniec bardzo liczy na jeszcze jeden pocałunek w oba policzki.

Wiedziała przecież, że każdy przyjazny gest, każdy przejaw serdeczności pozostawiały trwałe ślady w jego pamięci i domyślała się, że nie może zrozumieć, dlaczego tym razem odmówiono mu czułego gestu. O tym, że zaczynał szaleć jak każde inne dziecko, które chce przeforsować swoją wolę, Trude wiedziała aż nadto dobrze, przekonała się o tym niejednemu raz. Być może szalał bardziej intensywnie, bardziej dynamicznie. Ale też zwykle szybko się uspokajał. Zawsze był jakiś sposób, żeby go ułagodzić.

„Bardzo mi przykro, naprawdę – powiedziała Trude. – Nie ma twojej dziewczyny, wyjechała. I nie ma już cyrku. Teraz pójdziemy do domu, a jak będziesz grzeczny, dostaniesz loda”.

Na krótką chwilę przestał szaleć i spojrzał na nią w skupieniu, marszcząc czoło, jak gdyby z wysiłkiem rozważał jej propozycję. Ludzie, którzy ich mijali, odwracali się za nimi, potrząsając współczująco głowami. Trude już chciała odetchnąć, kiedy rozwrzeszczał się na nowo: „Paluchy precz! Ślicznie, ślicznie, paluchy precz!”. Wydawało się, że jest kompletnie wytrącony z równowagi, wymachiwał jak szalony wolną ręką i nagle wykrzyczał przekleństwo, którego Trude do tej pory u niego nie słyszała. „Ścierwo!”.

W pierwszym momencie była tylko zdziwiona i zapewne dlatego nie przyszło jej do głowy, żeby zadać sobie pytanie, gdzie mógł podłapać coś takiego i dlaczego powiedział właśnie to paskudne słowo, nigdy zaś „mama” lub choćby tylko proste „tak” lub „nie”.

„Wystarczy” – powiedziała surowo, kiedy przechodzący obok ludzie zatrzymali się w pół kroku, czekając z napięciem, czy wreszcie zrobi to, co w takim przypadku należało bezwzględnie zrobić. Gdyby byli w domu, na swoim gruncie, wcisnęłaby mu do ręki lody waniliowe i na jakiś czas miałyby spokój. Lody waniliowe plasowały się na czołowym

miejscu listy cudownych środków uspokajających. Trude zawsze miała w zamrażarce ich zapas. Musiał tylko widzieć, że odkrywa papierowe denko, wtedy w mgnieniu oka zamieniał się w potulnego baranka.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zawrócić do małego kiosku z lodami. W niedzielę to zawsze działało. Ale teraz czuła na sobie baczne spojrzenia przechodniów, nietrudno było zgadnąć, co myślą w tej chwili. Biedna Trude, nie potrafi sobie poradzić ze swoim półgłówkiem. Przełamując wewnętrzny opór, Trude zamachnęła się do potężnego uderzenia, ale w sekundę później nagle wyhamowała, tuż przed jego policzkiem i tylko lekko musnęła jego twarz.

„Ścierwo!” – krzyknął jeszcze raz i uderzył ją w żołądek. To było lekkie uderzenie, miała nadzieję, że nikt go nie zauważył. Ale potem podniósł nogę, żeby kopnąć ją w łydkę. Nauki, jakie pobierał u Dietera Kleu, nie poszły w las...

„Tylko spróbuj – zasyczała Trude – a popamiętasz”.

Przez chwilę wpatrywał się z napięciem w jej twarz, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie, potem opuścił nogę i powiedział: „amen”. Chociaż i to słowo po raz pierwszy pojawiło się na jego ustach, Trude zinterpretowała je na swój sposób, wychodząc z założenia, że usłyszał je od starej Gerty Franken, która miewała od czasu do czasu nawroty pobożności, i że złość mu minęła, że teraz chce się pojednać z matką a przy okazji wyłudzić od niej loda.

„Nie – powiedziała zdecydowanym głosem. – Teraz nie dostaniesz loda. Gdybyś był grzeczny, to co innego. Ale jak pójdziesz ze mną ślicznie do domu, będą lody, obiecuję. Ale dopiero w domu. Zrozumiano?”.

Zdawało się, że zrozumiał, wprowadzie jeszcze się trochę boczył i opierał, ale w końcu pozwolił zaciągnąć się do domu. Trude nie udało się jednak – mimo najszczerzych chęci – spełnić danej mu obietnicy. Zaledwie bowiem weszli na podwórze, rzucił się z szaleńczą furią na Bogu ducha winną starą lalkę.

„Ślicznie, ślicznie!” – krzyczał jak opętany i przez chwilę kołysał ją na stopach, tak jak to pokazywał poprzedniego wieczoru Jakobowi.

Potem walnął niespodziewanie pięścią w głowę lalki i jednym ruchem zerwał sukienkę z jej celuloidowego ciała. Szarpiąc z całej siły, wykręcał jej nogę, potem drugą. Wszystko, co oderwał, rzucał Trude pod stopy, za każdym razem krzyząc: „Ścierwo, amen!”.

Trwało to dobrą chwilę, zanim pojęła. Nie dlatego, że Trude była głupia lub ślepa. Jednak aby dojść do takich wniosków – i takiego podejrzenia – potrzeba było znacznie więcej aniżeli tylko brudnej pidżamy, rozwścieczonego dziecka i dwóch nowych słów.

Ponieważ nie było świadków, Trude szybko pozbierała to, co pozostało ze starej lalki, pobiegła do kuchni i wrzuciła wszystko do ognia. Potem zeszła do piwnicy, podążył za nią jak cień. Twarz rozpogodziła mu się, kiedy podniosła klapę Zamrażarki. Wziął loda, chwycił Trude za rękę i pociągnął ją na podwórze, prowadząc przez stodołę do ogrodu.

Tuż obok, na tyłach obejścia Otto Petzholda, zaraz za jego stodołą, leżała jabłonkowa łąka, nazywana tak z powodu trzech tuzinów rosnących na niej drzewek. Żadne z nich nie było większe od dobrze zbudowanego dorosłego mężczyzny, dlatego nawet z górnej części szeroko rozrośniętych koron można było zbierać owoce bez pomocy drabiny. Wszystkim okolicznym dzieciom pod groźbą strasliwego lania zabroniono postawić choćby jedną nogę na tej łące. W latach dwudziestych i trzydziestych wydobywano tam piach. Pomędzy karłowatymi jabłonkami znajdowało się osiem dzwonowato rozszerzających się ku dołowi sztolni, kilka z nich miało nawet do dwunastu metrów głębokości. We wsi mówiono na nie „wiadro”.

Przed laty ojciec Jakoba dostał nakaz od miejscowych władz, aby sztolnie te zasypać, jak tylko zmniejszy się ich wydajność. Dwie lub trzy z czasem same się zapadły, tworząc głębokie, krateropodobne zagłębienia. Ludzie omijali z daleka podstępne osuwiska, grożące w każdej chwili zapadnięciem. Była tam jeszcze jedna odkryta sztolnia, która wyglądała jak wywrócony lejek. Jeśli coś tam wpadło, znikało na wieki ze świata.

Benowi – podobnie jak innym dzieciom – pod żadnym pozorem nie

wolno było bawić się pomiędzy jabłonkami. I dobrze o tym wiedział. Teraz zatrzymał się na skraju jabłonkowej łąki, wskazujący palec wycelował w czeluść otwartej sztolni i powiedział głośno, z przekonaniem: „Paluchy precz”.

„Tak – odparła Trude. – Nie wolno biegać po tej łące. Baw się ślicznie w ogrodzie, a jak będziesz grzeczny dziś wieczorem, dostaniesz nową lalkę”.

Przysiadł na skraju łąki i w skupieniu jadł loda. Zanim wieczorem wrócił z pracy Jakob, Trude zabrała go z powrotem do domu. Przez cały czas siedział jak trusia i w nagrodę dostał obiecaną lalkę z łóżka Anity, a kiedy Jakob wszedł do kuchni, bawił się grzecznie jakby nigdy nic.

Tego wieczoru Trude jeszcze wierzyła, że i tym razem chodzi o jeden z jego zwykłych wybuchów. Ale cyrk jeszcze był we wsi. Dopiero pod koniec tygodnia oczyścili rynek i wynieśli się na dobre. Do tego czasu cyrkowcy biegali po ulicach, pukali do wszystkich drzwi, pokazywali zdjęcie Althei Belashi i zadawali pytania, na które nie otrzymywali odpowiedzi.

Przyszli również na Bachstrasse. Młody mężczyzna, który partnerował Althei Belashi na trapezie, w czwartek stanął nagle za Trude, kiedy krzątała się po kuchni. Znowu ktoś nie zamknął bramy. Trude przestraszyła się, ponieważ Ben bawił się na podwórzu. Niezamknięta brama kusiła go za każdym razem, zachęcała do wycieczki na wieś.

Nie zwracając uwagi na obcego mężczyznę, wybiegła na dwór. Niemal w ostatnim momencie, Ben zdążył już otworzyć sobie bramę. Trude z powrotem ją zamknęła, chwyciła go mocno za rękę i pociągnęła za sobą do kuchni. Artysta stał przy stole i patrzył na nią wyczekująco.

„Proszę, niech pan usiądzie – powiedziała Trude i z przyzwyczajenia wsadziła ręce Bena pod kran z wodą, a przy okazji ofuknęła go: – Nie wolno ci wybiegać na ulicę! Ile razy mam ci to powtarzać?”. Zajęta myciem i strofowaniem syna nie zwróciła uwagi

na leżący w zlewie mały nożyk, którym przed chwilą pokrajała włoską kapustę na kolację.

Artysta wyciągnął fotografię z kieszeni spodni, podszedł do Trude i wyjaśnił jej powód swojej wizyty. Nie spiesząc się, wytarła ręce o fartuch, potem wzięła z jego rąk fotografię, rzuciła na nią krótkie spojrzenie i wyraźnie zmieszana obróciła ją kilka razy w palcach. Po chwili z ciężkim westchnieniem położyła ją na stole.

„Tak, słyszałam o tym – powiedziała cicho. – Ogromnie mi przykro. Ale naprawdę nie mogę panu pomóc. Widziałam tę dziewczynę tylko raz na przedstawieniu. W niedzielę. Może pan sobie przypomina. Byłam z nim, ze swoim synem. Pozwoliła mu pojeździć na kucyku. Bardzo mu się podobało”.

Kiedy to mówiła, wskazała krótko na Bena. Zbyt krótko, żeby zobaczyć, że ma w rękach nożyk do obierania jarzyn.

Za to on zobaczył, że położyła coś na stole. Zaciekawiony podszedł bliżej. „Paluchy precz” – zdążyła jeszcze powiedzieć Trude, ale było już za późno. Ben trzymał w rękach zdjęcie Althei Belashi.

„Ślicznie” – zamruczał radośnie, poznał ją natychmiast, jakżeby mógł jej nie poznać? I nagle w dzikich susach zaczął okręzać stół, w jednej ręce ścisnął fotografię, w drugiej nóż, którym z pasją ciął powietrze, wirując wokół stołu niczym indiański szaman wokół ogniska.

Trude pobiegła za nim, wyrwała mu nóż i fotografię. Potrzęsnęła nim kilka razy i krzyknęła ostro: „Wiesz, że nie wolno ci zabierać noży. Jeszcze byś się skaleczył i dopiero byłby płacz”.

Ledwie zdążyła go puścić, skoczył na artystę, uderzył go pięścią w żołądek, krzyząc przeraźliwie: „Ścierwo!”. Potem rzucił się na podłogę. A przy kuchni leżała nowa lalka. Pochwycił ją i tarzając się po podłodze, ścisnął kurczowo z ohydny grymasem na twarzy. Nagle skoczył na równe nogi, walnął pięścią w głowę lalki i znowu krzyknął: „Ścierwo! Amen!”. Potem zaczął szarpać jej sukienkę i szarpał tak długo, aż trzymał w dłoni pierwszy strzęp. Rzucił go pod nogi osłupiałemu mężczyźnie, wyrwał lalce jedną nogę i cisnął nią o ziemię.

„Tak, jesteś diabłem! – krzyknęła Trude. – Dlaczego popsujesz i tę lalkę? Dlaczego?”.

Kiedy nieco ochłonęła, przeprosiła gościa, usprawiedliwiając się i tłumacząc gorączkowo: „Czasem jest trochę dziki. Ale proszę mi wierzyć, to dobre dziecko. Mam nadzieję, że nie sprawił panu przykrości”.

„Nie” – powiedział mężczyzna, schował fotografię do kieszeni i pospiesznie się pożegnał.

A Trude stała tam, jakby wrosła w ziemię. Przed oczami jak na taśmie filmowej – kadr po kadrze – przesuwała się scena sprzed pięciu minut, mieszając się z sekwencjami jego nieznośnego zachowania na ulicy, potem taśma cofnęła się kilka kadrów wcześniej, wróciła do nocy z niedzieli na poniedziałek, do pobrudzonej pidżamy i faryzeuszowego głosu Thei Kressmann litującej się nieszczerze nad Renate Kleu. W tym momencie przez wszystkie członki jej ciała chlusnęła panika, jakby ktoś wylał garniec pełen gotującej wody.

„O mój Boże – wyszeptała Trude i wlepiła się w Bena. – Bruno naprawdę zrobił coś tej dziewczynie. A ty to widziałeś, prawda? Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Nigdy nie wolno ci tego robić, słyszysz. To jest bardzo złe, kiedy ktoś robi krzywdę jakiejś dziewczynie. Teraz mów! Czy coś widziałeś, czy wiesz, co Bruno zrobił tej dziewczynie?”.

Oczywiście, nic nie powiedział. Mogła się tego spodziewać. Trude czuła, że za chwilę oszaleje, łzy napłynęły jej do oczu, wycierała je wierzchem dłoni, rozmazując po policzkach i przez cały czas bełkotała: „Co ja teraz z tobą zrobię, co ja zrobię?”. Potem przyszło jej naraz do głowy, że to może mieć również inne konsekwencje, nie tylko jego pęd do naśladowania”. Czy Bruno wie, że go widziałeś? Czy cię widział?”.

Jej głos stał się głośniejszy i bardziej podniecony. Złapała go za ramię, nacisnęła z całej siły i zażądała błagalnym głosem: „Na litość boską, powiedz wreszcie coś. Powiedz tak lub nie”.

Tylko na nią patrzył, wydawał się zakłopotany, zażenowany jej podnieceniem, potem lekko poruszył głową i plecami, jak to czasem

robił, kiedy coś było mu niemiłe lub kiedy zaczynał się nudzić.

21 sierpnia 1995

Około południa wóz patrolu policyjnego podjechał do gospodarstwa Schloesserów. Trude stała w kuchni i rejestrowała rosnący z sekundy na sekundę szmer silnika, któremu wtórowało skwierczenie kielbasy na patelni. Uznała, że to Jakob, aczkolwiek jej mąż bardzo rzadko wpadał do domu koło południa. Właściwie tylko wtedy, kiedy miał jakąś pilną sprawę do załatwienia. Aha, domyśliła się Trude, pewnie przywiózł lekarstwo z apteki. Że też w ogóle mógł coś takiego zaproponować. Wszystko to musiało być dla niego okropne. I było. Ale nie tak okropne jak dla Trude, ona od dawna miała swoje własne piekło, którym nie chciała dzielić się z Jakobem. Było tak wiele rzeczy, o których nigdy się nie dowiedział. Miał dość na głowie. Nie musiała dobijać go jeszcze opowieściami o starej kości, poplamionych krwią majtkach lub małej damskiej torebce, którą Ben znalazł gdzieś na dworze.

Być może Heinz Lukka zdążył w międzyczasie poinformować policję, że już w lipcu słyszał, jak jakaś dziewczyna krzyczała w nocy pod jego oknami, przemknęła jej przez głowę. Trude obracała na patelni kawałki kielbasy, ale nie widziała ich. I chyba nie czuła nawet ich smakowitej woni. Przed oczami miała podążające do rozpadliska tłumy, policyjne psy z nosami przy ziemi, słyszała oszalałe ryki Bena zamkniętego w swoim pokoju. W głowie huczało od nieprzytomnych myśli. Nie mogła usłyszeć, że samochód zatrzymał się na podwórzu.

Kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi, zadrżała gwałtownie. Wyjrzała przez okno, zobaczyła wóz policyjny i była przekonana, że pojawił się szatan we własnej osobie, żeby porwać do piekła jej czarną duszę.

Albo anioł sprawiedliwości, który przybywał, żeby przekląć ślepią miłość i instynkt macierzyński. „Jak mogłaś milczeć przed piętnastu laty? Jak możesz milczeć teraz? I jak w ogóle możesz wierzyć, że zadrapania na jego rękach pochodziły od drutu kolczastego? Każdy człowiek, który ma choć trochę oleju w głowie, domyśliłby się, że to nieprawda. Czy całkiem odebrało ci rozum? Położył ci na stole damską torebkę. Przecież to oczywiste, że te zadrapania są dziełem paznokci, których użyto w obronie własnej”.

Cała głowa napełniła się ohydny brzęczeniem, które rosło stopniowo, kiedy wycierała ręce w fartuch i powoli szła do drzwi. Żadnego diabła, żadnego anioła, na progu stało dwóch policjantów w służbowych mundurach. Trude wpatrywała się w nich przez chwilę przerażonymi oczyma, widziała tylko tłustą twarz Wilhelma Ahlsena i w pierwszej chwili zupełnie nie zrozumiała, czego od niej chcą.

Ale oni robili tylko to, co w takich przypadkach zwykle robi policja, czysta rutyna. Mieli do niej kilka prostych pytań, które w tym czasie zadawano wielu mieszkańcom Bachstrasse i właścicielom posesji oddalonych od ulicy. Czy tej nocy, kiedy znikła Marlene Jensen, nie zauważyła niczego podejrzanego?

„Nie, zupełnie nic” – odparła Trude.

Czy prócz niej ktoś jeszcze mieszka w tym domu, chcieli wiedzieć funkcjonariusze.

„Tylko mój mąż i mój syn – powiedziała szybko Trude i dodała po chwili, starając się, aby jej głos zabrzmiał dostatecznie mocno: – Ale teraz nie ma ich w domu”.

Gładkie kłamstwo. Ben leżał na swoim łóżku i spał. Przyszedł do domu na śniadanie i przez cały czas był na górze. Ale kłamanie dla niego z czasem weszło jej w krew i należało do codzienności, podobnie jak karmienie obu świń.

Nieobecność mężczyzn wydała się policjantom sprawą oczywistą. Był przecież poniedziałek, zwykły roboczy dzień. Chcieli tylko się dowiedzieć, czy ci dwaj może coś...

„Nie – wpadła im w słowo Trude. – Na pewno by mi powiedzieli.

Czytaliśmy o tym w gazecie i od tego czasu prawie nie rozmawiamy o niczym innym. Bardzo nam szkoda rodziców dziewczyny. Ale tej nocy wszyscy spaliliśmy. Wcześniej położyliśmy się do łóżka. Zawsze chodzimy wcześniej spać”.

Czy rzuciło się jej w oczy coś dziwnego, niecodziennego?

„Nie, zupełnie nic – wyjaśniła Trude jeszcze raz. – Zresztą, co ciekawego można zobaczyć na takim odludziu – wokół same pola, kawałek lasu... Czasami słyszę, jak jakieś auto jedzie do Bendchen. Zawsze tam pełno młodych ludzi, zwłaszcza wieczorami. Ale kiedy gra telewizja albo radio, wtedy nic nie słychać. Czy to prawda, że Marlene Jensen wsiadła do samochodu z dwoma obcymi mężczyznami. Słyszałam o tym we wsi. Macie już ich zeznania?”.

Nie otrzymała odpowiedzi. Kiedy odjechali, usiadła przy stole i czekała, aż serce przestanie walić jak szalone. W uszach znów huczało, rozpierało czaszkę, bała się, że za chwilę jej głowa pęknie jak balon, w który wtłoczono zbyt dużo powietrza.

Niedługo potem do kuchni przyszedł Ben. Na lewym policzku miał odcisnięty wzór kapy ze swojego łóżka. Usiadł przy stole, pożerając wzrokiem smażoną kielbasę. Trude pokroiła ją na małe kawałki, umyła nóż, wytarła go o fartuch, a potem schowała w kredensie i przysiadła się do Bena. Nie miała apetytu i patrzyła, jak zabierał się do jedzenia.

„Właśnie była tu policja – powiedziała. – Chcieli się dowiedzieć, czy coś widzieliśmy albo słyszeliśmy”. Głos jej zadrżał, głośno odetchnęła, a on tymczasem pchał sobie do ust jeden kęs za drugim, pochłonięty bez reszty tą czynnością. „Gdybyś mógł mi powiedzieć tylko raz, gdzie znajdujesz wszystkie te rzeczy – ciągnęła. – Małą torebkę, tę sprzed kilku tygodni, musisz ją jeszcze pamiętać... Bardzo się ucieszyłam, kiedy mi ją przyniosłeś. Ślicznie to zrobiłeś. Ty tę torebkę tylko znalazłeś, prawda?”.

Skinął głową. Kiedy pytano go o coś, czasem przytakiwał, a czasem potrząsał głową. Zwykle zależało to od tonu, w którym zostało postawione pytanie. Jeśli głos był łagodny, miły, wówczas zgadzał się ze swoim rozmówcą. Brzmiało szorstko – kręcił przecząco

głową. Na jego reakcjach nie można było polegać, Trude o tym wiedziała. Był niewiarygodny.

Kiedy wyczyścił talerz i chciał wstać od stołu, położyła mu rękę na ramieniu. „Teraz siedź i dobrze uważaj” – zażądała i zaczęła go wypytywać o Marlene Jensen i Svenje Krahl. Czy widział te dziewczyny, gdzie, kiedy, czy były same, czy w towarzystwie, z kim, co się potem stało, gdzie są teraz? Ale i tym razem było tak samo jak kiedyś z kotem Hilde Petzhold. Z początku milczał, a potem powtórzył tylko kilka razy: „Paluchy precz”.

Trude pokiwała głową ze smutkiem. „Tak, paluchy precz. Nie możesz dotykać dziewcząt. One tego bardzo nie lubią. I nie wolno ci ich straszyć, tak jak to zrobiłeś niedawno z Anette i Albertem, pamiętasz?”

Zrobił się niespokojny, nie chciał dłużej siedzieć. „Przyjaciel” – powiedział.

Trude znów pokiwała głową. „Ty biedny głuptasie, nieboraku mój. Albert nigdy nie był twoim przyjacielem. Zawsze chciał tylko zrobić z ciebie pajaca. Paskudny, wredny typ. Tak to jest, kiedy ktoś już od młodych lat ma za dużo pieniędzy. Później taki nicpoń myśli sobie, że może wszystko kupić. A jak nie może, jak powiesz mu nie – wtedy prędzej czy później odpłaci ci pięknym za nadobne”.

„Przyjaciel ścierwo” – powiedział, wstał i podszedł do drzwi.

Trude popatrzyła za nim z westchnieniem. „Tak, Albert zawsze był ścierwem. Dobrze, że wreszcie to pojąłeś”.

Wyszła z domu pół godziny po nim, wsiadła na rower i pojechała do lekarza. Od kilku dni nie czuła się najlepiej, ciśnienie znów podskoczyło w górę. Ucisk w czaszce, szum w uszach, od czasu do czasu zawroty głowy i strach, obłądny strach, który ścisnął jej serce jak żelazny gorset.

W poczekalni ów strach jeszcze się wzmógł. Choć przysłała dużo za wcześnie – przyjęcia zaczynały się dopiero o trzeciej – na ustawionych wzdłuż ściany krzesłach siedziało już kilka osób. Nikt nie czytał jednak rozłożonych na stoliku magazynów ilustrowanych

z ubiegłego tygodnia, które zazwyczaj cieszyły się dużym wzięciem u oczekujących na swoją kolej pacjentów. Były bardziej aktualne tematy.

Trude przez piętnaście minut wysłuchiwała spekulacji na temat losu Marlene Jensen, czując, że dłużej tego nie zniesie. Wstała i poprosiła pielęgniarkę, żeby zmierzyła jej ciśnienie, tłumacząc się, że zamknęła Bena w domu, że boi się o niego...

Ciśnienie było rzeczywiście bardzo wysokie. Trude, chcąc nie chcąc, musiała poczekać na lekarza, dostała nową receptę, radę, żeby się oszczędzała i na drogę moc pozdrowień dla Jakoba. Realizowanie recepty u Ericha Jensena było prawdziwą torturą. Na szczęście w aptece nie było Marii, która zwykle obsługiwała dział z kosmetykami. Był za to Erich, ale siedział na zapleczu, coś tam pisał i nawet nie podniósł głowy.

Anette Laessler, która pracowała w aptece wuja jako pomocnica, wzięła receptę i wydała Trude pudełeczko z lekarstwem. Trude uiściła należność i wyszła szybkim krokiem z apteki.

Kiedy jechała do domu polną drogą, miała przed oczami policjantów przeczesujących Bendchen, składaną łopatkę i nóż kuchenny, który znikł na tydzień. Słyszała głos swojej matki: „Małe dzieci, mały kłopot. Duże dzieci, duży kłopot”.

Dawniej były tylko kurczaki, jeden kot i lalki.

Jabłonkowa łąka

To, że Trude milczała, kiedy w sierpniu osiemdziesiątego roku znikła młoda cyrkówka Althea Belashi, jest sprawą zrozumiałą. Ona sama niczego nie widziała oprócz dziwnego zachowania Bena – i niczego nie słyszała prócz kilku pogłosek i dwóch nowych słów. A jak wiarygodnym świadkiem mógł być upośledzony umysłowo siedmiolatek?

Byli też inni świadkowie, aczkolwiek relacje Marii Jensen i Heinza Lukki nie stanowiły żadnego materiału dowodowego, które mogły rzucić jakieś światło na sprawę tajemniczego zniknięcia Althei Belashi. Jediną osobą mogącą dostarczyć koronnego dowodu była Gerta Franken, ale jej relacja nigdy nie dotarła do policji. Wysłuchał jej jedynie Erich Jensen jako członek rady miejskiej i naczelnik gminy. Erich Jensen miał jednak ważniejsze sprawy na głowie, aniżeli przejmowanie się gadaniną starej wariatki.

W owym czasie we wsi było zaledwie kilka gospodarstw rolnych. W ubiegłych latach większość małych gospodarstw została zlikwidowana – za dużo roboty, za mało zysku. W tej sytuacji projekt sprzedaży położonych na skraju wsi gruntów uprawnych pod działki budowlane był niezwykle nęcący. Dotyczyło to zwłaszcza Bachstrasse, która z roku na rok stawała się coraz dłuższa i dłuższa. Na większości dużych parcelach powstały okazałe domy jednorodzinne, niemal małe wille. Również kilka starych budynków zlokalizowanych między gospodarstwem Laesslerów i posiadłością Jakoba zmieniło swoich właścicieli. Uzdrowione dużym nakładem kosztów przez nowych – zazwyczaj bardzo zamożnych – mieszkańców przeobraziły się

w prawdziwe perełki architektoniczne.

Cztery lata temu wieś została przyłączona do miasta Lohberg i Bachstrasse, na której jeszcze nie tak dawno stały proste chłopskie obejścia, zmieniała stopniowo charakter, przeobrażając się w prawdziwie wielkopańską dzielnicę. Gospodarstwa Otto Petzholda i Jakoba Schloesslera ogromnie szkodziły temu image'owi. Któżby chciał w końcu zażywać kąpieli słonecznej na swoim eleganckim angielskim trawniku i być napastowany przez małe eleganckie muchy, które przedtem uwijały się w oborze? Dziwne, że nikt nie brał pod uwagę tego, że ta i owa mucha mogła równie dobrze przylecieć z chlewu Paula Laesslera, którego parcela także graniczyła z Bachstrasse.

W nowej aranżacji terenu Otto Petzold pędzący drogą swoje pięć krów stanowił prawdziwy skandal. Jego brama wyjazdowa znajdowała się przy Bachstrasse, jego pięćdziesiąt mórg na wschód od Bendchen. Otto Petzhold od niepamiętnych czasów jeździł traktorem w dół Bachstrasse. Droga biegnąca na tyłach ogrodów była małym objazdem, z którego Otto nigdy nie korzystał, nawet wtedy gdy pędził krowy na pastwisko. A krowy, jak to krowy, nie miały żadnego zrozumienia dla światowych gustów nowych mieszkańców i nowej estetyki tej okolicy i regularnie zostawiały na drodze ordynarne krowie placki. W przeciwieństwie do swojego sąsiada Jakob używał zasadniczo tylnej bramy.

Mimo to na każdym posiedzeniu rady miejskiej Erich Jensen usiłował przeforsować projekt swojego autorstwa zakładający przesiedlenie obu gospodarstw, których właściciele należało – rzecz jasna – zjednać dla sprawy za pośrednictwem stosownej gratyfikacji. Jego propozycja nie znalazła jednak uznania w oczach radnych, zwłaszcza Heinz Lukka, który podobnie jak aptekarz doskonale znał sytuację, był przeciwny pomysłowi swego antagonisty.

Heinz Lukka twierdził nie bez racji, że jeśli zaproponuje się pomoc finansową Jakobowi Schloesserowi i Otto Petzholdowi, wówczas nie można odmówić jej także Paulowi Laesslerowi, gdyby i ten gospodarz

planował przeprowadzkę. Możliwe że wtedy również Bruno Kleu wyciągnie rękę. A przeniesienie wyłącznie dwóch wspomnianych na wstępie gospodarstw nie rozwiąże problemu Bachstrasse. Była jeszcze jedna haniebna sprawa, prawdziwa „czarna owca” tej ulicy – działka Gerty Franken.

Położona na skraju wsi i podobnie jak siedlisko Jakoba zlokalizowana między Bachstrasse i polną drogą, parcela ta przedstawiała znaczną wartość. Już tylko w samym ogrodzie przed domem – istnym gąszczu dzikiego owsa, sękatych krzewów różanych i czarnego bzu, który przyciągał mszyce z całej okolicy – można by postawić okazały dom wielorodzinny z dużym terenem przyległym, argumentował Heinz Lukka. Wprawdzie domu wielorodzinnego nikt nie chciał tutaj oglądać, ale takie przedsięwzięcie było na wskroś możliwe. Przywodzący na myśl dziewiczą puszcę ogród na tyłach domu Gerty Franken był prawie dwa razy większy.

Natomiast sam dom nie przedstawiał praktycznie żadnej wartości. Zbudowana z muru pruskiego mała i pokrzywiona chatka liczyła sobie dwieście lat. Ząb czasu mocno nadwerżył tę szacowną skądinąd budowlę. Gлина pokrywająca ściany z czasem zaczęła się kruszyć i odpadać, a ciężkie i masywne onegdaj belki stoczyły do cna nielitościwy czerw. Było tylko kwestią czasu, kiedy ten domek Baby Jagi zawali się i w gruzach trzeba będzie szukać doczesnych szczątków Gerty Franken.

Erich Jensen jako człowiek świadom spoczywającej nań odpowiedzialności uważał, iż w żadnym razie nie wolno dopuścić do tak tragicznego finału. Jego zdaniem, Gertę Franken, kobietę leciwą, schorowaną, a co gorsza niespełna rozumu, należy oddać bezzwłocznie pod opiekuńcze skrzydła miłosiernych sióstr w pobliskim klasztorze lub do domu seniora w Lohbergu. A jeśli będzie się opierać – w końcu istnieją również rozmaite środki przymusu.

Gerta Franken urodziła się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym i większą część swojego długiego życia spędziła w samotności. Na początku stulecia przez krótki czas miała męża.

Podobno był to wytworny i śliczny chłopak, prawdziwy przystojniak, jak opowiadał ojciec Jakoba. Zginął śmiercią żołnierza w czasie pierwszej wojny światowej, a Gerta niemal oszalała z rozpacz. Na wiele tygodni zaszyła się w swoim domku, nic nie jadła, nic nie piła, nic nie mówiła i nic a nic nie spała.

Niektórzy we wsi – podobnie jak radny Jensen – twierdzili, że z latami Gerta postradała resztki rozumu i zgłupiała do cna. Być może mówili tak dlatego, że stara kobieta wiedziała zbyt dużo. Czasami pojawiała się na jutrzni i wołała do proboszcza: „Ej ty tam, na przodzie, nie zasypiaj! W twoim wieku powinieneś spać w nocy. Ale na pewno znów grałeś z Liesel na organach”.

Liesel była gospodynią proboszcza, urzędowała na plebanii i podobnie jak jej chlebodawca dawno temu przekroczyła sześćdziesiątkę. Przed trzydziestu laty ta para przez wiele miesięcy była na ustach całej wsi. Wtedy Liesel potrzebowała akuszerki, ale nie do porodu....

Gerta Franken wiedziała do czego i mówiła o tym tak, jakby to było wczoraj. Równie żywo przypominała sobie czas, kiedy Heinz Lukka stracił przedni ząb, który musiał potem zastąpić porcelanową koroną. Heinz Lukka opowiadał w gospodzie Ruhpolda, że poślizgnął się na mokrej posadzce w swojej łazience i tak nieszczęśliwie uderzył o kant umywalki, że złamał ząb.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się na początku listopada sześćdziesiątego dziewiątego, dobry tydzień po tym, jak Heinz Lukka uwolnił z rąk zamaskowanej postaci Marię Jensen, która wtedy jeszcze nazywała się Laessler. Gerta Franken wiedziała swoje i opowiadała ludziom, że to nie był żaden kant umywalki, tylko pięść Bruna Kleu, która dwukrotnie trafiła Heinza Lukkę w szczękę w jej ogrodzie.

Gerta Franken opowiadała również, że w końcu października sześćdziesiątego dziewiątego nie było żadnej napaści, a już na pewno żadnego gwałtu. Bruno i Maria spacerowali po polnej drodze, przytulali się do siebie, ściskali i całowali, a w końcu przenieśli się do jej ogrodu. W krzakach doszło potem do tego, do czego zwykle dochodzi

w krzakach, kiedy spotka się tam zakochana para. Maria wcale się nie broniła, tylko trochę marudziła. Było jej zimno i dlatego nie chciała rozebrać się do naga, jak sobie tego życzył Bruno.

Nagle pojawiło się psisko Lukki, które regularnie zapędzało się do jej ogrodu. A gdzie był pies, tam niedaleko musiał być i pan. Heinz Lukka z początku stał tylko na drodze i czekał, aż pies załatwi swoje sprawy. Tymczasem jego pupil zdążył już obsikać wszystkie krzaki i teraz naprzykrzał się parze kochanków. Kiedy Bruno chciał go przepędzić, Lukka zbystrzał w mgnieniu oka i poszczuł Bruna psem, ponieważ sam miał chrapkę na Marię. Resztę sami wymyślili, żeby Maria nie miała nieprzyjemności ze strony swojego brata, a Erich Jensen nie wyciągnął konsekwencji z jej niezdecydowania. Bądź co bądź w tamtym czasie Maria spotykała się już regularnie z Erichem.

Gerta Franken od dawna cierpiała na bezsenność. Noc w noc siedziała przy oknie w swoim pokoju, skąd miała doskonały widok na całą okolicę. Większość polnych dróg aż do połowy lat osiemdziesiątych była w fatalnym stanie i właściwie tylko traktory mogły po nich bezpiecznie jeździć. Ten, kto jechał swoim samochodem do Bendchen, ryzykował utknięcie w głębokich koleinach. Dlatego większość zakochanych par wołała spotykać się na biegnącej na tyłach ogrodów szerokiej drodze, której niekwestionowaną zaletą była asfaltowa nawierzchnia. A kto nie miał samochodu, ten wnosił się cichaczem do ogrodu Gerty, gdzie ukryty przed oczami ciekawskich mógł cieszyć się sekretnym tete-a-tete na łonie natury. Niektórzy z entuzjastów tego idyllicznego miejsca mieli żony lub mężów, ale nigdy ich tutaj nie przyprowadzali...

To właśnie Gerta Franken zainspirowała Bena do korzystania z lornetki, która w późniejszym okresie stała się nieodłącznym elementem jego „zewnątrznego wystroju”. Po zapadnięciu zmroku staruszka nie mogła rozpoznać, kto z kim spaceruje, siedzi w samochodzie lub zabawia się w krzakach. Dzięki lornetce twarze stawały się bardziej wyraziste, a opowieści Gerty bardziej szczegółowe. Opowieści te zatruwały życie niejednemu

„przykładnemu” małżeństwu. I niejeden mąż, i niejedna żona życzyli Gercie wszystkiego co najgorsze.

Kiedy nogi nie odmawiały jej jeszcze posłuszeństwa, w każde słoneczne popołudnie Gerta Franken przesiadywała na ławce przy rynku. Po przeciwległej stronie rynku stał dom, w którym na parterze mieściła się apteka, a nad nią duże mieszkanie Ericha i Marii Jensen. Obok wynajmował niewielki lokal Heinz Lukka. Kiedy ktoś przechodził obok jej ławki, Gerta Franken zaczynała głośno lamentować, żaląc się, że nawet zjadli wrogowie idą ręką w rękę, jeśli mają ten sam cel – a mianowicie pozbycie się raz na zawsze starej, biednej kobiety.

Gerta Franken uważała, że Erich od dłuższego czasu usiłuje wpędzić ją do grobu za pomocą swoich proszków i mikstur, żeby kasa miasta mogła zaoszczędzić kilka marek, które otrzymywała jako dodatek socjalny do swojej nędznej wdowiej renty. A Heinz każdego wieczoru szczuje na nią swoje psisko, ponieważ upatrył sobie jej działkę i teraz chce ją bezprawnie przywłaszczyć. Więc niech nikt się nie dziwi, jeśli pewnego dnia znajdą ją w ogrodzie z poszarpanym gardłem.

Te twierdzenia nie były tak całkiem wzięte z powietrza. Erich Jensen rzeczywiście powiedział kiedyś, że na widok tego stuletniego straszdyła ma wielką ochotę pomóc naturze, w końcu jest przecież aptekarzem... Oczywiście, był to tylko żart, aczkolwiek dość niewybredny. Ale Gerta Franken nie znała się na żartach. I nie było tajemnicą, że Heinz Lukka patrzy tęsknym okiem na jej działkę.

Kiedy adwokat sprzedał dom swoich rodziców i wynajął małe mieszkanie przy rynku, miał jeszcze nadzieję, że bliskie sąsiedztwo ukochanej dopomoże mu w rozwiązaniu jego sercowych problemów. Nie tylko Bruno Kleu cierpiał okrutnie, gdy wybór Marii padł na aptekarza. Piękna siostra Paula Laesslera była również wielką miłością Heinza Lukki. Ale Bruno mógł się wyszaleć, mógł się pocieszać z kilkoma dziewczynami z Lohbergu, był przecież taki młody. Heinz Lukka nie był już taki młody, skończył czterdzieści lat, był za to realistą i wiedział, że w tym wieku ma znikome szanse na ułożenie

sobie życia.

W końcu zrozumiał, że nawet mieszkanie z Marią przez ścianę nie przybliżyło go do niej ani na krok i postanowił zamienić wynajmowane przez siebie mieszkanie na własny dom, zasadniczo dlatego, że właściciel domu przy rynku nie przepadał za owczarkami, poza tym zaś Heinz Lukka doszedł do wniosku, że miłość to jedno, a przestrzeń życiowa dla psa to drugie. Z powodu nie najlepszych warunków mieszkaniowych adwokat był zmuszony wyprowadzać swojego ulubieńca na polne drogi, żeby ten mógł się wybiegać. Fakt, że upodobał sobie drogę biegnącą na tyłach ogrodów, miał tylko tę przyczynę, iż ta właśnie droga była w relatywnie dobrym stanie i można było po niej jeździć samochodem. A ponieważ Heinz Lukka uważał się za człowieka cywilizowanego, przeto reprezentował pogląd, iż wypuszczanie psów w miejscach publicznych – w tym również na publicznych drogach – po to, aby załatwiały tam swoje potrzeby fizjologiczne, jest rzeczą karygodną. Właśnie dlatego jako człowiek cywilizowany posyłał swojego owczarka do ogrodu Gerty Franken. Nie miało to nic wspólnego z zamiarem pozbawienia jej życia.

Ale w sierpniu osiemdziesiątego roku miał miejsce mord w ogrodzie Gerty Franken. Opowiadała o tym kilka dni później nie policji i nie młodemu akrobacie, który rozpytywał o swoją siostrę, jego wcale nie wpuściła do domu. Gerta Franken zdała szczegółową relację swoim sąsiadkom Hilde Petzhold i Illi von Burg, które – zmieniając się co tydzień – przynosiły jej każdego dnia ciepłe posiłki, a poza tym robiły zakupy i pranie, i utrzymywały porządek w chatce. Hilde Petzhold nie omieszkała opowiedzieć o tym Erichowi Jensenowi, który – jak można się było tego spodziewać – popukał się tylko w głowę. Również Illi von Burg nie dała wiary opowieści staruszki, ponieważ Gerta twierdziła, że ofiarą mordu padła Maria Jensen. Mała pomyłka miała prawdopodobnie swoje źródło w zadziwiającym podobieństwie obu kobiet. Althea Belashi podobnie jak Maria Jensen miała długie jasnoblonde włosy, zgrabną filigranową figurę i delikatne rysy twarzy.

To miało się stać tuż przed północą. Gerta siedziała jak zawsze

w starym fotelu przy oknie swojego pokoju, zdrzemnęła się i nagle obudził ją okropny krzyk, który w chwilę później przeszedł w rżenie. W tym samym momencie usłyszała, jak ktoś przeklina stłumionym głosem. Podniosła do oczu lornetkę i zaczęła gorączkowo przeszukiwać drogę. Nic tam nie było widać. W nieprzejrzystym gąszczu jej ogrodu też nie można było od razu rozpoznać, co się tam dzieje. Dopiero kiedy usłyszała trzask łamanych gałęzi i zaczęła uważnie wsłuchiwać się w szmery dochodzące z ogrodu, nie odrywając przy tym lornetki od oczu, odkryła miejsce zdarzenia.

To była jednoznaczna sytuacja, a Gerta Franken ze swoimi osiemdziesięcioma dziewięcioma laty zbyt stara, a może zbyt zafascynowana, żeby wkroczyć do akcji. Telefonu nie miała, nie mogła więc zadzwonić po pomoc. Możliwe że wystarczyłoby, gdyby zaczęła głośno krzyczeć, wtedy być może udałoby się jej spłoszyć sprawcę, zanim doszło do tragedii. O tym nie pomyślała jednak, a może nie zrobiła tego z powodów, które tylko jej były wiadome. Na początku była zresztą przekonana, że domniemana Maria Jensen, która broniła swego życia pięściami, nogami i zębami, wyjdzie obronną ręką z opresji.

Kiedy Gerta Franken zrozumiała swoją pomyłkę, było już za późno, aby móc jeszcze cokolwiek zrobić. Poza tym nie chciała się ujawniać w obawie, iż sama narazi się na niebezpieczeństwo. Wedrzeć się do jej domku przez ledwie trzymające się zawiasów tylne drzwi – to była fraszka.

Czy rozpoznała sprawcę, tego nie dało się już wyjaśnić. Ale tak należy przyjąć. Musiała również wiedzieć, dlaczego nigdy nie odnaleziono zwłok. I tylko ona wiedziała z całą pewnością, że był jeszcze jeden świadek zbrodni – Ben. Uwaga, którą zrobiła w obecności Hilde Petzhold, pozwala na wyciągnięcie jednoznacznych wniosków.

Ta uwaga padła w dzień, kiedy cyrk ostatecznie wyniósł się ze wsi, a Gerta Franken poczyniła jeszcze jedną szokującą obserwację. Było to w sobotę, zaraz po mordzie na Althei Belashi, w który nikt nie

wierzył.

Wczesnym popołudniem Gerta Franken siedziała przy oknie i obserwowała działkę Jakoba Schloessera. Tego dnia uwagę staruszki przykuwała jabłonkowa łąka.

Ze swojego punktu obserwacyjnego przy oknie Gerta często widziała, jak Trude przeszukuje łąkę, zbierając opadłe z drzew jabłka, z nieodłącznym Benem u swego boku. Gerta widziała, jak Trude pokazywała mu osuwiska i otwartą sztolnię, jak ostrzegała przed niebezpieczeństwem podnosząc w górę palec.

A tamtej soboty w sierpniu osiemdziesiątego roku Gerta zobaczyła go, jak zakradał się na łąkę – sam, ale akurat to nie było niezwykle. Wiedział, że nie wolno mu tam chodzić, a mimo to chodził, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Gerta była przekonana, że znał niebezpieczeństwa ziemi. Patrzyła, jak stąpa ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Jego wzrok powędrował ku odkrytej sztolni, przystanął na chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś, a potem zaczął powoli zbliżać się do „odwróconego lejka”. Gerta zdenerwowała się nie na żarty. Na swój sposób miała dla Bena wiele sympatii. W jej oczach nie był tak fałszywy, tak zakłamany i zepsuty jak ten szczywany lis Dieter Kleu, jak Albert Kressmann i te obrzydliwe bachory, które od niedawna panoszyły się na Bachstrasse. Lubić go – to jedno, ale ufać mu nie można, Gerta doskonale o tym wiedziała. Od niewinności, za którą Trude dałaby sobie uciąć rękę, był bardzo daleki.

Gerta Franken widziała go również w piątek, w maju, kiedy przestraszył Trude, przynosząc jej krwawy ochłap i kilka nienarodzonych kociąt. O tym zdarzeniu opowiedziała Illi von Burg. Zasnęła w swoim fotelu przy oknie i pewnie pospałaby z godzinkę, gdyby nie obudziła jej Trude, która głośno nawoływała syna. Gerta Franken niemal machinalnie sięgnęła po lornetkę i skontrolowała okolicę, nie spuszczając z oczu polnej drogi. Potem odkryła go nagle w gąszczu jeżyn swojego ogrodu i dziwiła się, dlaczego nie odpowiadał na rozpaczliwe nawoływania swojej matki. Musiał przez cały czas tam siedzieć, w przeciwnym razie widziałaby, jak nadchodzi

drogą.

Zeszła do ogrodu z zamiarem wysłania go do domu. A on kucał w jeżynach nad okaleczonymi zwłokami kota. Koszula i spodnie wisały na nim w strzępach, ręce i ramiona miał niemiłosiernie podrapane przez kolce jeżyn i kocie pazury. Kłuł szczyrykiem w otwarte trzewia i coś tam upychał.

Pręgę na jego plecach, która tak zaniepokoiła Trude, zostawił bat Gerty Franken. Tylko w ten sposób udało się jej w końcu przekonać Bena, żeby wyszedł z krzaków, zostawił trupa w spokoju i poszedł do domu tylko ze szczyrykiem i kawałkiem mięsa w ręku. Gerta Franken nie wpadła na to, że kieszenie spodni miał pełne krwawych wnętrzności. W tym momencie odczuła wielką satysfakcję. Ponieważ Ben jej posłuchał i ponieważ... nie lubiła kotów. Nigdy nie mogła zrozumieć swojej sąsiadki Hilde Petzhold, która miała kompletnego bzika na punkcie tych wrednych, miauczących istot z piekła rodem. Złapała ścierwo za ogon, podreptała na łąkę i rzuciła je w czeluść odkrytej sztolni.

W trzy miesiące po tym zdarzeniu Ben zbliżył się do „odwróconego lejka”.

Gerta nie chciała w żadnym razie, żeby przytrafiło mu się coś złego. Poderwała się z fotela i pokuśtykała na swoich słabych, starczych nogach do ogrodu, okropnie się przy tym męcząc. Kiedy udało się jej wreszcie zejść na dół po koślawych schodkach, już go tam nie było. Słońce stało w zenicie, Gerta przysłoniła ręką oczy i, sapiąc z wysiłku, wodziła wzrokiem po całej łące. W końcu dostrzegła jakiś ruch w wysokich trawach. Leżał na brzuchu obok odkrytej sztolni.

„Hej! – zawołała Gerta. – Odejdź stamtąd, ale już!”.

Natychmiast się podniósł i szedł powoli w jej stronę. Zobaczyła, że trzyma coś w ręku, ale to coś wyglądało niewinnie – jak ułamana rączka parasola. Kiedy zbliżył się do niej na odległość dwóch metrów, z domniemanej rączki wyjechała nagle długa, ostro zakończona klinga.

„No coś takiego – wyszeptała Gerta w osłupieniu, ale zaraz

zmitygowała się i powiedziała surowo: – Skąd to masz? Lepiej zanieś to swojej matce, zanim poobcinasz sobie palce”.

Zaczął wywijać nożem sprężynowym. Między nimi był tylko niski, spróchniały płot jej ogrodu.

„Wyrzuć to świństwo – zażądała Gerta energicznie. – To nie zabawka. Czy nikt ci tego nie mówił? Nóż, widelec, nożyczki, prąd nie są dla dzieci, zapamiętaj to sobie raz na zawsze!”.

„Ścierwo” – powiedział.

„Uważaj, co mówisz – odparła szybko Gerta i pogroziła mu palcem. – Jak poszczuję na ciebie twojego ojca, wtedy dostaniesz ścierwo, aż ci się wszystkiego odechce”.

„Ścierwo” – powiedział jeszcze raz, ale teraz – chcąc najwidoczniej wzmocnić werbalny przekaz – podniósł do góry rękę, w której trzymał nóż i wykonał kilka szybkich ruchów w powietrzu, jak gdyby chciał zadać cios.

Gerta cofnęła się przezornie kilka kroków w tył i choć nie miała wielkiej nadziei, że jej posłucha, wyciągnęła rękę i zażądała: „Daj mi to”.

„Paluchy precz” – powiedział Ben i schował rękę z nożem za plecami. Potem odwrócił się i pobiegł do stodoły.

Gerta patrzyła za nim, potrząsając głową, jak znikał w mrocznym wnętrzu stodoły. Nagle usłyszała głośny krzyk dziecka. Antonia Laessler była u Trude razem ze swoją córeczką, czteroletnią Anette. Gerta nie przejęła się tymi krzykami, machnęła ręką i poszła z powrotem do domu. Wdrapała się po schodkach na górę, usiadła przy oknie i odpoczywała. Nie minęło dziesięć minut, kiedy znów go zobaczyła.

Tym razem nie był sam.

Taszczył pod pachą jakieś ciało. Gerta zobaczyła jasne włosy i strojną sukienkę. Zobaczyła i to, że zwisające bezwładnie ręce i nogi podskakują w takt jego kroków. Przez moment miała uczucie, że stanęło jej serce. Tak w każdym razie opowiadała Hilde Petzhold. A może w tym momencie dopadły ją wyrzuty sumienia, ponieważ

pozwoiliła mu odejść z nożem.

Ponieważ po owej fatalnej nocy, kiedy w jej ogrodzie została zamordowana młoda kobieta z długimi, jasnymi włosami, nie porozmawiała z Trude, chociaż dobrze wiedziała o jego manii naśladowania i często gęsto miała niezły ubaw, kiedy robił z siebie idiotę przed Albertem Kressmannem.

Trudno powiedzieć, co działo się z Gertą Franken w tym momencie. Nie miała żadnych wątpliwości, do kogo należy bezwładne ciało, które Ben niósł pod pachą: Dziewczynka Laesslerów.

Była tak zaszokowana tym, co zobaczyła, że nawet nie przyszło jej do głowy sięgnąć po lornetkę. W końcu był jasny dzień, świeciło słońce, a jej oczy mimo podeszłego wieku nie były jeszcze najgorsze. Gdyby użyła lornetki, wówczas nie uszłoby jej uwagi, że się myli.

Wszystko wskazywało na to, że Ben skręcił kark małej Anette. Gdyby żyła, broniłaby się przecież, wierzgała i krzyczała, skonstatowała w popłochu Gerta. Nic takiego jednak się nie działo. Dziecko nie poruszyło się również wtedy, gdy Ben położył je na trawie.

Uważnie rozejrzał się dookoła, odkrył siedzącą w oknie Gertę i podniósł rękę, jak gdyby chciał jej pomachać. Ale w rękę trzymał nóż. Gerta Franken widziała, jak się zamachuje, jak dźga raz za razem. Widziała, jak ściąga porwaną w strzępy sukienkę z martwego ciała, widziała, jak kładzie się na dziecku. Widziała nawet bezwstydnne ruchy, które wykonywał biodrami.

Kiedy i gdzie to podpatrzył, stało ponad wszelką wątpliwość: w noc, kiedy dokonano mordu w jej ogrodzie. Wtedy to właśnie podchwycił nowe słowa. Gerta Franken też słyszała parsającego wściekle mordercę, kiedy kopniak trafił go w czułe miejsce. „Przeklęte ścierwo, załatwię cię na amen”.

Potem Ben wstał, jeszcze raz upewnił się, że Gerta wciąż trwa na swoim posterunku, chwycił za nogę rzekome zwłoki, pociągnął je za sobą do otwartej sztolni i rzucił w czeluść.

Kiedy dwie godziny później Hilde Petzhold przyszła do niej

z kolacją, Gerta Franken siedziała przy oknie w swoim pokoju niczym zamieniona w słup soli żona Lota. Hilde weszła po schodkach na górę, stanęła w drzwiach, a widząc dziwny stan swojej podopiecznej, spytała z niepokojem: „Co się stało, Gerta, źle się czujesz?”.

„Zarżnął dziecko” – powiedziała Gerta grobowym głosem.

Hilde Petzhold nie rozumiała, co staruszka ma na myśli.

„Dziewczynkę Laesslerów – powiedziała Gerta dobitnie. – Ben zarżnął ją i wrzucił do «lejka», tak samo jak to zrobił typ, który zeszłej niedzieli zamordował Marię”.

„Zwariowałaś – powiedziała Hilde Petzhold. – Maria ma się dobrze, nikt jej niczego nie zrobił”.

„Ale ja widziałam” – upierała się przy swoim Gerta Franken.

20 sierpnia 1995

Dopiero we wtorek prasa doniosła o bezowocnej akcji poszukiwawczej, która objęła okolice Bendchen i rozpadliska. Autor utrzymanego w tonie lekkiej krytyki artykułu, dziennikarz odpowiedzialny za część lokalną gazety, informował pokrótce o bieżącym stanie dochodzenia w sprawie zaginięcia Marlene Jensen.

Policji w Lohbergu udało się wreszcie wpaść na trop dwóch młodych mężczyzn, do których samochodu wsiadła Marlene. Gazeta podawała, że ujęcie Klause P. i Eddiego M. należy zawdzięczać wyłącznie bystrości i odwadze młodego Dietera K. Chodziło o Dietera Kleu. Gdyby nie okoliczności, jego „śmiała akcja”, jak ujął to autor artykułu, byłaby zapewne znakomitym materiałem do niewybrednych żartów.

Poniżenie, które spotkało Dietera ze strony Klause i Eddiego, nie dawało mu spokoju, zatruwało serce i bez reszty zaprzętało myśli. Podobnie jak Bruno, który przed laty poprzysiągł straszliwą zemstę Paulowi Laesslerowi, Heinzowi Lucce i Erichowi Jensenowi, kiedy nie dostał Marii, teraz jego syn pragnął wziąć odwet na rywalach, którzy upokorzyli go haniebnie w obecności Marlene będącej obiektem jego najszybszych pragnień. Ponieważ ojciec zabronił mu kategorycznie publicznych wystąpień – powodem tych restrykcji była dorodna fioletowa śliwka pod okiem juniora Kleu – każdego wieczoru Dieter czatował na parkingu przed „da capo”, która nie tak dawno była areną nierównego pojedynku, i jego poniżenia. Dyskoteka była otwarta przez cały tydzień. Dieter Kleu pałał żądzą zemsty i cierpliwie czekał. A w sobotę jego cierpliwość została wynagrodzona.

Wieczorem, w przeddzień akcji poszukiwawczej Klaus i Eddi jak gdyby nigdy nic przyszli do „da capo”. Scenariusz był ten sam, zmieniły się tylko aktorki. Tym razem próbowali szczęścia u Karoli Juenger, szesnastoletniej dziewczyny zamieszkałej w nowym eleganckim osiedlu przy Lerchenweg. Kilka minut po pierwszej w nocy Karola i Eddi zajęli miejsca na tylnym siedzeniu samochodu. Klaus usiadł za kierownicą i skierował się na polną drogę, która prowadziła wprost do gospodarstwa Laesslerów, jeśli się nie skręciło w lewo przy bungalowie Lukki. Klaus skręcił. A Dieter Kleu ruszył za nimi z wyłączonymi światłami.

Mniej więcej na wysokości drutu kolczastego otaczającego jabłonkową łąkę samochód nagle się zatrzymał. Dieter również zatrzymał się w bezpiecznej odległości, zaraz za bungalowem Lukki. Jego cierpliwość raz jeszcze została wystawiona na próbę. Karola Juenger nie miała nic przeciwko temu, aby zabawiać się z Eddim na tylnym siedzeniu. Ale kiedy Klaus przeniósł się również na tył samochodu, dała wyraz swemu niezadowoleniu, głośno protestując. Nie była zainteresowana erotycznymi trójkątami. Po krótkiej i gwałtownej szamotaninie, Klaus i Eddi wypchnęli brutalnie z samochodu swoją towarzyszkę, rzucili za nią torebkę, kurtkę oraz inne części garderoby, kilka epitetów na pożegnanie i oddalili się w wielkim pośpiechu.

Dieter Kleu podjechał do wzburzonej dziewczyny, pomógł jej pozbierać porzucane na drodze rzeczy, a potem zawiózł na posterunek policji w Lohbergu, gdzie odbył długą rozmowę z dyżurnym, wskazując z naciskiem na ewidentne analogie z przypadkiem Marlene Jensen. Dyżurny natychmiast porozumiał się z komendantem. Ponieważ znano już numery rejestracyjne wozu, odszukanie Eddiego, który – jak się okazało – był jego właścicielem, nie zajęło policji wiele czasu.

I nikomu nie przyszło do głowy, żeby zapytać Dietera Kleu, dlaczego nie zwrócił uwagi na numer rejestracji wówczas, gdy do samochodu wsiadała Marlene. Nikt nie uznał również za stosowne

poinformować prokuraturę i zadbać o to, żeby sprawą zajęła się wreszcie policja kryminalna. Pomimo nowych alarmujących okoliczności komendant policji w Lohbergu trwał nadal w niezłomnej wierze, iż ważniejsza niż wszystko inne jest lojalność wobec starego przyjaciela Ericha Jensena, ten zaś za wszelką cenę chciał uniknąć skandalu.

O szóstej rano wyciągnięto Eddiego z łóżka. Godzinę później on i jego kompan siedzieli razem na przesłuchaniu. Z początku obaj zaprzeczali zgodnym chórem, jakoby zamienili z Marlene bodaj słówko. Skonfrontowani z zeznaniami świadków dość szybko skapitulowali, w dalszym ciągu upierali się jednak, że odwieźli Marlene do domu. A ściśle mówiąc, wysadzili ją na skraju wsi. To był jej pomysł, nie chciała budzić ojca, dlaczego – nie wiedzą.

W tym czasie policjant, który otrzymał polecenie przeszukania samochodu Eddiego, przyjrzał mu się z bliska i poczynił kilka interesujących odkryć – na tylnym siedzeniu znalazł pęk długich jasnoblonde włosów, które teoretycznie mogły należeć do Marlene Jensen. Znacznie cenniejszym znaleziskiem były wszakże dwa nity w kształcie gwiazdy. Leżały pod tylnym siedzeniem. A komendant wiedział od Marii Jensen, że takie właśnie nity miała przy swoich dzinsach jej córka.

Włosy, nity oraz groźba skonfrontowania z Erichem Jensenem stworzyły konieczny nacisk. Klaus i Eddi wreszcie się przyznali, że z Marlene mieli kropka w kropkę taki sam plan jak z Karolą. I że – podobnie jak Karoli – również Marlene pozwolili wysiąść przy polnej drodze. Ładnie to ujęli. W rzeczywistości wyrzucili Karolę półnągą z samochodu.

Klaus zaklinał się, że zawsze tak robili, kiedy dziewczyna nie miała ochoty na zabawę we trójkę. Na dowód tego, że mówią prawdę, wymienił kilka imion. W niedzielę nikt nie miał czasu, żeby to sprawdzić. Wszyscy ludzie byli na akcji poszukiwawczej, penetrując Bendchen i okolice. Dopiero w poniedziałek przesłuchano wszystkie dziewczyny po kolei. Większość ich potwierdziła wersję Klause. Kilka

dziewczyn stanowczo odmówiło złożenia zeznań.

Z siedemnastoletnią Svenja Krahl nie udało się policji porozmawiać. Rodzice widzieli ją po raz ostatni w lipcu. Tylko że nikt nie zadał sobie trudu, żeby zgłosić jej zniknięcie policji. Teraz też nie widziano takiej potrzeby.

Ojczym Svenji był bezrobotny i pił, była też trójka młodszego rodzeństwa, z którymi Svenja musiała dzielić pokój. Matka dorabiała sprzątaniami, miała się najczarniejszych robót, ratując rodzinę przed kompletną ruiną i od dawna przypuszczała, że Svenja bierze narkotyki. Dziewczyna regularnie podkradała jej ciężko zapracowany grosz. Może dlatego matka nie tęskniła zbyt za swoją córką. Rodzina przypuszczała, że Svenja uciekła do Kolonii. Policja również skłaniała się ku tej hipotezie. W prasie nie było żadnej wzmianki o Svenji Krahl.

Jakob znalazł gazetę na kuchennym stole, kiedy wrócił wieczorem z pracy. Trude nie było w domu. Jakob czytał uważnie artykuł, wolno, słowo po słowie i czuł, jak z każdym słowem coraz bardziej sztywnieje. Jeśli zeznania obu zatrzymanych odpowiadają prawdzie...

Nocą, na polnej drodze nie było wielu możliwości przypadkowego spotkania. Chyba że ktoś nieustannie tutaj czatował. Nie robił tego nikt, kto miał choć trochę oleju w głowie. Bo i po co? Jeden taki z olejem w głowie, który miał chrapkę na młodą dziewczynę, znalazł inne rozwiązanie... Tylko jeden z rozumem komara leżał każdej nocy w kukurydzy. Nie dlatego, że czekał na dziewczynę. Leżał tam, ponieważ liczył na dobre słowo i tabliczkę czekolady od przyjaciela Lukki.

Ale Heinz Lukka w weekendy rzadko bywał w domu. Często opowiadał, że w sobotnie wieczory lubi przejechać się do Kolonii, zamówić stolik w eleganckim lokalu – zamiast przesiadywać w gospodzie Ruhpolda, którą przecież ma na co dzień – wypić kufelek piwa lub kieliszek dobrego wina i zjeść wykwintną kolację. Kraby, ostrygi i takie tam inne... A kiedy wypił więcej niż jeden kieliszek, nie wracał do domu na noc i szedł spać do jakiegoś miłego hoteliku. Lukka opowiadał o tym otwarcie, nie widział w tym nic zdrożnego,

choć zwykle po takich opowieściach uśmiechano się ironicznie za jego plecami, spekulując, co to może być za hotel. Pewnie taki, gdzie płaci się za godziny...

A kiedy u przyjaciela Lukki było ciemno w oknach, Jakob również o tym wiedział, jego syn szukał sobie innych miejsc. Świadczyły o tym wymownie podrapane dłonie i ramiona, pamiątka, jaką pozostawiał drut kolczasty, pod którym Ben przekradał się na łąkę. Właśnie tam, gdzie Eddi i Klaus rzekomo zawsze wysadzali dziewczyny.

Kłamię, pomyślał Jakob. Każdy na ich miejscu by to robił. Bardzo możliwe, że wcale nie chcieli zabić córki Ericha. Chcieli tylko się zabawić. I byli we dwóch. A co może zrobić młoda, bezbronna istota, niemal dziecko, kiedy dwóch osiłków dobiera się do niej w środku nocy, na takim odludziu. Jest przerażona, broni się, grozi konsekwencjami. Facetów oblatuje strach, no i stało się. Nie chcieli tego, ale stało się, dziewczyna nie żyje. I co teraz zrobić z trupem, jak się go pozbyć?

Każdy, kto choć trochę znał tę okolicę, wybrałby rozpadlisko albo lasek Bendchen. Ale tam policja niczego nie znalazła. Trudno uwierzyć w to, że dwóch spanikowanych facetów zatrzymuje się w polu lub w lesie i do bladego świtu kopie dół tak głęboki, że trupa nie wywęszył żaden psi nos – teoretycznie było to możliwe, choć mało prawdopodobne. Tak samo jak założenie, że dwóch rozrywkowych chłopców, jadących na dyskotekę, żeby wyrwać jakąś panienkę, zabiera ze sobą łopatę. Jakob wrzucił ramionami, pewnie dali gaz do dechy i po drodze pozbyli się zwłok, podsumował swoje rozważania. Ale po tej konkluzji wcale mu nie ulżyło.

Sobotnia gazeta z wielkim zdjęciem Marlene Jensen znikła za sprawą Trude. Co z oczu to z serca. Trzeba być trochę bardziej ostrożnym i nie drażnić Bena. Był w takim wieku, że widok ładnej dziewczyny mógł z łatwością naprowadzić go na głupie myśli.

Nie wiedział, co począć z tymi myślami, które pojawiały się co rusz, budziły niepokój, ale w dziwnie przyjemny sposób. Tak jak wówczas, gdy podglądał Alberta Kressmanna i Anette Laessler, jak zabawiali się

w samochodzie. Kiedy widział coś takiego, mogło się zdarzyć, że wyniesie się do kurnika i zacznie sam robić sobie przyjemność.

Od tamtego czasu Trude już nieraz przyłapała go na tym zajęciu, ale jakoś nie mogła się zdobyć, żeby dać mu po łapach. Było jej ciężko na sercu, kiedy widziała go siedzącego samotnie na zimnym klepisku w kącie kurnika. Był tak zajęty sobą, że w ogóle jej nie zauważał. A Trude zachodziła w głowę, czy on wie, jak to jest, kiedy nie siedzi się samemu na podłodze w kurniku. Była pewna, że wiedział, spłoszył już niejedną parę zakochanych.

Jakob złożył gazetę i poszedł do piwnicy szukać Trude. Gazetę wziął ze sobą. Nie zrobił tego z jakimś ukrytym zamiarem, to było przyzwyczajenie. Kiedy schodził do piwnicy, zawsze zabierał przeczytaną gazetę i kładł ją na kupce makulatury. Ale Trude nie było w piwnicy, nie było jej też w chlewie ani w kurniku, ani w ogrodzie. Dziwna sprawa. Wiedziała, o której godzinie Jakob wraca do domu i zawsze czekała na niego z gorącą kolacją.

Jakob był głodny, poszedł z powrotem do domu i otworzył lodówkę. Ku swemu zdumieniu odkrył tam miskę gotowanych ziemniaków, które zaczynały już niemal gnić. To nie było podobne do Trude. Ziemniaki, które odgrzewała mu na kolację, stały zawsze w misce na stole. Nakryte czystą ściereczką.

„Dziwne, bardzo dziwne” – pomyślał Jakob i chciał wyrzucić zawartość miski do kubła na odpadki, ale kubeł był pełen, wziął zatem miskę z ziemniakami w jedną rękę, kubeł w drugą i poczłapał do stojącego przy płocie kontenera na śmieci. Kiedy podniósł pokrywę, ujrzał wek, który wyrzucił w niedzielę. Postawił kubeł na ziemi, wyjął słoik i podniósł go do góry, trzymając pod słońce. Przez chwilę obracał go w palcach. Marlene Jensen nosiła jasnoniebieską wiatrówkę, a strzępek materiału ledwie widoczny pośród ohydnie cuchnących, pleśniejących skarbów jego syna był... dość brudny.

Faceci kłamią, pomyślał Jakob, kłamią jak cholera. Cisnął ze złością wek do kontenera, potem wytrząsnął z miski gnijące kartofle, chwycił za kubeł ze śmieciami i też go opróżnił. Teraz nic nie było widać.

Poszedł z powrotem do domu, stanął w drzwiach i patrzył na drogę.

Zobaczył Trude, pedałowiała na swoim rowerze co sił w nogach, wjechała na podwórze, zahamowała tuż przed nim i zeskoczyła z siodełka. Była zdyszana, ale twarz jej promieniała. „Już jesteś?” – zapytała ze zdziwieniem, jak gdyby była dopiero trzecia po południu.

„Dochodzi ósma” – wyjaśnił Jakob rzeczowym tonem.

„Nie gniewaj się – powiedziała Trude i od razu poczuła się lepiej. – Byłam u Antonii. Potem skoczyłam na chwilę do Heinza. Mają wreszcie tych typków. Czytałeś już?”.

„Tak – powiedział Jakob. – Przeczytałem też, że do niczego się nie przyznają. Twierdzą, że zawsze wysadzali dziewczyny przy polnej drodze”.

„No jasne, a co mają mówić – odparła Trude, nie zważając na sceptyczny ton Jakoba. – Tak szybko nie powiedzą prawdy. Ale Heinz uważa, że wykręty niewiele im pomogą. W policji też nie siedzą sami durnie”.

„No, jeśli Heinz tak uważa” – mruknął Jakob i poszedł do domu. Ale w głębi duszy też tak uważał.

Trude wprowadziła rower do stodoły. Przy kolacji siedzieli sami przy stole. Ben nie wrócił na noc do domu. Życie szło dalej utartym torem.

Złe czasy

W sierpniu osiemdziesiątego roku sprawa rzekomego mordu na Anette Laessler, którego miał dokonać Ben, została szybko wyjaśniona. I nie mogło być inaczej. Już w pół godziny po tym, jak Gerta Franken opowiedziała Hilde Petzhold o makabrze, którą widziała na własne oczy, Hilde pojawiła się u Trude. Pokręciła się trochę po kuchni, trochę pomarudziła, zanim wreszcie wyłożyła kawę na ławę i powiedziała otwarcie, z czym przychodzi. Otóż Gerta widziała jak...

Trude oniemiała i w pierwszej chwili nie wiedziała, co ma powiedzieć. Ben wyrwał Anette lalkę, a potem rzucił ją na podłogę, kiedy dziewczynka zażądała, żeby zwrócił jej własność. Dlatego Anette krzyczała. Ben dostał od Trude klapsa w tyłek i uciekł do swojego pokoju. Tak w każdym razie pomyślała Trude. I mogła przysiąc, że Anette opuściła podwórze, idąc za rękę z Antonią, zaraz po szóstej – i żywa jak srebro.

Mimo to Trude zadzwoniła do Antonii w obecności Hilde, prosząc o potwierdzenie swoich słów. Kiedy Hilde już sobie poszła, Trude przez wiele godzin umierała ze strachu, drżąc na myśl, że mógł rzucić się na inne dziecko. Dopiero kiedy poszła na górę i przeszukała wszystkie pokoje, domyśliła się, jakie „zwłoki” widziała zwariowana starucha. W dalszym ciągu jednak pozostawało dla niej zagadką, w jaki sposób Ben mógł niepostrzeżenie wynieść z domu jej lalkę.

Kiedy Jakob przyszedł wieczorem do domu – o wizycie Hilde i jej mrożącej w żyłach opowieści nic nie wiedział – również i on spostrzegł, że czegoś brakuje między poduszkami. Nigdy nie dowiedział się jednak, że ukochana lalka Trude była już trzecią ofiarą.

Ale i bez tego miał dość. Trude na próżno błagała go i zaklinała, żeby nie szturmował pokoju Bena i nie zrywał z łóżka śpiącego dziecka. „Błagam cię na wszystko, pozwól mi porozmawiać z nim w spokoju, zobaczysz, że wszystko się wyjaśni. Może tylko ją schował”. Trude sama w to nie wierzyła, zwłaszcza kiedy Hilde powtórzyła jej słowo w słowo, co widziała Gerta Franken. Ale Jakob nie chciał jej słuchać. „Nie daruję szczeniakowi. Musi się wreszcie nauczyć, nie twoje – nie ruszaj”.

Ale się nie nauczył. Kiedy Antonia przyszła do nich w następną sobotę, w Bena znowu wstąpił zły duch, w okamgnieniu zamienił się w brutala i barbarzyńcę, wyrwał lalkę z rąk Anette i już w następnej sekundzie pastwił się nad nią, wrywając jej po kolei ręce i nogi.

„Nie denerwuj się, Trude, spokojnie. Wszystkie dzieci coś psują. Anette i tak ma za dużo zabawek. Nie będę załamywać rąk z powodu jednej lalki”.

„Nie chodzi o to” – odparła Trude bezradnie. Ale nie potrafiła wyjaśnić, o co jej chodzi nawet tak życzliwej przecież Antonii, z którą dotychczas mogła zawsze szczerze porozmawiać. Antonia na pewno nie odpuści, będzie wracać do tej sprawy. A policja już rozmawiała z Brunem Kleu o zaginionej artystce, Trude wiedziała o tym od Jakoba. Niczego nie mogli mu udowodnić. A Bruno nie da sobie zmarnować życia przez kogoś takiego jak Ben, to oczywiste. Dlatego Trude powiedziała tylko: „Nie wiem, co się z nim dzieje. Nigdy jeszcze nie był taki trudny”.

A robiło się jeszcze gorzej. Ale winę za to ponosił Jakob. W ostatnią niedzielę września osiemdziesiątego roku wczesnym popołudniem przyszedł do nich Heinz Lukka, żeby w imieniu zarządu miasta przekonać Jakoba do konieczności ogrodzenia jabłonkowej łąki. Wystarczy mały płótek, zaczął przezornie Heinz Lukka. Chodzi o względy bezpieczeństwa, żeby jakiś niczego niepodejrzewający spacerowicz nie wpadł do odkrytej sztolni. O „odwróconym lejku” i osuwiskach wiedzą tylko miejscowi. A o wypadek nietrudno. Jeśli zaś chodzi o koszty, Heinz Lukka miał rozległe znajomości i zapewnił, że

w baumarkecie Wilmrod bez problemu uda mu się wytargować niższą cenę.

„Po niższej cenie też nie kupię, jeśli to nie będzie konieczne – odparł szorstko Jakob. – Od mojej łąki wara. To teren prywatny. Jeśli złapię jakiegoś spacerowicza, jak się tam kręci, to zmiłuj się na nim panie Boże. Moje «wiadro» to nie śmietnik. Myślisz, że nie wiem, że nocą wyrzucają tam swoje śmieci. Ciągłe depczą mi trawę”.

Heinz Lukka skrzywił się z niesmakiem, po czym przybierając mentorski ton, wyraził opinię, że ludzkie życie jest cenniejsze od trawy. Nie wspominając już o tym, że w tej okolicy mieszka całe mnóstwo dzieci. Jakob powinien tylko pomyśleć o własnym synu, który często biega po łące. „I nie mów mi, że to nieprawda. Nawet późnym wieczorem tam się kręci. Co raz go widzę, kiedy wychodzę z psem”.

Jakob nie zdążył mu odpowiedzieć. W drzwiach stanął nagle Ben, który usłyszał dobiegający z pokoju głos Lukki.

„A oto i mój przyjaciel – powiedział Heinz Lukka z uśmiechem i pogrzebał w kieszeni kurtki. Wyjął paczuszkę cukierków czekoladowych. – Zobacz, co dla ciebie mam. Chcesz mi pomóc? Może we dwóch będzie nam łatwiej przekonać twojego ojca, że trzeba ogrodzić łąkę”.

„Nie masz mnie co przekonywać – odburknął Jakob. – Przecież jest tabliczka: Wstęp wzbroniony! I wystarczy”.

Ben wziął paczuszkę z rąk Lukki, wyjął jednego cukierka, wsadził go sobie do ust i potarł czoło o rękaw kurtki adwokata. Heinz Lukka pogłaskał go po głowie i uśmiechnął się.

W tym momencie złość Jakoba przemieniła się we wściekłość. Że też taki ktoś jak Lukka, taki drań, który ma na swoim koncie niejedną podłość – Jakobowi nie starczyłoby palców obu rąk na wyliczenie wszystkich jego haniebnych czynów z lat młodości – śmie za pomocą słodczy wyłudzać czułe gesty od jego syna. Nie, tego już za wiele. O jego ramię Ben nigdy się nie ocierał.

„Idź do matki!” – ryknął rozkazująco Jakob.

Ben opuścił pokój bez sprzeciwu, ale nie poszedł do Trude, która szykowała obiad w kuchni. Trude widziała kątem oka, jak wspina się po schodach, nie domyślając się, gdzie zmierza. Przedtem był w swoim pokoju, dała mu kilka ziemniaków, a on zakrzywionym gwoździem rył poplątane wzory na ich łupinach. Po kilku minutach wrócił z lalką Anity, ale tego Trude już nie zobaczyła. Poszła do chlewu ze zlewkami dla świń. Ben przyszedł z lalką do pokoju, w którym siedzieli obaj mężczyźni i położył ją Heinzowi na kolanach.

„Chcesz mi podarować laleczkę? – zapytał Heinz Lukka. – Miły z ciebie chłopak. Ale przecież to twoja lalka”.

„Ścierwo” – powiedział Ben, zabrał lalkę, zdarł jej sukienkę i jednym ruchem wyrwał nogę. Potem rzucił ją na ziemię i kopnął, aż zachręściło.

Kiedy Trude wróciła do kuchni, usłyszała okropny wrzask dobiegający z największego pokoju. Heinz Lukka siedział w fotelu, w jednej ręce trzymał zdemolowane ciało lalki, w drugiej urwaną nogę i zszokowany potrząsał głową, gdy tymczasem Jakob bił na oślep wierzgającego i krzyczącego wniebogłosy Bena. Trude jednym susem była przy Jakobie, chciała chwycić go za rękę, dostała pięścią w piersi i poleciała na ścianę. Jakob miał w oczach śmierć.

„Jakob” – upomniał go Heinz Lukka.

„Nie wpięprzaj się!” – ryknął Jakob.

Ben wił się na podłodze jak zdeптany robak. W pewnym momencie udało mu się przyczepić do nóg Heinza, wczepił się w nie obu rękami i szukając pomocy, żałośnie skamlał. Jakob próbował oderwać go od nóg gościa i bił dalej, gdzie popadnie. Dopiero kiedy Trude głośno płacząc wybiegła z pokoju, zaniechał kaźni.

„To nie było potrzebne” – powiedział Heinz Lukka, z trudem się opanowując, spoglądał na fragmenty lalki w swoich rękach, to znów na łkającego chłopca na podłodze.

„Skąd możesz wiedzieć, co tutaj jest potrzebne? – wrzasnął Jakob. – Jak sam będziesz miał dzieci, wtedy pogadamy. Musi się nauczyć, że nie wolno mu sięgać po cudzą własność. To są lalki jego sióstr”.

Przez kilka następnych dni Trude zamykała na klucz pokoje obu córek i dzięki temu osiągnęła swój cel – lalki na łóżku Anity stały się dla Bena nieosiągalne. Ale on wiedział, jak wystarać się o materiał zastępczy. Prawdziwym zagłębieniem pięknych, drogich lalek była Bachstrasse, gdzie więcej niż jedno dziecko bawiło się w ogrodzie lalką, która kosztowała majątek. Kiedy w kuchni Schloesserów pojawiła się pierwsza rozzłoszczona matka, domagając się zwrotu lalki, Trude skapitulowała. Drzwi do pokoju sióstr znów stały dla niego otworem.

I stare lalki rezydujące na łóżku Anity znikwały jedna za drugą. Niekiedy znajdowała nogę, szklane oko albo strzęp lalczynej sukienki na podwórzu, w stodole lub w ogrodzie. Nawet gdyby Trude obiecywała mu złote góry, nie odpuścił. Razem z lalkami znikwały noże kuchenne, małe, duże, ostre, tępe, zwykłe i posrebrzane – słowem, wszystko to, co miało ostrze.

Jakob znów bił jak za dawnych lat, wbijał w duszę Bena swój gniew, swoją rozpacz. I swoją zazdrość. Często już przy śniadaniu groził surowymi restrykcjami – na wszelki wypadek, gdyby znów znikła jakaś lalka – a Ben uciekał przed jego pięściami, kiedy tylko nadarzyła się sposobność.

Krążył po jabłonkowej łące, czołgał się na brzuchu jak foka wokół otwartej sztolni, jak gdyby szukał śmierci w czeluści. Biegł na gminną łąkę, a niekiedy wypuszczał się nawet do wsi. Zwykle docierał w końcu do kawiarni sióstr Ruettgers, gdzie miał nadzieję znaleźć czułe ręce, które gładziły go po włosach i policzkach, gdzie Sibylle Fassbender karmiła go tortem, a w końcu chwyciła za telefon i prosiła, żeby ktoś przyszedł, przysięgając na wszystko, że był bardzo grzeczny i nikomu się nie naprzykrzał.

To było przykre, żenujące, ale na pewno nie tragiczne. To można było przeżyć. Trude dzień w dzień umierała tylko ze strachu, że znowu miał przy sobie nóż, że komuś go pokazywał, że przez nieuwagę skaleczył siebie lub kogoś innego, był przecież taki niezgrabny i że przez tę niezgrabność właśnie wywiozą go do zakładu. Albo że,

uchowaj Boże, zamiast na lalkę rzuci się na jakieś dziecko.

Zwiedzając okolicę, odkrył pewnego dnia, gdzie mieszka Heinz Lukka. Kiedyś siedział przez kilka godzin na krawężniku przed apteką, aż jakaś litościwa dusza podniosła go i zaprowadziła do domu. Tą litościwą duszą była Maria Jensen, która nie omieszkała opowiedzieć o tym swojemu mężowi, ten zaś z kolei poruszył tę kwestię na posiedzeniu rady miejskiej.

Pewnego wieczoru pod koniec października przyszli we dwóch, Erich Jensen i Heinz Lukka. Erich jak zawsze uprzedzająco grzeczny z dużym talentem odgrywał rolę zatroskanego społecznika, równocześnie jednak dał wyraźnie do zrozumienia, jak obmyślił sobie dalszy ciąg dramatu. Jeśli Trude jest przeciążona opieką nad swoim synem, jeśli sobie nie radzi – a chyba nie radzi sobie – należałoby poszukać bezzwłocznie innych rozwiązań. Istnieją przecież rozmaite możliwości, nie ona jedna boryka się z tym problemem.

„Nie jestem przeciążona – wyjaśniła pospiesznie Trude – możecie mi wierzyć lub nie, ale ja naprawdę świetnie sobie radzę. I co z tego, że czasem pobiegnie do wsi? Inne dzieci robią to samo. W zeszłym tygodniu Thea do nocy szukała Alberta. Ten dureń zamiast po szkole wracać do domu, wsiada w autobus i jedzie do Lohbergu. Ben nigdy by na to nie wpadł. To dobre dziecko”.

„Nie możesz tego porównywać, Trude – wyjaśnił spokojnie Heinz Lukka. – Kiedy Albert Kressmann biega po ulicach albo wsiada do autobusu, to dobrze wie, co robi. Ben tego nie wie. A kiedy Albert został niedawno odprowadzony do domu przez patrol, Richard nie rzucił się na niego jak zwierzę. Richard cieszył się tylko, że chłopcu nie przytrafiło się nic złego”.

Spojrzenie Heinza Lukki powędrowało na moment do Jakoba, potem znów zatrzymało się na Trude. Adwokat zamilkł, chcąc najwidoczniej spotęgować efekt swoich słów, po czym powiedział z powagą: „Trude, wiem, że chcesz dla swojego syna jak najlepiej i dlatego starasz się go nie karać, a już na pewno go nie bijesz. Jestem tego pewien. Ale ja sam widziałem na własne oczy, jak Jakob

pastwił się nad Benem. A tak nie można. Nie możemy pozwolić na znęcanie się nad Bogu ducha winnym dzieckiem. Mógłbym włączyć w to urząd opieki nad nieletnimi. Nie zrobiłem tego, ponieważ... No cóż, zakład też nie jest najlepszym rozwiązaniem. Ale może lepszym, niż pozostawienie go tutaj”.

„Nie rób mi tego, Heinz – wyszeptała błagalnym głosem Trude. – I nie rób tego Benowi. Jeśli chcesz go zamknąć, możesz go od razu zabić. Przecież wiesz, że on potrzebuje tak niewiele – trochę pobiegać, poskakać, mój Boże, cóż w tym złego? Przecież nikomu nic nie robi”.

„Trude – Heinz Lukka zrobił się bardziej energiczny, spojrzał wymownie na Jakoba, który z wściekłości zgrzytał zębami. – Nie chodzi o to, że Ben coś komuś zrobi. Rzecz w tym, żeby jemu nikt nie zrobił krzywdy. Może porozmawiasz w spokoju ze swoim mężem, jeśli tak bardzo chcesz zatrzymać przy sobie Bena. Zakład jest drogi. Mówię, jak jest. Sami na pewno sobie nie poradzicie. Ale zanim to dziecko – które bądź co bądź i tak jest już pokrzywdzone przez los – stanie się kaleką dzięki swemu ojcu, ja nie będę na to patrzył beczynnienie”.

„Ja również” – dodał pospiesznie Erich Jensen.

Potem obaj podnieśli się z foteli i poszli do drzwi. Drogę na podwórze znaleźli sami. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Trude powiedziała: „Heinz ma rację. Jeśli jeszcze raz go zbijesz tylko dlatego, że zrobił coś, czemu nic a nic nie jest winien, wtedy odejdę razem z nim”.

Jakob głośno przełknął ślinę. „Nie musisz tego robić – powiedział zaskakująco spokojnym głosem i podniósł się z kanapy. – A jeśli jeszcze kiedyś będziesz miała problem, to teraz już wiesz, gdzie możesz dostać dobrą radę. I pomoc. Idź do Heinza, droga wolna. Jestem pewien, że ta kanalia będzie do twojej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Zastanawiam się tylko, dlaczego to robi”.

To, że Jakob nie lubił Heinza Lukki, do tej pory nie było dla Trude tak oczywiste. Nie doczekała się też jednoznacznej deklaracji. Jakob na swój sposób odniósł się do jej groźby – poszedł do gospody

Ruhpolda i upił się na smutno.

Przez wiele dni nie odezwał się do niej nawet słowem. A Trude przemawiała do swojego syna anielskim głosem: „Nie chodź do wsi, Ben. Możesz iść do ogrodu. Idź na gminną łąkę. Ale nie do wsi. Jak cię tam zobaczą, będzie po tobie. Zamkną cię w zakładzie”.

Wszystko na próżno, mogła prosić i grozić, błagać i straszyć, gadać, aż jej zaschło w gardle, a nocą wypłakiwać sobie oczy. Kiedy tylko nadarzyła się sposobność, uciekał – i tyle go było widać. Nawet zamknięta na cztery spusty brama nie była już dla niego żadną przeszkodą. Dawno temu odkrył, że do wsi można dotrzeć również polną drogą. A Trude wciąż nie miała sumienia zamykać go na klucz w jego pokoju, wciąż nie mogła się przełamać.

Ciągnęło go do cafe Ruettgers, do mieszkania Heinza Lukki. I od niedawna – do szkoły podstawowej, do której chodził również Albert Kressmann. Szkoła była tylko dwie ulice dalej. Kiedy wszyscy siedzieli na lekcjach, biegał sam jak palec po boisku. A kiedy zaczynała się przerwa, mieszał się z tłumem dzieci.

W kuchni Trude znów zaczęły się pojawiać jedna po drugiej zirytowane matki, skarżąc się na Bena, że dokucza ich dzieciom. Zwykle chodziło o małe dziewczynki, które straszył na boisku szkolnym. Dlaczego to robił, z czyjej inicjatywy – Alberta Kressmanna czy z własnej – tego nigdy się nie dowiedziała.

Za każdym razem Trude robiła wszystko, co w jej mocy, żeby ułagodzić wzburzone kobiety, zaklinając się na wszystkie świętości i na życie swojej matki, która od kilku lat leżała w grobie na cmentarzu w Lohbergu, że Ben nie miał niczego złego na myśli, że nie chciał nikomu robić przykrości, że chciał się tylko pobawić z innymi. Kiedy dzieci biegały po boisku szkolnym, on biegał za nimi. Czy naprawdę tak trudno to zrozumieć? Po każdej takiej wizycie Trude czuła do siebie obrzydzenie z powodu swojej matki. I jeszcze z powodu tego, co widziała Gerta Franken.

Pewnego razu przyłapała go na rynku Thea Kressmann, która po obiedzie wybrała się na mały rekonesans po wsi. Thea opowiadała, że

siedział na ławce przy rynku i patrzył przed siebie z ponurą miną. Innym razem znów Antonia Laessler zabrała go z placu zabaw dla dzieci na nowym osiedlu przy Lerchenweg, gdzie zabrał lalkę małej dziewczynce, na oczach dziecka roztrzaskał jej głowę kamieniem, zdarł z niej sukienkę i na koniec wyrwał obie nogi.

„O Boże, pomóż mi, co robić? – jęknęła Trude. Była kompletnie załamana. – Jakob już tyle razy go za to sprął. Czy mam go zabić?”.

Antonia nie wiedziała, co jej poradzić. Tym razem nawet tej niepoprawnej optymistce zabrakło konceptu. Chcąc pocieszyć zdruzgotaną Trude, powiedziała w końcu bez przekonania, że inni też mają kłopoty ze swoimi dziećmi. Ona sama wprawdzie nie może się skarżyć. Jej chłopcy są w porządku – bardzo rozsądni, grzeczni i w ogóle. Anette też nie sprawia problemów. Dobre z niej dziecko. Toni i Ilia von Burg również mają szczęście ze swoimi synami. Uwe, najstarszy, wprawdzie często jeździ po ulicach na swojej okropnie motorynce i w ciągu dwóch dni wydaje całe kieszonkowe, ponieważ uwielbia szpanować i fundować młodym dziewczynom. Ale dla szesnastoletniego chłopaka trzeba mieć zrozumienie. Za kilka lat zmądrzeje. Ilia i Toni wykazują wiele zrozumienia, cóż to za mądrzy i tolerancyjni rodzice.

Ale Richard i Thea Kressmann mają same kłopoty ze swoim synem. Albert nie nadąża w szkole za innymi dziećmi, nie może pojąć ani tabliczki mnożenia, ani alfabetu, wagaruje, a kiedy zdarzy mu się przyjść do szkoły, na przerwie udaje kowboja. Już niejedna matka poskarżyła się na niego, ponieważ Albert bił małe dziewczynki. Ale chłopców nie zaczepia, boi się, taki z niego damski bokser.

A Renate Kleu już od dawna nie bierze do wsi swojego Dietera, który za każdym razem wpada w szal, kiedy nie może postawić na swoim. Do przedszkola Dieter chodził tylko dwa tygodnie. Zabierał dzieciom zabawki, a kiedy protestowały, brał się do bicia. Nie odpuścił też przedszkolance – kilka razy kopnął ją w nogę i ugryzł w rękę, i teraz musi siedzieć w domu. Żał tylko Renate, jakby mało miała kłopotów ze swoim, pożał się Boże, mężulkiem.

Słyszając tę wyliczankę, Trude tylko pokiwała głową. Nikt nie wpadłby na pomysł, żeby skierować Alberta Kressmanna albo Dietera Kleu do zakładu tylko dlatego, że biegają po wsi, zabierają dzieciom zabawki, biją małe dziewczynki, nie potrafią pisać i liczyć lub naśladować coś, co ktoś inny im pokazał. Albo dlatego, że dostali lanie od swojego ojca. Ale Ben...

Heinz Lukka jeszcze nieraz wstawiał się za nim, broniąc jego niewinności i łagodności charakteru, w które inni mocno powątpiewali. Więcej niż jeden raz ciągnęło Jakoba do gospody Rühpolda. Ten rok był dla Trude wyjątkowo ciężki. Kiedy wreszcie się skończył, myślała, że dotarła na sam szczyt bezsilności i strachu. Ale najgorsze było jeszcze przed nią.

25 sierpnia 1995

W piątek o siódmej rano Jakob wyszedł z domu. Trude swoim zwyczajem poszła za nim do drzwi, a potem do chlewa. Nakarmiła obie świny, podsypała kurom pszenicy i dopiero potem odważyła się pójść do pokoju Bena. Łóżko było puste. Niczego innego się nie spodziewała. Stłumiła wszystkie myśli o Svenji Krahl i Marlene Jensen, i zamiast tego uczepiła się kurczowo Klausa i Eddiego. Pobiegnęła po szmatkę i zaczęła przecierać okno, żeby nie wyglądało na to, że kogoś wypatruje.

Gdyby tylko nie było tego strachu. I zakrwawionej torebki.

I tego zwierzęcego parcia między jego nogami. To nie było potrzebne, że natura przypomniała mu, kim był. Miał dopiero trzynaście lat, kiedy Trude po raz pierwszy odkryła jednoznaczne ślady na jego spodenkach.

Na początku tego roku Jakob przyłapał go, jak zaglądał przez dziurkę od klucza do łazienki. A tymczasem w łazience Trude wycierała ręcznikiem mokre plecy i niczego się nie domyślając, stała frontem do drzwi golusieńka, jak ją pan Bóg stworzył. Ben przykucnął, pokazywał na dziurkę od klucza, za którą w całej okazałości można było rozpoznać bujny gąszcz ciemnych włosów poniżej pępka Trude. „Ślicznie” – powiedział Ben, kiedy Jakob go zapytał, czego szuka pod drzwiami łazienki.

A Trude dokładnie wiedziała, co znaczy owo „ślicznie”. To było słowo klucz. „Ślicznie” to był dobry uczynek, udane dzieło, coś za co oczekiwał pochwały lub jej udzielał. Ale „ślicznie” miało też uniwersalny wymiar. To było głaskanie po policzku albo pocałunek

matki. To były kurczaki, nieżywe myszy lub lalki. A także dziewczyny i kobiety, które były dla niego miłe i serdeczne. Za innymi wrzeszczał „ścierwo”.

„Ślicznie” podczas kąpieli – dłoń Trude trzymająca mydło. Nie potrafił sam się umyć, a Jakob nie zawsze miał czas, żeby wieczorem doprowadzić do porządku swojego niemiłosiernie brudnego syna. Trude nie przeszkadzało to, że nadal musi go kąpać jak dwuletniego bobaska. Ale on nie był już małym dzieckiem, był teraz dużym chłopcem i jego ciało reagowało adekwatnie do wieku. Owe naturalne reakcje niepokoiły Trude i bardzo ją krępowały. Kiedy pewnego razu zwierzyła się Jakobowi ze swoich obaw, wzruszył tylko ramionami: „Nic z tym nie zrobisz. On czuje dokładnie tak samo jak my. Tylko że nie może tym sterować. Spróbuj z zimną wodą. Słyszałem, że to pomaga”.

Trude raz spróbowała sama na sobie, żeby się przekonać, jak to jest. Było zimno i dość nieprzyjemnie. Kiedy się wiedziało, dlaczego tak ma być, można to było jakoś przeboleć. Ale skąd on miał to wiedzieć? A innej rady Jakob nie znalazł. Po historii z dziurką od klucza, powiedział tylko: „Następnym razem powieś ręcznik na klamce. To taki głupi wiek”.

A gdyby rzeczywiście spotkał przypadkowo dziewczynę, która została wyrzucona z samochodu przez dwóch facetów – półnaga i wściekła?

Trude zamknęła oczy i zaczęła intensywnie szperać w pamięci, usiłując ze wszystkich sił przywołać jego obraz tamtego niedzielnego poranka, kiedy zginęła Marlene Jensen. Mówiąc ściśle, ów obraz był zawsze taki sam, niezmienny od lat – skórzany pasek wokół talii, koszula w kratę, dresy wybrudzone na kolanach i u dołu trawą i błotem, kieszenie pełne kamieni, kawałków szkła, chrabąszczy i grudek ziemi. Grzebała w pamięci, ale inne plamy i znaleziska nie przychodziły jej do głowy.

Trude była przekonana, że tamtego poranka nie było krwi, gdyby była, wówczas z całą pewnością zwróciłaby na nią uwagę. Zawsze to

robiła. Widok krwi nie był dla niej niczym niezwykłym, kiedy wracał do domu ze swoich wypraw, za każdym razem musiała szukać na jego ciele świeżych ran – i nigdy ich jeszcze nie przeoczyła. Bała się, żeby ich nie zainfekował, kiedy następnym razem będzie się tarzał w błocie. Tęzec, Trude miała przed nim taki sam respekt jak przed zapaleniem płuc.

We wtorek jego koszula była wilgotna, kiedy zjawiał się na śniadaniu, to natychmiast rzuciło się jej w oczy. A jego spodnie wyglądały tak, jak gdyby skakał po kałużach błota. Uwalane w czarnej mazi po same kolana. Dziwne, od tygodni nie padało. Gdzie teraz można jeszcze znaleźć kałuże?

Zastanawiając się nad tym wszystkim, zmieniła pościel na jego łóżku, a potem jeszcze raz podeszła do okna. Nareszcie go zobaczyła. Zbliżał się od strony rozpadliska, biegnąc na przelaj przez buraki Bruna Kleu, ale był jeszcze daleko. Przy każdym kroku wymachiwał rękami, które wydawały się trochę za długie. Lekko pochylił głowę, wysunął ją do przodu i obszukiwał oczami ziemię. Zawsze tak robił, jakby spodziewał się znaleźć tam jakieś cudowności.

Dwa razy schylił się i coś podniósł. Za pierwszym razem schował swoje znalezisko do kieszeni spodni. Za drugim nie wydało mu się dostatecznie cenne. Przez chwilę obracał je w palcach, przyglądał mu się z uwagą, a potem upuścił na ziemię. Podniósł głowę i wtedy – chociaż był jeszcze daleko – zobaczył ją stojącą w oknie, wyrzucił ramiona w powietrze, podskoczył radośnie i puścił się łagodnym kłusem w stronę domu.

Zanim wszedł przez piwnicę, Trude zdążyła nakryć do stołu. Umyła mu ręce i twarz. Kiedy smarowała grube pajdy chleba, pogrzebał w kieszeniach spodni z poważną miną, położył na stole trzy główki stokrotek, wyszczerzył do niej zęby i skinął zapraszająco.

„To dla mnie?” – zapytała Trude. Przytaknął.

„Śliczne – powiedziała Trude. – Naprawdę bardzo się cieszę”.

Ugryzł kawałek chleba i ponownie sięgnął do kieszeni. Tym razem położył przed nią kilka drobnych rzeczy, Trude przyjrzała się im

z bliska, rozpoznała czaszkę i kręgosłup myszy polnej. „Czy to też dla mnie?” – zapytała, lekko się krzywiąc.

Potrząsnął głową, szukał dalej w kieszeni i wreszcie wyciągnął ładnie ubarwiony kamyk. Położył go obok stokrotek, zebrał mysie kosteczki i schował je z powrotem do kieszeni spodni.

Zaraz po śniadaniu wyniósł się do swojego pokoju. Trude przez chwilę słyszała, jak biega tu i tam, domyśliła się, że szuka pewnej kryjówki dla swojego nowego skarbu – resztek myszy polnej. Ze spiżarni znowu znikł jeden wek.

Krótko po dziesiątej zadzwonił telefon. To była Baerbel. Cztery lata temu wyszła za mąż za Uwe von Burga i teraz była wreszcie w ciąży. Baerbel się bała, Trude o tym wiedziała. Młodsza córka zrobiła wszystkie możliwe testy, żeby mieć pewność, że urodzi zdrowe dziecko. Tym razem jednak nie rozmawiały o jej ciąży, Baerbel chciała tylko zawiadomić matkę, że w niedzielę przyjeżdża Anita.

Anita od lat mieszkała w Kolonii. Zrobiła doktorat z prawa, pracowała w wielkiej firmie ubezpieczeniowej i nosiła głowę jeszcze wyżej niż w młodych latach. Pani doktor niezwykle rzadko przypominała sobie, że kiedyś miała rodzinę. A kiedy sobie przypominała, wówczas wpadała na kilka godzin w sobotę po południu wyłącznie do swojej siostry i wyłącznie na kawę. Czasem dawała się namówić na kawałek tortu z jeżynami – ale, bardzo proszę, bez bitej śmietany. Ze względu na figurę. I ze względu na figurę oczywiście żadnych dzieci. Z lękiem przed skazą genetyczną nie miało to rzekomo nic wspólnego.

„Jeśli masz ochotę – powiedziała Baerbel – możesz też do nas wpaść. Albo tata”. O Benie nigdy nie rozmawiały.

Kiedy Trude odłożyła słuchawkę, poszła na górę i przez chwilę stała w drzwiach jego pokoju. Leżał na łóżku i spał, przytulając swoją ulubioną lalkę szmaciankę. Od dawna nie rozrywał lalek. A kiedy Trude widziała go, jak śpi zwinięty w kłębek niczym zadowolony psiak w swoim koszyku, wszystko odpływało daleko, daleko.

Przez kwadrans stała cicho, nie ruszając się z miejsca i przyglądała

mu się, jak śpi. I w tych piętnastu minutach była w niej tylko matczyna miłość i wielkie kochające serce, za którego głosem zawsze szła. A to serce podpowiadało jej teraz, że nigdy nie podniósłby ręki z nożem na bezbronnego człowieka.

Niech Eddi i Klaus przysięgają jeszcze sto razy, że wysadzili dziewczynę na polnej drodze, Trude również może przysiąc, że Ben jest niewinny.

Już miała odejść, kiedy jej wzrok padł na wek. Stał za firanką przy oknie. A tam w środku było jeszcze coś więcej niż kosteczki myszy polnej. Żeby go nie budzić, zakradła się na palcach do okna i przysunęła słoik bliżej oczu. Zobaczyła trzy małe okrągłe ziemniaki, których łupiny pokrywał dobrze jej znany chaotyczny wzór i dwa liście babki. Były świeże i zrolowane jak cygara. A z końcówek tych cygar coś wystawało.

W pierwszym momencie Trude miała uczucie, że kiedyś, dawno temu widziała już coś podobnego. Ale nie mogła sobie natychmiast przypomnieć, gdzie to było. Kiedy już wiedziała, serce stanęło na chwilę, a potem zaczęło fikołkować jak szalone w bezpowietrznej przestrzeni poznania.

Była dzieckiem, sześć lub siedem lat, kiedy jej ojciec obciął sobie palec, rąbiąc drzewo na podwórzu. Stała obok pniaka, widziała, jak palec wylatuje w górę, jak zatacza szeroki łuk i wolno opada... Pobiegła za nim i podniosła go z ziemi. Widziała krwawy koniec palca, czysto przedzieloną kość. Wyglądało tak jak teraz, tylko że tym razem to były dwa krwawe końce, dwie czysto przedzielone kości, dwa palce.

Coś w jej mózgu wyłączyło się, powoli, powolutku, tak jak gdyby człowiek o małej sile w rękach mozolnie, z wielkim trudem przekładał ciężko chodzącą dźwignię i w końcu udało mu się zatrzymać kilka kół zębatych, tylko silnik jeszcze chodził. Obrót za obrotem bezużyteczne tryby brzęczały jednostajnie „znalezione” Tylko znalezione! Jeśli Ben znalazł na dworze stare kości, majteczki i pokrwawioną torebkę, to czemu nie miałby znaleźć również dwóch obciętych palców? Ktoś, kto ma oczy jak sowa, widział więcej i znajdował więcej niż inni.

Trwało to wieczność, zanim dwa lub trzy stojące w bezruchu tryby znów zaczęły wolno się obracać i Trude mogła otworzyć słoik, zdjęła pokrywkę, wyjęła zrolowane liście babki lancetowej razem z ich zawartością i schowała je do kieszeni fartucha. Przez cały czas patrzyła przez okno w stronę rozpadliska. Stamtąd przyszedł. A tam w niedzielę policja szukała bez psów. Czy to nie idiotyczne?! Bendchen, przez który przegnali swoje tresowane zwierzaki był bardziej przejrzysty niż stary lej po bombie wypełniony niemal po brzegi zwałami gruzu.

Spał prawie do pierwszej. Obudziły go dobiegające z kuchni zapachy, które mile łaskotały jego nozdrza. Czas na obiad. Po obiedzie przyjeżdżały ze szkoły obie dziewczyny, siedziały chwilę, a potem wsiadały na swoje rowery i jechały do gospodarstwa Laesslerów. Nie potrzebował zegarka tak długo, jak długo inni trzymali się swoich stałych przyzwyczajień. Obiad zawsze o pierwszej.

Przyszedł do kuchni. Wielka głowa wciśnięta w szerokie ramiona, policzki zaróżowione od snu. Oczy biegały bystro, zwinnie jak łasica – od nakrytego stołu do dymiących garnków na kuchni. Usiadł przy stole pełen wyczekiwania i patrzył w skupieniu, co Trude nakłada mu na talerz. Zjadł i natychmiast wstał.

„Usiądź z powrotem” – zażądała Trude. Stał obok stołu i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

„No, usiądźże wreszcie” – powtórzyła Trude, starając się, aby jej głos zabrzmiał energicznie, stanowczo. Ale między słowami drgały głuche, przytłumione uderzenia serca. I swoim subtelnym instynktem wyczuł, że brakuje jej sił.

„Dziś nie wyjdiesz już na dwór – powiedziała. Miało zabrzmieć jak rozkaz, ale wyszło z tego żalosne miauknięcie. – Boli mnie – popukała się w piersi. – Bardzo boli tutaj w środku. Nie chcę być sama. Przecież ty jesteś mój dobry Ben, ty jesteś mój najlepszy. Musisz zostać ze mną”.

Potrząsnął głową, odwrócił się do drzwi i poszedł do schodów prowadzących do piwnicy. Trude chciała pobiec za nim, ale teraz

naprawdę zabrakło jej sił. W kuchni było tak ciepło. Od kilku godzin pod kuchnią palił się ogień, pod tą starą, wysłużoną kuchnią, której Jakob po przeprowadzce wcale nie chciał wstawić. Bo i po co? We wszystkich pokojach mieli teraz centralne ogrzewanie, a w kuchni stała nowa kuchenka elektryczna. Ale Trude upierała się, żeby zostawić starą kuchnię węglową. Na wszelki wypadek, kiedy wyłączą prąd. Różnie to bywa. Albo kiedy trzeba będzie coś spalić. Poplamione krwią majtki, zakrwawioną torebkę albo dwa obcięte palce w liściach babki.

Trude wsparła głowę na rękach i patrzyła niewidzącymi oczami na kuchnię. Po chwili przemogła się, poderwała z krzesła, odsunęła na bok fajerki i tak długo grzebała pogrzebaczem w żarze, aż nie było już widać nic, czego można się było przerazić.

W tym czasie on biegł przed siebie lekkim kłusem, dotarł do polnej drogi, przyspieszył kroku, minął drut kolczasty i zbliżył się do kukurydzy. Na skraju pola zatrzymał się, podniósł do oczu lornetkę i obserwował bungalow Lukki.

Nie miał pewności, czy jego przyjaciel Lukka jest w domu. Kiedy był, zawsze wychodził na dwór, jak tylko go zobaczył. Ale gdy Ben nie chciał, Heinz Lukka go nie widział. Przykucał wtedy, rozgarniał ostrożnie łodygi kukurydzy, a potem – ukryty w zielonym gąszczu – skradał się, okrążając dom, wygrzebywał nóż sprężynowy z niewielkiej jamy, którą wykopał dawno temu, chował go do kieszeni i obserwował polną drogę.

W oddali pojawiły się obie dziewczyny, nadjeżdżały od strony Lohbergu. Ben poczuł nagłe trzepotanie serca i pospieszył im naprzeciw. To była gorączka, której nie mógł stłumić – ani na rozkaz swojego ojca, ani na bolesną prośbę matki. Zbliżały się powoli. Przepuścił je obok siebie i zachichotał, ponieważ na pozór wcale go nie zobaczyły.

Kiedy były jakieś sto metrów przed nim, wynurzył się z kukurydzy, wypadł na drogę i popędził za nimi jak szalony. Dogonił je w mgnieniu oka. Musiały słyszeć jego kroki, ale żadna z nich się nie odwróciła. Od

dawna brały udział w jego ulubionej zabawie – łapaniu. Wreszcie je dogonił. Wyciągnął rękę po dziewczynę jadącą po zewnętrznej stronie i gmerał palcami w gęstwinie ciemnych włosów, dając jej w ten sposób znak, żeby się zatrzymała. Blondynka również zatrzymała swój rower. Ciemnowłosa dziewczyna w okularach słonecznych była młodszą siostrą Bena.

Domek na drzewie

W styczniu osiemdziesiątego pierwszego Trude zatrzymał się okres. Początkowo nie zaprzętała sobie tym głowy, w jej wieku – Trude kończyła tego roku czterdzieści pięć lat – nieregularne miesiączkowanie nie było niczym niezwykłym. Poza tym w ostatnich miesiącach zeszłego roku rzadko sypiała z Jakobem. O ciąży nie pomyślała nawet przez sekundę. Nie to było źródłem jej troski. Martwiła się o Jakoba. Złość na Heinza Lukkę wciąż mu nie przechodziła, a co gorsza – w dalszym ciągu gnała go do gospody Ruhpolda.

Jakob zawziął się i zdecydowanie odmawiał wzięcia udziału w zaręczynach Heinza. Wszyscy we wsi uważali te zaręczyny za prawdziwy cud. Heinz nie był już młodzikiem, dwa lata temu skończył pięćdziesiąt lat. W październiku zeszłego roku poznał kobietę, miłą i solidną osobę, jak to ujęła Trude, która była wprawdzie rozwódką – Heinz Lukka reprezentował ją na sprawie rozwodowej – i miała dwunastoletnią córkę, ale komu to mogło przeszkadzać? Co najwyżej Thei Kressmann, która zawsze była zdania, że Heinz Lukka jest opętany przez siedemnastoletnią dziewczicę Marię.

W lutym Heinz Lukka świętował swoje późne szczęście razem z pięćdziesięcioma zaproszonymi gośćmi w dobrej restauracji w Lohbergu. Gospoda Ruhpolda, zwierzył się któregoś dnia Trude, wydaje mu się „zanadto pospolita i – tak między nami – stanowczo zbyt plebejska na taką uroczystość”. Trude chętnie świętowałyby razem z nim i jego narzeczoną, ale ponieważ Jakob nie zamierzał robić przyjemności gospodarzowi wieczoru, więc i ona, chcąc nie chcąc,

pozostała w domu.

Niestety, szczęście Lukki trwało bardzo krótko. Pewnej niedzieli na początku marca, zaledwie w trzy tygodnie po wielkiej feście zaręczynowej, narzeczona Heinza jechała do wsi ze swoją córką. Na szosie jej samochód wyleciał z toru. Uderzyła w drzewo i zanim zdążyło przyjechać pogotowie, zmarła we wraku samochodu, jej córka jakimś cudem przeżyła, ale była ciężko ranna i przez wiele miesięcy leżała w szpitalu.

Tragiczny wypadek wstrząsnął całą wsią. Przez wiele tygodni krążyła pogłoska, że Richard Kressmann zepchnął narzeczoną Lukki z szosy. Richard jechał w tym samym czasie do Lohbergu, żeby odwiedzić w szpitalu starego Igora, do którego był przywiązany tak samo jak do alkoholu. A może jeszcze bardziej. Teraz serce Igora słabło z dnia na dzień. Stary Rosjanin zmarł dwa tygodnie później. Tego samego wieczoru Werner Ruhpold powiesił się na strychu swojej gospody.

Trude usłyszała o nieszczęściu na szosie i o tym, że Richard Kressmann jako pierwszy był na miejscu wypadku i trzymał za rękę ciężko ranną dziewczynkę do chwili, gdy przyjechała karetka. Doszły też do niej słuchy, że Heinz Lukka szaleje z rozpacz, a Igor odszedł z tego świata w spokoju ducha. Usłyszała również o stryczku, z pomocą którego Werner Ruhpold zakończył swe oczekiwanie na Edith Stern. Ale w tym czasie Trude miała inne zmartwienia, niż łamać sobie głowę, dlaczego Igor chciał koniecznie jeszcze raz zobaczyć Wenera Ruhpolda, zanim stanie przed obliczem Stwórcy. Opowiedziała jej o tym Thea Kressmann, którą dręczyło pytanie, jaka to arcyważna sprawa skłoniła Wenera Ruhpolda, by towarzyszył Igorowi w drodze do nieba.

Trude zadawała sobie zupełnie inne pytania. Okres nie pojawił się również w lutym i w marcu. Kiedy pod koniec marca przyszła do niej rozpromieniona Antonia i, wskazując na zaokrąglony brzuch, wołała już od progu, że znowu będzie dziewczynka, w Trude zakiełkowało straszne podejrzenie. Ginekolog potwierdził je dwa tygodnie później.

W pierwszym momencie nie mogła w to uwierzyć, była jak sparaliżowana i w głębi duszy życzyła sobie tylko jednego – żeby przytrafiło się jej to samo co Marii Jensen w listopadzie zeszłego roku podczas drugiej ciąży. Upadek w mieszkaniu, silny krwotok, operacja i po marzeniach. Jakob myślał podobnie jak ona. Miał już swoje lata. Czasami czuł się jak własny dziadek. Trude też nie była już najmłodsza. A jeśli znów... Ben obchodził wprawdzie swoje urodziny dopiero kilka tygodni temu, ale to było jak znak od Boga. Zły znak.

Nie dostał od nich żadnego prezentu urodzinowego. Tym razem nie przyszło im do głowy nic, czym mogliby sprawić mu radość.

„Podarujcie mu lalkę – zaproponowała Anita. – Możecie dołożyć do tego nóż, na pewno się ucieszy”. Śmiała się tak, jak tylko osiemnastoletnie siostry mogą się śmiać ze swoich nienormalnych braci.

Jakob nie wytrzymał, zamachnął się, uderzył w tę wyszczekaną, impertynencką gębę i natychmiast zrobiło mu się strasznie głupio. Do tej pory nigdy nie uderzył żadnej ze swoich córek. Ale nie przeprosił Anity, chociaż w pierwszym momencie miał wielką ochotę to zrobić. Za wszelką cenę chciał udowodnić Trude, że dobro syna leży mu na sercu tak samo jak jej, że nie chce zatłuc go na śmierć, Bóg mu świadkiem – i że pragnęłyby z całego serca zdjąć z jej ramion choć trochę obowiązków, zwłaszcza teraz, kiedy do starych ciężarów dojdą nowe.

Musiał być jakiś sposób, żeby trzymać Bena z dala od wsi i od innych dzieci. Ludzie i tak za dużo gadali, w dużej mierze dzięki rewelacjom Gerty Franken, która roznosiła je po całej okolicy. W ciągu swego długiego życia zebrała tak dużo wiedzy, że u jego kresu wszystko pomieszało się jej w głowie. Gerta tak daleko zawędrowała w swoich domysłach, iż w końcu sama uwierzyła w to, że morderca młodej artystki i świadek zbrodni to jedna i ta sama osoba. Teraz ze swojego stanowiska na rynku głosiła wszem i wobec, że Ben rozrywa lalki, aby nie wyjść z wprawy. Już od dawna ludzie przestali się z tego śmiać.

Jakob miał dwie możliwości: bić go tak długo i tak skutecznie, aż

raz na zawsze wybije mu z głowy zainteresowanie dla lalek – ta opcja nie wchodziła jednak w grę z powodu bogosławionego stanu Trude i gróźb Heinza Lukki – albo zaproponować mu coś innego, zupełnie nowego, coś co stworzyłoby przeciwwagę dla jego chorych zabaw i skierowało jego uwagę na inne tory.

Trude często podkreślała, że Ben chętnie pomaga jej w ogrodzie. O tym, że przy tej okazji wrywał więcej warzyw, niż mogła zasadzić na swoich grządkach, nie powiedziała mu, rzecz jasna. Własny ogród dla Bena – to była pierwsza myśl Jakoba. Tylko gdzie ma być ten ogród?

Na jabłonkowej łące było zbyt niebezpiecznie. Za to ogród Gerty Franken wydawał się idealnym miejscem dla tego przedsięwzięcia. W tym oceanie bujnie pniącego się zielska przetykanego atolami monstrualnych krzewów jeżyn, pośród których sterczała niczym statek widmo potężna stara grusza, nie mógł niczego zniszczyć. Trzeba by tylko trochę ucywilizować tę dzicz. A jeśli tuż pod nosem Gerty będzie się bawił grzecznie i niewinnie, jak Bóg przykazał, stara z pewnością nie omieszka opowiedzieć o tym ludziom. Jakob uśmiechnął się w duchu, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, to już coś. Ano, spróbujemy...

Przez kilka dni obmyślał plan operacyjny, wspiał się na próbę na starą gruszę i tam właśnie przyszedł mu do głowy pomysł z domkiem na drzewie. Z wierzchołka gruszy roztaczał się wspaniały widok na całą okolicę. W trzy strony świata biegły pasy pól uprawnych, zieleń się zagony buraków cukrowych i ziemniaków, złociła pszenica. W bezchmurne dni widać było na zachodzie wieżę kościelną w Lohbergu, a kiedy niebo było zasnuwane chmurami, majaczyła w oddali niczym mglisty palec boży. Na wschodzie szmaragdowa plama lasu. Na południowym wschodzie za szachownicą pól uprawnych leżało rozpadlisko, miejsce pamięci po dawnym gospodarstwie Kressmanna.

Kiedy stało się w ogrodzie, nie sposób było zobaczyć starego krateru po bombie, ale wysoko na drzewie ciemna krawędź

rozpadliska wyraźnie odcinała się od pól. Cóż za bogactwo obrazów dla bystrych oczu Bena. A każdy z tych obrazów może być dla niego nową, pozytywną inspiracją. Jakob zatarł ręce, zszedł z gruszy i poszedł do domu wesół jak skowronek.

Z Gertą Franken nieoczekiwanie szybko doszedł do porozumienia. Nie zależało jej na ogrodzie. Do tej pory też nie miała nic przeciwko temu, żeby Trude zrywała jeżyny z jej krzaków gigantów, za każdym razem zamawiała tylko kilka słoików galaretki jeżynowej. Gerta była gotowa oddać do dyspozycji Jakoba cały ogród za niewielką sumkę, pod warunkiem że owa sumka będzie wypłacana regularnie pod koniec każdego miesiąca, że Ben będzie schodził jej z oczu. I że Jakob nie piśnie ani słowa o ich cichym układzie, żeby urząd socjalny nie wywęszył czegoś i nie wpadł na pomysł odebrania jej zasiłku.

Już następnego dnia Jakob przystąpił do pracy. Działał planowo, najpierw powycinał zielska wokół gruszy, potem przyciął krzewy jeżyn, żeby Ben nie pokaleczył się o ostre jak brzytwa kolce. Przy kolacji przedstawił Trude w zarysach swój plan i polecił jej, żeby przez kilka następnych dni trzymała Bena z dala od ogrodu.

Wieczór w wieczór Jakob dźwigał mocne deski, nosił młotek i gwoździe w kieszeniach roboczych spodni i w pierwszej kolejności zbudował stabilną platformę w konarach gruszy. Kiedy się z tym uporał, przeprowadził próbę wytrzymałości – stanął pośrodku platformy, kilka razy tupnął jedną nogą, potem drugą, ugiął lekko nogi w kolanach, odbił się od platformy i podskakiwał w górę raz za razem, jakby szykował się do skoku z trampoliny i teraz miał niezbitą pewność, że ta podłoga wytrzyma jeszcze niejeden skok jego syna. Ściany domku zbudował po części z desek, a po części z blachy falistej, z której zrobił również dach.

Trude miała łzy wzruszenia w oczach, kiedy Jakob zaprowadził ją do ogrodu, żeby zaprezentować swoje dzieło. Najpierw stała bez słowa i tylko patrzyła, ale w jej oczach malował się nieklamany zachwyty. Potem musnęła Jakoba wdzięcznym spojrzeniem, chwyciła obiema rękami za sznurową drabinkę, którą własnoręcznie splótł

i umocował na gałęzi. Wspięła się na górę, z wielkim trudem przecisnęła gruby brzuch przez niewielki otwór wejściowy, przykucnęła i patrzyła przez szczelinę, którą Jakob pozostawił celowo między ścianami i dachem domku. Jakob słyszał tylko jej głos. „Pięknie, naprawdę pięknie. Stąd może wszystko widzieć, a jego nikt nie zobaczy”.

Trude postanowiła dołożyć swoją cegiełkę, ona również chciała mieć swój wkład w dzieło Jakoba. Myślała przez całą noc i w końcu wymyśliła. Basen dla Bena. W stodole leżało stare ocynkowane poidło dla bydła. Przenieśli je do ogrodu i ustawili w zacisznym miejscu nieopodal gruszy między przyciętymi krzewami jeżyn. Jakob zakopał je do połowy w ziemi. Trude przydźwigała kilka wiader wody i wlała ją do poidła, żeby Ben widział, ile radości go tutaj czeka.

Kiedy następnego dnia z samego rana przyprowadziła go pod starą gruszę, stał jak rażony piorunem, otworzył usta, zadarł głowę i patrzył na usadowiony między konarami domek, a oczy wychodziły mu na wierzch ze zdumienia. Potem pobiegł do poidła, zaczął okręzać je w tanecznych podskokach, a później już tylko skakał i skakał i wcale nie mógł się opanować.

Tego lata domek na drzewie i basen stały się prawdziwym błogosławieństwem dla wszystkich. Każdego dnia skoro świt Ben biegł co sił w nogach do swojego małego rajku i nie chciał wracać do domu nawet na obiad i kolację. Trude musiała za każdym razem nęcić go obietnicą lodów. Kiedy wyczyścił talerz, znikał w okamgnieniu za stodołą. W czasie wielkich upałów wchodził do poidła i polewał wodą rozgrzane ciało. Kiedy było chłodniej, leżał w domku na gruszy i obserwował okolicę. Albo zaprowadzał swoje porządki w ogrodzie Gerty Franken. Aranżował pokrzywy, osty i dziki owies, które teraz wyglądały prawie tak samo jak grządki w warzywniku Trude.

Już nie ciągnęło go na rynek ani nawet do cafe Ruettgers. Wydawało się, że całkiem zapomniał też o szkole podstawowej i placach zabaw na nowym osiedlu przy Lerchenweg. Nikt nie przychodził już ze skargą na niedobrego Bena. Chwilowo stracił nawet

zainteresowanie dla lalek Anity.

Trude odetchnęła, odczuła pewien rodzaj spokoju i zaczęła nawet myśleć z radością o dziecku, które niebawem miało się narodzić. Wreszcie miała dla siebie trochę czasu i wykorzystywała go na swój sposób. Po obiedzie urywała się czasem na godzinę i szła do Antonii Laessler na pogaduszki. Przedtem zaglądała zawsze do ogrodu Gerty, a kiedy przekonała się, że Ben bawi się przy poidle, siedzi w domku lub przesadza osty, tłumaczyła mu, że idzie odwiedzić ciocię Antonię i że niedługo wróci, a on patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, po czym szybko wracał do swoich zajęć. Przesyłała mu ręką całusa i szła spokojnym krokiem do oddalonego o trzysta metrów gospodarstwa Laesslerów.

Czasami rozmawiały o tym, co dzieje się we wsi. Niewiele tego było, pomijając wydarzenia pierwszych miesięcy osiemdziesiątego pierwszego roku. Igor Kressmanna został pochowany z taką pompą i przepychem, że ludzie we wsi zastanawiali się, czy Richard nie uroił sobie aby, że chowa ostatniego z rosyjskich carów.

Po pogrzebie Richard nie trzeźwiał przez trzy tygodnie. W końcu doszło do jego uszu, że podejrzewa się go o spowodowanie śmierci narzeczonej Heinza Lukki. Richard wpadł w szał i zagroził połowie wsi wniesieniem oskarżenia o zniesławienie, a na dowód tego, że jest czysty jak łąza, dał do zbadania swojego mercedesa policyjnym ekspertom. Niestety, nie dało się już ustalić, czy tamtego fatalnego dnia jechał po złej stronie drogi, czy po dobrej. Dwunastoletnia córka zmarłej nie była w stanie złożyć zeznań, kiedy wreszcie obudziła się ze śpiączki.

Pomimo to w maju Richard musiał oddać swoje prawo jazdy. We wsi szeptano o więcej niż trzech promilach. To, że udało mu się dojechać do domu cało i zdrowo, graniczyło niemal z cudem. Tego dnia Richard otarł się o jeszcze jedno cudowne zdarzenie – zaledwie bowiem wytoczył się ze swojego mercedesa, jak spod ziemi wyrósł przed nim policjant z balonikiem... Krążyły słuchy, że zaczaili się na niego po otrzymaniu anonimowego telefonu. Niektórzy przypuszczali,

że zadenuncjował go Heinz Lukka, ale nie można było tego udowodnić. W grę mógł wchodzić również Toni von Burg. Richard nie zrezygnował jednak ze swoich wizyt w gospodzie Ruhpolda i teraz kazał się tam wozić Thei, którą mianował osobistym szoferem.

Werner Ruhpold został pochowany na miejscowym cmentarzu. Wszyscy szczerze go żalowali. Gospodę przejął jego daleki kuzyn Wolfgang, który – jak twierdzili zgodnie Jakob i Paul – był sympatycznym i energicznym człowiekiem.

Heinz Lukka po tragicznej śmierci narzeczonej stracił jeszcze swojego owczarka. Musiał go uśpić, ponieważ jego ulubieniec rozszarpał perskiego kota i właściciel kota – który również był jego ulubieńcem – w odwecie poczęstował owczarka Lukki całym magazynkiem śrutu.

Maria Jensen nadal wybuchiała gwałtownym płaczem i wybiegała z apteki, kiedy zobaczyła jakąś kobietę w ciąży. Drugie poronienie było dla niej prawdziwym ciosem i Erich obawiał się, że jeśli tak dalej pójdzie, jego żona wpadnie w depresję. Maria tonęła w żalu i bezustannie zadawała sobie pytanie, dlaczego właśnie ją to spotkało, podczas gdy inne kobiety rok w rok wydają na świat zdrowe dzieci. W głębi duszy zazdrościła Antonii, która spodziewała się czwartego dziecka. W trosce o zdrowie swojej sfrustrowanej żony Erich wysłał ją na dwutygodniową kurację do sanatorium.

U Illi von Burg ginekolog stwierdził guza piersi. Kiedy Ilia leżała w szpitalu, Toni co drugi dzień zaglądał do gospody Ruhpolda, zaklinając się, że jeśli guz jest złośliwy i jego Ilia odejdzie z tego świata, on pójdzie za nią. Ale nie poszedł, guz okazał się dobrotliwy, a Toni przestał wreszcie mówić o śmierci.

Trude rzadko rozmawiała z Antonią o innych, wolała mówić o własnych planach i marzeniach. W głębi duszy wciąż miała nadzieję, że Jakob doczeka się w końcu zdrowego syna. Lepiej późno niż wcale... Jakob zaś marzyłby zostać królem kurkowym. Jeszcze nie teraz. Trude ze swoim wydętym jak balon brzuchem nie byłaby reprezentacyjną królową. Ale za rok, może za dwa, kiedy czwarte

dziecko wyrośnie z pieluch, jeśli Ben będzie taki greczny jak teraz... Popołudniowe spotkania z Antonią były cudownym lekarstwem na zmartwienia i troski dnia codziennego. Wracała do domu odmłodziła o dziesięć lat, uśmiechając się do swoich myśli. Niestety, nie dane jej było cieszyć się długo tą sielanką.

Późnym latem Jakob wybrał się któregoś dnia do ogrodu, żeby zobaczyć domek na drzewie i jeszcze raz na wszelki wypadek sprawdzić podłogę. Strzeżonego pan Bóg strzeże... Ku swemu zdumieniu znalazł tam kilka kolorowych strzępków, które ani chybi były kiedyś sukienką lalki. Obok leżała noga lalki, szklane oko i nóż kuchenny. A oni tak bardzo wierzyli, że to skończyło się raz na zawsze. Rozejrzał się dookoła, brakowało głowy, korpusu, rąk i drugiej nogi lalki. Jakob oniemiał na ten widok i w pierwszym momencie nie wiedział, czy rozplakać się jak dziecko, czy walić pięściami w ściany domku.

Zszedł na dół po sznurowanej drabince i pognął do domu. Wściekłym szarpnięciem rozwarł drzwi do pokoju Bena, nie zwracając uwagi na Trude, która dreptała za nim, przytrzymując ręką pękaty brzuch i niczego się nie domyślała. Jakob jednym susem dopadł do łóżka, podniósł śpiącego chłopca za ramiona, rzucił go na kołdrę i zaczął okładać pięściami. Bił tak długo, aż Trude otrząsnęła się z pierwszego szoku i padła mu w ramiona.

Ben skulił się w najdalszym kącie łóżka, płacząc żałośnie. Jakob wygrażał pięścią w stronę szlochającego kłębka. „Natychmiast pójdziesz ze mną – wycharczał. – I przyniesiesz ją tutaj, choćbyś miał wykopać ją spod ziemi”.

Trude w końcu zrozumiała. Pomogła Benowi się ubrać, wzięła lampę i poszła przed nim do ogrodu Gery Franken, oświetlając mu drogę, gdy tymczasem Jakob wyciągał ze stodoły łopatę. Ben, jęcząc i szlochając, błędził wśród krzewów jeżyn i gigantycznych pokrzyw. Nie pojmując, czego oczekuje od niego ojciec, chciał wspiąć się na gruszę. Jakob oderwał go od drabinki i rzucił na bok. Ben podniósł jedną nogę, żeby wejść do poidła. Jakob uderzył raz, a potem jeszcze

raz i jeszcze raz. Opanował się dopiero, gdy Trude zaczęła głośno szlochać.

„Lalka – dyszał Jakob. – Zepsułeś ją, to już wiem. I co potem, powiedz, do cholery, co potem z nimi robisz? Zakopujesz je gdzieś!? Zawsze znajdują się tylko kawałki. Ale tym razem to już koniec. Koniec!”.

Potem Jakob wbił łopatę w ziemię. Ben chciał czmychnąć do ogrodu Trude, ale Jakob zagroził mu drogę, pobiegł więc na jabłonkową łąkę, stanął obok „odwróconego lejka” i patrzył na ojca spuchniętymi od płaczu oczami, pokazywał palcem w czeluść i bełkotał przez łzy: „Paluchy precz”.

„Tak – parsknął Jakob – tutaj nie masz czego szukać. Jazda stąd!”.

Jakob zaprowadził go z powrotem do ogrodu Gerty Franken, wcisnął mu w dłoń łopatę, Trude stała obok i trzymała w górze lampę. Upłynął kwadrans, zanim łopata trafiła na niewielki opór. Ale to był tylko duży kamień.

Patrzył z lękiem na ojca, drżąc na całym ciele i cofnął się przezornie, kiedy Jakob zbliżył się do niego, żeby zobaczyć, o co zazgrzytała łopata. Schylił się, podniósł z ziemi kamień i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu w bladym świetle lampy. Potem rzucił go w krzaki i rozkazał: „Kop dalej. Nie interesują mnie kamienie tylko lalki”.

Ale w dole nie było nic więcej. Ani śladu lalki. W obawie przed kolejną serią razów Ben przekopał w nocy połowę ogrodu. Przez cały tydzień kopał doły we wszystkich zakamarkach ogrodu Gerty Franken. Kopał wokół poidła, które w końcu zaczęło się przechylać raz w jedną, raz w drugą stronę i w końcu zupełnie zapadło się w ziemię.

Trude czuła znów bolesne skurcze serca, kiedy widziała go wczesnym rankiem skradającego się do stodoły. Głowę miał tak głęboko wciśniętą w ramiona, jak gdyby Jakob przetrącił mu ostatecznie szeroki krzyż. Kiedy widziała go, jak wynosi ze stodoły łopatę i zaczyna kopać, starając się spełnić życzenie ojca, często płakała po kryjomu.

25 sierpnia 1995

Przez cały piątek Jakoba dręczyły złe przeczucia. Dziwna sprawa. Czuł przez skórę, że dzieje się coś złego. To było prawie tak, jak gdyby istniało jakieś tajemne połączenie, dzięki któremu mógł wyczuwać lęki Trude, jej mękę. Ale gdyby widział, że rozpała pod kuchnią i rzuciła w płomień dwa palce, natychmiast pojechałby do domu, przyparł ją do muru i kazał mówić wszystko, co wie. Taki już był – uczciwy do bólu.

Jakob z pewnością zadbałby o to, żeby wyjaśniono pochodzenie tych palców. A gdyby okazało się, że Ben obciął je komuś – żywemu lub martwemu. – Jakob nie cofnąłby się przed wyciągnięciem najsurowszych nawet konsekwencji.

Owe złe przeczucia, narastające stopniowo w ciągu całego tygodnia, w piątek osiągnęły kulminację. Zaczęło się już w poniedziałek, na polnej drodze. Potem, w środowej gazecie Jakob znalazł krótką wzmiankę, z której dowiedział się, że komendant policji w Lohbergu był zmuszony zwolnić z aresztu Klause i Eddiego. Nie było podstaw, żeby dłużej ich tam trzymać, niczego im nie udowodniono, nie można było również podważyć ich zeznań. Najbardziej jednak dręczyła Jakoba małomówność Trude.

Była tak dziwnie nieobecna duchem. Kiedy wieczorem siedzieli razem w największym pokoju, a on zagadywał do niej, drżała jak liść osiki i odsuwała się od niego, jakby bała się, że zaraz ją uderzy. Za każdym razem zadawał sobie pytanie, gdzie była ze swoimi myślami.

W równym stopniu prześladowała go myśl, że obaj podejrzani są na wolności, co scena, której był świadkiem w poniedziałek rano na

polnej drodze. Przez cały czas miał przed oczyma Bena przyciskającego do siebie najmłodszą siostrę i jej roześmianą twarz, kiedy wirowała wokół niego razem ze swoim rowerem.

Jakob kochał swojego syna, nawet jeśli we wcześniejszych latach jego miłość zbyt często, niestety, przeciekała przez pięści, czego szczerze żałował. Czuł się za niego odpowiedzialny zawsze i wszędzie, kochał go mocno i prawdziwie, z pewnością jednak nie tak gorąco, tak żarliwie, a zarazem tak czule jak swoją najmłodszą latorośl. Ją kochał ponad życie.

Trzecia córka była dla Jakoba darem niebios. Tanja rzadko bywała w domu, ale fakt ten niczego nie zmieniał w jego ojcowskich uczuciach. Trude potrzebowała Bena, syna, który nawet teraz ze swoimi dwoma metrami wzrostu i dwoma cetnarami żywej wagi wciąż jeszcze zdany był na to, że matka umyje mu ręce i tyłek. A Jakob potrzebował marzenia, że pewnego dnia przekáže w młode ręce swoje gospodarstwo. To gospodarstwo, które kiedyś zostało przekazane jemu – i które od dawna już nie istniało. Chodziła do gimnazjum w Lohbergu, tak jak przed laty Anita. W przyszłości chciała studiować, wiedział o tym, często zwierzała mu się ze swoich planów, opowiadając o nich z właściwym jej wiekowi entuzjazmem. Myślała o studiach rolniczych. A serce Jakoba pustoszył strach, że nic z tego nie będzie, że któregoś dnia ktoś obróci wniwecz jego piękne marzenie.

W dziwny sposób ów strach pojawiał się zawsze wtedy, gdy Jakob był świadkiem podobnych scen. I podobnych uścisków... Od czasu do czasu wpadała do domu, opowiadała o szkole, o wujku Paulu i Antonii albo o tym, że była z koleżankami w kinie. Ben wprost przepadał za tymi wizytami, kiedy tylko usłyszał głos młodszej siostry, przybiegał jak na skrzydłach, szczyrzył zęby, zaglądał jej w oczy, bełkotał ślicznie, a przy tym swędziało go we wszystkich palcach.

Tanja w rzeczy samej była ślicznym dzieckiem. Drobna i delikatna miała dopiero trzynaście lat i naprawdę była jeszcze dzieckiem. A Ben, ten nieociosany kloc, obchodził się z nią jak z workiem mąki. Jakob już

sto razy go upominał, groził palcem i przemawiając surowym głosem, prosił o ostrożność. „Nie tak mocno, Ben”.

Wtedy ona się śmiała. Była taka niewinna, taka beztroska i ufna i tak pełna siostrzanej miłości, w przeciwieństwie do obu swoich sióstr, które dzisiaj omijały go jeszcze większym łukiem niż przed laty. Ona nie, ubóstwiała tego olbrzyma, wieszła mu się na szyi i jeździła mu na plecach, być może dlatego, że nie знаła go innym.

„Mój niedźwiedź” – mówiła. Albo: „Mój leśny człowiek”. I: „Nie bój się tatusiu, jak mnie zabol, wtedy będę głośno krzyżeć i on natychmiast przestanie”. Któregoś dnia krzyk może przyjeść zbyt późno. Któregoś dnia niedźwiedź może złamać jej niechcący kilka żeber. A wtedy niech Bóg ma go w swojej opiece.

Jakob nie był głupi, od dawna wiedział, że Ben obejmuje swoją najmłodszą siostrę również wtedy, kiedy jest z nią sam, z dala od podejrzliwie czujnych oczu ojca. Na polnej drodze. Być może dokładnie w samym miejscu, gdzie znikła Marlene Jensen. Komendant policji mógł być przekonany o winie obu młodych mężczyzn i wypuścił ich na wolność tylko i wyłącznie z braku oczywistych dowodów. Tymczasem ludzie we wsi zaczęli przebąkiwać: „A jeśli nie kłamią?”.

To samo pytanie zadawał sobie sprzedawca obsługujący dział z wykładzinami podłogowymi i dywanami w markecie budowlanym Wilmrod, z którym Jakob spędził przerwę śniadaniową w ten piątek. Jakob popełnił błąd, opowiadając mu w czerwcu o pamiętnym spotkaniu Bena z Albertem Kressmannem i Anette Laessler w lasku Bendchen. Oczywiście, nie omieszkał powiedzieć również, co o tym wszystkim myślą Paul, Antonia i Trude. A jednak!

Zaledwie zdążyli usiąść w świetlicy, sprzedawca natychmiast podjął wątek. Zaczął od rozważań na temat topografii terenu, wspomniął mimochodem o ustronnym charakterze tej okolicy i jej niewielkim zaludnieniu. Gospodarstwo Laesslerów, bungalow Lukki, obejście Jakoba, a poza tym tylko pola i łąki. I te ciemne, nieoświetlone drogi.

„Kiedy pomyślę – powiedział w pewnej chwili sprzedawca – jak podle musiało się czuć to biedactwo, wyrzucone z samochodu

w środku nocy, na te egipskie ciemności... A co ty zrobiłbyś na jej miejscu?”.

„Poszedłbym do domu” – odpowiedział krótko Jakob.

Sprzedawca skinął głową w zamyśleniu: „Jak daleko może być od tej drogi do apteki?”.

Jakob wzruszył ramionami. „To zależy od tego, gdzie się stoi. Od Lukki masz dwie możliwości, zawrócić do szosy i stamtąd iść do wsi. Albo dojść połąną drogą do Bachstrasse”.

„W każdym razie to dobry kawałek drogi – podsumował sprzedawca. – Ale czekaj, mówiłeś, że Laessler jest jej wujem?”.

Jakob przytaknął.

„W takim razie mogła próbować pójść do niego”.

„To już lepiej iść od razu do Lukki – powiedział zgryźliwie Jakob, choć dobrze wiedział, że adwokata prawdopodobnie nie było w domu. Ale ponieważ sprzedawca tylko spekulował, Jakob też mógł to robić. – To będzie o jakieś osiemset metrów mniej, a Lukka ma telefon. Może nawet odwiózłby ją do domu. Wprawdzie nie cierpi jej ojca, ale dla matki zrobiłby nie tylko to. – I dodał z przekąsem: – Kiedyś, dawno temu dał sobie dla niej wybić ząb”.

„A Lukka niczego nie słyszała?” – zapytał kolega.

„Skąd mam to wiedzieć? – burknął Jakob. – A poza tym, jak miał coś słyszeć, jeśli tam niczego nie było. Jeśli jej tam nie wyrzucili”.

„Ale niczego innego nie udało się policji udowodnić – opowiedział rezolutnie sprzedawca i dodał po chwili: – Może Ben wie, co się przydarzyło tej dziewczynie”.

Jakob żuł swoją kanapkę i poczuł, że zaraz się udławi, chwycił za kubek, przepchnął stojący w gardle kęs dużą ilością kawy i zapytał z trudem hamując wściekłość: „Czy chcesz dać mi do zrozumienia, że Ben zrobił coś tej dziewczynie?”.

„Zwariowałeś – odparł szybko sprzedawca. – Gdyby miał taki zamiar, już w czerwcu ukręciłby łeb młodemu Kressmannowi i sam zabrał się za jego dziewczynę. Pomyślałem tylko, że może coś wpadło mu w oko tamtej nocy. Przecież światła samochodu widać już z dużej

odległości. A jeśli był na dworze... A może nie był?”.

„Był” – powiedział Jakob powoli, wydłużając to słowo. Kolejny błąd, niepotrzebnie opowiadał w pracy o nocnych wyprawach Bena.

„Trzeba go po prostu zapytać, czy nie widział czegoś przypadkiem – powiedział sprzedawca. – Ale to musiałyby zrobić specjalista. Na twoim miejscu nawiązałbym kontakt z kimś takim. Jakob, masz pojęcie, to dopiero byłby numer, gdyby twój Ben mógł wyjaśnić sprawę zniknięcia tej dziewczyny. Pisaliby o nim w gazetach”.

Okropnie denerwował Jakoba swoimi rojeniami. Chodzi o to, kontynuował swój wywód sprzedawca, żeby te pytania wspierać za pośrednictwem odpowiednich środków pomocniczych, tak aby Ben mógł w ogóle zrozumieć, czego od niego chcą. Najpierw trzeba by mu pokazać zdjęcie Marlene Jensen. Jeśli się okaże, że widział dziewczynę, wówczas należałoby mu polecić, żeby namalował obraz. „Nie masz pojęcia, bracie, jakie interesujące, jakie pouczające obrazy malują ludzie upośledzeni umysłowo. Za pomocą kolorów i kształtów potrafią wyrazić swoje uczucia, lęki, radości, a nawet swoje marzenia. Niedawno czytałem o tym artykuł w piśmie naukowym. To oczywiście musieliby zinterpretować specjaliści”.

Jakob zupełnie stracił apetyt, zapakował do woreczka nadgryzioną kanapkę, zakręcił termos i podniósł się z krzesła, dając swojemu rozmówcy do zrozumienia, że jego przerwa śniadaniowa właśnie się skończyła, ponieważ nie może już dłużej słuchać. Ale dokładnie słuchał. Słowa sprzedawcy skradały się za nim przed południem, towarzyszyły mu w czasie przerwy obiadowej, krążyły wokół niego po południu, tak samo jak Ben przy lasku Bendchen, przy kraterze i bungalowie Lukki.

Kazać namalować mu obrazek – śmieszne. Jakob uśmiechnął się niewesoło, kiedy wyobraził sobie Bena ściskającego ołówek w swoich wielkich łapach. Do tej pory nie zwracał większej uwagi na to, co Ben robił z kartoflami, które podkradał Trude. Dla Jakoba była to po prostu bezsensowna dłubanina. Ale pokazać zdjęcie... On i Trude usunęli wszystkie gazety ze zdjęciami. Dlaczego? Czy tylko z przyzwyczajenia?

Jakob postanowił porozmawiać z Trude. O tym „dlaczego” i o różnych przyzwyczajeniach. Czyżby bali się, że Ben mógłby rozpoznać Marlene, oglądając jej fotografię? A gdyby ją rozpoznał, cóż takiego by się stało? Prawdopodobnie powiedziała by „ślicznie”, biorąc pod uwagę jego pamięć oraz fakt, że widział Marlene Jensen pod koniec zeszłego roku, w listopadzie, na weselu najstarszego syna Paula i Antonii. I nie tylko widział, Antonia pozwoliła mu pogłaskać po włosach swoją siostrzenicę.

To nie podobało się Jakobowi. Komuś takiemu jak Ben z natury rzeczy należało wyznaczać granice. To nie był dobry pomysł pokazywać mu, że w wyjątkowych przypadkach owe granice można przekraczać. On nie umiał rozróżnić zwykłych przypadków od wyjątkowych.

Antonia powiedziała: „No, nie bądź taki, Jakob. Przecież jestem tu, trzymam rękę na pulsie”. W listopadzie – tak. Ale w tamtą sierpniową noc Antonia leżała w swoim łóżku i spała snem sprawiedliwego, podczas gdy jej siostrzenica...

Nawet jeśli Jakob nie chciał o tym myśleć – i tak myślał. I strasznie się z tym męczył. Tylko zakładając, że Eddi i Klaus mówią prawdę. Zatrzymali samochód, wyrzucili Marlene na środek drogi. Bungalow Lukki stał w ciemnościach jak wielki, posępny kłoc na rozstaju dróg. A obok była kukurydza. Marlene Jensen nie miała żadnego powodu, żeby silić się na uprzejmość. Tylko zakładając, że pokażą Benowi jej zdjęcie, a on powie: „Ścierwo”.

Jakob nie mógł już dłużej myśleć. Nagle stracił ochotę na rozmowę z Trude. Ben miał dwadzieścia dwa lata. W tym wieku, Jakob wiedział o tym z własnego doświadczenia, nie szuka się tylko uprzejmości i przyjaznych gestów. Okropnie swędzi wtedy w rozporoku.

Jak mogła to zrozumieć Trude? Albo Sibylle Fassbender, stara piekareczka, która nigdy w życiu nie miała mężczyzny i która dla Bena dałaby się pokroić na kawałki? Lub Antonia, która nigdy nie pojmie, że swoimi swobodnymi poglądami, swoją beztróską tolerancją obudziła być może drzemiącą bestię.

Przyjacielska przysługa

Kiedy wiosną sześćdziesiątego dziewiątego roku Paul Laessler zerwał swoje dziesięcioletnie zaręczyny z Heidemarie von Burg, żeby jeszcze w tym samym miesiącu poślubić Antonię Severino, we wsi załamywano ręce. Plotkom i domysłom nie było końca. Każdy w miarę rozsądny człowiek zadawał sobie pytanie, jak to się stało, że ten spokojny, zawsze tak rozważny, odrobinę flegmatyczny i nieskory do gniewu mężczyzna mógł stracić głowę dla tej włoskiej trzpiotki.

Antonia była rodowitą Włoszką, ale choć urodziła się w słonecznej Italii, niemal całe swoje dotychczasowe życie spędziła w kraju nad Renem. Nie wyrosła jeszcze z pieluch, kiedy jej rodzice przenieśli się do Lohbergu, skąd Antonia nie ruszała się nawet w miesiące zimowe i w sumie do swojej ojczyzny wyjechała tylko trzy razy w życiu. Ale to niczego nie zmieniało. Nadal była stuprocentową Włoszką, a każdy wiedział cóż to za popędliwy, lekkomyślny i gorącokrwisty naród ci południowcy.

Do tego dochodziła różnica wieku. Dwadzieścia lat dzieliło Paula od jego żony. Równie dobrze mógł rozejrzeć się w przedszkolu, mówili niektórzy z przekąsem. Ponadto Antonia jako córka właściciela lodziarni nie nauczyła się niczego więcej, jak formować z lodów kulki i wciskać je w wafle. Na domiar złego ta ślicznotka robiła słodkie oczy do wszystkich młodych chłopaków.

Biedny Paul wpadł jak śliwka w kompot. Trzy razy odebrał swoją siostrę z lodziarni i z dnia na dzień zapomniał o wszystkich zobowiązaniach wobec swoich rodziców, a zwłaszcza wobec swojej długoletniej narzeczonej. Zapomniał do cna, że gospodarstwo takie

jak jego potrzebuje kobiety, która umie zakasać rękawy i harować jak wół, która nie boi się czarnej roboty. Niestety, ojciec Paula zdążył już przepisać na niego całą gospodarkę, nie miał zresztą innego wyboru – starsi bracia Paula polegli w Rosji, a najmłodsza Maria rozpieszczana niemiłosiernie przez całą rodzinę miała w głowie tylko fiu-bździu.

We wsi znalazło się kilku wyrozumiałych, którzy wyłamali się z partii krytykantów i sceptyków tego ożenku, dowodząc, że również flegmatyczny, zrównoważony i cierpliwy mężczyzna może zapłonąć ogniem namiętności i zakochać się na zabój. Życie płata różne figle... Jakob należał do tej mniejszości. Wiedział, że Heidemarie von Burg bała się małżeńskich obowiązków jak diabeł święconej wody. I dlatego niespieszno jej było do ołtarza.

Paul nie raz i nie dwa, kiedy trochę sobie popił, żalił się swojemu staremu przyjacielowi, ubolewając nad tym faktem. Owszem, w niedzielne popołudnia chodzili razem na długie spacerówy w rozmaite ustronne miejsca, gdzie nikt ich nie widział, trzymali się za ręce, przekomarzali – jak to narzeczeni. Wieczorem, kiedy odprowadzał ją pod drzwi rodzinnego domu, całowała go pospiesznie w policzek, pocałunek był z gatunku braterskich, zero erotyki... Niczego więcej nie można było dostać od Heidemarie. Nawet po dziesięciu, a właściwie po piętnastu latach, bowiem jeszcze przed zaręczynami „chodzili ze sobą” pięć lat i w czasie tych pięciu lat też trzymali się tylko za ręce. I tylko w czasie niedzielnych spacerów.

„Czasem przychodzi mi do głowy – mówił Paul z gorzkim uśmiechem – że ona dała sobie zaszyć. Powiedz szczerze Jakob, który normalny facet wytrzymałby coś takiego?”.

Jakob za każdym razem przytakiwał mu skwapliwie.

Wybór Paula poparł niespodziewanie Heinz Lukka, który w gospodzie Ruhpolda wyjaśnił wszystkim sceptykom. Postawiony przez wyborem: łykowata, suszona śliwka czy chrupiące i soczyste rajskie jabłuszko, on również zdecydowałby tak samo jak Paul. W rodzinie Paula jego wybór pochwałała początkowo tylko Maria. Miała siedemnaście lat i uważała, że włoska lodziarnia jest

zdecydowanie bardziej podniecająca niż hodowla świń. Maria wiele sobie obiecywała po tym mariażu i rzeczywiście, po ślubie Paula i Antonii w każdą niedzielę dostawała gratisowe lody od ojca swojej szwagierki.

Już na weselu stało się oczywiste, dlaczego Paulowi tak spieszo było do ołtarza. Panna młoda nawet nie starała się ukrywać swego uroczo zaokrąglonego brzuszka i wkrótce potem urodziła pierwszego syna, Andreama. A Paul był bardzo dumny z mizernego zawiniątka, które położono mu na rękach.

Nikt nie wierzył w to, że małeństwo przeżyje pierwszy tydzień. Diagnoza lekarzy była druzgocąca: wrodzona wada serca. We wsi podniosły się głosy, że w taki oto sposób objawiła się boża sprawiedliwość. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Inni składali winę na narodowość jego matki. Gerta Franken i matka Jakoba zastanawiały się już wspólnie, czy to dziecko, a mówiąc bez ogródek – dziecię grzechu, godzi się pochować na cmentarzu, w poświęconej ziemi. Wtedy Andreas Laessler pokazał wszystkim zainteresowanym jego losem, że odziedziczył po matce włoski ogień i ducha bojowego. Przeżył, zniósł dzielnie operację i zadziwiająco szybko doszedł do siebie.

Kiedy ta przeszkoda została pokonana, Antonia udowodniła wszystkim sceptykom, że córka właściciela lodziarni również zna się na robocie i dobrze wie, jak sobie radzić w chłopskim obejściu. Jej związek z Paulem jeszcze przed zaślubinami był niezwykle szczęśliwy i tak już pozostało. Dwa lata po pierwszym, chorym synu Antonia urodziła drugiego – tym razem zdrowego chłopaka, tęgiego zucha, któremu dano na imię Achim. Cztery lata później na świat przyszła pierwsza córka, również zdrowa jak rydz.

Ale Antonia znała się nie tylko na rodzeniu dzieci. Była pomysłodawczynią i realizatorką wielu projektów, które zmieniły oblicze starego obejścia Laesslerów. Między pierwszą i drugą ciążą zadbała o to, żeby gruntownie wyremontować stary dom mieszkalny i zmodernizować budynki gospodarcze. Po urodzeniu Achima pomimo

rozlicznych obowiązków i dwójki małych dzieci z wielkim oddaniem opiekowała się swoją teściową, kiedy ta zachorowała na raka i musiała przez wiele miesięcy leżeć w łóżku. A w długie wieczory Antonia prowadziła ze swoim teściem burzliwe dyskusje, za którymi ojciec Paula wprost przepadał, mówiąc za każdym razem, że jeszcze nikt nie dawał mu z takim wdziękiem kontry.

W październiku osiemdziesiątego pierwszego Antonia podarowała swojemu Paulowi drugą córkę. Dziewczynka otrzymała na chrzcie imię Britta. Za ledwie w tydzień po urodzinach Britty Antonia udowodniła, że córka właściciela włoskiej lodziarni ma więcej serca w piersi i rozumu w głowie niż każdy jako tako rozumny człowiek we wsi.

Dwa tygodnie przed Antonią i cztery tygodnie przed terminem Trude dostała niespodziewanie bólów porodowych. Był środek nocy i Jakob bał się, że nie zdąży zawieźć jej do szpitala w Lohbergu. Tak więc poród odbył się z konieczności w domu, a ściśle mówiąc, w ich małżeńskim łóżu. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, noworodek ważył trzy kilogramy, był silny i zdrowy, jak stwierdził lekarz, który zdążył niemal w ostatnim momencie. Następnego dnia z samego rana Trude była już na nogach. Wprawdzie Jakob zatroszczył się o śniadanie dla położnicy, ale później musiał troszczyć się również o inne rzeczy. A Ben chciał iść w pidzanie do ogrodu Gerty Franken, żeby dalej kopać.

Trude nie czuła radości z powodu narodzin trzeciej córki, liczyła na zdrowego syna, a tymczasem... Natomiast Jakob był szczęśliwy, znów tylko dziewczynka, ale różowa i okrągłutka, z mocnymi płucami i wszystkimi tymi reakcjami, które powinien mieć normalny noworodek, a których Ben nie miał. Wieczorem Jakob postawił kolejkę w gospodzie Ruhpolda i wszyscy stuknęli się za zdrowie i pomyślność jego najmłodszej córki.

Trude była słaba i przygaszona. A przede wszystkim piekielnie zmęczona. Pod koniec pierwszego tygodnia po porodzie ledwie trzymała się na nogach. W tym czasie Ben skończył definitywnie ze swoimi szaleńczymi pracami wykopaliskowymi w ogrodzie Gerty

Franken. A Trude nie panowała już nad sytuacją.

Któregoś dnia zapomniała zamknąć na klucz sypialnię, gdzie przed chwilą przewijała i karmiła córeczkę. Jak gdyby zwierzył pismo nosem, wszedł do domu i wspiał się na górę po schodach. W pierwszym momencie Trude pomyślała, że chce iść do swojego pokoju. Chwilę później usłyszała charakterystyczne skrzypnięcie drzwi sypialni i popędziła na górę. W samą porę. Zdażył już wyjąć dziecko z kołyski i teraz bujał je, nieporadnie naśladowując matkę. Trude zobaczyła zwisającą nad kołyską maleńką główkę i rzuciła się jak szalona w tamtą stronę.

Wyrwała mu z rąk niemowlę, położyła je z powrotem do kołyski, pogroziła palcem i powiedziała karcąco: „Nie, nie! To nie jest lalka, nie możesz się nią bawić. Paluchy precz! Słyszysz, paluchy precz”.

Pod koniec drugiego tygodnia Trude była przekonana, że wcześniej czy później nie wytrzyma. Że formalnie wyjdzie z siebie. Ben już nie odstępował jej ani na krok, kiedy karmiła piersią, stał obok i muskał leciutko maleńką twarzączkę swoimi wielkimi rękami. A kiedy kąpała jego siostrzyczkę, zanurzał ramiona w wanience, pocierał rączki, nóżki, brzuch i pupkę. I gładził czule delikatną główkę.

Pod koniec trzeciego tygodnia Antonia wybrała się w odwiedzinach do Schloesserów. Podeszła do kołyski ustawionej w sypialni i trzymając na rękach własne niemowlę, patrzyła w zamyśleniu na Bena, który z podejrzaną podnieconą miną i trzęsącymi się rękami stał u wezglowia kołyski i mamrotał zawzięcie „ślicznie”.

Trude była wychudzona i blada, patrzyła na swoją sąsiadkę umęczonymi oczyma. „Przez cały czas muszę trzymać ją pod kluczem – powiedziała słabym głosem. – Bo inaczej ją wyniesie”.

Opowiedziała Antonii, że dopiero co, przed dwoma dniami wykradł dziecko z kuchni i chciał je zanieść do kurnika. Targał małą przez całe podwórze – oczywiście pod pachą – dokładnie tak, jak to zawsze robił z lalkami. Wykorzystał moment, kiedy pobiegła do furtki, żeby otworzyć listonoszowi.

Antonia zapytała z wahaniem: „A oddać go nie chcesz?”.

Trude tylko potrząsnęła głową. Antonia wzięła głęboki oddech, spojrzała przelotnie na Bena i zdecydowała od ręki: „Wobec tego ja wezmę malutką. Tylko na kilka miesięcy, na początek. Jeśli oczywiście chcesz, jeśli ci to pasuje”.

Pewnie że chciała i bardzo jej pasowało. W pierwszym okresie Trude chodziła każdego wieczoru do obejścia Laesslerów, zносиła mleko, cieszyła się, że jej najmłodsza pociecha rośnie w oczach i dziękowała milczącym spojrzeniem Antonii, która nawet słyszeć nie chciała o głośnych świadectwach wdzięczności.

Jakob odwiedzał Laesslerów i swoją najmłodszą córkę każdej niedzieli po południu. Kiedy Trude skończył się pokarm w piersiach, przejął również codzienne wieczorne dyżury. I robił to z wielką radością z dwóch powodów. Po pierwsze – mógł widywać swoją małą córeczkę. Po drugie zaś – dzięki tym wizytom nieco wychłodzona przez ostatnie lata, głównie za sprawą rodzinnych zobowiązań, przyjaźń z Paulem znowu nabrała rumieńców.

Siadali wygodnie w fotelach i rozmawiali o starych czasach i starych marzeniach. Śmiali się do rozpuku z Heidemarie von Burg i jej panicznego strachu przed małżeńskim łóżem. Wspominali ze smutkiem małą siostrzyczkę Heidemarie, Christę. Na koniec zawsze powracali do Edith Stern, zastanawiając się, kto mógł ją mieć na sumieniu.

Igor Kressmanna, twierdził Jakob. Igor kłamał przed laty. Dlaczego? Najwidoczniej miał ku temu ważne powody. Kiedy czuł, że śmierć się zbliża, chciał ulżyć swojemu sumieniu, dlatego kazał wezwać Wenera Ruppolda i wyspowiadał mu się na łożu śmierci. I wtedy stało się dokładnie to, czemu chcieli za wszelką cenę zapobiec Jakob i Paul, milcząc jak grób przez wszystkie te lata – Werner się powiesił.

Paul mocno powątpiewał w wersję swojego przyjaciela. Igor to był dusza człowiek. Co w sercu, to na widelcu. Nie zabiłby nawet muchy, która naprzykrzała mu się, kiedy pracował w polu. Czy taki pocziwiec mógłby splugawić Edith Stern? Absolutnie niemożliwe. Paul miał swoją

wersję – Igor pobiegł wtedy co sił w nogach do Bendchen, ale niestety, kiedy tam dotarł, było już za późno. Nie zdążył ostrzec Edith. Jeśli później opowiadał ludziom bajeczki o jej udanej ucieczce, robił to tylko z litości. Nie chciał, żeby Werner cierpiał. Wiedział, jak bardzo kochał tę Żydówkę. Ale nie chciał zabrać swojej tajemnicy do grobu. Paul stawiał na Wilhelma Ahlsena.

Tego z kolei Jakob nie mógł sobie wyobrazić. Wilhelm Ahlsen, ten pozał się Boże bohater wojenny, był mocny tylko w głębie. Taki jak on nie mógł roztrzaskać czaszki Edith Stern. To nie było w jego stylu. Wilhelm powłókłby ją za włosy do wsi i tam na oczach wszystkich święcił swój triumf, a dopiero potem wysłał ją w drogę, którą poszli wcześniej jej rodzice, bracia i rodzina Goldheimów. A wtedy Werner Ruhpold i Igor Kressmanna wysłaliby tam również Wilhelma Ahlsena.

Już raczej stary Lukka, kontynuował swój wywód Jakob. Jeśli Heinz się domyślił, dlaczego Werner Ruhpold zabiera na swoje długie spacerunki koszyk z prowiantem, to na sto procent powiedział o tym odkryciu swojemu ojcu, który z pewnością docenił jego bystrość.

Tylko że stary Lukka nie był typem, który lubił brudzić sobie ręce, wpadł mu w słowo Paul. Warto by się nad tym zastanowić. Stary Lukka wolał stać z boku i przyglądać się, kiedy inni odwalali za niego brudną robotę, zwłaszcza kiedy maltretowano kobiety. Swojej starej nie podskoczył, siedział jak mysz pod miotłą, pewnie dlatego odbijał sobie na innych. Stary Lukka nie przepuściłby takiej okazji i z pewnością jeszcze tego samego dnia pobiegłby do Wilhelma Ahlsena z wieścią, że w Bendchen jest jeszcze trochę roboty ku chwale Führera. A poza tym ten drań nie odmówiłby sobie przyjemności opowiedzenia o wszystkim Wernerowi Ruhpoldowi – w najdrobniejszych szczegółach.

Pozostawał młody Lukka. Ale w tę wersję nie wierzył ani Jakob, ani Paul. Heinz nie jest już młodzikem, ale wtedy miał dopiero szesnaście lat. Raczej mało prawdopodobne, że sam zrobił krótki proces z dorosłą kobietą. Bądź co bądź, Edith miała wtedy dwadzieścia pięć lat. Była zdrowa i silna i na pewno dałaby sobie radę z takim smarkaczem.

Heinz Lukka grał twardziela tylko wtedy, kiedy jako dowódca Hitlerjugend na rejon mógł robić piekło na ziemi małym chłopcom, którzy nie chcieli przystąpić do organizacji, co zresztą było raczej niemożliwe z uwagi na czasy.

A pamiętasz, jak on nam wtedy... I zawsze był takim chudym typkiem. Ale za to szczekaczkę miał od ucha do ucha, a w tamtych czasach chodziło głównie o to.

A pamiętasz, jak go złapali, kiedy którejś niedzieli podglądał Sibylle Fassbender podczas kąpieli? Właśnie w pralni von Burgów. Sibylle wciąż tam chodziła, chociaż mała Christa dawno już leżała w ziemi.

A pamiętasz, jak stary von Burg przejechał go paskiem po gołym tyłku... Zdaje się, że to było mniej więcej w tym samym czasie, jak znaleźliśmy Edith. Albo trochę później.

A pamiętasz, jak stary Lukka krzyczał gwałtu rety i groził staremu von Burgowi gestapo? Jak gdyby nie mieli nic lepszego do roboty? I jak Wilhelm Ahlsen zażądał, żeby stary von Burg wytłumaczył się publicznie w niedzielę rano po sumie. I jak stary von Burg wygłosił wspaniałą mowę.

„Jeśli pragniemy zapobiec upadkowi Rzeszy – grzmiał wtedy do zgromadzonego tłumu – musimy przede wszystkim przeciwdziałać upadkowi dobrych obyczajów, zwracając większą uwagę na morale niemieckiej młodzieży, która w żadnym razie nie powinna odwracać oczu od swojego przeznaczenia i zatruwać swoich czystych umysłów zepsutymi myślami. Niemieccy młodzieńcy powinni oszczędzać siły do walki ku chwale naszego Führera i naszej ojczyzny, by nie zatriumfowali wrogowie niemieckiego narodu i aby zwycięstwo przypadło w udziale tym, którzy musieli zapłacić za nie najwyższą cenę. I którzy w pełni sobie na to zasłużyli”.

Stary von Burg wiedział, co mówi. Miał gadane. Trzeba było tylko dokładnie słuchać, czytać między wierszami, żeby zrozumieć, co chciał powiedzieć. Wilhelm Ahlsen gotował się z wściekłości, a jeszcze na dodatek musiał przyznać mu rację.

Te wieczory były dla Jakoba jak msza święta. Najmłodsza córka

w ramionach, naprzeciw niego przyjaciel, wspomnienia – dobre i złe – marzenia i niepokoje. Któregoś wieczoru Jakob uśmiechnął się melancholijnie i powiedział, że naprawdę jest wdzięczny za tę małą dziewczynkę. I tylko w tle pobrzmiwała leciutka aluzja, że nie miałby też nic przeciwko drugiemu synowi.

„Wiem, co czujesz” – powiedział Paul współczująco.

Jakob popatrzył na niego przeciągle i potrząsnął głową. „Nie możesz, stary. Ty przynajmniej wiesz, dla kogo harujesz. Za dwadzieścia lat nie będziesz musiał o nic się martwić. Dla mnie dopiero wtedy zaczną się problemy. Co się stanie z Benem, kiedy nam zabraknie już sił?”.

Jakob opowiedział o lękach Trude i o tym, jak wyniszczała się dla Bena, swego najukochańszego dziecka, a przy okazji robiła krzywdę sobie i innym. „Nie martwię się o starsze córki, one pójdą swoją drogą, poradzą sobie. Ale mała... – Jakob milczał przez chwilę, a potem powiedział w zamyśleniu: – Gdyby została u nas, wcześniej czy później przydarzyłoby się jej to co lalkom”.

„Bzdura – sprzeciwił się Paul. – Chyba nie myślisz, że on nie dostrzega różnicy między człowiekiem a zabawką. Jakob, człowieku, nie daj się zwariować. Ben to chodząca niewinność, czy naprawdę tego nie widzisz? Antonia za każdym razem powtarza, że jest łagodny jak baranek”.

25 sierpnia 1995

○ Wpół do siódmej Jakob kończył pracę, ale dzisiaj niespieszno mu było do domu. Postanowienie, żeby porozmawiać z Trude o gazetach i wszystkim innym, ciążyło mu jak stukilogramowy kamień. W głowie jak daleki dzwon dźwięczał głos Paula: „Antonia powtarza to za każdym razem”.

Inni też to często mówili. Trude oczywiście i Sibylle Fassbender. Hilde Petzhold dawniej też tak mówiła. Ilia von Burg mówi to jeszcze dziś. A może kobiety wyposażone w swój słynny kobiecy instynkt mają subtelniejsze wyczucie dla prawdziwej natury człowieka? Ale jego kolega z pracy, który znał Bena tylko z opowieści Jakoba, był również tego samego zdania.

Jakobowi zrobiło się nagle wstyd, prawdę mówiąc, miał ochotę zapaść się pod ziemię. Nie ufać własnemu synowi, podejrzewać go o różne straszne rzeczy, kiedy jeszcze w niedzielę wędrowali razem przez pola ramię w ramię, jak najlepsi przyjaciele. Jaki z niego ojciec, jeśli wpada na takie szalone pomysły tylko dlatego, że dwóch obcych facetów nie chce powiedzieć prawdy.

Kiedy Jakob szedł do samochodu, dochodziła siódma. Nie był jeszcze gotów, żeby pojechać do domu, stanąć z Trude twarzą w twarz i powiedzieć jej prosto w oczy: „Musimy porozmawiać”. Oczywiście, że muszą kiedyś porozmawiać w spokoju. Szkopuł w tym, że nie było to wcale takie proste, to „porozmawiać w pokoju”. Jakob potrzebował czasu, musiał wszystko jeszcze raz gruntownie przemyśleć.

Pojechał do gospody Ruhpolda, zamówił piwo i poprosił Wolfganga

Ruhpolda o stojący po drugiej stronie baru telefon. Kiedy Werner mu go podał, Jakob wykręcił numer do domu, usłyszał w słuchawce głos Trude i powiedział, żeby nie czekała na niego z kolacją, że przyjedzie trochę później. Zamówił jeszcze jedno piwo i sącząc je powoli, zastanawiał się nad jej reakcjami.

Nie była zdziwiona, nie pytała go, co robi o tej porze w gospodzie. A przecież od wielu lat bywał tam niezwykle rzadko, a już na pewno nie w piątki, ponieważ tego dnia mieli swoje zebrania strzelcy. O tym ani słowa. Powiedziała tylko: „W porządku”. Nic więcej. I ten jej głos, taki przytłumiony, tak dziwnie nieobecny, jakby nie z tego świata... Przez cały tydzień słyszał ten głos.

Tego wieczoru w gospodzie Ruhpolda było tłoczno, przy barze panował ścisk nie do opisania. Jakob dostrzegł wśród gości trzech członków bractwa strzeleckiego, którzy stali przy drugim końcu baru i czekali na resztę, żeby przejść razem do sali zebrań. Jakob nie zwracał na nich uwagi, patrzył w swój kufel i widział wek pełen pleśni i brudu – i strzęp materiału.

To było to. Tylko to. Do tej pory tłumił tę myśl, oszukiwał sam siebie, a przecież doskonale wiedział, że chodziło właśnie o to. Nie tylko o gazety i zachowanie Bena w poniedziałek na polnej drodze. To był ten strzępek materiału, który tak bardzo go niepokoił. To był pośpiech, z jakim wyrzucał do kontenera przeklęty słój. Żeby tylko nie patrzeć, tylko nie dochodzić do sedna sprawy. Nie dać zburzyć sobie spokoju ducha.

W sali jadalnej znajdującej się obok baru sześć stolików było już zajętych. Dwuskrzydłowe drzwi stały szeroko otwarte, obsługa biegała tam i z powrotem. Jakob przyglądał się bezmyślnie zaaferowanym kelnerom, obserwował półmiski z mięsem i jarzynami, które nosili do sali obok. Przez cały dzień nic nie jadł poza kilkoma kęsami chleba na śniadanie. Ale nie czuł głodu, żołądek miał wypełniony po brzegi czym innym – niestrawną mieszaniną nieokreślonych lęków i bardzo określonych podejrzeń.

Równie dobrze jak swoje własne zachowanie mógł ocenić reakcje

Trude. Aż nadto dobrze wiedział, że nie była z nim do końca szczerą, że przez wszystkie te lata wiele przemilczała i zawsze zatajała przed nim to, co jako ojciec powinien był bezwzględnie wiedzieć. Kiedy ukrywała przed nim coś ważnego, coś bardzo ważnego, zawsze była taka małomówna, tak dziwnie zniechęcona i nieobecna duchem jak przez cały ten tydzień. Właśnie taka jak przed chwilą przy telefonie.

Przed laty zdany był wyłącznie na swoich sąsiadów Richarda Kressmanna, Paula Laesslera, Bruna Kleu lub Toniego von Burga, którzy chcąc – lub wcale tego nie chcąc – byli jego informatorami. Pod warunkiem, że Ben nabroił coś we wsi, gdzie byli świadkowie. O jego występach zazwyczaj dowiadywały się kobiety, a potem opowiadały o nich swoim mężom.

Czasem podchodził do niego Richard Kressmann i mówił: „Wprawdzie zupełnie mnie to nie obchodzi, Jakob, wiesz, że nie lubię plotek, a poza tym mam dość kłopotów ze swoim bęcwałem, ale Thea opowiadała mi rano...”.

Albo Bruno Kleu, uśmiechając się znacząco, klepał go po ramieniu i pytał: „Powiedz Jakob, czy Trude nosi w łóżku stalowy hełm? Nie? To koniecznie musisz kupić jej coś takiego, rozumiem, że lubisz sado maso, ale w końcu od tego walenia w czaszkę może ją rozboleć głowa. A poza tym, na twoim miejscu zamykałbym sypialnię. Nie przesadzajmy z tym uświadamianiem dzieci. Wczoraj Ben znowu zademonstrował całej wsi, jak wy to robicie... Wygląda na to, że rośnie mi pod bokiem prawdziwa konkurencja. Ale jeśli już teraz pieprzy jedną lalkę po drugiej, to pytam się co będzie za dwadzieścia lat z rozumami naszej ludności. Czarno to widzę, oj czarno”.

Czasem brał go na stronę Toni von Burg: „Dam ci dobrą radę, Jakob, i postaraj się jej nie lekceważyć. Zatkaj narodowi dziób, zanim z twoim synem stanie się to, co z moją siostrą. Tutaj jest jeszcze sporo takich, którzy myślą tak samo jak wtedy, wiesz kogo mam na myśli...”.

Paul podchodził bardzo rzadko, a kiedy to robił, kładł mu rękę na ramieniu i mówił z troską w głosie: „Uważaj, Jakob. Znów plotą

bzdury”.

Ale teraz mieszkali w polu, z dala od ludzi – tych, którzy gadali bzdury i tych, którzy tego nie robili. Jakob jeździł wózkiem widłowym i tylko z rzadka widywał swoich dawnych „informatatorów”. A Ben już nie objął się po wsi.

To znów wraca, pomyślał Jakob, zamówił jeszcze jedno piwo i przy tej okazji zamienił kilka słów z Wolfgangiem Ruhpoldem. Byli mniej więcej w tym samym wieku i dobrze się rozumieli, chociaż Jakob nie zaliczał się do stałych gości. Zaczęli standardowo, od pogody. Wczoraj w dzienniku zapowiadali nagłą zmianę frontów atmosferycznych, której od dawna wyglądali Richard Kressmann, Bruno Kleu, Toni von Burg i Paul Laessler. Szlag by trafił z tą pogodą... Kiedy konwenansom stało się zadość, Jakob zapytał niby od niechcienia: „A co tam nowego we wsi, dzieje się coś czy nic?”. I zaraz nastawił uszy.

Wolfgang Ruhpold wzruszył lekko ramionami. Słyszysz się to i owo, kiedy człowiek stoi za barem dziesięć albo i dwanaście godzin, zawsze coś obije mu się o uszy. A niektórych rzeczy lepiej nie powtarzać, bo można się sparzyć. Ale tobie Jakob mogę powiedzieć w zaufaniu...

Zaledwie przed dwoma dniami Heinz Lukka zakomunikował wszem i wobec: „Ten piekielny ruch pod moimi drzwiami zaczyna stopniowo działać mi na nerwy. Mam dość całego tego bałaganu. W weekendy w ogóle nie mogę zmrużyć oka.

Szczerze mówiąc, mam wielką ochotę zabarykadować na ten czas drogę wjazdową przy szosie. Albo przynajmniej postawić tam wielkiego, silnego chłopca z lornetką i łopata”.

Toni von Burg stał obok i uśmiechnął się leciutko, z przekąsem. Toni nie przychodził już tak często jak kiedyś, odkąd podupadł na zdrowiu. A kiedy przychodził, pił swoje piwo w milczeniu, nie tracąc przy tym ani jednego zbędnego słowa. Toni zawsze taki był, małomówny, powściągliwy. Ale w środę nie mógł sobie odmówić komentarza. „To dziwne, Heinz opowiada wciąż, że w weekendy sypia gdzie indziej... Jeśli nie ma go w domu, to nie rozumiem, w jaki sposób mogą przeszkadzać mu młodzi ludzie, którzy zabawiają się

w polu pod jego oknami.

Wolfgang Ruppold nie zdążył ustosunkować się do słusznej skądinąd uwagi Toniego, kiedy Richard Kressmann, który stał obok Lukki, ryknął nagle ni z tego ni z owego, aż wszyscy przy barze podskoczyli. Richard miał już mocno w czubie, swoim zwyczajem wypił kilka piw za dużo, dobił się jeszcze ćwiartką jałowcówki i teraz miał pewne trudności z uchwyceniem sensu toczącej się obok niego wymiany zdań. Wolniej kontaktował. I jak zawsze, kiedy sobie dobrze popił, okropnie hałasował.

„Chcesz wpuścić wilka do owczarni? – wrzasnął do Heinza Lukki. – Mogę sobie wyobrazić, jaką by ci to sprawiło przyjemność, gdyby ten idiota rozłożył kilka bab na czynniki pierwsze. Musisz to mieć po swoim starym. Masz pojęcie, jaki problem miał mój Albert, żeby go oderwać od Anette? Z jednego się cieszę, że posłałem swojego chłopaka na kurs karate, może dzięki temu jeszcze żyje”.

Heinz Lukka popukał się w czoło. Pomiął milczeniem aluzję o szczególnych zamiłowaniach swojego ojca, udając że jej nie słyszy. „Karate? – zapytał zdziwiony, jakby po raz pierwszy usłyszał to słowo i nagle wybuchnął szyderczym śmiechem. – Gdyby Ben tylko chciał, rozdarłby na strzępy twojego chłystka, zanim ten, pożał się Boże, karateka zdążyłby machnąć ręką lub nogą. Szczerze mówiąc, nie znam się na tym wywijaniu kończynami. Za to bardzo dobrze znam Bena. A jeśli już mowa o idiotach, złap się za nos, a będziesz miał w garści idiotę jakich mało. Coś mi się zdaje, że Ben ma tymczasem więcej rozumu w głowie niż ty. Twój mózg dawno temu wysechł. Jeśli Ben rzeczywiście trochę zbyt gwałtownie wkroczył do akcji, czego zresztą nie mogę sobie wyobrazić, no, ale powiedzmy, że tak było, to chodziło mu tylko o to, żeby wyswobodzić córkę Paula z łap kompletnego kretyna”.

„Kompletnego kretyna! – ryknął Richard Kressmann. Wprawdzie sam mówił tak nieraz o swoim synu, ale nie mógł znieść, kiedy robił to ktoś inny. – Zastanów się dobrze, co mówisz, bo inaczej ja też się zastanowię, komu mam zlecić prowadzenie swoich interesów. Nie

jesteś jedynym adwokatem w okolicy. Jest jeszcze kilku, którym nawet nie sięgasz do pięt”.

„Zgadzasz się z tobą w całej rozciągłości, jeśli chodzi o pięty, rzecz jasna – powiedział Heinz, nie tracąc zimnej krwi. – Jeśli myślisz, że ktoś inny przeprowadzi cię przez ten test dla idiotów i odzyska twoje prawo jazdy – próbuj, nie mam nic przeciwko temu. I życzę powodzenia. To twoje pieniądze”.

„Słusznie – powiedział Richard. – To moje pieniądze. I mój syn, którego zaatakowano bez dania racji. Wiem, że będziesz bronił własną pierśią tego idioty. Ale jedno ci powiem: Jeśli jeszcze raz zdarzy się podobna historia, przysięgam, że nie będę siedział beczynnym. To hańba, że pozwalają takiemu biegać na wolności, to powinno być zabronione. Założę się o każde pieniądze, że tamtej nocy, kiedy zaginęła córka Ericha, też biegał po polach. I wolę sobie nie wyobrażać, co może zrobić ten przygłup, kiedy jakaś dziewczyna stanie mu na drodze, Ten typek dobrze wie, co nosi w spodniach. A przy jego sile, szkoda słów...”.

„Twój syn na pewno wie lepiej, co nosi w spodniach – zareplikował Heinz Lukka. – Na twoim miejscu spuściłbym nieco z tonu, bo inaczej ktoś może jeszcze wpaść na pomysł, żeby porozmawiać poważnie z twoim Albertem. Z pewnością nie mnie jednemu mówił, że chętnie zabawiłby się w chowanego z córką Ericha. Opowiadał mi również, że to nie byłoby po twojej myśli, ty zdecydowanie bardziej wolałbyś jedną czwartą gospodarstwa Laesslerów niż aptekę. Tak to jest, kiedy starzy mieszają się w nie swoje sprawy i pouczają młodych, z kim mają się zadawać, a z kim nie”.

„Co to wszystko ma znaczyć? – krzyknął histerycznie Richard Kressmann. – Chyba nie twierdzisz, że mój syn...”.

„Niczego nie twierzę – powiedział spokojnie Heinz Lukka – ale przypomnij sobie tylko, co Bruno chciał zrobić Marii, kiedy Paul zabronił mu kategorycznie spotykać się z jego piękną siostrą. Kiedy taki młody chłopak coś sobie nabije do głowy, różnie to bywa, jak tego nie dostanie...”.

Wolfgang Ruppold przemilczał taktownie kłótnię między Richardem Kressmannem i Heinzem Lukką, jak również uwagę Toniego von Burga. Wiedział, że Jakob uważa Richarda za swojego przyjaciela, a Heinza za najgorszego wroga i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że może być odwrotnie. Nie było powodów, aby wyprowadzać go z tego błędu i niepotrzebnie denerwować bajdurzeniami kompletnie pijanego Richarda. Tym bardziej że poza ojcem Alberta nikt inny, jak dotąd, nie wpadł na pomysł, aby dopatrywać się jakiegokolwiek związku między Benem i Marlene Jensen. Tamtego dnia mówiono jeszcze o kimś innym. I o tym Jakob mógł się spokojnie dowiedzieć, nie należał bowiem do tych, którzy roznoszą plotki.

Jakob słuchał z uwagą i potrząsał głową z niedowierzaniem. Dieter Kleu jako podejrzany! Nigdy by na to nie wpadł. Przecież to jeszcze nie zbrodnia, że młody chłopak zakochał się po same uszy w ślicznej dziewczynie i zrobiłby wszystko, żeby ją do siebie zjednać. A przy okazji zrobić na niej odpowiednie wrażenie. Szczerze powiedziawszy, Jakob odczuwał nawet swego rodzaju podziw dla młodego Kleu, który dzięki swej brawurowej akcji w znaczący sposób przyczynił się do ujęcia Klause i Eddiego. Docenili to również funkcjonariusze policji w Lohbergu, którzy byli mu tak bardzo wdzięczni, że przymknęli oko na brak prawa jazdy i skończyło się tylko na upomnieniu. Jakob słyszał, że jeden z redaktorów gazety poklepał nawet Dietera po ramieniu i pogratulował mu odwagi i godnej naśladowania postawy obywatelskiej.

Ludzie we wsi mieli swoje własne przemyślenia na ten temat. Wolfgang Ruppold również je miał. Właścicielowi gospody rzuciło się w oczy kilka sprzeczności w zachowaniu Dietera Kleu. Tak więc przede wszystkim sprawa z tablicą rejestracyjną. Śmierdząca sprawa. Wolfgang Ruppold po prostu nie mógł uwierzyć, że Dieter przeoczył ten tak istotny szczegół, że nawet nie rzucił okiem na rejestrację, kiedy Marlene Jensen wsiadała do samochodu Eddiego i Klause. W dalszej kolejności należałoby zadać sobie pytanie, ciągnął podniecony swoim wywodem Wolfgang Ruppold, dlaczego Dieter

natychmiast nie powiadomił policji. Gdyby to zrobił, wówczas można było przecież od razu, już w niedzielę, kiedy Maria Jensen odkryła puste łóżko swojej córki, zadać kilka pytań Klausowi i Eddiemu.

Zamiast tego Dieter zaczął się przy „da capo”. Co sobie po tym obiecywał? Chyba nie był tak naiwny, aby sądzić, że Klaus i Eddi pokażą się w dyskotecie, jeśli rzeczywiście zabili Marlene. W takim razie musiał dobrze wiedzieć, że tego nie zrobili, że chcieli się tylko zabawić, a kiedy nic z tego nie wyszło, szybko dali sobie spokój i wyrzucili ją z samochodu. A jeśli o tym wiedział, wówczas powstaje pytanie – skąd miał takie informacje?

Ale to jeszcze nie wszystko. Co zrobił Dieter, kiedy już pomógł policji w ujęciu Klause i Eddiego? Młody chłopak, który mógł uroić sobie, że jest Jamesem Bondem – czy chełpił się swoim bohaterskim czynem, czy chodził po wsi dumny jak paw? Nie, przeciwnie.

„Przyszedł przed południem – powiedział Wolfgang Ruppold, ścisząc głos. – Stał przy barze jak trusia, wypił szybko parę piw i mogę przysiąc, że nie wyglądał jak bohater. Tych dwóch siedziało już w tym czasie na przesłuchaniu, a w Bendchen od kilku godzin trwały poszukiwania. Dobrze wiedział, czyja to zasługa. Ale nie pochwalił się nawet swoim rodzicom, nie pisał ani słowa o swoim wyczynie. Ani ojcu, ani matce. Oboje wytrzeszczyli oczy ze zdziwienia, kiedy się dowiedzieli, na co zdobył się ich syn. A teraz pytam ciebie, Jakob, tak między nami, w zaufaniu: Czy tak zachowuje się człowiek, który ma czyste sumienie?”

Jakob wzruszył ramionami. „Prawdę mówiąc, nie wiem. A czy ty czułbyś się jak bohater, gdyby ktoś sprzątnął ci sprzed nosa dziewczynę? I gdyby na dodatek ta dziewczyna znikła bez śladu?”

Wolfgang Ruppold pokiwał głową z namysłem, rozejrzał się ostrożnie dookoła i mówił dalej o innym podejrzeniu, które Bruno jeszcze ugruntował swoim zachowaniem w niedzielę przed cafe Ruetters, kiedy uderzył w twarz swoją żonę. Widzieli to, co poniektórzy, ale nikt nie słyszał, o co poszło. Ale wcześniej chodziło o Dietera. To słyszeli wszyscy. A młodego Kleu przez cały tydzień nikt

nie widział we wsi.

„Nie sądzisz, że to dziwne? – zapytał Wolfgang Ruppold. – Normalnie w każdą niedzielę wpada na kufelek piwa przed południem. Nie omija również zebrań strzelców. Ale kiedy dziewczyna Jensenów znikła, wszelki słuch o nim zaginął, przepadł jak kamień w wodę. A w ostatnią niedzielę, kiedy lepiej przyjrzałem się jego twarzy. Jakob, dam sobie rękę uciąć, że kilka dni wcześniej musiał mieć jakiś zatarg. I chyba nieźle oberwał, ale od kogo, za co – nie mam pojęcia. Ktoś inny może by tego nie zauważył, ale ja mam oko na takie rzeczy”.

Nawet bez tego wszystkiego Wolfgang Ruppold dawałby Dieterowi Kleu pierwszeństwo przed Benem. Znał jednego i drugiego. Od czasu do czasu Jakob zaglądał do jego gospody na małe piwo, wieczorem po niedzielnym spacerze ze swoim synem. Ben stał wtedy przy barze, z błogą miną cmoktał colę i parskał przebiegle, kiedy bąbelki dwutlenku węgla podchodziły mu do nosa. Miłujący pokój, zgodny i uступliwy jak cherubin obok boskiego tronu, uważał Wolfgang Ruppold.

W przeciwieństwie do niego Dieter był prawdziwą kanalią. Wdał się całkiem w swojego ojca, który w młodych latach źle się prowadził, a i teraz lepiej było z nim nie zaczynać. Wprawdzie Wolfgang Ruppold sprowadził się do wsi dopiero po samobójczej śmierci swojego kuzyna, mimo to od dawna wiedział, że Bruno Kleu w październiku sześćdziesiątego dziewiątego o mały włos nie zgwałcił matki Marlene Jensen, a w sierpniu osiemdziesiątego wziął siłą młodą cyrkówkę, i na koniec zamknął jej usta na wieki.

Czy ktoś dałby sobie uciąć rękę, że Dieter nie stosował takich samych metod jak jego ojciec? Kto mógłby przysiąc, że Dieter Kleu nie jechał za Eddim, Klausem i Marlene Jensen tamtej nocy, że nie pomógł Marlene – tak samo jak tydzień później Karoli Juenger? Dieter mógł sobie ubzdurać, że dziewczyna padnie na kolana przed swoim wybawcą i w podziękę za ratunek rozłoży przed nim nogi. A kiedy Marlene nie miała wcale zamiaru odwdzięczyć mu się w sposób, jaki sobie wymarzył, zrobił to, co zrobił, a potem – chcąc ratować własną

skórę – próbował uszyć buty Eddiemu i Klausowi. I zrobił to w cholernie wyrafinowany sposób.

„A co na to policja?” – zapytał Jakob.

Tego Wolfgang Ruppold nie wiedział, ale wychodził z założenia, że na razie policja nie ma o tym wszystkim bladego pojęcia. Jeszcze nie... O Dieterze Kleu mówiono tylko szeptem. Nikt nie chciał robić niepotrzebnej sensacji i wskazywać palcem na być może niewinnego człowieka. Nikt nie chciał też zadzierać z Brunem. To były tylko plotki, domysły.

Plotkowano również o Albercie Kressmannie. O tym, że Albert w wiadomą noc najpierw odwiózł do domu Anette Laessler, a potem pojechał z powrotem do Lohbergu, wiedzieli wszyscy. Postarała się o to Thea. A Heinz Lukka rzeczywiście nie był jedynym, któremu Albert opowiadał, że chętnie zabawiłby się w chowanego z kuzyneczką Anette.

„Czasowo by się zgadzało – dowodził Wolfgang Ruppold – Albert był tutaj tej nocy, dokładnie pamiętam, dochodziło wpół do pierwszej. W weekendy zwykle zabiera ze sobą Richarda, kiedy wraca z Lohbergu. Ale w tę sobotę nie miał czasu, wpadł tylko na chwilę i powiedział, żeby Richard zamówił sobie taksówkę, ponieważ on musi jeszcze coś załatwić”.

Wolfgang Ruppold uśmiechnął się znacząco i powtórzył: „Coś załatwić. Do dyskoteki miał nie więcej niż dziesięć minut. Później opowiadał wszystkim, że był tam zaraz po pierwszej i że nie widział córki Ericha. To dziwne, są tacy, którzy go wtedy z nią widzieli. Na przykład najmłodszy Toniego von Burga, jakże on się nazywa?”.

„Winfried” – odpowiedział Jakob.

„Właśnie – przytaknął skwapliwie Wolfgang Ruppold. – Winfried von Burg tej nocy był również w dyskotecie. Widział, jak Albert podszedł do córki Ericha i przez chwilę z nią rozmawiał. Potem ona wyszła z tymi dwoma z Lohbergu. A kilka sekund później znikł też Albert”.

„To ciekawe, co o tym myślisz?” – zapytał Jakob.

Wolfgang Rühpold wzruszył ramionami. „A co mam myśleć? Jeśli to był Dieter, to teraz biega na wolności. A jeśli Albert bawił się z nią w chowanego, to bardzo dobrze ją schował. Przecież niczego nie znaleziono. Tak właśnie sobie myślę”.

A Jakob w kolejnym przyпадку depresji pomyślał, że jeśli to nie był Dieter i nie Albert, nie Klaus i Eddi, to ktoś inny biega na wolności. Noc w noc. A jeśli ten ktoś nie potrafi się kontrolować, zrobi to jeszcze raz, jak tylko nadarzy się okazja. A Ben... Jeśli chodziło o to, żeby coś dobrze schować, z pewnością był w tym o całe niebo lepszy niż Albert Kressmann.

Znów dzieje się coś złego, pomyślał Jakob, Trude od kilku dni jest taka dziwna. Zawsze jest taka, kiedy coś się dzieje. Coś złego. A kiedy człowiek coś powie, zaraz wpada w furję. Nie da na niego słowa powiedzieć. Ale skąd może wiedzieć, co naprawdę robi jej syn, kiedy jest poza domem? Tego nikt nie wie. Trude też nie.

Jakob nie był świadom, że od pewnego czasu kiwa głową. Wolfgang Rühpold uznał to za potwierdzenie swoich przemyśleń i zwrócił się do innego gościa. A Jakob widział pływający w kuflu piwa między zbiałymi ze starości kosteczkami i gnijącymi kawałkami ziemniaków brudny strzęp materiału, który kiedyś miał być może jasnoniebieski kolor. I który być może należał kiedyś do dziewczęcej kurtki. Jakob poczuł, że za chwilę zwymiotuje, odsunął z obrzydzeniem kufel, podniósł głowę i wtedy w lustrze za barem zobaczył poranną scenę powitania na polnej drodze. Nie była obiektywna, odpowiadała bardziej jego wyobrażeniom, jego pobożnym życzeniom. Łagodnie uśmiechnięty Ben rozkładał szeroko ramiona, a jego młodsza siostra, uśmiechając się promiennie, rzucała się w nie z zuchwałym okrzykiem radości.

Potem w lustrze zrobiło się ciemno. Pod nocnym niebem biegła po opuszczonej przez Boga polnej drodze młoda dziewczyna z twarzą paradnej lalki. A szczerzący w głupkowatym uśmiechu zęby olbrzym z pięściami jak kowalskie młoty i ze składaną łopatką u paska powoli zbliżał się do niej. W niewinnych, pokojowych zamiarach. Ale

dziewczyna nie była jego małą siostrzyczką, nie dała się kręcić w powietrzu i głaskać po włosach. Stawiała opór. Krzyczała, ale nie z radości.

To speszyło olbrzyma, napędziło mu stracha. Wiedział, że nie może dotykać dziewcząt, że zostanie ukarany, jeśli to zrobi. Nie miał niczego złego na myśli, chciał tylko, żeby krzyk zamilkł. A jeśli nauczył się czegoś w swoim życiu, to tak zakopać lalkę, żeby później nie znaleziono nawet okrucha.

Jakob zadrżał na myśl, że ten scenariusz mógł być prawdziwy. Ale o tym nie mógł porozmawiać z Trude. Ani o strzępku materiału w cuchnącym weku. Ani o fakcie, że Ben po prostu był inny. Że ścisnął za gardło kurczaki tylko z jednego powodu: w poszukiwaniu odrobiny czułości. A Trude uważała, że miał do tego pełne prawo.

Wolfgang Ruhpold postawił przed nim nowy kufel i na krótką chwilę przerwał nić posępnych rozmyślań Jakoba, zwracając się do niego z prośbą: „Czy mógłbyś dla mnie coś zrobić? Chodzi o drobiazg. Mam dla ciebie pasażera, a właściwie pasażerkę. Jak będziesz jechał do domu, podrzuć ją kawałek, bardzo cię o to proszę”.

Wskazał ręką na salę jadalną. Jakob spojrział w tamtym kierunku, przyglądał się znajomym twarzom przy stolikach, aż wreszcie jego wzrok padł na kogoś, kogo nie znał. Młoda kobieta, dwadzieścia dwa może dwadzieścia trzy lata.

„Pytała o Wenera – wyjaśnił Wolfgang Ruhpold – i zadawała całą masę pytań na temat Lukki. Ale to, że przejąłem knajpę, nie oznacza jeszcze, że jestem wtajemniczony we wszystkie sekrety Wenera. A co Lukka kiedyś nawyprawiał, tego naprawdę nie wiem. To nie moja sprawa. A ona koniecznie chce do niego jechać. Wolałbym, żeby sama nie błąkała się po okolicy. Robi się późno... Nie wiem dlaczego, ale mam jakieś dziwne uczucie i byłbym spokojniejszy, gdybyś ją do niego podrzucił. Lukka wpada czasami w piątek wieczorem. Ale dzisiaj, jak na złość go nie ma”.

I tak oto końcówki nici znów splotły się ze sobą. Zerwana myśl powróciła jak bumerang. Dziwne uczucie, powiedział Wolfgang. Jakob

też miał takie uczucie. I nie było ono tylko dziwne. Jątrzyło boleśnie jego duszę niczym trujący kolec.

Skinął głową na znak, że się zgadza i przyglądał się ukradkiem nieznajomej. Obok jej krzesła stał wielki plecak z błękitnego perlonu, przez oparcie była przewieszona wiatrówka.

Ciemne, krótko przystryżone włosy. Bluzka w kratkę i džinsy jeszcze wzmacniały chłopięcy, zuchowaty wygląd. Ale twarz miała po dziewczęcemu delikatną, subtelną. Przypominała Jakobowi kogoś. Tylko nie wiedział kogo.

„Znasz ją?” – zapytał Jakob.

Wolfgang Ruppold potrząsnął głową. „Ona nie jest stąd. Ma dziwny akcent. Zanim przyszedłeś, pomyślałem sobie, że jeśli taka przypadnie bez wieści, nie zapyta o nią nawet pies z kulawą nogą. Zaczekaj chwilę, powiem jej, że może z tobą pojechać”.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zanim Jakob się obejrzał, załadował do bagażnika plecak, wrzucił wiatrówkę i przyglądał się z uwagą swojej młodej pasażerke, kiedy wsiadała do samochodu, a potem usiadł obok niej. Z najwyższą ostrożnością wytoczył starego mercedesa na drogę. Dopiero teraz porządnie zaszumiało mu w głowie, w której na dodatek aż kłębiło się od dopiero co usłyszanych nowinek.

Dieter Kleu jako podejrzany i Albert Kressmann. Nietrudno zgadnąć, co na to powie Trude? Wreszcie się uspokoi. Może właśnie od tego zacząć rozmowę, na dobry początek...

Wydawało mu się, że całą głowę ma szczelnie wypełnioną watą, czuł przyjemne ciepło w żołądku, a język sam mu się rozwiązał. To nie było w stylu Jakoba wypytywać obcych. Z natury nie był rozmowny, a już na pewno nie zasługiwał na miano wścibskiego. Tym razem jednak było inaczej, nie tylko z powodu czterech piw. Jakob nie mógł pozbyć się uczucia, że gdzieś, kiedyś widział już tę młodą kobietę. A kiedy zaczęła mówić, kiedy zapytała go, czy zna Heinza Lukkę, a potem poprosiła, aby opowiedział jej pokrótce o panu mecenasie, Jakobowi tak bardzo spodobał się jej twardy, jednocześnie zaś dziwnie

śpiewny sposób mówienia, że zapragnął, aby mówiła jak najdłużej. Przynajmniej oderwie się na chwilę od swoich zatrutych myśli.

Młoda nieznajoma okazała się bardzo rozmowna. Jakob zadawał jedno pytanie po drugim. Skąd pochodzi? Czy w ogóle nie zna Lukki? Co sprowadzają o tej godzinie do kompletnie nieznanego jej człowieka? Dlaczego nie odszukała Lukki w jego kancelarii w Lohbergu? Wtedy nie musiałyby jechać do wsi, a potem do jego bungalowu.

Nie odpowiedziała mu od razu, popatrzyła na niego taksującym wzrokiem i zapytała, ile ma lat.

„Skończyłem sześćdziesiąt trzy” – odpowiedział Jakob lekko zdziwiony.

Wtedy ona skonstatowała, że przeżył złe czasy. Urwała, jakby zastanawiając się nad czymś, a po chwili zapytała, czy urodził się w tej wsi... i czy przypomina sobie nazwisko Stern.

Mimo czterech kufli piwa na pusty żołądek, mimo wewnętrznego rozdarcia i waty w głowie Jakob doznał nagłego olśnienia i w okamgnieniu przypomniał sobie. Głowa poleciała mu na bok tak gwałtownie, że niemal urwał kierownicę i dosłownie przyłgął oczyma do tej nieznajomej, a przecież tak dobrze znanej mu twarzy. I rzeczywiście, to była ona: Edith Stern, zmartwychwstała.

„Nie wierzę w duchy” – wymamrotał.

Młoda kobieta się zaśmiała. To był jasny, melodyjny śmiech, który podobał mu się tak samo jak jej dziwny sposób mówienia. Nie była duchem i wyjaśniła mu to w całkowicie racjonalny sposób. Była wnuczką kuzynki Edith Stern i właśnie po niej nosiła na pamiątkę to imię, ale wymawiała je nieco inaczej. W uszach Jakoba brzmiało to jak Idis.

Jej babka już w połowie lat trzydziestych, kiedy w kraju zapanowały nowe, wrogie Żydom nastroje, wyemigrowała do USA. Ojciec Edith wyjechał później do starej ojczyzny, do Izraela. Ona sama przed dwoma laty powróciła do Idaho, ponieważ życie w kibucu i polityka rządu izraelskiego wobec Palestyńczyków nieszczególnie

przypadły jej do gustu. „Powinien pan lepiej to wiedzieć” – stwierdziła i opowiadała dalej.

Babka Edith zmarła przed trzema miesiącami i pozostawiła jej paczuszkę listów. Nadawca nazywał się Werner Ruhpold. Pisywał w regularnych odstępach czasu, dowiadując się, czy w Idaho nadal nikt nie słyszał o jego ukochanej Edith. Ostatni list Wenera Ruhpolda był datowany na marzec osiemdziesiątego pierwszego. Musiał napisać go i wrzucić do skrzynki pocztowej tuż przed tym, jak wszedł na strych swojej gospody ze stryczkiem w ręku.

Kiedy Edith to wyjaśniła, rozgadała się na dobre. Jakob, któremu wciąż szumiało w głowie, miał niemały kłopot, aby nadążyć za wartkim potokiem jej słów. Jechał wolno, z zaciętą koncentracją, aby nie uronić ani jednego słowa. Mój Boże, przez wszystkie te lata on i Paul tyle razy zastanawiali się, kto to mógł być. Tyle razy....

Igor Kressmanna! Jego prawdziwego nazwiska nie sposób było wymówić, dlatego mówiono o nim jak o psie Lukki lub buhajach Bruna Kleu, choć nikt nie miał zamiaru ubliżyć temu lubianemu przez wszystkich człowiekowi. Mimo to podejrzenia Jakoba wciąż krążyły wokół Igora, ale Paul w to nie wierzył. I miał rację, broniąc uparcie dobrodusznego Rosjanina. Igor nie był mordercą, nawet jeśli w swojej ostatniej rozmowie z Wernerem Ruhpoldem sam siebie tak nazwał.

Igor był świadkiem zbrodni, tak jak słusznie przypuszczał Paul. Igor poszedł do Bendchen, żeby zabrać Edith z ziemianki i przyprowadzić ją do gospodarstwa Kressmannów, umówiwszy się przedtem z matką Richarda. Miejsca było dość, aby ukryć Edith. W folwarku Kressmannów mieszkało wielu ludzi, jedna misa mniej lub więcej, kto by to zauważył. Ale potem Igor mógł tylko schować się do rowu, żeby i jemu nie rozplątano czaszki i patrzeć z daleka na jej męczeńską śmierć. Kiedy kaci odeszli, nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko przykryć ziemią jej zmaltretowane ciało. Zakopał ją gołymi rękami – i przez wszystkie te lata nosił ją głęboko w sercu.

Dopiero na łożu śmierci doszedł do przekonania, że jest takim samym zbrodniarzem jak morderca Edith. Gdyby Werner Ruhpold

wiedział o jej śmierci, być może zapomniałby wcześniej czy później, poszukałby sobie innej żony, założył rodzinę, miał dzieci i spełnione życie. Dlatego Igor kazał go zawezwać. Trzy nazwiska wymienił Wernerowi Ruhpoldowi. Heinza Lukkę jako podżegacza i nadzorującego egzekucję, dwóch innych jako organ wykonawczy.

Jakob przypomniał sobie tych dwóch. Jednego rozstrzelali Amerykanie w kwietniu czterdziestego piątego. Na środku wsi, na oczach przerażonej ludności, która zadawała sobie pytanie „dlaczego”? Przecież chłopak wypełniał tylko ostatni rozkaz swojego Führera. Bronił desperacko klasztoru, mając do dyspozycji jedno stare działo przeciwko czołgom Amerykanów, głuchy na błagania sióstr zakonnych, które zaklinały go na rany Chrystusa, aby się poddał. W swoją ostatnią podróż wziął ze sobą jeszcze jednego sierżanta. Obaj zginęli z rąk Amerykanów.

Również trzecie nazwisko, które wymienił Werner Ruhpold w swoim ostatnim liście, od pół wieku widniało na wykutym w granicie pomniku ku czci poległych wojowników. Oprawców nie można było już pociągnąć do odpowiedzialności, nie można było nawet zapytać ich, o czym myśleli wówczas, gdy miażdżyli czaszkę bezbronnej kobiecie, tylko dlatego, że jakiś szesnastoletni impertynent uważał, że to jest ich obywatelskim obowiązkiem.

„Mój Boże – wyszeptał Jakob zaszokowany, z emocji, ze wzruszenia i na wspomnienie zlepionych krwią włosów Edith Stern i jej nabrzmiałej twarzy. – Mój Boże, nigdy bym go o to nie podejrzewał... Wiedziałem, że Lukka to fanatyk i tchórz, ale zawsze myślałem, że tylko chętnie odgrywa wielkiego komendanta. No, ale jeśli dobrze się nad tym zastanowić, robił to również w tym przypadku”.

W drodze do rozjazdu Jakob opowiedział jej całą historię – od początku do końca. Że on i jego przyjaciel Paul Laessler przez wszystkie te lata milczeli i że dopiero niedawno wtajemniczył w całą sprawę swojego syna. Dlaczego dopiero teraz? Ponieważ znów znikła jedna dziewczyna ze wsi. Ale jego syn jest pewny, nikomu nic nie powie... Jakob spytał na koniec: „Czy nie czuje się pani dość dziwnie?”

Sprawa jest bardzo nieprzyjemna. Co zamierza pani powiedzieć Luce?”.

Edith Stern jeszcze tego nie wiedziała. Właściwie chciała tylko pokazać Heinzowi Luce listy. „Zobaczymy, może coś z tego wyniknie...”. I w żadnym razie nie chciała, aby podwoził ją pod same drzwi, ponieważ to mogło być dość krępujące dla adwokata.

Kiedy Jakob dojechał do drugiego rozjazdu, skąd miał już tylko kawałek do domu, wskazał jej drogę biegnącą do bungalowu. „Tam właśnie mieszka, ale to są jeszcze jakieś dwa kilometry”.

Edith Stern zdecydowała, że resztę drogi przejdzie piechotą. Dzięki temu będzie miała trochę czasu, żeby przygotować się do rozmowy z adwokatem. Mówiąc ściśle, chciała go tylko poznać, dawnego dowódcę Hitlerjugend, który mając szesnaście lat robił tak wielkie różnice między jednym człowiekiem a drugim, między jedną nacją a drugą, a teraz od pięćdziesięciu lat jest filarem chrześcijańsko-demokratycznego społeczeństwa.

„Ale naprawdę mogę panią tam zawieźć, to dla mnie żaden kłopot – zaoferował się Jakob. – Nie muszę zatrzymywać się przed samymi drzwiami. Podwożę panią tylko do kukurydzy. Proszę się nie obawiać, na pewno niczego nie zauważy”. Urwał, a po chwili dodał z wahaniem, że byłoby lepiej, gdyby nie szła sama przez pola. Chociaż trudno mu było o tym mówić, jeszcze raz wyjaśnił, dlaczego tak będzie lepiej, „niedawno w tej okolicy znów zaginęła dziewczyna...”.

Ale Edith Stern tylko się roześmiała. Nie tak łatwo ją przestraszyć, już ona dobrze wie, jak sobie radzić z natrętami, powiedziała pewnym głosem.

Jakob wysiadł z samochodu razem z nią, wręczył jej plecak i kolorową wiatrówkę, pomachał na pożegnanie, ale nie wsiadł od razu do swojego mercedesa. Stał na rozjeździe i przez kilka minut patrzył, jak idzie drogą w gasnących promieniach słońca.

Kiedy wjeżdżał na podwórze, w głowie aż huczało od nadmiaru wrażeń. I wszystko się pomieszało. Edith Stern i sprzątnięte gazety; Dieter Kleu, Albert Kressmann i przypuszczenie, że obu podejrzewa się

niesłusznie; Heinz Lukka, Igor Kresmanna, Werner Ruhpold, podświadomy lęk i odpowiedzialność, którą nosił jako ojciec. I to niedobre uczucie wciąż nie dawało mu spokoju, zatruwało duszę.

W nagłym przypiływie desperacji postanowił, że jutro porozmawia z Trude o wszystkich tych rzeczach. Wtedy będzie wypoczęty, całkowicie trzeźwy i gotowy do walki. Musi tylko zręcznie zacząć. Najlepiej od Dietera Kleu i Alberta Kessmanna. Ciekawe, co powie na to Trude?

Trude wiedziała, że kogoś takiego jak Ben ludzie mierzą inną miarą. Jeśli Dieter Kleu chciał mieć wszystko, co tylko zobaczył, to było w porządku. Jeśli Albert Kressmann nocą, na leśnej polanie, kładł ręce na kobiece piersi, wszyscy uśmiechali się pobłaźliwie. Albert był przecież w takim wieku, miał do tego prawo. Benowi takie prawo nie przysługiwało. Takie nie – i żadne inne.

Biała niedziela – kolorowa niedziela

Nieszczęśliwe wypadki i zwykłe codzienne zmartwienia kładły się cieniem na cały rok osiemdziesiąty pierwszy. Ale w ostatnich dniach tego smutnego roku błysnęło słońce i na chwilę rozpędziło czarne chmury unoszące się nad domem Jakoba i Trude Schloesser. Pod koniec grudnia przyszedł do nich list z urzędu parafialnego.

Richard i Thea Kressmann już poprzedniego dnia otrzymali podobne pismo. A Thea – jak to Thea – wsiadła zaraz w samochód i przyjechała do Trude. Stała w drzwiach kuchni, po której krzątała się Trude i przybierając świętoszkowatą minę, spytała, czy ona też... I machała jej przed nosem białą kopertą.

Na wstępie w pełnych namaszczenia słowach pisano, co następuje: Dziecko rodziny Kressmann osiągnęło odpowiedni wiek, aby być przyjęte do wspólnoty chrześcijańskiej i zaproszone do stołu Pana. Potem następowało wezwanie, aby to dziecko zgłosić do uczestnictwa w pierwszej komunii świętej. Tym dzieckiem był, rzecz jasna, Albert. Pomimo ukłucia zazdrości, które boleśnie dźgnęło jej serce, Trude zmusiła się do pełnego słodczy uśmiechu, równocześnie jednak nie mogła sobie odmówić kąśliwej uwagi: „Jak to do wspólnoty chrześcijańskiej? Nie bardzo rozumiem. Czy Albert nie jest ochrzczony?”.

Ben był ochrzczony. Ale Trude wychodziła z założenia, że jej syn u stołu Pana był tak samo niemile widziany jak w szkolnej ławce. Tym razem jednak się myliła.

Następnego dnia z samego rana listonosz wręczył jej kopertę, która wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą wczoraj pokazała jej

Thea. Trude usiadła przy stole i się rozmarzyła. Oczami wyobraźni widziała Bena wystrojonego odświętnie w ciemnoniebieski garnitur, jak stoi przed ołtarzem: biała koszula i błękitna mucha, w dłoni płonąca gromnica, pod pachą książeczka do nabożeństwa ze złoconą okładką, otoczony przez małe dziewczynki w długich do ziemi, śnieżnobiałych sukienkach i wianuszkach na głowie. Trude ogarnęło naraz takie wzruszenie, że przez dobrych parę minut musiała zaciskać usta, żeby nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Zaniosła kopertę do pokoju. Nie ośmieliła się jej otworzyć. Zrobił to wieczorem Jakob. Potem usiedli na kanapie i do późnej nocy zastanawiali się wspólnie nad organizacją tej niezwyklej uroczystości, omawiając szczegółowo punkt po punkcie. A było tego niemało... W jaki sposób uda się im nakłonić Bena, żeby podczas mszy świętej stał spokojnie i nie biegał po kościele, żeby pozostał na wskazanym mu miejscu, żeby nie sprowadził nieszczęścia, wymachując płonąca gromnicą i nie złapał z kielicha pół tuzina hostii. A wszystkim winna była sekretarka proboszcza, która pochodziła z Lohbergu i nie znała tutejszych stosunków. Ani tutejszych dzieci.

Kiedy na początku stycznia osiemdziesiątego drugiego Trude szykowała się na plebanię, pierwszy zawrót głowy minął. Trzymając za rękę Bena, który w swoich niedzielnych spodniach i nowej koszuli wyglądał miło i schludnie, Trude opowiadała mu o czekającej go radości. Nie miała przy tym na myśli wizyty na plebanii, ale duży kawałek tortu czekoladowego w cafe Ruettgers. Pod warunkiem, że będzie miły, grzeczny i posłuszny, nie będzie dokuczał ani proboszczowi, ani jego sekretarce – nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia – ani też innym ludziom, którym w żadnym razie nie wolno dawać się we znaki brzydkimi słowami, dzikimi wrzaskami, wariackim wierceniem się na krześle lub inną swawolą.

Zarażony podświadomą nerwowością swojej matki, jednocześnie zaś przepełniony przeciągającym się, ale na wskroś przyjemnym oczekiwaniem, Ben starał się o równomierny, zrównoważony chód, sadił duże kroki i wyglądał przy tym jak bocian, kroczący dostojnie po

łące w poszukiwaniu żab.

„Na litość boską, co ty wyprawiasz – ofuknęła go Trude. – Idź jak człowiek! Jak to wygląda?!”.

I Ben, który dobrze zinterpretował wprawdzie nie jej słowa, ale energiczne szarpnięcie za rękę, z widoczną ulgą przeszedł na swój zwyczajowy trucht.

Przed drzwiami plebanii Trude jeszcze raz troskliwie przyglądała mu włosy, przyjrzała mu się badawczo i uznała, że jej syn jest naprawdę ładnym chłopcem. Bardzo duży i silny jak na swój wiek, ale twarz miał delikatną jak dziewczyna. Ciemne włosy spadały w lokach na kark, ale dawały się czysto przedzielić. I tylko ktoś, kto go dobrze znał, wiedział, że pod tym pięknym czołem była tylko dziura pełna pogmatwanych myśli i dziwacznych wyobrażeń.

Broda była dzisiaj wyjątkowo suchą, mimo to Trude z przyzwyczajenia wytarła ją pospiesznie wierzchem dłoni. I – również z przyzwyczajenia – wierzchem dłoni przejechała po swojej ciemnej spódnicy. Potem weszli do środka.

W korytarzu plebanii panował półmrok, pod ścianami stały dwa rzędy krzeseł, po cztery krzesła w każdym rzędzie. Sześć krzeseł było już zajętych przez inne matki i ich dzieci, które stawiały się posłusznie na wezwanie proboszcza. Dwa krzesła były wolne, jakby czekały właśnie na nich. Kiedy weszli, rozmowy nagle zamilkły, Trude zignorowała oburzone spojrzenia matek i pełne ciekawości lub przestraszone spojrzenia dzieci. Ben przyłożył palec do ust, zrobił grzeczne i odpowiednio głośne „psst” i w ten sposób wyjaśnił wszystkim obecnym, że wie, jak należy się zachowywać w takim miejscu. Trude wcisnęła go na jedno z wolnych krzeseł, usiadła obok niego, po czym niemal automatycznie złapała go za rękę i pilnowała, żeby się nie wiercił.

W ciągu następnych trzydziestu minut za drzwiami kancelarii znikwały oczekujące na swoją kolej matki, ciągnąc za sobą przyszłych komunikantów. Kiedy wychodziły, w drzwiach pojawiał się stary proboszcz albo młody referent wspólnoty i zapraszał następną matkę

do środka.

Trude wpadła na referenta, który najpierw spojrział sceptycznie na Bena, później w taki sam sposób przyjrzał się zaproszeniu i najwidoczniej nie bardzo wiedząc, co robić, zawołał na pomoc starego proboszcza. Ten przyszedł natychmiast, popatrzył na Bena z zawodową dobroduszością, pogłaskał go po gładko przyczesanych włosach i zapytał łagodnie: „Więc i ty chcesz wziąć udział w tej pięknej uroczystości?”.

Ben położył palec na ustach, zasyczał nieco głośniejszym niż na korytarzu: „Psst”. I w ten sposób sprawa była już właściwie załatwiona.

Proboszcz był oczywiście gotów zaprosić Bena do stołu Pana, ale niekoniecznie w białą niedzielę, i niekoniecznie razem z Albertem Kressmannem i innymi dziećmi. Usiadł obok Trude, położył jej dłoń na ramieniu i patrząc na nią życzliwie, wyjaśnił w mniej więcej takim samym tonie, w jakim Erich Jensen proponował jej wysłanie Bena do ośrodka, że – jego zdaniem – dla Bena będzie najlepiej, jeśli w następną sobotę przystąpi do komunii sam. Dzięki temu jej syn będzie mógł w pełni cieszyć się tym cudownym mistycznym przeżyciem. A cała reszta uniknie niepotrzebnego stresu.

„Nie! – powiedziała Trude stanowczo – albo w białą niedzielę, albo w ogóle nie. Już mu wyjaśniliśmy, jak ma się zachowywać. Oduczę go tego głupiego «pss». Być może, zrobiliśmy błąd, pokazując mu to. Ale poradzimy sobie i z tym. Czy ksiądz nie rozumie, że on ma tak mało radości. Co on ma z życia? Raz może stanąć z innymi w jednym rzędzie. Jeśli inaczej nie można, stanę obok niego. Ale to naprawdę nie będzie potrzebne. Proszę mu tylko pozwolić ćwiczyć razem z innymi, wtedy zobaczy ksiądz, że wszystko pójdzie gładko jak po maśle. On ma taki wrodzony talent – naśladuje wszystko, co mu się pokaże. Potrafi już nawet trzymać płonąca świecę, to już z nim przećwiczyłam. Umie też stać spokojnie. Jeśli wie, że dostanie kawałek tortu, jest potulny jak baranek”.

„Ależ moje dziecko, tutaj nie chodzi o kawałek tortu – proboszcz

był wyraźnie oburzony. – Dokąd zajdziemy, jeśli będziemy nakłaniać nasze drogie dzieci do godnego zachowania przed ołtarzem Pana, mając je takimi doczesnymi przyjemnościami? Gdzie pozostaje miejsce na zrozumienie sensu tej uroczystości?”.

„Czy ksiądz naprawdę uważa – zapytała zdenerwowana Trude – że inne dzieci to rozumieją? Przecież im chodzi tylko o nowy rower, deskorolkę albo złoty zegarek”. Nie doczekała się odpowiedzi.

Godzinę później siedziała w pokoiku na zapleczu cafe Ruetters i kiedy Sibylle Fassbender za pomocą tortu czekoladowego rekompensowała Benowi uroczystość, która przeszła mu koło nosa, Trude płakała gorzko nad niesprawiedliwością tego świata. Kawa, którą przyniosła jej Sibylle, stała nietknięta na stoliku.

Ben wlepiął oczy w swoją matkę, nigdy jeszcze nie widział jej takiej, był niepewny, zalekziony i w końcu zaczął pajacować. Zerkał ostrożnie na Sibylle, to znów na pusty talerz, wreszcie zsunął się z krzesła i podszedł do Trude. Położył jej rękę na ramieniu, jak to często widział u Jakoba, i pytał ze szczerym współczuciem: „Boli?”.

„Tak – powiedziała Trude. – Boli jak cholera. Ale ty będziesz miał swoją białą niedzielę, jeszcze zobaczymy, czyje na wierzchu. Choćbym miała iść na kolanach do samego papieża”.

Sibylle Fassbender położyła jej rękę na drugim ramieniu. „To nie ma sensu, Trude. Tylko się zdenerwujesz, a i tak nic nie wskórasz. Zrobimy to inaczej. Zrobimy to tutaj. I zrobimy to nie na biało, ale na kolorowo. Wtedy będzie miał więcej radości. I zaprosimy wszystkich, którzy lubią naszego Bena. To będzie piękna uroczystość. Już ja się o to postaram”.

Wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać, Trude usiadła przy kuchennym stole i – wbrew wszystkim ostrzeżeniom – napisała pieprzny list do biskupa. Do papieża nie poszła, nie było po co, ponieważ już biskup opowiedział się w całej rozciągłości po stronie proboszcza, stawiając w ten sposób kropkę nad i.

Pomimo tej ewidentnej porażki, zanosilo się na to, że Ben będzie miał piękną uroczystość. Sibylle Fassbender dotrzymała słowa.

W białą niedzielę osiemdziesiątego drugiego cafe Ruettgers była zamknięta. Tylko koło południa wydano zamówione wcześniej ciasta i torty. A o wpół do trzeciej, kiedy komunikanci w wielkim pośpiechu łykali wyborne świąteczne desery, żeby zdążyć na czas na nabożeństwo dziękczynne, w kawiarni zaczęła się kolorowa niedziela.

Siostry Ruettgers i Sibylle dały z siebie wszystko. Sala dla gości została udekorowana papierowymi girlandami, różnokolorowymi balonami i lampionami. Wszystkie stoliki zsunięto w jeden długi stół, na którym stały świece w pięknych lichtarzach, kolorowe talerzyki i kubeczki z papieru dla dzieci, porcelanowe dla dorosłych. Wzdłuż całego stołu ustawione na srebrnych paterach cieszyły oko wspaniałe torty śmietankowe i czekoladowe, finezyjne ciasteczka z kremem oraz lekkie ciasta z owocami i galaretką, którymi każdy mógł częstować się do woli.

Zjawili się wszyscy zaproszeni goście w komplecie: Paul i Antonia Laessler z czwórką swoich dzieci, siostrzenicą Marlene i małą Tanją Schloesser, Otto i Hilde Petzhold, Renate Kleu z Dieterem i dwuletnim Heiko. Bruno nie mógł przyjść, miał rzekomo pilną sprawę do załatwienia, ale Renate nie wiedziała dokładnie, co to za sprawa. Toni i Ilia von Burg przyszli ze swoimi dwoma synami, ponieważ nie istniało niebezpieczeństwo, że natkną się tutaj na Theę Kressmann, która wraz z Richardem świętowała w tym samym czasie białą niedzielę swojego Alberta.

Anita zdecydowanie odmówiła wzięcia udziału w uroczystości, zasłaniając się ważną pracą pisemną do matury, która rzekomo miała jej zająć całą niedzielę. Natomiast Baerbel wprost przeciwnie, kiedy dowiedziała się, że von Burgowie przekonali swoich synów do sensu tej uroczystości, pobiegła jak na skrzydłach do kawiarni sióstr Ruettgers.

Baerbel nie kryła, że siedemnastoletni Uwe von Burg niezwykle się jej podoba. Niestety, notowania młodszej córki Jakoba i Trude nie były najlepsze. Uwe miał opinię donżuana i w każdą niedzielę widywano go z inną dziewczyną. Ten czarujący chłopiec nie narzekał na brak

powodzenia, miał w czym wybierać i zapewne dlatego do tej pory ostentacyjnie ignorował tęskne spojrzenia Baerbel.

Ale trafiła kosa na kamień, Baerbel była wytrwałą zawodniczką i tak prędko się nie poddawała. A Trude mogła sto razy mówić jej, że piętnastolatka ma jeszcze czas na amory. Tego dnia Baerbel pełna dobrych myśli wylała na siebie pół flakona perfum i położyła nieco grubiej szminkę i róż. Widząc to, Jakob uznał, że teraz jej twarz pasuje jak ulał do kolorowej niedzieli.

Erich i Maria Jensen nie zostali zaproszeni. Obawiano się, że ich obecność może wpłynąć negatywnie na przebieg uroczystości i zakłócić jej radosny nastrój. Pomijając to, Erich i tak zresztą nie mógł przyjść, tego dnia miał bowiem ważną naradę z kolegami partyjnymi. A Maria już przed tygodniem oświadczyła, że musi zrobić remanent w aptece i prosiła Antonię, żeby po południu zajęła się małą Marlene.

Heinz Lukka nie był przedmiotem dyskusji, ponieważ przebywał na urlopie. Brakowało też Gerty Franken, która poczuła się śmiertelnie urażona brakiem zaproszenia i miała Schloesserom za złe, że wykluczono ją z towarzystwa. W odwecie nasiliła swoją kampanię przeciwko Benowi. Nazywała go teraz rzeźnikiem.

Trude chciała zabrać ze sobą starą sąsiadkę, aby raz na zawsze zamknąć jej usta. Ale Jakob był zdecydowanie przeciwny temu pomysłowi i w odpowiedzi zamruczał coś pod nosem, co w uszach Trude zabrzmiało jak: „Jeden stuknięty przy stole w zupełności wystarczy” i skłoniło ją do energicznego protestu: „Nie pleć bzdur! Co ci przychodzi do głowy?”.

Kiedy wszyscy goście zajęli miejsca przy stole, Trude na otwarcie uroczystości przeczytała list od biskupa, który w kwiecistych słowach wyjaśniał, dlaczego ktoś taki jak Ben nie może liczyć na udział w białej niedzieli. Niektórzy potrząsali głowami. Antonia Laessler stwierdziła, że tego rodzaju postawa jest niedopuszczalna i że nie wolno jej tolerować – ani u starego proboszcza, ani nawet u samego biskupa. Człowiek jest człowiekiem, a pusta głowa wyrządza tylko połowę szkody w porównaniu z mądrą, która – jak uczy historia – miewa iście

szatańskie pomysły.

Ben ze swoim niewinnym zachowaniem i miną aniołka przyznał jej słusność, siedział grzecznie na honorowym miejscu przy stole. Z początku otaczający go tłum nieco go peszył i irytował, ale kiedy przekonał się, że wszyscy są dla niego mili i serdeczni, uśmiechają się do niego przyjaźnie i nikt nie zamierza go stąd przepędzać, z błogą miną rozpaćkał tort śmietankowy na swoim talerzu, po czym głośno mlaskając, napychał sobie do ust tę smakowitą breję i tylko raz podniósł głowę, szczerząc zęby w krzywym uśmiechu, kiedy Trude pogłaskała go po głowie.

Minęła godzina. Do tej pory Ben siedział jak trusia na swoim krześle zajęty tortem i kakao i tylko od czasu do czasu zerkał tęsknie na dzidziusia, mruczając „ślicznie” i „paluchy precz”. W nagrodę za grzeczne zachowanie mógł teraz przez pół godziny pobawić się ze swoją małą siostrzyczką i Brittą Laessler.

Antonia i Jakob nadzorowali jego niezręczne czułości. Antonia pozwoliła mu nawet wziąć na ręce swoją najmłodszą córkę, pokazała mu, jak należy głaskać delikatną buzię maleństwa, a potem pogłaskała też jego policzki, spojrzała mu w oczy i w przyływie serdecznego współczucia porwała go w ramiona.

Na koniec Trude zaprowadziła go do stołu, na którym piętrzył się stos prezentów zapakowanych w ozdobny papier i przewiązanych błyszczącymi wstążeczkami. Nie bardzo wiedział, co ma począć z tą kolorową piramidą. Przyglądał się jej spod oka, ale kiedy Trude puściła jego rękę, chciał natychmiast wracać do Antonii i małej Britty.

„Nie – powiedziała Trude stanowczo. – Dość już zabawy. Teraz rozpakujemy prezenty. Potem pięknie za nie podziękujesz, tak jak cię uczyłam”. Wzięła ze stołu pierwszą paczuszkę, otworzyła załączoną do niej kopertę, po czym wyraźnie wzruszona odczytała głośno życzenia, spoglądając wilgotnymi oczami na swoich sąsiadów: „Z okazji Twojego uroczystego dnia, kochany Benie, najlepsze życzenia od Otto i Hilde Petzhold”.

Hilde uśmiechnęła się zawstydzona, Otto z wielkiego zmieszania

zapalił cygaro. W tym czasie Trude rozpakowała paczkę i wręczyła Benowi wykonaną z grubego kartonu książkę z obrazkami. I to była pierwsza klęska.

Wszystkie podarunki zostały gruntownie przemyślane, tak przynajmniej mogło się wydawać. Prezenty dla Bena miały być nie tylko darem serca i demonstracją dobrych chęci, względnie dobrego stanu finansów, ale przede wszystkim miały mu sprawić radość. Hilde Petzhold zdecydowała się właśnie na tę kolorową książkę z obrazkami, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że karton jest dostatecznie stabilny, aby stawić opór pięściom Bena – i ponieważ była to książka o tym, co sama najbardziej na świecie kochała: o kotach. Czarnych i białych, małych i dużych, pręgowanych i gładkich.

Szarobury kocur siedział na okładce i lizał przednią łapę. Za ledwie Ben rzucił okiem na okładkę, wpadł w furję. Pobiegł jak szalony do stołu i trzasnął książką z impetem w wysmarowany resztkami tortu śmietankowego talerz, który stał na stole przed Hilde Petzhold. Potem walił pięścią w blat stołu, aż talerz z głośnym brzękiem rozpadł się na kawałki. „Paluchy precz! Ścierwo!” – ryczał, jakby go obdzierali ze skóry, drapiąc się przez cały czas prawą ręką po lewym ramieniu.

Trude zalała falą gorąca. To było tak dawno temu. Ale Jakob często powtarzał: „On ma pamięć jak słoń”. Głos drżał jej lekko, kiedy rozkazała: „Chodź tutaj, Ben. Już dobrze. Książka jest twoja. Hilde nie chce ci jej zabrać”.

W odpowiedzi krzyknął przeraźliwie „Paluchy precz”, potem zaczął warczeć jak pies, pochwycił książkę ze stołu i z całej siły wgryzł się w okładkę. Cisnął nieszczęsny dar na kawałki potłuczonego talerza i błyskawicznym ruchem złapał widelec Hilde Petzhold. Noży na szczęście nie było, Sibylle pomyślała o wszystkim... Dźgnął z taką wściekłością, że delikatne ząbki widelca zgięły się w pałąk, a koci brzuch na stabilnym kartonie wykazywał wiele wgłębień. Na koniec drapał zapamiętale widelcem po kocim brzuchu.

Wszyscy patrzyli na niego z irytacją i ciekawością zarazem. Tylko

Ilia von Burg, którą Gerta Franken poinformowała swego czasu o losie pewnej ciężarnej kotki, spuściła głowę. A Jakob patrzył podejrzliwie na Trude, która z pałającą twarzą sięgnęła pospiesznie po następną paczkę i drżącymi rękami zerwała ozdobny papier, nie czytając, kto jest autorem tego prezentu.

Trude podniosła do góry wielką kolorową piłkę i zawołała ochryłym głosem: „Zobacz, Ben, to też jest dla ciebie”.

I rzeczywiście, zaledwie Ben spojrzał na mieniącą się wszystkimi barwami tęczy kulę, w okamgnieniu zapomniał o książce. Ale tylko dlatego, że Dieter Kleu rzucił się na Trude i na piłkę. Kiedy juniorowi Kleu nie udało się dostać piłki, ponieważ Trude trzymała ją wysoko nad głową, nie zwracając uwagi na jego wysiłki, uderzył ją obu pięściami w żołądek i kopnął z całej siły w prawą nogę. Trude krzyknęła głośno – bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Kiedy rozległo się rozpaczliwe „au!” jego matki, Ben rzucił się jej na pomoc, okrążył stół, dopadł Dietera, pochwycił go za szyję i kark swoimi wielkimi rękami i potrząsał nim jak słomianą kukłą, a potem podnosząc go centymetr nad podłogą, ryknął mu wprost do ucha: „Paluchy precz!”.

Jakob zerwał się na równe nogi, rozdzielił obu chłopców, dał swojemu synowi po twarzy i zażądał, żeby natychmiast przeprosił kolegę. Ale zanim Ben zdążył otworzyć usta, Renate Kleu przeprosiła Trude i całe towarzystwo, wspierana dzielnie przez Antonię, która również była zdania, że Dieter musi wreszcie się nauczyć, że nie może mieć wszystkiego dla siebie i że nie wolno mu kopać kogoś w łydkę tylko dlatego, że nie udało mu się postawić na swoim.

Tymczasem Baerbel nie zasypiała gruszek w popiele, wykorzystując czas, aby na swój sposób wyjaśnić Uwemu von Burgowi, że jest jedyną dziewczyną w tym towarzystwie i że mając piętnaście lat w żadnym razie nie jest dla niego za młoda. Korzystając z zamieszania, Uwe i jego nowa sympatia wymknęli się na spacer, zanim ktoś zdążył im tego zabronić.

Kiedy emocje nieco opadły, Sibylle Fassbender wzięła łkającego Bena za rękę i zaprowadziła go do pokoiku przy piekarni. Tam

zaserwowała mu jeszcze jeden kawałek tortu, ale w zdenerwowaniu zapomniała uprzątnąć noża do krajania tortów.

W tym czasie Trude skonstatowała, że przedmiotem kłótni był prezent od Bruna i Renate Kleu. Ze swej strony szukała wytłumaczenia dla Dietera, który najprawdopodobniej widział, jak Renate pakowała piłkę i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego teraz ma ona należeć do Bena. Kiedy Sibylle wróciła na salę, ciągnąc za sobą dąsającego się Bena, na stole panował wzorowy porządek, znikł potłuczony talerz i powyginany widelec. Trude rozpakowała resztę prezentów.

Od sióstr Ruetters Ben otrzymał pudełko domowych czekoladek i kilka plastikowych kurczaków oklejonych miętowym meszkiem, które pozostały z dekoracji wielkanocnej. Ten prezent trafił wprost do jego serca. Patrząc z lękiem na Jakoba, jedną ręką upychał kurczaki w kieszeniach spodni, a drugą czekoladki – w swoich ustach.

Potem podszedł z pudełkiem pralinek do Jakoba i małej Tanji, a Antonia uznała, że jest to widoma oznaka jego dobroduszej natury i życzliwości dla ludzi. Na koniec poczęstował Marlene Jensen, Anette Laessler i małą Britte. Nie zapomniał też o małym Heiko Kleu, któremu podsunął pod nos pudełko z czekoladkami. Tylko z Dieterem nie chciał się podzielić. Zrobił to za niego Jakob.

Od Paula i Antonii otrzymał pudełko klocków. Intencje były jak najlepsze, ale ten podarek najwyraźniej chybił celu. Maria Jensen podziękowała za spokojne popołudnie, przesyłając przez Antonię kopertę zawierającą bon towarowy. Sibylle Fassbender położyła na stole z podarkami pluszową małpkę, która biła w talerze i wesoło tańczyła, kiedy nakręciło się ją specjalnym kluczem. Małpka robiła piekielny hałas. Ben przeraził się nie na żarty i nie wiedząc, co robić, z całej siły rąbnął pięścią nieszczęsną małpkę, po czym schował się przezornie za plecami Trude i wyszedł stamtąd dopiero wtedy, gdy zauważył, że małpka, bijąc w talerze, kręci się tylko w koło i nie ma zamiaru go atakować.

Toni i Ilia von Burg zdecydowali się na praktyczną i pouczającą

skrzynkę, w której chodziło o to, żeby różne figury geometryczne przeciskać przez otwory o tym samym kształcie. Widząc jak Sibylle Fassbender pokazuje Benowi, na czym polega ta zabawa, Toniemu von Burgowi zebrało się na wspomnienia. Z grymasem smutku na twarzy i podejrzanie błyszczącymi oczami Toni opowiedział Paulowi Laesslerowi, że jego mała siostrzyczka Christa, którą Paul na pewno sobie przypomina, wiele lat temu wprost przepadała za tą zabawą i całymi godzinami mogła się bawić kropka w kropkę takim samym pudełkiem.

Toni mówił tak, jak gdyby miał tylko jedną, młodszą siostrę i rzeczywiście, nigdy nie czuł choćby cienia urazy do Paula, który bądź co bądź zerwał zaręczyny z jego starszą siostrą i skazał ją na klasztorne życie.

Dziatwa radziła sobie, jak mogła. Andreas i Achim Laessler, nudząc się przeraźliwie, potoczyli Dieterowi Kleu piłkę, gdy tymczasem Anette zorganizowała dla swojej małej kuzynki ostatnie dwa cukierki z pudełka Bena. Uwe von Burg i Baerbel Schloesser wrócili ze spaceru z rozmazaną szminką na rozgrzanych twarzach, a Renate Kleu pokazywała swojemu najmłodszemu synowi białe, czarne i szarobure koty w książce z obrazkami. Ben wciskał jedną figurę za drugą, potem zamknął wieko skrzynki, zerknął na boki i wymknął się niepostrzeżenie z sali.

Wszyscy byli jakoś zajęci. Jakob tulił w ramionach swoją najmłodszą córkę i opowiadał jej bajki na dobranoc, Sibylle Fassbender rozmawiała z Tonim i Ilią von Burg o niewinności bawiących się dzieci. Paul Laessler kontemplował owianą melancholią rozmowę z Tonim, doglądając swojej małej córeczki, która usnęła w wózek, równocześnie zaś miał na oku swoich synów i Dietera Kleu, żeby znów nie było kłótni o piłkę.

Antonia ścierała czekoladowe plamy z błękitnej sukienki swojej siostrzenicy. Trude pomagała siostrze Ruetters uprzątać stół. Baerbel i Uwe von Burg trzymali się pod stołem za ręce i patrzyli sobie w oczy. Młodszy brat Uwego, Winfried i Anette Laessler przycupnęli

w najdalszym kącie i teraz z wielkim zainteresowaniem śledzili akcję pod stołem i mieli z tego niezłą zabawę.

Hilde i Otto Petzhold rozmawiali szeptem o przemocy fizycznej, o powyginanych ząbkach widelca i o szaroburej kotce Hilde, która dwa lata temu przepadła jak kamień w wodę i nigdy więcej nie pokazała się w ich domu.

Nikt nie zwrócił uwagi na Bena, który znikł za drzwiami wahadłowymi, przez które docierało się do piekarni. I do noża do krajania tortów, który wciąż jeszcze leżał na stole. Ben wrócił na salę, zanim ktoś zdążył zauważyć jego nieobecność. Dopiero kiedy Hilde Petzhold wrzasnęła dziko, Jakob poznał, co się stało.

Z wielkim nożem do krajania tortów w wyciągniętej ręce i zemstą w oczach Ben kroczył prosto na Dietera Kleu, który stał obok swojej matki i obiema rękami darł książkę z kotami. Ben podniósł rękę, dźgnął i trafił w dwa palce Dietera. „Paluchy precz” – powiedział dobitnie.

Zanosilo się na masakrę, ale wszystko skończyło się w miarę bezboleśnie. Tylko dwie rany cięte, które pół godziny później zostały zszyte na ostrym dyżurze szpitala miejskiego w Lohbergu. I tylko nikt nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że ani Bruno, który wprowadzie sam nie widział, jak doszło do wypadku i musiał zdać się na relację swojej żony, ani Renate Kleu nie zgłaszali żadnych pretensji.

Kilka dni później matka Dietera, zagadnięta przez Theę Kressmann o pożałowania godny incydent z nożem do krajania tortów, wyjaśniła z zadziwiającym spokojem: „To mu nie zaszkodzi. Wreszcie ktoś mu pokazał, że nie można mieć wszystkiego, co się chce”.

25 sierpnia 1995

Kiedy w ten jedyny w swoim rodzaju piątkowy wieczór Jakob dotarł wreszcie do domu, było wpół do dziewiątej. Wbrew jego oczekiwaniom, Ben siedział z Trude w kuchni. Pochylony nad swoim talerzem kończył kolację. Trude położyła mu rękę na ramieniu i tłumaczyła coś, ale natychmiast zamilkła, kiedy w drzwiach kuchni stanął Jakob. Usłyszał tylko: „... mój ty najlepszy”.

„A to mi dopiero niespodzianka” – powiedział wesoło Jakob.

Trude podniosła na niego oczy i wyjaśniła przepraszająco: „Do tej pory był na dworze, przez cały dzień nic nie jadł. Właśnie przygrzałam mu obiad. Jest jeszcze ciepły. Może też zjesz?”.

Jakob skinął głową i w niepojęty sposób poczuł ulgę. Poklepał swojego syna po plecach – tak po przyjacielsku, od serca, aż Ben zdrzął na całym ciele. „No – powiedział w przesadnie jowialnym tonie Jakob – skoro tak, to na pewno wyszalałeś się za cały rok i dla odmiany dziś wieczorem pójdziesz do łóżka”.

Jakob usiadł. Kiedy nakładała mu na talerz gorące ziemniaki i mięso, zaczął opowiadać o Edith Stern i jej delikatnej misji. Znajdował szczególną przyjemność w tym, aby opowiadać Trude o dawnych zbrodniach tego szanowanego obywatela, w którego ona tak niewzruszenie wierzyła, powtarzając nieustannie, że nie ma we wsi lepszego człowieka niż Heinz Lukka. To była zajmująca opowieść i wypełniła im cały wieczór, Jakob musiał bowiem najpierw wyjaśnić, dlaczego nigdy wcześniej nie zdradził się nawet słowem o tym, co wiedział na temat losów pierwszej Edith Stern. Dziś mógł dać sobie spokój z Dieterem Kleu, Albertem Kressmannem i uprzątniętymi

gazetami. Dzisiaj nie starczyło mu już czasu, ale jutro...

Trude nie wierzyła własnym uszom, była tak zaszokowana i tak poruszona jego opowieścią, że kiedy zjedli, tylko zestawiała brudne talerze, położyła w nie sztućce – łyżkę Bena oraz nóż i widelec Jakoba. Potem zaniósła wszystko do zlewu i powiedziała sama do siebie: „Pozmywam jutro rano”, myśląc zupełnie o czymś innym. Dzisiaj nie miała głowy do roboty. Chciała jak najszybciej wysłuchać zakończenia tej historii. Poszła za Jakobem do największego pokoju i usiadła w fotelu.

Ścisłe mówiąc, przysiadła tylko na jego krawędzi, jakby szykując się do skoku, Jakob zauważył wprawdzie ten manewr, ale nie zastanawiał się nad jego przyczyną, rozsiadł się wygodnie w drugim fotelu i opowiadał dalej o Edith Stern i o tym, w jaki to niezwykle sposób poznał prawdę o lecie czterdziestego czwartego.

Trude chłonęła każde jego słowo, czując jakby ktoś wkłuwał jej w mózg setki igiełek. Wszystko w niej stroszyło się przeciw tym słowom. Dlaczego właśnie Heinz Lukka, właśnie on! Ten sam, do którego tak często biegała po radę i potwierdzenie, że Ben jest dobry i łagodny jak baranek. Ten sam, przed którym tak często otwierała serce. Przed kilku dniami niemal opowiedziała mu o torebce Svenji Krahl, o podejrzanych zadrapaniach na rękach Bena i o jego połamanych paznokciach. Chciała się dowiedzieć, czy w tamtą lipcową noc, kiedy Heinzowi wydawało się, że słyszy krzyki jakiejś dziewczyny, słyszał również warkot silnika przejeżdżającego samochodu. W ostatniej chwili ugryzła się w język, ponieważ...

Przed laty opowiedziała Heinzowi historię z kotem Hilde Petzhold. I jak zareagował? Śmiał się. Cicho, życzliwie, a potem powiedział: „Trude, przecież nigdzie nie stoi napisane, że Ben rozwalił to zwierzę. Jestem przekonany, że nie byłby zdolny do czegoś takiego. Co, według ciebie przemawia za tym, że Ben rzeczywiście to zrobił?”.

„Wszystkie te zadrapania i scyzoryk – odpowiedziała szybko Trude. – To nie był zwykły scyzoryk, musiał kosztować majątek. Rękojeść była wysadzana masą perłową”.

Heinz Lukka już się nie śmiał, tylko uśmiechnął się w zamyśleniu.

„Przyznaję – powiedział – oczywiście, wszystko pozornie wygląda tak, jak gdyby to bydlę broniło się przed nim. Ale nie musisz zamartwiać się z tego powodu. Nawet jeśli Ben rzeczywiście to zrobił i cała sprawa wyszłaby kiedyś na jaw, to w tym przypadku chodzi tylko o tak zwane uszkodzenie rzeczy. A twój syn nie jest pierwszym dzieckiem, które zrobiło coś podobnego. Możesz mi wierzyć. Wystarczy tylko posłuchać, co wyprawia dzisiejsza młodzież. Aż strach pomyśleć, uczniowie podstawówki biegają z nożami po boisku szkolnym. A kot to tylko kot, machnij na to ręką. My w naszych młodych latach też nie zawsze byliśmy aniołami”.

Już w trakcie tej rozmowy Trude uderzyło niemile kilka sformułowań, których użył Heinz Lukka i które dały jej dużo do myślenia. Rozwalić! To z pewnością nie było najbardziej odpowiednie słowo dla wyrażenia okrucieństwa! A bydlę – najlepszym słowem dla stworzenia, które musiało straszliwie cierpieć. Teraz ostatnie zdanie otrzymało posmak gorącego ołowiu. My w naszych młodych latach też nie zawsze byliśmy aniołami! Zaprawdę nie.

Trude nie wiedziała, co ma na to powiedzieć, bąknęła tylko, że czegoś takiego nigdy nie spodziewałaby się po Heinzu. Że nawet jeśli zdarzyło się to pół wieku temu, to było po prostu straszne, przerażające. Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia, ponieważ tyle razy szukała jego rady, tyle razy biegła do niego po pomoc i zawsze tak chętnie z niej korzystała. Teraz nie wiedziała już, jak ma go traktować. Tego mordercę!

Jakob spostrzegł jej zmieszanie i zrozumiał, jak bardzo wzięła sobie do serca tę historię, bardziej niż mógł się spodziewać. Liczył się z jej oburzeniem, z przejrzeniem na oczy i potępieniem, ale nie z białą jak wosk twarzą i bezdźwięcznym bełkotem.

„Morderca to za duże słowo – próbował ją uspokajać. – Przecież sam nie zabił Edith Stern”.

„Jeszcze go tłumaczysz, jak możesz usprawiedliwiać tego zbrodniarza?” – krzyknęła Trude kompletnie wytrącona z równowagi.

„Ależ nie! – Jakob energicznie potrząsnął głową. – Na Boga, tylko nie to. Nie mam zamiaru go usprawiedliwiać. Zawsze ci mówiłem, że Heinz to kanalia, że nie można mu ufać. Czy nie mówiłem ci tego tysiąc razy?”.

„Byłeś na niego wściekły tylko i wyłącznie z powodu Bena” – zauważyła Trude.

Jakob znów potrząsnął głową. „Przesadzasz z tą wściekłością. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego on tak bardzo wstawia się za naszym chłopakiem? Jaki ma w tym cel? Poucza mnie, jak mam wychowywać swojego syna. Ale możesz mi wierzyć albo nie, nie biłem go dla przyjemności, Bóg mi świadkiem. Tylko że niestety to była jedyna metoda, żeby go czegoś oduczyć – albo czegoś nauczyć, sama dobrze o tym wiesz. A tu przychodzi taki jeden i mówi mi, że nie może na to patrzeć. A co zrobił wtedy, pytam się, co zrobił? Wtedy nie tylko przyglądał się wszystkiemu, ale sam wydał rozkaz. A jak myślisz, jakie rozkazy wydawałby dalej, gdyby wojna się nie skończyła? Kazałby go wykończyć, tak jak to zrobił Wilhelm Ahlsen z małą Christa. O tak, mogę sobie wyobrazić, że sam osobiście dopilnowałby tego, twój kochany, dobry Heinz. I powiem ci jeszcze jedno, nigdy nie uwierzę w to, że ktoś taki jak on może się zmienić o sto osiemdziesiąt stopni”.

„Skąd wiesz, że kiedyś nie żałował tego, co zrobił – jęknęła słabym głosem Trude. Czują, że za chwilę zemdleje. – Może właśnie w ten sposób chciał naprawić zło, które wyrządził. Przecież tak też mogło być. Wtedy był jeszcze taki młody. I głupi. A kiedy dorósł i zmądrzał, zrozumiał być może, że to była zbrodnia. Straszna zbrodnia”.

„Może rzeczywiście masz rację – powiedział Jakob i uśmiechnął się niewesoło. – Przed chwilą zarzuciłaś mi, że go tłumaczę. A teraz robisz dokładnie to samo”.

„Nie – powiedziała Trude udręczona. – Wcale tego nie robię. To tylko dlatego, że... Myślę sobie tylko, że jeśli kiedyś żałował tego, co zrobił, jeśli zrozumiał swój błąd i żałował z całego serca, to trzeba mu...”.

Zapłatała się, nie wiedziała, jak ma to wyrazić. Heinz Lukka musiał

kiedyś żałować, po prostu musiał. Heinz musiał kiedyś przejrzeć na oczy i zrozumieć, że to była straszna zbrodnia, kazać zabić Edith Stern dwóm innym. Musiał odczuwać głęboki żal, skruchę i ból. I musiał kiedyś zapragnąć z całego serca, żeby czas mógł się cofnąć, żeby nigdy się to nie stało. A ponieważ było to niemożliwe, dlatego chcąc zmazać swoją winę troszczył się czule o Bena. To było jego „Ojciec nasz”, dwa różańce i trzy razy „Matko Boska łaskiś pełna”. Tak właśnie musiało być.

Choć z drugiej strony... Czy Heinz Lukka nie pragnął zjednać sobie Bena, czy nie kupował jego serca za pomocą przyjaznych gestów i tabliczek czekolady tylko w jednym, bardzo określonym celu... Może tylko z jednego powodu bronił go tak zapamiętale i dokładał wszelkich starań, żeby Ben mógł pozostać w domu. Ponieważ Heinz Lukka, jeśli nie zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni, w dzisiejszych czasach nie mógł znaleźć nikogo, komu mógłby wydawać podobne rozkazy.

Trude zdrętwiała z przerażenia, nagle poczuła się tak, jakby dostała obuchem przez głowę. Ponieważ Heinz Lukka – tak samo jak jego ojciec – niechętnie brudził sobie ręce, ale uwielbiał przyglądać się egzekucjom. I na koniec sama podsunęła mu tę myśl, opowiadając o kocie Hilde.

Powalana krwią torebka! Dwa obcięte palce! A Heinz Lukka powiedział: „Ślicznie to zrobiłeś, Ben. Teraz musisz jeszcze tylko pięknie to zakopać”.

Boże, miej nas w swojej opiece, pomyślała Trude w panice. Tylko nie to! Heinz Lukka musiałby być wcielonym diabłem, żeby wpaść na taki pomysł – wytresować mordercę. Nagle przypomniała sobie o czymś, w ciemnym tunelu błysnęło słabe światełko nadziei, uczepiła się tego jak tonący brzytwy.

„Heinz zrobił też coś dla ciebie – powiedziała do Jakoba. – Załatwił ci pracę w baumarkcie”.

Smutny uśmiech Jakoba zgasł ze wzruszeniem ramion. „Owszem, mimo to mam chyba prawo powiedzieć, co o nim myślę. Nie uważasz?”.

„Oczywiście” – odpowiedziała szybko Trude, nasłuchując jednym uchem w stronę schodów. Ale na korytarzu panowała cisza. Zanim przyszedł Jakob, przeprowadziła z Benem długą rozmowę, przekonując go, żeby dzisiejszej nocy został w domu. Obiecywała wielkiego loda i ciastko, a jakże, pod warunkiem że zostanie w domu. Mówiła, że będzie jej bardzo przykro, że będzie strasznie się bała, jeśli sobie pójdzie. A on na pewno tego nie chce. Przecież jest jej dobrym Benem, jej najlepszym. Zdawało się, że zrozumiał. Właściwie powinna go była jeszcze wykąpać, ale nic się nie stanie, jeśli zrobi to jutro rano.

Dochodziła jedenasta, kiedy Trude poszła na górę, Jakob poczłapał za nią. Zajrzała do pokoju Bena. Leżał na łóżku, trzymał w ramionach swoją lalkę szmaciankę i nawet nie drgnął, kiedy na chwilę zapaliła światło. Trude uznała, że śpi jak suseł i nieco wzruszona zamknęła drzwi. Ale nie poczuła ulgi.

W sypialni Jakob opowiadał dalej. Był piekielnie zmęczony i chciał przełożyć opowieść o Dieterze Kleu na następny dzień, dlatego tylko naszkicował jej krótko, co usłyszał w gospodzie Ruhpolda o synu Bruna i dlaczego Wolfgang Ruhpold poprosił go, żeby podwiózł drugą Edith Stern.

Trude słuchała z uwagą, ale prawie się nie odzywała. Jeśli czasem wpadła mu w słowo, powracała wciąż do Heinza Lukki, przy czym była do tego stopnia skonfundowana, że nie potrafiła nawet jasno precyzować swoich myśli i Jakob nie mógł zrozumieć, co chciała mu powiedzieć. Ale jedno pojął, że ze swoją żądzą zemsty posunął się stanowczo za daleko. A przecież nie o to mu chodziło, nie pragnął jej dobijać. Chciał tylko potrząsnąć nią, obudzić z błogiego snu, nic więcej.

Ben nie spał. Słyszał dobiegające z pokoju naprzeciwko głosy rodziców, czekał i obmyślał w pocie czoła wyjście z dylematu. Zrozumiał prawie wszystko, co powiedziała jego matka. Nie chciał zadawać jej bólu, robić jej przykrości, nie chciał, żeby się bała. W żaden sposób nie mógł jednak pojąć, dlaczego jej dobre

samopoczucie ma zależeć od tego, czy on pozostanie w swoim pokoju. Gdyby została razem z nim, gdyby powiedziała, że boli ją głowa, gdyby poprosiła, żeby pogładził ją po włosach albo lekko, leciutko nacisnął jej kark, wtedy być może coś by mu zaświtało. Ale tak...

Wiedział, że ludzie mówią czasem fałszywe słowa. Że kłamią. Prawie wszyscy, których znał, tak właśnie robili. Owszem, były również nieliczne wyjątki, ale jego matka nigdy do nich nie należała. Przez wszystkie te lata mówiła mu wiele rzeczy, które bardzo szybko okazywały się fałszywe. Na przykład, że tylko ona może zabijać, co najwyżej jeszcze ojciec. Inni też zabijali i nikt nie dawał za to w skórę. Tylko on, jemu nigdy nie darowali.

Zrobił się niespokojny. Głosy dobiegające z pokoju rodziców wślizgały się w jego mózg jak monotonne brzęczenie, które ogromnie go irytowało. Kiedy wreszcie zapanowała cisza, nie mógł już dłużej wytrzymać. Podniósł się z łóżka, podbiegł na palcach do drzwi, lekko je uchylił i zszedł bezszelestnie na dół. Lalkę zostawił na łóżku. Zanim wymknął się z domu, poszedł jeszcze do kuchni.

Minęła północ, za kuchennym oknem panowała absolutna ciemność, niebo było zachmurzone, ani jednej gwiazdy. Wiedział dokładnie, gdzie leży jego nóż. Ale nie był pewien, czy uda mu się znaleźć go w ciemnościach. Dlatego wziął nóż leżący w zlewie, przejechał kciukiem po ostrzu. Tępe, skonstatował z niezadowoleniem. Mimo to schował nóż do kieszeni spodni. Potem zszedł do piwnicy, założył swoje wielkie gumowce, umocował łopatkę na pasku, zacisnął karabińczyk i ruszył w drogę.

Zaledwie znalazł się poza domem, wpadł w swój zwyczajny kłus, biegł do rozjazdu, a potem odbił w lewo. Przy jabłonkowej łące się zatrzymał. Niewysokie drzewka z płaskimi, krzaczastymi koronami, wysoka trawa i głębokie sztolnie dawnej kopalni piasku tonęły w głębokich ciemnościach. Ale on znał swój rewir jak własną kieszeń, mapę miał w głowie, w sercu, nie musiał zdawać się na księżyc i gwiazdy.

Wokół całej łąki wbite w ziemię w regularnych odstępach stały

wysokie na dwa metry drewniane paliki, do których umocowano wielkimi gwoździami drut kolczasty, warstwa na warstwie, razem dziesięć warstw. Tuż nad ziemią jakieś dwadzieścia centymetrów wolnej przestrzeni, stanowczo zbyt mało, żeby móc przeczłogać się w nienaruszonym stanie.

Zaraz po przeprowadzce rodziny Schloesser zarząd miasta kazał ogrodzić łąkę i ogród warzywny Trude. O resztę zatroszczyła się natura. Niegdyś akuratne grządki, które Trude pielęgnowała z takim oddaniem, teraz nie sposób było już odróżnić od przyległych gruntów. Drut okazał się śmiertelnym wrogiem, atakował noc w noc. Zakrwawione ręce, podarte spodnie i koszule, zatroskana twarz matki i jej pytania następnego ranka, na które nie mógł odpowiedzieć.

Dlaczego zawsze ciągnęło go na tę łąkę? Inni chodzili na cmentarz, gdy chcieli wspominać swoich bliskich, albo oglądali stare fotografie. On tego nie potrzebował. Kładł się na trawie. Obrazy miał w głowie – wszystkie co do jednego. I te obrazy – znacznie bardziej żywe, bardziej plastyczne niż fotografia – żyły w jego głowie własnym życiem. Trawa miała jeszcze nawet jej smak, jej zapach.

Mała karawana wciąż ciągnęła w dół Bachstrasse, Althea Belashi wciąż szybowwała wysoko pod kopułą na trapezie i wciąż jeszcze pokazywała sztuczki na grzbiecie kucyka. A on siedział przed nią czuł na swoich plecach jej gibkie ciało.

Zapach koni mieszał się z jej zapachem, z jej ciepłem i miękkością skóry.

I po wszystkich tych pięknych obrazach w jego głowie następowała noc ze swoim wielkim misterium, kiedy znikła w czeluści „odwróconego lejka” i tak długo stamtąd nie wychodziła. Ale powróciła. Zeszłego roku w listopadzie znów ją zobaczył – na weselu Andreasa Laesslera. A w sierpniową noc jeszcze raz ją spotkał. A teraz była tam, gdzie jego ojciec chciał widzieć pochowane jego lalki.

Ale on wolał ją widzieć na trapezie, wolał czuć jej ciało za swoimi plecami. Czasami udawało mu się przeczłogać pod drutem kolczastym, nie kalecząc się i nie drąc koszuli. Musiał tylko trafić na właściwe

miejsce. Tu i ówdzie grunt nieco opadał, a drut nie był zbyt mocno naprężony. Jeśli położył się płasko na ziemi i ostrożnie czołgał do przodu, miał szczęście.

Ben pochylił się i zaczął przekradać się bokiem wzdłuż ogrodzenia, dotknął miejsca, w którym grunt wydawał mu się nieco niższy, a drut niezbyt naprężony. Natychmiast dwa kolce wwierciły się w jego lewą dłoń. Syknął z bólu, wciągnął głęboko powietrze, przejechał ręką po ustach i oblizał małą ranę. Przez kilka sekund stał nieruchomo i patrzył na drut rozczarowany i zły. Potem ruszył przed siebie, chcąc ponowić próbę w innym miejscu.

Ale kiedy się wyprostował, zapomniał o bolącej ręce i o grobie na łące. Zobaczył smugę światła na kukurydzy za domem swojego przyjaciela i popędził z powrotem na polną drogę. Biegł czterysta metrów do kukurydzy, potem odbił od drogi, pokłusował na przełaj przez pole, aż dotarł na tyły domu i zobaczył jaśniejące w ciemnościach okno. Już chciał podnieść rękę i pomachać, żeby jego przyjaciel go zauważył i wyniósł mu czekoladę. Ale wtedy zobaczył ją i w okamgnieniu zapomniał o czekoladzie.

Jej krótko obcięte włosy zmyliły go tylko na kilka sekund. Wąskie ramiona i krągłe piersi pod kraciastą bluzką szybko wyprowadziły go z błędu. Była dziewczyną, bez dwóch zdań.

„Ślicznie” – wyszeptał i poczuł rosnące podniecenie.

Siedziała w fotelu, przed nią stał niski stolik, który zakrywał dolną część jej ciała. Obok fotela stał plecak, na nim leżała kolorowa wiatrówka. Jego przyjaciel Lukka też był w pokoju, stał przy regale, napełnił kieliszek, a potem podszedł do niej i podał jej mieniące się ciemną purpurą szkło. Kiedy podniosła głowę, uśmiechnęła się melancholijnie, spoglądając w stronę okna, zupełnie tak, jak gdyby ten uśmiech był przeznaczony tylko dla niego.

„Ślicznie” – wyszeptał jeszcze raz. Pochylił się jeszcze bardziej, tak że teraz tylko jego oczy błyszcząły ponad kolbami kukurydzy. Tak było dobrze, ponieważ jego przyjaciel Lukka podszedł do okna i mówił coś, omiatając wzrokiem zalaną światłem lampy kukurydzę, w której

przycupnął Ben. Lepiej żeby go teraz nie widział.

Wyglądało na to, że dziewczyna zbiera się do wyjścia. Odstawiła kieliszek, chwyciła za kurtkę, przesunęła ją pod pasek plecaka i ziewnęła dyskretnie. Żółte, czerwone i zielone plamki na dżinsowej kurtce niezwykle podobały się Benowi, tak samo jak ona sama. Ta nieznajoma miała w sobie jakiś nieodparty urok. Ze swoimi krótko obciętymi ciemnymi włosami nie była typem dziewczyny lub kobiety, który ucieleśniała dla niego Marlene Jensen. Przypominała mu bardziej jego małą siostrę. Pochwyciła plecak i jeszcze raz ziewnęła.

Pomacał kieszeń, nóż leżał na swoim miejscu. „Paluchy precz” – wyszeptał. Czuł wzbierające podniecenie. Zanurkował w kukurydzy, skradając się ostrożnie w stronę domu, pod rozświetlone okno.

Wina Baerbel

W kolorową niedzielę osiemdziesiątego drugiego zaczęło się spełniać najpiękniejsze marzenie Baerbel. Dzięki prostej sztuczce udało się jej to, o czym mogły jedynie śnić dotychczasowe sympatie Uwego von Burga, które dla tego casanowy były niczym więcej jak jętkami jednodniówkami. Po niedzielnym spacerze, kilku skradzionych pocałunkach, ukradkowym trzymaniu się za ręce pod stołem w cafe Ruettgers i przeciągłych spojrzeniach, żegnając się z Uwe von Burgiem wyjaśniła mu, że będzie lepiej, jeśli rozstaną się w przyjaźni, ponieważ ona nie widzi szansy na trwały związek.

Aż do tej pory Uwe von Burg nigdy nie zastanawiał się nad trwałym związkiem, ale też nigdy dotąd nie słyszał czegoś podobnego od żadnej dziewczyny. Upierał się, żeby w następną niedzielę pojechali razem do lodziarni w Lohbergu. Później będą mogli pójść jeszcze raz na długi spacer, a wtedy okaże się, co ma szansę, a co nie, przekonywał, zaglądając jej w oczy.

Baerbel wtajemniczyła Anitę w swoje sercowe sprawy i trzymała się ściśle wytycznych starszej siostry, która stała się odtąd jej powiernicą i nauczycielką ars amandi. „Zostaw go w niepewności, jak kocha, to poczeka” – poradziła jej Anita. Rzeczywiście, podziałało. Aż do czerwca Baerbel bujała w obłokach. Uwe nie odpuścił żadnego wieczoru i wciąż miał nadzieję, że jest już bliski celu.

Anita kazała informować się na bieżąco i za każdym razem oczekiwała szczegółowych relacji młodszej siostry. Dawła Baerbel rady i wskazówki na następny wieczór i wkrótce odkryła ze zdumieniem, że ten prostaczek, jak nazywała w duchu Uwego, potrafi

naprawdę pięknie, a przy tym niezwykle przekonująco mówić o miłości.

Po pierwszych kilku tygodniach, w których nie działo się nic więcej ponad subtelne tokowanie, Uwe von Burg był przekonany, że nie może już żyć bez Baerbel Schloesser. Tak się fatalnie złożyło, że wyznał jej to na kocyku rozłożonym w trawie na jabłonkowej łące. Zapadał zmrok, zbliżał się kolejny wieczór, kolejne wyzwanie dla Uwego – i próba charakteru dla Baerbel, która łagodnie acz stanowczo odmawiała zgody na wieńczący ich romantyczną miłość akt cielesny.

Po płomiennej deklaracji Uwego nastąpił napięty uścisk, któremu towarzyszyły charakterystyczne w takich okolicznościach odgłosy dyszenia, sapania i jęczenia. A kilka metrów dalej leżał Ben schowany w wysokiej trawie obok „odwróconego lejka” i śnił z otwartymi oczami o popołudniu w cyrku i strasznej nocy, która po nim nastąpiła.

Uwe całował Baerbel, w pewnym momencie podciągnął ręką jej spódnicę i włożył palce pod gumkę jej majteczek. Baerbel – idąc za wytycznymi swojej starszej siostry – nie zamierzała mu ulegać, jeszcze nie, i z dużym talentem odegrała rolę napastowanej cnotki. Złapała go za przegub dłoni i odsunęła się nieco na bok, wymachując przy tym kokieteryjnie nogami, a w końcu powiedziała stanowczo „Nie!”.

Ben nie był pierwszym dzieckiem, które dźwięki towarzyszące erotycznym potyczkom utożsamiało z atakiem. Kiedy po raz pierwszy obserwował podobną scenę, wówczas rzeczywiście miał miejsce atak i zacięta walka, której przyglądał się raczej zdziwiony aniżeli przestraszony, nie odczuwając żadnej potrzeby ruszenia na pomoc ofierze napaści.

Prawdę mówiąc, nie bardzo był pewien, komu ma pomagać – Althei Belashi, która broniła zaciekle swojego życia pięściami, nogami i zębami, czy napastnikowi, który głośno krzyknął i zwinął się w pół, kiedy jej kopniak trafił go w czułe miejsce.

Wtedy jeszcze nie był zdolny rozróżniać między prawem a nieprawością. Między dobrem i złem. Nie znał nawet różnicy pomiędzy życiem a śmiercią. Dla niego istniał tylko ruch i bezruch.

Były rzeczy, które nigdy się nie poruszały i zawsze trwały w bezruchu, i inne, które ruszały się, a potem nagle przestawały. Jak kury, które łapał dla swojej matki, jak wszystkie te kurczaki, gąsienice i chrabąszcze, które nigdy więcej nie poruszyły się już, kiedy wziął je do ręki. Wcześniej nie wiedział o tym, że również człowiek może przestać się poruszać, a w chwilę później zniknąć pod ziemią, to było dla niego całkowicie nowe i trwałe doświadczenie. I od tego czasu nie było już cyrku.

Nawet jeśli nie potrafił myśleć logicznie jak inni ludzie, to jednak udało mu się stworzyć na wskroś logiczny związek między wydarzeniami tamtej nocy a tym, co później miało nastąpić – ale nie nastąpiło. Jego matka miała na to swoje określenie: „nie ma” – mówiła w takich przypadkach. A „paluchy precz” były dla niego synonimem wszystkiego co złe i zabronione. A teraz Baerbel leżała na łące, wymachiwała rękami i nogami, trzepotała się jak ryba w sieci i mówiła te same słowa, które krzyczała Althea Belashi ogarnięta śmiertelnym strachem.

Członków swojej rodziny posortował na ślicznie i boli. Jego ojciec to był tylko ból. Anita też biła często, kiedy podszedł do niej za blisko – i kiedy nikt nie patrzył. Dla swojej starszej siostry nie kiwnąłby nawet palcem. Dla swojej matki dałby się zbić przez ojca jeszcze tysiąc razy, nawet jeśli czasem robiła mu przykrość. A Baerbel to był cukierek, czasem dwa, a czasem głaskanie po włosach. Dla niej podniósł z ziemi kamień.

Uwe von Burg poczuł nagle przeszywający ból w plecach. Nie zdążył jeszcze ochłonać, kiedy otrzymał niezwykle bolesny cios w potylicę. Kiedy się podniósł, tuż za nim zaskrzeczał przeraźliwy głos: „Paluchy precz!”.

Uwe obmacał ostrożnie bolące miejsce na głowie, pod palcami poczuł lepka wilgoć i stwierdził po części wzburzony, a po części zdziwiony: „Ten debil zrobił mi dziurę w głowie”. Uwe uznał, że sprawy zaszły stanowczo za daleko i w żadnym razie nie zamierzał tego tolerować. Przy całej swej płomiennej miłości, nie był gotów dać

sobie rozbić czaszki dla dziewczyny, która najwyraźniej nie dorosła jeszcze do pewnych spraw.

Pożegnał się z Baerbel, zanim pojęła, co się stało. Patrzyła na niego zamglonym wzrokiem, potem poderwała się z kocyka, chcąc go zatrzymać. Ale Uwe tylko machnął ręką ze zniecierpliwieniem, jakby odganiał się od natrętnej muchy i nie oglądając się za siebie, pomaszerował żwawo do polnej drogi, wsiadł na swoją motorynkę i odjechał w wielkim pośpiechu.

A Ben stał tam, uśmiechał się niepewnie i przekrzywiając głową dopytywał się: „Ślicznie?”.

Ta chwila, kiedy motorynka Uwego znikła za zakrętem, była momentem zwrotnym w tej historii. Jestem o tym przekonana. Gdyby Baerbel pogłaskała go wtedy po policzku, powiedziała: „Już dobrze, nic się nie stało”, trzynastcie lat później nie byłoby tego straszego lata. Ale nie chcę uprzedzać wypadków, a poza tym daleka jestem od tego, aby śmiertelnie zakochaną piętnastoletnią dziewczynę czynić odpowiedzialną za całe zło, za wszystkie te okropne rzeczy, które wydarzyły się wiele lat później. Wziąwszy pod uwagę fakt, że za sprawą Trude znikły w płomieniach ważne dowody, a policja w Lohbergu nie uznała za konieczne powiadomić prokuraturę o zniknięciu Marlene Jensen i nawet nie zadała sobie trudu, aby ustalić, czy Sonja Krahl rzeczywiście pojawiła się w kolońskim środowisku narkomanów – w obliczu wszystkich tych faktów byłoby grubą niesprawiedliwością zwać całą winę na Baerbel. Ale z jednego nie mogę jej rozgrzeszyć. Ponieważ to właśnie jej reakcja ostatecznie wyznaczyła kierunek przyszłym wydarzeniom.

Kiedy Baerbel zrozumiała, komu zawdzięcza pospieszną ucieczkę Uwego von Burga, rzuciła się z pięściami na brata. Jej wściekłość była tak samo wielka jak ból po utraconej miłości. Już pierwsze ciosy, które spadły na jego głowę, mogłyby być zadane ręką Jakoba. Pierwsze razy Ben z przyzwyczajenia znosił cierpliwie, bez skargi. Po czwartym lub piątym uderzeniu próbował zrobić manewr wymijający. W obronnym geście podniósł rękę nad głowę. Kamień trzymał jeszcze

w pięści. Podniesiona ręka miała jednoznaczną wymowę: Uważaj, w każdej chwili mogę uderzyć!

Baerbel również rozglądała się za jakąś bronią, dostrzegła leżący w trawie gruby kij, pochwyciła go, doskoczyła do Bena i zaczęła wściekle go okładać. Kiedy wreszcie ochłonęła i przestała się nad nim pastwić, opuszczając kij ku ziemi w geście rezygnacji, już nie stał prosto. Leżał na brzuchu obok kocyka i nie poruszał się, kiedy Baerbel odbiegła, głośno łkając.

Minęła godzina, Ben leżał na wpół przytomny, ogłuszony bólem, obok wełnianego kocyka w pobliżu „odwróconego lejka”. To, że nie udławił się własną krwią, zawdzięczał tylko pozycji, w której leżał. Nos i język mocno krwawiły, powieki były tak opuchnięte, że prawie zupełnie zakrywały gałkę oczną. Skóra na brodzie, czole i skroniach była w wielu miejscach pozdierana, z rozległych wybroczyn sączyła się krew. Na prawym policzku zarysowała się głęboka szrama, pamiątka po szklanym oczku pierścionka, który Baerbel wyciągnęła z automatu do gumy do żucia i włożyła go sobie na palec jako widomy znak łączności z miłością jej życia.

Baerbel uciekła do stodoły, rzuciła się na resztki słomy i umierała z rozpacz, głośno lamentując, to znów szeptała imię ukochanego i przeklinała idiotę, który jej to zrobił, życzyła mu dżumy albo innej strasznej śmierci z całą żarliwością swoich piętnastu lat.

Minęła dziesiąta, za kuchennym oknem zrobiło się ciemno i Trude, nie mogąc dłużej usiedzieć w kuchni, wyruszyła na poszukiwanie Bena. Najpierw skierowała się do stodoły, ale ku swemu zdumieniu zamiast niego znalazła tam tonącą we łzach młodszą córkę. Podniosła ją ze słomy i próbowała się dowiedzieć, co się stało. Z wyjąkanych przez łzy słów: „Uwe – po prostu odjechał” wysnuła wniosek, że najstarszy syn Illi i Toniego von Burg obszedł się z Baerbel tak samo jak z jej niezliczonymi poprzedniczkami.

Trude zadumała się nad lekkomyślnością młodych dziewcząt, ale już po chwili – ze starego nawyku i przekonania, że sensowne zajęcie stłumi każdy ból – poleciała Baerbel, żeby pomogła jej szukać Bena.

Baerbel podniosła się z ociąganiem i głośno pociągając nosem poszła za matką, ale nie uznała za konieczne poinformować ją, co zrobiła Benowi. Razem obeszyły ogród, nawoływały go, wszystko na próżno. Ben nie odpowiadał.

Trude skontrolowała domek na drzewie, wabiła go słodkim głosem i obietnicą lodów i w ten sposób tylko zwróciła na siebie uwagę Gerty Franken, która swoim zwyczajem sięgnęła po lornetkę. Ze swojego punktu obserwacyjnego przy oknie Gerta śledziła już rozgrywający się na łące dramat z udziałem trzech aktorów i teraz oto była świadkiem dalszej potworności, o której dwa dni później opowiedziała Illi von Burg.

Ben leżał na brzuchu w wysokiej trawie porastającej jabłonkową łąkę, dlatego Trude nie mogła go zobaczyć. Ale nie bała się, wychodząc z założenia, że znał niebezpieczeństwa leja i nie odważył się podejść zbyt blisko. Trude przypuszczała, że jest na gminnej łące i z nadzieją w sercu skierowała się na polną drogę. Natomiast Baerbel podążyła w stronę jabłonkowej łąki. Pamiętała, gdzie go zostawiła. I rzeczywiście, wciąż tam leżał.

Kiedy podeszła bliżej, lekko się poruszył i zaczął czołgać się na brzuchu jak najdalej od niej, zapewne ze strachu przed dalszymi razami. Włókł za sobą wełniany kocyk, którego róg trzymał kurczowo w zaciśniętej dłoni. Powoli zbliżał się do „odwróconego lejka”. A Baerbel nie robiła nic, żeby go powstrzymać. Nie zawołała matki. Stała i tylko patrzyła w milczeniu, jak zbliża się do czeluści. Trude była już na polnej drodze, nic nie widziała i niczego nie słyszała.

Z początku ponad krawędzią leja sterczały tylko głowa i ramiona Bena. Potem kawałek klatki piersiowej. Pod ciężarem ustąpiła luźna ziemia. Baerbel stała nieporuszona, przyglądając się obojętnie żałosnemu końcowi swojego brata. Zsunął się w czeluść odkrytej sztolni razem z kępkami traw i grudkami ziemi, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Kocyk pożeglował za nim.

Kiedyś to „wiadro” miało głębokość dwunastu metrów, jednak z każdym rokiem stawało się coraz płytsze. Powód był prosty:

W starej sztolni znikał niepotrzebny kram z całej okolicy – gruz zburzonych domów mieszkalnych, dachówki i cegły starych stodół, emerytowane meble. Dostatecznie często na polnej drodze nieopodal jabłonkowej łąki zatrzymywał się nocą jakiś samochód. Dostatecznie często mieszkańcy wsi rozstawali się tutaj z rzeczami, które nie były im już potrzebne. Gdzieś pomiędzy wszystkimi tymi rupieciami leżały niezliczone porwane lalki i doczesne szczątki Althei Belashi. Na samej górze piętrzyły się gałęzie drzew, gigantyczne kępy suchych pokrzyw i zdrewniałych ostów.

Szczęście w nieszczęściu nie upłynęły jeszcze dwa tygodnie, kiedy Jakob zrobił porządek na łące i wrzucił do „wiadra” kilka fur rozmaitego zielska, ponieważ zamierzał wkrótce skosić trawę. Dzięki temu upadek Bena został zamortyzowany już po trzech metrach, a do obrażeń zadanych mu przez Baerbel doszło tylko kilka lekkich zadrapań i uderzeń. Wełniany kocyk położył się nad nim i schował go przed nocnym niebem.

Po kwadransie bezowocnych poszukiwań Trude ruszyła w stronę domu. Na jej twarzy malowała się troska. Baerbel sunęła za nią jak cień. Minęła jedenasta w nocy i Trude gnana jakimś złym przecuciem wyruszyła znów na poszukiwania. Tym razem towarzyszył jej Jakob. Trude wbiegła do kurnika z wielką latarką w ręce, poświeciła w każdym kącie stodoły, biegała wzdłuż szerokiej bramy wyjazdowej między ogrodem a łąką, wołała i nęciła, przymilała się i żebrała.

Jakob zajrzał jeszcze raz do domku na drzewie, przez kilka minut rozglądał się uważnie na wszystkie strony świata, omiatał wzrokiem tonącą w ciemnościach polną drogę, w końcu zszedł na dół po drabince, rozłożył z rezygnacją ręce i namówił Trude, żeby wrócili do domu. Gdyby teraz zaczęli przeszukiwać wieś, wówczas Erich Jensen, ten gończy pies z pewnością zwietrzyłby coś, a wtedy koniec z wolnością Bena, przekonywał. Jakob twierdził nie bez racji, że nie pozostaje im nic innego, jak zostawić na noc otwarte drzwi do kuchni i modlić się do Boga, żeby ich syn wrócił. Do tej pory zawsze znajdował sam drogę do domu.

Jakob miał słuszość, ale tym razem jego słowa nie pomogły Trude. Przepęłniał ją dziwny niepokój, coś przeczuwała, jak gdyby istniała jakaś tajemna łączność między nią a Benem. Wprawdzie, idąc za radą Jakoba, położyła się do łóżka, ale nie mogła się uspokoić, serce biło jak szalone, wyobraźnia podsuwała jej straszne obrazy. Do samego rana nie zmrużyła oka. Za ledwie zaczęło świtać, już była na nogach.

I znowu do kurnika, w każdy kąt stodoły, do ogrodu, do domku na drzewie. A tego, co umknęło jej nocą, w bladym świetle dnia nie można było już przeoczyć. Z domku na gruszy Trude zobaczyła świeży fałd ziemi przy leju. Zeszła po sznurowanej drabince i pobiegła co sił w nogach na jabłonkową łąkę, położyła się na brzuchu i podczołgała tak blisko „odwróconego lejka”, że mogła spoglądać ponad krawędzią w czeluść.

Z początku nie zobaczyła nic godnego uwagi, słońce dopiero wschodziło i na dole było czarno jak w piekle. Ale potem wydało się jej, że słyszy jakiś słaby dźwięk, w dole jakby coś zachrobotać, zaszeleściło. W pierwszym momencie zrobiło się jej tak, jak gdyby wielka żelazna pięść ścisnęła jej serce. Jakob często powtarzał: „Jeśli coś tam wpadnie, znika ze świata. Tam nie można zejść, żeby zabrać to z powrotem. Za duże ryzyko. Chyba, że ktoś szuka śmierci...”.

Trude zawołała go, a on odpowiedział. To był tylko słaby jęk. „O mój Boże” – wyszeptała Trude. Potem zawołała głośniej: „Nie bój się. Jestem tutaj. Zaraz cię wyciągnę. Tylko leż spokojnie, żebyś nie obsunął się jeszcze głębiej. Słyszysz? Nie ruszaj się, bo jeszcze coś spadnie ci na głowę!”.

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć jej wołanie, z wyjątkiem Gerty Franken, która swoim zwyczajem nie podjęła żadnych kroków, a też i niewiele mogła zrobić bez telefonu. I ze swoimi stu latami na karku. Trude, chcąc nie chcąc, musiała wracać do domu, żeby sprowadzić Jakoba. Przeklinała zły los, żałując, że to nie ona leży tam, w dole. Z ciężkim sercem próbowała wyjaśnić Benowi, dlaczego musi teraz odejść, domyślając się, że i tak jej nie

rozumie i że umiera ze strachu w tym okropnym dole.

Aż do późnego przedpołudnia trwała spektakularna akcja ratunkowa, która przez wiele tygodni była tematem numer jeden dla mieszkańców wsi. Akcję zainaugurował Jakob wspierany przez Paula Laesslera i Bruna Kleu, którzy stawili się zgodnie na jego wezwanie. Również Otto Petzhold dołączył do grona ochotników, widząc jednak nieporadne zabiegi gromadki amatorów, jako pierwszy rzucił pomysł, żeby zaalarmować straż pożarną. Nikt go jednak nie słuchał.

Ale kiedy coraz więcej ziemi osypywało się w głąb sztolni, Paul Laessler i cała reszta doszli do wniosku, że sami niewiele wskórają ze swoim prowizorycznym sprzętem ratowniczym – linami, drągami i żerdziami i przekonali Jakoba, że ryzyko jest zbyt duże. Słyszając to, Bruno wystąpił z propozycją, że teraz on zajmie miejsce Jakoba. Bruno uważał, że jeśli opasze się mocną liną, w razie potrzeby będą mogli wyciągnąć go na wierzch, zresztą ziemia jest tutaj sypka, luźna i nie udusi się tak szybko, nawet gdyby został przysypany, twierdził, uśmiechając się zuchwale.

Dla pozostałych mężczyzn propozycja Bruna była tylko głupią brawurą i absolutnie nie na miejscu zabawą w faceta z charakterem. Trude miała na ten temat zupełnie inne zdanie. I do podejrzenia, które nosiła w sobie od prawie dwóch lat, doszło teraz jeszcze jedno. Trude uznała, że teraz oto Bruno Kleu ma wreszcie okazję, aby pozbyć się w elegancki sposób niewygodnego świadka. Jeśli jego operacja zakończy się fiaskiem, będzie mógł twierdzić, że ratował Bena, narażając własne życie. Niestety, chłopiec wysunął mu się z rąk, a on – mimo najszczęśliwszych chęci – nie zdążył go złapać lub coś w tym rodzaju. Sprytnie to sobie obmyślił, przemknęło jej przez głowę.

Trude odwróciła się na pięcie i poszła bez słowa w stronę stodoły, a potem do domu, chwyciła za telefon i zadzwoniła do straży pożarnej. Dwadzieścia minut później chłopcy z ochotniczej straży pożarnej w Lohbergu zajechali na łąkę. Najpierw zabezpieczyli zejście za pomocą długich drabin i desek, a później jeden z ochotników obwiązał sobie wokół brzucha mocną linę i został opuszczony na

windzie trzy metry w dół.

Minęła prawie godzina, zanim Ben znalazł się na ostrym dyżurze szpitala w Lohbergu. Trude stała obok i ścisnęła go za rękę, gdy tymczasem lekarz obmacywał żebra i głowę, a w końcu zarządził różne badania rentgenowskie.

Nic nie było złamane lub zbite, za to niemal wszystko po kolei potłuczone, pokłute, podrapane i posiniaczone. Ale w szpitalu nikt nie wziął pod uwagę, że większość obrażeń mogła mieć inną przyczynę aniżeli upadek w przepaść. Ben otrzymał mocny okład wokół klatki piersiowej, opatrunki z maścią wokół głowy, rąk i nóg, woreczek z lodem na oczy, szeroki plaster na nos i policzki. Kiedy lekarz wreszcie sobie poszedł, Ben leżał jak mumia na białym prześcieradle.

Trude przysiadła na jego łóżku, gładziła ostrożnie nieliczne obnażone miejsca na jego ciele, a potem próbowała się dowiedzieć, jak to się stało, że wpadł do „wiadra”. W końcu spytała z wahaniem w głosie, czy jeden z jego „ratowników” nie pomógł mu przypadkiem dostać się tam. Na początku słyszała tylko dziwnie obojętne „paluchy precz” i w pierwszym momencie wyciągnęła wniosek, że nie było nikogo takiego.

„Tak, tak – powiedziała i pokiwała głową ze łzami w oczach. – Tyle razy ci mówiłam, że nie wolno podchodzić zbyt blisko «odwróconego lejka». Teraz sam widzisz, co się może zdarzyć, kiedy mnie nie słuchasz. Wszystko mogło się skończyć o wiele gorzej. A w ogóle, co tam robiłeś, czego szukałeś koło «wiadra?»”.

„Ścierwo” – wymamrotał.

Trude wstrząsnęła się z przerażeniem, nakryła dłonią usta, nachyliła się do niego, żeby nikt nie słyszał i zapytała: „Czy Bruno cię tam wrzucił? Czy on ci to zrobił, no mówże wreszcie”.

Nie odpowiedział. Wycieńczony bólem, strachem i nieznośnym chaosem panującym w jego głowie zamknął oczy.

26 sierpnia 1995

Trude wstała z łóżka już o piątej rano. Prawie nie spała – po tym wszystkim, co usłyszała wczoraj o Heinzu Lucce nie mogła cieszyć się spokojnym snem. Za to Jakob spał jak zabity, cztery piwa wypite poprzedniego wieczoru zrobiły swoje. Nie słyszał, kiedy wstała i przemknęła przez korytarz do pokoju Bena. Uchyliła drzwi. Krótkie spojrzenie do środka: Łóżko było puste.

Trude zamknęła drzwi, poszła do łazienki, a potem schodami na dół. Usiadła przy kuchennym stole, ciężko, bezwładnie, wypełniona od stóp do głów szarą breją paniki. Czy Heinz Lukka rzeczywiście mógł to zrobić? Czy mógł wytresować mordercę za pomocą czekolady i udawanej przyjaźni? Czy tylko dlatego niczego nie znaleziono, ponieważ zadbał o to pewien na wskroś rozumny człowiek? Czy Heinz mógł usunąć ciało, wywożąc je w bagażniku swojego samochodu? Czyżby nie zorientował się, że Ben zachował dla siebie kilka drobnostek?

Minęła szósta, a Trude wciąż trwała w ponurych rozmyślaniach, czując ciężące na swoich barkach jak wór ołowiu puste łóżko. Ostatnim wysiłkiem woli przemogła się, wstała od stołu, zrobiła śniadanie i obudziła Jakoba. „Bądź cicho – powiedziała. – Ben jeszcze śpi”.

Kiedy Jakob dopił kawę i o siódmej wyszedł z domu, poszła do kurnika w nadziei, że znajdzie tam Bena. Kurnik był dla niego zawsze niezawodnym azylem. I miejscem, w którym zaczęło się dla niego misterium życia, w którym odkrył czułość miękkiego jak puch ciała i na koniec dostawał lanie.

Nadzieje Trude rozwiały się, kiedy weszła do środka. Znalazła tam tylko kilka jajek. Na grzędach nieopodal drzwi leżało pięć sztuk, były jeszcze ciepłe. Trude podkasała fartuch, włożyła tam jaja, zebrała w garść materiały i szła dalej schylona ku ziemi. W kurniku panował mrok, ale jej oczy wkrótce przywykły do ciemności. W gnieździe obok lewej ściany kurnika znalazła lalkę szmaciankę. A na lalce było coś, czego wcześniej nie widziała. Trude podeszła bliżej.

Jedną ręką przytrzymała fartuch, wolną sięgnęła po zabawkę Bena i przez chwilę przyglądała się ze zmarszczonym czołem kolorowej szmatce zarzuconej niedbale na sukienkę lalki. Szmatka była jaskrawo żółta, kolor, który w żurnalach mody określano jako neonową żółcień. Różowe kropki rozsiane na delikatnej bawełnie dopełniały całości.

Trude bardzo szybko zorientowała się, że trzyma w ręku fragment damskich majteczek. W jednej chwili zapomniała o jajkach, puściła fartuch, zerwała majtki z lalki, posadziła ją z powrotem do gniazda, wyprostowała się, poszła z powrotem do drzwi i przyglądała się swojemu znalezisku w jasnym świetle poranka.

Majtki były czyste, pomijając kilka grudek kurzego łajna, które przyczepiły się do bawełny. Kiedy przysunęła je do nosa, poczuła delikatny zapach perfum. Nie było śladów krwi ani niczego innego, co mogłoby wzbudzić jej niepokój. Szaleńcze bicie serca z wolna uspokajało się, klucie w mostku znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Trude głośno odetchnęła.

Pobiegła do domu, dalej do kuchni, rzuciła nakrapianą szmatkę w stronę paleniska, spojrzała na niepozmywane naczynia z poprzedniego wieczoru, przeliczała je szybko – dwa talerze, łyżka i widelec. Dlaczego nie ma noża?! Była absolutnie pewna, że wczoraj go nie zmywała i z całą pewnością nie schowała do kredensu. Znowu niedbałość nie do wybaczenia, ale po tym co opowiadał wczoraj Jakob o Heinzu...

Przez kilka minut stała jak skamieniała, oblewana na przemian gorącymi jak ukrop zarzutami kierowanymi pod swoim adresem

i lodowatym strachem. Spojrzenie Trude wędrowało powoli od widelca do żółtej szmatki na podłodze. Takich majtek nigdy nie było w ich domu, tego była pewna.

Chwilę później pod kuchnią palił się ogień, trawiąc rzucone na podpałkę stare gazety. Wśród nich była również ta, którą Jakob zaniósł do piwnicy i o której chciał z nią porozmawiać. Kiedy Trude pochyliła się nad otwartym paleniskiem, żeby rzucić w nie nieszczęsne majtki, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak nieskazitelna twarz Marlene Jensen o rysach paradnej lalki zabarwiła się na czarno, aby zaraz potem zgasnąć. To było prawie jak symbol.

Trude stała przy kuchni i pocierała w palcach materiał, nie mogąc się zdecydować, co ma robić, potem w przyptywie desperacji – lub raczej z przyzwyczajenia – cisnęła w ogień neonowo-żółte majtki. Spłonęły w ułamku sekundy.

Taki niezwykle kolor, i te śmieszne jaskrawe kropki, kto może nosić coś takiego? Trude nasunęła fajerki na płytę kuchni i usiadła przy stole. „Miała najwyżej dwadzieścia dwa, trzy lata – powiedział Jakob. – I za nic w świecie nie chciała, żeby ją podwieźć pod sam dom Lukki”. Ach te dzisiejsze młode kobiety, są takie lekkomyślne, zdaje się im, że są silne i bardzo odważne i nie zważają na to, co dzieje się wokół nich. A dzieje się różnie...

Ale czy Heinz Lukka mógł rzeczywiście być tak głupi, żeby szczuć swego wytresowanego przyjaciela na młodą kobietę, o której w gospodarstwie Ruhpolda wiedziano, że wybiera się do niego. Przecież w takim przypadku to właśnie Heinz, a nie kto inny byłby głównym podejrzanym. Pod warunkiem, że ktoś będzie poszukiwać tej kobiety. Wolfgang Ruhpold powiedział Jakobowi: „Jeśli taka zniknie...”. A po tym wszystkim, co opowiedziała Edith Stern Jakobowi, należałoby powątpiewać, że rodzina dziewczyny wie o jej wizycie we wsi.

Przez kilka sekund serce Trude trzepotało jak uwięziony w klatce ptak, pompując z mozołem – kropelka po kropelce – pół litra krwi w skurczone ze strachu żyły. Zakręciło się jej w głowie, schwyciła się stołu. Dość tej hysterii. Zacisnęła zęby i przełamując wewnętrzny opór,

przywołała się do porządku.

Przecież to były tylko majtki. Najprawdopodobniej Ben znów przydybał jakąś parkę, która oddaliła się w wielkim pośpiechu, zapominając o tym szczególe.

Para zakochanych, oboje ze wsi, oczywiście. Trude widziała tę parę oczami duszy. Na kocyku rozłożonym na skraju lasu, tak robiło wielu. Tak było wygodniej niż na tylnym siedzeniu samochodu. I oczywiście zaraz rozpoznali Bena, kiedy stanął jak zjawa obok ich kocyka. Na początku trochę się przestraszyli, to zrozumiałe. Ale też w lot pojęli, że z jego strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. To było dla nich krępujące, tylko krępujące. Dlatego woleli wycofać się do samochodu i w pośpiechu zapomnieli o majteczkach, tak im było spieszno do tego miodu. Tak właśnie musiało być.

Ale gdzie on się teraz podziewa, dlaczego nie wraca do domu? Trude skontrolowała palenisko. Było tam jeszcze trochę popiołu, rozkruszyła go pogrzebaczem, precyzyjnie przecisnęła przez ruszt i nasunęła z powrotem fajerki. Potem poszła na górę, z przyzwyczajenia wzięła z łazienki szmatkę, stanęła przy oknie w jego pokoju i zaczęła polerować szybę, kreśląc na niej koła i wypatrywała oczy z głowy.

Daleko za oknem w powietrzu unosił się jasny obłoczek kurzu. Kombajn krążył tam i z powrotem w pszenicy Richarda Kressmanna przy lasku Bendchen. Lekki wiatr pędził pył na południowy wschód do rozpadliska.

Drogą między rozpadliskiem a Bendchen jechał jasny mercedes, chociaż droga tam nie była wyasfaltowana. Albert Kressmann wybierał zawsze ten odcinek prowadzący wzdłuż gospodarstwa Laesslerów, kiedy kontrolował, czy jego parobczaki uwijają się z robotą. W drodze powrotnej Albert miał zwyczaj składać krótką wizytę Paulowi i Antonii. Niekiedy zatrzymywał się też przy ruinach dawnej posiadłości swojego dziadka i sprawdzał, czy tam każdy kamień leży jeszcze tak, jak przed pięćdziesięciu laty. Albert chętnie odgrywał pana na włościach, a rozpadlisko to była przecież jego ziemia, jego dziedzictwo.

Bena ani widu, ani słyhu. Trude zadawała sobie pytanie, kiedy

mógł wyjść z domu. Jej czujne oczy obmacywały teren poprzez obłoczek pyłu, sondowały krawędź rozpadliska. Żeby tylko nie wpadł na Alberta, zanim nie upewnią się, że każdy, kto tej nocy biegał po polach, wrócił do domu cało i zdrowo.

Przez krótką chwilę Trude wydało się, że widzi barwną plamę wśród soczystej zieleni przy krawędzi rozpadliska. Trwało to tylko kilka sekund, zaraz potem plama znikła w przepaści. A Albert Kressmann właśnie wracał do domu.

Prawa ręka w dalszym ciągu kreśliła koła na szybie. Serce kurczyło się z lękiem. Potem barwna plama znów mignęła przy rozpadlisku, wyłoniła się pomiędzy mizernymi krzewami i przesunęła się ponad krawędzią.

To nie mógł być Ben. Nosił koszulę w ciemną kratę do błękitnych spodni. Ale plama była teraz nieco bliżej. Poruszała się bokiem, opuściła rozpadlisko. A pozycja ciała, to charakterystyczne pochylenie do przodu, ten tak dobrze jej znany skradający się chód nie pozostawiały wątpliwości, kim była tajemnicza plama.

Trude zrezygnowała z bezsensownego kreślenia kół na szybie i cofnęła się krok do tyłu, na wszelki wypadek, żeby Albert nie zwrócił na nią uwagi. Czy syn Richarda był wczoraj wieczorem w gospodzie Ruhpolda? Czy widział, że Jakob wsiadł do samochodu razem z młodą Amerykanką? W najwyższym stopniu prawdopodobne. W każdy piątek wieczorem w gospodzie zbierali się członkowie bractwa strzeleckiego. A Albert podobnie jak jego ojciec był strzelcem.

Stojąc pół metra od okna patrzyła z natężeniem na buraki cukrowe i wolno jadącego mercedesa. Serce znów waliło jak młot pneumatyczny, w głowie prawdziwa burza myśli.

Na początku błyskawice nadziei. Kiedy Edith Stern znajdowała się na drodze do Heinza Lukki, Ben siedział przy kuchennym stole. A później leżał jak Pan Bóg przykazał w swoim łóżku. Trude widziała na własne oczy, jak spał niczym mały chłopiec ze swoją szmacianą lalką w ramionach.

Po błyskawicy nastąpił pierwszy grzmot. W którymś momencie

w nocy wymknął się z domu. W którymś momencie Edith Stern wracała do wsi. A potem druga błyskawica: na pewno zatelefonowała od Heinza po taksówkę albo poprosiła, żeby ją odwiózł. W tym samym momencie w jej głowie jak daleki grzmot zadudnił głos Jakoba: „Za nic w świecie nie chciała, żebym ją podwoził. Dwa razy jej proponowałem, nawet ją ostrzegałem. Tylko się zaśmiała...”.

Jeden krok od okna w tył, to może wystarczało dla Alberta Kressmanna, ale nie dla Bena. Słońce zalało całą południowo-wschodnią ścianę domu, przez otwarte okno do pokoju wpadały ukośnie od tej strony promienie słońca. Kolorowa plama pomiędzy burakami cukrowymi podniosła obie ręce ponad głowę, machała ze wszystkich sił, tańczyła w miejscu i wołała coś przez pola.

Do Trude dotarł tylko słaby podmuch tego wołania. Albert jadący w samochodzie też nie mógł niczego słyszeć. Ale mógł zobaczyć! I rzeczywiście, Trude ujrzała, że mercedes nagle się zatrzymał, że Albert wysiadł, podniósł jedną rękę i odmachął, jak gdyby radosny taniec Bena był przeznaczony dla niego. Teraz mogła pomóc tylko ucieczka do przodu. Jeden krok do okna, mocno się pochylając. Lewą rękę za okno, machać i też z całej siły krzyczeć przez pola, choć raczej nie można było liczyć na to, że Albert Kressmann usłyszy choć jedno słowo, nie mówiąc już o tym, że w ogóle coś zrozumie: „Szybko do domu, Ben! Wracaj, ale już! Na pół godziny, powiedziałam ci, tylko na pół godziny!”.

Podszedł bliżej, teraz był większy i bardziej wyraźny. To kolorowe coś wokół pleców, cóż to takiego może być? Wyglądało to tak, jak gdyby obwiązał sobie coś wokół szyi, długi szal lub... Plecak i kurtka, powiedział Jakob, taka kolorowa rzecz, dość niezwykła, rzucająca się w oczy.

Trude jeszcze raz rozpałała pod kuchnią, na wszelki wypadek. To była rzeczywiście wiatrówka z mocnej, nieprzepuszczającej wody tkaniny, co rozpoznała na pierwszy rzut oka, kiedy Ben wszedł do kuchni. Rękawy owinął sobie pieczołowicie wokół szyi, reszta zwiisała luźno na ramionach, zakrywając plecy.

Kiedy pierwsza panika minęła i Trude mogła zastanowić się w spokoju, zdecydowała inaczej. Albert musiał również zauważyć tę kolorową rzecz wokół jego ramion. Trude wołała nie ryzykować. Znowu rozpoczęła ucieczkę do przodu, pobiegła do telefonu i zadzwoniła do Wolfganga Ruhpolda, pytając, czy młoda Amerykanka pojawiła się jeszcze raz w jego gospodarstwie. Czy nikt nie widział jej tam w nocy? Nie, nikt nie widział!

Kiedy zniemacka wystrzelił ból w lewej ręce, Trude przełożyła słuchawkę do prawej ręki, walczyła zajadle z dusznością, równocześnie zaś starała się, żeby jej głos brzmiał spokojnie, kiedy wyjaśniała właścicielowi gospody, że Ben właśnie przed chwilą wrócił z krótkiej przechadzki po polach, na której znalazł damską kurtkę. To oczywiście nie musi być koniecznie kurtka Amerykanki. Ale gdyby ta kobieta zgłosiła się i szukała swojej wiatrówki, Trude przechowa jej własność. Jakob może ją również zawieźć do gospody albo do biura rzeczy znalezionych do Lohbergu. Niewykluczone, że jakaś dziewczyna z miasteczka zgubiła tę kurtkę.

Trude udało się nawet zachichotać figlarnie. „Jak tutaj spacerują, mają inne sprawy w głowie, niż trzymać swoje rzeczy w kupie”. Wolfgang Ruhpold też się zaśmiał i obiecał zasięgnąć języka, a poza tym zaproponował, że wywiesi na oknie karteczkę.

Kiedy sprawa była załatwiona, Trude wyciągnęła rękę. „Daj mi to” – zażądała stanowczym głosem.

Ben potrząsnął głową, objął dyndający mu na piersi rękaw kurtki, przycisnął plecy do ściany i przybrał krnąbrną minę.

Trude nie zamierzała mu jednak ustępować i ponowiła swoje żądanie: „Natychmiast oddaj mi tę przeklętą kurtkę! Skąd ją masz? Znalazłeś ją? Czy zabrałeś komuś? A może ktoś ci ją podarował?”.

Pytanie za pytaniem, jak seria z karabinu maszynowego. Skulił się przy ścianie, przybierając obronną pozycję, wzorem zwierząt chciał sprawiać wrażenie mniejszego niż był w istocie i w ten sposób uniknąć jej gniewu, a przede wszystkim móc zachować swój skarb. Jej głos nie zapowiadał niczego dobrego. Aby ją udobruchać i chociaż częściowo

spełnić jej żądanie, powiedział krótko: „Przyjaciel”, streszczając w ten sposób jeden z epizodów ostatniej nocy.

Trude zrozumiała – był u Heinza Lukki. Przełknęła ślinę. „Czy... dostałeś czekoladę?”.

Pokręcił przecząco głową.

„Dlaczego? – zapytała Trude. – Czy nie byłeś miły? A może Heinz cię nie widział? Przecież na pewno go wołałeś, prosiłeś, żeby dał ci coś słodkiego”.

Znów potrząsnął głową. „Śliczne” – powiedział.

„Czy Heinz miał jeszcze gościa, kiedy ty przyszedłeś?”.

Skinął głową i powiedział: „Ścierwo”.

Trude również kiwała głową raz za razem. Jedno skinienie dla zwątpienia, drugie skinienie dla pewności, jedno dla paniki. Ścierwo! To słowo powiedziało jej wszystko. Trude widziała oczami wyobraźni rozgrywający się gdzieś w pobliżu ich domu dramat, jak gdyby towarzyszyła mu tej nocy. Młoda Amerykanka była jeszcze u Heinza, kiedy pojawił się Ben. Widział ją i... Ona już wie, jak radzić sobie z natrętami, powiedział Jakob. W takich przypadkach z pewnością nie była uprzejma...

„Czy obrażałeś tę kobietę, czy wymyślałeś jej? – zapytała Trude. – Czy ją zaniepokoiłeś? Przecież wiesz, że nie wolno ci tego robić! Powiedz, czy zabrałeś jej kurtkę? Ona na pewno ci jej nie podarowała i dlatego nie możesz jej zatrzymać. W tej chwili oddaj mi ją!”.

Kiedy w dalszym ciągu krnąbrnie potrząsał głową, przytrzymując z całych sił rękawy kurtki, spróbowała innej taktyki. W jednej chwili zmieniła front i zaczęła chwalić go i przymilać się słodkim głosem. „Przecież jesteś moim dobrym Benem. Ty jesteś mój najlepszy. Bądź miły i oddaj kurtkę. Jak będziesz grzeczny dostaniesz za to ślicznego, wielkiego loda. A po południu pójdziemy do Sibylle na ciastka z kremem. A w poniedziałek pojedziemy autobusem do miasta. Przecież lubisz jeździć autobusem. Potem pójdziemy do domu towarowego. Jeśli tak bardzo podoba ci się taka kolorowa kurtka, kupimy ci taką samą. Obiecuję”.

Widziała, jak ciężko rozstać mu się ze swoim skarbem, jak zмага się ze sobą, w końcu jednak z widoczną niechęcią zerwał z siebie kurtkę, wręczył ją Trude i znów przycisnął się plecami do ściany. Jego nadąsana mina niemalże skłoniła ją do uśmiechu. Ale na to będzie jeszcze czas. Jeśli w ogóle będzie jeszcze powód do śmiechu.

Zbadała skrupulatnie tkaninę, szukając pęknięć i śladów krwi, co w mieszaniu kolorów wcale nie było łatwe. Ale kurtka była tak samo czysta jak majteczki z kurnika. Ani śladu uszkodzenia i ani jednej czerwonej plamki, która nie byłaby na swoim miejscu.

Trude zaniósła kolorową rzecz do sieni, zawiesiła ją na wieszaku, poszła z powrotem do kuchni, stojąc przed kredensem, pokrajała chleb, posmarowała go masłem, położyła na to kielbasę, a on tymczasem usiadł przy stole. Słyszała chrobotanie nóg krzesła na podłodze, przekroiła kromki na pół. Wszystko to robiła mechanicznie jak sprawnie działająca maszyna. W głowie taśma filmowa, na planie – dwoje aktorów.

Młoda kobieta w drodze powrotnej do wsi. Letnia, ciepła noc, plecak na plecach, kurtka luźno zarzucona na ramiona. Słyszała za sobą kroki albo zobaczyła przed sobą potężny cień. Jakob powinien był jej powiedzieć, że Ben biega nocą po polach, że jest łagodny i całkowicie nieszkodliwy, jeśli tylko zostanie przyjaźnie potraktowany. Wtedy nie przestraszyłaby się, nie uciekałaby przed nim w popłochu i nie zgubiła swojej kurtki.

Potem Trude odwróciła się do stołu. I po raz pierwszy, od czasu kiedy oddał jej kurtkę, jej spojrzenie padło na jego plecy. Talerz z kanapkami wypadł jej z rąk i stłukł się na drobne kawałki na kamiennej podłodze. Odłamki szkła rozprysnęły się na wszystkie strony. Jego koszula nie była już na plecach kraciasta. Była całkowicie, jednolicie zafarbowana niemal czarną czerwienią. „Nie” – powiedziała Trude i gwałtownie potrząsnęła głową. „Nie!”.

U góry, na ramionach tkanina była czysta, zaczynało się trochę niżej. Tam była aż ciężka od zakrzepłej krwi. Również otaczający talię pasek był czarny.

Trude potrzebowała kilku minut, żeby otrząsnąć się z przerażenia. Potem złapała go za ramię z taką siłą, aż wstał z krzesła. Pociągnęła go do korytarza, schodami na górę, do łazienki. Odkręciła kurki i lejąc wodę do wanny, trzymała go mocno za rękę. I tak miała go wykąpać.

„Co ty zrobiłeś?” – pytała cienkim, drżącym głosem zagłuszonym przez szum wody. Gardło miała tak ściśnięte, że słowa z ledwością mogły się przez nie przecisnąć. Oczy nabrzmiały bólem. I tym razem to nie było tylko serce, które zanurzało w ogniu jej pierś.

„Kto ci powiedział, że możesz robić coś takiego? Przecież zawsze ci mówiłam, że nie możesz zaczepiać dziewcząt. Że nie wolno ci ich dotykać. Nie zrobiłeś tego! Nie mogłeś tego zrobić! Tylko nie to! Gdzie się tak ubrudziłeś? No, mówże wreszcie! Powiedz raz coś rozsądnego! Skąd się wzięło to na twoich plecach? Co to za świństwo?”

Jej palce zerwały pasek, manipulowały przy guzikach koszuli. Dwa guziki upadły z brzękiem na podłogę. W końcu udało się jej zdjąć koszulę z jego pleców. Potem ściągnęła mu spodnie, od razu z majtkami i rozkazała: „Wchodź do wody!”

Kiedy usiadł w wannie, pobiegła z ubraniami do drzwi, schodami w dół, do kuchni. Ogień znowu wygasł. Z koszulą i spodniami pod pachą Trude pospieszyła do piwnicy i przyniosła jeszcze kilka starych gazet. Palce nie chciały być posłuszne, trzy zapałki połamały się przy zapalaniu, udało się dopiero przy czwartym podejściu, suchy papier zajął się w mgnieniu oka. Zanim jednak wcisnęła spodnie pod kuchnię, płomienie znów zostały zduszone przez gwałtowność jej ruchów. Tego było już za wiele, po prostu za wiele na nią jedną.

„On nie jest zdolny do czegoś takiego – szepnęła drżącym głosem, wsadziła spodnie w palenisko i wybełkotała: – Przecież nie jest zły. Nie skrzywdzi żadnego człowieka”.

Przez kilka minut jej zamglone spojrzenie ślizgało się po skorupie krwi na koszuli, wędrowało do szerniałego od sadzy otworu kuchni. Potem, po długim, drżącym oddechu zapaliła piątą zapałkę, ostrożnie przytknęła wąty płomyczek do tkaniny, odczekała, aż się zajmie i przyglądała się w milczeniu, jak koszula powoli się zwęglą, by

w chwilę później spłonąć.

I te małe, żółte i niebieskie płomyczki były ostatnią rzeczą, którą mogła sobie przypomnieć Trude. Co widziała lub robiła potem, tego nie wiedziała z całą pewnością. Umyła Bena, przebrała go w czyste ubranie – to na pewno musiała zrobić, ponieważ później leżał na swoim łóżku świeżo umyty i w czystym dresie.

Potem było jeszcze kilka obrazów małych ran i większych, które wyglądały jak zadrapania lub niezbyt głębokie rany cięte. I był tam jeszcze głos, który powiedział kilka razy: „Tak, wiem, że to boli. Ale to zaraz minie. Bądź spokojny, wytrzymaj, tak musi być. Przecież tyle razy skaleczyłeś się już o drut kolczasty, teraz będzie tak samo”.

I nóż, mały nóż z lekko wygiętą i ostrą jak brzytwa klingą tam był. Wzięty z kuchennego kredensu i własną ręką przeciągany raz za razem po plecach Bena. Na koniec oczyszczony po strumieniem zimnej wody. I drugi nóż, z wąską, falistą klingą, który akurat nadawał się do tego, żeby pokroić nim chleb, całkiem czarny i wypalony przez ogień, wyjęty z paleniska i wetknięty głęboko pod kontener na śmieci.

Zmiany

Trude nigdy nie dowiedziała się, co naprawdę wydarzyło się w czerwcu osiemdziesiątego drugiego na jabłonkowej łące. Czas Gerty Franken na ławce przy rynku dobiegł końca. Nogi ostatecznie odmówiły jej posłuszeństwa, była przywiązana do domu i o tym, co widziała, opowiedziała tylko Ilii von Burg. A Ilia miała na ten temat własne zdanie i nie uznała za stosowne pomawiać piętnastoletnią dziewczynę o to, że chciała zabić własnego brata, a przez to przysporzyć jeszcze więcej zmartwień rodzinie, która i tak zresztą miała już dość kłopotów.

Wszelako Ilia zatroszczyła się o to, żeby Baerbel zostawiła odtąd swojego brata w spokoju. Jeszcze gdy Ben leżał w szpitalu, Ilia przeprowadziła długą i stanowczą rozmowę z Baerbel i kazała opłacić swoje milczenie świętą przysięgą. I rzeczywiście, młodsza córka Jakoba i Trude przysięgła uroczyście, że już nigdy w życiu nie podniesie ręki na Bena.

Z początku wszystko wskazywało na to, że Baerbel nie będzie miała już okazji do kolejnych zamachów na życie swojego brata. Erich Jensen poruszył niebo i ziemię, uruchomił swoje znajomości, aby wsadzić Bena do ośrodka, jak tylko chłopiec wyzdrowieje. Złamanie obowiązku nadzoru z ciężkimi zdrowotnymi następstwami, lepszego argumentu Erich nie mógł sobie wymarzyć.

Trude dwa razy udawała się po pomoc do Heinza Lukki, szła tam zaraz po godzinach, które codzienne spędzała przy łóżku Bena, błagała, zebrała, płakała i zaklinała na wszystkie świętości, aby Heinz użył swoich wpływów i postarał się o to, by Ben mógł znów wrócić do

domu. Sytuacja była jednak wyjątkowo niekorzystna, w obliczu nowych okoliczności nawet Heinz Lukka niewiele mógł działać.

Nieoczekiwanie dla wszystkich w sukurs zrozpaczonej kobiecie pospieszył Bruno Kleu, któremu jakimś cudem udało się przestroić Ericha Jensena na inny ton i zmienić jego zamiary. Jakich argumentów użył, tego nie wyjawiał Trude, która nie mogła również zrozumieć, dlaczego Bruno w ogóle wstawił się za Benem. Ale jego motywy nie były dla niej szczególnie istotne. Liczyło się, że to zrobił, że przywrócił jej radość życia, pozbawił zżerającego ją od wielu dni lęku, a w końcu kazał jej wątpić, że miał w ogóle coś wspólnego ze zniknięciem młodej cyrkówki. Aczkolwiek można to było również widzieć inaczej. Pracownicy ośrodka dysponowali stosowną wiedzą i doświadczeniem, prędzej czy później zrozumieliby, co Ben pragnie zademonstrować przy pomocy lalek i szybko doszliby do sedna sprawy.

Koniec końców, do domu Schloesserów nadeszło tylko pisemne wezwanie od rady miasta, aby odpowiednio zabezpieczyć łąkę, i rachunek wystawiony przez straż pożarną. Jakob zapłacił, zgrzytając zębami, kupił drewniane listwy i parę metrów siatki drucianej. Zbudował rodzaj stożka, który ustawił nad „odwróconym lejkiem”. I ani myślał ogradzać całej działki jak obozu jenieckiego. Przez wiele dni Trude błagała go, żeby to zrobił, ale Jakob uparł się i był głuchy na jej słowa.

Ben dochodził do siebie, rany na jego ciele z wolna się zablizniały, znacznie gorzej było jednak z ranami, które zadano jego psychice. Czternaście dni w obcym otoczeniu, pojawianie się i znikanie znanych mu twarzy. Kiedy odchodzili, pozostawał sam. I zwykle przychodził potem do niego ktoś obcy i kłuł go igłą w ramię, ponieważ zaczynał szaleć. To była dla niego znacznie większa kara niż lanie Baerbel i kilka godzin spędzonych w „odwróconym lejku”.

Stał się zamknięty w sobie i nieufny. Kiedy Trude mogła go wreszcie zabrać do domu, już nie odstępował jej ani na krok. Kiedy byli w kuchni, siedział w kącie zatopiony w ponurych rozmyślaniach. Gdy w drzwiach kuchni pojawiał się Jakob, jego syn podnosił głowę,

mrugał na powitanie jak żebrzący o przyjaźń kot i przysuwał się do Trude.

Anita wyprowadziła się w lipcu, maturę zdała śpiewająco i teraz wynajęła pokój w Kolonii, żeby czekać w spokoju na miejsce na uczelni. Kiedy Baerbel przychodziła ze szkoły, chwycił Trude za fartuch, obejmował ją ze wszystkich sił i szedł z nią nawet do toalety. Kiedy musiała iść do wsi, biegł obok niej, trzymał ją mocno za rękę, wpatrzony w jej twarz jak w święty obraz, jak gdyby chciał się przekonać, że naprawdę jest obok niego.

Sibylle Fassbender została poinformowana przez Ilię Burg o tym, co naprawdę wydarzyło się na jabłonkowej łące. I uznała, że co jak co, ale z pewnością nie jest to dobry znak. „Nie mówię tego chętnie – powiedziała Sibylle – ale sama wiesz – bij psa, a będzie gryzł wszystko, co się rusza. Bij dziecko, a będziesz mieć zabijakę. Ben był takim dobrym chłopcem. Miejmy nadzieję, że tak zostanie. I że któregoś dnia nie wpadnie na pomysł, żeby odpłacać pięknym za nadobne, bo może trafić na takich, którzy wcale na to nie zasługują. Zwykle tak to bywa”.

Obawy Sibylle nie były bezpodstawne, co okazało się już w sierpniu. Dla Trude było to jak grom z jasnego nieba, który spadł na nią w pewien upalny dzień, kiedy jak zwykle wzięła go ze sobą na zakupy. Przed drzwiami supermarketu wyrwał się jej z rąk. W pierwszym momencie Trude poczuła ulgę i pomyślała, że wreszcie przewyciężył szok i nie jest już zdany wyłącznie na jej towarzystwo. Nie zwróciła uwagi na drobną, może dwunastoletnią dziewczynkę, która stała kilka metrów dalej przy krawężniku. Kiedy po kwadransie wyszła ze sklepu, tarzał się na chodniku. Pod nim leżała dziewczynka, którą dusił z wściekłością obiema rękami. Trude rzuciła się w jego stronę, pochwyciła go i szarpnęła gwałtownie do góry w tej samej chwili, kiedy szykował się, aby ugryźć w nos swoją ofiarę.

Po południu na podwórzu Schloesserów pojawiła się rozwścieczona matka, groziła wniesieniem skargi o odszkodowanie oraz innymi restrykcjami. Trude wyciągnęła portmonetkę, wcisnęła jej w dłoń kilka

banknotów i tak długo prosiła, przepraszała i przekonywała, aż w końcu udało się jej z najwyższym trudem ułagodzić zirytowaną kobietę i zatroszczyć o to, żeby Jakob nie dowiedział się o całym zajściu. Ale nie skończyło się na jednym incydencie.

Dwa dni później Trude pielęła grządki w swoim ogrodzie. Ben przycupnął na skraju łąki. Polną drogą zbliżała się dziewczynka na rowerze. Ben podskoczył, stanął w rozkroku na środku drogi. Zanim Trude mogła zareagować, ściągnął dziecko z roweru i rzucił je z impetem o ziemię. Kiedy podbiegła, aby położyć kres dalszym ekscesom, z lekkiej spódniczki pozostały tylko strzępy.

Trude uspokajała, jak mogła płaczącą dziewczynkę, z miejsca dała Benowi kilka energicznych klapsów w tyłek, sięgnęła po portmonetkę i w głębi duszy miała nadzieję, że Jakob nie dowie się również i o tym pożałowania godnym zajściu.

A Jakob nie był już taki jak kiedyś. Nieustanna frustracja towarzysząca mu we wszystkich tych latach, jego niepowodzenie w akcji ratowniczej, którą oceniał jako osobistą porażkę, nakazy i pouczenia, na koniec wezwanie od miasta i rachunek za straż pożarną, wszystko to złamało tego – tak silnego niegdyś człowieka. Czasami sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, spoglądał na Bena zagubionym spojrzeniem.

Trude domyślała się, co mu chodzi po głowie. Wiedziała, że zadawał sobie pytanie, czy nie miałyby zdecydowanie mniej problemów, gdyby syn poszedł z domu. Wtedy można byłoby sprowadzić do nich najmłodszą córkę i znów patrzeć z nadzieją w przyszłość. Jakobowi już nie wystarczyły krótkie niedzielne wizyty u Paula i Antonii. Pragnął częściej widywać Tanję, a najlepiej mieć ją przy sobie przez cały czas. Kilka razy zasugerował, że dobry zakład – wbrew pozorom – byłby wcale nie najgorszym rozwiązaniem. Dla nich i dla Bena, oczywiście. W takim zakładzie jest przecież fachowy personel, który dysponuje najrozmaitszymi możliwościami, aby nawet komuś takiemu jak Ben przyswoić to i owo, tłumaczył. W uszach Trude brzmiało to tak, jak gdyby przemawiał do niej Erich Jensen.

I każde z tych słów było dla niej jak ukłucie w samo serce.

Kiedy wiosną osiemdziesiątego trzeciego Jakob upierał się, aby Tanja zamieszkała u nich, Trude przechodziła istne katusze. Zeszłego roku wielkim nakładem czasu, cierpliwości i lodów waniliowych raz jeszcze udało się jej zjednać Bena dla domku na drzewie i starego poidła. Prawie całą jesień i w łagodne dni zimowe przesiadywał na starej gruszy albo rozdrapywał cienką warstwę lodu na poidle. Ale co się stanie, jeśli teraz jakaś dziewczynka – i to właśnie ulubienica Jakoba – będzie biegać po domu, tuż przed jego nosem? Trude umierała z przerażenia na samą myśl o tym.

Aby zapobiec najgorszemu, kupiła mu nową lalkę. Od dawna nie miał żadnej. Z łóżka Anity dawno temu znikły wszystkie lalki, teraz również na łóżku Baerbel nie siedziała ani jedna lalka. A Jakob był zdecydowanie przeciwny temu, żeby kupować następne. Teraz już nie protestował. To była piękna lala, duża i reprezentacyjna, nieco większa niż ich najmłodsza córka, z buzią małego dziecka i włosami na głowie. Kosztowała majątek. Trude miała nadzieję, że tym sposobem odwróci jego uwagę, ale rozczarowała się gorzko.

Przez pół godziny siedział na podłodze w kuchni, trzymał lalkę na kolanach, badał jej ubranie, podnosił spódniczkę i wyszczerzył zęby w głupkowskim uśmiechu, kiedy jego wzrok padł na białe koronkowe majteczki. Podniósł oczy i zamrugął ostrożnie do Trude. To się jej nie spodobało, pomyślała, że jego spojrzenie ma w sobie coś chytrego, szcwanego. Kiedy pogroziła mu palcem, a zaraz potem w kuchni zabrzmiało dobrze mu znane „Paluchy precz!”, posłusznie zakrył nogi lalki kolorową spódniczką i znudzony zaczął ją bujać, dotykając palcem opadających rytmicznie powiek. Trwało to pół godziny, tyle samo ile potrzebował Jakob, żeby odebrać Tanję od Paula i Antonii.

Zaledwie do kuchni wszedł Jakob z dzieckiem na rękach, lala, która kosztowała majątek, poszła w zapomnienie. Ben poderwał się z podłogi i zanim Trude zdążyła się obejrzeć, stanął przed Jakobem, uśmiechnął się szeroko do swojej małej siostrzyczki, wyciągnął do niej z wahaniem rękę i pogłaskał maleństwo po główce.

Jakob też się uśmiechnął. Rozpierała go ojcowska duma. „Później – powiedział. – Jak będziesz grzeczny, pozwolę ci trochę się z nią pobawić”.

Potem Jakob poszedł do największego pokoju, usiadł na kanapie i wziął Tanję na kolana. Ben podążył za nim do drzwi, oparł się plecami o framugę i nie spuszczał wzroku z siostry. Po godzinie Jakob przypomniał sobie o danej mu obietnicy, popukał dłonią w kanapę, dając Benowi znak, żeby się zbliżył, po czym rozkazał na poły nieufnym, a na poły jowialnym tonie: „No chodź, już chodź. Usiądź obok mnie i bądź grzeczny”.

Do tej pory Ben stał w drzwiach, nie ruszając się z miejsca. Teraz w kilku susach okrążył stół, opadł ciężko na kanapę obok Jakoba i stęknął cicho, kiedy ojciec sadzał mu dziecko na kolanach. Trude wstrzymała oddech. Wystarczyło jednak surowe spojrzenie Jakoba i Ben złożył usta w ciup, pogłaskał koniuszkami palców miękkie włoski, a potem pocierał delikatnie policzkiem o skroń swojej siostry.

Tanja od pierwszego momentu była bardzo ufna. Po kilku minutach nieporadnych pieszczot pozwoliła bez oporu wziąć się na rękę Benowi, który przedtem został pouczony przez Trude, jak się to robi. Jakkolwiek trzymał ją bardzo niezgrabnie, Tanja w widoczny sposób okazywała swoje zadowolenie. Dzięki codziennemu kontaktowi z Andreasem i Achimem była przyzwyczajona do nieco szorstkich czułości starszych braci. I w przeciwieństwie do chłopców Laesslerów, Ben nie protestował, kiedy schwyła go za włosy obiema rękami i szarpała za nie, piszcząc radośnie.

Tego popołudnia mógł nosić ją po podwórzu. Jakob miał robotę w chlewie, był więc niedaleko. Trude nadzorowała uszczęśliwione rodzeństwo z kuchennego okna, słyszała paplanie swojej najmłodszej córki, zadowolone mruczenie Bena i żelazna obręcz ściskająca jej serce powoli się rozluźniała.

Kiedy nadszedł wieczór, Jakob wyjął Tanję z jego objęć, wsadził ją do wózeczka i wyjechał z podwórza. Ben stał obok bramy i machał rękami jak szalony. Potem przyszedł do Trude, która krzątała się po

kuchni, usiadł na podłodze i zajął się swoją lalką.

Kiedy pierwsza próba przeszła gładko, Tanja zaczęła regularnie bywać w domu rodziców, przywożona w każdą sobotę przez Jakoba. Latem osiemdziesiątego trzeciego Jakob urządził pokój dla swojej najmłodszej córki w nadziei, że będzie mógł zabrać ją do domu na stałe. Trude musiała przywołać na pomoc całą swą kobiecą dyplomację, zanim udało się jej w końcu wybić mu z głowy ten pomysł. Jej argumentacja była na wskroś logiczna i Jakob nie mógł odmówić jej racji. Dziecko ma u Paula i Antonii, jak u Pana Boga za piecem. Jest w dobrych rękach. Rośnie jak na drożdżach otoczone miłością i czułą opieką, a w małej Bricie ma rówieśniczkę do wspólnych zabaw, której tutaj będzie jej brakować.

W domu była tylko Baerbel, która ani myślała być niańką do dzieci, i prawdę mówiąc, nie miała na to czasu. Baerbel była zajęta szukaniem miejsca na praktyki, dzień w dzień pisała podania do rozmaitych instytucji i jeździła na rozmowy kwalifikacyjne, po których nie dało się z nią rozmawiać, ponieważ zwykle wracała z kwitkiem. No i był Ben, wprawdzie czuły i serdeczny w kontaktach ze swoją najmłodszą siostrą, ale niestety, jak słusznie zauważyła Trude, również trochę nieobliczalny.

Jakob, chcąc nie chcąc, musiał zrezygnować ze swoich planów zatrzymania córki, zrobił to z bólem serca, zadowolając się tym, że może zabierać ją do domu na cały weekend, a w wyjątkowych przypadkach na dzień lub dwa w tygodniu. Kiedy była w domu, z samego rana pakował do swojego koszyka zapasową pieluchę, dwie kromki białego chleba z marmoladą i butelkę herbaty na śniadanie i brał ją ze sobą na dwór. W południe przynosił ją do domu, żeby pospała godzinę. Po południu bawiła się na podwórzu pod czujnym okiem Trude, podczas gdy Ben za pomocą wszelkich możliwych obietnic i z rękami pełnymi lodów waniliowych i czekolady był wysyłany do domku na drzewie.

Tylko że nigdy tam nie zostawał. I za każdym razem, kiedy się do niej zbliżył, Trude umierała ze strachu, czując zaciskającą się wokół

serca żelazną obręcz. Słowa Sibylle nie wychodziły jej z głowy, zwłaszcza że oba ataki na nieznaną dziewczynki zdawały się je potwierdzać. A teraz taka mała bezbronna istota jak Tanja... Trude zamykała drzwi do czystego podwórza, nie spuszczając go z oczu, potem szła do kuchni i stała przy oknie, podczas gdy za nią piętrzył się stos nieuprasowanej bielizny i co i rusz wybiegała na dwór, widząc, jak zakrada się do stodoły, taszcząc na rękach małą.

Wrzeszczała na niego, rozdawała klapsy i kuksańce, palec wskazujący tak często był wzniesiony do góry, że pod wieczór bolało ją całe ramię. Kiedy taki dzień minął szczęśliwie, Trude znów koncentrowała całą swoją miłość na swoim biednym synu, który tak niewiele miał z tego życia. Każdego klapsa rekompensowała mu łakociami, za każde wyzwisko dostawał całusa i czuły uścisk. A niekiedy kilka łez, ponieważ nie widział związku między jednym a drugim. I ponieważ w żaden sposób nie mogła mu wyjaśnić, dlaczego nie wolno mu robić tego lub tamtego. I nawet jeśli inni robili to po sto razy, on nie mógł.

26 sierpnia 1995

Kilka minut przed trzecią do domu przyszedł Jakob. Obiad nie był jeszcze gotów. Trude siedziała przy kuchennym stole i patrzyła bezmyślnie na krążące pod sufitem muchy. Idąc do kuchni, Jakob zauważył w sieni wiszącą na haku kurtkę. Stał w drzwiach kuchni i zapytał ze zdziwieniem: „Skąd to się tutaj wzięło?”. Musiał pytać trzy razy, za każdym razem jego głos stawał się o ton donośniejszy i dopiero gdy niemal krzyknął, Trude podniosła głowę.

Patrzyła na niego, jakby był ze szkła. Potem wyjaśniła mu obojętnym głosem: „Ben znalazł ją na jabłonkowej łące. Znowu przeczołgał się pod drutem kolczastym. Nawet nie pytaj, jak wyglądają jego plecy, wszystko poszarpane i pocięte. Koszulę wyrzuciłam, była kompletnie porwana. Nie nadawała się nawet do połatania. Wszystko było zakrwawione”.

„Znalazł, ach tak” – powiedział Jakob przeciągle, nie słuchając reszty jej wyjaśnień. Wciągnął głośno powietrze, podszedł do stołu i stanął przed nią. „Kiedy?”.

Wzruszyła ramionami. „Dzisiaj rano, tak koło dziesiątej. Po śniadaniu pozwoliłam mu wyjść na dwór”. Kłamała bez mrugnięcia okiem i nie zmieniała zdania, nawet kiedy Jakob stał się bardziej energiczny i natarł na nią serią pytań. Nie, Ben nie wychodził nocą na dwór! Na honor i sumienie, i na grób matki Trude, nie i jeszcze raz nie! Był w swoim łóżku. Przecież mówiła mu o tym już z rana, przy śniadaniu. Gdyby Jakob zajrzał wtedy do jego pokoju, mógłby przekonać się o tym na własne oczy. Najwidoczniej wczorajsza wyprawa wykończyła go do cna. Trude musiała go nawet budzić.

Wcześniej nigdy się to nie zdarzyło. Dopiero po śniadaniu wyszedł na dwór, ale tylko na pół godziny, może nawet krócej... To zrozumiałe, że tak szybko wrócił do domu, ponieważ okropnie pokaleczył się o drut. Kiedy to mówiła, przez cały czas patrzyła na podłogę.

Kurtka wisiała niewinnie na wieszaku. A Jakob miał uczucie, że ten hak wwierca mu się pomiędzy łopatki. Usiadł naprzeciw Trude, złapał ją za ręce i przytrzymał je na blacie stołu. Potem chrząknął i powiedział cicho: „Mogło być całkiem inaczej. Skąd ta pewność, że pokaleczył się o drut? Przecież nie było cię przy tym. Nie będziesz mi opowiadać, że biegłaś z nim po łące...”. Urwał, a po kilku sekundach dodał: „Już wczoraj chciałem z tobą o tym porozmawiać”.

Nie obdarzyła go nawet jednym spojrzeniem. Jakob nie spuszczał oczu z jej twarzy, czekał na jakieś drżenie, na błysk w oku, na jakąkolwiek reakcję, która przekonałaby go o tym, że w ostatnich godzinach niecałkowicie skamieniała. Patrzył na nią z napięciem, ale nie mógł rozpoznać, czy faktycznie go słucha. Twarz Trude pozostała nieprzenikniona.

Przybrał rozważny ton i starannie dobierając słowa, opowiedział jej o tym, co chodziło mu od wczoraj po głowie. Gazety! I ten straszny domysł, że oboje podejrzewają skrycie własnego syna! A jeśli tak jest w istocie, to muszą mieć ku temu ważne powody. Własne natychmiast wyłożył na stół. I był przy tym bardzo szczery.

„Przez wszystkie te lata bałaś się, że zaatakuje Tanję. Tym sposobem doprowadziłaś mnie niemal do obłędu. W końcu ja sam również w to uwierzyłem. A przecież nigdy nie zrobił jej nic złego. W ten poniedziałek też nic nie zrobił, tylko wziął ją na ręce i parę razy okręcił. Mój Boże, przecież zawsze tak robi... A ja pomyślałem, że jeśli jakaś obca dziewczyna stanie mu na drodze, a on będzie próbował z nią tego samego, to ten numer nie przejdzie. Sama wiesz, jak to jest. Dostanie porządny opieprz, a może nawet po twarzy”.

Wreszcie Jakob doczekał się tego, na co w głębi serca bardzo liczył, Trude przytaknęła mu. Ścisnął mocniej jej ręce, a jego głos brzmiał niezwykle przekonująco, kiedy zapewniał ją: „Nie wierzę, że

zrobił coś córce Ericha". Potem w kuchni zabrzmiało zdanie, którego obawiał się najbardziej.

„Ale w słoiku, który wczoraj zabrałem z jego pokoju, był strzęp materiału. Bardzo brudny, niewykluczone, że był kiedyś niebieski. A w gazecie napisali, że miała na sobie niebieską kurtkę. Nie powiedziałem ci o tym, bo nie chciałem, żebyś się denerwowała. Ale pomyślałem sobie: kto wie, co ten chłopak znosi do naszego domu. Nigdy mi o tym nie mówisz. Czy przyniósł coś jeszcze prócz tego strzępu?”

Trude potrząsnęła głową w milczeniu. Jakob westchnął ciężko. „Może – powiedział przeciągle – powinniśmy porozmawiać z Heinzem. Trzeba go przynajmniej zapytać o to, kiedy Edith, to znaczy pani Stern, poszła sobie od niego. Być może powiedziała mu, dokąd się wybiera. Czy nie chcesz do niego zadzwonić?”

Trude gwałtownie potrząsnęła głową i zaśmiała się histerycznie. „Ja? To ty do niego zadzwoń. A co zrobisz, jeśli ci powie, że to tylko uszkodzenie rzeczy?”

Jakob milczał skonfundowany, zastanawiając się, co mają znaczyć jej słowa i dziwił się sam sobie, że nawet jej o to nie zapytał. Trude spojrzała na niego kątem oka, głośno przełknęła ślinę i wyjaśniła: „Pani Stern musiała zgubić swoją kurtkę. Ben nic jej nie zrobił, ponieważ przez całą noc nie ruszał się z domu. Wiem o tym doskonale, ponieważ do rana nie zmrużyłam oka. Słyszałabym, gdyby wychodził z domu. A kiedy o piątej rano zajrzałam do jego pokoju, spał w swoim łóżku. Teraz już wiesz? Powiedziałam ci to, kiedy cię budziłam. Dlaczego nie zajrzałeś do jego pokoju? Gdybyś to zrobił, nie musielibyśmy teraz o tym rozmawiać”.

Na kilka sekund zapadła cisza, tylko jej oddech wisiał ciężko w powietrzu. W końcu zapytała: „Czy jesteś całkowicie pewien, że to kurtka tej dziewczyny?”

Jakob przytaknął skwapliwie, a potem powiedział: „Tak, jestem tego zupełnie pewien. Widziałem ją na własne oczy. I pytam się, jakim sposobem znalazła się na łące? Przecież ta łąka jest otoczona

drutem kolczastym. A żaden normalny człowiek nie wpadnie na pomysł, żeby przedzierać się przez taki drut. To czyste szaleństwo!”.

„Kto wie? – odparła Trude. – Jak ktoś ma coś do ukrycia, wtedy jest zdolny do jeszcze większych szaleństw”.

Potem oboje milczeli, każde zajęte swoimi myślami. Trude widziała przed sobą sztywną od zakrzepłej krwi koszulę. I zastanawiała się w popłochu, czy w najgorszym przypadku ma po prostu się upierać, że Ben powiedział jej, iż dostał tę kurtkę od Heinza Lukki. Wówczas ktoś mógłby zauważyć nie bez racji, że tego co opowiada Ben, nie można zrozumieć. W takim przypadku jednak musieliby udowodnić jej, jego matce, że po dwudziestu paru latach nie rozumie swojego syna.

Jakob sondował to, co przed chwilą usłyszał, ostrożnie badał teren, szukając punktów zaczepienia. Ale jedynym punktem zaczepienia było wyłącznie zachowanie Trude, jej kamienna, nieporuszona twarz.

„Jest jednak coś, co cię męczy – skonstatował. – Od paru dni jesteś taka dziwna. Nie myśl, że tego nie widzę. Mam w głowie oczy, Trude. Przez cały dzień jesteś z nim sama. Ubierasz go i rozbierasz. Czy wiesz o czymś, czego ja nie wiem, a co powinienem bezwzględnie wiedzieć?”. Nie otrzymał odpowiedzi, nawet nie potrząsnęła głową.

Gdyby Trude w tym momencie potrząsnęła głową, wówczas w jej myślach zapanowałby zamęt nie do opisania. I tak zresztą ledwie trzymały się kupy. Obwiniać Heinza Lukkę, czy naprawdę tego chciała? Równie dobrze mogła sama dać Benowi nóż do ręki. A kiedy ktoś tylko się przyglądał, to co można mu udowodnić? Od patrzenia nie ma się zakrwawionej koszuli.

Jej milczenie sprawiło, że Jakob stał się nerwowy i agresywny. Chociaż wcale tego nie chciał, nieoczekiwanie dla samego siebie huknął pięścią w stół i ryknął: „Do jasnej cholery! Jak mam z tobą rozmawiać, kiedy nie odzywasz się ani słowem?”.

Nawet nie drgnęła. Począł minutę na jej reakcję, przejechał wierzchem dłoni po spoconym czole, popatrzył na wiszącą w sieni kurtkę, pogładził się po policzku, karku, brodzie. A kiedy w dalszym ciągu uparcie milczała, kontynuował wyraźnie rozdrażniony: „Skąd

właściwie możesz wiedzieć, że znalazł kurtkę na łące? Nawet jeśli się tam kręcił, to jeszcze nie żaden dowód. Równie dobrze mogła leżeć na drodze”.

„Może znalazł ją na drodze” – ustąpiła Trude.

Jakob przytaknął energicznie. „No widzisz, właśnie o tym mówię. Nie możesz po prostu czegoś twierdzić, tylko dlatego, że się boisz. W ten sposób sama ściągasz na siebie podejrzenie. Ktoś widzi, że ciągle kłamiesz. Ja w każdym razie to widzę. A jeśli pani Stern miała kurtkę przewieszoną przez ramię...”.

Urwał, patrzył na korytarz, tak samo niewidzącym wzrokiem jak Trude, jak gdyby kurtka mogła odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Potem zażądał nagle: „Sprowadź go na dół”.

Trude tak szeroko otworzyła oczy, że jej przerażenie skoczyło Jakobowi do gardła. „Tylko nie patrz tak na mnie – powiedział ze złością i odwrócił od niej wzrok. – Chcę się tylko z nim przejść. Może uda mi się z niego coś wyciągnąć, może pokaże mi, gdzie to znalazł. Wtedy bylibyśmy jeden krok bliżej”.

Trude nie zamierzała wstać z krzesła. Jakob poszedł do drzwi, mrużąc pod nosem: „Sam go przyprowadzę”.

Wtedy zerwała się na równe nogi. „Ja to zrobię”. Minęła go tak szybko, że tylko pokręcił głową.

Jakob, nie spiesząc się, poszedł za nią, wspiął się na górę po schodach, minął korytarz i skierował się do pokoju Bena. Ten leżał brzuchem na łóżku, z twarzą zwróconą do okna. Kiedy Trude weszła do pokoju, a zaraz po niej Jakob, odwrócił głowę. Cierpienie malujące się na jego twarzy dziwnie wzruszyło Jakoba.

„No chodź – powiedział łagodnym głosem – pójdziemy na spacer”. Tym razem jednak na dźwięk słowa „spacer” Ben nie skoczył na równe nogi, tylko powoli zwrócił twarz w stronę okna.

„Co się dzieje? – zapytał Jakob. – Nie chce ci się?”.

„Bołą go plecy” – powiedziała Trude głucho.

„Ach” – Jakob zbył tę uwagę nonszalanckim machnięciem ręki, jego wzrok powędrował w kierunku pleców Bena. Na świeżej koszuli

nie widać było niczego podejrzanego. „Nasz syn nie jest taki wrażliwy, a na plecach też nie będzie chodzić” – powiedział Jakob uśmiechając się lekko.

Potem podszedł do łóżka, złapał Bena za koszulę, wyciągnął ją ze spodni i zadarł do góry. Przez chwilę przypatrywał się niezliczonym plastrom na jego plecach i nieświadomie zaciskał usta. „Ale tego dużo – powiedział w końcu do Trude. – Już taki durny to on nie jest, żeby leżąc tam, kiedy coś takiego wbija mu się w ciało. Musiał mieć jakiś szczególny powód”.

Trude nie reagowała. Jakob na powrót wepchnął koszulę do spodni, pogłaskał Bena po ramieniu i powiedział: „No chodź, przejdziemy się trochę”.

„Pójdę z wami” – powiedziała szybko Trude.

Kiedy niewiele później Ben, powłócząc nogami, szedł w stronę rozjazdu, przenikliwy lęk, który zagnieździł się w sercu Jakoba z wolna opadał. Plecy Bena otwierały mu nową perspektywę. Z jednej strony nie wyglądało to tak, jak gdyby jakaś kobieta musiała się przed nim bronić. W takim przypadku miałyby podrapaną twarz, ręce, ramiona. Z drugiej to była kurtka, która – jak stwierdził Jakob po gruntownym jej zbadaniu – była cała, czysta i bez najmniejszego śladu uszkodzeń. A jeśli Ben rzeczywiście znalazł ją gdzieś?

Wszystkie te odkrycie sprawiły, że Jakob uspokoił się, wykluczając, iż Edith Stern przytrafiło się coś złego. O Svenji Krahl nic nie wiedział. Pozostawała Marlene Jensen. Pozostawało to, co skłoniło Bena, żeby przedzierać się pod drutem kolczastym. W jaki inny sposób Jakob mógł wytłumaczyć sobie obecność ran na jego plecach? Nawet w najbardziej koszmarnych snach nie przyszłoby mu na myśl, że Trude mogła zrobić coś tak okropnego swojemu synowi, aczkolwiek nie uszło jego uwadze, że Ben unikał dziwnie towarzystwa matki, starając się iść jak najdalej od niej. Ale Jakob był zbyt zajęty swoimi myślami, żeby jeszcze zwracać uwagę na taki szczegół.

Tylko przyjmując, że jego kolega z pracy miał rację i Ben rzeczywiście coś widział lub słyszał tej nocy, kiedy znikła Marlene

Jensen. Tylko przyjmując, że zobaczył coś na łące i tylko dlatego przeczołgał się pod drutem. W takim przypadku należałoby zameldować o tym policji. Trzeba by jednak zrobić to tak, jak gdyby sami widzieli to na własne oczy, przecież wiedzieli z gazety, gdzie Klaus i Eddi zawsze wyrzucali z samochodu dziewczyny. Właśnie tutaj, obok kolczastego drutu.

Jakob już otwierał usta, żeby porozmawiać o tym z Trude, ale zamknął je na powrót, kiedy spojrzał na jej twarz. Z oczami utkwionymi w Bena, dreptała tuż obok drobnymi kroczkami taka udreńczona, taka przybita i niezdolna do dalszej walki. W kącikach oczu coś błyszczało. Potem oderwała się kropelka i spływała powoli wzdłuż jej nosa.

Jakob chrząknął, odwrócił wzrok od tej umęczonej twarzy i patrzył z napięciem przed siebie, żeby zobaczyć, w którą stronę skręci Ben. Ten doszedł do rozjazdu, przystanął i obejrzał się na Jakoba. „Gdzie teraz? – spytał Jakob. – Gdzie znalazłeś kurtkę?”.

Ben ruszył przed siebie w stronę jabłonkowej łąki, ze zwisającymi bezwładnie rękami wyglądał jak wielka kukła. A Jakob zastanawiał się dalej. Dziwna sprawa, dlaczego policjanci nie przyjrzeni się łące. A może to zrobili? Gazeta podawała, że przeszukano całe otoczenie wsi. W takim razie należałoby uznać, że powinni w pierwszej kolejności skontrolować łąkę.

A jeśli niczego nie znaleźli, to znaczy, że w niedzielę jeszcze niczego tam nie było. A jeśli teraz coś tam jest... Zabrał Edith Stern do swojego samochodu, wysadził ją na polnej drodze i pozwolił odejść. Dwa kilometry samotności, dwa kilometry ciemności. Jeśli nie dotarła do bungalowu Lukki...

Nawet nie zbliżyli się do celu spaceru. Zaprzątnięty swoimi myślami Jakob dwa razy polecił synowi, żeby szukał miejsca, w którym znalazł kurtkę, za każdym razem brzmiało to tak, jakby wysyłał psa po kijek. Kiedy zorientował się, że jego „Ben, szukaj kurtki” nie odbiega w niczym od „Burek, szukaj patyczka”, dał sobie spokój. Wszystko to i tak nie miało sensu, ponieważ Ben nie rozumiał, czego ma szukać.

„Szkoda że nie wzięliśmy ze sobą kurtki – stwierdził Jakob z niezadowoleniem, kiedy dotarli do drutu kolczastego – wtedy przynajmniej wiedziałby, o co mi chodzi”.

Swoją drogą, ciekawe dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej, a może nie chciał, żeby ktoś widział go z kurtką w ręce, zanim nie znajdzie się jakieś rozsądne wyjaśnienie, w jaki sposób Ben wszedł w jej posiadanie. Szedł powoli wzdłuż drutu kolczastego, badał wzrokiem leżący za nim teren i w końcu doszedł do wniosku: „Na mój gust, nie wygląda na to, żeby ktoś był tutaj w ostatnim czasie”. W każdym razie drut nie był uszkodzony, a policja z całą pewnością by go przecięła.

Trude nie zareagowała na jego słowa, być może wcale ich nie słyszała zatopiona w swoich ponurych rozmyśleniach. Jakob zatrzymał się na chwilę i zlustrował zdziczałą parcelę znajdującą się za spróchniałym płotem. Zielska w dawnym ogrodzie Gerty Franken stała po pas między nieprzeniknioną, kolczastą barierą z krzewów jeżyn. Tylko stara grusza sterczała niczym statek widmo ponad kłębiącym się w dole oceanem zieleni. Stojąc na polnej drodze, trudno było dostrzec, czy ktoś się tam kręcił.

Jakob szykował się do drogi powrotnej, zastanawiając się przy tym nad swoimi chaotycznymi odczuciami. Nad paniką, która dopadała go niespodziewanie, gdy pomyślał o skamieniałej twarzy Trude i swojej wizji spotkania na nocnej drodze. I nad spokojnym zadowoleniem, które odczuwał zawsze wówczas, gdy wałęsał się z Benem po polach. Jak okiem sięgnąć ani śladu żywego ducha, niebo nad głową, ziemia pod nogami. Ta ziemia, która od wielu lat żywiła go i odziewała. Nad głową kilka chmur albo promień słońca, a przed nim szerokie plecy Bena.

Taki spokojny, łagodny, poprzestający na małym chłopaczyna, któremu od biedy wystarczył kawałek chleba w ręce. Kiedy biegł przez pola przed Jakobem, aż kipiał z radości. Na dworze zawsze zarażał Jakoba swoją beztroską, dopóki byli sami, dopóki nikt nie zażądał rozliczenia się z tej beztroski. Teraz było jednak inaczej, ani śladu

radości. Być może dlatego, że obok szła Trude.

„Trzeba nam było zostać we wsi – powiedział Jakob w przypiływie bezradności. – Wtedy sam, bez odgórnych nakazów zbudowałbym wysoki mur dookoła łąki i ogrodu, a na bramie zamontowałbym porządny zamek. Wtedy nie mógłby już oddać się od domu, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota, a my nie musielibyśmy teraz łamać sobie głowy”.

Nowe gospodarstwa

Na wiosnę osiemdziesiątego czwartego po raz pierwszy zabrali się oficjalnie za Jakoba. Rada miasta Lohberg, na czele z Erichem Jensenem, obiecywała złote góry, spokój i wolność dla Bena, apelowała do rozsądku Jakoba, jego sumienia i jego miłości ojczyzny.

Pół roku wcześniej Otto Petzhold skapitulował, swoje obejście przy Bachstrasse sprzedał jakiemuś architektowi z Lohbergu, a pięćdziesiąt mórg ziemi odstąpił Richardowi Kressmannowi. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ojcowizny Otto sprawił sobie mały domek w Eifel. Dla niego to było proste. Musiał troszczyć się tylko o siebie i swoją schorowaną żonę. Nie miał dzieci.

A Jakob miał ich czworo. Nawet jeśli od nikogo z tej czwórki nie mógł spodziewać się pomocy. Anita studiowała w Kolonii i w żaden sposób nie mogła znaleźć czasu, aby wpaść do domu choćby na kilka godzin. Dzwoniła tylko od czasu do czasu, żeby zakomunikować rodzicom, że nie starcza jej pieniędzy. Książki są takie drogie. Kiedy Jakob bronił się przeciwko wygórowanym żądaniom swojej najstarszej córki wskazując na innych członków rodziny, którzy też muszą z czegoś żyć, Anita mówiła o deficycie matczynej miłości i podobnych sprawach. Jakob nie miał złudzeń i nie spodziewał się od niej niczego innego.

Baerbel robiła wszystko, co w jej mocy, żeby ukończyć szkołę zawodową za drugim podejściem i załatwić sobie praktyki, najlepiej w biurze, gdzie nie ma błota i brudu, żadnych kup gnoju – i żadnych idiotów. Każdą wolną chwilę Baerbel spędzała w kuchni Illi von Burg, rzekomo po to, żeby zdawać relację, jak miło i serdecznie obchodziła

się w ostatnich dniach ze swoim bratem. W rzeczywistości chciała przekonać Ilę o swojej niewinności, dobrej woli i łagodności charakteru, a przy okazji zasugerować jej, że żadna matka nie mogłaby wieszować sobie lepszej żony dla swojego najstarszego syna.

Czasami Baerbel wsiadała w autobus do Lohbergu, wysiadała przy rynku i biegła do włoskiej lodziarni albo spieszyła przez całe miasteczko w poszukiwaniu utraconej miłości. Wiedziała, że Uwe von Burg częściej bywał w mieście aniżeli w domu. I każdemu, kto chciał jej słuchać albo nie, Baerbel opowiadała, że w przyszłości najchętniej poświęciłaby się pracy w gospodarstwie rolnym, ponieważ nie ma niczego piękniejszego niż być panem na swojej ziemi. Pod warunkiem, że nie będzie żadnych krów i żadnych świń. Hodowla drobiu, a ponadto zarządzanie gospodarstwem domowym, to podobałoby się jej najbardziej.

Jeśli zaś chodzi o Bena, to należało się cieszyć, jeśli wspinał się do domku na drzewie, ponieważ tam przynajmniej nikomu nie dokuczał. A najmłodsza córka Jakoba, jego pupilka i oczko w głowie, którą do tej pory musiał dzielić ze swoim przyjacielem Paulem, mając nadzieję, że zabierze ją do domu i będzie mógł mieć wyłącznie dla siebie, kiedy będzie na tyle duża, żeby iść do przedszkola, miała dopiero dwa i pół roku, kiedy członkowie rady miejskiej wystąpili z propozycją przeniesienia jego gospodarstwa.

Dwa miesiące wcześniej zmarła Gerta Franken. Zwrócili na to uwagę dopiero po kilku dniach, kiedy Trude zaczęła się zastanawiać, kiedy po raz ostatni widziała starą sąsiadkę na jej posterunku przy oknie. Trude poszła do jej chatki. Już w sieni pachniało tym, co chwilę później znalazła w sypialni.

Po przeprowadzce Hilde Petzhold do Eifel nikt nie nosił już talerza z ciepłą zupą do chylącego się ku ziemi domostwa staruszki. Ilia von Burg już kilka miesięcy wcześniej zaniechała wizyt u Gerty Franken, ponieważ nie była w stanie znosić dłużej jej złośliwości.

A przecież to właśnie Ilia od lat przynosiła Gercie co drugi tydzień ciepłe posiłki, dbała o porządek w chatce, prała i robiła zakupy

i w podzięcie musiała słuchać wyzwisk i złorzeczeń. Na domiar złego nie była gotowa znosić plotek ze wsi albo wysłuchiwać, że jej teść zaczął protestować przeciwko nazistom dopiero wówczas, gdy tysiącletnia Rzesza zabrała jego najmłodszą córkę. Do tego czasu stary von Burg aż piał z zachwytu i podobnie jak inni durnie wołał z entuzjazmem: „Heil, mein Führer”. Na rok przed jej śmiercią nie było już współczucia dla Gerty Franken. Również Hilde Petzhold często powtarzała, że ta starucha jest jak strzykawka z trucizną.

Trude nie myślała o tym, żeby zaopatrywać starą. Zdała się na miłosierne siostrzyczki z klasztoru, które rozwoziły jedzenie na rowerach. Ale dziwnym zrządzeniem losu nie trafiły do chatki Gerty Franken, chociaż Erich Jensen mówił, że wciąż myśli o tym. Najwidoczniej Erich zapomniał jednak o talerzu zupy dla starowiny pomiędzy wszystkimi tymi posiedzeniami w radzie miasta, spotkaniami partyjnymi i pracą w aptece.

We wsi szeptało, że Gerta Franken zmarła śmiercią głodową. Lekarz stawiający diagnozę wskazał wycieńczenie organizmu jako przyczynę śmierci i najwidoczniej uznał za zbyteczne wspomnieć w akcie zgonu o ranie na głowie. W zakładzie pogrzebowym umyła ją, przebrano i położono do trumny, i również nie zastanawiano się nad raną na jej głowie. Nad grobem starej Gerty nikt nie uronił jednej łzy. Nie było krewnych i przyjaciół. Połowa wsi odczuła ulgę, kiedy poświęcona ziemia skryła na wieki ów skandal nad skandale.

Druga połowa – zamieszkała na nowym osiedlu przy Lerchenweg – była zainteresowana wyłącznie swoimi sprawami i swoim bezpośrednim sąsiedztwem, w którym też nie wszystko było tak, jak być powinno. W kamienicy czynszowej Toniego von Burga nadal mieszkała rodzina z córką Ursulą, która swoim niestosownym zachowaniem nieodmiennie dostarczała tematu do rozmów porządnym obywatelom.

Trude słyszała niejednokrotnie o bulwersujących wystąpieniach tej dziewczyny na forum publicznym. Ursula Mohn była trochę starsza od Bena i jak na swój wiek stanowczo zbyt rozwinięta. Ludzie opowiadali,

że nie wie, co to wstyd, na środku ulicy zdejmuje sweter, żeby zwrócić uwagę przechodniów na swoje pączkujące piersi. Zaczepia mężczyzn na klatce schodowej, kiedy wracają z pracy i kobiety w suszarni, kiedy rozwieszają swoje desusy na sznurku. Na Lerchenstrasse nie było się skazanym na towarzystwo Gerty Franken, która wyklinała proboszcza przed ołtarzem i próbowała ostrzegać cały świat przed Benem.

Zarząd miasta wyprawił Gercie skromny pogrzeb, a w rozrachunku skasował działkę razem ze zjedzoną przez robaki chatką i zdziczałym ogrodem. Już dwa dni po pochówku na parceli Gerty Franken pojawiły się koparki. Wieczorem w miejscu, z którego można było tak dobrze obserwować ogród, drogę polną, warzywnik Trude i jabłonkową łąkę leżała tylko kupa gruzu, wspomnienie po sędziwej chatce i jej właścicielce, ale i ona znikła już następnego dnia. Wywieziono ją na jabłonkową łąkę i zasypano ostatnią sztolnią, nie pytając Jakoba o pozwolenie. Nikt nie miał na to czasu. W ten sposób na jednym ogniu upieczono dwie pieczenie.

Panowie radni naprawdę cholernie się spieszyli. Przez wiele lat dom Gerty Franken był im solą w oku. Teraz parcela została podzielona na dwie części. Obie zostały sklasyfikowane jako grunt pod budowę domów mieszkalnych, obiecując pokaźny zysk dla kasy miasta. Działka położona przy Bachstrasse została natychmiast sprzedana pewnemu radnemu, który był szybszy niż Heinz Lukka, a może też trochę bardziej majętny. Radny ten wybudował sobie willę z basenem i ogrodem w stylu angielskim i odgrodził się wysokim murem od leżącej po sąsiedzku jeżynowej dżungli i ciekawych spojrzeń.

Nie znalazł się żaden kupiec na drugą działkę z dojazdem przez polną drogę, na ten tak brzemienny w zdarzenia kawałek ziemi, pośrodku którego stała stara grusza i poidło. Możliwe że wielu odstraszała porastająca ją kolczasta dżungla. Gdyby zarząd miasta kazał również i tę część zrównać z ziemią, z pewnością szybko doszłoby do sprzedaży. Jednak nikt o tym nie pomyślał. Działka została jedynie wyposażona w podłączenie do kanalizacji i wodociąg.

Aby potencjalny kupiec mógł natychmiast przystąpić do budowy, niewielki fragment wodociągu przeciągnięto nad ziemią zaopatrzone w kranik i wkrótce o nim zapomniano.

Zarząd miasta miał teraz inne zmartwienie. Jakob Schloesser! Był ostatni. Richard Kressmann od wielu lat mieszkał ze swoją rodziną z dala od wsi, w polu. I nie narzekał sobie. Bruno Kleu z własnej inicjatywy zdecydował się pójść w ślady Richarda. W szczerym polu nie było ciekawskich sąsiadów, którzy przyglądali się ukradkiem spoza firanek, jak Bruno wychodzi wieczorem z domu i wraca późną nocą.

Paul Laessler był również zdecydowany przenieść swoje gospodarstwo z dala od Bachstrasse, kiedy udało mu się wynegocjować zwrot kosztów budowy nowego domu mieszkalnego i budynków gospodarczych. Starym obejściem Paula przy Bachstrasse interesował się dobrze sytuowany artysta, który chciał przebudować stodołę na swoje atelier. Paul zrobił przy tej okazji niezły interes. Toni von Burg nie zmienił adresu – ze swoimi indykami i supernowoczesnymi wylęgarniami na krańcach miasta nie mógł nikomu przeszkadzać.

Kiedy Jakob słyszał szumne określenie „miasto” dla tej małej, obskurnej dziury, uśmiechał się z politowaniem. Mania wielkości ogarnęła wszystkich, od kiedy w Lohbergu powstało kilka niewielkich zakładów przemysłowych i pieniądze z podatków zaczęły płynąć do kasy miasta nieco większym strumieniem. Cóż z tego, kiedy zaraz wyrzucono je przez okno, przeważnie w samym Lohbergu, w którym jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać najrozmaitsze reprezentacyjne budowle. Kloc ze szkła i betonu – nowy ratusz razem z halą miejską. Nowy kompleks basenów. Wielka hala sportowa przy gimnazjum, w której urzędowały teraz trzy kluby sportowe.

Lohberg zmieniało oblicze, miało teraz nowoczesne centrum handlowe, dla którego musiano zbudować nową drogę objazdową, otrzymało nowe strefy z ograniczonym ruchem kołowym, place zabaw, wesołe miasteczka i nowe przedszkole z kuchnią i toaletami przystosowanymi dla dzieci. A w szkole podstawowej we wsi wciąż lało

się przez dziury w dachu, wciąż zwalniano dzieci z lekcji sportu, kiedy pogoda nie dopisywała, ponieważ prowizoryczna przybudówka, w której mieściła się sala gimnastyczna, w każdej chwili groziła zawaleniem. A Erich Jensen utrzymywał, że chłopskie gospodarstwo ma się nijak do wizerunku nowoczesnego miasta.

O tym, co naprawdę mu przeszkadzało, Erich nie mówił. Chłopak, który od czasu do czasu uciekał swojej matce. Który biegał po ulicach i wyzywał małe dziewczynki od ścierw. Właśnie skończył jedenaście lat i był prawie tak duży jak jego ojciec. Ludzie szeptali po kątach, że niedawno Ben zaatakował Heinza Lukkę.

Adwokat, który był członkiem rady miejskiej, udał się któregoś dnia do szkoły podstawowej, aby przeprowadzić rozmowę z jej dyrektorem. Chodziło o budowę nowej sali gimnastycznej. Kiedy Heinz Lukka opuścił szkołę i chciał wsiąść do swojego samochodu, Ben ruszył na niego. Stary adwokat omal nie runął na ziemię. Thea Kressmann widziała to na własne oczy i jeszcze tego samego wieczoru opowiedziała o całym zajściu Richardowi, a następnego dnia wszystkim, którzy chcieli jej słuchać.

Heinz Lukka śmiał się z jej opowieści, pukając się w czoło. Napadnięty – wierutna bzdura! Stojący po drugiej stronie ulicy Ben zobaczył go wychodzącego ze szkoły, w wielkiej radości rzucił się w jego stronę, przebiegł przez ulicę i skoczył na niego. To prawda, dość gwałtownie, ale z całą pewnością bez złych zamiarów. Chłopak ma w sobie tyle ekspresji. A poza tym, kto śmiałby zabronić temu biednemu dziecku radości i odmówić mu prawa do odrobiny czułości? I co to w ogóle znaczy wyklina dziewczynki? Heinz Lukka twierdził, że jest zupełnie odwrotnie. Biedny chłopiec, gdzie tylko się pojawi, zaraz słyszy: „Odczep się, idioto!”. Czy nie ma prawa bronić się, czy nie może nawet się odszczeknąć? Przecież nie robi nic więcej, tylko krzyczy.

Heinz Lukka próbował również zachęcić Jakoba do przeprowadzki, argumentował spokojem wynikającym ze znacznego oddalenia od wsi – i swoimi własnymi planami. Kiedy sprzątnięto mu sprzed nosa

działkę przy Bachstrasse, Lukka nie zamierzał zadowalać się zapuszczoną, zdziczałą resztą i ostrzył sobie zęby na gminną łąkę w nadziei, że rada miasta nie będzie rzucać mu kłód pod nogi. Na cóż miastu gminna łąka?

Heinz Lukka przyszedł do nich pewnego wieczoru, przynosząc kilka projektów domów jednorodzinnych i w głębi duszy miał nadzieję, że tym sposobem zmobilizuje Jakoba do szybszego działania. Jakob przyjrzał się planom i pozwolił sobie wyjaśnić, jak Lukka wyobraża sobie swój przyszły dom. Część mieszkalna zwrócona na południe, ze stylowym kominkiem i wielkim tarasem. W piwnicy siłownia, wykładana kafelkami od podłogi aż po sam sufit, z prysznicem, sauną i wszystkimi tymi nowoczesnymi przyrządami, które pozwalają utrzymać ciało w dobrej formie.

Jakob zadawał sobie pytanie, czy Heinz Lukka nie zwariował aby do reszty, mężczyzna w jego wieku i z jego wiedzą, że też przychodzą mu do głowy podobne bzdury. A może uroił sobie, że hantle i inne cuda zrobią z ogrodowego krasnala Herkulesa. Ale nie skomentował tego na głos. Na zakończenie Lukka powiedział, że specjalnie dla Paula i Antonii Laessler miasto poszerzyło wąską drogę polną prowadzącą z południa do szosy i nawet wyasfaltowało ją na własny koszt. Dla Jakoba i Trude również przewidywano zbudowanie prywatnej drogi lub ewentualnie doprowadzenie do porządku którejś z istniejących już dróg, na przykład tej, która prowadziła dawniej do starego gospodarstwa Kressmanna.

Ale Jakob pozostawał głuchy na naciski z zewnątrz, jak nazywał dobre rady swoich znajomych. Siłą nie mogli go przepędzić. Dobrze o tym wiedział i nie dał się zastraszyć tak jak Trude, która coraz częściej występowała z propozycją, żeby przemyśleć dogłębnie całą sprawę. Z czasem jej prośby stały się coraz bardziej energiczne, przy czym mówiła tylko połowę tego, o czym powinna była powiedzieć Jakobowi.

Wprawdzie Ben większość czasu spędzał w swoim domku na starej gruszy albo bawił się przy poidle, ale jeśli Trude nie kontrolowała go

co kwadrans i nie przynosiła mu lodów lub czekolady, przepadał jak kamień w wodę i musiała potem szukać go do wieczora.

Ludzie nie kłamali. Biegał przez całą wieś za dziewczynkami, wrzeszcząc za nimi na całe gardło „ścierwo”. To z pewnością było nieprzyjemne, ale wciąż jeszcze względnie nieszkodliwe. Niebezpiecznie robiło się dopiero wówczas, kiedy znalazł jakiś nóż. A znajdował również wtedy, gdy Trude myślała, że wszystkie noże pozamykała. Wtedy wymachiwał nożem dzieciom przed oczami i krzyczał: „Paluchy precz! Amen!”. We wsi zaczęto mówić głośno, że jest niebezpieczny dla otoczenia. Po każdym takim incydencie Trude tłumaczyła wszystkim zainteresowanym, aż ją bolały usta. Że jej syn nie chce nikogo skrzywdzić, że nie ma nic złego na myśli. Że chce tylko ostrzec dzieci, aby pod żadnym pozorem nie brały noża do ręki, ponieważ on sam poranił się już na wszelkie sposoby.

Tymczasem kłamała dla niego tak przekonująco, że niekiedy sama zaczynała wierzyć w to, co mówi. No cóż, ćwiczenie czyni mistrza... Ale co się stanie, kiedy Ben dorośnie? Przecież nie wykastruje go jak kocura. A mieszkanie z dala od wsi, od ludzi, to było już jakieś rozwiązanie.

Pewnego wieczoru, było to późnym latem osiemdziesiątego czwartego, Trude po raz kolejny próbowała przekonać Jakoba. Tego dnia wpadła na godzinę do nowego domu Laesslerów, żeby odwiedzić swoją najmłodszą córkę. Poszła tam razem z Benem, którego już nie pozostawiała bez opieki, ale o tym nie wspomniała Jakobowi. Miała w tym swój cel. Mówiła o innych sprawach.

Cóż za wspaniały dom wybudowali sobie Antonia i Paul, wszystko takie jasne, takie duże i nowoczesne. A wokół żywego ducha, nikogo, kto mógłby złościć się i zgłaszać jakieś pretensje. Trude i Antonia piły kawę w największym pokoju, a tymczasem dzieci bawiły się na podwórzu. Andreas i Achim pędzili na swoich nowych rowerach przez kałuże i krzyczeli z radości, kiedy błoto rozpryskiwało się na wszystkie strony. Anette bawiła się ze swoją przyjaciółką w wybory miss. Nastawione na cały regulator radio tranzystorowe ryczało jak opętane,

dziewczęta paradowały po podwórzu niemal gołe, przysłaniając jedynie biust i pupę maleńkimi skrawkami materiału. I nikomu to nie przeszkadzało.

Obie pieszczoszki Britta i Tanja pluskały się w ustawionym na tarasie nadmuchiwanym basenie, od czasu do czasu zanosiły wiaderka z wodą na podwórze i wlewały ją do kałuż, swawoliły razem z chłopcami i wrzeszczały z nimi na wyścigi. Krótko i na temat, hałas był piekielny i nikt się nie skarżał.

W całej swojej długiej przemowie, w której przedstawiała zalety położonego w polu obejścia, Trude ani razu nie wspomniała o Benie, który krążył nieustannie między „miskami” i pomiędzy maluchami w basenie, wrzeszczał na całe gardło swoje „ścierwo” i „ślicznie” i wymachiwał jak szalony rękami.

Trude powiedziała tylko, że kiedy jest zła pogoda, Antonia zawozi dzieci do szkoły swoim samochodem, a po lekcjach je odbiera. Poza tym Anette i obaj chłopcy jeżdżą do szkoły na rowerach. A Ben nie umiał jeździć na rowerze.

26 sierpnia 1995

Było wpół do szóstej, kiedy wrócili do domu. Jakobowi burczało w brzuchu, dopiero teraz poczuł, że jest głodny jak wilk. Trude stanęła przy kuchni. Zaledwie wyjęła patelnię i wbiła kilka jaj, Ben zasiadł do stołu. Jakob również został w kuchni, chcąc wykorzystać okazję, aby porozmawiać z nią w spokoju. Przede wszystkim o tym, co chodziło mu po głowie podczas spaceru. Może rzeczywiście – jak sugerował jego kolega z pracy – należało porozumieć się z policją i pozwolić, aby Ben został skonfrontowany z jakimś specjalistą. Jakob mówił i mówił, przerzucając się z tematu na temat, ale jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał od Trude, były tylko jej zranione spojrzenia, które powiedziały mu aż nadto.

Jakob był teraz święcie przekonany, że nie powiedziała mu o czymś niezwykle ważnym. Czuł wewnętrzne drżenie, jakby między jego sercem a żołądkiem przeciągnięto mocno naprężony drut. I wszystkie te obrazy w głowie, paradna lalka i młode kobiety, lornetka i składana łopatka, strzęp materiału w weku i kolorowa kurtka! Przynajmniej to ostatnie należało bezwzględnie wyjaśnić, zanim Trude postrada resztki swoich sił – i zdrowego rozsądku. Przedtem jednak musiał się upewnić, czy Edith Stern była rzeczywiście u Heinza Lukki, a jeśli tak, to na jak długo zatrzymała się w jego domu i gdzie potem poszła.

W okamgnieniu uwinął się z kolacją, chwycił za słuchawkę i w pierwszej kolejności porozmawiał z Wolfgangiem Rühpoldem, który nie mógł mu jednak w niczym pomóc i opowiedział tylko o porannym telefonie Trude. Wtedy Jakob wyprowadził ze stodoły starego

mercedesa i pojechał do Heinza Lukki.

Potrzebował na to kilku minut. Jakob wykorzystał ten czas, żeby przygotować się do czekającej go rozmowy i uporządkować kilka spraw. Lukka z pewnością nie byłby uszczęśliwiony, słysząc, że Edith Stern opowiedziała Jakobowi o prawdziwym powodzie swojej wizyty w jego domu. Kiedy zatrzymał się przed bungalowem Lukki, miał przynajmniej gotowe zagajenie. Niewiele tego, ale na początek może wystarczy.

Heinz Lukka nie był zdziwiony, widząc Jakoba. Zaprosił go do wielkiego salonu i poprosił, żeby zajął miejsce w fotelu przed kominkiem. Jakob usiadł, chrząknął i opowiedział, że wczoraj wieczorem podwiózł do polnej drogi młodą Amerykankę, która chciała złożyć wizytę w tym domu. Ponieważ była tutaj obca, a nie wiedziała, ile potrwa jej wizyta i czy o tej porze znajdzie jeszcze gdzieś nocleg, Jakob zaproponował jej, żeby przenocowała u nich.

Jakob kłamał ze wzrokiem wbitym w podłogę, skrzyżowane ręce dyndały pomiędzy rozkraczonymi nogami. Razem z Trude czekali na nią do północy, ale dziewczyna nie zjawiła się i Jakob chciał już zatelefonować do Heinza, rozmyślił się jednak, ponieważ uznał, że Heinz również zaproponował jej gościnę albo młoda Amerykanka z sobie tylko wiadomych powodów wołała jak najszybciej wynieść się ze wsi. Mając to na uwadze, nie chciał przeszkadzać Heinzowi w środku nocy. Tak się jednak złożyło, że Ben znalazł dziś rano jej kurtkę. A Jakob natychmiast ją rozpoznał, kiedy wrócił do domu.

Jakob dobrnął do końca swojej opowieści, chciał jeszcze coś dodać, ale Heinz Lukka przerwał mu ze znużoną miną: „Nie wysilaj się, Jakob. Z tym «jak najszybciej wynieść się ze wsi», kłamiesz jak diabli, dobrze o tym wiesz. Przecież ta Stern opowiedziała ci, czego ode mnie chce. Mnie w każdym razie powiedziała, że wtajemniczyła cię w swoje sprawy. Mówiła również, że odwdzieczyłeś się jej tym samym i opowiedziałeś jej to i owo”.

Jakob poczuł niejako ulgę. Wprawdzie nieco podkoloryzował swoje zagajenie i nawet zastanawiał się, czy w razie czego nie twierdzić, że

podwiozł Edith Stern aż do kukurydzy, czyli niemal pod same drzwi Lukki. Mimo to jednak nie bardzo wiedział, jaką obrać strategię, na wypadek gdyby Heinz był zdziwiony, ponieważ tego wieczoru nikt nie zapukał do jego drzwi.

Kiedy Jakob nie odpowiadał, tylko w widoczny sposób zmieszany jeszcze niżej spuścił głowę, Heinz Lukka westchnął. „Tak, przyznaję, to była bardzo niemiła sytuacja. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to dopadnie mnie kiedyś w taki sposób. Po pięćdziesięciu latach z okładem”.

W salonie zabrzmiał jakiś dźwięk. Gorzki śmiech – albo szloch. „Ten przeklęty przez Boga czas ciągnie się za człowiekiem aż do samego grobu. Słyszałem... że znalazłeś Edith?”.

„Razem z Paulem” – powiedział szybko Jakob.

„Dlaczego tego nie zgłosiliście?”.

Jakob wzruszył ramionami. „Dlaczego ty tego nie zgłosiłeś”? Na pewno dostałbyś medal”.

Heinz Lukka milczał, twarz wykrzywił mu brzydki grymas. Po kilku sekundach zapytał cicho: „Czy tylko o to ci chodziło, czy też Ben naprawdę znalazł jej kurtkę?”.

„Znalazł – powiedział Jakob. – Gdyby nie to, wcale bym do ciebie nie przyszedł”.

„Dziwne – odparł Heinz Lukka i zmarszczył czoło. – Zwykle nigdy nie biega do szosy. Chciała jechać do Lohbergu. Zaproponowałem jej, że ją podwiozę. Odmówiła. Nawet nie pozwoliła, żebym zamówił taksówkę. To tylko cztery kilometry, powiedziała. A ona jest przyzwyczajona do długich marszów”.

Jakob skinął głową w zamyśleniu. „Tak, mnie powiedziała to samo. Mimo wszystko, czy nie uważasz, że powinniśmy zameldować o tym policji?”.

„Co takiego? – zapytał Heinz Lukka, jakby nie rozumiejąc. – Zameldować, o czym? Że Ben znalazł jej kurtkę? Nie sądzisz, że policja ma w tej chwili inne zmartwienia. W dalszym ciągu nie mają zielonego pojęcia, gdzie się podziewa córka Marii”.

Jakob milczał. A Heinz Lukka wyjaśnił: „Pani Stern nie założyła na siebie kurtki, tylko wsunęła ją pod pasek u plecaka. Rzeczywiście, na dworze było bardzo ciepło. A do tego strasznie się spieszyła, była zdenerwowana i chciała jak najszybciej stąd pójść. Szczerze mówiąc, wcale się jej nie dziwię... Biegła do furtki, jakby diabeł ją gonił”.

„To znaczy, że naprawdę ją zgubiła” – podsumował Jakob i pokiwał głową.

W głosie Heinza Lukki pobrzmiwało niezrozumienie. „A cóżby innego?”. Potem jego głos stał się bardziej dobitny. „Jakob, czy ty naprawdę myślisz, że Ben zabrał jej tę kurtkę?”.

Kiedy Jakob nie odpowiedział, Heinz Lukka pokiwał głową z goryczą. „Co ty właściwie o nim myślisz?”. I zaraz potem zapewnił gorąco: „Nie było go tutaj, Jakob. Przysięgam. Poszedłem z nią do drzwi i patrzyłem, jak idzie – a właściwie biegnie do drogi. A jego nie widziałem. Gdyby tutaj był, zobaczyłby mnie i przyszedł na taras. Zawsze przychodzi, kiedy mnie zobaczy”.

„Nie myśl, że podejrzewam Bena o coś złego – sprzeciwił się Jakob z niechęcią. – Całą noc spędził w swoim łóżku. Trude źle się czuła, nie mogła spać, chodziła po korytarzu i kilka razy zajrzała do jego pokoju”.

Heinz Lukka znów pokiwał głową zaśmiał się cicho, nieprzyjemnie. „No cóż, jeśli tak sprawy się mają to w takim razie – o co ci chodzi? Tych dwóch typów, którzy wzięli do samochodu córkę Marii, jest znów na wolności. Tylko że ja nie wierzę w cuda i nikt mi nie wmówi, że zjawili się tutaj ni z gruszki, ni z pietruszki, żeby poderwać młodą Amerykankę”.

Jakob sam nie wiedział, jak to się stało, że właściwie wcale tego nie chcąc, opowiedział o wszystkim, czego dowiedział się poprzedniego wieczoru w gospodzie Ruhpolda. Heinz Lukka przysłuchiwał się jego opowieści na poły rozbawiony, na poły zaintrygowany.

„Patrzcie go, kto by pomyślał, że taki z niego ptaszek – powiedział na koniec. – Dieter Kleu. Ale wiesz, co ci powiem, niedaleko pada

jabłko od jabłoni. Tylko że ten chłopak nie ma nawet osiemnastu lat. Już prędzej pomyślałbym o Brunie. Nieraz widziałem go, jak wyjeżdża nocą nie wiadomo po co do rozpadliska albo do Bendchen. Czego tam szuka o tej porze? Patrzy jak rosną jego buraki? Domyślam się, że w tym momencie nie ma na podorędziu niczego interesującego, stary łajdak. Ale żeby Renate nie pomyślała sobie, że wyszedł z wprawy, robi tutaj kilka rund. A jeśli po drodze spotka jakąś laleczkę...”.

W jego głosie zabrzmiało szyderstwo, a Jakob uznał, że co jak co, ale to nie jest odpowiedni temat do żartów. Pożegnał się do pewnego stopnia uspokojony, ale też z mocnym postanowieniem, że nie przestanie dalej węszyć, że nie odpuści. Za nic w świecie. Nawet jeśli ta kurtka tysiąc razy spadła z plecaka na drogę, a Edith Stern w pośpiechu nie zauważyła zguby. Jakob był uczciwym człowiekiem. Przemilczeć, że Ben znalazł kurtkę, to oznaczało w jego oczach coś ukryć, zatuszować. A to nie było im potrzebne, jeśli Bruno Kleu jeździł nocą po polach.

Z bungalowu Lukki Jakob pojechał wprost do gospodarstwa Laesslerów. Cała rodzina siedziała przy kawie w pokoju mieszkalnym. Jakob wolał porozmawiać z Paulem w cztery oczy, ale ponieważ nikt nie kwapił się do wyjścia, chcąc nie chcąc, opowiedział pokrótce, kogo zabrał zeszłego wieczoru swoim samochodem z gospody Ruhpolda i co znalazł Ben przed południem.

Paul przez cały czas kręcił głową z niedowierzaniem. „Edith Stern – powtórzył kilka razy. Widać było, że jest bardzo wzruszony. – Coś takiego, słowo daję. A co powiedział ci Heinz?”.

Jakob opowiedział wszystko po kolei, nie wspominając jednak o nocnych wyprawach Bruna Kleu. Paul przysłuchiwał się z uwagą słowom Jakoba, po czym wrócił do rozmowy o kurtce.

„Zgubiona – pokiwał głową w zamyśleniu. – A czy ty, Jakobie, też w to wierzysz?”.

„Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, w co mam wierzyć – odpowiedział Jakob szczerze. – I nie chcę zbywać tej sprawy jak Heinz”.

„Czy myślisz, że tej kobiecie coś się stało?” – zapytała z niepokojem Antonia.

„Nie – powiedział Jakob. – Chciałbym się tylko dowiedzieć, gdzie ona teraz jest. Może trzeba by się rozejrzeć w Lohbergu na dworcu”.

„Teraz nikogo tam nie złapiesz – wyjaśnił Paul. – Marne szanse, że ktoś widział ją na dworcu. W soboty kasa jest nieczynna. Lepiej zadzwonić na policję”.

„Heinz uważa, że to jest zbyteczne”.

Paul uśmiechnął się krzywo. „Heinz uważa, a Trude mówi. A teraz ja ci coś powiem, Jakob. Guzik mnie to obchodzi, co Heinz uważa, a Trude mówi. Czy widziałeś na własne oczy, że Ben leżał przez całą noc w swoim łóżku? Nie! I dlatego teraz się zamartwiasz. Ponieważ dokładnie wiesz, że od dawna już nie możesz wierzyć we wszystko, co mówi Trude”.

Zanim Jakob mógł zaprzeczyć, Paul wziął głęboki oddech, spojrzał przelotnie na swoją żonę, jakby szukał u niej poparcia i powiedział: „Nie mam nic do Bena, Jakobie. Ale nawet Antonia uważa, że przez jakiś czas powinniście trzymać go nocą pod kluczem. Wiesz, co robi twój syn? Bawi się w łapanie naszych dziewcząt, biega za nimi i niemal przewraca je na ziemię. A jeśli zrobi to samo z obcymi... My znamy go już dostatecznie długo. Osobiście nie podejrzewam go o nic złego. Ale ani ty, ani ja nie możemy wiedzieć, co mu chodzi po głowie. No cóż, ja już ostrzegłem moje dwie. Wolę, żeby trzymały się od niego z daleka. Nie chciałbym znaleźć pewnego dnia którejś z nich jak Ursulę Mohn przed ośmiu laty”.

Moje dwie! Jakob poczuł bolesne ukłucie w sercu. Jedna z tych dwóch była jego córką. A Ursula Mohn, o której wspomniał Paul... To była rzeczywiście straszna historia. „Ale co ma z tym wspólnego mój syn? – wybuchnął Jakob. – Nic, zupełnie nic. Powinieneś to wiedzieć lepiej niż ja”.

„To i owo wiem rzeczywiście lepiej od ciebie” – powiedział Paul i zamilkł, kiedy napotkał ostrzegawczy wzrok Antonii.

Decyzja Antonii

Trude robiła wszystko, co w jej mocy, żeby całe zło trzymać z dala od Bena, jego zaś – z dala od innych ludzi. Rezultaty były jednak mizerne. Przez całe lata Antonia przyglądała się milcząco jej rozpaczliwym staraniom i często myślała, że Trude popełniała największe błędy w dobrej wierze.

Czasami Antonia zadawała sobie pytanie, jakim człowiekiem byłby teraz Ben, gdyby wtedy, przed laty zaproponowała, że weźmie go do siebie zamiast jego nowo narodzonej siostrzyczki. Gdyby dorastał razem z jej synami, gdyby mógł się na nich wzorować. Andreas i Achim nie byli niewinnymi jagniątkami. Mimo to z pewnością byłiby dla niego lepszym towarzystwem niż jego dwie wrogo do niego nastawione siostry. A Paul też byłby prawdopodobnie lepszym ojcem niż Jakob, który z całkowitej bezsilności wcale nierzadko wpadał w szał i pastwił się nieludzko nad swoim synem. A Antonia nie chowałaby go przed światem ze wstydu lub strachu. Zwykle miała wyrzuty sumienia z powodu takich myśli.

Wiosną osiemdziesiątego piątego Antonia powiedziała do Trude któregoś dnia – właśnie tego dnia znów odezwały się w niej wyrzuty sumienia: „Dlaczego nie przyprowadzasz go do mnie po południu? Przecież on wcale mi nie przeszkadza, kiedy tutaj biega. A ty upiekłabyś dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ben przestałby włóczyć się po wsi, a przy okazji miałby regularny kontakt z innymi dziećmi. Trude, uważam, że to dla niego bardzo ważne. Nie możesz przez całe życie trzymać go z dala od wszystkiego i wszystkich. Musi wreszcie nauczyć się normalnie żyć”.

„Sama nie wiem – powiedziała Trude z wahaniem, zaskoczona jej propozycją. – Nie mogę od ciebie tego wymagać. Nie wiesz, na co się porywasz. Nie miałybyś chwili spokoju”.

„Zostaw to mnie, wiem co robię – powiedziała butnie Antonia i natychmiast odczuła ulgę jak człowiek, który wreszcie działa, zamiast tylko zastanawiać się nieustannie nad działaniem. – Bez obaw, poradzę sobie. Nie taki diabeł straszny... A o nasze dwie stokrotki nie musisz się martwić. Przecież sama widzisz, że nie robi im nic złego. Moi chłopcy też dadzą sobie z nim radę. Porozmawiam z Anette, żeby na niego nie krzyczała, nawet jeśli wyda się jej niezbyt mądry. Zobaczysz Trude, jeśli nikt nie będzie mu robił nic złego, to i on nic złego nikomu nie zrobi. Może dzięki temu uda mu się zapomnieć o wszystkich złych rzeczach, które spotkały go dotychczas. Oby tak się stało”.

Antonia nigdy nie dowiedziała się, komu Ben zawdzięczał swój pobyt w „odwróconym lejku”, a później w szpitalu. Ale była dobrym obserwatorem i z jego zachowania wysnuła pewne wnioski, które pozwoliły jej zbliżyć się do prawdy. Antonia wychodziła z założenia, iż fakt, że Ben kierował swoją wściekłość wyłącznie na większe dziewczynki, świadczy o tym, że został napadnięty przez jakąś dziewczynę i wrzucony przez nią do odkrytej sztolni. Wszelako nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ową dziewczyną była zazwyczaj łagodna, prostoduszna i nieco naiwna Baerbel.

Propozycja Antonii była bardzo kusząca, Trude musiała to przyznać. Cóż to byłaby za ulga, gdyby miała dla siebie codziennie kilka godzin, w czasie których nie musiałyby się martwić, spieszyć i wyglądać co chwilę przez okno, wiedząc, że Ben jest w dobrych rękach, u ludzi, wśród których dobrze się czuje i jest mile widzianym gościem.

Pewnego dnia w maju osiemdziesiątego piątego roku Trude po raz pierwszy przyprowadziła go wczesnym popołudniem do gospodarstwa Laesslerów, a potem przyprowadzała go tam dzień w dzień. I tak często, jak tylko było to możliwe, zostawała na godzinę lub dwie, żeby

zobaczyć, jak się zachowuje, czy nie robi kłopotu Antonii, czy nie denerwuje jej zanadto... Z początku poczuła lekką zazdrość, kiedy przekonała się, jak inny był poza rodzinnym domem. Przyjazny, delikatny, łagodny i cierpliwy – pusta głowa z oczami sowy i usposobieniem starego konia roboczego. Plany Antonii udawały się, jeden po drugim.

Kiedyś siedział obok Andreasa przy kuchennym stole i patrzył zafascynowany, jak jego starszy kolega wybebeszą i składa na powrót radio tranzystorowe Anette. Kiedy jedna maleńka śrubka potoczyła się pod szafę, to właśnie Ben był tym, który ją znalazł. Innym razem znów człapał obok Achima przez nową chlewnię i przypatrywał się z napięciem, jak karmi się świnię. Ciężkie wory, które Achim ciągnął za sobą po ziemi, Ben zarzucił sobie jak piórko na ramiona.

Z Tanją i Britta obchodził się zawsze z największą ostrożnością. Anette i jej przyjaciółka z początku były dla niego cierniem w oku. Kiedy zbliżały się do niego, dostawał małego rozumu, zaczynał szaleć, wrzeszczeć i kląć. Z czasem jednak się uspokoił. Przestały działać na niego jak płachta na byka. Obie dziewczyny nie zwracały na niego uwagi, dopóki zachowywał się jak dzikus. Kiedy łagodniał, wciskały mu do rąk słodczyce – zgodnie z instrukcją Antonii. W gruncie rzeczy była to prosta psychologiczna zagrywka: uczyć dobrego zachowania przez pochwałę i nagrodę. A Ben uczył się tego jak każde inne dziecko.

Wczesnym wieczorem Andreas lub Achim przyprawdzali go z powrotem do gospodarstwa rodziców. Później zostawał jeszcze chwilę w swojej dzicy obok warzywnika Trude, wspinał się po drabinie do domku na starej gruszy, skąd tak długo śledził wzrokiem odprowadzającego go chłopca Laesslerów, póki ten nie znikł mu z oczu. Wieczorem dawał rodzicom przedstawienie, pokazując z dużym talentem, co widział tego dnia w gospodarstwie swoich przyjaciół.

W stodole znalazł stare wiadro, którym napełnił poidło. Nosił litrami wodę do ogrodu starej Gerty i podlewał panoszące się wokół

zielsko. Swoje osty pielęgnował z taką czułością i oddaniem jak inni swoje najpiękniejsze róże. Na jabłonkowej łące zbierał upadłe na ziemię owoce, a potem zakopywał je skrupulatnie, tak iż na wiosnę osiemdziesiątego szóstego cała łąka pokryta była niezliczoną ilością przebijających przez ziemię młodych pędów jabłoni. Wszystkie zwiędły, ponieważ formalnie je przytapiał, lejąc na nie całe wiadra wody.

Jakob kiwał głową z zadowoleniem, widząc te – godne gospodarskiego syna – zabiegi i zaczął regularnie zabierać go na pole. Na krótką chwilę oddał się marzeniom, że przy odrobinie dobrej woli i odpowiednim prowadzeniu uda mu się przyuczyć go do sensownej pracy. Ale w tym względzie wszelkie starania okazały się daremne. Epoka kosi dawno minęła, w nowoczesnym gospodarstwie królowały maszyny, a tych Ben bał się jak ognia.

Po kilku zakończonych totalnym fiaskiem próbach Jakob machnął ręką, zrezygnował z dalszej edukacji syna i zostawił go w domu. A on skrył się szczęśliwy w swoim królestwie i spędzał tam całe przedpołudnie, jeśli Trude obiecała mu przy śniadaniu, że po obiedzie będzie mógł iść do gospodarstwa Laesslerów. Pod warunkiem, że nie ruszy się z ogrodu, a ona nie będzie musiała szukać go po całej wsi. Ta obietnica zawsze działała. Nie wystawił nawet jednej nogi na polną drogę. To był ten spokój, który utwierdził Jakoba w przekonaniu, że nowe gospodarstwo w szczerym polu to jest gra warta świeczki. A jego decyzja, którą podjął z wolnej woli, bez przymusu i nacisków ze strony rady miejskiej, bez dobrych rad tak zwanych życzliwych przyjaciół, taka decyzja miała swoją wartość. W lecie osiemdziesiątego szóstego Jakob wynajął ekipę fachowców, którym zlecił wybudowanie solidnego domu jednorodzinnego, stodoły i budynków gospodarczych. Zagwarantowano mu fachowość, rzetelność i szybkie tempo robót budowlanych. Jeszcze przed nastaniem zimy planowano postawienie domu w stanie surowym.

Rzeczywiście, robota szła żwawo, aż miło było patrzeć. Jakob czuł, że rosną mu skrzydła. Z Benem w szczerze pole, w domu tylko ich

trójka – Ben, Trude i on, a kiedyś – może już niedługo – dołączy do nich mała Tanja. Baerbel jeszcze przed przeprowadzką zamierzała wynająć umeblowany pokój w Lohbergu, żeby skrócić sobie drogę do pracy. W biurze marketu budowlanego Wilmrod uczyła się zawodu księgowej.

Trude jeździła często na plac budowy, kiedy uwinęła się z robotą w domu i w obejściu. Ben zawsze jej towarzyszył. Kiedy brała samochód, siedział obok niej. Chętnie z nią jeździł, ale tylko na krótkich odcinkach. Szybko się nudził. Ale kiedy mógł siedzieć na przednim siedzeniu, nie pajacował. Czasami brała rower, a wtedy on kłusował obok niej. Pokazywała mu drogę przy Bendchen i rozpadlisku prowadzącą do gospodarstwa Laesslerów i pozostawiała go tam samego, żeby zapoznał się z okolicą.

Zwykle biegał chwilę po placu budowy, taszczył kamienie z jednego miejsca na drugie, kładł gołymi rękami zaprawę murarską tam, gdzie wcale nie była potrzebna albo dreptał po świeżym klepisku, dopóki nie przepędził go majster.

Potem przenosił się na okoliczne pola i zwiedzał miejsca, do których nigdy przedtem się nie zapuszczał. Kiedy na którymś polu odkrył Jakoba, Paula i Bruna przy robocie, zatrzymywał się, wyciągał zza paska swoją pierwszą łopatkę, którą dostał od Trude na urodziny i kopał na między dołki, które potem na powrót zakopywał. Kiedy mężczyźni jechali wieczorem do domu, biegł za traktorem lub kosiarką w pełnym respektu oddaleniu.

W kwietniu osiemdziesiątego siódmego przeprowadzili się. Dla Trude to był początek nowego, lepszego życia. Nie było już wścibskich sąsiadów, wszystkie czynniki zakłócające zostały definitywnie usunięte. A Ben był wreszcie taki, jakim Trude zawsze chciała go mieć. Chłop jak dąb, ze swoimi czternastoma latami, który chichocząc, tarzał się po ziemi, kiedy matka łaskotała go po brzuchu. Taki, który wieczorem pocierał swój policzek o jej ramię. Taki, który raz lub dwa w tygodniu biegał do obejścia Laesslerów. Często nosił wtedy pod pachą skrzynkę, którą Toni i Ilia von Burg podarowali mu w kolorową

niedzielę. Nie umiał zliczyć do trzech, ale pokazywał swojej małej siostrze i Bricie Laessler, jak należy przeciskać przez odpowiednie otworki różnego kształtu klocki.

Antonia była uszczęśliwiona, widząc, jak dzielnie spisuje się jej podopieczny i nie raz i nie dwa po takim popołudniu mówiła do Paula: „To był najlepszy pomysł, jaki miałam w życiu. Powinnam była dawno to zrobić, wtedy sprawy nie zaszłyby tak daleko. Niech tylko ktoś mi teraz powie, że ten chłopak jest złośliwy. Ben to potulny baranek, trzeba tylko umiejętnie się z nim obchodzić”.

Antonia bardzo się cieszyła, kiedy w maju osiemdziesiątego siódmego ziściło się marzenie Jakoba i Trude, którzy tak długo czekali na ten dzień. Mówiąc ściśle, nie był to żaden szczęśliwy traf i nie całkiem przypadkowo Jakob zestrzelił ptaka. Wszystko było starannie przemyślane i z góry zaplanowane. Król kurkowy, tutaj nie chodziło wyłącznie o zaszczyty, splendory i uwielbienie tłumów, za tron trzeba było słono zapłacić. Ale Schloesserowie od lat zaciskali pasa, składali grosz do grosza, a budując nowy dom, byli bardzo powściągliwi.

W wielkiej mierze była to zasługa Trude, która zrezygnowała z nowoczesnej kuchni i nowych sypialni dla nich i dla dzieci. Zadowolila się starym kompletem wypoczynkowym w nowym pokoju mieszkalnym. Trude odkładała każdy zaoszczędzony grosz, nadzorowała przeprowadzkę, jednocześnie zaś troszczyła się o to, żeby Ben miał jakieś sensowne zajęcie. Za każdy kwiat ostu, za każdą skorupę i każdy kamień, które przynosił jej z pola, dostawał całusa i serdeczny uścisk. „Ach, jak się cieszę, że o mnie pomyślałeś. Mój dobry Ben, ty jesteś mój najlepszy”.

Rumienił się zawstydzony, spuszczał skromnie oczy, a następnego ranka znów wybiegał na dwór, żeby szukać nowych skarbów dla swojej matki. Niekiedy ogarniała go tęsknota, wtedy biegł do obejścia Laesslerów, płażał po podwórzu z Tanją lub Brittą albo brał je na barana, bawił się z nimi w chowanego, w berka i w sto innych zabaw. Był szczęśliwy.

Podczas gdy Trude szyła sobie suknię, w której zamierzała

wystąpić jako królowa na balu strzelców, on leżał z bijącym sercem pod łóżkiem Antonii i czekał w napięciu na moment, kiedy cieniutki dziecięcy głosik zawoła: „Mam cię!”.

Trude zastanawiała się, czy Ben ma towarzyszyć jej podczas jazdy w otwartym powozie czy też raczej powinna go zostawić na ten czas u Antonii, a on tymczasem zwiedzał rozpadlisko, grzebał pomiędzy górami gruzów i pewnego dnia znalazł tam małą grudkę brudu, którą uznał za wyjątkowo cenne znalezisko, po tym jak przez kilka minut obracał ją w palcach i pocierał o swoje spodnie. I rzeczywiście, tajemnicza grudka była pierścieniem zaręczynowym matki Richarda Kressmanna. Ale on tego nie wiedział, bo i skąd miałby wiedzieć, widział tylko, że pięknie błyszczała w słońcu. Miał przeczucie, że czeka go wielka pochwała, schował swój skarb do kieszeni spodni i pobiegł do domu.

Miał rację, Trude była zachwycona, wzięła pierścionek z jego rąk i schowała go do szuflady, postanawiając, że odda go przy okazji Richardowi Kressmannowi. Richard miał wilgotne oczy. Widać było, że jest bardzo wzruszony. Wtedy Trude zdecydowała, że Ben będzie jechał obok niej w powozie. Jeszcze tego samego dnia pojechali razem do krawca, u którego Trude zamówiła odświętny garnitur dla Bena.

W sierpniu osiemdziesiątego siódmego, było to w piątek w godzinach popołudniowych, Andreas Laessler spotkał się w Bendchen z Sabine Wilmrod. Sabine była o rok starsza od pierwotnego syna Paula. Kiedy randka dobiegła końca, spadkobierczyni marketu budowlanego w Lohbergu wsiadła do niewielkiego, ale eleganckiego auta, który był prezentem od jej ojca i pojechała do domu, wybierając drogę prowadzącą obok nowego obejścia Schloesslerów, a potem przez wieś, podczas gdy Andreas zdążył do domu wędrując polną drogą wzdłuż rozpadliska.

Jadąc przez wieś, Sabine Wilmrod zauważyła niezwykle ruch, przy drodze stało wielu ludzi, wszyscy sprawiali wrażenie bardzo podnieconych. Z naprzeciwka nadjeżdżał wóz patrolu policyjnego.

Przez umieszczony na dachu samochodu megafon apelowano do mieszkańców wsi o pomoc w poszukiwaniu szesnastoletniej Ursuli Mohn. Po dokładnym opisie dziewczyny następowała informacja, że chodzi o osobę upośledzoną umysłowo, która nie zna nawet swojego nazwiska. Jeśli ktoś spotka tę dziewczynę – grzmiał głos płynący z megafonu – powinien ją zatrzymać i jak najszybciej zawiadomić rodzinę Mohn, zamieszkałą przy Lerchenweg lub komisariat policji w Lohbergu.

Thea Kressmann opowiadała później, że wczesnym popołudniem pani Mohn, idąc do lekarza, zabrała ze sobą swoją córkę, której po kilku żenujących incydentach nie spuszczała już z oka, zabraniając jej samej wychodzić na ulicę. Kiedy pielęgniarka wywołała nazwisko Mohn, matka Ursuli weszła do gabinetu, pozostawiając w poczekalni córkę, która – jak się jej wydawało – była całkowicie pochłonięta jakąś grą. Nikt z oczekujących na swoją kolej pacjentów nie zatrzymał Ursuli, kiedy ta wyszła z poczekalni, nie czekając na matkę.

Młoda kobieta w rejestracji rozmawiała właśnie przez telefon i nie zwróciła uwagi na wychodzącą dziewczynę. Kilka minut później dwóch przechodniów widziało Ursulę siedzącą w rozpiętej bluzce na ławce przy rynku. Dokąd udała się stamtąd, czy ktoś ją zaczepił, czy wsiadła do jakiegoś samochodu, tego nie udało się, niestety, ustalić.

Kiedy Andreas Laessler dotarł do rozpadliska, było kilka minut po ósmej, poszukiwania Ursuli Mohn trwały już od kilku godzin. Andreas zobaczył w dole pomiędzy zwałami gruzów jakąś schyloną postać. Domyślił się, że to Ben, i szedł do rozpadliska, żeby odprowadzić go do domu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że Ben kuca nad nieruchomym, nagim ciałem młodej dziewczyny.

W pierwszym momencie Andreas oniemiał z przerażenia, po chwili jednak, zanim Ben zdążył go zauważyć, zaczął uciekać, co sił w nogach i po dziesięciu minutach wpadł bez tchu na podwórze. Chciał rozmawiać z Antonią, ale zderzył się w drzwiach z ojcem, dyszał ciężko, jąkał się i trząsał nerwowo głową. Najwyraźniej był w szoku po tym, co zobaczył. „Ben jest w rozpadlisku z jakąś dziewczyną –

wybełkotał w końcu. – Ona jest całkiem goła. Chyba nie żyje”.

Ursula Mohn żyła, co stwierdził z ulgą przybyły niewiele później Paul, była jednak ciężko ranna i cała zalana krwią. Na pierwszy rzut oka Paul policzył piętnaście ran ciętych i kłutych. W rzeczywistości było ich znacznie więcej. Do nagiego ciała dziewczyny przyklepiono kilka tuzinów mniejszych i większych listków zerwanych z rozmaitych roślin. Kiedy Paul ostrożnie je zdjął, jego oczom ukazały się dalsze rany.

Puls był jeszcze wyczuwalny, oddech regularny, choć bardzo słaby. Z powodu obficie krwawiących ran Paul nie odważył się jednak reanimować sam nieszczęsnej dziewczyny.

Ben kucnął obok Ursuli. W rękę trzymał kłęb zielska. Jego składana łopatką leżała nieco dalej w pokrzywach. Obserwował z uwagą drżące palce Paula, a w pewnym momencie pokazał na jedną ranę ciętą. „Boli” – powiedział cicho.

„Tak” – potwierdził Paul zachrypniętym głosem, który z ledwością wydobywał się z wyschniętej krtani, potem podniósł się i rozejrzał dookoła. Ani śladu ubrania dziewczyny. W odległości około dziesięciu metrów dostrzegł za to kopiec świeżo wykopanej ziemi, podszedł bliżej i wtedy jego oczom ukazał się płytki, prostokątny dół odpowiadający długością ludzkiemu ciału.

Paul zamknął na chwilę umęczone oczy, potem znów je otworzył, popatrzył chwilę na leżącą nieopodal składaną łopatkę, wskazał ręką na dół i starając się zachować spokój, zapytał: „Czy to ty wykopałeś ten dół?”.

Ben nigdy nie odpowiadał wprost, nigdy nie mówił tak lub nie. Kiedy go o coś pytano, po prostu kiwał głową albo kręcił nią przecząco. I tak jak Trude przed laty, tak teraz Paul doszedł do wniosku, że jego odpowiedzi nie są uwarunkowane charakterem pytania, ale raczej tonem, w którym zostało ono postawione. Paul starał się więc pytać neutralnym głosem. Żadnej reakcji. Zamiast tego Ben podniósł rękę, w której trzymał zielsko, dotknął trzech przyklejonych listków i powiedział: „Ślicznie”.

„Wstań – zażądał Paul. – Czy masz przy sobie nóż?”

Ben wyprostował się i potrząsnął głową. „Paluchy precz” – powiedział i dodał zduszonym głosem: „Ścierwo”.

Paul pokiwał głową. „... Potulny baranek, trzeba tylko umiejętnie się z nim obchodzić” – mówiła Antonia. A jeśli ktoś obszedł się z nim nieumiejętnie, to co wtedy? Paul pomyślał o wszystkich tych dziewczynach, które Ben gonił po wsi i wyklinał na całe gardło, którym wywijał przed oczyma nożem. Patrzył spłoszonym wzrokiem na pokrwawione ciało, przyjrzał się jeszcze raz składanej łopatkę, potem jego spojrzenie powędrowało do świeżo wykopanego dołu i znów wróciło do Bena. Nie było mu łatwo posługiwać się tą – jedyną w swoim rodzaju – formą komunikacji werbalnej, którą Ben operował na co dzień. Ale zrobił to w nadziei, iż w ten sposób otrzyma być może zrozumiałą odpowiedź. „Czy miałeś przy niej paluchy precz? Czy zrobiłeś boli tej ścierwo?” – powiedział wolno Paul, męcząc się przy tym okropnie.

Ben znów potrząsnął głową, bardzo wymownie i energicznie, jak uznał Paul. Dodatkowo wydał z siebie głębokie mruczenie i mrugał oczami, tak jak to podpatrzył u kotów. „Przyjaciół” – powiedział.

„Tak, jestem twoim przyjacielem – przytaknął Paul ochrypłym głosem. – Pokaż mi swoje kieszenie”. W tym momencie czuł się podle. Wszystko w nim stroszyło się przeciwko tego rodzaju interwencji, przeciwko obmacywaniu jego kieszeni, a jeszcze bardziej przeciwko konsekwencjom, gdyby rzeczywiście coś tam znalazł.

Ben znosił cierpliwie rewizję osobistą i nie protestował, kiedy Paul wywracał mu kieszenie. Nie znalazł noża, w jednej kieszeni odkrył natomiast małą grę, tanią plastikową rzecz, którą można było kupić na odpuście. Była to okrągła, przezroczysta puszcza, której dno wyposażono w kartonik z małymi otworkami. W owych otworkach należało umieścić trzy maleńkie srebrne kuleczki. Dwie z tych kulek były oczami kota, a trzecia tworzyła czubek kociego nosa.

Paul nie zwrócił większej uwagi na tę puszcę i po chwili oddał ją Benowi, który pochwycił ją z widoczną ulgą. „Ślicznie” – powiedział

i ostrożnie poruszał ją w dłoni, aż jedna z kulek wpadła na swoje miejsce.

Zanim upłynął kwadrans do rozpadliska dotarła Antonia. Przyjechała samochodem, o którym zaaferowany Paul jakoś nie pomyślał. Andreas czekał w domu na przybycie policji i lekarza pogotowia. Matka poinstruowała go szczegółowo, co wolno mu powiedzieć, a co należy bezwzględnie przemilczeć. Antonia nie zasypywała gruszek w popiele, wykorzystując czas, który pozostał im do nadejścia policji z Lohbergu. Kiedy łopatka Bena zniknęła w bagażniku jej samochodu, Antonia zatrzasnęła energicznie klapę bagażnika, po czym odwróciła się do Paula i przekonywała go gorąco o słuszności swoich kroków. „On tego nie zrobił, Paul! Czegoś takiego po prostu nie mógł zrobić! Ręczę za to. Spójrz tylko, próbował nawet ją ratować, opatrywał listkami”.

Paul nie miał jednak zamiaru wprowadzać w błąd funkcjonariuszy policji. Jeśli Ben nie zranił tej dziewczyny, policja sama to ustali, upierał się.

„A jeśli nie? – spytała Antonia. – Mogą przyczepić się do niego tylko dlatego, że nie znajdą nikogo innego. Masz pojęcie, co się będzie działo we wsi, jeśli ludzie dowiedzą się, że był tutaj. Zrobią z niego kozła ofiarnego. Pomyśl o Trude. Chcesz ją zabić?!”.

Tego Paul nie chciał. Opowiedział jej o dziwnym brzęczeniu, które wydawał z siebie Ben. Może próbował naśladować szmer silnika. Może słyszał, a nawet widział jakiś samochód?

A – jeśli nawet – powiedziała Antonia. – Czy naprawdę myślisz, że on potrafi opisać ten samochód albo podać numer rejestracji? Andreas może powiedzieć, że coś słyszał. Albo jeszcze lepiej ty. Tak właśnie zrobimy. Powiesz, że kiedy tutaj biegleś, słyszałeś po drugiej stronie warkot odjeżdżającego samochodu.

Paul poddał się w końcu z rezygnacją, tak jak zawsze poddawał się decyzjom swojej żony. Pomógł jej wepchnąć na przednie siedzenie wierzgającego Bena. Kiedy odjechali, Paul odkleił podeszłe krwią listki z ciała Ursuli Mohn i rozrzucił je na wszystkie strony świata.

Krwawe listki w rozpadlisku były dla nas nie lada zagadką. Ale nie zgadywaliśmy zbyt długo. Wszystko wskazywało na to, że brocząca krwią Ursula Mohn biegała wokół rozpadliska, usiłując wymknąć się swojemu prześladowcy.

Ciężko ranna, upośledzona umysłowo dziewczyna była przypadkiem, który po raz pierwszy sprowadził mnie do wsi. W przeciwieństwie do tragicznych wypadków, które rozegrały się latem dziewięćdziesiątego piątego, w sierpniu osiemdziesiątego ósmego istniały niezbite dowody wskazujące na popełnienie przestępstwa. My – mój młody kolega Dirk Schumann i ja – zostaliśmy natychmiast powiadomieni o wypadku. Krótco po dziewiątej wieczorem dotarliśmy do rozpadliska. W tym czasie Ursula Mohn leżała już na sali operacyjnej, a Ben – w swojej wannie.

Dopiero dziewięć lat później dowiedziałam się, że Trude wrzuciła do pralki wysmarowane krwią dresy Bena. Szczęście w nieszczęściu Jakob był jeszcze na polu, kiedy Antonia przywiozła Bena do domu i wyjaśniła szczegółowo całą sytuację. O tym, że był tego dnia w rozpadlisku, nie dowiedzieliśmy się wówczas. W osiemdziesiątym siódmym nie dowiedziałam się nawet, że ktoś taki w ogóle istnieje.

Zeznania Andreasa i Paula Laesslerów były wprawdzie bardzo skąpe, ale nie mieliśmy powodów, aby w nie wątpić. Andreas opowiadał skwapliwie o swojej randce z Sabine Wilmrod, a następnie opisał swoją drogę do domu koło rozpadliska. Natomiast Paul, zgodnie z zaleceniem Antonii, wspominał o warkocie samochodu.

Wyszliśmy z założenia, że Andreas Laessler swoim nieoczekiwanym pojawieniem się spłoszył sprawcę. Pomiędzy górami gruzu i bujnie pniącym się tutaj zielskiem mógł przenosić się niepostrzeżenie z jednej strony rozpadliska na drugą. Potem odczekał w swoim samochodzie, aż Andreas znikł z pola widzenia. Ubranie dziewczyny odkryliśmy następnego dnia pod kopczykiem świeżo wykopanej ziemi. Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni – sprawcy też nie.

Na podstawie złożonych zeznań oraz dowodów znalezionych na miejscu zbrodni sytuacja przedstawiała się dla nas następująco:

Sprawca zobaczył Ursulę Mohn na rynku, odczekał na odpowiedni moment i – niewidziany przez nikogo – zaprosił ją do samochodu. Wyjechał z nią ze wsi, a następnie zbliżył się od tyłu do rozpadliska, co miało dwojakiego rodzaju korzyści. Po pierwsze, jego samochód pozostawał niezauważony, a po drugie, lokalizacja, ta wykluczała możliwość zabezpieczenia śladów opon. Droga w tym miejscu była w jeszcze gorszym stanie niż ta, z której zazwyczaj korzystali mieszkańcy wsi.

Jedynym ryzykiem dla sprawcy polegało na tym, że musiał przejeżdżać obok gospodarstwa Laesslerów, zarówno w drodze do rozpadliska, jak i w drodze powrotnej. Antonia – co odpowiadało faktom – nie widziała, ani nie słyszała żadnego samochodu. Była zajęta pracą w domu. Paul i Achim Laessler późnym popołudniem i wczesnym wieczorem niemal przez cały czas byli w chlewni i również nie zauważyli niczego podejrzanego.

Z odległości więcej niż jednego kilometra nie sposób było usłyszeć krzyków Ursuli Mohn. Na polach w pobliżu rozpadliska w ciągu dnia nikt nie pracował. Żadnych świadków! Tego rodzaju sprzyjającą sytuację mógł teoretycznie wykorzystać tylko ktoś, kto znał dobrze panujące we wsi obyczaje i rozporządzał konieczną znajomością okolicy.

Z miejsca odrzuciliśmy hipotezę, że Ursula Mohn dotarła sama w okolice rozpadliska i dopiero tam spotkała swego oprawcę, zeznania Paula i Andreeasa Laessler wykluczały taką ewentualność. Choć z drugiej strony, czasu było dość, żeby dotrzeć tam na piechotę. Zniknięcie Ursuli po południu i jej odnalezienie w rozpadlisku dzieliło kilka długich godzin. Nikt nie wspominał o odpustowej grze, którą miała przy sobie jeszcze w gabinecie lekarskim. Tej samej grze, którą wieczorem znalazła w spodniach Bena Trude, dziwiąc się, skąd może mieć tę dziwną rzecz.

Jest raczej mało prawdopodobne, by Ben znalazł plastikową puszkę. I sam wpadł na to, jak się nią posługiwać, do czego służyły błyszczące kuleczki i małe otworki. Ale drobnostki łatwo popadają

w zapomnienie. A wobec kłamstw człowiek jest bezsilny, zwłaszcza jeśli brzmią przekonująco.

Kiedy wiele lat później Antonia wreszcie powiedziała całą prawdę, zapytałam ją bardziej zdziwiona aniżeli wytrącona z równowagi: „Co pani wtedy myślała?”.

„Przede wszystkim było mi żal Trude, chciałam oszczędzić jej nerwów – odpowiedziała z rozbijającą szczerością. – Ludzie wciąż wygadywali o nim różne bzdury. Pomyślałam, że jeśli policja weźmie się za Bena...”.

„A czy nie pomyślała pani – zapytałam, wpadając jej w słowo – o tej biednej dziewczynie?”.

Antonia milczała, zrobiła bezradny gest ręką, potem zaczęła płakać. Jeszcze dziś mam to przed oczami.

26 sierpnia 1995

Podczas gdy Jakob próbował dowiedzieć się czegoś od Heinza Lukki o ewentualnym miejscu pobytu młodej Amerykanki o brzemiennym w skutki nazwisku, Trude siedziała ze skrzyżowanymi rękami przy kuchennym stole. Nie mogła się skupić, nie mogła myśleć. W głowie lodowata pustka. Kiedy Jakob odjechał, Ben zaszył się w swoim pokoju, położył się na łóżku i skierował twarz ku oknu. A Trude wiedziała, dlaczego unikał jej towarzystwa.

Gdyby w środku wszystko nie było tak suche, rozplakałaby się jak dziecko. Tak bardzo chciała wierzyć w to, że wybaczy jej rany na plecach, tak jak dotąd wszystko jej wybaczał, ponieważ nie było nikogo innego, kto robił mu kanapki, mył tyłek i zapinał koszulę. Kiedy napięcie nieco opadło, wstała od stołu i wyszła z domu przez piwnicę, zakładając uprzednio gumowce. Przyniosła widły do gnoju i poszła do chlewu, żeby zająć się robotą i odsunąć złe myśli.

Przy dwóch świniach było niewiele roboty w porównaniu z czasami, kiedy chlew był jeszcze pełen żarłocznych, kwiczących ryjków. Obie loszki wyraźnie ucieszyły się na jej widok, ocierały się jak psy o jej nogi i popychały ją ryjkami. Trude macała to jedną, to drugą świnię po tłustych boczках i nie mogąc dłużej dusić w sobie suchego szlochu, dała upust całej swej niedoli.

„Musiał nieść coś na plecach – powiedziała do siebie albo do świń. A ktoś odpowiedział jej głosem: – Oczywiście, że niósł coś na plecach. Poranione, krwawiące ciało”.

Było to tak, jak gdyby w chlewie oprócz świń był ktoś jeszcze. Ten ktoś stał zawsze tuż za Trude, tak że nie mogła go zobaczyć. I ten

ktoś używał jej głosu. To musiał być jej rozsądek.

„Nie wierzę w to – Trude przeciwstawiła się swojemu rozsądkowi. – To musiało być coś mniejszego. Gdyby niósł na plecach kobietę, jego koszula byłaby też brudna na przodzie i na ramionach. A tam była przecież czysta, spodnie też. Na kurtce również nie było śladów krwi. Kiedy ją sobie przewiesił, jego koszula musiała być już sucha”. W czasie tego dziwnego dialogu-monologu ładowała ociekającą świńskim łajnem słomę na taczki. Trwało to dłuższą chwilę, zanim uporała się z robotą. Kiedy była gotowa, poszła do stodoły, żeby przynieść z górki trochę świeżej słomy. Paul Laessler nie miał nic przeciwko temu, żeby w razie potrzeby korzystała z jego zapasów. W swojej nowoczesnej chlewni praktycznie nie potrzebował słomy. Kiedy wspięła się po drabinie, zobaczyła przy okienku w dachu ciemną plamę na usłanej sieczką podłodze. Jej znaczenie pojęła dopiero wtedy, gdy podeszła do stojącej w rogu sąsiaka kupki słomy i zgarnęła ją na bok. Pod słomą leżał plecak z ciemnoniebieskiego perlonu, tak samo sztywny od krwi jak koszula Bena.

Trude zapomniała o obu świniach, które stały teraz na nagim betonie. Sztywny od krwi plecak był końcem jej nadziei. Żegnaj spokoju ducha! Plecak był duży, jednak nie tak duży, aby transportować w nim człowieka. W każdym razie nie całego... W częściach, pomyślała Trude w panice, poczuła gorące dławienie w gardle, zobaczyła się otoczona przez obcięte palce, oddzielone nogi, pocięty w kawałki tułów i wyjęte wnętrzności.

Rzeźnik, oprawca, kat!

Przypomniała sobie piosenkę, którą śpiewała, gdy była dzieckiem. Historia, którą opowiadała ta piosenka, podobno zdarzyła się naprawdę, jeszcze przed jej narodzinami. Potworna historia: mali chłopcy i młodzi mężczyźni przemieleni w maszynie do mielenia mięsa i przerobieni na kiełbasy. A ludzie zrobili z tego szyderczą piosenkę. „Poczekaj, poczekaj jeszcze troszkę, zaraz przyjdzie do ciebie rzeźnik. Małym toporkiem, toporeczkiem zapuka cicho do twych drzwi”.

Toporeczek!

Odrąbane palce!

Wahadło serce matki poszybowało znów w stronę niewinności. Odrąbane, nie obcięte, tego była zupełnie pewna, nagle stanął jej przed oczami palec jej ojca, ten zaś z całą pewnością był odrąbany. A Ben miał przy sobie tylko nóż. Wprawdzie dużym i ostrym nożem można również posługiwać się jak tasakiem, przemknęło jej przez głowę. Ale poprzedniej nocy miał przy sobie tylko nóż z zastawy stołowej, z falistym ostrzem i zaokrąglonym czubkiem. Ot, zwykły nóż do krajania chleba. Czy takim nożem da się pociąć na kawałki ludzkie ciało w taki sposób, żeby można je było transportować w plecaku, Trude pokręciła głową z niedowierzaniem. Niemożliwe!

Trude nie wiedziała – skąd zresztą mogła wiedzieć – że od piętnastu lat w jego posiadaniu znajdował się nóż sprężynowy, który często zmieniał kryjówkę – czasem leżał pod kupką słomy w sąsieku, a czasami w wykopanej w ziemi jamie. Przez wszystkie te lata nigdy nie widziała u niego narzędzia zbrodni, którym najprawdopodobniej została zamordowana Althea Belashi, a którą Ben znalazł w ogrodzie Gerty Franken albo – co równie prawdopodobne – na jabłonkowej łące w pobliżu „odwróconego lejka”. Miał wtedy wprawdzie dopiero siedem lat, ale nie był już tak głupi, by nie wiedzieć, że matka z miejsca zabierze mu jego skarb, jak tylko go zobaczy.

Trude schyliła się, chwyciła szybko za jeden z pasków plecaka, na którym tak samo jak przed kilku tygodniami na torebce Svenji Krahl znajdowały się rozmazane odciski krwawych palców i pociągnęła go za sobą do okienka. Kiedy szła zamyślona przez podwórze i wchodziła po schodach do jego pokoju, jeszcze nie wiedziała, co powinna zrobić w dalszej kolejności. Ale potem wszystko poszło niemal automatycznie.

Otworzyła drzwi, obrzuciła czułym spojrzeniem leżącego na brzuchu olbrzyma i powiedziała: „Jesteś moim dobrym Benem. Moim najlepszym. Pokaż mi, gdzie schowałeś to, co było w środku”. Mówiąc to, trzymała plecak w wyciągniętej przed siebie dłoni. „Jak mi pokażesz, dostaniesz coś ślicznego w nagrodę. Tort czekoladowy

u Sibylle i wielkie lody. A teraz chodź, nic ci nie zrobię, przyrzekam. Plecaka też ci nie zabiorę. Nie chcę go mieć. Chcę tylko zobaczyć to, co było w środku”.

Odwrócił od niej głowę, tym razem nawet jej dobre słowo nie skłoniło go do posłuszeństwa, Ben nie ruszył się z miejsca. Niewiele myśląc, zbiegła do piwnicy, przyniosła mu lody z zamrażarki i dopiero w ten sposób zmobilizowała go do tego, żeby wstał i poszedł za nią. Przy okazji wcisnęła plecak pod stos starych ubrań, które wysortowała na następną zbiórkę ubrań dla ubogich. Nie było czasu, żeby rozpałać pod kuchnią.

Wyszła na podwórze, on posłusznie szedł za nią, ściskając w pięści wafel, w pewnym momencie wyprzedził ją, ale nie poszedł w stronę rozpadliska, tak jak myślała. Trzymał się drogi i przy rozjeździe skręcił w lewo. Szedł w stronę jabłonkowej łąki, zrozumiała to dość szybko. Trude spieszyła za nim zdyszana wzdłuż drutu kolczastego, oczekując, że w którymś miejscu zatrzyma się i zacznie przeciskać się pod drutem. Ale on dobiegł do ostatniego palika, przystanął i obejrzał się za siebie. Kiedy zobaczył, że jego matka jest jeszcze daleko w tyle, zaczął przesuwać się ostrożnie – kawałek po kawałku – wzdłuż ogrodzenia i po mniej więcej ośmiu metrach znikł w kolczastej dziczy, która była niegdyś ogrodem Gerty Franken.

Trude zobaczyła jego głowę sterczącą ponad krzewami jeżyn. Kierował się w stronę domku na gruszy. To był błąd, że dała mu natychmiast lody, pomyślała z niezadowoleniem. „Nie, nie – krzyknęła, przyciskając obie dłonie od piersi, w której kłuło boleśnie. – Wracaj, nie możesz wchodzić na drzewo”. Sięgnęła do kieszeni fartucha, podniosła do góry tabliczkę czekolady z orzechami, chcąc w ten sposób zachęcić go do powrotu.

„Pójdziemy do rozpadliska – powiedziała – pokażesz mi, gdzie byłeś dziś rano i gdzie zawsze znajdujesz wszystkie te śliczne rzeczy”.

Najpierw zjadł czekoladę, a potem znów zaczął biec przed nią, kierując się w stronę ich obejścia, minął je i pobiegł dalej. To były dobre dwa kilometry. Trude prawie opadła z sił. Co chwila musiała się

zatrzymywać, żeby złapać oddech. Wtedy on również przystawał i czekał, aż podejdzie do niego bliżej.

Po godzinie dotarli do krawędzi rozpadliska. Patrzył wyczekująco na matkę. Nadchodziła powoli powłócząc nogami. Wydawało się, że jest u kresu sił. Z widoczną ulgą zatrzymała się przy krawędzi, a tymczasem on schodził w dół wąską ścieżką.

Trude, chwytając powietrze, naciskała: „Gdzie ją zakopałeś?”. Żeby dobrze zrozumiał, co ma jej pokazać, dodała lekko się zacinając: „Gdzie jest... ścierwo? Było przecież w plecaku. Gdzie to położyłeś?”.

Stał na dole, jakieś piętnaście metrów od niej, obok porośniętej mchem góry gruzów. Wyglądało na to, że chce odsunąć kilka kawałków gruzu. Ale po jej słowach nieoczekiwanie zmienił zdanie i zaczął wspinać się ku krawędzi rozpadliska.

Potem pobiegł dalej wąską drogą prowadzącą do gospodarstwa Laesslerów. Trude spieszyła za nim i nie wiedziała, skąd ma wziąć powietrze na następny oddech. Zobaczyła starego mercedesa Jakoba stojącego przed domem Laesslerów. To była chwila, kiedy chciała się poddać. Odsapnąć trochę u Antonii. Dać się odwieźć do domu przez Jakoba. I wyjaśnić mu potem, gdzie była i czego tam szukała? Poszła dalej. „Nie tak szybko, Ben – dyszała. – Już nie mogę”.

Sto metrów dalej, dwieście metrów. Zatrzymał się obok niej i przyglądał się jej z boku z zatroskaną miną. „Boli?” – zapytał.

„Tak, troszkę. – Trude pocierała ręką żebra, za którymi kłuło i piekło niemiłosiernie. – To serce. Ale da się wytrzymać. Nie mogę tylko biec tak szybko jak ty. Daleko jeszcze? Gdzie mnie prowadzisz?”.

„Ścierwo” – odparł krótko.

Trude musiała się zatrzymać, ponieważ w tym momencie poczuła, jak staje jej serce. Zacisnęła powieki, kiedy zawrót głowy doszedł do mózgu, w którym jak szalone wirowały damska torebka, dwa odrąbane palce, jaskrawożółte majteczki i sztywny od krwi plecak. Za żebrami znów dudniło, głowa wypełniła się hukiem i szumem jak gdyby szalał w niej huragan.

Ścierwo! Jeszcze tylko czterysta metrów dzieliło ich od kukurydzy.

Ben biegł dalej, ona sunęła za nim z wolna, jakby miała u stóp ciężarki z ołowiu, pod czaszką to nieznośne, obrzydliwe brzęczenie. Kiedy niespodziewanie zatrzymał się obok niej mercedes Jakoba, zadrżała jak pod ciosem. Nie słyszała, kiedy nadjeżdżał.

Kiedy doszła do siebie po pierwszym szoku, wsiadła do samochodu jeszcze tylko wdzięczna, że nie musi biec dalej i oglądać tego, czego domagała się, aby jej pokazał. „Jutro – pomyślała – albo w poniedziałek, kiedy poczuję się lepiej, a Jakob będzie w pracy, wtedy spróbujemy jeszcze raz”.

Ben za nic w świecie nie dał się namówić do zajęcia miejsca w samochodzie. Stał na drodze z przekorną miną, przestępując z nogi na nogę. Jakob ruszył wolno przed siebie, upewniając się w lusterku, że biegnie za nimi. W pewnej chwili spojrzał bystro na Trude i zapytał, czego szukała na dworze.

„Pomyślałam – powiedziała – że może pokaże mi, gdzie znalazł kurtkę”.

„No i co – naciskał Jakob. – Pokazał ci?”.

Potrząsnęła głową. „Niestety, zdaje się, że zupełnie nie rozumiał, co ma mi pokazać”. Potworny strach, że Ben może teraz zatrzymać się i pokazać Jakobowi to, co tak bardzo chciała zobaczyć, szalał w jej trzewiach jak dzikie zwierzę.

Jakob znów zerknął w lusterko, zobaczył Bena biegnącego swoim zwykłym kłusem za mercedesem i skręcił przy bungalowie Lukki w szeroką drogę. Opowiadał rozwlekłe o swojej – zakończonej kompletnym fiaskiem – próbie dowiedzenia się czegoś o Edith Stern. Kiedy wspomniał, że cała rodzina Laessler siedziała przy kawie, usłyszał, że Trude ciężko dyszy. „Co się dzieje?” – spytał zdenerwowany.

Trude była pewną, że Anette rozmawiała z Albertem Kressmannem o wizycie Jakoba i jej powodach. A Albert widział Bena – z kurtką. „Właśnie przyszło mi na myśl – zaszepotała tak cicho, że Jakob z ledwością mógł ją zrozumieć. – Kiedy go wypuściłam dziś rano... Kto wie, może wcale nie znalazł tej kurtki na drodze. Kiedy przyszedł do

domu, wydawało mi się, że wraca z rozpadliska”.

„Tak myślisz? – zapytał Jakob ostro. – Przecież właśnie stamtąd wracacie. Nie opowiadaj mi bajek, że nie zrozumiał, co miał ci pokazać! Do cholery jasnej, przestań mnie wreszcie okłamywać. Dziś po południu też mnie oszukałaś, przyznaj się! On wcale nie był w łóżku, był na dworze. Zawracamy!”.

Ostatnie zdanie niemal wykrzyczał. Nacisnął na hamulce i spojrzał kątem oka w tylne lusterko. Ale za nimi nikogo nie było widać. „Cholera – zaklął Jakob. – Gdzie on może być?”.

Serce Trude znów się zacięło, w mózgu drżała tylko jedna myśl. Nie teraz! Jakob włączył wsteczny bieg. Ze skierowaną do tyłu głową jechał do rozjazdu, mógł teraz zobaczyć wszystkie cztery biegnące w różnych kierunkach drogi. Bena ani śladu. „To niesłychane – zasyczał Jakob. – Gdzie on się podziewa?”.

Kukurydza, pomyślała Trude, leży w kukurydzy! A jeśli tak, Heinz może przyglądać mu się wygodnie z tarasu i nawet nie musi brudzić sobie butów. Boże, dopomóż nam! Jeśli teraz ją wyciągnie, nie, tego już nie wytrzymam.

Ben rzeczywiście zanurkował w kukurydzy, podrygiwał wesoło, przy każdym skoku jego głowa wyłaniała się z zielonego gąszczu, machał obu rękami i wołał: „Przyjacieł!”.

Trude i Jakob usłyszeli jego okrzyki, Heinz Lukka też je usłyszał. Drzwi tarasu stały otwarte na oścież. Heinz Lukka wyszedł na taras, pomachał rękaw stroną Bena, usłyszał szum diesla i poszedł do furtki. Zobaczył samochód Jakoba stojący na rozjeździe i powoli zbliżał się do niego. Kiedy doszedł do starego mercedesa, Jakob odkręcił szybę do samego dołu i krzyknął: „No już, Ben, chodźże wreszcie”.

„Daj chłopakowi spokój – powiedział Heinz Lukka. – Ja i tak zaraz wychodzę. Może u mnie zostać”.

„Nie może, odpowiedział Jakob. – Ja też mam z nim kilka spraw do omówienia. A on nie musi tratować kukurydzy”.

„Tratować – powtórzył Heinz i uśmiechnął się z lekka. – Nie przesadzasz trochę? Kto jak kto, ale Ben wie, jak obchodzić się

z roślinami. To prawdziwy przyjaciel przyrody”. Uśmiech zgasł. „Czy dowiedziałeś się czegoś o pani Stern?”.

Jakob potrząsnął głową. Trude znów poczuła bolesny skurcz serca. Heinz Lukka patrzył ponad dachem samochodu w kierunku szosy. „Ja też nie – powiedział. – Pomyślałem sobie, że może na resztę nocy wzięła pokój w Lohbergu. Dzwoniłem tu i tam, niestety bezskutecznie, nikt jej nie widział. Oczywiście mogła też iść na dworzec i tam czekać. Pierwszy pociąg odchodził parę minut po szóstej rano. Czy nadal uważasz, że trzeba w to włączać policję? Moim zdaniem z powodu jednej zgubionej kurtki nie trzeba zaraz robić rabanu. Kto wie, czy nasza nowa znajoma nie siedzi teraz w samolocie”.

Trude słuchała, jak Lukka mówi, słyszała, jak Jakob odpowiada, i nie rozumiała z tego ani słowa. Widziała tylko Bena wychodzącego z kukurydzy, widziała sztywny od krwi plecak leżący w stodole pod kupką słomy. Gdyby teraz miał krew na rękach albo na butach. ...”Nie mogę, słabo mi – wyszeptała. – Nie mogę złapać powietrza”. Ostatnie słowa przeszły w rżenie.

Jakob się przeraził. Była blada jak trup. Usta jej zsiniały. „Przepraszam cię, Heinz – powiedział pospiesznie. – Muszę odwieźć Trude do domu”.

„Tak, oczywiście”. Heinz Lukka schylił się i skinął przyjaźnie do Trude, dodając jej otuchy. Ale i on się przestraszył, kiedy ją zobaczył. A Trude widziała tylko kukurydzę.

„Chodź Ben – zawołał Jakob jeszcze raz, zapuścił motor i jechał ostrożnie, powoli, nie spuszczając z oczu Trude. Siedziała obok niego, oddychała tak, jakby każdy jej oddech mógł być ostatni. Te spazmatyczne oddechy zabierały Jakobowi powietrze. Nie patrzył już w tylne lusterko, teraz tylko się bał, że Trude może zemdleć albo umrzeć.

Załamanie

Kiedy w sierpniu osiemdziesiątego siódmego Ursula Mohn prawie wykrwawiła się na śmierć koło rozpadliska i być może zostałaaby żywcem pogrzebana, ostatecznie rozwiąło się piękne marzenie Trude, że będzie tańczyć na balu strzelców jako królowa. Nawet jeśli z pozoru nie było świadków, każdy we wsi wiedział, co naprawdę się stało. Thea Kressmann już się o to postarała. Tamtego popołudnia Ben nie bawił się w gospodarstwie Laesslerów pod czujnym okiem Antonii, zaświadczała Thea. A tymczasem Antonia kłamała jak z nut i podzegała zarówno Paula, jak również swojego biednego, chorego na serce syna, żeby kłamali z nią na wyścigi.

Bractwo strzelców na czele z Richardem Kressmannem stało na stanowisku, że w takich wątpliwych okolicznościach jest niemożliwe, aby Jakob i Trude jechali przez całą wieś w otwartym powozie, mając u swego boku syna. Nie robiąc wielkich ceregieli, Richard włożył sobie na głowę koronę króla strzelców, a Jakob wystąpił z bractwa.

Wydawało się tylko kwestią czasu, kiedy Trude załamie się pod ciężarem poczucia winy. Ale ona nie spieszyła się. Kiedy wreszcie się to stało, we wsi przestano już debatować o tym, że teraz żyje się przez płot z dwoma mordercami, co zawsze przepowiadała Gerta Franken. Mało kto zwrócił uwagę na to, że zraniona dusza szukała sobie wentylu. Nawet Trude nie widziała już związku między jednym a drugim.

Jesienią skończyła pięćdziesiąt jeden lat, ale jej ciało wciąż funkcjonowało jak ciało dwudziestolatki – co cztery tygodnie. Nigdy nie pozwalała sobie na to, aby robić wiele szumu z powodu swojej

kobiecości. Dla Trude było nie do pomyślenia kłaść się do łóżka w napadzie migreny, tak jak to robiła Maria Jensen. Nie miała czasu na skurcze brzucha, które dopadały co miesiąc Theę Kressmann. Nigdy nie skarżyła się nawet na złe samopoczucie, tak jak Antonia i Renate Kleu. Przyszło, poszło, a Trude jakoś sobie z tym radziła nie zastanawiając się nad tą tak naturalną przecież sprawą.

Ale w listopadzie osiemdziesiątego siódmego to nie miało końca. Pierwsze dni przebiegły jak zwykle. Minął pierwszy tydzień, a z niej lało się i lało. Kiedy zaczął się drugi tydzień, Trude poczuła stopniowo rosnące zmęczenie. Dopiero na początku trzeciego tygodnia okres wreszcie się skończył. Ale po dwóch tygodniach zaczęło się na nowo, i tym razem było jeszcze gorzej niż poprzednio. Czasem wydawało się jej, że wykrwawi się na śmierć i w ten sposób będzie miała wreszcie święty spokój.

Aż do lutego osiemdziesiątego ósmego chodziła jak struta, ponieważ słabła z dnia na dzień. Zmęczenie nie chciało odejść. Ledwie wyszła z łóżka, a już miała ochotę znów się położyć i nic tylko spać i spać.

Pod koniec lutego Trude była u kresu sił, poradziła się Antonii, co robić, dostała od niej reprimendę, po której wzięła się w garść i zapisała się do ginekologa w Lohbergu. Nie było jej to na rękę. „Nie mogę położyć się w szpitalu na trzy lub – co gorsza – cztery tygodnie”.

Właśnie tyle trwało to u Hilde Petzhold. Trude miała to jeszcze w pamięci. Najpierw czyszczenie macicy, potem kilka dni oczekiwania na diagnozę, a potem ciężka operacja. Na koniec Otto powiedział: „Nic z tego nie będzie” i zdał gospodarzkę.

„Nie daj się zwariować – powiedziała Antonia. – Może to tylko zmiany hormonalne. W twoim wieku to normalne. Dostaniesz kilka tabletek i sprawa sama się naprostuje”.

Tym razem jednak Antonia się myliła, sprawa była dość poważna. Bez szpitala się nie obędzie, co najmniej dwa tygodnie, orzekł lekarz. Najwyżej tydzień, powiedziała Trude i zastanawiała się z Jakobem, jak

mają przetrwać ten tydzień.

Jakoś to będzie, powiedział Jakob lekko. Czas był korzystny. Zima jeszcze się nie skończyła, ziemia była zamrznięta, o tej porze na polach jeszcze nic się nie działo. Gdyby to stało się na wiosnę, wtedy sprawy miałyby się zgoła inaczej. Ale teraz, Jakob zaśmiał, się pragnąc zademonstrować jej swój optymizm i zapewnił, że nie będzie tak tragicznie, że da sobie radę.

W ostatni poniedziałek lutego Trude wsiadła do taksówki, płaszcz narzucony na ramiona, w ręku mała walizeczka. Na pożegnanie pomachała Benowi, który stał w drzwiach domu obok Jakoba, patrzył nieufnie na taksówkę i przestępował nerwowo z nogi na nogę. Jakob położył mu rękę na ramieniu, dając mu w ten sposób znak, że nie musi się bać. Że nie zostaje sam, na pastwę losu. Poprzedniego dnia Trude długo z nim rozmawiała, wyjaśniając, że bardzo ją boli i dlatego musi jechać do doktora na kilka dni. Ale niebawem wróci. I aż do tego czasu codziennie po kolacji Ben dostanie od ojca wielkie lody. Pod warunkiem, że będzie grzeczny i nie będzie dawał się we znaki ojcu.

Wydawało się, że zrozumiał. Jednak kiedy tylko taksówka potoczyła się po podwórzu, strząsnął rękę Jakoba i popędził jak ukłuty przez gza za odjeżdżającym mercedesem. „Paluchy precz!” – wrzeszczał. Jakob pobiegł za nim, ale nie był tak szybki.

Trude poklepała kierowcę po ramieniu i poprosiła go, żeby się zatrzymał, tłumacząc, że chce jeszcze raz pożegnać się z synem i wyjaśnić mu, że musi zostać z ojcem. Ben dopadł do samochodu i patrzył błagalnie na Trude, ta zaś tłumaczyła i tłumaczyła, wszystko na próżno. To było wzruszające pożegnanie, Ben chwycił ją rozpaczliwie za nadgarstek i tak mocno szarpał go obu rękami, że niemal zrzucił ją z siedzenia. Potrząsał głową z miną, jakby świat się dla niego skończył, mruzczał „paluchy precz” i „boli”.

Trude nie broniła mu jego dzikich czułości, głaskała go po gęstej czuprynie, przyciskała jego twarz do swojej piersi, żeby nie widział łez w jej oczach i szeptała: „Tylko troszkę boli. Ale niedługo wrócę. Przecież ci obiecałam. Tylko na parę dni. Teraz bądź już grzeczny

i wracaj do ojca”.

Jakob, któremu zatrzymanie się taksówki dało sposobność schwytania Bena, zakończył tę rzewną scenę. Za pośrednictwem kilku energicznych słów i takichż samych gestów nakłonił Bena, aby puścił rękę Trude, a potem mocno go przytrzymał i trzymał tak długo, aż samochód znikł za zakrętem. Ben stał jeszcze przez chwilę przy bramie, a potem podreptał ze spuszczoną głową do domu, mrucząc pod nosem „ścierwo”. „Nie chcę więcej tego słyszeć – powiedział Jakob surowo. – Mama nie jest żadnym ścierwem. Przynęcała, że cię nie zostawi – i nie zostawi, przekonasz się!”.

Ben schował się w kurniku. Nawet talerz pełen jajecznicy, którym Jakob przynęcał go do domu, tym razem nie na wiele się zdał. Przyszedł wprawdzie do kuchni, ale potem siedział przy stole, patrząc ponuro na żółtą górę na swoim talerzu.

Jakob obrządził bydło, w zapasach Trude wyszperał tabliczkę czekolady orzechowej i kilka batonów, wsadził je do kieszeni spodni, później pogrzebał w zamrażarce, znalazł lody waniliowe i poszedł do Bena z nadzieją, że tym sposobem poprawi mu humor. Udało się. Razem wyszli na podwórze, minęli bramę i skierowali się na drogę.

To był ich pierwszy wspólny spacer, niejako debiut. I to był pierwszy raz, kiedy Jakob mówił do swojego syna jak do człowieka, który w niczym mu nie ustępował, który mógł doradzić i pomóc. „Tylko nie myśl, że jesteś jedynym, któremu jej brakuje i który boi się o nią” – zaczął.

Ben wyczuł przygnębienie w jego głosie i to właśnie ono skłoniło go, by towarzyszyć ojcu. Z początku człapał za nim z boleściwą miną, wkrótce jednak jego twarz wyrażała swego rodzaju uwagę. Od czasu do czasu kiwał głową, dając znak, że rozumie ojca, że podziela jego troskę o Trude i tak samo jak on boi się o nią. Jakoba ogarnęły nagle czarne myśli. A jeśli to coś znacznie gorszego niż przypuszczali? Czy u matki Paula – świeć panie nad jej duszą – nie zaczynało się tak samo? Co stanie się z nim i z Benem, jeśli Trude też...

„To głupie ludzkie gadanie dobiło twoją matkę – powiedział Jakob

w pewnej chwili. – Szczerze mówiąc, mam wielką ochotę zatkać gębę Thei, żeby przestała wreszcie wygadywać różne bzdury. Mógłbym wnieść sprawę o zniesławienie przeciwko tej przekupce. Kto wie, może naprawdę tak zrobię. Sram na pieniądze Richarda. Taki biedny też nie jestem, że nie mogę sobie pozwolić na dobrego adwokata. Ale naprawdę dobrego, a nie tego podlizucha Lukkę. Niech sobie Richard go bierze”.

„Przyjaciół” – powiedział Ben.

Jakob energicznie potrząsnął głową. „Bzdura. Lukka do fałszywa żmija. Gadzina jedna. Udaje przyjaciół, a kiedy odwrócisz się do niego plecami, schyla się po kamień. Tak, tak, niejeden już kamień rzucił ci pod nogi, a któregoś dnia potkniesz się o któryś z nich. Jeśli ktoś jest naprawdę dobry i całkowicie nieszkodliwy dla otoczenia, nie trzeba tego wszystkim opowiadać. Tłumaczy się tylko winny. Kiedy się to robi – zwłaszcza tak często jak Lukka – ludzie zaczynają powątpiewać. I niech ten krętacz mi nie opowiada, że cię lubi”.

Jakob był teraz przy swoim ulubionym temacie, mówił o wszystkich tych upokorzeniach, które jemu – ojcu czwórki dzieci – zostały wyrządzone przez rzekomo dobrze mu życzącego człowieka, a w rzeczywistości przez fałszywą żmiję, gadzinę. Potem wrócił znów do Thei Kressmann i jej nedorzecznego twierdzenia, jakoby Ben zaatakował upośledzoną dziewczynę z Lerchenweg.

„Moim zdaniem – powiedział Jakob – istnieje wielka różnica pomiędzy tym, kiedy ktoś tnie na kawałki lalkę, a tym, kiedy rzuca się z nożem na człowieka, który zaczyna krwawić i krzyczeć. Wiesz, co sobie myślę? Może nie powinienem tego mówić, ale i tak nikt nas tutaj nie słyszy. Jeśli na domiar złego ta dziewczyna została zgwałcona, to tak szybko nikt nie wpadnie na pomysł, że to byłeś ty. Akurat o to nie mogą cię podejrzewać. W twoim wieku to dopiero się zaczyna”.

Jakob obserwował Bena ukradkiem. Jego syn skończył właśnie piętnaście lat i już był od niego większy. Ramiona też szersze, ręce też silniejsze. Ale twarz, to była twarz dziecka o miękkim owalu. Oczy ocienione długimi, podwiniętymi rzęsami, których mogła mu

pozazdrościć niejedna dziewczyna, pod firanką rzęs delikatne, łagodne spojrzenie. Wtedy przypomniała mu się uwaga Bruna Kleu: „Jeśli on już teraz pieprzy jedną lalkę po drugiej...”. Jakob westchnął ciężko. Ludzie gadaliby tak czy siak, nawet gdyby Ursula Mohn została zgwałcona.

Jakob pokiwał głową i mówił dalej: „Ta sprawa po prostu nie mieści mi się w głowie. Dlaczego ktoś napada na Bogu ducha winną dziewczynę, w ślepej furii tnie ją nożem i nie robi nic więcej? Oczywiście, mogę sobie wyobrazić, że niektórzy zaraz pomyślą o tobie. Ale przecież są też starsi, którzy nie za bardzo to mogą, choćby nie wiem jak chcieli. Dlatego okropnie się wściekają. I w taki obrzydliwy sposób dają upust swojej wściekłości. Słyszałem już o takich zbrodniach. Ale jaką nienawiść trzeba mieć w sobie, żeby zrobić coś tak okropnego biedactwu, które nawet nie potrafi się bronić?”.

Zatoczyli szeroki łuk i wracali w ciemnościach do domu. Jakob zapalił lampę wiszącą w drzwiach wejściowych. Kiedy na ganku rozblęskło słabe światełko, zrobiło mu się trochę lżej na sercu. Poszedł do kuchni, przygotował kolację, potem siedzieli razem przy stole, każdy zatopiony w swoich myślach. Ale odkąd przekroczyli próg, Ben był znowu tylko Benem. Jego oczy krążyły niespokojnie po kuchni, ślizgały się po stole i kredensie, po twarzy Jakoba i znów wracały do drzwi.

„Najwyżej tydzień – powiedział Jakob i poklepał go po ramieniu. – Tak nam obiecała. Jutro rano położą ją na stole operacyjnym, a po południu pojedziemy do niej w odwiedzinach. Ale w szpitalu musisz być bardzo grzeczny. A za tydzień o tej porze będziemy znów siedzieć we trójkę. Nawet jeśli jeszcze nie dojdzie do siebie, najważniejsze, że znów będzie razem z nami. No, głowa do góry!”.

Krótko przed dziesiątą Jakob zabrał go na górę i wsadził na pół godziny do wanny. Była to jeszcze jedna z niezawodnych metod Trude, za pomocą której potrafiła wprowadzić Bena w dobry humor. Jakob usiadł wygodnie na kłapie od sedesu, palił papierosa, patrzył na dorodne ciało syna i również odzyskiwał powoli dobry humor. Na

koniec wytarł go do sucha włóchatym ręcznikiem i nawet udało mu się skłonić go do radosnego chichotu, kiedy koniuszkiem ręcznika połaskotał go między palcami u stóp. Kiedy wreszcie zabrał go do łóżka, był przekonany, że opanował sytuację.

Stał chwilę pod jego drzwiami, potem poszedł do sypialni i też się położył. Zamknął oczy, zastanawiając się, jak w tej chwili musi czuć się Trude. Zасыpiając, miał przed oczami jej twarz. Dochodziła trzecia, kiedy obudziło go głośne trzaśnięcie drzwi. Na dworze zerwał się silny wiatr. Źródłem hałasu były drzwi wejściowe, które Jakob zamknął wieczorem, a Ben otworzył i nie domknął ich, wychodząc z domu.

U Laesslerów nauczył się przekręcać klucz w zamku. I z największym prawdopodobieństwem w rozpadlisku stworzył związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy krwawiącym ciałem a jasnym mercedesem i po raz drugi doświadczył, że inni nie robią żadnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem. I że dziewczyna nie ma większej wartości aniżeli kura czy kot.

Nie on winien był tragedii Ursuli Mohn w rozpadlisku, nie on ponosił winę za śmierć wszystkich tych kurczaków, które dokonały żywota w jego rękach, wszystkich gąsienic i chrabąszczy, które trafiały zduszone do kieszeni jego spodni. Winna była siła w jego pięściach, którymi głowa nie potrafiła sterować, nie mogła jej pohamować, ponieważ nie istniał żaden mechanizm sterowania i hamowania.

Jego głowa była jak labirynt, w której nikt nie mógł znaleźć właściwej drogi i dotrzeć do celu. On z pewnością nie. On dreptał tylko wiecznie wkoło pędzony przez rozmaite rozproszone marzenia, pragnienia, pożądania i lęki. Czułość, nigdy nie pragnął niczego innego. A doświadczał jej zazwyczaj tylko od kłębków piór na policzkach, od skrobania i łaskotania maleńkich stworzonek zamkniętych w swojej dłoni. Był strażnikiem, pasterzem, zbieraczem, myśliwym, zawsze na polowaniu za radością życia. I jakże często zamiast niej doświadczał bólu.

Pośrodku tego labiryntu było jasne pomieszczenie – jego pamięć. Przechowywał w niej wszystkie swoje doświadczenia, przeżycia –

i sprzeczności. Nic nie było posortowane, ale wszystko w zasięgu ręki. I wszystko to było zdominowane przez największą sprzeczność jego życia – jego matkę. Jego opiekuńczego ducha – i jego zgubę.

A teraz jego matka wsiadła do samochodu, który przynosił krew i zniszczenie. Co gorsza, miała przy sobie walizeczkę. Walizeczka była już w jasnym pomieszczeniu. Jedną wyniosła z domu Anita, drugą Baerbel. Nie powróciły ani siostry, ani walizki. Nie, żeby jakoś szczególnie za nimi tęsknił, ale nie było ich. Niech ojciec mówi, co chce, on i tak wie swoje.

W środku nocy nie mógł już wytrzymać w swoim łóżku i wyruszył na poszukiwanie matki. Tropił ją we wszystkich tych miejscach, gdzie wedle swoich doświadczeń powinien był ją znaleźć. Najpierw pobiegł do rozpadliska. Tam jej nie było. Stamtąd na jabłonkową łąkę, trzęsąc się z zimna w swojej cienkiej, wytartej pidżamie, przeczołgał się pod drutem kolczastym, a potem do nieczynnej od dawna sztolni. Miejsce nie wyglądało tak, jakby kogoś jeszcze tam wrzucono. Ale nigdy nic nie wiadomo. Oni często robili rzeczy, których by się nie spodziewał i które uważał za niemożliwe.

Dla niego byliśmy dziwnymi istotami, niszczycielami, których zachowania nie mógł ani przejrzeć, ani zrozumieć. I którzy nie chcieli go zrozumieć, choćby mówił jasno i wyraźnie, posługując się słowami, o których wiedział, że zawsze były właściwe.

To, że nie próbował wszystkich innych słów, miało swoje powody. W pierwszych latach, na których piętno wycisnęła jego surowa babka, nikt nie zadawał sobie trudu, żeby nauczyć go innych słów, nikt nie mówił mu, że stół jest stołem, a łóżko łóżkiem. A później, kiedy sam na to wpadł, już nie ufał słowom. Było tak wiele fałszywych słów – zbyt wiele takich, których nie mógł ani zaszeregować, ani uporządkować, i takich, które nie dawały mu pewności, do kogo naprawdę należą. Jak miał mówić do swojej matki „mamo”, kiedy Albert Kressmann wołał tym słowem do Thei, Dieter Kleu do Renaty, a w gospodarstwie Laesslerów należało ono do Antonii?

Przez pół nocy leżał na brzuchu na zamarznętej trawie i płakał

rzewnie za Trude, próbując gołymi rękami otworzyć twardą i zimną skorupę ziemi. W końcu poddał się z rezygnacją, przeczołgał się pod drutem kolczastym i przeniósł do dawnego ogrodu Gerty Franken, który tak naprawdę nigdy nie był prawdziwym ogrodem. Błądził wśród ciernistego gąszczu, jęczał i kwilił w noc swoje: „Ślicznie?“, podczas gdy jego ojciec przeszukiwał całą okolicę.

Na próżno. Jakob nie wiedział nawet, w którą stronę pobiegł Ben. Kiedy ten penetrował rozpadlisko, Jakob biegł do rozjazdu, ponieważ wyszedł z założenia, że jego syn wybrał drogę, którą odjechała taksówka Trude. Wiatr gwizdał mu wokół uszu, robiąc farsę z jego nawoływań. Mimo to Jakob ryczał tak, jakby za chwilę miał wyrwać z siebie płuca, gnał promień swojej latarki przez noc i opierał się dzielnie podmuchom wiatru.

Potem pobiegł do rozpadliska, do lasu Bendchen i znów z powrotem. Najbardziej niepokoiło go to, że Ben miał na sobie tylko cienką, flanelową pidżamę, gdy tymczasem on marzył w ciepłej kurtce z grubą podpinką. Zamarznie na śmierć, myślał w panice.

Jakob znalazł go dopiero o piątej nad ranem leżącego pod starą gruszą, przemarzniętego do szpiku kości, szczękającego zębami i drżącego na całym ciele. Pomógł mu wstać, otulił go swoją kurtką, zawlókł do domu, wsadził do gorącej wanny i na koniec położył do łóżka.

Podczas gdy Trude leżała na sali operacyjnej, Antonia pochylała się nad Benem, dotykała ręką jego czoła, pytała o termometr i uznała, że trzeba koniecznie wezwać lekarza domowego. Jednak oprócz czopków obniżających gorączkę i okładów na łydki lekarz nie znalazł innej rady.

Przez cały dzień, a później noc Jakob siedział obok łóżka swojego syna, od czasu do czasu zapadał w krótką drzemkę i za każdym razem budził się, kiedy Ben przewracał się z boku na bok, jęczał albo wykrzykiwał nagle: „Paluchy precz! Ścierwo!“.

Dopiero następnego ranka Jakob zadzwonił do szpitala, dowiadując się o stan Trude. Była jeszcze bardzo słaba, poruszała się z trudnością, mimo to jednak sama podeszła do telefonu. Nie

poskarżyła się ani słowem, nie powiedziała, jak bardzo było jej przykro, kiedy poprzedniego dnia na próżno czekała na ich odwiedzinę. Pytała tylko o Bena i jak sobie Jakob z nim radzi.

„Doskonale – powiedział Jakob bezdźwięcznym ze zmęczenia głosem. – Naprawdę super. Już dwa razy go wykąpałem. Chyba mu się podobało”.

Krótko przed południem wpadła do nich Antonia. Najpierw poszła do kuchni i postawiła na stole garnek z obiadem. Później zajrzała do pokoju Bena i nieoczekiwanie zaproponowała, że weźmie go do siebie. Jakob uśmiechnął się w duchu, ale zaraz odrzucił jej propozycję. Nie wypadało inaczej. Powiedział więc tylko: „Ależ Antonio, naprawdę nie mogę od ciebie tego wymagać. Tyle już dla nas zrobiłaś. Jakoś sobie poradzę. Gorączka jest wysoka, majaczy, ale...”. Jakob robił to z ciężkim sercem, potem jednak poczuł ulgę, kiedy Antonia nadal upierała się przy swoim. Razem zanieśli majaczącego Bena do samochodu, Jakob stał w drzwiach i patrzył za nimi. Kiedy znikli z pola widzenia, poszedł do największego pokoju i zdrzemnął się godzinę na kanapie. Po południu odwiedził Trude w szpitalu.

Teraz nie musieli się już spieszyć. Zamiast planowanego tygodnia Trude została w szpitalu dziesięć dni, powoli dochodziła do siebie i każdego dnia przekazywała przez Jakoba swoje podziękowania i serdeczne pozdrowienia dla Antonii i Paula. Kiedy wreszcie wróciła do domu, Ben był już jako tako podkurowany, zaś Antonia przekonana jak nigdy dotąd, że nie miał nic wspólnego ze sprawą bestialskiej napaści na Ursulę Mohn i że ona sama podjęła słuszną decyzję, trzymając od niego z daleka policję.

26 sierpnia 1995

Kiedy Jakob pożegnał się z rodziną Laessler, w domu jego przyjaciela doszło do burzliwej wymiany zdań. Tanja Schloesser ze swoimi trzynastoma laty nie była już taka mała i głupiutka, żeby nie rozumieć, iż jej brata podejrzewa się o różne okropne rzeczy. Nawet jeśli nikt nie mówił o tym otwarcie.

Jak długo był obecny tutaj jej ojciec, myślała, że do niego należy zadanie wstawiać się za własnym synem i ratować jego honor. Ale Jakob po swoim gwałtownym sprzeciwie nie otworzył więcej ust. Kiedy wyszedł, a raczej wykradł się z pokoju, wyglądał jak starzec. Tanja patrzyła z litością na jego zwisające bezwładnie ręce i głowę wciśniętą w ramiona tak głęboko, że sprawiał wrażenie mniejszego o pół metra. Skoczyła na równe nogi, chciała za nim pobiec, potrząsnąć nim i przemówić mu do rozsądku z całym poczuciem sprawiedliwości właściwym jej wiekowi.

Antonia właściwie zinterpretowała wyraz twarzy swojej wychowawcy i powstrzymała ją. „Zostaw go teraz w spokoju, dziecko. To nie jest łatwe dla twoich rodziców. I nigdy nie było. Oni naprawdę powinni przez jakiś czas zatrzymać Bena w domu, przynajmniej na noc”.

„Ale przecież on nie robi nic złego” – zaprotestowała Tanja gorąco.

„Wiem o tym – powiedziała Antonia. – I nie tylko ja, wielu to wie, ale niestety nie wszyscy”.

„A czy wy wiecie o czymś, czego tata nie wie?” – spojrzała bystro na Paula. – Co to za historia z Ursula Mohn, którą znalazłeś przed ośmiu laty?”.

Paul potrząsnął głową i spojrzał wymownie na swoją żonę. „Mówiłem ci nieraz, że to był błąd”.

Antonia wzruszyła ramionami. Być może Paul miał rację. Dzisiaj było już za późno, żeby odpowiedzieć na pytanie, czy czternastoletni Ben mógłby być wówczas brany przez policję pod uwagę jako potencjalny sprawca, czy też uczepiliby się go tylko dlatego, że nie było nikogo innego na podorędziu. Zresztą, to nie było już ważne. Dla niektórych ludzi we wsi był sprawcą i tak pozostało do dziś. I tylko to się liczyło.

Ben nie był Brunem Kleu, który eliminował każde podejrzenie pod groźbą bijatyki. I nie był Richardem Kressmannem, który zaraz biegł na policję albo włączał do sprawy swojego adwokata, kiedy tylko do jego uszu doszły jakieś pogłoski dotyczące jego osoby. Ben nie był nawet Tonim von Burgiem, który śmiał się do rozpuku, kiedy dowiedział się, że uznano go winnym śmierci starego Wilhelma Ahlsena. Toni powiedział tylko: „Gdybym miał cyjanek potasu, z rozkoszą wsypałbym go do kufła z piwem temu draniowi Ahlsenowi. Szkoda że sam na to nie wpadłem”. Ben był tylko Benem i nie umiał się bronić za pomocą słów.

W ubiegłym tygodniu Antonia kilkakrotnie wybrała się do wsi i przy tej okazji wysłuchiwała paru wypowiedzi, których autorzy przypominali o wypadku Ursuli Mohn i reprezentowali pogląd, że upośledzona umyślowo dziewczyna pomimo wszystko miała wielkie szczęście, w przeciwieństwie do córki Ericha.

Stopniowo wieś dzieliła się na dwa obozy. Jeden z nich spoglądał na Bruna Kleu, nie na jego syna. Kiedy znikła Althea Belashi, Dieter miał dopiero trzy lata. Drugi obóz spoglądał na Bena i Ursulę Mohn. Erich i Maria Jensen należeli do tego właśnie obozu, Antonia wiedziała o tym i znała nawet przyczyny takiego stanu rzeczy.

Przed ośmiu laty Paul popełnił błąd, dając swojej siostrze do zrozumienia, że oficjalna wersja zająć w rozpadlisku mijała się z prawdą. Paul działał w dobrej wierze, chcąc położyć kres krążącym po wsi plotkom.

Maria swoim zwyczajem opowiedziała o wszystkim Erichowi. Erich zaśmiał się szyderczo. „Ben próbował opatrzeć tę dziewczynę? Kto ci naopowiadał takich bredni? Twój brat, jak przypuszczam. Albo jego żona. Wszyscy macie nie po kolei w głowie. Wiesz, co by zrobił Ben, gdyby Andreas nie zjawił się w ostatnim momencie? Zakopałby ani chybi to biedne stworzenie, zdaje się, że nawet już zaczął... Ten idiota ze swoim przeklętym kopaniem!”.

Gdyby trzeba było wskazać palcem winowajcę, Erich krzyczałby najgłośniej. Aptekarz żadną miarą nie mógł zrozumieć, dlaczego Jakob z jednej strony lał swojego syna jak wariat i w ten sposób rozbijał w pył jego ostatnie zdolne do funkcjonowania komórki mózgowe – jak to ujmował Erich – z drugiej zaś wzbraniał się oddać go do zamkniętego zakładu, gdzie, zdaniem Ericha, Ben powinien bezwzględnie znaleźć się najpóźniej w wieku czternastu lat.

Erich argumentował za pomocą wyrażenia „sprawcy naśladowcy”, którego chętnie używała również Thea Kresmann w stosunku do Bena. Erich nie myślał jednak w tym kontekście o młodej artystce. Skąd mógł wiedzieć, że Ben przyglądał się jej śmierci, o tym nie wiedział ani on, ani Antonia, ani nikt inny we wsi. Jedynie Gerta Franken była świadkiem tragicznych zdarzeń tamtej sierpniowej nocy, ale wtedy nikt jej nie wierzył, a dziś nie można już było jej zapytać. Erich myślał tylko o kurach i dałby sobie obciąć rękę, że Ben niejedną raz widział, jak szlachtuje się kurę, a potem ją patroszy. Bądź co bądź, od urodzenia żył w gospodarstwie wiejskim, a nie w zakrystii. A przecież do czego jak do czego, ale do aktorstwa miał wrodzony talent – i nie było to żadną tajemnicą.

Erich i Thea to dopiero byłby duet. Pożalowania godne, że przed laty Erich wmówił sobie, że nie będą do siebie pasować. Antonia uważała, że stanowiliby niezwykle harmonijną parę i z miejsca mogliby założyć nową partię. Maria mogłaby wtedy wziąć sobie Bruna Kleu albo jeszcze lepiej Heinza Lukkę, który tak ją przecież ubóstwiał.

Heinzowi Lucce w przeciwieństwie do Bruna Kleu nie latałyby ręce, Antonia była tego pewna. Lukka nie wpadłby też na pomysł, żeby

chodzić na boki albo zamykać na klucz swoją nastoletnią córkę z powodu dwóji z matematyki, tak jak to robił Erich. Przypuszczalnie Heinz woziłby Marlene trzy razy w tygodniu do Lohbergu i czekał w swoim samochodzie pod „da capo”, aż zabolą ją nogi od tańca. Nosiłby ją na rękach, razem z Marią. Różnica wieku – mój Boże, cóż znaczy te parę lat wobec prawdziwie udanego związku. Antonia nigdy nie żałowała, że poślubiła mężczyznę, który był od niej starszy o dwadzieścia lat.

Młodzi mężczyźni też mają swoje podstępny, zwłaszcza jeśli zaangażują się w politykę, a potem z mniejszym lub większym talentem odgrywają rolę bojowników o sprawiedliwość społeczną. Za takich jak Ben odpowiedzialna jest wspólnota, tego rodzaju ciężkie przypadki nie mogą być narzucone wyłącznie pojedynczej parze rodziców. Za pośrednictwem tego stwierdzenia Erich Jensen wielokrotnie doprowadzał swoją szwagierkę do białej gorączki. Kilka razy Antonia odpowiadała hardo: „Ciesz się, że Trude trzyma go w domu. Przy waszych deficytach w kasie miasta”.

Tylko że szybko kończyły się jej argumenty, kiedy Erich przytaczał swoje. Wiedział, co mówi. „Koszty utrzymania w zakładzie pokrywa państwo, nie kasa miasta, droga szwagierko”. Mówiąc to, Erich uśmiechał się triumfalnie i w dalszej kolejności bez żenady wykladał na stół swoje karty atutowe. Pełen szczerego współczucia dla umęczonej matki, której zdrowie mocno szwankowało, o czym wiedział lepiej niż kto inny. Przecież sam osobiście wręczał jej w swojej aptece rozmaite tabletki na serce, nitroglicerynę w spreju i środki obniżające ciśnienie. Pełen zrozumienia dla skłonnego do wybuchów gniewu, porywczego ojca, którego wybryki rodzzonego syna doprowadziły na granice rozpacz i zwątpienia. I na koniec przepętniony szczerą litością dla tej biednej istoty ludzkiej, która nie z własnej winy nie potrafi rozróżnić między dobrem a złem, a która ma przecież prawo do spokojnego i uregulowanego życia za grubymi murami, on zaś jako człowiek świadom spoczywającej nań odpowiedzialności musi ustrzec tę biedną, bezrozumną istotę przed

szkodami, które mogłaby wyrządzić sobie, biegając na wolności – na polu, w lesie i na łące. Lub przed szkodami, które mogłaby wyrządzić innym.

Erich nie chciał przyjąć do wiadomości, że na polu, w lesie i na łące może biegać jeszcze ktoś inny. Gdyby tylko wpadł na taki pomysł, z rozkoszą obsmarowałby od stóp do głów Bruna Kleu. Choć z drugiej strony, mąż Marii bardzo dbał o swój nieskazitelny image i zanim pisnąłby choć słówko o Brunie, wolał ugryźć się w język i milczeć. Bruno mógłby się zrewanżować, a wówczas byłby skandal.

O tym, że Heinz Lukka w październiku sześćdziesiątego dziewiątego w ogrodzie Gerty Franken przeszkodził wszystkiemu innemu niż gwałtowi, Erich wiedział aż nadto dobrze. Antonia wiedziała również i to, że Maria kompletnie oszalała na punkcie Bruna. W tym względzie nic się nie zmieniło do dzisiejszego dnia. Antonia była jedyną osobą we wsi, która wiedziała, że Maria miała uzasadniony powód, aby wmawiać swojej córce, że kto jak kto, ale Dieter Kleu naprawdę nie jest dla niej odpowiednią partią. Trudno dziwić się Marii, że nie pragnęła wnuka, który mógłby się okazać drugim Benem.

W pierwszych latach swojego małżeństwa Maria miała takie same problemy jak Trude. Nie mogła zajść w ciążę, pielgrzymowała więc od lekarza do lekarza, poddawała się wszelkim możliwym badaniom i za każdym razem słyszała, że wszystko jest w porządku. Erich udzielał się na niwie społeczno-politycznej i nie miał czasu wybrać się na stosowne badania.

Maria przypuszczała, że wcześniej czy później zrobi taki test. Póki co, Erich nie robił nic w tym kierunku, ale Maria po raz drugi była w ciąży. Piękny sen o dziecku skończył się gwałtownymi skurczami, silnym krwotokiem i operacją. Ale zanim Maria dostała skurczy, przewróciła się rzekomo w swoim mieszkaniu. Antonia nigdy nie wierzyła w ten upadek.

Z przypuszczenia lub wiedzy Ericha wynikała surowość wobec „jego” córki. Antonia nie mogła zrozumieć, dlaczego ten tak rozsądny

przecież dorosły mężczyzna każe młodej dziewczynie pokutować za skoki w bok jej matki. I zadawała sobie pytanie, dlaczego Erich mści się na bogu ducha winnym Benie zamiast na mężczyźnie, który nie dość że przyprawił mu rogi, ale jeszcze – jakby tego było mało – wywierał na niego nacisk i koniec końców zmusił go do odwołania decyzji o skierowaniu Bena do zakładu, kiedy ten wpadł do „odwróconego lejka”.

To właśnie Erich nakłonił Paula, by ten ostrzegł „swoje dwie”. I zrobił to nie po zniknięciu Marlene, ale już w czerwcu, kiedy doszło do jego uszu, że Ben napadł na Anette. „Czy nie mówiłem wam co najmniej sto razy, że będziecie mieć z nim krzyż pański, że ten chłopak zrobi wam jeszcze niejedną niespodziankę? Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby nie było tam Alberta?”.

„Wtedy na pewno nic by się nie stało” – odpowiedziała Antonia, patrząc zadziornie na swojego szwagra.

„Moja droga, zdaje się, że tylko ty w to wierzysz – odpalił jej Erich. – On ma takie same potrzeby jak każdy mężczyzna, a może powiesz mi, że nie?”.

Tego Antonia nie mogła powiedzieć. Oczywiście, że on również ma swoje potrzeby. Ale fakt, iż sięgnął ręką do wnętrza mercedesa i pogłaskał Anette po nagiej piersi podczas gdy Albert był zajęty nieco niżej, najprawdopodobniej miał źródło w tak typowej dla Bena manii naśladowania. Antonia była przekonana, że Ben nie zrobiłby tego, gdyby nie była to właśnie Anette, którą znał przecież tak dobrze. I Albert, od którego słyszał tysiąc razy: „No, zrób to, Ben”.

Słuchając wywodu swojej żony Paul, kręcił sceptycznie głową. Hipoteza Antonii była, jego zdaniem, mocno wątpliwa.

Tego wszystkiego nie można było, rzecz jasna, wyjaśnić trzynastolatce, która za swoim bratem wskoczyłaby w ogień. Z niewielu zdań, które Antonia powiedziała na głos, i z wielu, które przemilczała, Tanja zrozumiała tylko tyle, że we wsi szukają głupka, na którego chcą zwalić całą winę.

I tak jak Trude od lat, wszelako znacznie bardziej ekspresyjnie,

wspierając werbalny przekaz mocnym tupnięciem nogi, Tanja oświadczyła stanowczo: „Ben nie jest niebezpieczny. Możecie zamknąć mnie z nim na cały tydzień. I nawet jeśli miałyby przy sobie trzy noże, to i tak nic by mi nie zrobił – ani mnie, ani żadnej innej dziewczynie”.

„Wiem o tym” – powiedziała pojednawczo Antonia, chcąc ułagodzić wzburzoną wychowanicę.

„O nie, gdybyś o tym wiedziała, nie mówiłabyś, że mama powinna go zamknąć. Dla niego to najgorsza rzecz pod słońcem. Wszyscy jesteście podli”.

Wybiegła z pokoju. Antonia chciała ją zatrzymać. Tym razem Paul zaprotestował: „Zostaw ją w spokoju. Wiesz jak bardzo jest z nim związana. To nie jest dla niej łatwe”.

Dla Paula też nie było to łatwe. We wszystkich tych latach nigdy nie widział na własne oczy, żeby Ben robił komuś coś złego. Paul słyszał tylko, co gadano we wsi. A kiedy słyszał coś takiego, zwykle tylko potrząsał głową i myślał, że ludzie po prostu potrzebują swojego wampira. I nieważne, czy był nim Wilhelm Ahlsen, Bruno Kleu czy Ben. Grunt, że był ktoś taki, ktoś, kogo można było obszcze kiwać – i kogo można się było bać.

Tymczasem jednak Paul dotarł do punktu, w którym spotkało się zbyt wiele „jeśli” i „ale”. Jasny horyzont jego dotychczasowego optymizmu przysłoniły długie cienie. Znękana, powleczone smutkiem twarz jego siostry, zgorzkniała i w ciągu dwóch tygodni postarzała o wiele lat twarz szwagra, opuszczony pokój siostrzenicy. A kiedy przed kilku dniami upomniał swoją najmłodszą córkę, prosząc ją o trochę ostrożności, Britta odpowiedziała: „Nie martw się o nas, tatusiu. Kiedy jedziemy do szkoły, Ben już na nas czeka. I uważa na nas, aż dojedziemy do szosy. A kiedy wracamy, znów leży w kukurydzy. Jak myślisz, co by się stało, gdyby jakiś typ nas zaczepiał? Ben rozerwałby go na strzępy!”.

Mimo najszerszych chęci Paul nie mógł jakoś uwierzyć, że Ben podniesie rękę na owego typa, który naprzykrza się dziewczynkom. Ben w charakterze psa obronnego – tego Paul zupełnie nie mógł sobie

wyobrazić. W każdym razie pozwoliłby Albert Kressmann zwymyślać go i przepędzić na cztery wiatry. Kukurydza ciążyła Paulowi na sercu jak stukilowy kamień. Ben leżał tam nie tylko rankiem i w południe wyposażony w bystre oczy i czujne uszy, które rejestrowały wszystko to, co działo się na polnej drodze. Leżał tam również nocą. Paul dobrze o tym wiedział. A dokąd mogła pójść dziewczyna, którą w środku nocy wyrzucono z samochodu, jeśli w tej okolicy mieszkali jej ciocia i wujek? Marlene z pewnością szła przez pola właśnie do nich, dla Paula było to oczywiste. Pod warunkiem, że tych dwóch mówiło prawdę.

Paul sam już nie wiedział, co ma myśleć i w co wierzyć. Gdyby Ben zamiast dwóch metrów miał tylko metr pięćdziesiąt, gdyby niósł przez okolicę osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt funtów mniej i zamiast przekłętego noża, z którym nie mógł się rozstać, zamiast składanej łopatki i lornetki miał przy sobie dziecinne wiaderko i szufelkę, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby brać go na języki i podejrzewać o różne straszne rzeczy.

Wieś nie szukała kozła ofiarnego. Szukała młodej dziewczyny, właściwie dwóch, a ściśle mówiąc, trzech. Ale Svenja Krahl nikt nie zawracał sobie głowy, o krótkiej wizycie Edith Stern też mało kto wiedział.

I nikt nie wpadł na pomysł, żeby opowiedzieć policji o nocnych eskapadach Bruna Kleu, o których wiadomo było nie tylko Heinzowi Luce. Nikt nie poinformował dyżurnego komisariatu w Lohbergu, że Albert Kressmann miał wielką ochotę zabawić się w chowanego z Marlene Jensen. Nikt nie zwrócił uwagi funkcjonariuszy policji na to, że Dieter Kleu już tamtej fatalnej nocy miał wszystkie powody, aby ścigać samochód Klause i Eddiego. Nikt nie złożył oficjalnego doniesienia na Benjamina Schloessera, który nie potrafił myśleć tak jak inni, który chętnie bawił się nożem i kopał głębokie jamy, których w końcu musiano szukać z lupą.

Kiedy Paul zastanawiał się nad tym wszystkim, Tanja pobiegła do pokoju, który dzieliła z Britta Laessler. Opróżniła z zeszytów i książek

swoją szkolną teczkę i bez namysłu, na chybił trafił wrzuciła do niej parę sztuk odzieży. Kilka minut później pojawiła się w sieni z teczką na ramieniu, krok w krok za swoją przyjaciółką podążała nic nierozumiejąca Britta, która błagała ją przez łzy: „Proszę cię, zostań”.

Tanja stanęła w drzwiach wejściowych niczym bogini gniewu, zrobiła teatralny gest i powiedziała dobitnie: „Idę do domu. Moja rodzina teraz mnie potrzebuje”. Było w tym wszystkim zbyt dużo patosu, ale Tanja miała przecież dopiero trzynaście lat.

Aż do tego momentu Paul i Antonia, Andreas i Achim, Anette i Britta byli jej rodziną. Tanja nigdy nie zadawała sobie pytania, jak może się czuć jej ojciec, kiedy przychodzi do nich w odwiedziny, żeby móc ją przytulić.

Na swój sposób kochała Jakoba, który bez szemrania sięgał po portfel i finansował drugą w tygodniu wizytę w kinie i który dokładał jeszcze dychę na lody, gdy tymczasem Tanja wcale nie musiała za nie płacić, ponieważ dla uproszczenia sprawy dziadka Britty nazywała również dziadkiem, a starszy pan bardzo się z tego cieszył. Dychy od Jakoba Tanja odkładała na większe zakupy, na przykład na dżinsy, które zdaniem Antonii były stanowczo zbyt drogie. A swojemu ojcu mówiła, że za te szalenie modne, nowe spodnie zapłacił wujek Paul.

Jakob nigdy nie żądał niczego w zamian, zawsze był tylko niedzielnym tatą, dla Tanji był bez mała ojcem idealnym. Za to jej miłość do matki rozkwitała z wielkimi oporami. I nie mogło być inaczej. Zakochana do nieprzytomności w swoim synu Trude najwyraźniej nie pragnęła bardziej serdecznej więzi z córką. Do swoich starszych sióstr Tanja nie miała żadnego stosunku. Natomiast jeśli chodzi o Bena...

Z błyskiem w oku dodała: „A jeśli tata pozwoli, będę spać w pokoju Bena”.

„Nie pójdziesz sama – powiedział stanowczo Paul. – Jeśli koniecznie chcesz iść, odwiozę cię”.

Odpowiedziała mu z przekornym uśmiechem: „Nie potrzebuje straży przybocznej. Ben jest moim bratem”.

Paul przemilczał tę uwagę, wstał z fotela i wyszedł za nią na podwórze. Minął bramę i szedł za nią w pewnym oddaleniu, ponieważ Tanja co i rusz odwracała się, rzucając mu wściekłe spojrzenia. Nie wzięła swojego roweru, to był prezent od Paula i Antonii. Dostała go tego roku pod choinkę. I w swoim wzburzeniu uznała, że oto nadszedł czas, aby przeciągnąć wyraźną granicę pomiędzy więzami rodzinnymi.

Na polnej drodze oprócz nich nie było nikogo, jak okiem sięgnąć. Paul pożeglował spojrzeniem w dal i zatopił się w swoich myślach. Kukurydza martwiła go nie tylko z powodu Bena. Po kilku tygodniach okropnych upałów wysuszone na wiór liście zwinęły się w ruloniki. Kolby traciły ziarna. Na ten cholernie zły rok narzekali wszyscy okoliczni rolnicy – od Richarda Kressmanna, po Bruna Kleu i Toniego von Burga. Przekłęte lato, nie da się tego ukryć. I to pod każdym względem.

Tam, gdzie zaczynało się wielkie pole kukurydzy, droga zataczała lekki łuk. Paul na chwilę stracił z oczu Tanję, przyspieszył kroku i po chwili dotarł na tyły posesji Lukki. Bungalow zasłaniał mu szeroką drogę. Ale słyszał, jak coś mówi, nie tak wzburzona i rozgniewana jak przedtem. W lekkim, beztroskim tonie – tak jak to miała w zwyczaju – pozdrawiała Heinza Lukkę, który odpowiedział szarmancko na jej pozdrowienie: „Dzień dobry, miła panienko. Cóż to, sama w drodze?”.

Jej odpowiedź zabrzmiała nieco zuchowało: „Nie, wujek Paul idzie za mną. Uważa, że potrzebuję straży przybocznej”.

Paul minął bungalow i zbliżał się do nich żwawo. Oboje usłyszeli jego kroki i spojrzeli w jego stronę.

„Oto i on” – powiedział Heinz Lukka, uśmiechając się wesoło. Stał obok krzewu róż wsparty na grabiach.

Po krótkiej pogawędce z Heinzem Lukką, której zasadniczym tematem był nieznośny upał, Paul ruszył śladem swojej wychowawicy. „Uspokoiałaś się trochę?” – zapytał, podchodząc do niej.

Zaśmiała się nieco zmieszana. „Nie chciałam wam robić przykrości, naprawdę. Pomyślałam sobie tylko, że nie zaszkodzi, jeśli przez parę dni pobędę z Benem”.

Kiedy doszli do domu jej rodziców, Paul zatrzymał się. „No to biegnij – powiedział. – I uważaj na siebie”.

„Robi się!”. W jej głosie pobrzmiwała przekora. Ale i tym razem wcale tak nie myślała. Tak już była – przekorna do szpiku kości. Wspięła się na palce i cmoknęła go głośno w policzek. „Wejź do środka. Tata na pewno się ucieszy”.

„Nie dziś – powiedział Paul. – Innym razem”.

Patrzył za nią, jak biegła do drzwi. Kiedy stanęła w nich, jeszcze raz obróciła się do niego i pomachała mu. Paul przyglądał się jej spod oka – ładna buzia okolona ciemnymi włosami, opalone ramiona i po dziecięcemu wąskie biodra. Szkolna teczka dyndała na ramieniu. Nie do wyobrażenia, gdyby takiemu dziecku stało się coś złego. Do końca życia człowiek gryzłby się, że nie zrobił wszystkiego, żeby temu zapobiec. I w końcu umarłby z tej zgryzoty. Paul westchnął głośno. Najwyższy czas, żeby ktoś porozmawiał otwarcie z policją.

Szedł wolnym krokiem koło Bendchen, minął rozpadlisko i powoli zbliżał się do domu. Nie spieszył się, chciał w spokoju zastanowić się nad kilkoma sprawami, które od pewnego czasu zaprzętały mu umysł. Starannie odważał między przyjaźnią, własnymi doświadczeniami i rozmaitymi spekulacjami.

Wszystko w nim burzyło się przeciwko wyobrażeniu, że taki mężczyzna jak Bruno Kleu, z którym przez tyle lat harował, z którym śmiał się, pił kawę z mlekiem i piwo, mógłby napadać na bezbronne dziewczyny. To prawda, kiedyś sam musiał dwukrotnie przywołać Bruna do porządku, kiedy ten nie chciał zostawić Marii w spokoju. Ale Bruno był wtedy taki młody, miał zaledwie osiemnaście lat. Później razem śmieli się z tej historii.

Paul nie wiedział, że Bruno w końcu dopiął swego. Były rzeczy, o których jego siostra rozmawiała tylko z Antonią. Ale któregoś dnia, kiedy wspominali stare dzieje, Bruno zrobił dziwną uwagę: „Daj spokój, Paul. Zawsze tylko Maria i Maria. Nie uważasz, że na dłuższą metę byłoby to nudne. No wiesz, jak kot pilnował jednej dziury, to zdechł... A tak mogę od czasu do czasu wziąć w obroty jakąś lalunię”.

Lalunia! Paul nie wiedział, co ma o tym sądzić. Wziąć w obroty, skąd mu to przyszło do głowy? Tego rodzaju wyrażenie pasowało raczej do bijatyki aniżeli do afery miłosnej. Dziwna sprawa. Nagle stanął mu przed oczami Ben. Taki gamoń, taki pocziwina, który siedział przy jego stole i żebrał o przyjaźń, czy to możliwe, że ten prostaczek Boży przeobraża się w bestię, kiedy jakaś dziewczyna wyda mu się nie dość sympatyczna? Wykluczone! Tylko że z drugiej strony Antonia nigdy nie uczyła Bena, żeby na nie dość sympatyczne – jego zdaniem – zachowanie reagował spokojem.

Paul pokiwał głową w zamyśleniu. Nie ma co się zastanawiać, tu trzeba działać. Najwyższy czas, żeby ktoś porozmawiał z policją. I nie z tymi z Lohbergu, bo znów wejdzie w paradę Erich. W tym przypadku należy bezwzględnie porozumieć się z policją kryminalną, uznał Paul. Ci przynajmniej będą mogli sprawdzić, czy Edith Stern rzeczywiście jest w drodze do domu.

Nie chciał nikogo obwiniać, nie chciał usuwać gruntu spod nóg ani Renate Kleu i jej synom, ani Trude i Jakobowi, chciał tylko stworzyć jasny i przejrzysty obraz sytuacji. Ale kiedy Paul Laessler zdecydował się wreszcie przemówić, sam nie miał już gruntu pod nogami.

Czas spokoju

Paul często zadawał sobie pytanie, jakim prawem i na jakiej podstawie Thea Kressmann śmie rozpowszechniać pogłoskę, że Ben napadł na Ursulę Mohn i straszliwie ją poranił. A może ktoś z gospodarstwa Kressmannów widział tego dnia Bena przy rozpadlisku albo w drodze do niego? Antonia była przekonana, że Thea zauważyła tylko podniecenie we wsi, pobiegła zaraz na spytki, a całą resztę wysłała sobie z palca, żeby zamiast Trude tańczyć na balu strzelców jako królowa.

W pewnym momencie Paul przyłączył się do tej opinii, ponieważ później nic się nie działo, nikt nie wpadł na pomysł, żeby wyjaśnić tę ponurą sprawę. I żaden człowiek we wsi, o tym Paul był przekonany, nie kiwnąłby palcem, gdyby Ben powędrował za kratki. Wiejski przygłup znakomicie nadawał się do tego, żeby sobie nim wycierać gębę. A gadanina o nim prawie już ucichła, kiedy wiosną osiemdziesiątego ósmego Trude musiała poddać się operacji. Zawsze tak było, najpierw gadali, gadali, a potem wracali do swoich spraw.

Richard Kressmann pozbył się ostatecznie prawa jazdy. Albert wyleciał z hukiem z gimnazjum. Thea mogła więc teraz prać swoje brudy. A jej syn doprawdy nie był orłem. To czy utrzyma się w szkole zawodowej, było również mocno wątpliwe.

Bruno Kleu swoim zwyczajem chodził na boki, ludzie gadali że teraz romansuje z jakąś dwudziestolatką z Lohbergu.

I podczas gdy pan gospodarz zabawiał się w obcych łózkach, jego buhaj wyrwał się z obory i narobił znacznych szkód, zanim udało się go złapać. Kilka dni później jego syn Dieter został przyłapany na

kradzieży w supermarkecie. Bruno mówił coś o próbie odwagi, chciał zacząć się w nocy na kierownika sklepu i pogadać z nim „po męsku”, kiedy ten wręczył Dieterowi wilczy bilet, czyli zakaz wstępu do sklepu. Ludzie nie żalowali go, litowali się tylko nad Renate, która odtąd nie mogła już posyłać swojego pierworodnego do sklepu po zakupy.

Toni i Ilia von Burg nie mieli wprawdzie żadnych problemów ani ze sobą, ani ze swoimi synami. Nawet Uwe, filut i bawidamek nie paradował już każdej niedzieli z coraz to nową sympatią, mknąc na swojej motorynce ulicami Lohbergu. Pogodził się z Baerbel, chodził z nią grzecznie za rączkę do lodziarni, do kina, a kiedy skończyło się kieszonkowe, tylko na spacer. Najchętniej jednak Uwe spędzał czas w umeblowanym pokoju Baerbel.

Ale z domem czynszowym przy Lerchenweg Toni i Ilia von Burg mieli same zmartwienia. Jak tylko zwolniło się jakieś mieszkanie, natychmiast zjawiał się przedstawiciel rady miejskiej poszukującej nieustannie nowych kwater dla najuboższych – zdanych na pomoc socjalną obywateli i azylantów. Któregoś dnia bez wiedzy Toniego zasiedlili ośmioma osobami trzyosobowe mieszkanie.

Przez wieś przeleciało lotem błyskawicy, że nowi lokatorzy to Cyganie. I nie skończyło się na ośmiu osobach. Przez całe tygodnie parking zarezerwowany dla mieszkańców domu zablokowała istna armada przyczep campingowych. Do komisariatu policji w Lohbergu zaczęły jeden po drugim napływać meldunki o włamaniach i kradzieżach. Było też parę zgłoszeń o molestowaniu seksualnym, jednym słowem – stan nie do zniesienia. W konsekwencji zwolniło się kilka mieszkań, każdy, kto miał o sobie jakie takie zdanie, wyprowadzał się z Lerchenweg. A Toni źle na tym wyszedł.

Również hodowla drobiu wyraźnie utykała. Indyki się nie przebiły. Zmniejszył się również drastycznie popyt na jaja z wielkich wylęgarni. Hasło dnia brzmiało „powrót do natury”, a za jajo z fermy płacono nie więcej niż piętnaście do dwudziestu fenigów. Ludzie gadali, że Toni pertraktuje z hurtowymi odbiorcami i zamierza dodatkowo hodować kaczki i gęsi na Boże Narodzenie, a poza tym zastanawia się również

nad sarnami.

Erich i Maria Jensen od wielu lat nie dostarczali tematu do plotek. Swoje życie prywatne trzymali pod kluczem. Ich małżeństwo uchodziło za tak przykładne, że aż niemal nudne. Nikt nie słyszał nawet, żeby kiedykolwiek się kłócili. Co rozgrywało się za tą nieskazitelną fasadą, o tym nie dowiedziała się nawet Thea Kressmann. Erich nadal angażował się w politykę, tak jak to robił dotychczas. Ludzie szeptali, że od pewnego czasu zasada się na urząd radnego landu i ma wielką chrapkę na mandat posła w Bundestagu.

Maria rozpieszczała swoją córkę, pielęgnowała rodzinny grób, co roku kupowała sobie nowy samochód i jeździła ze swoim jedynym dzieckiem na lekcje baletu, naukę jazdy konnej lub do ekskluzywnego butików z ubraniami dla dzieci, który został niedawno otwarty w Lohbergu. Samotne wieczory Maria spędzała w teatrze lub w operze – tak przynajmniej mówiła. Czy pani aptekarzowa rzeczywiście tam jeździła, tego nikt nie wiedział. W każdym razie apteka kwitła, aż miło było popatrzeć, jakby na przekór krakaniu Thei Kressmann. Maria nie wiedziała doprawdy, na co ma wydawać pieniądze Ericha.

Heinz Lukka wiedział za to doskonale, co począć ze swoim honorarium. Trzy razy w roku jeździł na urlop, głównie do Tajlandii. Kultura i jedzenie tego kraju szalenie mu odpowiadały, klimat też bardzo przyjemny, bez dwóch zdań, a oprócz tego można niezwykle korzystnie kupić tam antyki, opowiadał często w gospodzie Ruhpolda.

Za plecami Lukki pukano się w czoło. Antyki – w Tajlandii? Takie bajeczki Heinz mógł opowiadać chyba tylko swojej matce na cmentarzu. Każdy w miarę rozumny człowiek wiedział, co w Tajlandii można tanio kupić...

Ale Richard Kressmann opowiadał, że Heinz Lukka wcale nie potrzebuje jeździć aż do Tajlandii po ten towar... Ma przyjaciółkę, niezwykle atrakcyjną kobietę, z którą jest nader szczęśliwy. Niewykluczone, że spędza z nią nawet urlop, ale nie chce o tym głośno mówić, ponieważ dobrze wie, że ludzie we wsi są zawistni i źle mu życzą, a już na pewno nie życzą mu takiej kobiety z klasą.

Richard nie znał wprawdzie osobiście wybranki Lukki, ale kilka razy ją widział. Thea również widywała samochód tej damy w każdy piątek wieczorem, kiedy mijała dom Lukki, jadąc do domu Laesslerów, gdzie Andreas wyjaśniał jej skomplikowane zadania z matematyki dla Alberta.

Wspaniałe auto i fantastyczna kobieta opowiadała każdemu, kto chciał tego słuchać lub nie. Co najwyżej trzydzieści, trzydzieści dwa lata. Zatem młoda i do tego bardzo atrakcyjna. A samochód, Thea nie znała się na markach, ale Albert powiedział, że to corvette. Nawet jeśli nie umiał matematyki, Albert znał się na samochodach, ponieważ był ich prawdziwym fanem. Zbierał małe obrazeczki z niezwykle, rzadkimi markami samochodów, które wklejał do swojego albumu.

Zatem corvette. A ubranie, wprawdzie nieco ekstrawaganckie, ale bardzo eleganckie, bez dwóch zdań. Heinz Lukka ma gust, pozazdrościć. Thea Kerssmann wiedziała już tymczasem, że prędzej czy później zamierza zlikwidować swoją kancelarię i wycofać się z życia zawodowego. Jednak jak często się to zdarzało, również i z tym razem słowa Thei były bardzo oddalone od szarej rzeczywistości. Heinz Lukka po prostu nie miał szczęścia do swoich romansów.

W młodych latach jego matka wszystko mu popsuła. Jego wielka miłość Maria Laessler zdecydowała się na Ericha Jensena. A jego narzeczona z Lohbergu znalazła śmierć na szosie. Tego, co tak tanio kupował sobie w Tajlandii, nie mógł z oczywistych przyczyn przywieźć do domu. A dama z korwetą znikła tak samo nagle, jak się pojawiła.

Pewnego piątkowego wieczoru we wrześniu osiemdziesiątego dziewiątego Thea Kressmann po raz ostatni widziała to niezwykle auto. A w sobotę po południu u Heinza Lukki pojawiło się dwóch młodych mężczyzn. Co naprawdę zdarzyło się tego wieczoru w bungalowie na skrzyżowaniu dróg, tego nikt się nigdy nie dowiedział, nawet Thea. Ale następstwa owej wizyty były dla każdego widoczne.

Oficjalnie mówiło się, że Heinz Lukka został napadnięty w swoim

bungalowie przez dwóch nieznajomych osobników i brutalnie przez nich pobity. Bandydzi zrabowali mu dużą ilość gotówki oraz kilka cennych antyków, które przywiózł sobie z urlopu. Był tam między innymi Budda z jadeitu, o tym Thea wiedziała z całą pewnością.

Przez wiele tygodni zuchwała napaść była tematem numer jeden we wsi. Nie było końca spekulacjom. Dzięki temu Ben popadł w niemal całkowite zapomnienie. Tylko kiedy w niedzielę siedział obok swojej matki w cafe Ruetters, skąd wykradał się do izdebki na zapleczu, gdzie Sibylle Fassbender przytulała go i całowała, i kiedy wracał stamtąd z czerwonymi uszami do stolika, wtedy przypominano sobie o nim – i o Ursuli Mohn.

Państwo Mohn po wyzdrowieniu swojej córki wyprowadzili się z mieszkania przy Lerchenweg. Nikt więcej o nich nie słyszał. Również Bena widziano we wsi tylko z rzadka.

Widział go tylko Paul Laessler, kiedy Ben dźwigał dla Achima ciężkie worki z karmą albo bawił się z dziewczynkami. I Bruno Kleu, kiedy Ben kopał dołki na skraju lasu albo przesadzał pokrzywy w rozpadlisku.

26 sierpnia 1995

Tego dnia Jakobowi nie udało się jednak pójść z Benem do rozpadliska, tak jak to sobie zaplanował. W pierwszej kolejności należało zająć się Trude. Jakob zabrał swojego syna na górę i zamknął go w pokoju. Potem stanął obok kanapy, na której leżała Trude, wziął ją za rękę i próbował wywalczyć jej zgodę na sprowadzenie lekarza. Bezskutecznie, Trude sięgnęła po swój sprej z nitrogliceryną, psiknęła sobie w usta, skrzywiła się lekko i poprosiła słabym głosem: „Daj mi tylko trochę poleżeć. Zaraz mi przejdzie”.

Po chwili rzeczywiście doszła do siebie. Powlokła się do kuchni i zrobiła kolację, ignorując Jakoba, który zaproponował, że ją wyręczy. Jakob wziął talerz z kanapkami w jedną rękę, kubek mleka w drugą i poszedł na górę do pokoju Bena, postawił wszystko na stoliku, a wychodząc na wszelki wypadek przekręcił klucz w zamku.

Kiedy kończyli kolację, ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stała ich najmłodsza córka. Jakob ucieszył się na jej widok, a jeszcze bardziej, kiedy usłyszał, że jego ulubienica chce u nich pozostać, jednak ta radość niemal natychmiast została przytłumiona przez aż nadto wyraziste podejrzenie, że po jego wyjściu od Paula i Antonii zaszło tam coś, co skłoniło Tanję do opuszczenia domu Laesslerów.

Nie było co myśleć o miłym wieczorze z córką. Pomimo najszczęśliwszych chęci Jakob nie mógł również przychylić się do jej prośby, by mogła spać w pokoju Bena, czego w ogóle nie mogła zrozumieć. Trude poszła na górę i pościeliła łóżko w pokoju, który pierwotnie był pomyślany dla Baerbel i nigdy przez nią niezamieszkały. Potem zeszła na dół, spojrzała wymownie na córkę,

dając jej do zrozumienia, że dla dziewczynki w jej wieku pora iść spać.

To nie spodobało się Tanji, według niej było stanowczo za wcześnie. U wujka Paula i Antonii, zwłaszcza w sobotę mogła do późna w nocy buszować po domu. I nikomu to nie przeszkadzało. Tym razem jednak Jakob stanął po stronie Trude. Rodzice muszą jeszcze omówić kilka spraw nienadających się w żadnym razie dla dziecięcych uszu. Tanja głośno zaprotestowała. O jakich to dziecinnych uszach mowa, a to dobre – bądź co bądź, ma już trzynaście lat, a sprawa dotyczy jej brata.

To nie gra żadnej roli, absolutnie żadnej, powiedział Jakob dobitnie. Wycofała się nadąsana i zła, ale nie poszła do wskazanego jej pokoju. Wbrew wyraźnemu zakazowi Jakoba przekręciła tkwiący w zamku klucz, uchyliła drzwi do pokoju brata, zamrugła doń konspiracyjnie i zawołała wesoło: „Hej tam, leśny człowieku, widzę, że cię zamknęli?”.

Stał przy oknie, na jej widok rozpromienił się i dał jej znak, żeby podeszła, gestem, który był tak samo konspiracyjny jak jej mruganie. Potem zatoczył ręką szeroki łuk, pokiwał znacząco głową i wyjaśnił przytłumionym głosem: „Paluchy precz, ścierwo”.

Ona również ściszyła głos, przytuliła się do niego i wsunęła mu głowę pod pachę. „Nie bój się – powiedziała. – Uważam na siebie, wielkie słowo honoru”.

Podczas gdy na dole Trude i Jakob próbowali rozmawiać w spokoju i Jakob po raz pierwszy usłyszał, że jego syn przed ośmiu laty znalazł się jako pierwszy w rozpadlisku, gdzie na swój sposób – nieporadnie, ale delikatnie i z wyczuciem – udzielał pierwszej pomocy Ursuli Mohn, Ben opowiadał swojej siostrze o Svenji Krahl, Marlene Jensen i Edith Stern przy pomocy kilku – wciąż tych samych słów.

Jakob i Trude porozmawiali jeszcze o spalonych gazetach, o Heinzu Lucce, Brunie i Dieterze Kleu, o Albercie Kressmannie i o ich własnym synu, który nie mógł mówić, i któremu – tfu, tfu, odpukać – ukręcał kiedyś stryczek z jego milczenia. Trude swoim zwyczajem przemilczała wszystko to, co istotne, ograniczając się do tego, co

Jakob i tak już wiedział, a przynajmniej podejrzewał. Na koniec odrzuciła kategorycznie propozycję Jakoba, aby skonfrontować Bena z psychologiem.

„Coś ty sobie uroił, co ma przy tym wyjść na jaw? – zapytała, patrząc na niego z lekką kpina. – Jeśli nawet my nie możemy usłyszeć od niego jednego rozsądnego słowa”.

Była prawie pierwsza w nocy, kiedy wreszcie położyli się do łóżka. Jakob leżał z otwartymi oczami, po głowie chodziły mu słowa Paula: „Ostrzegłem moje dwie”. Czy ostrzegł je również przed Brunem Kleu? Jakob myślał o dziewczynce w sąsiednim pokoju. „Nie bój się tatusiu, jak mnie zaboli, wtedy będę głośno krzyczeć i on natychmiast przestanie...”.

Czy na Bruna też nakrzyczy? Tylko że Bruno nie musiał siłą brać dziewczyn. Same pchały mu się do łóżka. I wtedy Jakob znowu nie wiedział, co ma myśleć. Zamknął oczy i zasnął.

Trude leżała, nie śpiąc, przewracała się z boku na bok. Przed oczami miała sztywny od krwi plecak młodej Amerykanki, jaskrawożółte majteczki i dwa odrąbane palce, które prawdopodobnie należały do Marlene Jensen, torebkę Svenji Krahl, majtki jakiejś nieznajomej. I kość, która być może była kiedyś fragmentem nogi pierwszej Edith Stern lub jakiejś dziewczyny, o której zniknięciu nikt nie słyszał.

W niedzielę rano Trude czuła się tak, jakby kąpała się w sadzawce pełnej krwi. Jakob starał się być bardziej optymistyczny, jeśli tak można to ująć. Być może jego dobry nastrój miał źródło w czwartym nakryciu na stole i wesołym głosie jego córki, która przy śniadaniu przedstawiała mu swoje plany na następne dni.

„W południe Ben odbierze mnie z szosy. To już omówiliśmy. On wie, gdzie ma na mnie czekać. A po południu pójdę z nim pospacerować po wsi. Nie można go teraz chować, tatusiu. Trzeba pokazać ludziom, że Ben jest łagodny i dobroduszny. Wtedy przestaną gadać”.

Po śniadaniu Jakob wyprowadził ze stodoły starego mercedesa,

pojechał do rozpadliska i pozostał tam do południa, badając gruntownie cały teren metr po metr, ale nie znalazł nic znaczącego. Dla Trude skapywała sekunda po sekundzie i napełniała naczynie z minutami. Minuty napełniały naczynie z godzinami, a godziny były długie i coraz dłuższe. Sztywny od krwi plecak napełniony kawałkami ludzkiego ciała. Gdzieś tam na dworze te kawałki jeszcze leżą. W każdej chwili ktoś może się o nie potknąć. Wtedy przyjdą, na pewno przyjdą.

Krótko po dwunastej w południe przyjechała Britta Laessler na swoim nowym rowerze, żeby przynieść Tanji zeszyty i książki potrzebne nazajutrz do szkoły. Jednak zasadniczym celem jej wizyty było nakłonienie przyjaciółki i niemal siostry do powrotu. Trude zaprosiła Brittę do domu i zawołała swoją córkę, która siedziała z Benem w jego pokoju. Po chwili Tanja zeszła na dół, za nią sunął jak cień jej brat.

Obie dziewczynki ucałowały się serdecznie, a potem poszły razem na górę do drugiego pokoju. Ben, który podążał za nimi w nadziei, że zaproszą go do towarzystwa, poczuł się mocno zawiedziony, kiedy Tanja poprosiła go, żeby zaczekał pod drzwiami. „Usiądź tu ślicznie, niedźwiedziu – powiedziała i pokazała palcem na podłogę. – Jak ze sobą porozmawiamy, pobawimy się z tobą troszeczkę”.

Trude zmywała w kuchni naczynia i stwierdziła, ciężko wzdychając: „Kiedy ona jest tutaj, Ben nawet nie ruszy się z domu. Mój Boże, szkoda że już dawno nie wzięliśmy jej do siebie”.

„To prawda. Wielka szkoda, że nie zrobiliśmy tego – i jeszcze wielu innych rzeczy. W każdym razie teraz ona jest tutaj”.

Britta Laessler została do ósmej wieczór, próbując szczęścia prośbą, zaklinaniem i łzami. Tanja była jednak twarda. „Masz dwóch braci, a ja tylko jednego, a on teraz mnie potrzebuje”.

Pożegnanie przed drzwiami domu się przeciągało. Britta szlochała w głos, widząc to, Tanja zdecydowała: „Odprowadzę cię kawałek, wtedy będziemy mogli jeszcze raz o wszystkim porozmawiać”.

Ben jakby tylko na to czekał, uśmiechnął się szeroko, pogłaskał

siostrę po ciemnych włosach, a zaraz potem musnął dłonią jasną czuprynę Britty. W końcu położył pocieszająco rękę na ramieniu Britty, drugą złapał za kierownicę roweru i pomógł jej go pchać.

„No, nie płacz już – prosiła Tanja raz za razem. – Przecież nie wyjeżdżam na koniec świata”.

Britta wciąż nalegała, tłumacząc, że jeszcze nigdy nie czuła się taka opuszczona i samotna jak zeszłej nocy.

Przy pierwszym rozjeździe nastąpiło kolejne pożegnanie. Tanja nie chciała iść dalej, obawiając się, że łzy Britty mogłyby w końcu wpłynąć na zmianę jej decyzji. Jeszcze tylko uścisk ręki, ostatnie przytulenie. Teraz obie płakały, a Tanja przeklinała: „Cholerny świat”. Potem odwróciła się na pięcie i poszła długimi, zamaszystymi krokami do domu rodziców.

Ben stał przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, za kim ma pobiec. Popatrzył za siostrą i ruszył za nią, po kilku krokach zatrzymał się jednak. Kiedy Britta zaczęła pchać swój rower, przyłączył się do niej. Dzień miał się ku końcowi, po upalnym popołudniu nastąpił łagodny, przyjemny wieczór. W ogrodach ciągnących się wzdłuż drogi zażywano ostatnich promieni słońca. Było wielu ludzi, którzy widzieli razem Bena i Brittę Laessler i którzy mogli później udzielić nam informacji.

Głośny płacz Britty sprawił, że Ben stał się nerwowy. Chcąc ją uspokoić, co chwila kładł rękę na jej ramieniu. Za każdym razem strząsała ją ze złością i pociągając nosem tłumaczyła, że on nie jest niczemu winien, choć ściśle mówiąc, wszystko to właśnie jego wina. Gdyby zachowywał się rozsądnie, nigdy nie doszłoby do tego, do czego doszło. Skinął głową na znak, że zgadza się z nią w całej rozciągłości, nazwał ją „Ślicznie”, tak jak to zawsze robił we wszystkich tych latach i dopytywał się ze współczuciem: „Boli?”.

Powoli zbliżali się do drutu kolczastego i po chwili znikli z oczu obserwatorów w ogrodach. Ale na drodze byli też spacerowicze. Nicole Rehbach, młoda kobieta, która w maju tego roku przeprowadziła się na wieś z małego miasteczka, które wynajmowała w Lohbergu,

pchała wózek inwalidzki w stronę tej dwójki. Mijała właśnie bungalow Lukki, kiedy zobaczyła z daleka Bena, który trzymał jedną ręką kierownicę roweru, a drugą chwycił za ramię Britty.

Wózek inwalidzki był zasadniczym powodem, dla którego Nicole Rehbach aż do tej chwili nie zajmowała się wiejskimi plotkami. Ani niczym innym – poza mężem inwalidą. Hartmut, jej mąż, wychował się na wsi. Jego rodzice mieli dom przy Bachstrasse i byli daleko spokrewnieni z Theą Kressmann. Babka Hartmuta była kuzynką ojca Thei, ale państwo Rehbach nie utrzymywali kontaktów z tą daleką rodziną. Nicole Rehbach nawet o tym nie wiedziała. A nawet gdyby wiedziała, mało by to ją interesowało. I nic dziwnego. Młoda kobieta była zaprzątnięta swoimi problemami, które przysłoniły wszystko inne.

Od pół roku była mężatką, ale jej życie małżeńskie trwało zaledwie trzy tygodnie. Na początku marca, dokładnie dwadzieścia jeden dni po ślubie, Hartmut Rehbach spadł z rozpędzonego motoru. Doznał skomplikowanego złamania ręki, w następstwie czego ręka pozostała sztywna. Prawe podudzie trzeba było amputować. Ale to nie były najgorsze obrażenia.

Nicole Rehbach jeszcze nie wiedziała, jak ma dalej żyć z człowiekiem, który nie był już mężczyzną. Tego wieczoru też nie wiedziała, kogo ma przed sobą i nie interweniowała, kiedy na drodze pojawili się Ben i Britta.

Ben chciał odciągnąć na bok Brittę. Dziewczynka wyrwała mu swoją rękę i krzyknęła niego ze złym błyskiem w oku: „Zostaw mnie! Zostajemy na drodze. Tatuś mi mówił, że zawsze trzeba zostać na środku drogi, wtedy ma się czas, żeby uciec”.

Ben ponownie złapał ją za rękę, ale tym razem przytrzymał mocniej i gwałtownie potrząsnął głową. „Paluchy precz” – powiedział i schylił się tak nisko, że dotknął ustami jej ucha. „Przyjaciół” – powiedział, a jego usta musnęły jej policzek.

„Przestań, idioto – załkała Britta. – Sam jesteś winien, że wszyscy tak o tobie mówią. Nie możesz być moim przyjacielem. Ty w ogóle nie możesz mieć przyjaciółki”.

Znów zaczęła mu się wrywać. I wtedy Britta Laessler zrobiła decydujący błąd. Pchnęła go z całej siły w klatkę piersiową, a potem waliła na oślep pięściami, przez cały czas szlochając. W końcu krzyknęła histerycznie: „Odczep się, idioto. Ale już!”.

Ben momentalnie puścił kierownicę roweru, który przewrócił się na ziemię. Britta podniosła go, odrzuciła do tyłu głowę i przeszła dumnie obok Nicole Rehbach, zmierzając w stronę bungalowu Lukki.

Nicole Rehbach pchała dalej wózek ze swoim mężem i kilka razy obejrzała się za siebie, żeby zobaczyć, co się będzie dalej działo. Ben podążył za Britta z widocznym ociąganiem, kilka razy wykrzyknął „ścierwo”, za każdym razem nieco głośniej. Był bardzo podniecony, a jego mowa stała się teraz tak bełkotliwa, że nie sposób było zrozumieć tego, co mówił. Nicole Rehbach wydawało się, że powiedział: „Dawaj to”. W pierwszym momencie uznała, że chce zabrać rower swojej towarzyszce. Nagle zrobiło się jej żal tego wielkiego chłopaka z ciemną czupryną. Wyglądał wprawdzie na tęgiego zucha, ale jego zachowanie było typowe.

Krzyki Bena przywiodły Heinza Lukkę na próg domu. Adwokat stanął w drzwiach, zobaczył płaczącą dziewczynkę i toczącego się kilka metrów w tyle Bena. Młodej kobiety i mężczyzny w wózku inwalidzkim nie zauważył natychmiast.

„No, no, no – powiedział Heinz Lukka łagodnym głosem. Mrugnął porozumiewawczo do Bena i uśmiechnął się. – A kto to tak głośno krzyczy? Co się stało? To do ciebie niepodobne”.

Potem zagadnął Brittę. „Jakieś kłopoty, miła panienko?”. Wciąż jeszcze uśmiechając się, a mimo to bardzo poważny, powiedział: „Nie powinnaś płakać, kiedy on jest w pobliżu. Myślę, że to go strasznie denerwuje”.

Ben zatrzymał się w pół kroku, widząc otwierające się drzwi bungalowu. Zaczął z miejsca podrygiwać, patrzył z podnieconą miną to na Heinza, to znów na Brittę. Jego dłonie otwierały się i zamykały – zupełnie jak u niemowlaka, który chce swoją grzechotkę. Krzyknął głośno i tak wyraźnie, że Nicole Rehbach zrozumiała każde słowo:

„Paluchy precz, przyjaciel!”.

„Ależ oczywiście – powiedział Heinz Lukka. – Jesteś moim przyjacielem, ale teraz musisz zostawić w spokoju tę miłą dziewczynkę. Przecież dobrze o tym wiesz, prawda? Jestem pewien, że nie chciałeś zrobić Bricie nic złego. Tobie też nikt nie robi nic złego. Idź do domu, Ben. Idź do matki”.

Ben dalej podrygiwał, potrząsał gwałtownie głową, krzycząc przenikliwym głosem: „Paluchy precz!”.

Heinz Lukka skrzywił się z niesmakiem, spojrział na Brittę i zapytał zdziwiony: „Co mu się stało? Dlaczego jest taki zdenerwowany? Nigdy przedtem nie widziałem go takim. Czy coś mu zrobiłaś?”.

Britta wzruszyła ramionami i zacisnęła usta. Nicole Rehbach zatrzymała się na drodze i zawołała do Lukki: „Pocałował ją w policzek. Wtedy ona go nawzywała, a później zbiła”.

„Nie wtrącaj się, to nie twoja sprawa – zamruczał jej mąż. – No już, chcę do domu”.

„Bardzo dziękuję – odkrzyknął Lukka. – Zaraz to wyjaśnię”. Obrócił się do Britty i powiedział z naganą w głosie: „Nie możesz robić takich rzeczy. Kiedy go bijesz, on zaczyna się wściekać jak każdy inny. To normalna reakcja. Wejdz na chwilę, poczekamy aż się uspokoi”.

„Paluchy precz!” – zaryczał znowu Ben.

Zdaniem Nicole Rehbach wyglądało to tak, jak gdyby Ben chciał w następnym momencie rzucić się na starszego pana. Później opowiadała: „Nie od razu zorientowałam się, o co mu chodzi, a przecież to było bardzo czytelne. On chciał dziewczyny, nie roweru. Kilka razy krzyknął, żeby ten mężczyzna nie dotykał małej. Wprawdzie wyraził to inaczej, ale tak to zrozumiałam. Poza tym, uznałam, że starszy pan jakoś dziwnie reagował”.

Britta nie wiedziała, co ma robić. Patrzyła niezdecydowanie na Heinza Lukkę, to znów zerknęła lękliwie w stronę Bena, który podrygiwał jak szalony i wymachiwał rękami. Jeszcze chwila ociągania. Potem zdecydowanym ruchem oparła swój rower o niski parkan okalający ogród Lukki. Kiedy szła za nim do drzwi domu, Ben

zupełnie oszalał. W wielkich susach dopadł do stojącej na drodze Nicole Rehbach, gwałtownie gestykulował, wymachując obu rękami i krzyczał: „Ścierwo! Paluchy precz!”.

Dopiero teraz Nicole Rehbach przestraszyła się go nie na żarty. Tak szybko, jak tylko było to możliwe z wózkiem inwalidzkim, oddaliła się, pozostawiając za sobą szalejącego olbrzyma. Ben biegł za nimi jeszcze kawałek. Słyszała za sobą jego kroki, ale nie odważyła się odwrócić. Dopiero kiedy minęła drut kolczasty i zobaczyła, że w ogrodach byli jeszcze ludzie, zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała za siebie. Na drodze nie było już widać szalejącego olbrzyma. Pomyślała, że biega dookoła bungalowu.

Jej mąż był wyraźnie niezadowolony, kiedy zagadnęła jakąś starszą kobietę w ogrodzie. Znów zażądał poirytowanym głosem, żeby się nie mieszała. Kiedy mijali tylną ścianę bungalowu, Nicole Rehbach zauważyła, że drzwi na taras są otwarte. I pomyślała, że jeśli ten kolos wtargnie do domu przez te drzwi, wówczas może być źle – chuderlawy siedemdziesięciolatek i drobna nastolatka mieli niewielkie szanse stoczyć zwycięską bitwę z takim przeciwnikiem.

Ale kobieta w ogrodzie powiedziała: „Niech się pani nie martwi. Lukka już sobie z nim poradzi, on wie, jak należy z nim postępować. Poza tym Ben nie wchodzi do jego domu, a już z pewnością nie przez taras. Lukka odzwyczaił go od tego parę ładnych lat temu”.

Pies Lukki

Kiedy Lukka musiał uśpić swojego ostatniego owczarka, długo się potem ociągał, zanim kupił sobie nowego czworonożnego towarzysza. Thea Kressmann opowiadała, że Heinz po długim namyśle doszedł do wniosku, że być może nie tylko ciasne mieszkanko, które wynajmował w domu przy rynku, mogło spowodować zaburzenia psiej psyche. Niewykluczone, że agresywne zachowania owczarka były po części wynikiem jego samotności. W tej kwestii nic się nie zmieniło, również po przeprowadzce do nowego, dużego domu. Większość dnia adwokat spędzał w swojej kancelarii w Lohbergu. Z samego rana wychodził z psem na krótki spacer, wieczorem – na nieco dłuższy, więcej czasu nie miał dla swojego pupila. Po brutalnej napaści we wrześnie osiemdziesiątego dziewiątego wszakże zdecydował się na kupno krzepkiego bullteriera, który przeszedł już stosowną tresurę, a ponadto nie był tak delikatny i wrażliwy jak owczarek.

Było to wyjątkowo brzydkie i złośliwe bydlę, które biegało po całym domu, kiedy pana nie było. Antonia Laessler widziała za każdym razem to okropne stworzenie, kiedy przechodziła obok bungalowu. Szczercząc kły, pędził od jednego okna do drugiego. Nigdy nie czekał, po prostu tam był, jak gdyby czekał tylko na sposobność, aby móc użyć swojej – wyposażonej w ostre zębiska – mocnej jak diabli paszczyki. Antonia często mówiła: „Tylko czekam, aż któregoś dnia wyskoczy przez szybę. To zabójca”.

Paul wielokrotnie zagadywał Heinza Lukkę, wypyując o jego nowego psa i związane z nim zagrożenie. Heinz za każdym razem starał się go uspokoić, tłumacząc cierpliwie, że pies jest przecież

w domu, drzwi i okna są zamknięte na cztery spusty. Bez obaw, nic nie może się stać. Absolutnie wykluczone.

I rzeczywiście, nic się nie stało. Obawy Antonii stopniowo zniknęły. Bullterier w bungalowie Lukki stał się niejako elementem wyposażenia wnętrza, o które nikt już się nie troszczył. Czasami jakiś przechodzień wzdragał się na całym ciele, kiedy zniemacka pojawiała się za oknem ciemna sylwetka, błyskając białą zabójczo ostrych zębów. Wiosną dziewięćdziesiątego roku regularnie napędzał Paulowi diabelnego stracha, kiedy ten robił wieczorny obchód młodej kukurydzy, a pies wyrastał nagle na tarasie, wydając z siebie gniewny charkot. Ale krótki okrzyk Heinza Lukki wystarczył i zwierzę dreptało posłusznie do domu. „Słucha jego słów” – powiedział w końcu Paul do Antonii.

Pewnego wieczoru w czerwcu dziewięćdziesiątego roku Ben pożegnał się z rodziną Laesslerów i ruszył w stronę domu. Dochodziła siódma. Aż do tej pory bawił się z dziećmi obok garażu. Heinz Lukka był od pół godziny w domu, siedział w swoim gabinecie i pisał jakieś pismo, którego nie zdążył zredagować po południu. Pies leżał pod jego biurkiem. Drzwi prowadzące do sieni były szeroko otwarte, te do gabinetu również. Heinz Lukka otworzył też drzwi na taras, do wnętrza domu płynęło łagodne powietrze letniego wieczoru.

Zanim Ben pojawił się tego dnia w gospodarstwie Laesslerów, przez pewien czas bawił się w rozpadlisku i znalazł tam coś szczególnie dlań interesującego. Był to wielki szczur, który niestety już się nie poruszał.

Antonia nie była zachwycona tym znaleziskiem i poleciła mu, żeby wyrzucił padlinę do pojemnika na śmieci. Ben zastosował się do jej życzenia. Ale zanim poszedł do domu, znów wyjął z pojemnika swój skarb.

W drodze do bungalowu Lukki przez cały czas trzymał w dłoni zdechłego szczura. Pachniał trochę ostro, nieprzyjemnie, ale to mu nie przeszkadzało. Kiedy zbliżył się do bungalowu, wsadził szczura do kieszeni spodni. Szedł powoli, obserwując taras przez kukurydzę, zobaczył otwarte drzwi i aż podskoczył z radości na myśl o czekającej

go niechybnie tabliczce czekolady.

Ben nie bał się bullteriera. Wychowywał się ze zwierzętami i nie okazywał cienia strachu nawet przed buhajami Bruna Kleu. Jeśli jakiś gatunek był mu obcy, zachowywał pełen respektu dystans. Tak było z początku również z bullterierem. Heinz Lukka objaśniał mu cierpliwie, jak należy postępować z takim psem. Ben nie rozumiał wszystkich słów, ale doskonale pojmował, o co chodzi. Przyjaciel Lukka był panem, a pies słuchał: „Siedź!” – mówił pan. I pies siedział. „Noga”. I pies stał zaraz obok nogi przyjaciela Lukki. „Spokój!”. I nawet nie warknął.

Trzeba być ostrożnym, nie wolno poruszać się zbyt pośpiesznie, nerwowo, kiedy wchodzi się do domu. Trzeba mówić cicho i nie cofać ręki, kiedy pies ją obwąchuje. Tego wszystkiego Ben się nauczył. Wiedział nawet, że pies lubi, kiedy drapie się go po łbie, ale ta pieszczota była zarezerwowana wyłącznie dla jego pana.

Ben wszedł na taras, zbliżał się powoli do otwartych drzwi i zawołał cicho: „Przyjaciel!”. Minął drzwi i wszedł do wielkiego salonu. Pies wyszedł mu naprzeciw z korytarza. Ben wyciągnął do niego rękę, tak jak to pokazał mu Heinz Lukka. To była ręka, która niosła szczura. I nawet bez najmniejszego sygnału ostrzegawczego pies ugryzł.

Ben krzyknął, wyrwał rękę, zwiększając jeszcze ból, którego źródłem były głęboko wrzynające się w ciało psie zęby. Ben zamachnął się odruchowo, uderzył wolną ręką i trafił wprost we wrażliwy psi nos. To był niesamowicie mocny cios. Pomimo intensywnej tresury, którą przeszedł, pies puścił rękę Bena i trząśnięty oszołomiony ciosem.

Ben przyglądał się z lękiem dziurom w swojej dłoni – i krwi, która kapała dużymi kroplami na kosztowny, mięsisty dywan. Zapiszczał cienko: „Przyjaciel!” i patrzył z nadzieją w stronę korytarza. Ale przyjaciel Lukka nie pojawił się, żeby odwołać psa.

Pies skoczył na niego, grzmotnął ze skoncentrowaną siłą w pierś Bena i przewrócił go na podłogę. W pierwszym odruchu Ben wyrwał do góry rękę i dzięki temu ochronił twarz i gardło. Psie zęby wbiły się

w jego ramiona i szarpały ciało. Ben już nie krzyczał, nawet nie jęczał z bólu. Zdrętwiały z przerażenia leżał na podłodze, przed jego oczami zaczęły tańczyć ogniste koła. Pomoc wciąż nie nadchodziła. W wielkim pokoju panowała przenikliwa cisza. Pies również nie wydawał z siebie żadnego dźwięku.

Każdy inny próbowałby raz jeszcze zaatakować psa lub zrobić coś równie bezsensownego. Ben zrobił coś na pierwszy rzut oka niedorzecznego. Opuścił rękę, którą chronił twarz i gardło, objął obu rękami psa i przyciągnął go mocno do klatki piersiowej niczym w serdecznym uścisku, zgniatając przy tym bullterierowi żebra, równocześnie zaś przycisnął pięść do kręgosłupa zwierzęcia. Ile siły tkwiło w pięściach Bena, tego nikt się nie domyślał, ponieważ normalnie ich nie używał.

Po kilku sekundach dał się słyszeć suchy trzask. Pies zaskowyczał z bólu, zakrwawiona paszczyka zwolniła uścisk, psie zęby oderwały się od ciała Bena, przednie łapy wiosłowały, szukając oparcia, tylne zwisały bezwładnie na boki. Benowi udało się uwolnić od ciężaru psiego ciała i stanąć na nogi. Pełen obrzydzenia i gniewu obserwował zwierzę, które zwijało się przed nim na podłodze i skowyczało żałośnie. Potem Ben zamachnął się i z całej siły uderzył nieskaleczoną ręką w dół. Grzbietem dłoni trafił w psi łeb. Skowyczenie z miejsca ustało. „Paluchy precz!” – krzyknął Ben.

Półtorej godziny później Heinz Lukka mówił do Jakoba i Trude: „Strasznie mi przykro. Byłem w garażu. Zostawiłem akta w samochodzie i niczego nie słyszałem. Kiedy wszedłem do domu... mój Boże, naprawdę bardzo mi przykro. Ale lekarz powiedział, że to są tylko rany tkanki mięśniowej. Wszystko będzie dobrze”.

Ben siedział na kanapie z bladą twarzą, plecy i ręce w grubych opatrunkach, oczy wlepione w siedzącą obok Trude.

„A co z psem? – zapytał zdenerwowany w najwyższym stopniu Jakob. – Moim zdaniem, jeśli już raz to zrobił, na pewno zrobi to jeszcze raz”.

„Nie – powiedział Heinz Lukka. – On już nikomu nic nie zrobi... Ben

skręcił mu kark”.

Ale o tym Ben nie wiedział. Od tego dnia nigdy nie przestąpił już progu domu Lukki. I o tym wiedzieli niektórzy – na przykład stara kobieta w ogrodzie, która uspokajała Nicole Rehbach.

27 sierpnia 1995

Zbliżała się dziesiąta wieczór. Trude posłała Tanję na górę, żeby umyła zęby i poszła do łóżka. Później chciała poszukać Bena, Jakobowi bardzo na tym zależało. Od swojej najmłodszej córki dowiedział się, że Ben poszedł dalej z Britta Laessler i przypuszczalnie odprowadził ją do samego domu.

Jakob obawiał się, że Paul nie będzie zachwycony tym towarzystwem i być może zareaguje nieco inaczej, niż Ben mógł się tego spodziewać. Trude obawiała się zupełnie czegoś innego. Na dworze powoli zapadał zmrok, za pół godziny będzie ciemno jak w piekle. Na wszelki wypadek Jakob wetknął w kieszeń mocną latarkę, choć w szczerym polu niewiele mogła mu pomóc w jego poszukiwaniach.

Tanja jeszcze raz zeszła na dół, pocałowała Jakoba na dobranoc i musnęła Trude w policzek. Jakob poszedł do drzwi wejściowych, ale zawrócił, słysząc dzwonek telefonu.

Dzwonił Paul, który siląc się na swobodny ton, pytał, kiedy jego córeczka zamierza wrócić do domu. Trude zauważyła, że Jakob nagle pobladł i nerwowo gryzł wargi. Jabłko Adama chodziło w górę i w dół. Zamknął oczy i powiedział zduszonym głosem: „Jeszcze jej nie ma? Przecież wyszła o ósmej...”.

Więcej Trude nie słyszała. Nie wiedziała, że jej wewnętrzna udręka może być jeszcze spotęgowana. A może to nie było spotęgowanie. Być może osiągnęła szczyt – i nawet go przekroczyła. Za szczytem szło się stromą ścieżką w dół do samego końca. A właściwie już się nie szło, ale pędziło na oślep jak meteoryt przez przestrzeń kosmiczną. Na

prawo i lewo żadnych słońc, żadnych gwiazd i czarnych dziur wszechświata, tylko jaskrawe, migające, zapalające się, niekończące się smugi.

Kiedy Trude mogła wreszcie odwrócić spojrzenie od tych świetlistych smug, Jakob już dawno odłożył słuchawkę, stał przed nią w korytarzu z bladą jak wosk twarzą, przestępował z nogi na nogę i chrząkał raz za razem, ponieważ nie mógł wydobyć słowa z zaschniętej krtani. Potem Jakob powiedział to, o czym Trude wiedziała już od dawna. „Britta nie wróciła do domu. Paul chce skrzyknąć ekipę, żeby przeszukać teren, teraz, natychmiast, być może można jeszcze coś uratować”.

Jakob odwrócił się w stronę schodów, u których podnóża stała Tanja i patrząc pełnym niedowierzania wzrokiem na rodziców, szeptała: „Ale przecież Ben z nią poszedł”.

„W tej chwili idź do swojego pokoju – rozkazał Jakob twardym głosem. – Zamknij drzwi od wewnątrz i zabarykaduj się. Przysuń szafkę i postaw krzesło między szafką i łóżkiem. A teraz uważaj – bez względu na to, co się stanie, dopiero wtedy otworzysz drzwi, kiedy ja będę za nimi. Tylko ja i nikt inny. Zrozumiałaś?”.

Trude nie mogła naraz otworzyć oczu – z przerażenia lub oburzenia. Zwiesiła głowę, widziała przed sobą odrąbane palce i zakrwawione szmaty kłębiące się u jej stóp. I nagle zobaczyła belkę. W stodole było tak dużo belek. Czy Ben naprawdę... Jeśli go zamkna, jeśli inni nie ona będą się nim zajmować, Trude już wiedziała, co ma robić.

Jakob obszedł cały dom, wszystkie pomieszczenia po kolei, spuścił rolety, zszedł do piwnicy, zamknął tam wszystkie okna i umocował kraty. Na koniec zaryglował drzwi do piwnicy, przez które Ben zawsze wchodził do domu.

Trude słyszała, jak jeden po drugim opadały zamki w drzwiach, w środku zrobiło się naraz ciemno i głucho. Kiedy Jakob wrócił do sieni, poszła za nim na podwórze, patrzyła, jak zamykał drzwi wejściowe i przez chwilę dławiła się, nie mogąc złapać oddechu.

„On tego nie zrobił! Tylko nie to! Dziewczynę z Lohbergu, której nie znał. Córkę Ericha, która pewnie na niego nakrzyczała. Młodą Amerykankę, która prawdopodobnie też mu nawymyślała. W to jeszcze uwierzę. Ale nie Britte! Nosił ją na rękach, kiedy była malutka. Bawił się z nią jak z rodzoną siostrą!”.

Nie wiedziała, czy tylko myślała, czy powiedziała to na głos. Jakob nie zareagował. Ciężkim krokiem ruszył przed siebie w stronę bramy, Trude biegła za nim truchtem.

W tym samym czasie Antonia wzięła z ręki Paula słuchawkę i wykonała resztę telefonów. Ręce Paula drżały tak mocno, że nie mógł wybrać żadnego numeru. Andreas ze swoją żoną i teściem byli już w drodze. Zatrzymali się przy dyskotecie w Lohbergu i wywołali Achima, który słysząc, co się dzieje, zebrał w „da capo” grupkę przyjaciół. Po chwili wyruszyli w kilka samochodów.

Richard Kressmann i Toni von Burg obiecali, że przyjadą natychmiast ze wszystkimi ludźmi, których mają do dyspozycji. Antonia krążyła po domu, powtarzając w kółko: „Nasza Britta nie wróciła do domu”. Więcej nie mogła z siebie wydusić. Bruna Kleu nie było w domu. Renate obiecała, że przyśle go zaraz, jak tylko go zobaczy. Póki co wysłała przodem obu synów. W gospodzie Ruhpolda zebrała się grupka siedmiu mężczyzn, którzy razem z Wolfgangiem Ruhpoldem szykowali się do drogi. U Heinza Lukki nikt nie podnosił słuchawki, również w mieszkaniu nad apteką nikt nie podchodził do telefonu. Erich Jensen i Heinz Lukka byli w tym czasie na posiedzeniu rady miasta. Marii nie było w domu.

Kiedy pół wsi wyruszyło na poszukiwania Britty Laessler i nikt nie wpadł na pomysł, żeby zawiadomić policję, Trude straciła resztę swego ducha bojowego. Chociaż wcale nie chciała tam iść, biegła drobnymi kroczkami za Jakobem do rozpadliska, do miejsca, na które wczoraj zaprowadził ją Ben.

Bena ani widu, ani słyhu. Promień latarki Jakoba wędrował wolno między porośniętymi mchem gruzami, ślizgał się po ziemi, obmacywał każdy kamień, każdy oset i każdą pokrzywę. Jakob badał to miejsce

przed południem i teraz nie zauważył jakichś zmian. Nie minęło pół godziny, kiedy dołączyli do nich Toni, Uwe i Winfried von Burg, Andreas Laessler i jego żona Sabine. Andreas miał przy sobie łopatkę i natychmiast zaczął kopać w tym samym miejscu, gdzie przed ośmiu laty ktoś wykopał grób dla Ursuli Mohn. Inni przeszukiwali krzaki. O Trude, która błędziła bez sensu i celu między zwałami gruzu, nikt się nie troszczył.

Krótko potem pojawili się Richard i Albert Kressmann, również oni przynieśli ze sobą łopatkę i gruby kij. Richard był w miarę trzeźwy i badał kijem, czy ziemia była gdzieś świeżo rozkopana. Albert przypatrywał się kupie kamieni i w pewnym momencie zwrócił uwagę Jakoba na świeże ślady przy wielkiej górze gruzów. Były one tak małe, iż Jakob musiał je przedtem przeoczyć.

Uwe von Burg i Andreas Laessler wkrótce dołączyli do reszty. Dwadzieścia minut trwały zmagania członków ekipy, którzy zjednoczyli siły, aby odwalić na bok omszałe kamienie i odsłonić wejście do sklepionej piwnicy. Andreas i Albert precyzyjnie się podpoprzeczną belką, podczas gdy Jakob, wstrzymując oddech, czekał na okrzyk przerażenia lub coś w tym rodzaju.

W piwnicy brodzili w istnym morzu gruzu. W końcu dotarli do spróchniałego regału, na którym stało kilka powyginanych aluminiowych garnków, wypełnionych po brzegi prastarymi częściami zastaw stołowych, fragmentami figurek porcelanowych, kawałkami drewna i niezliczonymi kośćmi. Wszystko było skrupulatnie posortowane. Kości należały w większości przypadków do myszy polnych i szczurów. Z całą pewnością nie było tam kości ludzkich.

Młodzi ludzie w dalszym ciągu zmagali się ze stosem porośniętych mchem kamieni, przenosząc je kilka metrów dalej. Bez rezultatu. Toni von Burg, Jakob i Richard Kressmann kontrolowali inne miejsca oraz drogę, która prowadziła wzdłuż rozpadliska. O czwartej nad ranem większość członków ekipy wyruszyła do Bendchen, aby wspierać tam ochotników przeczesujących las. Jakob wziął Trude za rękę i ruszył za innymi. Richard Kressmann przysiadł na krawędzi rozpadliska, żeby

trochę odetchnąć. Albert kopał dalej w tym samym miejscu.

Grupa zjednoczona wokół Wolfganga Rühpolda dawno temu wyruszyła z gospody i w pierwszej kolejności obszukała okolice gospodarstwa Schloesserów. Tam mężczyźni podzielili się na dwie grupy. Czterech pomaszerowało do Bendchen i powoli, metr po metrze przeszukiwało teren. Inni – pomagając sobie mocnymi lampami – kontrolowali całą drogę, którą musiała iść Britta.

28 sierpnia 1995

Aż do szóstej rano trzydziestu ludzi systematycznie przeczesywało las. Jakob chciał koniecznie z nimi zostać. Był przekonany, że Ben zjawi się lada moment. W końcu musiał być gdzieś tutaj. Trude krążyła za nim jak cień. Widząc to, Uwe von Burg powiedział do swojego teścia: „Powinieneś zaprowadzić ją do domu. Biedaczka, ledwie trzyma się na nogach”.

A Toni von Burg dodał: „Nie martw się o Bena, Jakobie. Jak go zobaczę, przyprowadzę go do was”.

Z Trude uwieszoną na jego ramieniu Jakob potrzebował więcej niż godzinę, zanim dotarł do domu. Po drodze Trude mamrotała coś niewyraźnie. Jakob nie rozumiał tego, co mówi, tylko mocniej przyciągnął ją do siebie, ponieważ przez cały czas potykała się o swoje nogi. Była nieludzko zmęczona. Kiedy weszli na podwórze, zobaczyli go siedzącego na schodkach przed drzwiami wejściowymi. Bawił się swoim nożem sprężynowym. A przed nim na ziemi leżał rower Britty.

„Ślicznie, paluchy precz” – powiedział, kiedy ich zobaczył i dalej wymachiwał ostrzem.

Trude krzyknęła, a zaraz potem zaczęła głośno szlochać. Jakob usiadł obok Bena na schodkach i wyrwał mu z ręki nóż. Zacisnął zęby tak mocno, aż zazgrzytały. „Gdzie jest dziewczyna? – zapytał. – Gdzie jest Britta?”.

„Ścierwo” – odpowiedział Ben.

Jakob zamachnął się i uderzył zaciśniętą w kułak pięścią. Bił tak długo, aż Trude dopadła do niego i zaczęła szarpać go za ramię. Jej

głośny szloch przeszedł teraz w przeraźliwy pisk. „Przestań! Przestań mówić, bo zatłuczysz go na śmierć!”.

„To byłoby najlepsze”! – odparł Jakob.

Ben wciąż siedział na schodkach. Przy każdym uderzeniu walił plecami o ostry kant schodka. Skóra na jego twarzy pękła w dwóch miejscach. Z lewej brwi wzdłuż skroni sączyła się cienka strużka krwi. Z rozbitego nosa leciała krew, opuchnięte wargi przywodziły na myśl siekany kotlet. Jakobowi wydało się naraz, że ma przed sobą diabła.

Wstrząsnął się z obrzydzeniem, podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Jedna część Trude podniosła się i zaprowadziła Bena do kuchni, posadziła go na krześle, przyniosła czystą ściereczkę i nalała do miski zimną wodę.

Jakże często musiała to robić we wszystkich tych latach? Jak wiele guzów, szram, pręg i siniaków przynosił do domu? Ile razy, kopniaków, ugryzień i zadrapań znosił cierpliwie?

Druga część Trude pozostała przed drzwiami domu, podniosła z ziemi rower Britty, wsiadła na siodełko i odjechała. I podczas gdy ta część z całej siły naciskała na pedały, podczas gdy wiatr zdmuchiwał jej włosy z twarzy i chłodził rozpalone do czerwoności myśli, coś stapiało się z ramą, z oponami, z kierownicą, zanurzało się coraz głębiej i głębiej w metal, gumę i przeszłość, żeby zbadać, dociec, co ten rower widział w ostatnich godzinach. Kukurydza! Pomiedzy szprychami przedniego koła uwiązał kawałek suchego liścia. Jakob nie zauważył go w swojej bezsilnej wściekłości i rozpacz.

Część Trude, która stała w kuchni, zapytała: „Czy nie chcesz wezwać policji?”.

„Nie – powiedział Jakob. – Teraz i tak się już nie oplaca. Za późno. Jeśli zrobił coś temu dziecku, po co mam jeszcze dać go zamknąć? Czy to wróci jej życie?”.

Trude zamknęła oczy i przytrzymała się krawędzi stołu. Jakob przyglądał się z uwagą długiemu ostrzu noża. Nie było na nim śladów krwi, tylko kilka plamek rdzy. Schował go do kieszeni spodni, poszedł schodami na górę i wypuścił z pokoju Tanję, która głośno łomotała

w drzwi. Razem wrócili do kuchni. Jakob zatrzymał się w drzwiach i obserwował ze zdętwiałą twarzą Trude, która obmywała rany Bena.

Tanja rozwarła oczy z przerażenia, jednym susem dopadła do stołu, przykucnęła, położyła głowę na kolanach brata i pogłaskała go po nodze. „Mój biedny niedźwiedź, co oni ci zrobili?”.

„Odejdź” – warknął Jakob.

Kiedy nie ruszała się z miejsca, podszedł do niej, mocnym szarpnięciem podniósł ją do góry, popchnął na bok i spojrzał na Bena. „Jeśli zrobiłeś krzywdę tej małej – powiedział spokojnie Jakob. – Jeśli spadł jej z głowy bodaj jeden włos, to obaj pójdziemy w długą podróż”.

Trude milczała. Za to Tanja krzyknęła przeraźliwie, dając upust swojemu oburzeniu w tonie, jakiego Jakob nie znał u niej do tej pory. „Całkiem ci odbiło? Nie pieprz głupot!”.

Jakob nie zareagował. Badał koszulę i spodnie Bena, przypatrywał się dokładnie jego dłoniom. Nie były brudniejsze niż zazwyczaj. A jego składana łopatką leżała w piwnicy. Zeszłego wieczoru nie wziął jej ze sobą, kiedy towarzyszył swojej siostrze i Bricie Laessler. Bardzo możliwe, że wrócił po nią w nocy, ale wszystkie drzwi i okna były zamknięte.

„Gdzie jest dziewczyna?” – zapytał Jakob jeszcze raz.

„Przyjacieli” – zamruczał cicho Ben i dotknął dłonią spuchniętych warg.

Tanja nadal wygrażała ojcu, wrzeszcząc, żeby skończył z tym idiotyzmem. „Powinieneś lepiej dać nauczkę draniom, którzy tak urządzili Bena”.

„On to zrobił – powiedziała Trude obojętnie. – Przez całe życie go bił, nie wiedziałaś o tym? To wszystko jego wina. Tylko jego. Sibylle dawno temu powiedziała – bij psa, a będzie gryzł wszystko, co się rusza. I miała rację”.

Trude nie skończyła jeszcze mówić, kiedy Tanja ruszyła na ojca z zaciśniętymi pięściami. W pierwszym momencie Jakob był tak zaskoczony jej atakiem, że nawet nie usiłował jej powstrzymać. Potem

złapał ją mocno za nadgarstek, wziął głęboki oddech i wyjaśnił jej, co on i inni robili przez całą noc i co tam leży na dworze przed drzwiami. Potem w kuchni zapanował cisza.

Tanja płakała. „Mogłam iść z nimi dalej. Dlaczego tego nie zrobiłam? – Potem przyparła ojca do muru. – Dlaczego ty z nią nie poszedłeś? Wujek Paul nigdy nie pozwoliłby mi iść samej”. Na koniec chciała iść natychmiast do wujka Paula, tłumacząc z egzaltacją, że jest mu teraz potrzebna. Ale najpierw chciała porozmawiać z Benem, który musiał wiedzieć, co się stało Bricie. „Gdzie ona jest? Przecież z nią byłeś!”.

„Ścierwo” – zamruczał Ben jeszcze raz.

Jakob pokiwał głową z goryczą. „No, sama słyszysz”.

Nie zwracała uwagi na to, co mówił Jakob. Być może ona jedna rozumiała swojego brata, ponieważ dzieci mają swój tajemny język, a fantazji trzynastoletniej dziewczyny nie były postawione żadne granice. Patrzyła mu prosto w twarz, oczy szeroko otwarte, usta drżące. Potem uderzyła go zniechęcająco w klatkę piersiową, bębniła w nią pięściami i krzyczała przeraźliwym głosem: „Dlaczego na nią nie uważałeś? Dlaczego zostawiłeś ją samą? A teraz ta cholerna świnia zabiła Britte”.

Trude przyciągnęła ją do siebie, wzięła w ramiona jak małe dziecko i kołysała tak długo, aż łkanie umilkło. W tym czasie Jakob zaprowadził Bena na górę. Zamknął drzwi. Klucz schował do kieszeni, na wszelki wypadek, żeby Trude nie przychodziły do głowy głupie myśli. Ale Trude była gdzie indziej ze swoimi myślami, znów wsiadała na rower i jechała polną drogą do kukurydzy i znów z powrotem, wzdłuż pól, na tyłach ogrodów. I znów do kukurydzy, a potem z powrotem. Jakob wyjął córkę z jej objęć, nawet tego nie zauważyła.

Z ciężkim sercem zawiózł Tanję z powrotem do gospodarstwa Laesslerów. Przywitał się i chciał natychmiast się oddalić, żeby pomóc w poszukiwaniach tym, którzy jeszcze krążyli po całej okolicy. Ale Antonia, która została w domu w nadziei, że Britta może jeszcze wrócić do domu, poprosiła go, żeby został z nią choć na kawie.

Jakob usiadł w fotelu, poczuł głód w żołądku i minioną noc w kościach. Przede wszystkim bolały go pięści. Antonia postawiła przed nim śniadanie, a potem przysiadła się do niego i Tanji. Jakob w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że jest taka spokojna. Nic w jej głosie nie zdradzało troski lub bólu, kiedy pytała, czy zeszłej nocy Ben był na dworze.

Jakob tylko przytaknął, suchy kęs uwiązł mu w gardle. W tym momencie Tanja wyrzuciła z siebie wszystko, co było jej wiadome. „Tata kłamie. Ben przyszedł wieczorem do domu, kiedy ich już nie było. Stał pod domem i wołał, ale nie mogłam go wpuścić, bo tata mnie zamknął. Powiedziałam mu, że ma usiąść pod drzwiami, i tak zrobił. Mogę przysiąc, że do samego rana nie ruszył się z miejsca. Mój brat nic nie zrobił Bricie. Przecież go znasz, on jest taki dobry”.

„Tak – bąknęła Antonia i skinęła głową. Przez chwilę milczała, a potem powiedziała w zamyśleniu: Tak często tutaj bywał, bawił się z wami. Zawsze był taki łagodny, delikatny, mogłyście skakać mu po głowie, a on nic. A kiedy kazałyście mu odejść, odchodził. Może teraz też kazała mu odejść... Paul powiedział jej przecież, że ma trzymać się od niego z daleka”.

Jakob przełknął wreszcie tkwiący w pół drogi kęs, popił go kawą i wyjaśnił ochryplym głosem: „Przyprowadził do domu jej rower, Antonio”.

Wydawało się, że ta wiadomość wytrąciła ją z równowagi, nie na długo jednak. Jakob naprawdę ją podziwiał. Na ułamek sekundy jej twarz wykrzywił grymas bólu. „Zaprowadź go do stodoły, Jakobie – poprosiła na koniec. – Albo nie, zobacz czy uda ci się nakłonić Bena do tego, by zaprowadził rower tam, gdzie go znalazł. Wtedy przynajmniej mielibyśmy jakiś punkt zaczepienia”.

Czy Ben miał już rower, kiedy krótko po dziesiątej przyszedł do domu, tego Tanja nie wiedziała. Mogła tylko wychylić się z okna, kiedy usłyszała jego nawoływania. Pokój znajdował się na tyłach domu zaraz obok pokoju Bena. Jej brat przyszedł od podwórza i znów sobie poszedł, kiedy mu nakazała, żeby usiadł pod drzwiami i czekał. Ale czy

rzeczywiście siedział tam całą noc, tym razem Tanja nie była już tego taka pewna.

Rower Britty Trude zdążyła już schować w sąsiedku, zaraz potem jak Jakob odjechał. A przedtem nikt nie wpadł na pomysł, żeby przeszukiwać jej dom albo dręczyć ją pytaniami. Miała więc dość czasu, żeby spalić zakrwawiony plecak.

We wsi wrzało. Nastroje sięgnęły zenitu. Zemsta była na ustach wszystkich. Niektórzy mówili otwarcie, że trzeba zatłuc Bena łopatą jak wściekłego psa i raz na zawsze skończyć z tym szaleństwem. Inni rozglądali się za Brunem Kleu, który nie uczestniczył w poszukiwaniach i nie zważając na jego synów debatowali o mocnej gałęzi i stryczku, który należałoby mu wreszcie założyć na szyję.

Było prawie tak jak dawniej. Wtedy też półgębkiem, zakrywając usta dłonią kłęli na Sternów i Goldheimów, którzy siedzieli w swoich okazałych domach i jako handlarze bydła albo właściciele sklepów z rowerami wyciągali od ludzi pieniądze. I tylko kiedy byli między sobą, plotkowali cichaczem o małej Chrście von Burg, której głupiego szczerzenia się nie udało się zlikwidować nawet przy całym bogactwie jej ojca. Ale żaden człowiek we wsi nie wpadłby na pomysł, żeby donieść policji lub Wilhelmowi Ahlsenowi na małą Christę, Sternów albo Goldheimów.

W tym względzie nic się nie zmieniło i dzisiaj też nikt nie wpadłby na pomysł, żeby powiedzieć komu trzeba o Benie, Brunie lub o Albercie Kressmannie, który wciąż jeszcze – spoglądając od czasu do czasu na śpiącego ojca – kopał w rozpadlisku, jak gdyby chciał wykopać drugą piwnicę. Dopiero Heinz Lukka zrobił wreszcie to, co już dawno należało zrobić.

W ten poniedziałek stary adwokat zaraz po ósmej rano pojechał do swojej kancelarii. O dziesiątej miał rozprawę w sądzie administracyjnym. Kiedy około pierwszej wrócił do kancelarii, jego sekretarka poinformowała go, że pani Laessler dzwoniła już dwa razy, prosząc o jak najszybszy kontakt z mecenasem.

Heinz Lukka wykręcił numer Laesslerów i nie krył swego

przerażenia, kiedy Antonia wyjaśniła mu, dlaczego tak pilnie chciała z nim rozmawiać. „O mój Boże – powiedział zdławionym głosem. – To chyba niemożliwe. Była u mnie wczoraj wieczorem. Pokłóciła się z Benem. Wydaje mi się, że chodziło o rower. Chłopak był dość zdenerwowany. Zawołałem ją do domu, a jego wysłałem do rodziców. Ale nie miałem zbyt wiele czasu. Musiałem jechać do miasta na posiedzenie, i tak byłem już spóźniony. Kiedy wyszliśmy z domu, jej rowerowi już nie było. Pomyślałem, że Ben zabrał go ze sobą. Zaproponowałem, że podrzucę ją do domu. Ale ona chciała koniecznie szukać swojego roweru”.

„Czy widziałeś kogoś na drodze?” – zapytała Antonia.

„Nie, kiedy wychodziliśmy z domu, nikogo tam nie było – powiedział Heinz Lukka. – Przedtem była tam jakaś młoda kobieta ze swoim mężem na wózku inwalidzkim. Bena w każdym razie nigdzie nie widziałem. Czy porozumiałaś się z policją?”.

„A po co? Czy mogą zrobić coś więcej niż nasi ludzie, którzy przeszukują całą okolicę?” – odparła Antonia.

„Nie mów tak – sprzeciwił się Heinz Lukka. – Policja ma również inne możliwości, psy, helikoptery i tak dalej. Powinnaś jak najszybciej skontaktować się z nimi”.

Kiedy Antonia nie odpowiedziała, Heinz Lukka powiedział, cedząc słowa: „Dwie dziewczyny z tej samej rodziny to nie przypadek, Antonio. Od dawna już nie wierzę w to, że córka Marii uciekła z domu. Należałoby raczej przyjąć, że ktoś strasznie was nienawidzi. I dobrze ci radzę, zrób piekło tym ignorantom w Lohbergu, niech wreszcie poinformują policję kryminalną. A może ja mam to zrobić?”.

Kiedy Heinz Lukka odłożył słuchawkę, poprosił swoją sekretarkę, żeby odwołała jego spotkania po południu i następnego dnia. Chwilę później pożegnał się, opuścił swoją kancelarię i pojechał do komisariatu w nadziei, że rozmowa w cztery oczy będzie bardziej owocna aniżeli debata telefoniczna. Dodatkowo, chcąc wyrzucić na organach ścigania właściwą presję, włączył w to również prasę. Heinz Lukka przemilczał jednak, że Britta Laessler była w towarzystwie Bena

i że on sam zawołał ją do domu, ponieważ Ben szalał na drodze.

Komendant policji wsiadł natychmiast do służbowego samochodu i pojechał do gospodarstwa Laesslerów. Zastał tam tylko Antonię i Tanję Schloesser. Od Antonii usłyszał, że od zeszłego wieczoru połowa wsi jest na nogach, ale jak dotąd nie znaleziono jej córki. Nawet najmniejszego śladu, dodała z goryczą. Tanja Schloesser wyjaśniła, że towarzyszyła Bride tylko do rozjazdu. Komendantowi nie przyszło jednak do głowy, że dziewczynka miała na myśli rozjazd przed gospodarstwem Schloesserów, w związku z czym założył, że Britta Laessler znikła na ostatnich ośmiuset metrach między bungalowem Lukki i domem swoich rodziców. A tam teoretycznie istniała tylko jedna możliwość – samochód.

W poniedziałek tuż przed trzecią po południu powiadomiono mnie o sprawie.

Imię Ben nie padło ani razu. Potrzebowałam lat, żeby zebrać wszystkie fakty.

Kiedy rozpoczynałam śledztwo w tej sprawie, Ben leżał za zamkniętymi drzwiami na swoim łóżku, zmęczony, przybity, skołowany i zalekniony. Trude siedziała w kuchni, nie jadła, nie piła, nie myślała, tylko szybowała nad przepaścią. Antonia postarała się o to, żeby policja zostawiła ją w spokoju. Komendant zrozumiał, że Tanja Schloesser tylko dlatego przebywa w gospodarstwie Laesslerów, ponieważ jej matka – a więc Trude – miała atak serca, kiedy dowiedziała się o zniknięciu Britty. Komendant uznał, że Trude jest w szpitalu.

A Jakob był wciąż na dworze. Z gospodarstwa Laesslerów nie pojechał do domu, nie zrobił tego, o co prosiła go Antonia. W okolicy kręciło się zbyt wielu ludzi, żeby pozwolić Benowi na to, by pokazywał się z rowerem zaginionej. Ale to był tylko jeden z wielu powodów. Aż do wczesnego popołudnia Jakob wraz z innymi kontynuował poszukiwania Britty. Kiedy w okolicy pojawiły się pierwsze mundury, pojechał do baumarketu Wilmrod i poprosił o wolny wtorek. Owszem, ale wyłącznie w godzinach popołudniowych, usłyszał w odpowiedzi.

Wrócił do domu dopiero pod wieczór z sercem ciężkim jak bryła ołowiu, rozejrzał się krótko za Trude, zobaczył ją siedzącą nieruchomo przy stole, pobiegł schodami na górę, przekonał się, że Ben jest w swoim pokoju, zbiegł na dół i pojechał do gospodarstwa Laesslerów. Wciąż dziwnie poruszony zachowaniem Antonii, miał nadzieję na podobne zrozumienie ze strony Paula. Ale tym razem się mylił, z Paulem nie dało się rozmawiać.

Jakob musnął czułym spojrzeniem swoją córkę, która siedziała na kanapie obok Paula. „Chciałbym zabrać ją z powrotem do domu – powiedział. – Trude nie może być teraz sama. Źle się czuje. A ja muszę jutro rano jechać do pracy”.

Paul położył rękę na ramieniu Tanji i przyciągnął ją do siebie. „Ona zostanie tutaj, tak długo, aż moja mała wróci. To jest chyba sprawiedliwe?”.

„Nie możesz tego robić” – powiedział Jakob zduszonym głosem.

„Mogę zrobić znacznie więcej – wyjaśnił spokojnie Paul. – Mam dla ciebie propozycję. Jeśli zadbasz o to, żeby Ben trafił do zakładu, będziemy dalej rozmawiać. Heinz był tutaj po południu i przysięgał o jego niewinności. Jeśli Bena tutaj nie będzie, a mimo to będą nadal ginąć dziewczyny, wówczas i ja przysięgnę, że twój syn jest łagodny jak baranek. Ale jeśli to piekło wreszcie się skończy, to znaczy, że zrobiliśmy to, co już dawno powinniśmy byli zrobić”.

„Nie słuchaj go, Jakobie – powiedziała Antonia. – Uważam, że Heinz ma rację. Ten, kto nam to robi, musi nas strasznie nienawidzić. A Ben nie wie, co to nienawiść. Czy pokazał ci, gdzie znalazł rower?”.

Jakob nie odpowiedział, potrząsnął głową i wyszedł.

Grzechy Antonii

Gdyby cztery lata wcześniej Bricie Laessler przytrafiło się coś złego, mało kto we wsi współczułby Antonii i Paulowi. Tego samego roku Jakob sprzedał bydło, wydzierżawił swoją ziemię i przesiadł się z traktora na wózek widłowy w markecie budowlanym Wilmrod.

Dla Jakoba to był zły rok. Wspólnota pracy z Paulem i Bninem Kleu, która przez długi czas nieźle prosperowała, została ostatecznie rozwiązana. Dawni wspólnicy poszli w ślady Toniego von Burga. Specjalizacja – brzmiało magiczne słowo. Nawet Richard Kressmann zasmakował w tym słowie, wyprzedał całe swoje bydło i poświęcił się wyłącznie uprawie roli. Dzięki temu jego robotnicy mieli teraz częściej wolne – przynajmniej w weekendy.

Paul skoncentrował się na hodowli świń i dodatkowo uprawiał kukurydzę pastewną. Bruno przełożył punkt ciężkości na hodowlą krów mlecznych i buraki cukrowe. Tylko Jakob robił wszystko po trochu. Brakowało pieniędzy na kosztowne inwestycje. Poza tym nawet najbardziej nowoczesne gospodarstwo rolne potrzebowało więcej niż jednej tylko pary rąk. Sam nie mógł wszystkiemu podołać.

Zimą z dziewięćdziesiątego na dziewięćdziesiąty pierwszy razem z Trude doszli do wniosku, że nie ma sensu ciągnąć dalej tego wózka. Za dużo roboty, za mało zysku. Rzecz jasna, Jakob był silny i robotny i jeszcze dziś mógł śmiało mierzyć się z trzydziestolatkiem. Ale nawet trzydziestolatek poddałby się w końcu, gdyby musiał robić wszystko sam, bez pomocy. Dwa okropnie długie miesiące trwali w zawieszeniu, liczyli grosz do grosza. A pod kreską wciąż zostawało tylko tyle, że można było sobie za to kupić stryczek.

Pewnego wieczoru na początku lutego Jakob zwierzał się Wolfgangowi Ruppoldowi, nie kryjąc obaw związanych z przyszłością swojej rodziny. Heinz Lukka przysłuchiwał się narzekaniom Jakoba i w pewnym momencie powiedział: „Chowanie głowy w piasek, to na pewno ci nie pomoże. Popytam tu i tam, może będę mógł coś dla ciebie zrobić”.

Heinz Lukka nie chciał więcej powiedzieć, żeby nie zapeszyć i żeby Jakob nie robił sobie przedwczesnych nadziei. Ale ponieważ Wilmrod wiele zawdzięczał starymu adwokatowi, zwłaszcza korzystną lokalizację swojego marketu budowlanego, rokowania były pomyślne. A już dwa dni później przyszła oficjalna odpowiedź. Heinz Lukka wstąpił do nich późnym wieczorem i wyjaśnił Jakobowi, na jakich warunkach mógłby podjąć pracę. „Na pewno się nie wzbogacisz, ale będziesz miał za co żyć, a to jest najważniejsze”.

Już od następnego tygodnia zaczęło się dla Jakoba uregulowane życie. Żadnego bydła i żadnych świń, które trzeba było obrządzać latem i zimą, w świętek, piątek i w niedzielę. Żadnej pszenicy, która jednego roku przemokła tak bardzo, że kłosa formalnie zgniły, a następnego wyschła do cna, ponieważ w ogóle nie chciało padać. Żadnych kartofli, które w jednym roku miały tak złą jakość, że ludzie kręcili nosem i wcale nie chcieli ich kupować, a znów w innym były tego takie ilości, że prawie się nie opłacało.

Mimo to Jakob daleki był od zachłyśnięcia się tą „wolnością”. Przeciwnie, czuł się jak w klatce, brakowało mu nieba nad głową, patrzył wciąż na wysoki sufit w baumarkecie Wilmrod i wzdychał. Nawet miesięczna wypłata na początku każdego miesiąca nie osłodziła mu taktownego „dziękuję bardzo”, które, chcąc nie chcąc, musiał powiedzieć Heinzowi Lucce.

Za to Trude rozkwitała. Widząc to, Jakob doszedł do wniosku, że podjął słuszną decyzję. We wrześniu dostał urlop, pierwszy prawdziwy urlop w jego życiu, trzy pełne tygodnie, w czasie których mógł się wreszcie wyspać. Ale Jakob ani myślał się wałkonić. Od samego rana krzątał się po swoim skromnym obejściu, a potem szedł do Paula

i pytał, czy nie znalazłoby się dla niego trochę roboty.

Tak przeszedł pierwszy tydzień. Na początku drugiego, kiedy razem pracowali w chlewni, Paul powiedział w pewnym momencie: „Zamiast u mnie harować, powinienes wyjechać na parę dni z Trude. Taki wyjazd na pewno dobrze by jej zrobił. Tobie zresztą też”.

Jakob domyślił się, że autorem tego pomysłu była Antonia, która w rzeczy samej zainicjowała całe przedsięwzięcie, ponieważ dawno temu doszła do wniosku, że Trude po wszystkich tych latach, które nieźle dały jej w kość, zasłużyła sobie na wypoczynek. Jakob, oczywiście, też. A jeśli chodzi o Bena, to przecież potulny baranek. A do tego – całkowicie bezproblemowy. Z rana śniadanie, w południe obiad, wieczorem kolacja, łóżko na noc, poza tym potrzebował tylko swobody.

Po śniadaniu biegł do Bendchen. Po obiedzie przenosił się do rozpadliska. Po południu zjawiał się w obejściu Laesslerów. Najpierw siedział z dziećmi przy stole. Kiedy odrabiały lekcje, on jeździł palcem po stole, jakby też chciał pisać lub liczyć, ale kiedy wręczali mu kartkę i ołówek, nie chciał wziąć do ręki ani jednego, ani drugiego. Kręcił głową i chował ręce pod stół. Wszak nie był uczniem, był strażnikiem. Kiedy Antonia podchodziła, żeby skontrolować zadania dzieci, uśmiechał się do niej i mrugał przymilnie, wiecznie zatroskany, że go odeśle, ponieważ przeszkadza dzieciom – i wiecznie starający się, żeby wprawić ją w dobry humor.

Potem biegł za dziećmi na podwórze, przenosił im wózek z lalkami z miejsca na miejsce, żeby nie musiały pchać go przez błoto. A kiedy w małych garnuszkach dla lalek mieszały zupę albo roztopiały odrobinę lodów waniliowych na talerzykach, siadał z pełną oczekiwania miną na stopniach ganku, a potem zajadał zupę albo zlizywał stopione lody razem z ziarnkami piasku, które tam wpadły.

Czasem wysyłały go za dom. Wtedy był ojcem, musiał iść do pracy do chlewni i dopiero wówczas mógł razem z nimi usiąść na stopniach, kiedy Tanja zawołała: „Koniec pracy, niedźwiedziu, teraz mężczyźni idą jeść”. Aż do tej chwili, czekając na umówiony sygnał, krążył na

tyłach domu, kiwając głową i mrużąc coś pod nosem. Być może, zastanawiał się nad sensem życia, które rozumiał po swojemu.

Dobroduszny, Antonia nie mogła znaleźć lepszego słowa dla określenia tego wielkiego osiemnastoletniego dziecka, które bawiło się lalkami i pozwalało sobą komenderować dwóm małym dziewczynkom. Dlaczego Trude nie miałyby przez parę dni używać swobody, której nie znała? Wolna od wszelkich trosk i obowiązków.

Kiedy Jakob wrócił wieczorem do domu i opowiedział o propozycji Antonii i Paula, Trude popukała się tylko w czoło i w ogóle nie chciała go słuchać. Ale Jakob zdążył już zasmakować w pomysle swoich przyjaciół i przypomniał o jej pobycie w szpitalu, kiedy to Benem zajmowała się Antonia. Z bardzo dobrym skutkiem, powtórzył kilka razy.

Trzy dni później Jakob zapakował dwie walizki do samochodu. Tydzień w Schwarzwaldzie, niewielki pensjonat, pokój dwuosobowy z łazienką i śniadaniem. Przed odjazdem Trude zaopatrzyła Antonię we wszelkie możliwe wskazówki, rady i reguły postępowania oraz na wszelki wypadek numer telefonu pensjonatu.

Wsiadając do samochodu, w głębi duszy liczyła na to, że Ben będzie usiłował ją zatrzymać, że będzie szarpał ją za ramię, że rozpłacze się lub zacznie wariować. Nic takiego jednak się nie stało. Ben stał na ganku domu Laesslerów, u każdego boku miał małą dziewczynkę i promieniał jak słońce w jasny wiosenny poranek. Dopiero wtedy podniósł rękę i pomachał matce, kiedy Antonia poleciła mu to zrobić.

Mimo to Trude nie potrafiła w pełni rozkoszować się swoim pierwszym w życiu urlopem. Sto razy na dzień zadawała sobie pytanie, co też właśnie robi jej syn. Trzy razy zadzwoniła późnym wieczorem do Antonii. Za każdym razem Antonia śmiała się i opowiadała zwięźle, jak Ben spędza czas w jej domu. Zabawa, jedzenie i spanie, ot i wszystko. Antonia pochwaliła się, że od czasu do czasu wręcza mu mały kuchenny nożyk i wielki ziemniak, a wtedy on – oczywiście wyłącznie pod jej nadzorem – wycina fantazyjne wzory na łupinie.

Antonia nie wiedziała, co przedstawiają jego rysunki, ale powiedziała, że są naprawdę ładne.

W pierwszych dniach dobry uczynek Antonii pozostawał w utajeniu. I pewnie lepiej by się stało, gdyby tam pozostał. Przynajmniej nikt by się nie irytował, ponieważ oprócz Laesslerów nikt we wsi nie wiedział, że Trude i Jakob bawią w Schwarzwaldzie. Ale później Antonia zrobiła fatalny błąd. W niedzielę po południu wybrała się z trójką dzieci do lodziarni swojego ojca. Starszy pan przysiadł się do ich stolika, chwilę później dołączyli do towarzystwa Ilia i Toni von Burg. A dwa stoliki dalej siedziała Thea Kressmann ze swoim synem.

Antonia opowiadała o dniach spędzonych z Benem, o tym jaki jest miły i łagodny, jeśli tylko dostanie dobre słowo, uśmiech albo całusa. Łasi się jak stary kocur, opowiadała Antonia. To cud, że nie mruczy. Zwłaszcza rano, kiedy wstaje z łóżka, jest miękki jak puchowa poduszka, staje w drzwiach kuchni i czeka, żeby ona odwróciła się do niego i rozwarła ramiona. Wtedy podchodzi do niej z zawstydzonym uśmiechem, przytula się, a potem pociera twarz o jej szyję. Kiedy Antonia całuje go w czoło, ten duży dzieciak jest w siódmym niebie. To hańba, powiedziała na zakończenie Antonia, że na całe życie odmówiono mu miłości.

Toni von Burg patrzył na Bena, uśmiechając się melancholijnie, zgodził się z Antonią i wspominał swoją małą siostrę, której odmówiono całego życia.

Gdyby wszystko szło według jej myśli, powiedziała Antonia z błyskiem w oku, i gdyby Paul był ojcem Bena, zażądałaby, żeby poszedł z nim do pewnego domu... W tym miejscu urwała na chwilę, patrząc wymownie na resztę towarzystwa. A Paul już by się o to postarał, żeby Ben trafił w dobre ręce i był jak najlepiej obsłużony.

Szokująca wypowiedź Antonii jeszcze tego samego dnia obiegła całą okolicę. I każdy jako tako rozumny człowiek we wsi załamywał ręce nad głową. Ach ci południowcy, tacy gorąkocrwieści i lekkomyślni! A w głowie same świństwa. Z Benem do pewnego domu! Na coś takiego mogła wpaść tylko Antonia. To i nie dziwota, jeśli pewnego

dnia wpadnie na pomysł, żeby wepchnąć mu do łóżka własne córki. Wieś czekała na nieszczęście, które musiało nieuchronnie nadejść. Ale nie nadeszło, jeszcze nie w tym roku.

29 sierpnia 1995

Dzień, noc i znowu poranek. Trude siedziała przez całą noc przy kuchennym stole. Jakob położył się na kanapie w największym pokoju, żeby być blisko niej, na wypadek gdyby go potrzebowała. O budziku nie pomyślał i zaspał. Dochodziła dziewiąta, kiedy się obudził. Przyniósł gazetę, strzepnął ją dłonią i rozłożył na stole przed Trude.

Uśmiechnięta twarz Britty spoglądała na nią z gazety. Taka młodziutka i taka niewinna. Wtedy wreszcie zareagowała. „Czy mogę przynajmniej zanieść mu śniadanie? – zapytała. – Wczoraj nic nie dostał”.

Przez całą noc jęczał, skamlał jak pies, czasami pukał bojaźliwie w drzwi, a kilka razy zawołał: „Przyjacieli”, „paluchy precz” i „ślicznie”. Co mogło znaczyć, że wszystkim dobrze życzył, że wiedział, co jest zakazane, że tylko się bardzo starał, żeby wszystko dobrze robić. Ale to mogło oznaczać również coś zupełnie innego. Trude słyszała go, ale nie mogła nic dla niego zrobić.

„Niech będzie – powiedział Jakob. – Ale nie wypuszczaj go na dwór”.

Położył klucz na stole, złożył gazetę na pół, a potem włożył ją pod pachę. Kiedy szedł do drzwi, powiedział: „Będę o dwunastej. Wtedy pokażę mu zdjęcie. Ciekawe, jak się zachowa”.

Trude wciąż siedziała przy stole, usłyszała jak zapuszcza motor, szmer szybko się oddalał. Kiedy zamilkł, w ciemności jej wnętrza wybuchł płomień. Tak szybko, tak niesamowicie szybko wżerał się w żyły oplatające jej mózg, że wszystko udusiło się z gorąca. Nie pozostał nawet strach, tylko gorący, suchy, zakurzony spokój.

Trude poszła do stodoły, wsiadła na swój rower, a potem zaryglowała szerokie wrota, żeby podczas jej nieobecności nikt nie potknął się niechcący o rower Britty. Potem pojechała do wsi. Na początku Bachstrasse stał mały kiosk. Trude kupiła jeszcze jedną gazetę, wróciła do domu, usiadła znów przy kuchennym stole, patrzyła na uśmiechniętą twarz dziewczyny na pierwszej stronie, przepełniona dziwnym spokojem, który teraz był podobny do wielkiej bryły lodu.

Przez pół godziny przyglądała się twarzy Britty, nic przy tym nie czując, potem wstała od stołu i zrobiła Benowi siarczyste śniadanie. Razem z talerzem, na którym piętrzył się stos kanapek, zaniósła na górę gazetę.

Leżał na łóżku i spał. Obudził go szmer przekręcanego w zamku klucza. Kiedy Trude weszła do pokoju – z uśmiechem na twarzy i talerzem w ręku – on też się uśmiechnął. Podniósł się, kiedy podała mu talerz i chwycił pospiesznie za pierwszą kromkę.

Trude przysiadła na krawędzi łóżka, trzymając pod pachą gazetę. Był głodny jak wilk i w pięć minut opróżnił talerz. Odgarnęła mu włosy z czoła i wyszeptła: „Mój ty biedaku. Na pewno chce ci się pić”.

Wzięła go na dół do kuchni, chociaż Jakob kategorycznie jej tego zabronił. Ale Jakob teraz się nie liczył. Teraz chodziło już tylko o nią i o niego, o kobietę i o to, co wydało na świat jej ciało. To nie musiało być dobre, ale nie było też złe. Nikt nie ma prawa tego zabijać, nawet własny ojciec.

Wychylił dwa kubki mleka, potem chciał iść do drzwi. „Nie, nie” – powiedziała szybko Trude.

Zatrzymał się w pół kroku.

„Zaraz – powiedziała. – Zaraz będziesz mógł wyjść. Najpierw podejdź tu na chwilę i uważaj. Uważaj dobrze, co ci mówię”.

Podszedł z powrotem do stołu i patrzył na nią z ciekawością. Pukała palcem w uśmiechającą się z gazety dziewczęcą twarz. „To jest Britta – powiedziała Trude powoli. – Wszyscy bardzo lubimy Britte. Zawsze myślałam, że ty też ją lubisz. Jak zrobiłeś jej coś złego, to

znaczy, że nie byłeś miły. Czy zrobiłeś jej coś złego?”.

„Przyjaciół” – powiedział.

„Tak – powiedziała Trude – jesteś jej przyjacielem. I jesteś również przyjacielem Antonii, tak czy nie? Przecież lubisz Antonię?”.

„Ślicznie” – powiedział.

„No właśnie – przytaknęła Trude. – Antonia jest śliczna. Ale teraz Antonia jest smutna i płacze, bo zginęła Britta, jej córka. A jeśli Britta nie wróci, ja też będę płakać. Chcesz, żebym płakała?”.

Potrząsnął głową, jakby zrozumiał każde słowo. Trude głośno odetchnęła, mobilizując w ten sposób ostatnie siły drżące pod zakurzonym spokojem, i ciągnęła dalej: „Wielu ludzi szukało już Britty i nic nie znaleźli. Zupełnie nic. Ale ty zawsze znajdujesz te piękne rzeczy. Tak dużo mi już przyniosłeś, torebkę i kurtkę. I rower Britty. Ślicznie to zrobiłeś. Zawsze się cieszę, kiedy przynosisz mi coś ślicznego. A teraz przyniesiesz mi Brittę, dobrze?”.

Jej place przez cały czas pukały w twarz dziewczyny w gazecie. „Przecież jesteś moim dobrym Benem, moim najlepszym. Dostaniesz wielkiego, ślicznego loda, jak ją do mnie przyprowadzisz. Ale musisz się spieszyć. I uważaj, żeby cię nikt nie widział”.

Nie było nikogo w pobliżu, kto mógłby go zobaczyć. Ochotnicy z ekipy poszukiwawczej posilali się teraz w swoich domach. Nasza hipoteza zakładająca, iż Britta Laessler została zaciągnięta do samochodu i wywieziona, pokrywała się z rezultatami akcji poszukiwawczej. Nikt nie wierzył w to, że znajdzie dziewczynę w okolicach wsi.

Kiedy Ben wymknął się z domu przez piwnicę, Trude poszła na górę do jego pokoju. Właściwie chciała iść z nim. Ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, głowa i serce też nie. Stała przy oknie, rozglądała się na wszystkie strony, ale nie mogła nigdzie go zobaczyć.

Krótko przed dwunastą zadzwonił dzwonek u drzwi. Trude zwlokła się na dół, otwierała już usta, żeby powiedzieć policji, że jej mąż jest w pracy, a syn na dworze. Ale przed drzwiami stała Tanja, ocierając z policzków łzy. Antonia wysłała ją do domu, żeby porozmawiała

z Benem.

Trude usiadła z nią w kuchni. „Wypuściłam go” – powiedziała. I jakkolwiek rzadko miały sobie coś do powiedzenia, tym razem Ben nieco je do siebie zbliżył.

Tanja znów rozplakała się, nad Britta, nad bratem. I pewnie trochę nad sobą.

„Gdybym z nimi poszła... Nie rozumiem, dlaczego nie odprowadził jej do domu”.

Potem usłyszały kłapanie drzwi od piwnicy. Trude westchnęła cicho. „Wraca Ben, lepiej już idź”.

Ale Tanja chciała koniecznie z nim porozmawiać. „Pozwól mi spróbować, mam. Bardzo cię proszę. Antonia również uważa, że on coś wie. A ja na pewno go zrozumie. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale możesz mi wierzyć – rozumiem całe mnóstwo. Wiesz, kiedy on, na przykład mówi ścierwo. Wy myślicie, że on przeklina. A to wcale nie tak. On chce wam tylko powiedzieć, że ktoś nie żyje, albo że coś może się stać, jak się nie uważa”.

Kiedy Ben wszedł do kuchni, Tanja podskoczyła, zrobiła kilka kroków w jego kierunku i zobaczyła, że Ben trzyma w ręku jakieś zawiniątko. To był brudny plastikowy worek w niebieskim kolorze. Trude знаła ten rodzaj worków. Niektórzy we wsi używali ich do zielonych odpadków. Ona też miała rolkę tego w piwnicy, dlatego uznała, że przed wyjściem z domu wziął ze sobą jeden worek. W środku był jakiś okrągły przedmiot jak piłka.

„Proszę cię, wyjdź – powtórzyła Trude i wyciągnęła rękę po worek. – Możesz jutro z nim porozmawiać”.

Tanja potrząsnęła głową i zapytała, marszcząc czoło: „Co tam masz, niedźwiedziu?”.

Uśmiechnął się krzywo nabrzmiętymi ustami. „Ślicznie” – powiedział. Potem podszedł do stołu z workiem w dłoni. Trude wiedziała już, że to nie była piłka. Nie prosiła go, żeby szukał piłki. A w gazecie było tylko zdjęcie twarzy. Sięgnął do worka i położył na stole głowę. Twarz Britty nie uśmiechała się już, była martwa

i zakrwawiona.

Trude nie słyszała krzyku swojej córki. Nie widziała, że Tanja wybiegła z kuchni jak strzała, a Ben biegł za nią, nie słyszała, jak drzwi domu trzasnęły za nimi z hukiem. Trude widziała tylko martwą, zakrwawioną twarz i słyszała, jak jej własna krew huczy w mózgu niczym górski wodospad.

Ostrożnie ujęła głowę za włosy, wsadziła ją z powrotem do worka i wyniosła do ogrodu. Zanim Jakob przyszedł do domu, upłynęło jeszcze pół godziny, w tym czasie Trude wykopała niewielki dołek, schowała w nim worek, przysypała wszystko ziemią i posadziła na to kilka zwiędłych główek sałaty. Kiedy Jakob wjeżdżał na podwórze, właśnie strzepywała fartuch.

Wesele

Dla ludzi we wsi Marlene Jensen była pierwszą ofiarą tych strasznych letnich tygodni. O Svenji Krahl wiedziała tylko Trude – wszelako nic dokładnego. O Althei Belashi niemal zapomniano. I nikt nie przeczuwał, że w listopadzie dziewięćdziesiątego czwartego dla Bena zdarzył się cud. I tak jak Jakob ujrzał zmartwychwstałą Edith Stern, tak również długie oczekiwanie Bena na piękną cyrkówkę zostało wreszcie wynagrodzone. Na weselu Andreeasa Laesslera i Sabine Wilmrod znów ją zobaczył, tę, która przed piętnastu laty była dla niego taka miła i serdeczna, a potem znikła w ziemi.

Uroczystość odbywała się w gospodzie Ruhpolda. Młoda para wolałaby bardziej stylowo, nie do nich jednak należał decydujący głos. We wsi plotkowano później, że Wilmrodowi nie najlepiej idą interesy. Ponieważ wesele wyprawiał ojciec panny młodej, który należał do śmietanki towarzyskiej miasteczka, na wesele zaproszono wszystkich okolicznych notabli. Z wyjątkiem Heinza Lukki, który był właśnie na urlopie.

Jakob długo zastanawiał się, czy wypada mu przyjąć zaproszenie, w końcu był tylko zwykłym pracownikiem magazynu. Wilmrod uchodził za morowego chłopą, który nie zapomniał, że sam zaczynał niemal od zera, a ściśle mówiąc, od małego sklepiku żelaznego, który odziedziczył po ojcu. Wilmrod nie udawał przy każdej okazji wielkiego pana, tak jak to robili inni.

Po pracy często gęsto pił piwo razem ze swoimi pracownikami. Ale to było co innego, uważał Jakob. Przypuszczalnie Wilmrod nigdy nie myślał, że będzie świętował wesele swojej jedynaczki z pracownikiem

magazynowym swojego marketu.

Czy takie spoufalanie się wcale mu nie przeszkadza, dziwił się Jakob. W czasie mszy siedział ze spuszczoną głową obok Bena i nie widział, co dzieje się wokół niego. Po prawej stronie Bena siedziała Trude, trzymając rękę na kolanie syna, ponieważ ten przez cały czas wiercił się i machał nogami. Siedzieć spokojnie w kościelnej ławce – to z pewnością nie było jego mocną stroną.

Nowy proboszcz mówił długo i rozwlekle, podkreślał swoje słowa gestami, ministranci bujali mosiężnymi naczyniami z kadzidłem, zasnuwając cały ołtarz błękitną mgiełką. Nawet panna młoda zaczęła kręcić się niespokojnie na swojej wyściełanej aksamitem ławeczce.

Ale potem Trude spostrzegła, że zdenerwowanie Bena miało zgoła inne przyczyny aniżeli wspaniałość, acz stanowczo przydługa ceremonia. Siedzieli w jednej z ostatnich ławek w lewej nawie. Dwie ławki przed nimi siedzieli Erich i Maria Jensen ze swoją córką Marlene. Ben nie patrzył na ołtarz, zresztą nie mógł go widzieć, ponieważ zasłaniała go gruba kolumna. Patrzył tylko na delikatne ramiona dwie ławki przed nim, na pieczołowicie ufryzowane przez Marię włosy, które w blond lokach spływały na plecy Marlene.

Kiedy dziewczyna najwyraźniej znudzona obracała głowę na bok, Ben widział również jej profil. I za każdym razem do uszu Trude dochodziło przeciągłe westchnienie dobywające się z jego szerokiej piersi. Pochyliła się do niego i szepnęła: „Siedź cicho, zaraz się skończy. Niedługo będzie smaczny deser”.

A Ben, nie odrywając oczu od delikatnych konturów, wyszeptał: „Ślicznie”.

Trude pojęła w lot, kogo ma na myśli. Również ona była zdumiona tym niezwykłym podobieństwem i przypomniała sobie gibkie ciało, które dawno temu szybowało wysoko ponad ich głowami. Nagle zobaczyła przed sobą śliczną twarzyczkę młodej cyrkówki, zobaczyła, jak dziewczyna podchodzi do Bena, jak dziękuje mu za burzliwy aplauz, jak prowadzi go na arenę, a później całuje w oba policzki. Trude otrząsnęła się ze wspomnień, to było tak dawno temu, minęło

już piętnaście lat.

Trude nie wiedziała, że dla niego czas nie istniał, było tylko teraz i minęło. Skąd mogła wiedzieć, że to minęło też było zawsze obecne, jakby zdarzyło się zaledwie przed godziną. Dla niej Marlene Jensen była śliczną jak malowanie młodą dziewczyną o anielskiej twarzy zadziwiająco podobną do Althei. A on był młodym mężczyzną, który kończył wkrótce dwadzieścia dwa lata i miał – jak to kiedyś trafnie ujął Jakob – być może nawet więcej uczuć niż jego rodzice, ale niestety nie umiał nimi sterować.

To był moment, którego Trude obawiała się od dawna. Że jej syn odkryje swoje serce. I swoje najskrytsze pragnienia. Wszystkie swoje nadzieje ulokowała w dzieciach, w Tanji i Bricie, które dotychczas skutecznie odwracały jego uwagę od nowych, nieznanym mu dotychczas uczuć.

Krótko po jedenastej uroczystość zaślubin wreszcie dobiegła końca. Andreas Laessler poprowadził swoją młodą żonę do ozdobnego portalu. Rodzice i goście podążali za nimi wolnym krokiem. Przed kościołem stała kareta zaprzęzona w cztery siwki. Odświętne przybrane, wystrojone w girlandy i pęki barwnych piór przy uzdach cieszyły oczy zgromadzonych. Nikt nie pomyślał o zakurzonych derkach i kolorowych plakatach. To było przecież tak dawno temu... Tylko Ben widział je wyraźnie w swoim jasnym pomieszczeniu, które było jego pamięcią. I gdyby ktoś zadał sobie trud, żeby zbadać pod lupą to wszystko, co rył w łupinach ziemniaków, nikt nie miałby już prawa nazywać go idiotą. Gołym okiem nie sposób było rozpoznać żadnego sensownego obrazu w płataninie abstrakcyjnych – zdawać by się mogło – wzorów.

Marlene Jensen podeszła do koni, pogłaskała jedno zwierzę po szyi. A Ben podskoczył, jak gdyby chciał wsiąść na nieistniejące siodło. Obu rękami schwycił zwierzę za białą grzywę. Trude podbiegła do niego, próbując oderwać od końskiej grzywy. Potem Marlene Jensen wsiadła z rodzicami do samochodu. Wtedy on pobiegł za nimi tak szybko, że Jakob i Trude z ledwością dotrzymywali mu kroku.

Nie wzięli samochodu, ponieważ Ben bał się wsiadać do mercedesa. U Paula i Antonii było inaczej, ale Laesslerowie jeździli kombi. A Trude jeszcze nigdy nie przyszło do głowy, że ów lęk może mieć coś wspólnego z tym samochodem. Przyjęła, że wina spoczywa na Jakobie, z którym Ben nader niechętnie przebywał sam na sam w ciasnych pomieszczeniach.

Kiedy weszli do odświętnie przybranej sali w gospodzie Ruhpolda, prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Przed każdym nakryciem stała mała karteczka. Jensenowie siedzieli na końcu długiego stołu weselnego. Ponieważ nie wszyscy goście zmieścili się przy tym stole, pod ścianami ustawiono dodatkowo mniejsze stoły. Na jednym z nich Jakob odkrył swoje nazwisko.

Ben bez oporu dał się posadzić na krześle. Był teraz spokojny i skupiony, właśnie taki, jakim pragnęła go widzieć w kościele Trude. Pełne nabożeństwa spojrzenie utkwiał w końcu stołu weselnego. Ani razu nie spojrzał tam, gdzie siedziała para młoda, a obok niej Tanja i Britta.

Trude czuła się całkowicie bezradna. Biedny Ben! Taka śliczna dziewczyna – i taka arogancka, wystrojona od stóp do głów niczym paradna lalka. Trude robiła wszystko, żeby odwrócić jego uwagę, podsuwając mu paszteciki, smakowicie pachnącą zupę, pieczyście, rozmaite kremy i lody. Efekty były jednak mizerne. Po jedzeniu zabrała go na spacer. Nie oponował tylko dlatego, że na dwór wyszła również Marlene Jensen, żeby rozprostować nogi. Towarzyszył jej młody mężczyzna, krewny ze strony Wilmroda. Trude go nie знаła. Przyglądała mu się kątem oka. Wyglądał na młodszego od Bena, a Trude uznała, że robi raczej nieciekawe wrażenie.

Przy kawie siedzieli znów przy swoim stoliku. Ben rozkruszył widelcem kawałek tortu weselnego, a później przez pół godziny mozolił się, żeby zebrać okruszki z talerza, ponieważ przez cały czas nie mógł oderwać oczu od Marlene.

Po kawie nastroje się rozluźniły. Jakob ociągał się jakiś czas, potem zdecydowanym ruchem poprawił krawat, podszedł do stołu

weselnego, przysiadł się do Paula i gawędził o tym i owym. W końcu byli od lat przyjaciółmi. Widząc to, Antonia zbliżyła się do Trude i badała ukradkiem, czy ciemna aksamitka, którą Ben nosił zamiast krawata pod kołnierzykiem śnieżnobiałej koszuli, nie była zbyt mocno zawiązana. Jej byстрыm oczom nie uszły tęskne spojrzenia rzucane na koniec stołu weselnego. Antonia pokiwała głową i poleciła obu dziewczynkom, żeby zajęły się trochę Benem. Tym razem jednak nawet jego małe towarzyski niewiele mogły zdziałać. Ben tylko siedział i patrzył na Marlene.

Wieczorem zaproszono gości na zimny bufet, Trude nałożyła mu na talerz piramidę smakołyków, pilnowałaby nie wysmarował sobie koszuli majonezem i wreszcie pojęła, że są rzeczy, których nie mogła dla niego zrobić.

Jej syn z pewnością nie miał w sobie mniej uczuć niż Albert Kressmann, który gładził pod stołem nogę Anette Laesler, pożerając równocześnie wzrokiem Marlene Jensen. Nie mniej tęsknoty niż Dieter Kleu, który chcąc zwrócić na siebie uwagę Marlene, debatował głośno przy stole. Nie mniej serca niż Achim Laesler, który po kolacji wykradł się z sali weselnej, żeby przywieźć swoją przyjaciółkę. Nie mniej ognia niż Bruno Kleu, który spoglądał ukradkiem na Marię Jensen. Nie mniej miłości niż Uwe von Burg, który patrząc czule na Baerbel, obiecywał jej drugie wesele. I nie mniej namiętności niż Andreas Laessler, który już cieszył się na noc poślubną.

Trude jeszcze nigdy nie widziała go takim jak tego dnia. I nigdy nie sądziła, że godzina po godzinie potrafi siedzieć spokojnie na swoim krześle. A on siedział, wspominał i dziwił się, że ona, która kiedyś była dla niego taka miła, taka serdeczna, teraz nie obdarzyła go nawet jednym słowem, jednym uśmiechem.

Marlene Jensen zauważyła, że nie spuszczał z niej oczu. Lubiła pełne zachwyty spojrzenia mężczyzn, ale czemu właśnie Ben?! W końcu miała dość tej niemej adoracji i poskarżyła się Erichowi. Ale aptekarz machnął tylko lekceważąco ręką. Nigdzie nie stoi napisane, że patrzeć na ładne dziewczyny jest zabronione, powiedział

z przekąsem. Nawet jeśli patrzą się godzinami, to jeszcze nie przestępstwo. Nikomu nie można tego zabronić, nawet Brunowi, a jego tęskne spojrzenia rzucone w stronę Marii były Erichowi zdecydowanie bardziej niemiłe.

Po zimnym bufecie rozpoczęły się długo oczekiwane tańce. Para młoda otworzyła bal wiedeńskim walcem, goście wkrótce dołączyli do młodożeńców. Erich ze skwaszoną miną poprowadził swoją żonę na parkiet, uprzedzając Bruna, który już szykował się, by porwać Marię do tańca. Jakob miał ogromną ochotę zatańczyć, ale Trude nie odważyła się mu towarzyszyć, wymawiając się, że musi pilnować Bena. Dopiero kiedy Antonia zwolniła ją na dziesięć minut, poszła z Jakobem na parkiet.

Tańcząc, zobaczyli, że Antonia szepnęła coś Benowi na ucho i zaraz potem zaprowadziła go do swojej bratanicy. „Raz możesz pogłaskać – powiedziała – ale tylko raz”. Marlene Jensen uśmiechnęła się z przymusem, nie odważyła się jednak sprzeciwić ciotce. Za bardzo zależało jej na sympatii tej kobiety. Protest Marlene nadszedł kilka miesięcy później, kiedy w sierpniową noc wyrósł za nią na polnej drodze ogromny cień.

Sierpień 1995, ostatni dzień

Dla mojego kolegi Dirka Schumanna i dla mnie skończyło się, zaledwie zdążyliśmy zrobić początek. Było to – jak już wspomniałam – w poniedziałek, siedemnaście dni po zniknięciu Marlene Jensen. Kiedy we wrześniu osiemdziesiątego siódmego musiałam umorzyć dochodzenie w sprawie bestialskiej napaści na Ursulę Mohn, zajęłam się historią wsi. Wtedy to właśnie natrafiłam na starą historię zaginięcia Althei Belashi. Przeczytałam zeznania Marii Jensen, Heinza Lukki i Bruna Kleu.

Przed piętnastu laty Bruno podał do protokołu, co następuje: „Tak, to prawda, rozmawiałem na rynku z tą cyrkówką. Ale tylko chwilę. Wybierałem się do Lohbergu, a ona zapytała mnie, czy mógłbym ją zabrać. Chciała dostać się na dworzec. Dla mnie to był tylko mały objazd. Ale przedtem musiała jeszcze iść na gminną łąkę, gdzie zostawiła swoją walizkę. Czekałem na nią przy szosie jakieś dziesięć minut. Nie przyszła, dlatego pojechałem sam, ponieważ nie chciałem spóźnić się na spotkanie”.

Niczego innego nie można było nigdy udowodnić Brunowi. Zwłaszcza że jego „spotkanie” w całej rozciągłości potwierdziło złożone przez niego zeznanie. Zwłok nigdy nie znaleziono.

Kiedy Ursula Mohn została brutalnie napadnięta i poraniona, wielokrotnie przesłuchiwałam Bruna, ponieważ to właśnie on był moim głównym podejrzanym. Jestem przekonana, że nawet gdybym wówczas wiedziała o istnieniu Bena, nie brałabym go pod uwagę jako potencjalnego sprawcy napaści. Doświadczony lekarz sądowy, który dokonywał oględzin ran zadanych Ursuli, uznał, że sprawca posiadał

niezłą znajomość anatomii. Niektóre z ran kłutych były wprowadzić dość głębokie, ale żadna z nich nie zagrażała życiu dziewczyny. „Ten, kto to zrobił, chciał słyszeć, jak ona krzyczy” – powiedział lekarz sądowy.

Orzeczenie to wykluczało Bena jako sprawcę. Nie dość że nie posiadał żadnej znajomości anatomii, to jeszcze nie znosił organicznie głośnych krzyków, ponieważ hałas zawsze napawał go lękiem. A Bruno Kleu znał okolicę jak własną kieszeń. Wiedział, jak minąć gospodarstwo Laesslerów, nie będąc przez nikogo zauważonym. A nawet gdyby go zauważono, fakt iż miał swoje pola po tamtej stronie wsi, wyjaśniał pojawienie się jego samochodu na drodze do rozpadliska.

Poleciłam zbadać jego samochód, mercedesa, którym później jeździł Jakob – bez rezultatu. Doprowadziłam nawet do konfrontacji Bruna z Ursula Mohn, kiedy już wykurowała się na dobre. Kolejna porażka – dziewczyna nie zareagowała na widok Bruna, a poza tym nie potrafiła złożyć żadnych zeznań.

Być może jednak Ben mógłby nam pomóc, gdyby udało się nam wtedy do niego dotrzeć. Jego gwałtowna reakcja na taksówkę, którą w lutym osiemdziesiątego ósmego odjechała do szpitala Trude, pozwala dzisiaj na wniosek, że chłopak widział markę samochodu, którym Ursula Mohn została zabrana do rozpadliska. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku we wsi było kilka mercedesów. Toni von Burg jeździł wiśniowym, Erich Jensen granatowym. W gospodarstwie Kressmanna były dwa mercedesy, jeden z nich w kolorze jasnego beżu. Heinz Lukka i Bruno Kleu jeździli białymi mercedesami.

Mała gra „człowieku, nie irytuj się” z twarzą kota byłaby dla nas prawdopodobnie cennym dowodem rzeczowym, znacznie bardziej przekonującym niż samo auto. Jeśli Ben znalazł tę plastikową puszkę w rozpadlisku, to skąd wiedziały, że srebrne kuleczki należy potoczyć tak, aby wpadły w oczy kota? Byłoby wobec niego nie fair całkowicie wykluczyć hipotezę, że sam na to wpadł. Znacznie bardziej

realistyczne jest jednak założenie, że ktoś chciał za pomocą tej puszki odwrócić jego uwagę od tego, co dzieje się w rozpadlisku i że ten ktoś pozostawał z nim w dużej zażyłości. Gdybyśmy mieli możliwość wypytania Bena, to niewykluczone, że udałoby się nam zrozumieć to, co chciał przekazać, tak jak rozumiała go jego najmłodsza siostra. Ale, jak już wspomniałam, wtedy nie dowiedziałam się nawet, że ktoś taki istnieje. Nie słyszałam nawet o pogłoskach, które od lat krążyły o Brunie i młodej cyrkówce.

Mimo to w pierwszej chwili znów pomyślałam o Brunie, kiedy w poniedziałek zostałam powiadomiona o zniknięciu ze wsi trzynastoletniej dziewczyny. Mimochodem zwrócono moją uwagę na fakt, że siedemnastoletnia kuzynka tej dziewczyny również zaginęła bez śladu, aczkolwiek w tym przypadku miało to rzekomo związek z problemami rodzinnymi. Tak w każdym razie mnie poinformowano. Nikt nie chciał przyznać się do zaniedbania, nikt nie mówił o Svenji Krahl. Ratując honor policji z Lohbergu muszę dodać, że o Edith Stern rzeczywiście nic nie wiedzieli.

Tak jak przed ośmiu laty razem z Dirkiem Schumannem pojechaliśmy do wsi. Bruno Kleu już na nas czekał. Był bardzo małomówny i nie chciał powiedzieć, gdzie i z kim spędził niedzielny wieczór. Poleciałam zabezpieczyć jego samochód, zaprosiliśmy Bruna do naszego i pojechaliśmy do Lohbergu. Zrobiliśmy to z czystym sumieniem. W tym czasie mój kolega i ja i tak nie działalibyśmy wiele, pozostając we wsi. Poszukiwania Britty Laessler wciąż trwały. W poniedziałek w godzinach popołudniowych trzy setki policjantów i kilka tuzinów ochotników przeszukiwały całe otoczenie wsi.

Mieliśmy nadzieję, że Bruno powie nam dobrowolnie – a przede wszystkim szybko, gdzie jest dziewczyna. Ale wciąż słyszeliśmy tylko: „Na miły Bóg, dlaczego miałbym rzucać się na to dziecko? Przecież nie jestem zboczeńcem!”.

Pierwsze przesłuchanie przeciągnęło się do późnego wieczora. Z drugim postanowiliśmy poczekać do wtorku. Noc w celi sprawiła, że Bruno stał się nieco bardziej rozmowny. „Jak Boga kocham, nie mam

pojęcia, gdzie może się podziewać mała Laesslerówna – zaczął. – A przecież nie ona jedna... Rozejrzyjcie się po wsi, posłuchajcie, co mówią ludzie. W piątek wieczorem w gospodzie Ruhpolda zjawiała się młoda Amerykanka. Wybierała się do Lukki i nikt nie wie, co się potem z nią stało. Albert Kressmann rozpowiada o tym na lewo i prawo. Dlaczego nie porozmawiacie z Lukką? Jeśli chodzi o jakąś szczególną nienawiść, którą ktoś może mieć do rodziny Laesslerów, to właśnie on. Nikt inny”.

W jaki sposób w tak krótkim czasie Bruno dowiedział się, co Heinz Lukka zasugerował Antonii, tego nam nie zdradził. I szczerze mówiąc, zupełnie mnie to nie interesowało. Heinz Lukka był dla nas poza wszelkim podejrzeniem. Po pierwsze, to właśnie on włączył w sprawę policję, a po drugie, w niedzielę wieczorem był na posiedzeniu rady miejskiej.

„Nie twierdzą przecież, że to on – dodał po chwili Bruno. – Mówię tylko, że Maria dała mu kosza, nie mnie. Coś wam powiem, porozmawiajcie poważnie z Erichem Jensenem o jego córce. I najlepiej zapytajcie go od razu, jak rzeczywiście umarła Gerta Franken”.

Zwróciłam uwagę na dziwny ton jego głosu. Jednak zanim mogłam pójść tym tropem, zanim zdążyłam go zapytać, co to wszystko ma znaczyć i kim była Gerta Franken, Bruno przejechał dłonią po twarzy i powiedział cicho: „Gdyby Maria powiedziała mi wcześniej choć słowo, wtedy sam osobiście dałbym po łapach swojemu synowi. Ale dopiero przed dwoma dniami powiedziała mi, że mam córkę. I że mogły być nawet dwie... Poronienie to też była dziewczynka. Ale któregoś dnia Erich zapłaci mi za to, rozwalę draniowi łeb. Możecie mi wierzyć”.

Niedługo potem Bruno przyznał się, że przed piętnastoma laty trochę nałgał. Althea Belashi nie zamierzała jechać z nim na dworzec, a on wcale nie chciał jechać do Lohbergu. Rozmawiał z młodą artystką na rynku, żeby nikomu nie wpadło w oko, że czeka na znak od Marii Jensen.

Tak przewidywał ich sekretny plan – on dla niepoznaki szwendał

się po rynku, a ona sygnalizowała mu z okna, czy może wyjść, czy nie. Tego wieczoru zrozumiał, że Maria ma dla niego czas. Pojechał więc do rozpadliska, a przy okazji podwiózł Altheę Belashi do gminnej łąki. Najwidoczniej jednak Maria źle zinterpretowała pogawędkę na rynku, tego wieczoru nie zjawiała się bowiem w ich zwykłym miejscu schadzek, za to narobiła mu niezłego bigosu swoimi zeznaniami. Niewiele brakowało, a poszedłby za kratki. Ratując własną skórę, musiał uciec się do kłamstwa z konieczności, dlatego opowiedział o dworcu. Znajomej kelnerce w jakiejś gospodzie zapłacił pięćset marek za swoje alibi, żeby zaoszczędzić sobie tego, co przeżywa teraz.

„Maria zawsze była trochę kapryśna. Na męża nie byłem dość dobry, to musiał być mężczyzna z klasą, prawdziwy dżentelmen. Ale od czasu do czasu potrzebuje dla odmiany kogoś mniej wytwornego. Kiedy ma ochotę na faceta z krwi i kości, wtedy przypomina sobie o mnie – powiedział Bruno niemal z rezygnacją, westchnął i dodał po chwili – Erich zawsze był bardzo zajęty. Zwłaszcza polityką. A kiedy zerknę czasem na jakąś ładną buzię, zaczyna się piekło. Maria gniewa się nawet o to, że od czasu do czasu sypiam z własną żoną”.

„Czy w niedzielę wieczorem był pan z panią Jensen?”

Bruno potrząsnął wymownie głową i wyjaśnił: „Maria będzie przysięgać, że siedziała w domu i wypłakiwała się w poduszkę. Tak, to prawda płakała – gdzie, to nikogo nie obchodzi”. Uśmiechnął się zmęczony. „A teraz, jeśli pani pozwoli, poproszę o adwokata. Coś mi się zdaje, że tym razem bez niego się nie obejdzie. Tylko nie Lukkę, bo ten z radością utopiłby mnie w łyżce wody, a ja chcę jeszcze dzisiaj wrócić do domu”.

W czasie gdy Bruno zeznawał na komendzie w Lohbergu, Ben położył na kuchennym stole głowę Britty. Kiedy Trude wsadzała w ziemię zwiędłe główki sałaty, Ben pędził polną drogą za swoją najmłodszą siostrą. Wstrząsana przerażeniem i dławiącym wstrętem Tanja nie płakała już i nawet nie krzyczała, z jej ściśniętej krtani wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot. Przed oczami miała przez cały czas głowę Britty, która przez trzynaście lat leżała obok niej na

poduszce, której powierzała wszystkie swoje tajemnice i plany na przyszłość.

Dwa razy Ben chwycił ją za ramię, dwa razy pchnęła go na bok i parsknęła wściekle: „Odejdź! Jesteś winny. Dlaczego z nią nie zostałeś?!”. Potem wybuchła płaczem i zaczęła biec jeszcze szybciej. Ben trzymał się teraz przezornie kilka metrów w tyle. Zwolnił kroku, kiedy dotarła do kukurydzy i zbliżała się do bungalowu Lukki.

Heinz Lukka był w ogrodzie. Przycinał swoje róże. Zobaczył ją i biegnącego za nią Bena. Zobaczył panikę na jej twarzy, wyszedł z ogrodu przez furtkę, stanął na drodze, rozłożył szeroko ręce i pochwycił w niezdyszaną Tanję.

„No, no – powiedział uśmiechając się łagodnie. – Chyba nie uciekasz przed swoim bratem?”.

W beładnej plątaninie słów stary adwokat wyłowił jedno zrozumiałe zdanie: „Przyniósł mamie głowę Britty”.

Heinz Lukka zamarł z przerażenia, na kilka sekund zamknął oczy, opanował się jednak i powiedział: „A teraz chcesz pewnie iść do wujka Paula i opowiedzieć mu o wszystkim. Myślę, że to nie jest najlepszy pomysł. Możesz mi wierzyć. To sprawa policji”. Mówiąc to, prowadził ją wolno przez ogród do drzwi wejściowych.

Kiedy Heinz Lukka zamknął za sobą drzwi, Jakob wjechał starym mercedesem do stodoły. Wracając do domu, zatoczył szeroki łuk i przekonał się, że zarówno policja, jak i ochotnicy biorący udział w akcji poszukiwawczej wynieśli się z tej okolicy. Jakob chciał teraz zrobić to, czego domagała się Antonia; chciał nakłonić Bena, żeby wskazał mu miejsce, z którego wziął rower.

Jakob wszedł do domu, minął sień i pobiegł schodami na górę. Drzwi do pokoju Bena stały otwarte na oścież, pokój był pusty. Wchodząc do domu, zobaczył, że Trude nie było w kuchni i w pierwszej chwili pomyślał, że go ubiegła, że krąży gdzieś z Benem nieopodal domu. Ale kiedy zszedł na dół, stała przy stole i z takim zapamiętaniem szorowała mokrą ścierką drewniany blat, że nawet go nie zauważyła. Zmierzwiłone włosy wisiały jej na czole.

W Jakobie aż się zagotowało. Sam już nie wiedział, czy to rozpacz, czy wściekłość. Nie zwrócił uwagi na jej desperackie szorowanie. Spytał o rower, usłyszał w odpowiedzi, że leży w stodole, nie mógł się już powstrzymać i ryknął. „Co ci przyszło do głowy, żeby wypuszczać Bena? Co się jeszcze musi stać, żebyś przyszła do rozumu i raz w życiu pomyślała jak dorosły człowiek?”.

Trude na moment przestała wycierać stół, odgarnęła włosy z czoła i wyjaśniła miękko: „Wyobraź sobie, że on też jest człowiekiem. Zwierzę nie przynosi do domu ostów, żeby zrobić przyjemność swojej matce. Nie powinieneś go bić, tylko dlatego że znalazł gdzieś rower”.

„A nóż? – wrzasnął Jakob. – Czy też tylko go znalazł?”.

Nie doczekał się odpowiedzi. Ale dostrzegł, że była u kresu sił. Dyszała ciężko. Jakob westchnął i zapytał pojednawczo: „Czy długo już go nie ma?”.

„Nie” – powiedziała tylko i szorowała dalej.

Jakob spojrział na sufit, żeby nie stracić reszty opanowania. „Kiedy go wypuściłaś?”.

Tak samo monotennie, jak zaprzeczyła za pierwszym razem, opowiedziała mu, że dała Benowi śniadanie, a potem wypuściła go na podwórze, tylko na podwórze i do ogrodu. Potem przyszła Tanja, pobawiła się z nim przez chwilę, a potem poszła znów do Antonii. A Ben poszedł odprowadzić swoją siostrę. Tak więc nie muszą się martwić, że w drodze przytrafi się jej coś złego.

Jakobowi z każdym jej zdaniem coraz trudniej było zachować spokój. Twarz bez wyrazu i niezmordowane ręce na blacie stołu, pochylone plecy i poplątane włosy, oczy, w których błyszczało szaleństwo, wszystko to przeczyło temu, co właśnie mówiła.

Jakob wybiegł z kuchni przez sień i po schodkach na podwórze. Nawet nie pomyślał o samochodzie. Pędził do rozjazdu. Jednak zanim tam dotarł, zabrakło mu powietrza, w obu bokach kłuło niemiłosiernie, przed oczami wirowały kolorowe kręgi. Musiał zwolnić kroku. Oczy wyprzedzały stopy. Jak okiem sięgnąć kompletna pustka, ani śladu Bena i Tanji.

A jeśli Trude i Antonia mają rację? Oczywiście, że mógł znaleźć rower. I ten przeklęty nóż sprężynowy, który rzeczywiście wyglądał tak, jakby od lat leżał zakopany w ziemi. A o innych rzeczach Jakob przecież nie wiedział. Był tak wściekły, że nawet nie zauważył, co Trude tak zapamiętała ścierała ze stołu.

Ale bez względu na to, czy mają rację, czy nie, było tylko jedno rozwiązanie: Ben musi na jakiś czas iść pod klucz. Tylko na krótki czas, tylko dla własnego bezpieczeństwa i dla ich spokoju. Żeby można było znów patrzeć z nadzieją w przyszłość, żeby zapomnieć bicia pięścią i jego zranionych spojrzeń. Trude musi to zrozumieć.

Wiedział, że nie będzie łatwo wyjaśnić jej tego wszystkiego, zwłaszcza teraz, kiedy była w stanie, który budził jego najgłębsze obawy. Dla Jakoba również nie było to łatwe. W sercu miał wagę. Na jednej szali tej wagi ciążyły straszliwe podejrzenie i poczucie winy, którego źródłem było jego ojcowskie poczucie odpowiedzialności, na drugiej szali tańczyły iskierki nadziei. Ale dopóki waga znów nie przechyli się w stronę iskierek, dopóki nie będzie mógł znów patrzeć bez zwątpienia i rozpaczony na szerokie jak wrota stodoły plecy syna, dopóty musi mieć go z oczu, żeby nie było nieszczęścia.

Dotarł wreszcie do bungalowu Lukki, kiedy go mijał, był myślami przy Paulu. Jakob westchnął mimowolnie. Gdyby powiedział staremu przyjacielowi, co chodziło mu po głowie, być może to pomogłoby mu w jakiś sposób.

Zaprzątnięty myślami Jakob skręcił mechanicznie w wąską drogę. Jeszcze zanim dotarł do kukurydzy otaczającej taras Lukki, usłyszał nagle jakieś podniecone głosy, chrapliwe sapanie, chaotyczne strzępy słów, a potem przeciągły krzyk.

Jakob zatrzymał się, jakby dostał obuchem w głowę. Zrobił zwrot w lewo, pobiegł przez trawnik i wbiegł po schodkach na górę. Drzwi na taras były zamknięte, Jakob zobaczył stłuczoną szybę. Odłamki szkła tkwiły we framudze drzwi.

Przed murowanym kominkiem leżał Heinz Lukka. Miał krew na dłoniach i ramionach, na koszuli i na spodniach. Głowa adwokata była

tak dziwnie przekręcona na bok, twarz prawie na plecach – Jakob wiedział natychmiast: Heinz nie żyje. U stóp Lukki leżała Tanja, krótka biała spódniczka cała powalana krwią, z cienkiej bluzeczki zostały tylko strzępy.

Ben stał obok niej, kędzierzawe włosy opadały mu na oczy, w których błyszczało szaleństwo. Wymachiwał rękami na wszystkie strony, u jego stóp leżał zakrwawiony nóż. Usta nie mogły nadażyć za tym, co chciał powiedzieć. Jakob znał te słowa, znał je wszystkie: Przyjaciół, paluchy precz, ślicznie, boli, przyjaciel, ścierwo.

Jakob usłyszał je w ułamku sekundy, nawet jeśli nie wszystkie słowa dotarły do niego tak szybko. Potem usłyszał swój ryk, jednym susem był przy kominku, chwycił długi pogrzebacz, odskoczył do tyłu i wznosił rękę do ciosu. „Teraz to już koniec! – krzyknął przeraźliwie. – Raz na zawsze!”

Pogrzebacz spadł z impetem w dół. Ben jeszcze przez chwilę stał między obu ciałami, chwiejąc się na nogach. Potem runął na ziemię.

A Trude wciąż ścierała blat stołu, nie mogła myśleć, nie mogła czuć i prawie nie widziała. Przed oczami migotał szary welon, który kładł się czasem na słuch. W którymś momencie welon otulający jej uszy został porwany przez jakieś słabnące szmery. Były daleko, bardzo daleko. Syrena pogotowia, która nagle zamilkła. Trude wiedziała tylko, że coś się stało.

Odłożyła ścierkę na bok i usiadła na krześle. Głowę miała tak ciężką, że musiała wesprzeć się na ręce, drugą przyciskała do piersi. Za żebrami paliło jak diabli. Ogień objął całe jej plecy, promieniował w lewym ramieniu i je paraliżował. Ale myśli były jasne. Tak jasne, że Trude pojęła w lot: Jakob był w drodze do Laesslerów, musiał już dawno tam dojechać i dowiedzieć się, co znalazł Ben. Syreny pogotowia wyły pewnie dla Paula i Antonii, może też dla Jakoba.

Pod popiołem kołatała się jeszcze resztką rozumu, niewiele większą od tej, którą Ben miał w swojej głowie. Ta resztką była motorem, który dał jej napęd i zmobilizował do działania. Nie mogła przecież pozwolić swojemu synowi, by biegł na otwarty nóż, na pewną

śmierć, tak długo jak ruszała choć jednym palcem i mogła podnieść dla niego choć jedną nogę. Powlokła się do stodoły i wsiadła do starego mercedesa, z trudem chwytając powietrze i ignorując piekielne palenie w piersi. On niepamiętnych czasów nie siedziała za kierownicą z powodu swoich problemów z sercem. Spojrzała z żalem na stojący w kącie stodoły rower, był zbyt wolny, nie zdążyłaby zapobiec najgorszemu, nie zdążyłaby zabrać Bena i odejść z nim – daleko, bardzo daleko – w stodole było dużo belek.

Oczy prawie ślepe od szarego welonu, wewnątrz spalona pustynia, lewa ręka bez siły, pojechała do skrzyżowania, skręciła w szeroką drogę i jechała do następnego rozjazdu. Tutaj kończyła się jej droga. Całe skrzyżowanie było zablokowane przez trzy karetki reanimacyjne, dwa samochody policyjne i samochód lekarza pogotowia.

Drzwi domu Heinza Lukki były otwarte na oścież. Trude wysiadła. Miała uczucie, że idzie przez góry waty wprost do otwartej czeluści piekła. Komendant i jego kat, innej myśli nie było już w jej umyśle.

Podeszła do drzwi, które prowadziły do części mieszkalnej. Również te drzwi były szeroko otwarte. W wielkim salonie kłębiła się ciżba ludzi. Jedni kucali na podłodze, inni biegali tam i z powrotem, stali przy drzwiach tarasu lub leżeli na noszach. Trwało to jeszcze dwie lub trzy sekundy, nieskończenie długi czas, w którym Trude, ignorując trawiący jej wewnątrz ogień, próbowała zebrać myśli, by wreszcie pojąć, co się stało.

Nieopodal stylowego kominka leżało drobne ciało jej najmłodszej córki, nad którym pochylało się kilka odzianych w białe kitle postaci, podając sobie opatrunki, długie bandaże i woreczki napełnione jakimś płynem. Przed kominkiem leżał jeszcze ktoś, którego już nakryli. A obok jeszcze jeden, Trude nie mogła go zobaczyć, ponieważ zasłaniało go dwóch sanitariuszy i lekarz pogotowia, ale jego poznałaby nawet wówczas, gdyby leżał w zupełnej ciemności pod górą starych kości. Ogień w jej piersi odciął definitywnie oddech, uderzył w piersi niczym wielki topór, rozerwał jej nogi i kazał upaść twarzą na kosztowny dywan. Żelazne pazury wwierciły się w drżący mięsień

i zmiądzły go.

Jedna jej część umarła, poprowadziła sprawę z Trude z ostatnim rwącym bólem do gorzkiego końca.

Dni i tygodnie później

Wieść o tym, co wydarzyło się w bungalowie Lukki, zadziwiająco szybko obiegła całą okolicę, postarała się o to Thea Kressmann. W cafe Ruettgers już następnego dnia przypominano sobie o ostrzeżeniach Gerty Franken, których niestety nikt nie traktował poważnie. Thea bolała nad losem Heinza Lukki, porządnego człowieka i dobrego obywatela, który swoje zaufanie do Bena i szczerą troskę o niego przypłacił życiem. Wypowiedziała głośno swój szacunek dla Jakoba, który stał się wreszcie świadom spoczywającej na nim odpowiedzialności i zgruchotał czaszkę swojemu synowi, żeby ten potwór nie znikł w jakimś zakładzie i był ciężarem dla podatników.

Losu Trude walczącej ze śmiercią po ciężkim zawale, bliżej grobu niż życia, Thea nie komentowała. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy... Czy należy okazywać litość i współczucie matce, która od dawna musiała wiedzieć, że chowa pod swoim dachem prawdziwą bestię, a na dodatek broniła jej z taką zaciekłością? I z czymś takim człowiek przez całe lata żył przez płot i siedział przy jednym stole.

Nie na wiele zdała się interwencja Sibylle Fassbender, która słysząc wywody Thei, przydreptała z pokoiku na zapleczu i zwróciła jej uwagę, że niektórzy we wsi dla swojego dobra powinni zamknąć dziób, zanim ktoś przypomni sobie, z kim jeszcze siedzieli przy wspólnym stole. Na twarzy Thei odmalowało się święte oburzenie, syknęła „bezczelność”, po czym jak gdyby nigdy nic wróciła do tematu.

Sprawy zaszły stanowczo za daleko, a przecież wcale nie musiało do tego dojść. Przecież już w czerwcu ostrzegła Trude, kiedy to bydlę rzuciło się na Alberta i Anette. A co zrobiła Trude? Gównno. Teraz

niestety nie można już niczego zmienić. Co się stało, to się nie odstanie. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że najmłodsza siostra Bena przeżyje, a niebo ulituje się nad porządnymi ludźmi i zabierze z tego świata ten pomiot szatana.

Słyszając to, Sibylle Fassbender tupnęła nogą, pobiegła ze łzami w oczach do swojej izdebki, chwyciła wielki nóż do krajania tortów, pchnęła z impetem wahadłowe drzwi, stanęła przed osłupiałą Theą i zagroziła: „Jeszcze jedno słowo, a rozwalę ci łeb. Tylko po to, żebyś wiedziała, jak to jest. Czy naprawdę nie możesz poczekać, aż policja wyjaśni sprawę? I nie zapominaj, że w grę wchodzi jeszcze jeden człowiek”.

„Nie ośmieszaj się – zaśmiała się szyderczo Thea. – Chyba nie mówisz o Heinzu? Biedaczek, w tym roku skończyłby sześćdziesiąt siedem lat. Dlaczego mężczyzna w jego wieku miałby napadać na młode dziewczyny?”.

W pierwszych dniach nikt we wsi nie wątpił w wersję Thei. Ten i ów zadawał sobie tylko pytanie, skąd miała tak dokładne informacje. Wszystkim okropnie działała na nerwy, kiedy opisywała z detalami, jakby widziała wszystko na własne oczy. Jakby tam była. Nie było jej, przynajmniej gdy znaleźliśmy głowę Britty Laesler i zabezpieczyli jej rower, wtedy nie było ani Thei, ani innych ciekawskich ze wsi.

Dla nas sytuacja w bungalowie Lukki nie była tak jednoznaczna jak dla tak dobrze poinformowanej małżonki Richarda Kressmanna, dwoje ciężko rannych, jeden trup, zakrwawiony nóż i załamany ojciec, który już w pierwszych słowach wziął na siebie całą winę. „Powinienem był zadbać o to, żeby poszedł do zakładu, jak tylko zaczął rozrywać lalki” – powiedział Jakob z desperacją w głosie.

Po tej informacji, która w rzeczy samej okazała się dla nas cenną wskazówką, zdecydowaliśmy się przeszukać całe obejście Schloesserów. Nasze poszukiwania zostały bardzo szybko uwieńczone sukcesem. Rower w stodole i głowa zakopana w ogrodzie przemawiała za winą Bena. Do tego dochodziło alibi Heinza Lukki w niedzielę wieczór. Krótco po dziewiątej pojawił się posiedzeniu rady miejskiej.

Około pół do dziewiątej zawołał Brittę Laessler do domu, co potwierdziła Nicole Rehbach. Żeby dojechać do Lohbergu potrzebował przynajmniej dziesięciu minut. Lukka musiał zatem tylko odczekać, aż szalejący na drodze olbrzym zniknie z pola widzenia. A to stało się dość szybko.

Przede wszystkim zeznania Nicole Rehbach mocno obciążały Bena. Młoda kobieta przypominała sobie dokładnie, że kiedy odwróciła się jeszcze raz za siebie, na drodze nie było już nikogo. Była również pewna, że nie widziała już roweru Britty przed działką Lukki.

Jej zeznania pokrywały się z tym, co powiedział Heinz Lukka podczas rozmowy telefonicznej z Antonią Laessler. Rower z całą pewnością był schowany w kukurydzy, czego dowodził kawałek suchego liścia, który utkwiał między szprychami przedniego koła, a który zauważyła także Trude.

Wyszliśmy z założenia, że Ben ukrył rower Britty, pragnąc przeszkodzić w jej ponownej ucieczce. Musiał tylko zaczekać na nią – najwyżej pięć do dziesięciu minut.

A potem? Gdzie zawlókł Brittę, gdzie została zamordowana? Co stało się z Edith Stern, kiedy opuściła dom Lukki? W jaki sposób Ben wszedł w posiadanie jej kurtki? Gdzie była Marlene Jensen? Czy strzęp z weka, o którym wspomniał Jakob, pochodził rzeczywiście z jej kurtki? O Svenji Krahl, która otwierała przerażający korowód tego lata, jeszcze nie wiedzieliśmy.

Ale znaleźmy wypowiedzi Klausa i Eddiego, którzy zatrzymywali się regularnie na wysokości drutu kolczastego. A Bruno Kleu, który wbrew naszym oczekiwaniom bardzo nam pomógł, powiedział, że jabłonkowa łąka była rewirem Bena od jego najmłodszych lat. Od działki Lukki dzieliło ją zaledwie pięćset metrów. Przyglądając się bliżej otaczającemu łąkę drutowi kolczastemu, odkryliśmy miejsce tuż przy polnej drodze, po stronie graniczącej z dawnym ogrodem Gerty Franken, gdzie drut musiał być wielokrotnie odsuwany i ponownie nakładany. Wielkie gwoździe, którymi drut był przymocowany do drewnianych palików, siedziały tak luźno, że mogłam wyciągać je

palcami.

Zażądałam psa na trupy, ponieważ Bruno Kleu powiedział: „Jeśli Ben zakopał tę dziewczynę, będziecie potrzebować lupy”. Głowę już mieliśmy. Ale co z resztą? Sądziliśmy, że Ben ukrył zwłoki w ogrodzie matki.

Pies zaprowadził nas do dołu między karłowatymi jabłoniemi. Do innych miejsc go nie ciągnęło, jego czujny nos ani razu nie zwrócił się w stronę kolczastej dziczy sąsiadującej z łąką. W płaskim dole, podobnym do tego, który osiem lat wcześniej został wykopany dla Ursuli Mohn w rozpadlisku, leżały trzy niebieskie worki zawierające szczątki Britty Laessler. Były one prowizorycznie przysypane ziemią i przykryte zielskiem.

Ale Bruno Kleu powiedział: „To mi nie pasuje do Bena. Tyle razy go obserwowałam, kiedy grzebał w rozpadlisku albo w Bendchen. Zanim wykopał dół, najpierw skrupulatnie usuwał całe zielsko. Potem wsadzał w ziemię każdą trawkę. Czegoś podobnego nigdy nie widziałem”.

Nasuwało się pytanie, czy Ben był równie precyzyjny, jeśli zamierzał tylko chwilowo ukryć zwłoki na łące i przy pierwszej sposobności przenieść je do gospodarstwa rodziców. Na odpowiedź nie musieliśmy długo czekać. Wynik sekcji zwłok potwierdził hipotezę Bruna. Ten facet naprawdę miał nosa.

Lekarze sądowi ustalili, że Britta Laessler została zamordowana dopiero w poniedziałek po południu. W tym czasie Ben był zamknięty w swoim pokoju – a Heinz Lukka po swoim występie na policji przebywał w domu. Poza tym kontrola przeprowadzona w jego bungalowie dostarczyła dość materiału dowodowego na postawienie zarzutów.

Nasi technicy zabezpieczyli dwie butelki – jedną z lodówki, drugą z przeszklonego barku w salonie – w których oprócz coca coli i likieru wiśniowego znajdował się mocny i szybko działający środek odurzający. W zmywarce stała jeszcze szklanka, z której piła Britta.

W garażu Lukki odkryto łopatę, na której znajdowały się jeszcze

grudki ziemi. Badania laboratoryjne wykazały bez cienia wątpliwości, że ziemia ta pochodzi z jabłonkowej łąki. Jej skład różnił się zasadniczo od otaczających ją gleb. Nawet jeśli sztolnie były od dawna wyczerpane, tamtejsza ziemia zawierała nadal znaczne ilości piasku.

Znajdująca się w piwnicy, wykładana eleganckimi kaflami siłownia na pierwszy rzut oka robiła nienaganne wrażenie. Podłoga i ściany lśniły od czystości. Poddane jednak działaniu specjalnych promieni owe nieskazitelnie czyste przestrzenie powlokły się czerwienią, przywodząc na myśl morze krwi. Pomiedzy hantlami i innymi przyrządami do ćwiczeń znaleziono narzędzia chirurgiczne, a także rozmaite noże, szczypce i tasaki, na których widok nawet oswojonym z takimi widokami „nieczułym” fachowcom zbierało się na wymioty.

Sekcja zwłok Heinza Lukki zaowocowała kolejnymi rewelacjami. Aczkolwiek adwokat był cały powalany krwią, lekarz sądowy nie stwierdził żadnych zewnętrznych obrażeń. Jego kark i kość gnykowa były złamane. Obrażenia Tanji powstały w wyniku ciosów zadanych nożem, który leżał obok zwłok Lukki. Na rękojeści noża znaleziono wyłącznie odciski palców Lukki. Kilka rozmazanych śladów palców znajdowało się również na ostrzu. A ponieważ powierzchnie dłoni i opuszki palców Bena, a także jego prawy łokieć i prawe ramię były w wielu miejscach rozcięte, uznałam przypadek za jednoznaczny. Prokurator zgodził się ze mną w całej rozciągłości.

Benjamin Schloesser próbował ratować życie swojej najmłodszej siostry, włamując się do bungalowu przez oszklone drzwi tarasu, które staranował ramieniem i łokciem. Walczył o nóż z Heinzem Lukką, a kiedy to nie pomogło, złapał adwokata za szyję i kark. Czy chciał zabić Lukkę, czy też i tym razem winna była siła jego pięści, której mózg nie potrafił kontrolować? Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć.

Ja jednak ośmieliłam się to zrobić, oceniając jego zachowanie po zniknięciu Britty. Ben musiał dobrze wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo grozi dziewczętom i młodym kobietom w domu jego przyjaciela, stąd wniossek, że poczynił stosowne obserwacje. Musiał widzieć, jak Lukka

jeszcze raz wyjeżdżał z bungalowu. Chcąc ratować dziewczynę, próbował zaprowadzić tam swoich rodziców.

A Britta Laessler mogłaby jeszcze żyć, gdyby Ben zastał kogoś w domu oprócz zamkniętej w pokoju siostry. Britta Laessler mogłaby jeszcze żyć, gdyby w poniedziałek rano Jakob nie zbił swojego syna. Brittę Laessler można było jeszcze uratować nawet w poniedziałek wczesnym popołudniem, kiedy zabieraliśmy na komendę Bruna Kleu. Kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze.

Oficjalnie przypadek był wyjaśniony, jeśli chodzi o Brittę i Tanję. Pozostawało tylko pytanie, w jaki sposób głowa dziewczyny trafiła w ręce Bena. Czy stało się to przypadkowo, przypuszczał Bruno Kleu. „Kiedy Trude wypuściła go na dwór we wtorek, z pewnością pobiegł w pierwszej kolejności na jabłonkową łąkę – powiedział Bruno z przekonaniem. – To była jego zwykła trasa. I założę się o każde pieniądze, że natychmiast rzuciło mu się w oczy, że trzy osty i dwie pokrzywy stoją nie na swoim miejscu. Szkoda że nie widzieliście, jak ratował swoje zielsko w rozpadlisku, po akcji poszukiwawczej”.

Było jeszcze więcej pytań. A nawet – całe mnóstwo. Dlaczego Heinz Lukka zaatakował siostrę Bena? Dlaczego tak długo zwlekał z zamordowaniem Britty Laessler? Co obiecywał sobie po rozmowie z komendantem policji? Czy był do końca przekonany, że Ben ze swoimi ograniczonymi werbalnymi możliwościami nie może nikomu zdradzić, gdzie jest Britta Laessler? A przecież wiedział o istnieniu jeszcze jednego świadka, młodej kobiety na polnej drodze. Czy należałoby zatem przyjąć, że Lukka prowadził tylko ohydny grę z policjantami w Lohbergu? „Proszę bardzo, idioci, oto stoi przed wami człowiek, który może wam wszystko powiedzieć. Chodźcie ze mną do mojego domu i zakończcie wreszcie tę sprawę”.

Byłam pewną, że jego ofiarą padły również Marlene Jensen i Edith Stern. Ale nie miałam na to żadnych dowodów. I jak to zwykle bywa w tego rodzaju przypadkach potwornych morderstw, prokuratorowi siedziała na karku żadna sensacja prasa, a opinia publiczna domagała się szybkich rezultatów, te zaś mieliśmy jak na razie tylko w sprawie

Laessler.

Prokurator chciał zamknąć sprawę i powiedział do mnie któregoś dnia: „Jeśli Lukka zabił również te dwie kobiety, przypuszczalnie wywiózł zwłoki w swoim samochodzie, ponieważ w obu przypadkach miał więcej czasu. Niestety, nie możemy już go o to zapytać. Niech pani spróbuje wyciągnąć coś z tego chłopaka. Może się uda. Mam jednak poważne wątpliwości, czy otrzyma pani jakąś sensowną wskazówkę. Zastanawiam się, czy on w ogóle wie coś o tych dwóch zaginionych”.

„Musi wiedzieć – odparłam. – W przeciwnym razie nie miałby powodu zachowywać się jak dzikus”.

Rany na głowie Bena nie były tak poważne, jakby sobie tego życzyła Thea Kerssmann. Dwa dni po operacji odzyskał przytomność, od tej chwili patrzył z lękiem na obce twarze, jęczał i skomlał jak młody psiak, kiedy ktoś podchodził do jego łóżka. „Przyjaciół, paluchy precz, ślicznie, ścierwo” powtarzał w kółko. Nikt nie wiedział, co to może znaczyć, nikt nie potrafił go uspokoić, znaleźć słów pocieszenia. Ja też nie.

Nie mogłam zasięgnąć rady jego matki, która z pewnością powiedziała mi, jak mam z nim postępować. Trude wciąż jeszcze walczyła o życie na oddziale intensywnej terapii w jednej z kolońskich klinik. Lekarze utrzymywali ją w stanie sztucznej śpiączki. Jakob też w żaden sposób nie mógł mi pomóc. Całe przedpołudnie spędzał przy żonie. Po południu siedział przy łóżku swojej najmłodszej córki, której życie również wisiało na włosku. Wieczorem pocieszał się przy kuflu piwa w gospodzie Ruhpolda, co chwila wybuchał płaczem i szeptał: „Boże, jak ja mu teraz spojrzę w oczy – albo Paulowi? Nigdy tego nie naprawię”.

Wolfgang Ruhpold patrzył na niego ze współczuciem, kładł mu rękę na ramieniu i upominał: „Nie zadręczaj się, Jakob. Każdy popełnia błędy. Źle oceniłeś sytuację. Mnie również mogłoby się to przydarzyć”.

Pomyślałam, że gdybym pojawiła się u Bena z kimś dobrze mu

znanym, mój plan mógłby się powieść. Jakoba skreśliłam na samym wstępie. Niewiele obiecywałam sobie po jego towarzystwie. Nie mówiąc o tym, że dla obu byłaby to prawdziwa tortura. Zwłaszcza dla Bena. Nie trzeba być chorym umysłowo, żeby bać się człowieka, który o mały włos nie rozplątał nam czaszki.

Antonii Laessler z oczywistych przyczyn nie chciałam prosić o towarzystwo. Baerbel von Burg wymówiła się problematyczną ciążą. Pani doktor Anita Schloesser nie widziała swojego brata od wielu lat i miała wątpliwości, czy on w ogóle ją pozna. Ilia von Burg byłaby gotowa mi pomóc, gdyby wierzyła w sukces tego przedsięwzięcia. Ale nie wierzyła. „Nie jestem z nim jakoś szczególnie zaprzyjaźniona – zauważyła – a poza tym nie sądzę, żeby powiedział wam więcej niż dotychczas. Jeśli wpadnie w szal, ponieważ będzie chciał wracać do domu, tego po prostu nie zniosę”.

Ale Ben nie zamierzał wcale wariować. Jeszcze nie... Na drugą wizytę zabrałam Uwe i Toniego von Burg. Miałam przy sobie zdjęcie Marlene Jensen. Ben nie zwracał najmniejszej uwagi na obu mężczyzn. Rzucił krótkie spojrzenie na zdjęcie, potem spojrzał na mnie i powiedział: „Ścierwo”.

Kiedy za pośrednictwem ambasady USA otrzymałam wreszcie zdjęcie Edith Stern, spróbowałam po raz trzeci. Tym razem pojawiłam się u Bena w towarzystwie psychologa. Efekty były jednak mizerne. Ponieważ Ben mamrotał pod nosem swoje obowiązkowe „ścierwo”, patrząc w moim kierunku, psycholog doszedł w końcu do wniosku, że chłopak czuje się przeze mnie napastowany i wyraża tylko to, co myśli na mój temat.

Kiedy zgłosiła się do mnie Sibylle Fassbender, zdążyłam już oswoić się z myślą, że nie będę umiała wyjaśnić losu Edith Stern i Marlene Jensen. Sibylle Fassbender dowiedziała się od Illi, że Ben odzyskał przytomność, a ja na gwałt potrzebuję kogoś, kogo on darzy zaufaniem.

W połowie września, było to w piątek po południu, odebrałam ją z kawiarni sióstr Ruettgers i pojechałyśmy razem do Lohbergu. Sibylle

miała ze sobą tacę z ciasteczkami. Wchodząc do jego pokoju, uśmiechała się promiennie, choć z pewnością wcale nie było jej wesoło. Siedział wyprostowany na łóżku, kiedy zobaczył, kto wchodzi, pomachała ręką i też się uśmiechnął. Mnie już znał. Ale tym razem nie obdarzył mnie ani jednym spojrzeniem ani przekleństwem.

„Oto i mój najlepszy – powiedziała Sibylle. – Teraz dostanę całusa. A potem będzie śliczny kawałek tortu”.

Objęła go czule, a ja zobaczyłam, jak ten olbrzym pociera swoją twarz o jej ramię. Kiedy wypuściła go z objęć, złapał się za głowę i powiedział: „Boli”.

„Tak, tak, mój ty biedaku – pocieszała go Sibylle. – Ojciec znowu strasznie cię zbił. A przecież ty jesteś taki kochany, taki dobry. Wszystko tak ślicznie zrobiłeś”.

Wydawał się zadowolony tą pochwałą, skinął głową i zabrał się do tortu. Na moje pytania nie umiał jednak odpowiedzieć, również wtedy, gdy zadawała je Sibylle. Przez cały czas dopytywał się tylko: „Ślicznie?”. A Sibylle wyjaśniła mu, że Trude, Tanja, Antonia są bardzo chore, tak samo jak on. Ale niedługo na pewno wyzdrowieją, a wtedy on będzie mógł znowu wrócić do domu.

Nic nie wskórawszy, pojechaliśmy z powrotem do wsi. „I co teraz z nim będzie? – zapytała Sibylle, patrząc na mnie z niepokojem.

Niestety, nie umiałam odpowiedzieć jej na to pytanie.

„Jakob na pewno nie weźmie go do domu – powiedziała cicho Sibylle. – Nie zniesie tego, że tak strasznie poturbował własnego syna. A jeśli Trude umrze...”.

Trude nie umarła. Pod koniec września lekarz prowadzący pozwolił mi przeprowadzić z nią krótką rozmowę. Dwa dni wcześniej podałam do protokołu zeznanie jej córki, Tanja nie pamiętała tego, co wydarzyło się w bungalowie Lukki, była pod wpływem szoku, to oczywiste. Przypominała sobie tylko, że Ben położył głowę Britty na stole i pobiegł za siostrą. Dla mnie był to jeszcze jeden zadziwiający zwrot w tej historii. Trude wiedziała już, że niewinność Bena została udowodniona ponad wszelką wątpliwość. I bawiła się ze mną w kotka

i myszkę – nie inaczej, jak to robiła przez wiele lat z Jakobem.

„Ben często przynosił do domu różne rzeczy – powiedziała. – Kiedy był na dworze, zawsze gdzieś kopał. Uwielbiał to robić. A jak coś leżało na drodze, to oczywiście też podniósł. Dlaczego nie miałby tego robić? Przed dwoma laty przyniósł mi starą kość”.

„Pani Schloesser – powiedziałam, z trudem zachowując spokój – tym razem, to nie była stara kość, tylko głowa młodej dziewczyny. A tej dziewczyny szukała cała wieś”.

„A czy pani zrobiłaby coś innego na moim miejscu? – zapytała Trude. – Jestem pewna, że pani również nie zadzwoniłaby na policję, gdyby on był pani synem i nie potrafiłby pani powiedzieć, gdzie znajduje wszystkie te rzeczy. Wiedziała by pani tak samo jak ja, że ludzie zrobią z niego winowajcę. Jeśli chce mnie pani za to ukarać, proszę to zrobić...”.

„Czy znalazł jeszcze coś oprócz starej kości i głowy?” – przerwałam jej.

„Tylko kurtkę Amerykanki – powiedziała szybko Trude – a potem obeszlśmy z nim całą drogę, ale nie umiał nam pokazać miejsca, gdzie leżała”.

W ten sposób pogrzebałam resztkę nadziei na ostateczne wyjaśnienie tej sprawy. Nikt nie myślał oskarżać Trude o akcję w ogrodzie. Prokurator tłumaczył jej zachowanie szokiem.

Epilog

Podczas jazdy nie rozmawiali ze sobą. Jakob siedział ze skoncentrowaną twarzą za kierownicą starego mercedesa. Ani razu nie spojrzął na bok. Dzień wcześniej Trude została wreszcie wypisana z kliniki. W znacznym stopniu wyleczona, wychudła na wiór, twarz miała tak kościstą, bladą i tak pełną smutku, że Jakobowi krwawiło serce, kiedy patrzył na nią dłużej niż sekundę. A przecież tak bardzo cieszył się, że wraca do domu.

W ostatnich tygodniach odstawił piwo, które wcale nie pomogło mu zalać toczącego jego duszę robaka. Zamiast tego siedział teraz każdego wieczoru w gospodzie Ruhpolda przy szklance wody mineralnej i marzył o przyszłości. I zawsze miał przed oczami ten sam obraz. Stół nakryty do śniadania, cztery talerze, cztery filiżanki, cztery małe łyżeczki i cztery noże. Trude mówiła za każdym razem: „Nie bierz tak dużo masła na chleb, Ben”.

Potem mówiła Tanja: „Muszę już iść, niedźwiedziu, bo inaczej spóźnię się do szkoły. Odprowadzisz mnie kawałek?”.

Tak nigdy nie było. I na pewno nigdy nie będzie.

Przed dwoma dniami, kiedy Jakobowi udało się wreszcie odwiedzić Tanję u Paula i Antonii, Paul natychmiast wyszedł z pokoju.

„Jest kompletnie załamany – powiedziała Antonia i nagle krzyknęła: – To twoja wina, Jakob. Tylko i wyłącznie twoja wina. Gdybyś z nim wtedy poszedł, zamiast go bić...”. Potem też wybiegła z pokoju.

Tanja wdrapała się na jego kolana, wciąż taka chuda i blada, lekka jak wypełniona puchem poduszczyca. „Mówiłam ci, tato. Zawsze ci

mówiłam, że Ben jest dobry i nie robi nikomu nic złego. Proszę cię tatusiu, jak mama wróci do domu, muszę natychmiast go odwiedzić. Chcę mu podziękować. Gdyby wtedy nie nadszedł...". Rozpłakała się żałośnie, a Jakob miał ochotę zatkać sobie uszy. „Weź mnie ze sobą, proszę cię, tatusiu” – nalegała Tanja, patrząc mu w oczy. Na próżno. Jakob nie był jeszcze gotów.

Później! Kiedy już będzie mógł spojrzeć niedźwiedziowi w oczy. Może wtedy...

Kiedy wczoraj wrócili do domu, Trude postawiła walizkę w korytarzu i spytała: „Dlaczego jeszcze nie zabrałeś go do domu?”. Potem dodała jeszcze, że nie najgorzej się czuje. I że w przyszłości będzie musiała trochę na siebie uważać i regularnie zażywać lekarstwa. Więcej nie miała mu do powiedzenia.

Teraz siedziała obok niego, ale nie rozmawiali ze sobą. Jakob nie potrafił wytłumaczyć jej tego wszystkiego. Popęłnił tak wiele błędów, a ostatnim razem wiedział natychmiast, że to był błąd. Tak jak we wszystkich tych latach wiedział, że Luce nie wolno ufać.

Kiedy Ben wylizał się ze swoich ran, pojawiło się pytanie, co z nim teraz robić. W szpitalu nie mogli go zatrzymać, potrzebowali łóżka. A Erich powiedział: „Jakob, ty musisz pracować. Przez cały dzień nie ma cię w domu. Nie możesz zostawiać go samego. Chłopak jeszcze nie doszedł do siebie, nie może biegać sam po dworze. Pomyśl o jego zdrowiu, Jakob. Wyobraź sobie tylko, że przewróci się gdzieś na polu i będzie tam leżał jak ostatnia sierota”.

Ben cierpiał jeszcze na znaczne zaburzenia równowagi, Jakob wiedział o tym od lekarzy. Mógł wprawdzie wziąć sobie urlop i opiekować się Benem, ale nie uważał za konieczne informować o tym Ericha. Teoretycznie mógł więc towarzyszyć Benowi w jego wyprawach, mógł gotować dla niego, kąpać go – ale tylko teoretycznie. Dlatego się zgodził. Erich obiecał poszukać jakiegoś miłego miejsca dla Bena i osobiście zadbać o to, żeby syn Jakoba miał dość wybiegu i świeżego powietrza. Ale kiedy Erich miał go wreszcie w swoich szponach...

Początkowo wydawało się, że jest to rzeczywiście miłe miejsce. Jakob sam przekonał się o tym, kiedy przywiózł tutaj Bena. Tak zwana otwarta grupa mieszkaniowa w jasnym, sympatycznym otoczeniu, pięciu mężczyzn, z których trzech było w na tyle dobrej formie, aby mieć oko na swoich towarzyszy podczas nieobecności opiekuna, który przychodził tylko na dzień. Jakob natychmiast pomyślał, że mężczyźni szybko zmęczą się Benem. Dał to pod rozwagę Erichowi, ale aptekarz machnął tylko ręką. Stało się to, co musiało się stać, Ben trzy razy uciekał z zakładu. Minęło kilka dni i Jakob dowiedział się, że wbrew pozorom nie było to najbardziej odpowiednie miejsce dla jego syna. Zanim mógł coś przedsięwziąć, Erich włączył w sprawę sędziego okręgowego.

Trude formalnie zamarła, kiedy dojechali na miejsce. Wsiadła z samochodu, Jakob szedł za nią. Minęli bramę w wysokim murze i weszli na dziedziniec. Jakob był już tutaj raz i wiedział, co czeka Trude. Za bramą odrobina wyblakłej trawy, kilka drzew, kraty w oknach. Szaro, smutno. W budynku zakładu krata przy kracie, na ten widok Jakobowi ścisnął się żołądek.

Oddział ciężkich przypadków znajdował się na drugim piętrze. Kiedy szli długim korytarzem, minęło ich kilka rozczochranych, wrzeszczących dziko postaci. Głupota kapiała im z ust. Twarz Trude skamieniała. Oczami wyobraźni widziała szerokie plecy w kraciastej koszuli, widziała swojego syna biegnącego na przełaj przez buraki Bruna Kleu do rozpadliska.

Bena nie było na korytarzu, leżał w łóżku. Twarz Trude pojaśniała na kilka sekund, potem znów skamieniała. Przywiązali go do łóżka mocnymi, skórzanymi pasami. Ciemne włosy wisiały w strąkach, twarz miał bladą, dziwnie nabrzmiąłą. Spał.

Jakob rzucił krótkie spojrzenie na łóżko, chrząknął zmieszany i powiedział: „Rozejrzę się za lekarzem i dowiem się od razu, kiedy będziemy mogli go stąd zabrać”.

„Bierzemy go natychmiast – powiedziała Trude. – Nie zostanie tutaj ani sekundy dłużej”.

Ale nie było to takie proste. Po pierwsze, istniał nakaz sądowy zatrzymania Bena w zakładzie zamkniętym, po drugie zaś, nie sposób było polemizować z orzeczeniem psychiatrów, których zdaniem Ben był osobnikiem charakteryzującym się skłonnością do brutalnej przemocy. Nieustannie trzeba go uspokajać, tłumaczył Jakobowi lekarz. Dwa razy odważyli się wypuścić go na korytarz. I co wtedy zrobił? Niemal wyłamał kraty. Pielęgniarki byli zmuszeni związać go i przykuć do łóżka. A poza tym, nie należy zapominać, że zabił człowieka.

„To nie był człowiek – sprzeciwił się Jakob – tylko krwiożerczy kleszcz. Zresztą, to była obrona konieczna, tak powiedziano nam na policji. Gdyby Ben nie skręcił mu karku, Lukka zarznąłby naszą córeczkę – i jego pewnie też”.

Psychiatrzy nie byli jednak szczególnie zainteresowani stanowiskiem policji. I cóż to w ogóle znaczy obrona konieczna w przypadku kogoś, kto nie potrafi ocenić sytuacji?

Trude nie mogła dłużej tego słuchać, nie mogła siedzieć spokojnie obok łóżka Bena i patrzeć na jego bladą twarz. Pogłaskała go po skołtunionych włosach i szepnęła: „Ty jesteś mój dobry Ben, mój najlepszy. Wyciągnę cię stąd, obiecuję ci. Nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz w moim życiu”.

Kiedy psychiatra stanowczo odrzucił prośbę Jakoba, podniosła się z krzesła. „Ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane – rzekła twardo. – Wbrew temu, co pan mówi, mój syn potrafi bardzo dobrze ocenić sytuację. Czy nie widział pan jego ręk? Złapał za ostrze, żeby powstrzymać Lukkę. Gdyby Lukka dobrowolnie oddał mu nóż, mógłby jeszcze żyć. Nie dziwię się, że Ben tutaj wariuje. Ja również zwariowałabym w takim miejscu, słowo daję. On chce się tylko stąd wydostać”.

W drodze powrotnej twarz Trude nabrała kolorów. Z początku była to tylko bezsilna wściekłość, która powlokła różem jej policzki. Ale Trude nie pozostała długo bezradna. Z początku jeszcze milczała, zbierała rozbiegane myśli. Potem powiedziała: „Jeśli Erich uważa, że

wygrał, to bardzo, ale to bardzo się myli. Będziemy potrzebować dobrego adwokata...”. Urwała, spojrzała na Jakoba i wypaliła: „Ponieważ mam zamiar opowiedzieć wszystko policji. Od a do z. Teraz, kiedy znów tutaj jestem, on też powinien być tam, gdzie najlepiej się czuje”.

A Jakob też nie powinien być sam ze swoim poczuciem winy i nie powinien przez cały czas zadawać sobie pytania, co by było, gdyby wówczas powiedział wszystko, co wie. Zaraz potem, w czterdziestym piątym roku, kiedy wojna się skończyła i można było znów mówić otwarcie, już wtedy Werner Ruhpold i cały świat powinni byli się dowiedzieć, że Edith Stern nigdy nie dotarła do Idaho. Ale tego Trude nie powiedział na głos.

Jakob sprzeciwił się stanowczo, kiedy wyjaśniła mu, co zamierza zrobić. Błagał ją przez całą noc. To nikomu nie pomoże, Benowi też nie, tłumaczył. Na próżno, Trude już postanowiła.

Następnego dnia zadzwoniła do mnie i złożyła mi propozycję nie do odrzucenia. Ona za wolność Bena. Z adwokatem jeszcze się nie skonsultowała. Była pewna, że będzie próbował wybić jej z głowy ten szalony pomysł. Kto to słyszał, żeby samej wpędzać się w kłopoty, szanowna pani?

Policja nie mogła pomóc Trude. Decyzja o zwolnieniu Bena z kliniki najzwyczajniej w świecie nie wchodziła w zakres jej kompetencji. Kiedy Trude to zrozumiała, było za późno. Zdążyła mi już opowiedzieć o pomazanej krwią torebce Svenji Krahl, o odrąbanych palcach, sztywnym od krwi plecaku i o tym, jak wysłała Bena, żeby przyniósł jej głowę Britty. Opowiedziała mi też o Althei Belashi i o tym, że Marlene Jensen mogłaby jeszcze żyć, gdyby piętnaście lat wcześniej nie została zamordowana młoda artystka cyrkowa.

„To rzuciło mi się w oczy na weselu w listopadzie zeszłego roku – powiedziała Trude. – Ona była naprawdę bardzo podobna do tej dziewczyny z cyrku. A on pewnie pomyślał, że nie powinna zniknąć po raz drugi. Ale nie poszłaby do Lukki, tylko do Paula i Antonii... gdyby Ben nie próbował jej zatrzymać. A on – jak znam życie – powiedział

do niej ścierwo, od piętnastu lat mówi tak do dziewczyn. To słowo oznacza dla niego śmierć, a przyjaciel to jego określenie dla mordercy. Naprowadziła mnie na to moja najmłodsza córka. W ten sposób Ben ostrzegał dziewczyny, a my tego nie rozumieliśmy”.

Trude była przekonana, że zwłoki są jeszcze gdzieś w pobliżu. „Gdyby Lukka wywiózł je w samochodzie, zrobiłby to również z Britta. I na pewno nie pogubiłby różnych rzeczy – powiedziała. – A wtedy Ben nie mógłby przynieść ich do domu”.

To, co opowiadała, było niesamowite. Prokurator wpadł w furję: „To jest wielokrotne niszczenie materiałów dowodowych. Nie mogę zamykać oczu na coś podobnego. Mamy tutaj do czynienia z przypadkiem ewidentnego ułatwiania przestępstwa. A za to idzie się za kratki. Domyśla się pani zapewne, że sprawy mogłyby potoczyć się inaczej, gdyby ta kobieta uderzyła na alarm, kiedy przyniósł jej torebkę. To było w czerwcu. Gdybyśmy już wtedy mogli zacząć działać, być może skończyłoby się na jednej ofierze. Teraz mamy cztery. I proszę nie zapominać o rodzinach zamordowanych. Nie darują jej tego. I nam też nie...”.

Trude wiedziała doskonale, że sama uplotła sobie sznur na szyję. Mogła odwołać swoje zeznania, nie było żadnych dowodów przeciwko niej. Najstarsza córka załatwiła jej dobrego obrońcę z urzędu, który nalegałby odwołała swoje zeznania. Trude się nie zgodziła. „Te dziewczyny powinny mieć porządny grób, a jeśli Ben wie, gdzie one są...”.

Kiedy na początku marca sędzia okręgowy – naciskany delikatnie przez prokuratora – wydał wreszcie decyzję o zwolnieniu Bena z kliniki, Jakob nie chciał po niego pojechać, wymawiając się złym samopoczuciem. Minęło zbyt mało czasu, jeszcze nie był gotów stanąć twarzą w twarz ze swoim synem i spojrzeć mu prosto w oczy. Wtedy Trude zadzwoniła do mnie. „Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, pani Hallinger, możemy natychmiast przeprowadzić z nim próbę”.

Chciała mieć to już za sobą, spakowała swoją walizeczkę i była przekonana, że aresztują ją, jak tylko odnajdą się zwłoki. Kiedy po nią

przyjechałam, zobaczyłam malującą się na jej twarzy desperację, ale ta chuda twarz natychmiast pojaśniała, kiedy powiedziałam, że w jej przypadku areszt śledczy nie jest konieczny i że do rozprawy będzie mogła zostać w domu.

Weszliśmy na drugie piętro. Na długim korytarzu jeszcze trzymała się prosto, ale kiedy stanęła przy jego łóżku... Jej pierwszej wizyty nie zarejestrował. Psychotropy zrobiły swoje. Więcej wizyt nie było, Trude nie chciała go odwiedzać, żeby oszczędzić mu pożegnania. Nie widział jej od siedmiu miesięcy, podbiegł do niej, objął ją mocno obu rękami i powtarzał przez cały czas: „Ślicznie”.

Był greczny i potulny jak baranek, siedział obok niej na tylnym siedzeniu, przez cały czas gładził ją po twarzy, przyciskał jej rękę do swoich policzków, a w końcu położył głowę na jej ramieniu. Widziałam to w lusterku, widziałam też, jak Trude walczy ze łzami.

Mnie zaakceptował jako miłą kobietę, w każdym razie przytaknął, kiedy Trude zadała mu pytanie. Był również gotów sprawić mi przyjemność, ponieważ to właśnie ja przywiozłam go do domu.

Rzeczywiście zaprowadził nas do grobu zaginionych młodych kobiet. Za ledwie trzydzieści metrów od miejsca, w którym było ukryte rozkawałkowane ciało Britty Laessler. Pod starym poidłem, przy domku na gruszy w dawnym ogrodzie Gerty Franken nasz przewodnik odstłonił dół głębokości około półtora metra. W dole leżało to, co pozostało ze Svenji Krahl, Marlene Jensen i Edith Stern.

Tylko trzydzieści metrów! A my ani razu nie zajrzeliśmy do tej kolczastej dziczy. Szczerze mówiąc, nawet nie spojrzeliśmy w jej stronę i nawet nie przyszło nam do głowy, że w ostatnich latach ktoś mógł tam jeszcze buszować. Jeszcze nigdy nie czułam się taka niekompetentna i taka nieudolna. Nigdy wcześniej nie uświadamiałam sobie z taką jasnością granic, które zostały wyznaczone logicznie myślącemu człowiekowi, który orientuje się po faktach, po tym co widzi i słyszy.

Pomimo to z pomocą Bena osiągnęłam wreszcie swój cel. Doszłam do mety. Wtedy zrozumiałam też, że Heinz Lukka nie mógł zakopać

zwłok w zdziczałym ogrodzie starej Gerty. Przynajmniej w tym sensie Ben musiał być winowajcą. Ale nawet przez sekundę nie zadawałam sobie pytania, w jakiej sytuacji go pozostawiłam. Nie miałam jeszcze pojęcia o pokrętnym labiryncie miejscowych układów, stosunków i powiązań i nie zastanawiałam się nad ponurym dziedzictwem Lukki.

Spis treści

[Prolog](#)

[12 sierpnia 1995](#)

[Pierwsze lata](#)

[16 sierpnia 1995](#)

[17 sierpnia 1995](#)

[20 sierpnia 1995](#)

[Czas nauki](#)

[20 sierpnia 1995](#)

[21 sierpnia 1995](#)

[Pojmowanie Trude](#)

[21 sierpnia 1995](#)

[Jabłonkowa łąka](#)

[20 sierpnia 1995](#)

[Złe czasy](#)

[25 sierpnia 1995](#)

[Domek na drzewie](#)

[25 sierpnia 1995](#)

[Przyjacielska przysługa](#)

[25 sierpnia 1995](#)

[Biała niedziela – kolorowa niedziela](#)

[25 sierpnia 1995](#)

[Wina Baerbel](#)

[26 sierpnia 1995](#)

[Zmiany](#)

[26 sierpnia 1995](#)

[Nowe gospodarstwa](#)

[26 sierpnia 1995](#)

[Decyzja Antonii](#)

[26 sierpnia 1995](#)

[Załamanie](#)

[26 sierpnia 1995](#)

[Czas spokoju](#)

[26 sierpnia 1995](#)

[Pies Lukki](#)

[27 sierpnia 1995](#)

[28 sierpnia 1995](#)

[Grzechy Antonii](#)

[29 sierpnia 1995](#)

[Wesele](#)

[Sierpień 1995, ostatni dzień](#)

[Dni i tygodnie później](#)

[Epilog](#)